

DWIE KRÓLOWE.
KTÓRA BĘDZIE RZĄDZIĆ,
A KTÓRA UPADNIE?



LIGHTBRINGER

ŚWIETLISTY MONARCHA



CLAIRE LEGRAND

CLAIRE LEGRAND

LIGHTBRINGER
ŚWIETLISTY MONARCHA

TOM III

PRZEŁOŻYŁA
MAŁGORZATA KACZAROWSKA

ODYSEYA
Kraków 2024

Spis treści

Bestia i kłamca

1. Rielle

2. Eliana

3. Audric

4. Tal

5. Rielle

6. Eliana

7. Audric

8. Eliana

9. Navi

10. Rielle

11. Simon

12. Audric

13. Rielle

14. Jessamyn

15. Eliana

16. Tal

17. Eliana

18. Rielle

19. Navi

20. Audric

21. Jessamyn

22. Rielle

23. Eliana

24. Rielle

25. Eliana

26. Simon

[27. Navi](#)

[28. Eliana](#)

[29. Rielle](#)

[30. Ludivine](#)

[31. Audric](#)

[32. Eliana](#)

[33. Ludivine](#)

[34. Audric](#)

[35. Eliana](#)

[36. Rielle](#)

[37. Eliana](#)

[38. Audric](#)

[39. Eliana](#)

[40. Simon](#)

[41. Eliana](#)

[42. Audric](#)

[43. Eliana](#)

[44. Audric](#)

[45. Eliana](#)

[46. Rielle](#)

[47. Audric](#)

[48. Rielle](#)

[Początek i koniec](#)

[Żywioty w trylogii Empirium](#)

[Podziękowania](#)

[Karta redakcyjna](#)

Dla Mamy, która mnie kocha



Bestia i kłamca

Wy, którzy walczyście za poległych bliskich, za swoje spustoszone kraje, słuchajcie mnie uważnie: może przyść chwila, w której imperator stanie przed Wami. Być może jego uwagę zwróci Wasza uroda, Wasz talent lub Wasza siła. Będzie się uśmiechał i Was uwodził. Będzie Wam schlebiał i składał obietnice. Nie ufajcie mu. Walczcie z nim do ostatniego tchu. Walczcie za tych, których straciliście. Walczcie za świat, który istniał dawniej i może jeszcze zaistnieć.

– słowa Proroka

Simon kuczał pod oblodzoną skałą, ściskając w garści nóż, i głodnym wzrokiem obserwował zbliżającego się zająca. Jego wargi były popękane od zimna, a stopy w zniszczonych butach miał pokryte strupami i odciskami.

Zając był chudy i biały, jeszcze niewyrośnięty; Simon miał świadomość, że znajdzie na nim więcej futra niż przydatnego mięsa, ale wiedział także, że jest głodny i pożre wszystko, co zdoła zabić.

Poza tym nie myślał prawie o niczym.

Zając zatrzymał się na tyle blisko, że Simon widział jego drgające wibrysy. Zwierzę wpatrywało się w świat z głupim lękiem, w oczekiwaniu na nadejście śmierci. Wokół brązowa równina rozciągała się na wiele zimnych, pustych kilometrów, pokryta migotliwą bielą porannego śniegu. Płatki spływały bezgłośnie z ciemnoszarego nieba.

Niedługo zacznie się prawdziwa śnieżycą. Simon o tym wiedział. Zając również o tym wiedział.

Tylko jeden z nich przeżyje dość długo, żeby ją zobaczyć.

Zając zrobił krok naprzód. Drżącym bladym nosem wyczuwał zapach myśliwego, ale nikogo nie widział.

Simon zawsze potrafił się dobrze ukrywać, a od kiedy niemal rok temu wylądował w tej okropnej, obcej dziczy, stał się w tym jeszcze lepszy.

Zając się zbliżył. Simon czuł zapach piżma. Czuł ciepło przerażonego ciała. Skoczył, wylądował na zwierzęciu i poderżnął mu gardło, zanim zdołało uciec.

Zbyt głodny, żeby rozpalić ognisko, oskórował zdobycz kilkoma szybkimi pociągnięciami noża i wbił zęby w comber. Jadł. Nie odkładał noża.

Przez ostatni rok nauczył się nigdy nie odkładać noża.

Wtedy, z włóknami zakrwawionego mięsa w zębach, nad częściowo zjedzonym zającem, Simon coś usłyszał. Upuścił swój posiłek i odwrócił się błyskawicznie, gotów zabić lub uciec.

Zamiast tego zapatrzył się na to, co zobaczył na śniegu.

Niedaleko ktoś stał i go obserwował. Simon przymrużył oczy. To był mężczyzna, ubrany w długi czarny płaszcz obszyty futrem. Płaszcz miał szerokie ramiona i wysoki kołnierz; opadał aż do ziemi obfitymi fałdami, a jego odcień pasował do kruczoczarnych, lekko kręconych włosów mężczyzny. Nieznajomy był prześliczny, smukły i elegancki na tle zbrązowielej, zimowej pustki równiny, która stała się domem Simona.

Świat wokół ucichł. Simon nie słyszał już odległych trzasków pękającej kry ani wycia ostrego górskiego wiatru. Słyszał tylko gwałtowne bicie własnego serca i kroki podchodzącego przybysza.

Simon znał tego mężczyznę. Dawniej obawiał się go, wręcz go nienawidził. Ale od tamtych przerażających wydarzeń w Âme de la Terre minęło tyle czasu, że nawet wróg stał się kimś mile widzianym.

Mężczyzna położył dłoń w rękawiczce na pochylonej głowie Simona, któremu wyrwał się cichy okrzyk pełen tęsknoty. Sięgnął na oślep w górę i pochwycił rozpaczliwie jego rękę.

– To ty – wyszeptał. Nie był już sam. Wypełniała go pierwotna ekstaza. Z jego ust dobiegł zdławiony, ochryply śmiech.

– To ja – powiedział anioł imieniem Corien. Przykląkł i przyjrzał się uważnie Simonowi.

Simon zeszywniał i zacisnął drugą dłoń na nożu. Czarne oczy, pozbawione blasku i bezdenne. Nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego. Obnażył zęby i zaparł się piętami o ziemię.

Corien tylko się uśmiechnął.

– Jak masz na imię?

Myśli Simona wirowały chaotycznie. Oto widział tego, który najechał jego ojczyznę, zabił setki jego sąsiadów i tysiące Celdaryjczyków.

Oto był anioł, który wślizgnął się w umysł ojca Simona i zmusił go do skoczenia z wieży na pewną śmierć.

Przez jeden szaleńczy moment Simon się zastanawiał, czy nie rzucić się na Coriena jak na królika, nie rozplatać mu tak samo gładkiego białego gardła. Ale widział szybkość, z jaką potrafili atakować aniołowie. Corien by go powstrzymał, zanim Simon zdołałby podnieść nóż.

Mógł uciekać, lecz nie potrafił o tym myśleć. Przez rok żył samotnie w dziczy, aż została z niego zniszczona skóra i kości. Przez rok rozmawiał tylko ze sobą i ze zwierzętami.

Jego łzy popłynęły gwałtownie.

– Znasz moje imię, prawda? – wyszeptał żarliwie. – Nie widzisz go?

Corien milczał tak długo, że Simon poczuł na plecach zimny dreszcz strachu i przygotował się do ucieczki. Był zawsze gotowy do ucieczki.

– Znam cię – rzekł cicho Corien, ale sprawiał wrażenie zaintrygowanego. – Znam cię, chociaż cię nie znam.

W myślach Simona pojawiła się szybka, badawcza obecność, jakby zwinne palce odwijają fałdy jego umysłu, żeby sprawdzić, co się kryje pod spodem. Wiedział, co się dzieje, chociaż nigdy wcześniej nie czuł czegoś takiego. W miesiącach poprzedzających śmierć króla Audrica i późniejszych po Celdarii krążyły mroczne pogłoski. Straszliwe historie o ludziach doprowadzanych do szaleństwa, białych i złamanych, pozostawionych w ruinach splądrowanych wsi.

Tak wyglądała inwazja aniołów.

Simon trwał nieruchomo w śniegu, niemal nie oddychając, drżał tylko, podczas gdy Corien poruszał się w jego umyśle. Głos musnął uszy Simona, ucałował jego szyję, przesunął się po bliznach. Głos syknął słowa, których Simon nie rozumiał, ale wirowały coraz donośniejsze i szybsze, aż w jego głowie zapanował nieznośny hałas. Czuł się, jakby nim potrząsano, zawieszono ponad przepaścią i szarpano w różne strony przy wtórze wycia jakiejś istoty żyjącej w tej otchłani.

Simon krzyknął i chciał zerwać się do ucieczki, lecz Corien złapał go za rękę i podbródek zimnymi dłońmi w rękawiczkach i przytrzymał na ziemi. Nacisk wypełniał Simona od czaszki do palców u stóp, aż chłopiec zaczął się bać, że jego ciało eksploduje. Słowa narastały w nim, przyciągane przez ogromną siłę. Niedługo wyrwą się na zewnątrz i rozbiegną jak owady, sycząc: *Simon, Simon, Simon*, a potem pożrą świat.

W końcu, nareszcie, zapadła cisza.

Simon dyszał ciężko na ziemi. Twarz pochylonego nad nim Coriena była ściągnięta i pełna emocji, których chłopiec nie rozumiał. Minęło wiele czasu, odkąd widział czyjąś twarz.

– Znam cię – powiedział cicho Corien. Jego słowa przypominały deszcz spadający na metal, a Simon czuł każde z nich na podniebieniu. – W jakiś sposób cię znam. Widzę, że nazywałeś się Simon Randell. Masz dziewięć lat. Jesteś Naznaczonym. Albo raczej byłeś Naznaczonym, którego znałem. Dlatego właśnie do ciebie przyszedłem. Wyczułem niezwykłą obecność w tych górach i pokonałem długą drogę, żeby cię odnaleźć. Naznaczeni już nie istnieją. Wiedziałaś o tym, Simonie? Na tym świecie pozostało niewiele niezwykłych istot, nie licząc mnie.

Jego czarne spojrzenie przesunęło się po ciele Simona, gęstej siatce blizn na twarzy i dłoniach. Chłopiec poczuł, że jego umysł ustępuje, żeby wypuścić Coriena. Zaciśnął szczęki. Usiadł sztywno. Nie będzie się bał. Wstrzymał oddech.

– Zaczynam widzieć więcej – wyszeptał Corien, nie mrugając. – Twoja podróż w przyszłość pozostawiła okropne blizny i omal cię nie zabiła. Nie zawsze byłeś tak brzydki. – Uśmiechnął się, jednak reszta jego twarzy, pięknej i bladej, nie poruszyła się. – Ale ty nie jesteś brzydki, prawda, Simonie? Pod tą mapą blizn jesteś całkiem udaną istotą.

Simon chciał podnieść się i usiąść; zarumienił się, gdy Corien mu pomógł, podtrzymując dłoń w rękawiczce jego plecy. Simon wyprostował się, uniósł podbródek i spróbował sobie przypomnieć, jak to jest być chłopcem. Jego myśli chwiały się i wirowały. Czyli znajdował się w odległej przyszłości. Podpowiadał mu to już wcześniej jakiś okropny instynkt usypiony w jego krwi. Nocami wielokrotnie powtarzał to sobie szeptem. Ale teraz wiedział to na pewno.

Nasuwały mu się gorączkowe pytania. Kiedy dokładnie była ta przyszłość? Ile czasu upłynęło pomiędzy „wtedy” a „teraz”? Co to był za świat? Oczy Coriena były czarne, Simon nie mógł podróżować i zastanawiał się, czy między tymi rzeczami istnieje jakiś związek.

Co się stało z empirium?

Dlaczego Corien przyglądał mu się tak dziwnie, jakby dostrzegał w jego twarzy coś, czego sam Simon nie rozumiał?

Spojrzenie Coriena było zimne i nieprzeniknione.

– Ona umarła na moich oczach. Krwawiłem przez dziesiątki lat, a nawet gdy moje ciało wyzdrowiało całkowicie, mój umysł nie zdołał tego zrobić. Czy to dlatego gdy patrzę w twój umysł, widzę tylko umykające cienie i słyszę niemal wyłącznie twój nieskończony, donośny strach? Czy to dlatego, że mój umysł osłabł z latami, Simonie? Simon Randell. Znam twoją twarz, ale nie wiem dlaczego. Kim jesteś? Za kogo walczysz?

– Walczę? – Simon potrząsnął głową. – Nie walczę za nikogo.

Corien przyglądał się mu jeszcze przez chwilę.

– No cóż – powiedział. Wstał i strzepnął śnieg z płaszcza. – Przybyłem tutaj w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mi pomóc. Jak widzę, znalazłem tylko zagubionego chłopca.

– Zaczekaj! – krzyknął Simon, ponieważ Corien odwrócił się, by odejść, a Simon nie potrafił znieść myśli o tym, że znów zostanie sam. Popęzł za Corieniem i uczeplił się brzegu jego płaszcza. Skulił się u jego stóp, nieszczęśliwy jak zbity pies, i poczuł lekki przypływ lęku w piersi na myśl o tym, co zamierzał zrobić, ale już dawno temu przestał odczuwać wstyd.

To śmierć Rielle pozbawiła go domu i sprowadziła tutaj. To jej egoizm, jej niezdolność panowania nad własną mocą zniszczyły świat i sprawiły, że Simon został tutaj porzucony, samotny, bez swojej magii.

Stłumił lęk i chwycił Coriena za rękę. Przycisnął mocno czoło do jego rękawa, zebrał całą swoją nienawiść do martwej królowej i cisnął nią w stojącego przed nim anioła, żeby mógł zobaczyć i zrozumieć.

– Jestem z Celdarii – rzekł z drżeniem Simon. – Widziałem córkę Rielle. Będę walczyć za ciebie, panie.

Czekał. Nad nim rozciągało się milczenie, ciężkie i okropne. Chociaż Corien go nie dotykał, Simon czuł nacisk twardej dłoni na karku.

– Trzymałem ją w noc, kiedy się urodziła – powiedział Simon, jak najszybciej wyrzucając z siebie słowa. – Byłem synem uzdrowiciela królowej Rielle. Ukrył mnie przed tobą, panie. Tamtej nocy byłem przerażony. Widziałem, jak mój ojciec skoczył... – Gardło Simona się zacisnęło. Jęknął, żeby je oczyścić. Nie płakał od miesięcy i nie robi tego teraz. – Widziałem, jak spada – podjął. – Królowa Rielle umierała, a dziecko zostało samo. Słyszałem, jak wołasz królową, panie, i widziałem, jak uderzasz w jej światło. Nie wiedziałem, co mam robić, panie, więc wziąłem dziecko i próbowałem uciec z nią w bezpieczne miejsce. Pomyślałem, że zabiorę ją na północ, do Borsvallu, gdzie król Ilmaire będzie mógł jej bronić. Pomyślałem, że jeśli królowa Rielle umrze, zabije także mnie i swoje dziecko. – Simon podniósł głowę i zadrżał. Łzy i śnieg sprawiały, że nie widział twarzy Coriena. – Ale coś poszło nie tak. Czas mnie pochwycił, panie, i przeniósł tutaj. Żyłem samotnie przez wiele miesięcy. Nikogo nie mogłem znaleźć. Szedłem i szedłem przed siebie.

Zalewał się teraz łzami, gwałtowny i niepohamowany w swojej rozpacz. Nienawidził się za dźwięk tego szlochu, za to, jak mały się przez to wydawał, lecz teraz, gdy porozmawiał z kimś, kogo znał, z Dawnego Świata będącego jego domem, wiedział, że nie wytrzyma dłużej samotności. Rzuci się ze skały. Pójdzie po śladach śnieżnego kota i pozwoli, by bestia go pożarła.

Corien znieruchomiał całkowicie, a potem przykląkł, żeby ująć twarz Simona w dłonie. Zdjął rękawiczki. Jego skóra była biała i gładka.

– To jest Vindica, mały Simonie – oznajmił życzliwie. – Dzikie pustkowia, które były kiedyś krajem aniołów. Znajdujesz się na wyżynach w górach Maktari. To oczywiste, że jesteś sam. To oczywiste, że marzniesz.

Simon pozwolił Corienowi się przytulić i zaszlochał w jego płaszcz. Starał się nie poruszać i z całej siły walczył z napływającymi łzami. Może udowodnić, że jest kimś, kogo warto zatrzymać.

– Nie zostawiaj mnie, proszę, nie zostawiaj – wyszeptał. – Zabierz mnie ze sobą, proszę, panie.

Corien gładził długie, sfilcowane włosy Simona.

– Bardzo kochałeś swojego ojca. Powinieneś nienawidzić mnie za to, że go zabiłem. Zabiłem go, teraz to pamiętam. Powinieneś pragnąć mnie za to zabić, ale tak bardzo boisz się zostać znowu sam, że z radością pójdziesz ze mną, jeśli ci to rozkażę. Zrobisz wszystko, co ci powiem, w zamian za możliwość przebywania w pobliżu kogoś, kto wie, co straciłeś. – Roześmiał się dziwnie.

– Tak – szepnął Simon i zadrżał w ramionach Coriena. Czuł anioła w swoim umyśle, łagodnie poszukującego informacji. – Zrobię wszystko, co mi powiesz, panie.

– Cóż to za słaby umysł, bezbronny i obnażony – powiedział z namysłem Corien, dotykając miękkimi palcami policzków Simona. – Pamiętasz rzeczy, które starasz się zapomnieć, a ja widzę każde wspomnienie tak wyraźnie jak swoje własne.

Simon przypominał sobie przeszłość, pomimo łez i tego strasznego, narastającego strachu. Przypominał ją sobie, chociaż desperacko pragnął zatrzymać Coriena. Nie mógł przestać sobie przypominać.

Pamiętał królową Rielle wkładającą mu w ramiona nowo narodzoną córkę w noc swojej śmierci. Pamiętał jej ciemne oczy wypełniające się złotem i kwaśny smak naelektryzowanego powietrza w komnacie lśniącej

za jego plecami. Pamiętał Coriena krzyczącego w sypialni królowej głosem ochrypłym z rozpaczy. Pamiętał, jak spoglądał w ciemność i przywoływał nici, które miały go zabrać wraz z dzieckiem bezpiecznie do Borsvallu.

A także swojego ojca, ściskającego głowę i wychodzącego chwiejnie na taras przy komnacie królowej. Przechylającego się przez balustradę i spadającego.

A także ciemne nici czasu, które pochwyciły Simona i zacisnęły się na nim. Towarzyszący temu ból i to, że przez pierwsze tygodnie po przybyciu tutaj nie pamiętał samego siebie, był bardziej zwierzęciem niż chłopcem. Zapomniał, jak się mówi. Biegał na czworaka, krwawił i płonął z gorączki, wrzeszczał w pustkę.

– A ona? – zapytał miękko Corien, uspokajając go dotykiem. – Co się z nią stało?

– Gdy odzyskałem świadomość, ona zniknęła. – Simon sięgnął do kieszeni po kawałek kocyka, który tam nosił. Za każdym razem, gdy kładł się spać, wtulał w niego twarz. Czasem krzyczał w niego. Zaciskał na nim zęby i szarpał, kołysząc się w ciemności.

Corien zastanawiał się nad tym przez długą chwilę.

– Ona może być tutaj. Ona może być gdziekolwiek. Może jej nie być nigdzie.

Simon przełknął z trudem ślinę. Serce tłukło mu się jak kopyta uderzające o skałę. Szalała w nim szarża. Tkwił tak nieruchomo, że jego chude ciało płonęło z tego napięcia.

– Tak, panie – szepnął.

– W takim razie Naznaczony może być przydatny. Nawet taki, którego magia umarła i przeminęła.

W tym momencie Corien zamarł. Simon wyczuł poruszenie w swoim umyśle, a potem nagłą, twardą nieruchomość, jakby coś utkwilo głęboko

w nim i miało tam pozostać na zawsze.

Anioł odsunął się, żeby na niego spojrzeć, a wyraz jego twarzy był tak odmienny od wcześniejszego, że Simon struchlał i spróbował się poruszyć.

Corien przytrzymał go mocno.

– Widzę to teraz w twojej twarzy – wyszeptał. Jego czarne spojrzenie przesuwalo się po każdej bliźnie Simona. – Ty jesteś mężczyzną, którego widziałem, gdy córka Rielle stanęła przed nią tamtego dnia w górach. – Wyrwał mu się krótki, cichy śmiech. Jego twarz pojaśniała, a Simon nie wiedział, co to znaczy, ani nie rozumiał, o czym mówi Corien. – Nazywasz się Simon Randell – powiedział Corien. Dotknął skroni Simona smukłymi, drżącymi palcami. – No tak, oczywiście. A teraz jesteś tutaj. – Ucałował chłopca w czoło, zaś dotyk jego zimnych warg sprawił, że w ciele Simona rozkwitło uspokajające ciepło. – A teraz – dokończył Corien – jesteś mój.

– Może zdołam na nowo przebudzić moją magię, panie – rzucił gorliwie Simon. Coś zaszło pomiędzy nimi, chociaż nie miał pojęcia, co takiego. Wiedział tylko na pewno, że już nigdy nie będzie sam. – Próbowałem, ale w pojedynkę poniosłem porażkę. Może z twoją pomocą, panie...

Urwał i zarumienił się pod przenikliwym, czarnym spojrzeniem Coriena. Co takiego widział anioł, gdy na niego patrzył? Simon po raz pierwszy poczuł się upokorzony z powodu swojej zniszczonej skóry.

Lecz Corien tylko wyciągnął rękę, a drugą podniósł łagodnie podbródek Simona. Chłopiec na moment skulił się pod jego dotykiem.

– Tak, Simonie. – Corien się uśmiechnął. Jego palce zamknęły się na dłoni Simona. – Może z moją pomocą.

Potem umysł Coriena nim zawładnął.

Ból nadszedł bez ostrzeżenia. Simon patrzył na anioła, a w następnej chwili wrzeszczał, ale żaden dźwięk nie wydobywał się z jego ust, ponieważ Corien na to nie pozwalał. Coś – jakaś okropna, natarczywa

obecność – rozsadzało czaszkę Simona i wydzierało każdą myśl, jaką kiedykolwiek miał, każde wspomnienie żyjące w jego wnętrzu. Poszukiwało prawdy. Polowało na kłamstwa. To nie przypominało niczego, co czuł do tej pory. Wcześniej Corien pobieżnie przeglądał jego umysł.

Teraz niszczył go kawałek po kawałku.

– Przykro mi, Simonie. – Corien uśmiechnął się do niego z góry i patrzył, jak chłopiec skręca się w jego ramionach. – Świat jest dziwnym miejscem, a najdziwniejszą w nim rzeczą są meandry czasu. Muszę wiedzieć na pewno, że należysz do mnie i tylko do mnie. Muszę wiedzieć na pewno, że mogę ci ufać. – Potem przycisnął policzek do czoła Simona i szepnął: – Mamy obaj mnóstwo pracy przed sobą.

To były ostatnie słowa, jakie usłyszał Simon, zanim jego umysł się rozsypał.

Rielle

„Jak to się mogło stać?”, pytało wiele osób. „Jak jeden fanatyk zdołał przekonać całą rasę anielską, by zwróciła się przeciwko swoim ludzkim braciom i siostram? Ten świat należy do nas wszystkich. Dlaczego on nie został uznany za szaleńca i ukarany za swą żądzę krwi?”. Odpowiedź jest prosta: Kalmaroth był niepowstrzymaną potęgą, jakiej do tej pory nie widziano i jakiej – o co się modłę – już nie zobaczymy.

– z zapisków Zedny Tanakret, Wielkiej Mistrzyni Łażni
w Morsii, stolicy Meridianu, 287 rok Drugiej Ery

Rielle wtulała twarz w płaszcz Coriena.

Przyciskała nos do kosztownego ciemnego materiału i wdychała zapach, zatrzymując oddech na tak długo, jak potrafiła. Ta woń ją uspokajała, Rielle pochłaniała ją chciwie.

Spoglądała spod kaptura płaszcza, gdy Corien zabijał wszystkich kupców. Robił to szybko i efektywnie, a ona obserwowała go z kamiennym spokojem, który z jakiegoś powodu leciutko ją uwierał.

Gdy jednak próbowała się nad tym zastanawiać, bolała ją głowa, więc postanowiła przestać o tym myśleć i zamiast tego patrzyła, jak Corien zabija.

To było czterech mężczyzn, w grubych płaszczach i butach odpowiednich na listopadowe chłody, którzy w ogóle nie wyciągnęli broni na jego widok. Dlaczego mieliby to robić? Był olśniewający, gdy zbliżył się

do nich z szerokim uśmiechem – jego policzki wydawały się wycięte z jasnego szkła, czarne pukle przylgnęły do czoła, a smukła, biała sylwetka drżała na śniegu. Wydawał się godny współczucia, a jednocześnie prześliczny. Nic dziwnego, że kupcy zatrzymali swój wóz, gdy zobaczyli go przy drodze, machającego jak żebrak iskrzącą się pochodnią. Mógł ich zmusić, żeby stanęli, ale bawiło go, że może nimi manipulować bez odwoływania się do swoich anielskich mocy.

Rielle zaczekała, aż wszyscy mężczyźni będą martwi; ich poskręcane ciała znieruchomiały na ziemi, a twarze zamarły w wyrazie przerażenia. Potem zdjęła kaptur. Jeden z nich leżał koło wozu, z wyciągniętymi rękami, jakby w ostatniej chwili próbował wejść do środka.

Rielle przeszła nad jego szeroko otwartymi, patrzącymi w pustkę oczami, szarymi i szklistymi, i z lekkim uśmiechem satysfakcji wsiadła do wozu. To był dziwny uśmiech, bardziej przyklejony do jej twarzy niż przywołany z własnej woli. Ale we wnętrzu skromnego wozu było ciepło, a Rielle nie cierpiała marznąć.

Żałowała jednak tego mężczyzny. Żałowała ich wszystkich. Tak jej się przynajmniej wydawało. Nie bardzo była w stanie myśleć o czymkolwiek, ponieważ jej myśli tonęły w spokojnym, szarym morzu spowitym mgłami. Nie rozumiała, skąd biorą się te mgły, lecz podobało jej się, jak ją otulają. Były ciepłe i nieruchome jak stary pled.

Dotknęła skroni, zamrugała z trudem i z gigantycznym wysiłkiem przypomniała sobie ból pulsujący w jej czaszce przez ostatnie tygodnie, gdy Corien i Ludivine zmagali się w jej umyśle. Gdyby którekolwiek z nich użyło całych swoich anielskich mocy, żeby ją zabić od środka, mogliby to zrobić z łatwością. Ból towarzyszący takiej śmierci byłby niewyobrażalny.

Nie, Rielle nie zazdrościła tym mężczyznom.

Teraz jednak była bezpieczna, z dala od Ludivine, i od kilku dni nie słyszała jej znienawidzonego głosu, a Corien oczywiście nigdy by jej nie skrzywdził. Sama myśl o nim była kojąca jak sen przychodzący po ciężkim dniu.

Rielle wyjrzała przez oszronione okno w las – nieprzeniknioną czerń w burzową, bezksiężycową noc.

Była niemądra, zastanawiając się, czy ktoś jeszcze ich zobaczył. Corien jej tak powiedział, a ona sobie to powtarzała. Przypomniiał, że tereny przy wschodniej granicy Celdarii były rzadko zamieszkane i nieprzyjazne dla ludzi, pokryte gęstymi lasami, górami i urwiskami. Nieliczne drogi znajdowały się w opłakanym stanie, zaś burza zbliżała się coraz bardziej, pluąc śniegiem i błyskawicami. Każdy podróżny będący przy zdrowych zmysłach zostałby w ciepłym, bezpiecznym domu.

Mimo to, jak uświadomiła sobie Rielle, chociaż jej myśli poruszały się ospale, gdy próbowała je poukładać, zabici kupcy wyruszyli w taką noc, spragnieni zarobku. Gdyby ktoś jeszcze na nich natrafił, gdyby zobaczył przelotnie jej twarz i zorientował się, kim ona jest, podjąłby jakieś działanie. Posłałby wiadomość do stolicy. Spróbował ją ująć z nadzieją na nagrodę od króla, a ona musiałaby się pozbyć takiej osoby, przerwać szlak szeptanych i przekazywanych wiadomości, to natomiast mogłoby spowodować... bałagan.

Nie pozwoliłbym nikomu przed nami uciec. Myśli Coriena wślizgnęły się w jej umysł jak muśnięcie dłoni na skórze. Gdyby ktokolwiek cię ujrzał, zabiłbym go albo ty byś to zrobiła, a ja zachwyciłbym się twoim widokiem.

Rielle zamrugała i spojrzała na niego. *Zrobiłabym to?*

Tak, a ja pocałowałbym cię potem, zapewnił Corien, czemu towarzyszyła myśl pokazująca, jak całuje jej czoło i policzki, a jeśli w jej sercu nadal panował chaos, nie czuła go i nie przejmowała się nim.

Czuła zadowolenie. Była owinięta płaszczem Coriena i miała ochotę pozostać w nim do końca życia.

Naprzeciwnie Rielle siedziała ze ściągniętą twarzą młodziutka kirvajska królowa Obritsa. Corien twierdził, że muszą podróżować w tradycyjny sposób jeszcze co najmniej przez tydzień, żeby pozwolić jej odzyskać siły. Dziewczyna była wyczerpana, ponieważ przeniosła za pomocą nici siebie, Artema i Coriena przez cały kontynent do Celdarii, żeby zdążyć na królewskie wesele.

Naznaczona, potajemnie udająca pozbawionego magii człowieka, aby brać udział w tłącej się w Kirvayi rewolucji.

Rielle ledwie ją zauważała. Uśmiechnęła się leciutko z grzeczności; ta gapiąca się na nią smarkula nie zasługiwała nawet na tyle. Potem poprawiła się sennie w obfitych fałdach płaszcza i sięgnęła myślą do Coriena. Był na zewnątrz, wydawał rozkazy Artemowi, wiernemu strażnikowi Obritsy, który miał powozić bez wytchnienia przyprószonymi śniegiem końmi w drodze na wschód.

Pospiesz się i wracaj do mnie, pomyślała Rielle. Proszę, Corienie.

Jego głos brzmiał żartobliwie. *Tak szybko robisz się samotna. Cierpliwości, prześliczna.*

Jej spokój zniknął w jednej chwili.

Nagle przynosząca uspokojenie mgła się rozwiała, a Rielle pozostała sama, uwięziona w swoich myślach gdzieś głęboko w mroku własnego umysłu. Zaciśnęła palce na płaszczu Coriena, czując panikę pełzającą po skórze. Jej ciało wydawało się obrzmiałe i ciężkie, a ona nie rozumiała dlaczego. Patrzyła na Obritsę, która obserwowała ją ze zmarszczonymi brwiami. Rielle odwróciła głowę i zamknęła oczy, ponieważ nie do końca pamiętała, gdzie się znajduje, a to ją przerażało. Zastanawiała się, czy została zamknięta, uwięziona w wysokiej wieży, czy przebywa w wozie na

wschodzie Celdarii, czy w miękkim, szarym morzu, gdzie nie ma nikogo w promieniu tysięcy kilometrów.

W tej pustce nagle nabrzmiały wspomnienia, a oczy Rielle wypełniły się łzami.

Nie tak dawno temu – zaledwie sześć dni – stała w ogrodach Baingarde. Teraz to pamiętała. Widziała to wyraźnie. Czuła narastający przypływ niezrozumiałego dla niej lęku, gdy pojawiły się przed nią sylwetki ludzi. Audric. Jej król. Teraz także jej mąż. Jej najprawdziwsza miłość. Zaledwie sześć dni temu odwrócił się od niej z twarzą wykrzywioną nienawiścią. Rozkazał, żeby go nie dotykała.

„Jesteś przepowiedzianym przez Aryavę potworem”, powiedział do niej. „Zdrajczynią i kłamczynią”.

Gdzie na tym świecie zdrajczynie mogła znaleźć dom? Jakie serce miałoby w sobie miłość dla kłamczyny?

Dotknęła skroni. W jej umyśle wirowały dezorientujące obrazy, z których każdy materializował się szybciej od poprzedniego, a Rielle nie była w stanie zaczerpnąć tchu. *Corienie? Gdzie jesteś?*

Przepraszam cię, Rielle. Zniknąłem na zbyt długo, rozległ się jego głos, a zaraz potem Corien wszedł do wozu.

Rielle wyciągnęła do niego ręce – czuła się żałosna i mała, ale nie potrafiła się powstrzymać. Wspomnienie pogardy Audrica, jego odrazy i nienawiści było zbyt bliskie i zbyt świeże. Wiele kilometrów wcześniej porzuciła w lesie swoją suknię ślubną i miała teraz na sobie niedopasowaną wełnianą sukienkę, którą Corien zabrał jakiejś wiejskiej dziewczynie wracającej samotnie z targu. Wełna była gryząca i o wiele za ciepła. Rielle się podrapała. Pamiętała chaos w stolicy, z której uciekała, gdy tysiące ludzi zostało poruszonych tym, czego dowiedzieli się z wizji zesłanej im przez Coriena.

Nie, to nie była wizja, tylko prawda.

Ich nowa królowa zamordowała ojca Ludivine i Meroveca. Zamordowała własnego ojca, a także swoją matkę. Zamordowała ich ukochanego króla, ojca Audrica.

A później okłamała wszystkich. Skłamała, a mimo to Archon świętymi dłońmi włożył na jej głowę koronę.

Rielle zamknęła oczy i zacisnęła wargi w wąską linię. Na czole, tuż pod włosami, perlił jej się pot. Wracały do niej przytłumione krzyki ludzi, których przysięgała ochraniać, najpierw jako Słoneczna Królowa, a następnie jako świeżo koronowana władczyni Celdarii. Przysięgała, a potem porzuciła swoich poddanych. Ich głosy wołające jej imię przypominały okrutne czarne ptaki wspomnień, zataczające ciasne kręgi w wichrach szalejących w jej umyśle.

„Królobójczyni!”

„Królobójczyni!”

„Królobójczyni!”

Mocno zacisnęła w dłoniach płaszcz Coriena. Nie wstydziła się tego, kim jest, czym jest, a mimo to wstyd i poczucie winy zalewały ją jak bliźniacze rzeki ognia, a ona nie rozumiała, gdzie się teraz znajduje ani kim jest ta dziewczyna wpatrująca się w nią z taką uwagą, ani gdzie się podziiała jej kochana szara mgła, taka spokojna i cicha.

– Posłuchaj mnie. – Chłodne dłonie dotknęły jej twarzy, a gdy Rielle otworzyła oczy, zobaczyła Coriena pochylającego głowę, by ją pocałować. Wziął ją na kolana i tulił, dopóki nie przestała drżeć.

– Nienawidzę ich – szepnęła w jego szyję. – A jednak cierpię na myśl o tym, że porzuciłam ich wszystkich, że uciekłam w środku nocy jak przestępczyni.

Corien roześmiał się cicho.

– Jesteś przestępczynią, przynajmniej w oczach tych prostaczków. Niech sobie tak myślą. Niech cię nienawidzą. Oni nic nie znaczą, a ty o tym wiesz.

– Tak, ale...

Urwała, zanim zdołała sformułować te słowa, lecz oczywiście Corien już je usłyszał.

– Tęsknisz za nim? – zapytał cicho.

Rielle czuła na sobie ostre spojrzenie dziewczyny. Nagle przypomniała sobie, że to jest Obritsa. Rielle przycisnęła dłonie do twardej, szerokiej piersi Coriena i oparła się pokusie machnięcia ręką, smagnięcia ogniem bezczelnej, bystrookiej twarzy Obritsy i dania jej nauczki. Ta myśl poprawiła jej humor; zapomniała przez swój lęk, że może spalać ludzi. Może ich okaleczać i zgniatać. Może niszczyć.

No już, cicho, cicho. Głos Coriena pomógł jej myślom umilknąć. Gorące dreszcze gniewu pod jej skórą osłabły i zniknęły. *Potrzebujemy jej,* przypomniał. *Spokojnie, Rielle. Nie przemęczaj się. Posłuchaj mnie. Już cicho, kochana.*

Myśli Rielle się uspokoiły. Zadowolona, z ciężkimi powiekami, usłyszała odległy szum szarych fal i zakręciło jej się w głowie z ulgi. Mgła otuliła jej oczy, a Rielle ucieszyła się jej miękkością. To było niepotrzebne, wręcz niemądre, złościć się teraz i wzywać swoje moce, a także się bać, ponieważ to oczywiste, że przy Corienie zawsze będzie bezpieczna. Teraz to rozumiała. Teraz to sobie przypominała.

Wymamrotała w myślomowie, że Obritsa musi się oduczyć gapienia na nią i zmienić swój wiecznie wyniosły wyraz twarzy na coś mniej władczego, coś lepiej pasującego do służącej. Kiedy tylko dotrą na północ, Rielle rozkaże, by Obritsa udała się gdzie indziej, zniknęła jej z oczu, dopóki nie będzie znowu potrzebna.

Oczywiście, obiecał spokojnie Corien. *Ale to nie jest właściwy moment. Zadałem ci pytanie, kochana. Nie pamiętasz?*

Naprawdę? Rielle oparła ciężącą jej głowę na jego ramieniu.

Tęsknisz za nim? Odpowiedz mi, poprosił lekko. Odpowiedz mi teraz.

Rielle z trudem była w stanie zebrać myśli, ale to ją zaniepokoiło tylko na moment, ponieważ mgła coraz szybciej wypełniała jej umysł i wypierała wszystkie zmartwienia. *Znałam go przez całe życie, powiedziała wreszcie.*

Nadal go kochasz, a tego ognia nie da się zgasić z dnia na dzień. Corien gładził nieuczesane włosy Rielle, spływające jej swobodnie na plecy. Westchnął z wyraźnym znużeniem. *Rozumiem to. Ale teraz już widzisz, prawda? Widzisz, jaki jest naprawdę.*

Przez dłuższą chwilę się nie odzywała. Myślenie było takie trudne.

– On mnie nienawidzi – wyszeptała w końcu w muszlę ucha Coriena. – On mnie nie rozumie.

Corien pocałował grzbiet jej nosa.

– Jest zbyt małym człowiekiem, żeby cię rozumieć. Tak jak oni wszyscy. Widzą potwora. Ja widzę bóstwo w ciele dziewczyny. – Przesunął dłoń po jej rękę aż na jej biodro. – Widzą bestię, którą trzeba okiełznać. Ja widzę boską istotę, która pragnie wolności.

Powieki Rielle opadły, gdy Corien pocałował ją w czoło. Przez mgłę w jej umyśle przedarły się obrazy – potajemne wizje żaru trawiącego Coriena i tego, jak bardzo pragnął jej to pokazać, jak głęboko pragnął, by mogli być tutaj sami.

Nie mogła jednak osunąć się wraz z nim do ukrycia, jakie dawały ich związane myśli. Jeszcze nie. Miała jedno pytanie i walczyła z ogarniającą ją mgłą tak długo, aż zdołała je zadać.

– Powiedz mi. Czy on jest bezpieczny? – Jej słowa padały niewyraźnie. – Czy nic mu nie jest?

Leciutki dreszcz przebiegł od Coriena do niej po słodkiej więzi łączącej ich umysły, jakby ktoś wrzucił mały kamyczek do stojącej wody.

– Jest bezpieczny. – Corien nie powiedział nic więcej na głos, ale Rielle słyszała go wyraźnie w swojej głowie.

Pewnego dnia, rzekł, i mam nadzieję, że nastąpi to szybko, zrozumiesz, co musi zostać zrobione.

– Chciałabym go nie kochać – odparła głosem ledwie słyszalnym. Ogarniała ją dziwna senność, której tak właściwie nie potrzebowała. – Chciałabym już się o niego nie martwić. Ktoś, kto nienawidzi mnie tak jak on, nie zasługuje na żadną część mojego serca.

Mogę ci pomóc. Jeśli mi na to pozwolisz.

Jej wyczerpane ciało zaprotestowało donośnie, gdy odsunęła się od Coriena, by przypatrzeć się jego twarzy. Jej umysł był płataniną bólu i zmęczenia. Pragnęła nie musieć już iść ani jechać trzęsącym się wozem. Wóz – jakie to dziwne. Skąd się wziął wóz? Spróbowała o to zapytać i przekonała się, że nie może mówić. Chciała odpocząć. Chciała go pocałować.

Czuła nieustanne, leciutkie przyciąganie z odległego zakątka swojego umysłu – najciemniejszego, najmniejszego, ukrytego za zamkniętymi drzwiami, do których nie miała już klucza. To było niepokojące. Prawda? Czy nie powinna mieć klucza do własnego umysłu?

Kiedy jednak spojrzała na Coriena, jej konsternacja zniknęła. Rielle poczuła na twarzy muśnięcie czystej i szarej piany morskiej, a spowijająca to morze mgła zaczęła się podnosić, sięgając do jej kolan, brzucha, karku. Ramiona Rielle opadły. Zmarszczone czoło się wygładziło. Empirium, zawsze buzujące tuż pod skórą, uderzało miarowymi falami o krawędzie jej ciała, a Rielle pomyślała nagle, z cichym przypływem szczęścia, że nigdy

więcej nie będzie musiała powstrzymywać tej potężnej fali przyływu. Nie tutaj. Nie w towarzystwie Coriena.

„Mogę ci pomóc”, powiedział do niej. „Jeśli mi na to pozwolisz”.

Pomoże jej zapomnieć dawne życie. Pomoże jej się nauczyć, jak nie kochać Audrica.

„Ja widzę boską istotę, która pragnie wolności”.

– Pozwalam – oświadczyła w końcu, a potem zapadła w sen tak szybko, że jej ostatnia myśl, zanim ogarnęło ją odrętwienie, pełna niepokoju, została szybko zapomniana.

Eliana

Tameryn, Tameryn, Tameryn. Powtarzam jej imię każdej nocy, zanim zasnę, jak modlitwę, z nadzieją, że dzięki temu empirium okaże odrobinę dobroci, ześle jakąś siłę, która osłabi napór niekończących się koszmarnych snów. Savrasara, Tameryn, gdziekolwiek jesteś. Wróć do mnie. Potrzebujemy Cię. Ja Cię potrzebuję. Niesiesz moje serce, a bez Ciebie jestem zagubiona. Co my zrobiliśmy, Tameryn? Mój Boże, co my zrobiliśmy?

– z pamiętnika świętej Neridy Promiennej spisywanego podczas wojen anielskich i wykradzonego z Pierwszej Wielkiej Biblioteki Quelbani

Na pokładzie wspaniałego okrętu wojennego admirała Ravikanta, w małej celi głęboko pod pokładem, Eliana otarła sobie nadgarstki do krwi.

Kiedyś – zaledwie tydzień temu – nosiła na tych nadgarstkach cienkie złote łańcuszki i płaskie, okrągłe formy, które wykuła dla siebie w Kuźni w Vintervoku.

Teraz zakuto ją w innego rodzaju łańcuchy. Przez kilka pierwszych dni na pokładzie okrętu, które spędziła, głównie opróżniając żołądek na podłodze swojej celi, Eliana ignorowała nowy ciężar na rękach, metalowe ogniwa sprawiające, że była bezbronna i unieruchomiona. Leżała we własnych wymiocinach i odmawiała jedzenia przynoszonego przez żołnierzy admirała, aż w końcu postawiono ją siłą na nogi, zaprowadzono do ładowni i ustawiono na kracie, a potem polewano jednym wiadrem lodowato zimnej morskiej wody za drugim, aż stała się czysta i drżała,

szczękając zębami. Zdjęto jej wtedy łańcuchy – trzech milczących adatroksów i dwaj czarnoocy anielscy żołnierze stali dumnie przy drzwiach – ściągnięto z niej przemoczone ubranie i założono nowe. Obszerną lnianą koszulę i wełniane spodnie.

Później znowu zakuli ją w łańcuchy, a kiedy skierowali ją do drzwi, żeby odprowadzić do celi, w progu stał admirał Ravikant, splatając dłonie na brzuchu. Anioł, który zajął ciało Iosepha Ferracory.

Serce Eliany zacisnęło się na widok twarzy ojca – ciemnych włosów i szpiczastego podbródka, które odziedziczył po nim Remy. Niska, muskularna sylwetka, która dawniej wydawała się jej pewną opoką, teraz stała się groteskową, niezgrabną fasadą.

Czarne oczy, w których nie było absolutnie niczego, bardziej puste niż jej pozbawiona okien cela.

Admirał Ravikant przyglądał się jej w milczeniu, a ona mogła tylko patrzeć na niego, czując suchość w ustach i szybkie bicie własnego serca.

Kiedy się odezwał, Eliana usłyszała głos Iosepha Ferracory, pozbawiony całego ciepła, i zapragnęła znowu zwymiotować, ale żołądek miała całkowicie pusty.

– Jeśli znowu tak się ubrudzisz – oznajmił – przyprowadzę do ciebie twojego brata i pokażę, jak pomysłowo potrafię zadawać ból. Jeśli odmówisz zjedzenia kolejnego posiłku, naprawdę mnie rozgniewasz.

Oddalił się bez słowa, a chociaż Eliana nienawidziła siebie za to, prowadzona przez adatroksów do celi rozglądała się w półmroku korytarzy za znajomymi popielatymi włosami, ostrym profilem, błyskiem lodowato błękitnych oczu.

„Masz oczy jak ogień”.

Cały czas słyszała w myślach swój własny głos i czuła widmowy dotyk jego dłoni, echo jego warg.

Ale w drżących cieniach w przypominającym labirynt wnętrzu okrętu kryli się tylko aniołowie w kradzionych ciałach i zniewoleni adatroksi o martwych oczach, towarzyszący bezmyślnie swoim panom.

Ani śladu Simona.

Eliana wykręcała nadgarstki w kajdanach, chociaż nie po to, żeby się uwolnić, gdyż stwierdziła już, że to niewykonalne. Nawet gdyby zdołała się pozbyć łańcuchów, nawet gdyby jakimś cudem ominęła strażników pod drzwiami, co dalej? Co miałyby zrobić? Wyskoczyć z okrętu na środku morza i popłynąć do brzegu, ciągnąc za sobą przez fale Remy'ego?

Kiedys, nie tak dawno temu, mogłaby się skoncentrować na bliźniaczych metalowych klatkach jej form, wykorzystać ich ciężar, gładkie kotwice dysków na swych dłoniach, żeby przywołać ogień z lamp gazowych w korytarzu i połączyć go w wielkie kule pozwalające spalić każdego, kto by się jej przeciwstawił.

Teraz jednak nie potrafiła znaleźć nawet cienia siły woli, żeby spróbować sięgnąć do swoich mocy. Bez form była skorupą, oskrobaną z mięsa i ciśniętą na fale. Sięgnięcie do empirium zakończyłoby się gorzkim rozczarowaniem. Wyczuwała to tak samo wyraźnie jak zapach własnej krwi, sączącej się z ran na nadgarstkach.

Była w niej teraz pustka, nieprzekraczalna przepaść pomiędzy śpiącą w niej mocą a zdolnością jej umysłu do zrobienia czegokolwiek poza wpatrywaniem się tępo w ścianę, gdy okręt admirała Ravikanta niósł ją przez ocean w kierunku wschodniego kontynentu.

W kierunku Celdarii.

W kierunku imperatora.

Otarte, obolałe ciało na nadgarstkach pod nieustępliwym metalem kajdan dawało jej perwersyjną pociechę w niekończącej się ciemności. Stały, palący ból przypominał jej, gdzie jest, że jest uwięziona, że odebrano

jej formy. Że jeden z jej ojców zginął dawno temu, a jego ciało zostało spopielone z woli jego ukochanej; że drugi z jej ojców także był martwy, a jego trupa zajął anioł w podłych zamiarach.

Że jedna z jej matek również zginęła – z jej własnej ręki.

Zaś druga...

Kiedy Eliana myślała o Rielle, szarpała się w łańcuchach jak ogarnięta gorączkowym głodem.

Zabiłaby ją.

Kiedy Simon wysłał Elianę z powrotem do Dawnego Świata, u stóp nieznajomych gór celdaryjskich spotkała swoją matkę – spojrzała Rielle w oczy, oddychała tym samym powietrzem – i pozwoliła się rozproszyć, pozwoliła, żeby zawładnął nią strach. W kluczowym momencie się zawahała, nie wykorzystała możliwości, która pozwoliłaby rozwiązać problemy i zapobiec temu wszystkiemu. Wszystkiemu: byciu więźniarką na pokładzie wspaniałego okrętu, którego zapach wypełniał ciężko i drażniąco jej usta. Wszystkiemu: przejmującej rozpacz w głosie Remy'ego, gdy szlochał na widok zmienionej, czarnookiej twarzy Iosepha.

Wszystkiemu: tej chwili, gdy Eliana obróciła się na wybrzeżu koło Festivalu i na własne oczy zobaczyła, jak Simon strzela do ich sprzymierzeńców, zabijając jednego po drugim, i rzuca anielskie rozkazy imperialnym żołnierzom, którzy biegną, by je wykonać.

Eliana mogła powstrzymać to wszystko, zanim się wydarzyło. Mogła, ale zamiast tego myślała niemądrze o pojednaniu, o rozmowie i nawiązaniu nici porozumienia z największym złem, jakie stapało po tym świecie: Rielle Courverie z domu Dardenne. Krwawą Królową, Królobójczynią, Panią Śmierci.

Eliana mogła ją zabić, ale zamiast tego spróbowała z nią porozmawiać. Porozmawiać. Jakby tak okrutna istota miała kiedykolwiek ochotę lub

zdolność odbycia rozmowy o tym, jak zakończyć wyniszczającą wojnę, którą sama rozpętała, ciągnącą się przez tysiąc lat po jej czasach.

Kto umożliwił to spotkanie? Kto siedział z Elianą i Remym, pomagając jej przygotować odpowiednie zdania w staroceldaryjskim?

Simon. Zmusiła się, żeby wypowiedzieć jego imię, najpierw w głowie, a potem na głos, z nadzieją, że jego dźwięk, rytm sylab, wywoła w niej nie pustą, odrętwiałą rozpacz, lecz czystą, ostrą furię.

– Simon – szeptała. Wpatrywała się w nieubłaganą ciemność. – Simon. Simon.

Naparła na swoje kajdany, wykręcając i ocierając nadgarstki.

Może jeśli się wystarczająco postara, dotrze do kości.

Może wykrwawi się na śmierć.

Jeden z nich musiał mu donieść, co ona robi.

Klucz szczęknął w zamku. Drzwi celi się otworzyły, zastukały kroki zbliżające się do Eliany. Rozpoznała ich odgłos. Wyrwały ją z niespokojnego snu, więc patrzyła z zapartym tchem i zgrozą, jak kuca koło niej, opierając swobodnie dłonie na kolanach. Był sylwetką obrysowaną światłem lamp z korytarza przed celą, ale wydawało jej się, że widzi lekkie lśnienie jego oczu.

Zmusiła się, żeby patrzeć na niego bez mrugnięcia i strachu, chociaż to było kłamstwo, które z pewnością potrafił przejrzeć. Jej ciało było słabe, niedożywione, a to, co widziała, wywoływało w niej wściekłość zbyt silną, by dała się wytrzymać. Eliana zadygotała z powodu jego bliskości. Jej palce drgnęły. Wyobrażała sobie, że wbija je w niego jak pazury.

– Simonie – powiedziała, a jej głos przynajmniej zabrzmiał spokojnie i głucho, tak jak tego chciała.

– Robisz sobie krzywdę – stwierdził. – Nie mogę na to pozwolić.

Jego głos brzmiał jednocześnie znajomo i kompletnie, okropnie obco. Nigdy wcześniej nie był tak zimny, tak pozbawiony emocji, humoru, gniewu. Była w nim tylko sucha rzeczowość, każde słowo wyraźne i beznamiętne.

– Nie obchodzi mnie to – odpowiedziała. To były słowa obrażonego dziecka, ale nie potrafiła się zdobyć na nic lepszego.

– Imperator życzy sobie, żebyś została mu dostarczona cała i zdrowa.

– Imperator może się pieprzyć, a ty możesz do niego dołączyć.

Poszukiwała w ukrytej w cieniu twarzy mężczyzny, którego знаła, lecz nie widziała niczego, nawet śladu pogardliwego rozbawienia. Podniósł się i odsunął na bok, gdy dwójka imperialnych strażników czekających przy drzwiach weszła bez słowa do środka.

– Zabierzcie ją na pokład B – polecił. – Do błękitnej kajuty.

Potem odwrócił się na pięcie i oddalił, a jego wysokie, smukłe ciało poruszało się z taką samą miękką gracją jak zawsze. Jego odejście ją rozwścieczyło. Gdyby mogła to zrobić, gdyby była pewna, że nie ściągnie tym na Remy'ego jakiegoś straszliwego losu, rzuciłaby się na Simona, wbiła paznokcie w bruzdy blizn na jego twarzy, zdarła mu z szyi pasy skóry i rozszarpała gardło.

Zostawiał ją kilka sekund po tym, jak pojawił się po raz pierwszy od wielu dni? Nie była w stanie tego znieść.

– Nie odchodź – rzuciła rozpaczliwie. Był okropny, ale był też jedyną znajomą rzeczą w tym strasznym miejscu. Eliana czuła, że zaczyna tracić okrucy samej siebie, gdy kulila się w ciemności jak kopnięte zwierzę, lecz jego widok kucającego koło niej, gwałtowne pragnienie, żeby poniość śmierć – z jej ręki – sprawiły, że się obudziła.

Zignorował ją i szedł dalej.

Eliana szarpnęła się gwałtownie, przytrzymywana za ramiona przez strażników.

– Zakładam, że imperator ma co do mnie jakieś plany. Czy nie zadziałałyby one szybciej, gdybym przybyła na miejsce poinformowana o swojej sytuacji zamiast całkowicie nieświadoma?

Simon przystanął kilka kroków za drzwiami i obejrzał się przez ramię.

– Plany imperatora będą działać szybko niezależnie od twojej ignorancji. – Potem rzucił jeszcze do strażników: – Wydałem wam rozkazy.

Następnie zniknął, a gdy Elianę wyciągnięto z celi i poprowadzono przez niekończący się labirynt wyściełanych chodnikami, kołyszących się lekko korytarzy, zaczęła mieć wątpliwości, czy w ogóle ją odwiedził.

Później już nigdy nie była sama.

Zaprowadzono ją do przestronnej kajuty na jednym z wyższych pokładów. Na podłodze leżał pluszowy, granatowy dywan, a sufit pomalowano na kolor o jeden lub dwa odcienie jaśniejszy i ozdobiono nieznanymi Elianie konstelacjami. Z sufitu zwisał żyrandol, którego kryształy drżały w rytm kołysania i dygotania okrętu, a gigantyczne łóże, przykryte jedwabną pościelą w kolorze barwinka i indygo, wydawało się drwić sobie z Eliany, gdy trójka anielskich służących zdjęła z niej łańcuchy i ściągnęła ubranie.

Dwaj strażnicy pilnowali drzwi, czterej kolejni stali pod oknami, za którymi rozciągała się lśniąca ciemność – niezmordowane fale muśnięte blaskiem księżyca. Widok świata poza okrętem sprawił, że w gardle Eliany pękło coś kruchego i bolesnego, więc musiała energicznie przełykać, żeby powstrzymać łzy, gdy służący oczyszczali i bandażowali jej nadgarstki.

W przylegającej do kajuty łazience wyszorowano ją od stóp do głów w parującej wodzie, która lała się z błyszczącego brązowego kranu. Ruchy służących były szybkie, ale nie brutalne, a Eliana się zastanawiała, jak

dokładnie brzmiały rozkazy imperatora. Czy gdyby zrobiła, co w jej mocy, żeby ich sprowokować, mogliby ją zranić?

Czy gdyby spróbowała się zabić, zakończyć wszystko, zanim imperator zdąży to zrobić, to wślizgnąłby się do jej głowy i uczynił zakładniczką we własnym umyśle, pozwalając jej tylko leżeć w ogromnym niebieskim łożu, dopóki okręt nie zawinie do portu w Celdarii?

Roześmiała się lekko z powodu tej wizji, a kiedy już zaczęła, nie potrafiła przestać. Służący wcierali mydło w jej sięgające do ramion włosy, Eliana zaś śmiała się histerycznie. Nasmarowali jej skórę kremami, zmiękczając ją i przygotowując jak porcję mięsa, a potem ubrali w workowatą koszulę nocną z fioletowego jedwabiu i wyszli, zostawiając ją z szóstką strażników.

Jeden z nich wskazał łóżko.

– Śpij.

Eliana posłuchała, ponieważ jeśli jeszcze chwilę spróbowałaby się utrzymywać na drżących nogach, upadłaby na podłogę, a nie zniosłaby poniżenia, gdyby anielscy żołnierze musieli ją zaciągnąć nieprzytomną do łóżka.

Podeszła do łoża niepewnie jak nowo narodzony żrebak. Perfumowana woń mydła, którego używali służący, wywoływała w niej mdłości. Eliana zapadła się w poduszki, odwróciła od sześciu par wpatrujących się w nią czarnych oczu i po raz pierwszy od momentu, gdy obudziła się na okręcie admirała, zaczęła szlochać.

Przez wiele dni leżała pogrążona w cichym cierpieniu wśród stosów niebieskiego jedwabiu, które stały się całym jej światem.

On zaś odwiedzał ją w snach.

Najpierw był Remym, ciągniętym w głąb niekończącego się czerwonego korytarza, który po raz pierwszy śnił się Elianie w Astavarze.

Biegła za nim całymi kilometrami po przesiąkniętym krwią dywanie, ale ktokolwiek lub cokolwiek go ciągnęło, było dla niej zbyt szybkie i za silne, a koniec korytarza rozsypywał się na kawałki przypominające odłamki czerwonego szkła.

Potem był Iosephem, ojcem, który ją wychowywał, leżącym na czystym białym stole w czystej białej sali i krojonym przez aniołów w czystych białych szatach. Każdy z nich nosił maskę jak te, które widziała na Jubileuszu w Festivalu – metalicznie czarnego kruka, brązowego uśmiechniętego lisa, pawia z kości słoniowej wysadzanego turkusowymi kamieniami. Ioseph krzyczał, gdy przeszywały go anielskie noże, a później z góry spłynęła kolumna czerni, która wcisnęła mu się do ust, nosa, otwartej piersi.

W końcu był Simonem, który przyszedł do jej małego pokoju w Wierzbowym Dworze, tego ze skośnym sufitem, malutkim piecykiem i łóżkiem w rogu. Jego mięśnie drżały, gdy poruszał się w niej, obejmujące ją ramiona były ciepłe i silne. Dawały jej oparcie, przytrzymywały ją i wypełniały szczęściem. Położył dłoń na jej czole, a ciepło tej delikatnej pieśczoły ją uspokajało. Eliana podążała cichą ścieżką jego dotyku coraz niżej, aż do czarnego, gorącego tunelu, ukrytego głęboko w jej umyśle. Czuła coraz szybsze bicie własnego serca w uszach, tak głośne, że cała jej pierś się poruszała, i nagle zapagnęła zostawić Simona, uciec od niego i nie oglądać się za siebie. Nie mogła się jednak uwolnić z jego ramion. Była uwięziona na tym wąskim łóżku, w wirującym tunelu, w grzmocie uderzeń serca, który przytłaczał ją i dławił. Jego usta dotykały jej, jego palce przyciskały się do jej warg i miękkiej krzywizny szyi, a ona pragnęła jego dotyku tak samo, jak go nienawidziła.

– Masz oczy – wyszeptał w jej włosy – jak ogień.

Koszmary, palący żar narastał w jej wnętrzu. Zrodził się w jej brzuchu, skąd rozszerzał się i nasilał, aż musiała przyciskać grzbiety dłoni do policzków, parząc sobie palce o bliźniacze ogniska będące dawniej jej oczami, zaś śmiech Simona otaczał ją jak brutalny akompaniament jej bijącego szybko serca.

Przez ryk pożaru przebił się głos Harkana: „El, jeśli możesz coś zrobić, zrób to teraz!”.

Zobaczyła samą siebie klęczącą w błocie na obrzeżach Karlaine, przyciskającą lśniące dłonie do okropnej rany na brzuchu Remy’ego...

Gwałtowne syknięcie, a potem cisza. Ciemność.

– Ach. – Rozległo się lekkie westchnienie. Gładkie słowa towarzyszące uśmiechowi. – Tutaj jesteś.

Przewróciła się w swoim łóżku w Wierzbowym Dworze, w małym pokoju ze skośnym sufitem, gdzie deszcz stukał w okno zimnymi palcami. W kącie, na krześle z ubraniami Simona, siedział mężczyzna w czerni, dotykający warg białymi palcami.

Jego uśmiech stał się szerszy, kiedy wzrok Eliany zatrzymał się na nim, a gdy tak siedział, zadowolony i rozbawiony, stanowił tak doskonały, tak prześliczny widok, że Eliana znowu zaczęła płakać.

– Witaj w domu, Wasza Wysokość – powiedział do niej, a kiedy wstał, cienie z całego pokoju pobiegły do niego, kształtując wyraźne czarne linie jego płaszcza, kurtki, włosów...

Eliana się obudziła, gdy okręt zadrżał i znieruchomiał.

Skończyło się nieustanne kołysanie, za oknami jej błękitnej kajuty świeciło słońce, a po różowym rozległym niebie szybowała para białych mew.

Podniosła się; jej drżące kończyny pokryte były potem. Siedziała w poplamionej pościeli z piekącymi oczami i mokrymi policzkami.

Kiedy drzwi się otworzyły, do środka wszedł admirał Ravikant. Towarzyszyło mu trzech służących, którzy wcześniej zajmowali się Elianą, niosących w ramionach kosztowne tkaniny.

– Jesteśmy na miejscu – wychrypiała. Nie odzywała się od wielu dni, może tygodni. – Prawda?

Uśmiech admirała był pełen szczęścia, upiorna twarz jej ojca rozjaśniła się w wyrazie maniackalnej radości, jakiego Eliana nigdy wcześniej na niej nie widziała.

– Ubieraj się – rozkazał. – On na ciebie czeka.

Audric

Nie obawiajcie się, mieszkańcy Celdarii: zdrajca Audric Courverie nie zasiada już na świętym tronie Katell. Zbrodnicza Królobójczyni pierzchła, pełna lęku. Nareszcie zakończą się tajemnicze ataki na wschodnich granicach, pozostawiające naszych poddanych bladych i zmasakrowanych. Nareszcie możemy zażądać sprawiedliwości za to, co nam odebrano. Nareszcie ród Sauvillierów rzuci wrogów Celdarii na kolana. Patrzcie na swoją stolicę i radujcie się, ponieważ korona, która wcześniej była słaba, stała się znowu potężna. Niech żyje Jego Wysokość Merovec Sauvillier, Prawowity Król Celdarii!

– z dekretu królewskiego wydanego z okazji wstąpienia
Meroveca Sauvilliera na tron Celdarii, 8 listopada 999 roku
Drugiej Ery

Audric leciałby przez wiele dni, gdyby Ludivine na to pozwoliła.

W przestworzach, mając za towarzystwo tylko niskie chmury, Ludivine i Atherię, prawie potrafił zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło. Trwał w świetle miękkiej szarości nawet wtedy, gdy padał na niego blask słońca, tak jasny i gorący, że krople potu ściekały Audricowi po czole i plecach, a ubranie kleiło mu się do skóry.

Jego ubranie – spodnie z delikatnej wełny, buty wypolerowane na wysoki połysk, tunika ze szmaragdowego jedwabiu, haftowana kurtka w kolorach bieli i złota, opinająca ciasno jego pierś.

Ubranie, które miał na swoim ślubie zaledwie kilka dni temu.

– Cicho – powiedziała mu Ludivine za pierwszym razem, gdy wspomnienia tamtej nocy zdołały się przedrzeć przez znieczulającą mgłę, która go spowijała. Kuzynka siedziała za nim na grzbiecie Atherii, obejmowała go w talii i przyciskała policzek do jego pleców. – Nie ma sensu teraz o tym myśleć. To może poczekać, aż będziemy bezpieczni.

Bezpieczni. Roześmiał się, ale bardzo krótko. Nie miał siły na nic więcej, a już na pewno nie na rozmowę z Ludivine, nawet gdyby chciał.

A nie chciał.

Odezwał się do niej tylko raz, gdy przekonała go, żeby zatrzymali się w niewielkim lesie na południowym wybrzeżu Celdarii. Musieli lecieć ostrożnie i wyłącznie nocą. Audric pozwolił, by Ludivine dyktowała warunki tej podróży, zbyt zmęczony i pogrążony w rozpacz, żeby protestować. Sprawiało mu ulgę, że ktoś wydawał mu polecenia i go niośł. Wydawała mu polecenia anielica, niosła boska bestia.

Znowu się roześmiał. Za każdym razem, gdy to robił, troska Ludivine muskała go lekko jak opiekuńcza matka. Kilka razy zastanawiał się, czy się nie odwrócić, nie zepchnąć jej z grzbietu Atherii i patrzeć, jak spada przez chmury na ziemię. Powstrzymywała go tylko nadzieja, że Ludivine może się przydać do znalezienia Rielle i przekonania jej, by wróciła do domu.

Być może była to bezduszna, samolubna myśl. Miał nadzieję, że Ludivine ją słyszy. Miał nadzieję, że będzie ciążyć na jej sercu, tak jak ostatnie wspomnienia Rielle ciążyły na jego sercu. Miał nadzieję, że ją to zadusi.

Atheria wylądowała bezgłośnie w dębowym lesie i potrząsnęła skrzydłami. Audric czuł jej wielkie czarne oczy wpatrujące się w niego, gdy stał pomiędzy dwoma poskręcanymi pniami i spoglądał na północ, w stronę domu.

Ludivine dotknęła jego ramienia.

- Nie porzuciłeś ich.
- Porzuciłem – odparł głucho. – Nie udawajmy, że jest inaczej.
- Gdybyś został, Merovec by cię zabił.

Audric zacisnął mocniej dłoń na pochwie Illumenora.

- Potrafiłbym się obronić.
- Oczywiście, ale to była kwestia, w której nie mogliśmy podejmować ryzyka.

Odwrócił się do niej.

- Dlaczego? Bo gdybym zginął, musiałabyś się bardziej napracować, żeby sprowadzić Rielle do domu?

Jasne spojrzenie Ludivine pozostało spokojne.

- Twoja strata złamałaby mi serce.
- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.
- Mimo to jest prawdą.
- Z pewnością nie spodziewasz się, że uwierzę w cokolwiek, co pada z twoich ust.

Ludivine przyglądała mu się bez słowa przez chwilę, być może w nadziei, że jej uporczywe milczenie da mu się we znaki, że przeprosi ją za swoją nieżyczliwość, że weźmie ją w ramiona i ucałuje w czoło, tak jak zawsze.

Zamiast tego on także obserwował ją z cierpliwością skały, aż to Ludivine odwróciła wzrok i usiadła ciężko na trawie.

- Popełniłam gdzieś tragiczny błąd – mruknęła. – Ale nie wiem gdzie.
- Twoim błędem było zakładanie, że możesz nas kontrolować jak pionki w grze strategicznej – warknął Audric. – Myślałaś, że możesz spiskować z Rielle, zatrzymać ją tylko dla siebie, a jednocześnie w jakiś sposób obronić ją przed nim. Przekonałaś ją, żeby ukryła przede mną prawdę, wspierałaś ją podczas prób i zachęcałaś, by ćwiczyła sztukę

wskrzeszania, czyli robiłaś dokładnie to, czego on chciałby od niej, a przy tym wszystkim nie zapytałaś nikogo o zdanie.

Z każdym słowem był coraz bardziej rozgniewany. Jego furia nie wybuchała, lecz narastała stopniowo. Świat stał się wirem przyćmionego światła i dudniącego dźwięku, ale Audric stał bez ruchu i oddychał, żeby zapanować nad żarem wściekłości.

Kłótnia z Rielle była zbyt świeża w jego pamięci, by miał popełnić drugi raz ten sam błąd i odepchnąć od siebie najsilniejszą sojuszniczkę w tej wojnie o lojalność Rielle.

O ile wygrana była jeszcze możliwa.

Samo to, że musiał myśleć o takich rzeczach – lojalności Rielle, jakby była cokolwiek winna jemu lub komukolwiek innemu – budziło w nim tak bezbrzeżną odrazę, że uświadomił sobie w nagłym, błyskawicznym olśnieniu, iż znienawidził sam siebie do głębi.

Patrzył z góry na Ludivine i starał się zamknąć serce na jej widok. Siedziała przygarbiona, wpatrując się obojętnie w pustkę, a z jej splecionych w koronę warkoczy wymknęło się pasmo potarganych złotych włosów.

– Kiedy borsvalszy żołnierze zaatakowali mnie podczas Wyścigu Obfitości – powiedział Audric – a Rielle straciła panowanie nad swoimi mocami, gdy próbowała mnie uratować, mogłaś ją powstrzymać, prawda? Mogłaś wślizgnąć się do jej umysłu, poskromić ją i zachować jej moce w tajemnicy. Nikt by się nie dowiedział. Żadnych prób, żadnej Słonecznej Królowej.

– Nie mogłam pozwolić, żebyś zginął – odparła głucho Ludivine.

Odczekał chwilę, a potem przykucnął koło niej.

– Ponieważ mnie kochasz?

– Ponieważ Rielle cię kocha.

Te słowa zaboląły do głębi. Czy nadal tak było? Może nigdy się tego nie dowie.

– Ponieważ chciałaś, żeby ona mnie kochała. Chciałaś, żebyśmy się kochali, wzięli ślub i może mieli dzieci, bo to wszystko mocniej wiązałoby ją ze mną, z koroną. Z tobą.

Ludivine drgnęła.

– Ponieważ gdybyś zginął, to złamałoby jej serce.

– Zaś z tym złamanym sercem mogłaby zrobić coś pochopnie. Wpaść w ramiona tego, który byłby gotów ukoić jej ból. Tak jak zrobiła teraz, mimo wszystkich twoich wysiłków.

– Nie chciałam...

– Być może mogłabyś nawet powstrzymać samych zamachowców przed podjęciem działania. – Dopiero teraz to sobie uświadomił i był zdumiony, że nie przyszło mu to wcześniej do głowy. Czy to ona nie pozwalała mu dotrzeć do prawdy? – Ale nie powstrzymałaś ich, bo chciałaś, żeby moc Rielle eksplodowała. Chciałaś, żeby Rielle zaczęła ją poznawać. Dlaczego?

Ludivine bezradnie otworzyła usta, po czym je zamknęła. Błede i szczupłe dłonie zaciskała na kolanach.

– To nie takie proste, Audricu...

– Gdybyś powiedziała mi prawdę o śmierci mojego ojca – przerwał – mógłbym jej pomóc. Mógłbym pomóc tobie. Moglibyśmy działać razem, ty i ja. Wszystkie jej lęki, całe poczucie winy, jakie dręczyło ją po tym, co wydarzyło się podczas próby ognia. Ostatnie chwile jej ojca. Koszmary, które bez wątpienia ją prześladowały, jej własne i zesłane przez Coriena. Mógłbym jej pomóc nieść te wszystkie ciężary. Ale ty odebrałaś mi możliwość wyboru. Odebrałaś jej pociechę, jaką mógłbym stanowić dla niej, spokój, który mógłbym pomóc jej odnaleźć.

W oczach Ludivine lśniły łzy.

– Zrobiłam to, co wydawało mi się najlepsze.

– Jesteś głupia – oznajmił ostro. – Samolubna i pyszna. Gdyby nie ty, ona nadal mogłaby być z nami.

Atheria przyklękła, gdy się do niej zbliżył. Wsiadł na grzbiet boskiej bestii bez słowa i czekał, aż Ludivine ulokuje się za nim. Zajęła miejsce pomiędzy potężnymi, czarno zakończonymi skrzydłami i odetchnęła głęboko z drżeniem.

– Nie przepraszę – wyszeptała Ludivine, gdy wzbili się w powietrze. Wiatr prawie zagłuszył jej słowa.

– Nie powinnaś także już nigdy próbować mnie przekonywać, że zrobiłaś to wszystko z miłości – rzekł Audric. – Jeśli usłyszę to jeszcze raz, porzucę cię bez namysłu. Prawie jestem na to zdecydowany.

Atheria niosła ich szybko w przestworza. Każde machnięcie jej upierzonych skrzydeł odbijało się stłumionym pulsowaniem w piersi Audrica.

Nie odezwał się więcej do Ludivine.

Wybrzeże Mazabatu pojawiło się jako biały sierp na horyzoncie, nierówny uśmiech nad migotliwym zimowym morzem.

Gdy się zbliżyli, Audric zobaczył ponurą prawdę o tym, co znosił Mazabat od czasu wizyty Rielle kilka miesięcy temu. Nieustanne sztormy, których źródłem była słabnąca Brama. Zdewastowane plaże zasypane śmieciami rozciągały się po horyzont. Całe kilometry nadmorskich lasów zostały powalone przez wichry, a Quelbani leżało częściowo w ruinie – wiele wież runęło, nawet największe świątynie były pozbawione okien i dachów.

Audric ze ściśniętym sercem oglądał obraz zniszczeń i nie zauważył ludzi ustawionych na skraju plaży, dopóki niebo nie eksplodowało

płomieniami.

Atheria zrobiła unik, jej skrzydła uderzyły mocniej, żeby skorygować kurs. Wrzasnęła gwałtownie ze złości.

Audric przytrzymał się jej grzywy i spojrzał w serce blasku. W obie strony jak okiem sięgnąć rozkwitały w powietrzu kule ognia. Było ich tak wiele i tak blisko siebie, poruszających się jak uwięzione świetliki, że tworzyły sieć uniemożliwiającą Atherii zbliżenie się do lądu.

Pozostał tylko wąski pasaż pustego powietrza – korytarz prowadzący ich do brzegu.

– Wybierają, gdzie możemy wylądować – zauważyła Ludivine.

– Nie dziwię im się – odpowiedział Audric i pogładził wygięty łuk szyi Atherii. – Leć dalej.

Atheria prychnęła, przyciskając długie uszy do głowy. Wyczuwał jej mięśnie drżące z wysiłku, by utrzymywać ją nieruchomo w powietrzu, jakby unosiła się w wodzie.

Audric zamknął oczy i skoncentrował się na blasku słońca na swojej głowie i karku, a także palcach zaciśniętych na grzywie Atherii. Nie próbował nigdy rozmawiać z boską bestią, tak jak robiła to Rielle, zupełnie jakby miały swój dziwny, bezgłośny język. Język empirium.

Pochylił się i dotknął węzłów mięśni na potężnej szyi chavaila.

– Ufam ci, Atherio – powiedział do niej. Przytknął dłonie do jej szyi, wyobrażając sobie, że może przesłać całą moc krążącą w jego ciele, także tę, której nie umiał wyczuć, do ciała boskiej bestii. Nie był aniołem; nie był także Rielle, która potrafiła rozmawiać z Atherią równie swobodnie, jak z każdym człowiekiem.

Należało jednak pamiętać, że Atheria nie była koniem. Była boską bestią, przewyższającą ludzi, bliższą empirium niż każdy i wszystko

oprócz – być może – Rielle. Miał nadzieję, że zdoła go jakoś zrozumieć i poczuje się uspokojona jego zaufaniem.

– Jeśli na brzegu czeka nas niebezpieczeństwo – ciągnął – zawróć natychmiast i zabierz nas w bezpieczne miejsce. Rozumiesz? – zakończył, czując się niemądrze.

Uszy Atherii poruszyły się do przodu i do tyłu, jakby nasłuchiwała dźwięków niedostępnych dla niego, a potem, po kolejnej chwili wahania, ruszyła w dół, w stronę morza, po ścieżce wyznaczonej dla niej przez ognie mazabackich magów.

Po raz pierwszy od nocy swojego ślubu Audric poczuł coś oprócz rozpacz – isierkę radości, słabą i migoczącą, która szybko zgasła.

Czekali na plaży – około dwustu ustawionych w równych szeregach królewskich żołnierzy. Pięćdziesięcioro z nich było dzierżycielami ognia, których ramiona drżały z wysiłku, gdy razem podtrzymywali sieć ognia rozciągającą się wzdłuż wybrzeża.

Gdy tylko kopyta Atherii dotknęły piasku, dzierżyciele ognia opuścili formy i się zachwiali. Niektórzy upadli na ziemię. Audric nie był zaskoczony – taki pokaz nieugiętej mocy nie był rzeczą łatwą nawet dla najbardziej doświadczonych magów żywiołów. Nie teraz, w tej spokojnej epoce. Uzdrowiciele w białych szatach podbiegli, żeby zająć się dzierżycielami ognia, a Audric patrzył na nich i myślał o Rielle i jaśniejącej sieci z mocy, którą utkała, aby powstrzymać wielką falę przed zniszczeniem stolicy Borsvallu, Styrdalleen.

Jej tarcza była jeszcze większa i bardziej olśniewająca niż to, co stworzyło razem pięćdziesięciu dzierżycieli ognia – a ona potem nie zemdlą. Owszem, była zmęczona, ale trzymała się dumnie wyprostowana, jej oczy zaś błyszczały, gdy zbliżała się do niego z miłą, zmysłową gracją, podczas gdy mieszkańcy Styrdalleen wiwatowali z uwielbieniem.

Audric spróbował odsunąć te myśli o Rielle, lecz poniósł porażkę. Ona miała na zawsze pozostawać refrenem towarzyszącym każdej jego myśli, każdemu słowu. Widział ją tak wyraźnie – czuł jej zapach i dotyk – że przez moment nie był w stanie się poruszyć pod kolosalnym ciężarem rozpaczy przytłaczającym go jak mroczny przypływ.

Atheria przestąpiła z nogi na nogę i zarżała cicho.

Audric zmusił się, żeby z niej zsiąść, i podniósł ręce. Setki oczu wpatrywały się w niego; uniesione łuki z nałożonymi strzałami oraz przygotowane formy reagowały na każdy jego ruch. Powietrze drżało od powstrzymywanej mocy żywiołów, jakby plaża znajdowała się wewnątrz fatamorgany.

– Czy dzierzyciele ognia dobrze się czują? – zawołał Audric.

Najbliższa żołnierka, z kłapami ozdobionymi feerią różnobarwnych orderów, z ciemnymi włosami przyciętymi krótko i schludnie, wyszła przed szereg. Audric domyślił się, że to dowódczyni.

– Rzuć swoją formę, Świetlisty – rozkazała. – Pamiętaj też, że mamy ogromną przewagę liczebną, a prawa ekstradycji nie obowiązują w przypadku pozbawionych władzy monarchów. Tylko wspaniałomyślności królowej Bazati i królowej Fozeyah zawdzięczasz to, że wpuszczamy cię do naszego kraju.

Audric posłusznie położył Illumenora na piasku.

– Rozumiem. Chciałbym także wyrazić najgłębszy smutek z powodu zniszczeń, które w ostatnich miesiącach dotknęły wasze piękne miasto.

Dowódczyni nie odpowiedziała. Jej dumne spojrzenie spoczęło na Ludivine.

– Lady Sauvillier, której brat zasiada teraz na tronie Celdarii.

– W moich żyłach nie płynie ani kropla krwi magów żywiołów – odparła Ludivine i zrobiła krok do przodu, unosząc dłonie. – Jestem wierna

tylko prawowitemu władcy, Audricowi Courverie.

– Wystarczy – odezwał się głęboki, ciepły głos, a szeregi żołnierzy się rozstały, żeby przepuścić brązowoskórą kobietę w intensywnie lazuruwej sukni. Długie czarne włosy spływały jej na plecy grubymi puklami. Bursztynowe i błękitne cienie podkreślały jej poważne ciemne oczy, a na szyi nosiła ciężki trójkątny wisior na złotym łańcuchu.

– Królowo Bazati. – Audric przykląkł na piasku. – Dziękuję, że Wasza Wysokość pozwoliła lady Ludivine i mnie wylądować na waszym wybrzeżu, i chciałbym oficjalnie poprosić o udzielenie nam azylu. Wiem, że z Celdarii napływają niepokojące wieści, mam jednak nadzieję, że Wasza Wysokość weźmie pod uwagę wielowiekową przyjaźń pomiędzy naszymi narodami...

– Och, wstawaj już. – Królowa Bazati z królewskiego rodu Asdallów pomogła mu się podnieść, a potem uściskała go mocno. – Jadałeś przy stole mojej rodziny, kiedy ledwie sięgałeś mi nad kolano. Kiedyś zwymiotowałeś na moją ceremonialną szatę w samym środku modlitwy po tym, jak ukradłeś z kuchni cały worek słodczy.

Audric zdołał się leciutko uśmiechnąć, kiedy go odsunęła.

– Czyli rozumiem, że mogę liczyć na azyl? Obiecuję, że nie zwymiotuję na żadną twoją suknię.

Królowa nie odwzajemniła uśmiechu. Zamiast tego wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, a później potrząsnęła głową.

– Co się stało, Audricu?

Współczucie w jej głosie otworzyło otchłań pod jego żebrami i po raz pierwszy od momentu, gdy ocknął się samotnie w ogrodzie – gdy Rielle odeszła, a dowódca jego gwardii zbliżał się do niego z odrazą i nienawiścią lśnącymi jasno w oczach – Audric poczuł gorące pieczenie łez.

– Nie wiem – odrzekł szczerze. – Nic dobrego, Wasza Wysokość.

Skinęła głową i wzięła go pod ramię. Spojrzała szybko na Ludivine, a Audricowi wydawało się, że na jej twarzy odmalowało się niezadowolenie, jakby wołała, żeby przybył do Mazabatu sam.

Zdecydowanie podzielał jej opinię.

– Przygotujemy dla ciebie apartament w skrzydle królewskim – powiedziała do niego, gdy szli do krawędzi plaży, gdzie zaczynały się linie powalonych drzew i białe brukowane ulice Quelbani. Mieszkańcy przeszukiwali gruzy, a ekipy murarskie pracowały na wysokich rusztowaniach, naprawiając zeszpecone kamienne fasady, ale mimo to miasto lśniło, jakby żaden wiatr nie mógł przyćmić jego blasku. Jako mały chłopiec Audric uwielbiał podróżować z rodziną do stolicy Mazabatu, ponieważ cieszyła się ona reputacją najświetniejszego ośrodka studiów, badań i sztuk medycznych, a jej biblioteki były największymi na świecie od czasów wojen anielskich, gdy zniszczono księgozbiory aniołów w położonej na południu kontynentu Patrii.

Teraz jednak, kiedy do jego uszu dobiegły odgłosy miejskiego gwaru, ogarnęło go proste pragnienie, tak dojmujące, że zaparło mu dech w piersi – żeby odwrócić się i lecieć do domu.

Nie wyobrażał sobie nigdy wcześniej, że nie będzie mieć domu, do którego mógłby wrócić.

Komnaty przygotowane dla niego na rozkaz królowych były przestronne i wyposażone z luksusową prostotą – ściany z bielonego kamienia, zwisające paprocie, liliowe i ciemnozielone, w lśniących brązowych donicach zawieszonych pod sufitem, dzwonki wiatrowe dźwięczące pogodnie na balkonie.

Najgrzeczniej, jak mógł, wymówił się od królewskiego zaproszenia na kolację i z ulgą przyjął to, że Ludivine bez słowa udała się do swoich komnat w głębi korytarza.

Słońce zachodziło. Za oknami, które otwarto, żeby wpuścić chłodne wieczorne powietrze, niebo miało przytłumiony odcień pomarańcza, a chmury barwiły się na różowo i fioletowo.

Audric był sam.

Obserwował niebo tak długo, jak długo był w stanie stać, a potem zaczął się trząść, od napiętych ramion do obolałych łydek. Zmęczenie i odrętwienie po długich dniach podróży na grzbiecie Atherii w końcu dały o sobie znać, ale widok łóżka wydał mu się nieznośny. Czyste, schludne i białe, z misternie rzeźbionym zagłówkiem z malowanego drewna tekowego wysadzanego wypolerowanymi niebieskimi kamieniami, zdawało się prześliczne i zachęcające, lecz nie było jego.

To było obce łóżko, w którym na przestrzeni lat spały setki dostojników. Jego łóżko znajdowało się w domu, w Baingarde, i otulało go, kiedy poruszał się wraz z Rielle w środku nocy, gdy wszystko inne było nieruchome.

Na zewnątrz Atheria wylądowała na jednym z szerokich tarasów, z radosnym skrzekiem i pyskiem pełnym pierza. Złapała sobie na kolację jastrzębia.

Jej widok stał się kroplą, która przepełniła czarę.

Rozpacz spadła na niego jak wielka fala, którą powstrzymała na jego oczach Rielle. Nie potrafił zapomnieć jej widoku – lśniącej obrończyni, obramowanej płomieniami bogini wyruszającej na nieśmiertelnym wierzchowcu, by ocalić świat.

– Boże – wykrztusił i osunął się na kolana, a później wściekłość, żal i rozpacz wyrwały się jednocześnie z jego ciała, podeszły z brzucha do piersi i gardła, aż odchylił głowę do tyłu i wrzasnął, prostując sztywno ramiona po bokach.

Jego głos szybko załamał się w szlochu. Audric płakał na miękkim białym dywanie, zaciskając palce na swoich włosach. Czuł w piersi agonalny ból, jakby została rozplątana na pół mieczem.

Nie miałby nic przeciwko temu, żeby tak się stało. Nie wyobrażał sobie, że ma się obudzić następnego dnia, a potem jeszcze następnego, w tym miejscu niebędącym domem, gdy odebrano mu tron, a jego najdroższa, jego miłość, jego Rielle odeszła, wygnana jego własnym gniewem, jego głupią, okrutną zazdrością i jego zranioną dumą.

Nie usłyszał, jak drzwi się otwierają ani jak Ludivine idzie boso przez komnatę. Nie uświadamiał sobie, że minęły całe godziny, niebo było całkowicie ciemne, a on leżał głodny i drżący na posadzce. Że był zmęczony aż do bólu kości ani że Atheria krążyła niespokojnie po tarasie, poskrzekując jak zdenerwowany ptak.

Kiedy jednak Ludivine usiadła koło niego i rozłożyła ramiona, wtulił się w nią w poszukiwaniu pociechy, na oślep, jak dziecko. Nie przesłała mu żadnych uczuć, myśli ani zapewnień i był jej za to wdzięczny.

Przyłgnął do niej, szlochając z wysiłkiem i bólem. Czuł wargi Ludivine na swoich włosach.

– Tak mi przykro, Audricu – szepnęła z ustami przy jego skroni, a jej głos był przesiąknięty łzami. Gładziła jego wilgotne włosy i powtarzała raz za razem jego imię.

Dźwięk jej głosu przypominał mu o oddychaniu.

Tal

Najdroższy Talu, przesyłam tę wiadomość do uwielbianej przez nas gospody w Beaulavalu, z nadzieją, że do Ciebie dotrze. Nie mamy jeszcze żadnych wieści od Audrica. Sytuacja tutaj zmienia się szybko. Żołnierze Meroveca aresztują ludzi na ulicach. Wdzierają się bez pytania do ich domów, bez ustanku patrolują dzielnice. Czegoś szukają, ale czego? Gdy ktoś z nas próbuje doradzać Merovecowi lub pyta go o zamiary, zostaje odprawiony. Później napiszę więcej, lecz na razie chcę, żebyś wiedział, że wraz z Odem Laroche'em zorganizowaliśmy coś, co można by nazwać ruchem oporu. Zbieramy tych, którzy są wierni Audricowi. Możesz uważać, że działamy pochopnie, ale nie widzisz tego, co ja widzę. Nazwaliśmy się Czerwoną Koroną. Nie śmieję się. To wszystko nie jest śmieszne, a my musimy coś robić. Tęsknię za Tobą. Bądź ostrożny. Nie ufaj nikomu. Sprowadź ją z powrotem.

– zaszyfrowany, niedoręczony list Miren Ballastier, Wielkiej
Mistrzynie Kuźni w Âme de la Terre, stolicy Celdarii, do Taliesina
Belounnona, Wielkiego Mistrza Stosu, 15 listopada 999 roku
Drugiej Ery

Ukryty bezpiecznie pod grubym wełnianym płaszczem, z kapturem naciągniętym na przemoczone jasne włosy, Taliesin Belounnon, celdaryjski Wielki Mistrz Stosu, wszedł do pełnej ludzi sali tawerny Pod Lśniącą Klaczą i skierował się prosto do przekłętej barmanki.

Noc była zimna, a bezlitosna zimowa burza, która przybyła wcześniej z północy, na razie nie cichła. Ale wewnątrz tawerny Pod Lśniącą Klaczą,

nazwanej na cześć legendarnej boskiej bestii świętej Katell, atmosfera była wilgotna i duszna.

Barmanka podniosła głowę, kiedy Tal podszedł bliżej. Zacisnęła wargi w sposób tak podobny do Miren, gdy się złościła – także jej rude pukle przywodziły nieodparcie na myśl Miren – że Tal musiał odwrócić wzrok.

– Jeśli zamierzasz wszystko tutaj zamoczyć – odezwała się – policzę podwójnie za każdy drobiazg.

Tal spojrzał na kobietę spod kaptura i obdarzył ją leciutkim uśmiechem, czarującym i przebiegłym, którego prawie nigdy nie używał, od kiedy został wyświęcony na Wielkiego Mistrza.

Prawie nigdy.

– Jesteś pewna? – zapytał. – Chętnie powyżymam trochę pelerynę i spluczę porządnie tę podłogę.

Barmanka mocniej zmarszczyła brwi.

– Myślisz, że żarty i ładny uśmiech wystarczą, żebym zmieniła zdanie?

Tal stłumił westchnienie. Był zmęczony i zmarznięty, buty i skarpetki miał całkowicie przemoczone, a forma w kształcie tarczy, przywiązana na plecach pod płaszczem, ciążyła mu nieprzyjemnie. Pragnął napić się w spokoju, tak żeby nikt nie zawracał mu głowy ani nie narzekał na stan jego ubrania.

Kiedy tylko o tym pomyślał, wiedział, że to kłamstwo.

Pragnął – naprawdę pragnął – obejrzeć się za siebie na tuziny pijących, plotkujących i krzyczących ludzi stłoczonych w tawernie i zobaczyć bladą młodą kobietę z nieposłusznymi ciemnymi włosami i intensywnie zielonymi oczami. Stałaby tutaj, ludzie kręciliby się wokół niej, niczego nieświadomi, a gdy spojrzałaby na niego, na jej twarzy odmalowałyby się ulga i zmęczenie. Podbiegłaby do niego z wyciągniętymi rękami, on zaś przytuliłby ją do siebie, gładził po splątanych włosach i całował mokre od

łez policzki. Powiedziała jej, że przy nim jest w końcu bezpieczna i że mogą wracać do domu.

Jej imię skręcało się na jego języku. Było mu tak znajome, że czuł jego smak, cierpki i musujący, jakby wgryzł się w dojrzały letni owoc. *Rielle*.

Musiał spojrzeć. Prawie czuł, że ona tutaj stoi, przerażona i zmęczona, ze złamanym sercem, stęskniona za domem.

Kiedy jednak obejrzał się przez ramię, zobaczył tylko tawernę i jej gości, wysokie krokwie i okiennice zamknięte na czas burzy.

Zamknął na moment oczy, ponieważ poczuł w gardle ostre ukłucie bólu. Nie po raz pierwszy byłby gotów przysiąc, że ona tu jest – tuż za nim, tuż za tym zakrętem drogi, tuż za tą kępą drzew. Jej echo nie odstępowało go od wielu dni, gdy prowadził poszukiwania na celdaryjskich bezdrożach, i właśnie ono oraz towarzyszące mu przyciąganie przekonywały Tala, że ona znajduje się cały czas blisko, że już niebawem zdoła ją odnaleźć.

Albo też była martwa i nawiedzało go tylko jej wspomnienie.

Nie wyobrażał sobie jednak, że świat mógłby przetrwać jej śmierć. A jeśli jakimś cudem byłoby to możliwe – gdyby wszystko pozostało takie jak dawniej, chociaż ona nie oddychałaby już powietrzem dającym życie im wszystkim – byłby to świat, na którym on nie chciałby dłużej pozostawać.

Zdjął kaptur i potrząsnął splątanymi, przemoczonymi deszczem włosami – wyrzucił z głowy luźne myśli o Rielle, żeby chociaż na chwilę odzyskać jasność umysłu. Popatrzył w górę, pozwalając barmance przyjrzeć się dobrze jego pięknej twarzy, a także melancholijnemu uśmiechowi, który sprawił, że się zarumieniła.

– Proszę o wybaczenie – oznajmił z udawanym rozbawieniem. – Miałem okropny, ciężki dzień, wędruję od wielu okropnych, ciężkich dni, i moje nerwy są na wykończeniu. Masz może jakąś szmatę? Pościeram te kałuże, które zostawiłem, i pójdę dalej.

– Och, przestań mnie czarować – skarciła go barmanka i odwróciła się, ale Tal zobaczył, że jej usta drgnęły, a kiedy wróciła chwilę później, przyniosła parujący kubek cydru i dwie białe ściereki. – Wytrzymaj się, a potem możesz zapłacić za następny – powiedziała i mrugnęła, co po raz kolejny przypomniało mu tak nieznosnie o Miren, że nie był w stanie odpowiedzieć.

Zamiast tego uśmiechnął się do kobiety, znalazł wolne miejsce i usiadł pochylony nad kubkiem. Gorący i pachnący przyprawami napój pozwolił poluzować część supłów w jego piersi, ale nie pomógł na ból głowy pulsujący miarowo w jego skroniach od chwili opuszczenia Âme de la Terre. Przez ostatnie dni Tal starał się usilnie utrzymać myśli o domu na wodzy, muskał je jak grzbiety książek, których nie zamierzał przeczytać.

Cydr okazał się wyśmienitym lekarstwem nie tylko na supły, więc Tal już niedługo siedział nad prawie pustym kubkiem, a wspomnienia domu wirowały i ścigały się w jego głowie.

Doprowadzało go do szaleństwa, że nie wie, co się dzieje w Âme de la Terre. Wieści o detronizacji Audrica i wstąpieniu na tron Meroveca rozeszły się po całym kraju. Sądząc po przyciszonych rozmowach prowadzonych na sali i ukradkowych, ciekawskich spojrzeniach rzuconych na drzwi za każdym razem, gdy się otwierały, mieszkańcy małej wioski Tavistère także o tym słyszeli.

Tal zacisnął dłonie na kubku i zamknął oczy, starając się nie myśleć o Miren samotnej w stolicy, mającej do czynienia z Merovekiem Sauvillierem.

Merovec Sauvillier królem Celdarii. Król Audric się ukrywa.

Królowa Rielle przepadła jak kamień w wodę.

Szepty unosiły się na sali, a za każdym razem, gdy docierały do uszu Tala, pochwycone słowa skręcały się w nim, tworząc okropną blokadę, której nie potrafił się pozbyć. Pocieszało go tylko, że gdyby Audric został

odnaleziony i zabity, Merovec by się postarał, żeby ta wiadomość rozeszła się jak najszybciej. Na razie należało czerpać pociechę z niepewnych spekulacji o miejscu pobytu Audrica.

– Proszę. – W polu widzenia Tala pojawił się nowy kubek. Barmanka obserwowała go z ciekawością. – Wyglądasz, jakbyś potrzebował jeszcze co najmniej kilku.

Tal zdobył się na słaby uśmiech.

– Czyli zapłacę za trzeci?

– Jeśli będziesz mnie zabawiał czarującą rozmową, nie będziesz musiał w ogóle płacić. Wyglądasz, jakby ta twoja jasna głowa była wypchana interesującymi tematami.

– Interesującymi – przyznał Tal. – Zaskakującymi. Przerazającymi.

Barmanka uniosła brwi.

– Umiesz zaintrygować dziewczynę, panie Mokry Płaszcz.

– Aiden – skłamał z kolejnym uśmiechem.

– Rosette. – Kobieta oparła podbródek na dłoniach i odwzajemniła uśmiech. – To jak? Umowa stoi?

Nagle Tal zapragnął wyznać wszystko.

– Opuściłem dom, aby zrobić coś bardzo ważnego – powiedział tylko, a jego gardło odrobinę się zacisnęło. – Pozostawiłem tam osobę, którą kocham.

– Dlaczego nie mogła udać się z tobą?

Przed oczami stanęła mu twarz Miren, ze szpiczastym podbródkiem i psotnym wyrazem. Gęste konstelacje piegów na jasnych policzkach. Miękkie rude pukle, które lśniły jak roztopiona miedź w blasku świec w ich sypialni.

Tamtej nocy, gdy widział ją po raz ostatni w ogrodach Baingarde, jej twarz była stężała i poważna, a oczy lśniły od łez, ale były pełne

determinacji. Została w stolicy, aby być oczami Audrica. Lojalną szpieżką zdetronizowanego króla.

„Bądź odważny”, wyszeptała przy jego ustach pod sosnami w ogrodzie, a potem pobiegła do zamku, zanim Tal zdążył choćby pomyśleć o pożegnaniu, na jakie zasługiwała.

– Ponieważ – odpowiedział w końcu, pocierając czoło – ona także ma coś ważnego do zrobienia. Zbyt ważnego, żeby iść ze mną.

– Musicie być bardzo ważnymi ludźmi – stwierdziła z namysłem Rosette i postukała palcem o wargi. – Nie sądzę, żebyś mi zdradził, na czym polegają te śmiertelnie istotne zadania.

– Obawiam się, że nie mogę.

– Przysięgałeś, że zachowasz to w tajemnicy?

Położył dłoń na piersi i skłonił głowę.

– Przysięgałem, że zachowam to w tajemnicy, i jestem spętany złotymi łańcuchami honoru.

Rosette uśmiechnęła się szerzej.

– Uwielbiam, gdy do mojej tawerny zaglądają mroczni mężczyźni skrywający szlachetne sekrety.

Zmęczony umysł Tala z trudem poszukiwał odpowiedzi. Wypił za dużo cydru; jego myśli były splątane i nieostre. Twarz Miren i twarz Rielle zderzały się i stapiały – krótkie rude pukle i długie ciemne fale. Echo obecności Rielle raz jeszcze dotknęło jego ramienia, gwałtownie i nagle jak podmuch wiatru, a Tal napiął wszystkie mięśnie.

– Wiem, że naprawdę cię tu nie ma – mruknął i przycisnął mocno palce do skroni.

– Aidenie? Czy źle się czujesz? – Rosette dotknęła jego ramienia. – Okropnie zbladłeś. Podobasz mi się, ale nie próbuj zwymiotować mi na stół.

Drzwi tawerny otworzyły się z trzaskiem.

Rozległ się rozpaczliwy krzyk:

– Błady znak! Są tutaj! Błady znak! Moja córka! Proszę, niech ktoś pomoże, są tutaj! Ktoś tutaj jest!

Rosette cofnęła się ze stłumionym jękiem.

Tal się odwrócił, chociaż świat przed oczami pulsował w rytm jego bólu głowy. Zobaczył w otwartych drzwiach mężczyznę, za którym szalała burza. W ramionach trzymał młodą kobietę z zesztyniałymi kończynami i twarzą wykręconą w białą, groteskową maskę przerażenia.

Panika ogarnęła tawernę Pod Lśniącą Klaczą jak buzujące płomienie. Stojący najbliżej mężczyzny cofnęli się chwiejnie, jakby dziewczyna w jego ramionach przenosiła zarazę. Inni z krzykiem rzucili się do drzwi, okien i schodów prowadzących do pokoi gościnnych.

Tal stał nieruchomo, a jego kończyny wypełniało złe przeczucie, jednocześnie gorące i zimne.

Słyszał o tym „bladym znaku”. Król Ilmaire z Borsvallu pisał o tym do Audrica, a celdaryjscy żołnierze w ostatnich miesiącach tydzień po tygodniu przysyłali raporty na ten temat do stolicy. Na terenach przygranicznych Celdarii i Borsvallu wsie i warownie dotykała plaga niewyjaśnionych śmierci. Ludzie byli mordowani pod osłoną nocy – plotki głosiły, że stały za tym cienie. Szeptano o dzikich bestiach, ale żaden z raportów, które Tal miał w rękach, nie opisywał niczego zrozumiałego.

Niektóre ofiary były zmasakrowane, kości rozrzucone, a ciała podarte na strzępy. Inne zostały pozbawione życia, chociaż nie odniosły żadnych ran. Jediną wskazówką podpowiadającą, co mogło być przyczyną śmierci, były opisywane w każdym raporcie nienaturalnie blade twarze, zawsze wykrzywione w grymasie zgrozy, jakby w ostatnich chwilach życia coś niszczyło tych ludzi od środka.

Zimna dłoń dotknęła ramienia Tala. Odwrócił się i ujrzał Rosette patrzącą na niego szklistymi oczami zasnutymi szarością, z uśmiechem wyższości na twarzy. Ta zmiana jej zachowania sprawiła, że Talowi zabrakło tchu w piersi.

Przechyliła szybko głowę na bok.

– Za późno, Talu.

Jej szyja pękła z ohydym trzaskiem, oczy pojaśniały. Upadła, uderzając mocno głową o blat baru.

Tal cofnął się chwiejnie. Najbliżej stojący ludzie rzucili się z wrzaskiem do ucieczki. Nigdy wcześniej nie widział efektów działania aniołów, ale Rielle opowiedziała mu dokładnie, co się stało z poprzednim królem Borsvallu, Hallvardem, tuż przed jego śmiercią. Tal wpatrywał się w nieruchome oczy Rosetty i jej białą jak ściana twarz zastygłą w agonii, czując lodowaty dreszcz na plecach.

Aniołowie.

Corien.

Rielle.

– Za późno, Talu! – zawołał drwiąco nowy, męski głos, a gdy Tal zobaczył, kto to mówi, brodaty mężczyzna o szarych oczach i uśmiechu szaleńca osuwał się już na ziemię ze skrzyconym karkiem i pobladłą, wykrzywioną twarzą.

– Za późno, Talu! – Posługacz, najwyżej piętnastoletni.

– Za późno, Talu! – Kobieta próbująca uspokoić swoje płaczące dzieci.

Szlak ich powykręcanych ciał drwił sobie z niego, koszmarnie białe twarze odprowadzały go do drzwi. Tal przepchnął się przez ogarnięty paniką tłum, obok nieszczęsnego mężczyzny, który klęczał i szlochał na progu. Ciało jego córki leżało bezwładnie na podłodze.

Na zewnątrz burza wyssała z gardła Tala całe powietrze. Czarny deszcz tłukł w niego jak igły. Odpiął paski na piersi i wyciągnął tarczę, a potem wykorzystał ją, żeby zebrać jak na talerz płomienie z iskrzących, przesyconych olejem pochodni przy drzwiach tawerny. Jacyś ludzie odskoczyli z krzykiem, ale Tal ich zignorował i pobiegł przez zatłoczony, błotnisty dziedziniec. Przeżęcone rzenie koni w przylegającej stajni przeszło powietrze. Zwierzęta tłukły kopytami w ściany boksów. Nic się nie paliło, jeśli nie liczyć ognia na tarczy; co innego budziło ich lęk.

Dopiero pod otaczającymi dziedziniec drzewami zatrzymał się, żeby nasłuchiwać. Nie krzyków ludzi pozostałych w tawernie. Nie odgłosów burzy.

Nasłuchiwał Rielle.

Jego ciało drżało z wściekłości, gdy zamknął oczy, ścisnął mocno tarczę i wezwał empirium z desperacją większą niż kiedykolwiek wcześniej.

Empirium przenika każdą żywą istotę i każda żywa istota powstała z empirium, modlił się.

Płoń spokojnie i pewnie. Płomienie na jego tarczy urosły, trzaskające i głodne.

Płoń czysto i jasno.

Rielle wypowiedziała te same słowa w dniu próby ognia. Powtarzali je razem w płonącej replice domu jej rodziców, wśród popiołów i iskier sypiących się pod ich stopy.

A potem... zamiast płomieni pojawiły się pióra. Lśniące, barwy ognia, stworzone przez Rielle.

Rielle, gdzie jesteś?

Jej echo przebiegło koło niego niemal rozbawione. Poczuł zimne dotknięcie na brzuchu.

Pobiegł za tym wrażeniem przez ciemny las, chłostany mokrymi gałęziami, za jedyne źródło światła mając płonącą tarczę, a gdy dotarł na polanę, na której stała – wiedział to, wiedział, że ona tam będzie, zanim ją jeszcze zobaczył; potrafił to wyczuć, potrafił ją wyczuć, błagał empirium, aby ją odnalazło, a ono raz jeden kompletnie mu się podporządkowało – pulsujący ból w jego głowie eksplodował.

Tal osunął się gwałtownie na kolana i wypuścił tarczę, która zgasła. Oparł się na rękach, a gdy podniósł wzrok, świat się przechylił i pozwolił ją ujrzeć tylko na moment.

Miała na sobie długi ciemny płaszcz, tak obszerny, że całkowicie w nim tonęła. Mokre włosy kleiły się do jej policzków.

Spojrzeli na siebie; chociaż Talowi ciemniało przed oczami, a czaszka bolała, jakby miała się zaraz rozpęknąć na dwie części, rozpoznał wyraz jej twarzy. Przez wiele lat był jej nauczycielem, praktycznie ją wychowywał.

Bała się.

Wyciągnął do niej drżące ramiona.

– Rielle, skarbie, już dobrze, jestem tutaj...

Nie mógł jednak się podnieść, a kiedy patrzył na nią, leżąc w błocie, unieruchomiony i oszołomiony, białowłosa dziewczyna o jasnobrązowej skórze otworzyła pod stopami Rielle pierścień ze światła. Tal nie rozumiał, co widzi. Czy ta dziewczyna była Naznaczoną?

Ciemność się zakołysała, coś poruszyło się szybko, w powietrzu rozległ się trzask. Pojawił się wysoki mężczyzna w płaszczu szarpanym wiatrem.

Później światło zniknęło wraz z Rielle.

Pozostał tylko głos, który nie należał do niej. Był miękki, wytworny i niezwykle rozbawiony.

Za późno, Talu, powiedział.

A potem uderzył go mocno, odsyłając w nieświadomość.

Rielle

Przez tysiąclecia aniołowie żyli tylko w niebiosach, gdzie się narodzili, i studiowali gwiazdy oraz leżące za nimi empirium. Dopiero gdy aniołowie w końcu dostrzegli ludzi żyjących na świecie w dole, zstąpili na ziemię, zbyt zafascynowani, aby oprzeć się temu, co było dla nich odrażającymi, dziwacznymi istotami, które żyły krótko i dysponowały godnymi zazdrości mocami. Dla ludzi Wielkie Zstąpienie było deszczem ognia spadającym na świat, potężniejszym niż dzieło jakiegokolwiek maga żywiołów. Uciekali więc przerażeni, opuszczając krainy zwane teraz Patrią i Vindicą, aby aniołowie mogli je zasiedlić.

– Ogień z niebios. Wielkie Zstąpienie Aniołów i jego wpływ na losy świata, kolekcja esejów zebrana przez Lyzet Taval z Pierwszej Gildii Akademików

Rielle nie opanowała jeszcze sztuki podróżowania przez nici Obritsy z choćby minimalną gracją.

Gdy za trzecim razem przekroczyła brzęczący krąg światła, który zdążyła już znienawidzić, zdołała utrzymać przez chwilę równowagę, zanim nogi się pod nią ugięły.

Wylądowała na ziemi – płaskiej, twardej i czerwonej, pokrytej ostrym żwirem, który wbił się boleśnie w dłonie Rielle.

Podniosła głowę i przełknęła, żeby powstrzymać mdłości, które zawsze towarzyszyły podróży przez nici. Zobaczyła, że znajduje się na dnie wąskiego wąwozu z wysokimi ścianami z czerwonego kamienia. W pobliżu słyszać było głośny szum rzeki, białej piany i czarnego nurtu torujących

sobie drogę przez skały. Niebo rozjaśniał zachód słońca rzucający upiorne karmazynowe światło na płaskie ściany wąwozu, na których wyryto zagadkowe wzory. Rielle dostrzegała znajome kształty: skrzydlatych aniołów unoszących się nad miastami o wysokich wieżach. Wielkie, wysmukłe okręty bojowe zmierzające do odległych brzegów. Gwiazdy i księżycy zdobiły czerwone skały w różnych konfiguracjach, tworząc jakby rozległą mapę pozostawioną dla gigantycznego wędrowca.

– To jest prześliczne – powiedziała cicho.

– Oczywiście. To dzieło aniołów. – Corien podszedł do niej, wyciągając lewą rękę. – To Samandira, droga prowadząca do Eridel, które dawno temu było jednym z największych miast Vindiki. Miejscem nauki i oświaty. Były tam uniwersytety, na których anielscy uczeni zgłębiali tajniki kreacji. Biblioteki gromadzące tysiące książek poświęconych naturze empirium. Zanim ludzie wszystko zniszczyli – dodał lekko. – Wojna wyrządziła ogromne szkody, zaś potem, gdy zostaliśmy uwięzieni, tysiące ludzi przybyło tutaj, aby unicestwić to, co pozostało. Zajmowali się tym przez wiele lat, niwecząc wszystko, czego dokonaliśmy, i plądrując ruiny.

Rielle wiedziała, że lekkość w jego głosie jest udawana. Kiedy pomógł jej wstać, splotła palce z jego palcami. Czarny płaszcz i spodnie, dawniej nieskazitelnie eleganckie, miał teraz brudne po trudach podróży. Gdy spojrzała na jego twarz, tak piękną i gładką w powodzi czerwonego światła, poczuła przypływ czułości i współczucia.

Dotknęła jego policzka. Jej brudne palce pozostawiły smugi na bladej skórze. Nie miała dla niego żadnych słów pocieszenia i nadal nie była pewna, czy w ogóle pragnie nieść mu pocieszenie.

Nie potrafiła się jednak powstrzymać przed dotknięciem go.

Jej życie rozpadło się na ciąg chaotycznych epizodów. Uciekali na wschód, od miasta do miasta, pieszo, konno lub w jakimś wozie, który

Corien zdołał odebrać przypadkowym podróżnym, niezdolnym oprzeć się jego kuszącemu głosowi, jego jasnym od łez oczom, jego obietnicom namiętnej przygody w lesie, jeśli tylko użyczą mu swoich koni i wozu.

Lubił się nimi bawić – tymi pechowcami, którzy na początku bez oporów pozwalali mu się wślizgnąć do swoich umysłów, podziwiając jego prześliczną twarz – aż do chwili, gdy poniewczasie uświadamiali sobie, co się dzieje, i zaczynali krzyczeć z przerażenia.

Początkowo Rielle odwracała głowę za każdym razem. Widok był okropny – ich rysy wykrzywiały się konwulsyjnie, a gdy upadali na ziemię, towarzyszył temu ciężki łoskot. Z ich twarzy znikwały wszystkie kolory, pozostawało tylko absolutne przerażenie. Wiedziała, że Corien jest zdolny do przemocy, ale to wydawało się tak niepotrzebnym okrucieństwem, że nie zamierzała na to patrzeć.

Początkowo.

Teraz coraz częściej rzucała ukradkowe spojrzenia. Nie chodziło o to, że oglądanie cierpienia sprawiało jej przyjemność. Podobał jej się jednak popis mocy Coriena, a on wiedział o tym, wyczuwał jej znużony zachwyt wciskający się w jego umysł, tuż zanim ich zabił. Myśl o tym, że on jest szczęśliwy, przynosiła Rielle odrobinę pociechy. Rozpaczliwie potrzebowała pociechy. Głowa bolała ją cały czas, a ukradziona sukienka była okropna.

Nienawidziła także tego, jak dziwnie zachowywało się czasem jej ciało, jak nachodziły ją niewyjaśnione mdłości bez żadnego ostrzeżenia, aż zdrętwiała ze wstydu opróżniała rozpaczliwie żołądek, a Corien przytrzymywał jej włosy z czułością, która prawie była w stanie wynagrodzić jej upokarzające wymiotowanie na ziemię.

Dlatego patrzyła, jak Corien zabija, rozkoszując się jego szczęściem i aprobatą z odległą, niepokojącą rozpaczą. Za każdym razem jednak, gdy

czuła impuls niepokoju, znikał on równie szybko, jak się pojawiał.

Jesteś taki jak ja, powiedziała do niego pięć dni temu. Odsunął się właśnie od siwowłosego mężczyzny, podstarzałego, lecz nadal umięśnionego, i pozwolił mu upaść na ziemię. Mężczyzna był pasterzem, co rozśmieszyło Coriena z powodów, które ukrył przed Rielle, kiedy spróbowała dotknąć jego umysłu.

Od miesięcy powtarzam ci, jak bardzo jesteście podobni, odparł rozbawiony i przeszedł nad ciałem, żeby się do niej zbliżyć. *Dlaczego mówisz to dzisiaj?*

Nie sprawia ci przyjemności zadawanie im bólu. Nie dlatego to robisz. Jej serce biło mocniej z powodu jego bliskości. Każde wyglodniałe uderzenie unosiło jej pierś wyżej i wyżej, aż była gotowa oderwać się od ziemi. Była tak zmęczona – cały czas odczuwała ciężkie i gęste znużenie, jakby nieustannie brnęła przez bagno – a to zmęczenie ustępowało tylko wtedy, gdy on był blisko.

Cieszysz się swoimi mocami, rzekła. *Cieszysz się tym, co możesz zrobić, a także poczuciem spełnienia, które przychodzi, kiedy używasz swojego umysłu do tego, do czego został stworzony.*

Corien przyglądał się jej przez chwilę, a potem jego gorący oddech musnął jej wargi. *Masz tylko częściowo rację, najdroższa. Owszem, kocham swoje moce, ale sprawia mi ogromną przyjemność zadawanie bólu. Im wszystkim. Każdemu z osobna.*

Później całował ją, mocno i namiętnie, aż lekkie, mdlące uczucie odrzy wywołane jego słowami zniknęło, a Rielle zapomniała o martwym mężczyźnie na ziemi i wszystkich innych ciałach, które pozostawili za sobą.

Nie była nawet do końca pewna, dokąd zmierzają.

Kiedy zapytała o to Coriena, tylko raz, odpowiedział, przesyłając jej swoje myśli, ale były one tak splątane i niejasne, że gdy próbowała się nad tym zastanowić, bolały ją oczy, jakby patrzyła prosto w słońce. Musiała odwrócić wzrok, a niedługo potem zapomniała o wszystkich pytaniach, dostrzegając je w głębi swojego umysłu tylko chwilami, zanim znowu zniknęły.

Musimy wędrować dalej, powiedział jej Corien. Tylko to jest ważne.

Oczywiście miał rację. Musieli podróżować na południowy wschód. Nie musiała wiedzieć niczego więcej.

Odpoczywali tylko wtedy, gdy potrzebowała tego Obritsa, czyli zdaniem Rielle zdecydowanie za często. Czy ona niczego nie rozumiała? Musieli przeć przed siebie. To było ważne, a Corienowi nie podobała się taka zwłoka.

Ale ta okropna dziewczucha potrafiła ich przenieść nieco ponad dwieście kilometrów na raz, zanim mdlała z wyczerpania, co zmuszało ich do zbyt częstych postojów na noc lub dwie w jakiejś odrażająco brudnej gospodzie albo lichej chacie po rozprawieniu się z jej mieszkańcami, a czasem nawet pod gołym niebem, na ziemi, jakby byli zwierzętami.

W tej rozmywającej się, przerywanej podróży na wschód, gdy każdy dzień przynosił nowe widoki, nieznane dialekty lub style ubrania, co sprawiało, że Rielle w miarę oddalania się od domu stawiała się coraz bardziej niespokojna i niepewna, Corien był dla niej jedyną opoką. Jedyną pewną osobą, która ją znała i kochała.

Dlatego dotknęła go na tym wyschniętym, płaskim dnie rzeki w wąwozie. Dotykała go tak często, jak mogła, nawet gdy mdłości towarzyszące podróży przez nici Obritsy pozostawiały ją roztrzęsioną i mokrą od potu.

– Chcesz się tutaj zatrzymać na trochę? – zapytała, ignorując stłumione jęki Obritsy odpoczywającej w pobliżu. – Moglibyśmy zbadać ruiny. Może pozostały tam przedmioty warte zabrania.

Wzrok Coriena złagodniał, co zdarzało się tylko wtedy, gdy patrzył na jej twarz. Ulga z powodu tej niezmienności sprawiła, że do oczu Rielle napłynęły łzy. On był jasnym księżycem oświetlającym szare, spowite mgłą morze, które teraz zamieszkiwała.

Pocałował ją w czoło.

– Na jedną noc. Znajdziemy stary dom anielski, dawniej wspaniały i olśniewający tak jak ty, i prześpiemy się tam do świtu. – Nie odwracając się, zwrócił się do dziewczyny i jej strażnika. – Naprzód, Wasza Wysokość. – Uwielbiał drwić w ten sposób z Obritsy, co sprawiało Rielle przyjemność. – Ty i twój szlachetny towarzysz możecie iść przodem.

Wskazał szeroką drogę ciągnącą się wzdłuż rzeki i zaczekał, aż Artem ruszy ciężko z miejsca, a Obritsa pokuśtyka za nim. Jej drobne ciało drżało ze zmęczenia. Artem górował nad nią, wysoki i mocno zbudowany, ale na plecach niósł ogromny, owinięty płótnem tobół, podtrzymywany sześcioma skórzanymi pasami. Za każdym razem, gdy Rielle patrzyła na ten pakunek, zaczynało się jej kręcić w głowie, a gardło się zaciskało, zmuszając ją do odwrócenia wzroku, po czym natychmiast zapominała o jego istnieniu. Znowu tak się stało, a kiedy Rielle się zachwiała, podtrzymały ją w talii dłonie Coriena.

Corien uniósł jej dłoń do ust, zaś drugą wsunął pod swoje ramię. Tak złączeni, poszli przed siebie.

Dopiero późnym wieczorem, skulona pod stertą brudnych futer i koców, które znaleźli – Corien powiedział z odrazą, że należały najprawdopodobniej do jednej z band poszukiwaczy skarbów polujących

w ruinach miast Vindiki na anielskie łupy – Rielle przypomniała sobie, że widziała Tala.

Wspomnienie powróciło do niej we śnie i uderzyło ją jak cios fizyczny. Gwałtownie otworzyła oczy; ledwie zdołała powstrzymać ostry krzyk.

Kilka rzeczy stało się jednocześnie.

Corien siedział parę kroków od niej i wyglądał przez otwarte okno posiadłości, w której zatrzymali się na noc. Pomieszczenia były tutaj przestronne, a korytarze na tyle szerokie, by pomieścić płomienne skrzydła aniołów sięgające na wysokość prawie dwóch i pół metra. Te proporcje sprawiały, że Rielle kręciło się w głowie. Corien miał oczy otwarte, ale nieobecne. Gdy ona spała, on zwykle wykorzystywał swój umysł do „pracy”, jak jej powiedział, nie zdradzając niczego więcej. Zajmował się tym teraz, a podbródek miał oparty na dłoni, jakby leniwie obserwował chmury na horyzoncie.

Był tak zaabsorbowany, że nie zauważył jej przebudzenia – ani tego, że przypomniała sobie coś, co przed nią ukrył. Tal leżący w błocie, wyciągający do niej rękę, wołający ją. „Jestem tutaj, Rielle!” Za tym jednym przeszywającym serce wspomnieniem powróciły wszystkie inne, tłocząc się jedne przez drugie. Mgła otaczająca Rielle zniknęła, a ona w końcu widziała wszystko wyraźnie, jakby z ciemności została wypchnięta na ostre światło.

Musiała odejść. Natychmiast.

Rielle podniosła się chwiejnie na nogi, a jej oczy wypełniły się łzami wściekłości. Teraz wiedziała już z przerażającą jasnością, jak żyła przez ostatnie dwa tygodnie. Teraz wydawało się to oczywiste, a ją ogarniała furia na myśl o tym, jak głupia musiała się wydawać, jak uległa i bezrozumna.

Corien swoimi mocami otumaniał jej umysł i pociągnął na koniec świata przez nici Obritsy. Rielle pozwalała mu się obojętnie prowadzić, natomiast

gdy jej wspomnienia próbowały powrócić, a moce wzbierały niespokojnie, Corien wzmacniał swój wpływ i wciągał ją z powrotem do otępiającej, miękkiej klatki. Nakłaniał ją, by spała, i nagradzał rozgorączkowanymi snami.

Rielle przełknęła szloch, drżąc z wysiłku, żeby zachować milczenie. Bezgłośnie się podniosła i oddaliła na palcach. Posadzka była w opłakanym stanie; jej stopy zostawiły nierówną ścieżkę na gromadzących się od wieku kurzu i śmieciach.

Corien tak wiele przed nią ukrywał, tak starannie ją oszukiwał. Widziała Tala niedawno, był kilka metrów od niej – a jednak Corien nie dał im porozmawiać, odebrał jej ten wybór, nie pozwolił nawet pamiętać o tej chwili ani o żadnej chwili, której według niego nie powinna przywoływać...

Wyszła tyłem z pokoju, nie odważając się mrugnąć, tłumiąc z całej siły wściekłość, rozczarowanie i rozpacz, które towarzyszyły odzyskanym wspomnieniom, aż zaczęło się jej kręcić w głowie. Teraz widziała wszystkie wydarzenia rozgrywające się w ostatnich tygodniach: jej ślub i wizję ujawniającą, że zabiła króla Bastiena; Audrica krzyczącego na nią w ogrodzie; ucieczkę z miasta; pogoń za głosem Coriena do lasu na obrzeżach Âme de la Terre, gdzie w końcu padła Corienowi w ramiona. A potem...

Potem nie było niczego. Ocean szarości. Nieliczne przebłyski kolorów. Kraina snów stworzona przez Coriena. Ukradziony wóz. Zdarła z siebie suknię ślubną, szlochając, a później szła chwiejnie przez mroczny celdaryjski las w samej halce i butach, aż Corien ją odnalazł i siłą założył jej sukienkę jeszcze ciepłą po poprzedniej właścicielce. Całował ją, aż jej płacz ucichł, a Rielle znowu zaczęła się unosić w spokojnym szarym morzu.

Zaś Tal... Och, on ją wołał. Pomiędzy drzewami, w burzową noc niedaleko oświetlonej pochodniami gospody, leżał na ziemi i wyciągał do niej ręce. Na pewno szedł jej śladem, poszukiwał jej z nadzieją, że zabierze ją do domu.

Rielle dotarła do drzwi, oddychając płytko i z trudem. Oczy ją piekły, gdy patrzyła na Coriena i w myślach nakazywała mu pozostać nieruchomym. To niezwykle, że praca odwróciła jego uwagę do tego stopnia, by nie zauważył jej przebudzenia.

Niezależnie jednak od powodów miała teraz szansę ucieczki. „Ja widzę boską istotę, która pragnie wolności”, powiedział do niej, zacieśniając łańcuchy, które ją z nim łączyły.

Wolność. Doskonały dowcip. Była jak pies na smyczy – teraz to rozumiała z jasnością tak palącą, że miała wrażenie, iż połknęła błyskawicę.

W jej myślach kłębiła się panika. Spojrzała na nieprzytomne kształty w kącie pomieszczenia, czyli Artema i Obritę unieruchomionych w głębokim śnie zesłanym oczywiście przez Coriena. Zadbał o to wszystko, a ona nie powinna była temu ufać, bo gdzie się przez to znalazła? Na pustkowiu. Daleko od domu, w zrujnowanym kraju, który niegdyś należał do aniołów.

Gdy tylko Rielle przeszła tyłem próg i znalazła się w ogromnym korytarzu, gdzie stary sufit runął w gruzy, odsłaniając wyższe piętra domu i usiane gwiazdami niebo w górze, odwróciła się i pobiegła.

Nie uciekła daleko.

Minęła szereg dziedzińców oddzielających ogromne, wsparte na kolumnach domy z zarośniętymi ogrodami pełnymi karłowatych drzew i poskręcanych suchych ciernistych krzaków. Przebiegając pod częściowo zawalonym kamiennym łukiem pilnowanym przez dwa posągi – jeden bez

głowy, drugi z niekształtnymi guzami na plecach w miejscu, gdzie były wcześniej skrzydła – obejrzała się przez ramię.

Księżyc był w drugiej kwadrze, a jej szybki oddech zawisał chmurkami w zimnym powietrzu. Czarne, malowane srebrnym blaskiem ruiny górowały nad nią, osmalone nieusuwalną sadzą. To były ślady ciosów zadanych przez starożytnych magów żywiołów, znaki, których nie mogły zetrzeć ani czas, ani działanie sił przyrody. Rielle nawet teraz, po tylu wiekach, czuła zapach magii. Dymu na wietrze. Mułu napęczniałego od deszczu. Splamionego krwią metalu.

Skręciła ponownie – i wpadła prosto na Coriena.

Chwycił ją za ramiona, ale zanim zdążył się obejrzeć, zanim zdołał ją znowu opleść swoimi myślami i otumanić, jak tylko chciał, ona wybuchła.

Jej wściekłość wezwała empirium, które radośnie posłuchało.

Moc, zbyt długo tłumiona, wypełniła jej ciało i eksplodowała z dłoni. Rielle chlasnęła tą mocą Coriena, aż przeleciał przez ogród i uderzył w kolumnę. Jego głowa z trzaskiem trafiła w kamień. Osunął się na ziemię, lecz nie na długo.

Potrząsnął głową i wstał chwiejnie.

Rielle machnęła rękami, jakby zamykała ogromne drzwi. Jej moc cisnęła Coriena w górę i przyparła do poskręcanych, przeżartych rdzą resztek ozdobnej kraty na murach dziedzińca. Czy kiedyś znajdowała się tu ptaszarnia? Myśl o skrzydlatych aniołach trzymających w klatkach, dla swojej uciechy, ptaki z podciętymi skrzydłami, była odrażająca. Wściekłość Rielle jeszcze bardziej wezbrała.

Uniosła dłonie. Ciało Coriena skręciło się konwulsyjnie na kracie.

– Rielle – wyrzęził. – Posłuchaj, proszę...

– Powinieneś być uwięzić mnie znowu, gdy tylko się zorientowałeś, że zniknęłam – warknęła, podchodząc bliżej. – Owinać mnie tym swoim

umysłem, z którego jesteś tak dumny. Być może myślałeś, że to nie jest konieczne. Być może myślałeś, że gdy cię znowu zobaczę, zapomnę o gniewie.

– Już tak kiedyś było – przypomniawszy. Nawet zawieszony na kracie był niepokojąco piękny, z lśniąco-ciemnymi oczami i wydatnymi wargami praktycznie błagającymi, by je pocałować. – Uwielbiasz moje towarzystwo. Nie zaprzeczysz temu, Rielle.

Nie mogła temu zaprzeczyć, ale jego kojący głos był tak oczywistą próbą udobruchania jej, że gdyby miała futro, najeżyłoby się ono teraz gwałtownie.

– Zaprzeczę, czemu tylko zechcę. – Poruszyła palcami, żeby zacieśnić na jego ciele sznury empirium. – Wykorzystam moje moce, jak tylko zechcę.

Jasne oczy Coriena błysnęły. Wyczuła jego umysł sięgający do niej i zasypała go siekącym deszczem żwiru podniesionego z ziemi. Corien zawył z bólu, gdy kamyczki rozorały mu twarz.

– Nie próbuj tego więcej – poleciła Rielle. – Nie okłamuj mnie znowu ani nie tłum moich myśli własnymi, bo cię zabiję. Spalę cię tak jak kilka miesięcy temu i tym razem się nie zatrzymam. Spłoniesz do szczytu, a ja będę patrzeć, jak twoje popioły się rozwiewają.

– Nie zrobisz tego – wychrypiał. Miał teraz krew na twarzy. – Kochasz mnie.

– Wolałabym, żeby tak nie było – oznajmiła z goryczą.

– Fascynuję cię, skarbie.

– Równie fascynująca będzie twoja śmierć.

Corien się roześmiał. To, że potrafił się śmiać, wisząc bezradnie w okowach jej mocy, wydało jej się czarujące, chociaż nie zamierzała dać się oczarować.

– Oszukiwałeś mnie – powiedziała cicho.

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadał.

– Tak – przyznał w końcu.

Przytrzymała go nieruchomo, niesłabnącą mocą, ale serce ją bolało. Nienawidziła siebie za piekące oczy, szczypiący nos i za to, że on potrafił wyczuć każdą spływającą łzę.

– Nie musiałeś – ciągnęła. – Byłam tam. Byłam z tobą. Przyszłam do ciebie. Zostawiłam... – Zawahała się. Wszystko to było zbyt świeże, odzyskane wspomnienia zbyt bolesne. – Zostawiłam Audrica, zostawiłam swój dom, żeby przyjść do ciebie.

– Wiem.

– Wiedziałeś, że nie musisz mnie okłamywać, a jednak to zrobiłeś.

– Musiałem.

Niecierpliwość zapłonęła w jej ciele, jej moce się zacisnęły, aż Corien krzyknął. Widziała lśniąca, ciemną krew na jego szyi i dłoniach. Jeśli przyciśnie trochę mocniej, spopieli mu skórę.

– Nie rozumiem – odezwała się do niego z trudem. – Obiecałeś mi wolność, a dałeś coś przeciwnego. Przyszłam do ciebie, ponieważ nikt mi nie został. Nie mogłam ufać nikomu, ale zaufałam tobie.

– Wiem.

– Znałeś mnie i nie obawiałeś się mnie.

– Nadal cię znam i nadal się nie obawiam. – Spoglądał na nią łagodnie, a Rielle zjeżyła się z powodu czułości w jego wzroku, nawet jeśli jej pragnęła.

– Kochasz mnie – oświadczyła.

– Bardziej niż kiedykolwiek kochałem kogokolwiek w moim długim życiu – odparł natychmiast.

Jej serce drgnęło w swojej klatce.

– Więc dlaczego?

– Ponieważ wiem, że nadal go kochasz – wymamrotał. Rielle obserwowała, zafascynowana, jak rozpacz odziera jego twarz z całej przebiegłości. – Wiem, że nadal kochasz ich wszystkich, nawet jeśli ich nienawidzisz, a to dla ciebie całkiem nowe uczucie. Jesteś zmęczona, ale w twojej krwi nieustannie buzuje moc, która sprawia, że drżysz jednocześnie z pożądania i przerażenia. Wiem, że boisz się znajdować tak daleko od domu. Wiem, że tęsknisz za tym, co znajome. Nie chciałem, żeby ten strach mi ciebie odebrał.

– Gdybym postanowiła odejść, nie straciłbyś mnie z powodu strachu. Zrobiłabym to dla siebie, z własnej woli. Zaś ty odebrałeś mi ten wybór.

– Nie mogłem na to pozwolić.

– Nie mogłeś na to pozwolić?

Corien prychnął z niecierpliwością.

– Rielle, to kluczowy moment. Zaszłaś tak daleko dzięki swoim zdolnościom, a ja jestem z ciebie dumny bardziej, niż mógłbym to wyrazić, ale teraz sytuacja się zmieniła. Czas zrobić krok naprzód, a ja nie mogę ryzykować, że cię stracę.

Rielle skrzywiła się gniewnie, lecz świat przed jej oczami rozmył się z powodu łez.

– Nie mogłeś ryzykować, że stracisz mnie czy że stracisz moje moce?

– To jedno i to samo.

– Albo obawiasz się, że stracisz to, co moje moce mogą zrobić dla ciebie, albo obawiasz się, że stracisz mnie, Rielle. Kobieta. Ponieważ mnie kochasz.

– Nie może chodzić o jedno i drugie? – zapytał z leciutką irytacją. – Nawet twój umysł pozwala ci doświadczać wielu emocji jednocześnie. Nie potrafisz sobie wyobrazić, ile może skrywać mój umysł.

Rielle z gniewnym pomrukiem cisnęła nim o ziemię. Corien upadł płasko na plecy i leżał, łapiąc bezgłośnie powietrze.

Przykucnęła koło niego, a dłonie ją świerzbiły, żeby go dotknąć i ukoić jego ból, zanim jego skradzione ciało się zregeneruje. Wiedziała, że mogłaby to zrobić. Jedna przelotna myśl pozwoliła jej się przenieść do strefy empirium i zobaczyć olśniewającą mapę leżącego przed nią ciała. Liczyła pulsujące czerwienią i czernią kłębki światła w miejscach, gdzie jego ciało ucierpiało z powodu jej gniewu. W sumie było ich szesnaście.

Ale najpierw musi jej wysłuchać.

– Wiem, czego ode mnie chcesz – powiedziała szeptem. – Odwracałeś ostrożnie moją uwagę, ilekroć zebrałam myśli na tyle, by zacząć zadawać pytania. Teraz to rozumiem. I wiem doskonale, czego chcesz. Kusieś mnie tym pomysłem od miesiący. Chciałeś mi pomóc znaleźć cztery pozostałe formy.

Teraz, gdy jej pamięć się rozjaśniła, wiedziała już, co się znajduje w tym ogromnym pakunku na plecach Artema. Rozumiała już, dlaczego czuła mdłości na jego widok. To były formy. Tarcza Marzany, młot Grimvalda i laska Tokaziego. Corien wykradł je z Âme de la Terre w noc jej ślubu, a ona czuła przyciąganie ich uwięzionej mocy.

– A potem, gdy będziemy mieli wszystkie siedem – mówiła dalej – chcesz, żebym wykorzystała je do otwarcia Bramy i wypuszczenia twoich żądnych zemsty pobratymców. Chcesz, żebym zapewniła im ciała, miliony ludzkich ciał pozbawionych za twoją sprawą umysłów, i w ten sposób wskrzesiła wszystkich aniołów. Dała każdemu z nich trupa, ciało, które będą w stanie utrzymać. Trwałą kotwicę, ponieważ większość z nich nie potrafi pozostawać w ciele przez dłuższy czas. Czy nie tak? Chcesz, żebym związała ich z nowymi ciałami, scalała ich za sprawą empirium, obdarzyła

mocami większymi niż te, którymi dysponowali wcześniej. Chcesz mnie wykorzystać, aby wygrać swoją drugą i ostatnią wojnę.

Nie mogła się dłużej powstrzymać. Pogładziła krwawiący policzek Coriena, a muśnięta jej palcami poparzona skóra stała się znowu biała i gładka. Zadygotał pod jej dotykiem, jego powieki zadrżały z ulgi. A także, nawet w tym momencie, z pożądania. Chociaż go raniła, chociaż leżał teraz zakrwawiony, nadal jej pragnął. Cienie ich dzielonych mrocznych snów unosiły się na obrzeżach jego umysłu.

– Ale czego ja chcę? – szepnęła Rielle. – Naprawić Bramę i uwięzić aniołów w Otchłani na kolejny tysiąc lat? Czy może otworzyć ją, tak jak ty byś tego pragnął? Czy chcę wypuścić tysiące żądnych krwi dusz, które tłoczą się po drugiej stronie?

– Żądnych krwi? – Corien zakasłał, nadal starając się złapać oddech. – Trudno nas tak nazywać. Pragniemy tylko sprawiedliwości.

– W najokrutniejszej możliwej formie.

– To, co nam zrobiono, było okrucieństwem. Zamierzamy odpłacić tym samym.

– A kiedy już staniesz na czele tej armii wskrzeszonych aniołów, to gdzie widzisz mnie? Jakie miejsce zajmuję w wielkich planach Kalmarotha?

Syknął ze złości, słysząc z jej ust swoje anielskie imię. Rielle uśmiechnęła się lekko, ponieważ jego piekący gniew sprawił jej przyjemność. Myśli zdradzały go, ilekroć używała tego imienia: nienawidził tamtego anioła, który poniósł klęskę i runął z wrzaskiem w Otchłań.

– Staniesz na czele armii u mego boku – odpowiedział Corien głosem zduszonym z bólu. Jego palce dotknęły jej palców. – Pokażesz ludziom,

którzy zamierzali trzymać cię do końca życia w klatce, jak bardzo się mylili, sądząc, że są w stanie to zrobić.

Z trudem mogła oddychać. Nawet zachowując wobec niego dystans, nawet oddzielona murem swoich niewzruszonych mocy, czuła jego żar, starożytną siłę woli, tak wyraźnie, jakby w końcu się złączyli w jedno, tak jak robili to w umysłach, ale nigdy cieleśnie.

– Jeśli zdecyduję się ci pomagać – wyszeptała – czym się stanę?

Corien z ogromnym wysiłkiem podniósł się na łokcie.

– Najprawdziwszą sobą. Wzniesiesz się wyżej niż jakakolwiek żywa istota przed tobą.

W jego oczach płonęła gorączka, nieugięty biały żar przekonania. Pomyślałaby, że to absurdalne słowa: „Wyżej niż jakakolwiek żywa istota przed tobą”, ale czuła tę cudowną pewność gdzieś w głębi serca od dziecka, zanim jeszcze była dość duża, by rozumieć, co to oznacza.

Spróbowała uśmiechnąć się drwiąco.

– Schlebiasz mi.

– Wiesz, że nie. Nie teraz. Nie w tej sprawie. – Corien dotknął jej dłoni. – Rielle, oto co ci ofiarowuję. Jeśli pomożesz mi w tej wojnie, w tym wielkim dziele, które planowałem w nieskończonej ciemności, gdy moi rodacy cierpieli w Otchłani, ja pomogę ci osiągnąć wszystko, co kiedykolwiek pragnęłaś poznać. Ekstazę towarzyszącą zjednoczeniu się z mocą, która cię stworzyła.

Całkowicie wbrew woli jej krew ożyła na te słowa. Świat zasyczał wokół niej, jakby była kulą ognia ciśniętą z całej siły w zamrożone morze. Wpatrywała się w Coriena, widząc to, czego nie powiedział, i zadrżała aż do kości.

– Chcesz, żebym znalazła dla ciebie Boga, Corienie? Źródło empirium? O to ci chodzi? Jedna wojna ci nie wystarczy? – Jej kciuk musnął jego

wargi, które natychmiast się rozchyliły. Jego zęby dotknęły jej skóry. – Wykorzystasz mnie, aby zniszczyć moc, która nas stworzyła, i zająć jej miejsce?

– Nie, Rielle. To ty stałabyś się Bogiem, nie ja. Lepszym, wspanialszym Bogiem niż Ten, który pozwolił ludzkości skazać moich rodaków na wieczne potępienie. Ja zaś służyłbym ci z radością.

Przez dłuższą chwilę żadne z nich się nie odzywało. Potem Rielle odwróciła wzrok, niezdolna znieść dłużej intensywności jego spojrzenia, i przesunęła dłońmi po smukłych liniach jego ciała, zamykając wszystkie rany, które mu zadała.

– Sam bym się uleczył w stosownym czasie – zauważył drżącym głosem. Dotykała go lekko; nie zamierzała dawać mu jeszcze większej rozkoszy.

– Wolę sama cię uleczyć – powiedziała z udawanym spokojem, chociaż wiedziała, że on wyczuwa jej kłamstwa.

Kiedy skończyła, Corien był znowu blady i cały. Uśmiechnął się do niej, a gdy pomogła mu wstać, na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Z nagłym onieśmieleniem popatrzyła na niego przez zasłonę splątanych włosów.

– Chodź, moja cudowna dręczycielko. – Ucałował jej dłoń. – Moja wspaniała królowa. Razem naprawimy wiele krzywd, jakie zostały wyrządzone, a później, gdy wygramy wojnę, znajdziemy źródło empirium w samym sercu stworzenia. Wydrzemy je gwiazdom i przemienimy bezduszny tron w taki, na jaki zasługujesz.

– Zakładasz, że zgodziłam się udzielić ci pomocy albo że w ogóle to zrobię – zdołała odpowiedzieć z godnością.

– Nie, moja piękna. Po prostu w każdym twoim oddechu czuję, jak bardzo pragniesz czegoś więcej, niż ten mały, blady świat jest ci w stanie

kiedykolwiek dać.

Rielle nie znalazła na to odpowiedzi. Dokładnie tak myślała, a Corien o tym wiedział. Nie przyjęła jego ramienia, gdy wracali do obozu. Czuła się zmarznięta w nieruchomym pustynnym powietrzu i niespokojna, a jej umysł stał się ociężały i powolny – aż uświadomiła sobie, w tym samym momencie co Corien, jaki efekt miała ich kłótnia w ruinach.

Po chwili milczenia Corien chwycił z ziemi starożytną, pękniętą wazę i cisnął nią o ścianę z rykiem wściekłości.

Obóz był pusty. Obritsa i Artem zniknęli – zabierając trzy formy.

Eliana

Podobno wieże Elysium sięgają chmur, a budynki są tak białe jak śnieg na najwyższych szczytach. Podobno lśnią dniem i nocą dzięki klejnotom ukradzionym ze zniszczonych miast. Podobno tysiące zrozpaczonych ludzi tłoczą się na mostach i wrzeszczą, żeby ich wpuścić, a codziennie przybywają nowi. Wszyscy oni to tchórze i zdrajcy. Żałośni łajdacy. Ale gdyby wrota otworzyły się przede mną, byłbym tam wraz z nimi. Gdyby było trzeba, zabiłbym własnego brata, by dostać się do miasta imperatora.

– z kolekcji historii spisanych przez uchodźców w okupowanej Venterze, wybór: Hob Cava Serra

Miasto imperatora tworzyło rozległy pejzaż wież i iglic na wyżynie otoczonej przepaściami, nad którymi wzniesiono tuziny wąskich białych mostów.

Lśniło jak rozsypane niedbale klejnoty, całe tysiące misternie oszlifowanych drogich kamieni. Każda wieża migotała w zimnym blasku słońca. Powietrze było tu rzadsze niż to, do którego przywykła Eliana. Od chwili, gdy zawinęli do portu w nadmorskim Luxitainie, ich konwój wytwornych powozów jechał coraz wyżej i wyżej, aż w końcu dotarli do Elysium położonego w najbardziej górzystej części Celdarii. Góry nagle ustąpiły miejsca kamienistym równinom i ogromnej przepaści otaczającej miasto. Dawniej było to Âme de la Terre, stolica Celdarii, miasto założone przez świętą Katell po wojnie. Dom Świetlistego. Dom Krwawej Królowej.

A także, jak należało rozumieć, dom Eliany, chociaż teraz zmienił nazwę, a na tronie zasiadał starożytny anioł.

Elysium. Dzięki Remy'emu Eliana знаła anielskie znaczenie tego słowa. *Raj. Stan szczęścia lub rozkoszy*.

W jej gardle wykuł się chichot, a ona pozwoliła mu się wydostać. Nie było sensu ukrywać narastającego strachu. Imperator zdoła zedrzeć każdą założoną przez nią maskę.

Siedziała na pluszowej kanapie w czwartym z ośmiu powozów – czwartym i najwspanialszym – i śmiała się, nie zakłócając tym niezachwianego spokoju anielskich strażników po jej bokach ani też Simona, który w milczeniu zajmował miejsce naprzeciwko niej. To był śmiech, któremu towarzyszyły łzy. Nie próbowała nawet ocierać twarzy. Śmiała się, płakała i wyglądała przez okno.

Dawniej przyglądałaby się okolicy, liczyła wartownie na najbliższym odcinku murów miejskich, oceniała wysokość i obwód tych murów, szybko i uważnie starałaby się oszacować, ilu nieszczęśliwych ludzi zebrało się po obu stronach mostu, przez który przejeżdżali. Setki tysięcy ludzi zamieszkiwały góry otaczające Elysium, a każdego dnia przybywały tysiące nowych. Błagali o wpuszczenie do miasta i tłoczyli się przy mostach nad przepaścią, gotowi czołgać się u stóp aniołów.

Eliana nie uważała jednak, żeby miało to znaczenie – liczenie wież i uchodźców, zastanawianie się nad głębokością przepaści wokół miasta. Jak mogłaby wykorzystać te informacje, otoczona przez aniołów zdolnych wyczuć każdy plan ucieczki w momencie, gdy zrodziłby się w jej głowie?

Nie mogłaby. Nie mogła niczego zrobić. Nie miała niczego, była niczym i nie miała nikogo.

Rozprostowała dłonie, których nagość wydała jej się odrażająca i przerażająca. Nie mogła wyczuć empirium; jej umysł był wypełniony

nieskończoną ilością duszącej czarnej wełny. Remy siedział w innym powozie, a jej nie pozwolono go zobaczyć nawet po upokarzającym przedstawieniu w porcie Luxitaine, które zaczęła od błagania, przeszła do krzyków i zakończyła w pełnym wyczerpania milczeniu.

– Dokąd mnie zabieracie? – zapytała. To było głupie pytanie, biorąc pod uwagę widok za oknem, ale nie mogła dłużej znieść ciszy.

Simon uniósł chłodne spojrzenie znad oprawionego w skórę notesu, w którym pisał z przerwami, od kiedy trzy dni temu opuścili Luxitaine.

– Do Elysium.

Wydawało jej się, że przywykła do nowej, okropnej obojętności w jego oczach. Myliła się. Wbiła sobie paznokcie w udo.

– Gdzie w Elysium?

Simon przewrócił kartkę i zaczął znowu pisać.

– Do pałacu imperatora.

– Gdzie w pałacu?

– Do sali audiencyjnej.

– Której sali audiencyjnej? Skoro to pałac, na pewno musi być ich kilka.

Jeden ze strażników, noszący na szerokiej piersi skrzydlaty herb imperialny, poruszył się – Eliana miała nadzieję, że z irytacją.

Simon nie tracił jednak opanowania. Na stronach jego notesu widniały równe wiersze pisma.

– Jego ulubionej.

Eliana starała się, aby jej głos brzmiał pogodnie, z nadzieją, że wytrąci tym z równowagi kogoś oprócz siebie samej.

– A co tam będziemy robić?

Powóz się zatrzymał. Simon zamknął notes. Nie uśmiechnął się, nawet z okrucieństwem. Eliana wolałaby, żeby tak zrobił.

– Niebawem sama się przekonasz – odpowiedział, po czym wyskoczył z powozu z niewymuszoną lekkością i gracją, które dawniej podziwiała, a teraz znienawidziła.

Strażnicy pomogli jej wysiąść na rozległym dziedzińcu, gdzie wszystko było białe – kamienie brukowe, mury, zimne listopadowe niebo w górze, brak dźwięku. Gdziekolwiek przebywał Remy, trzymali go poza zasięgiem jej wzroku. W swoim odrętwieniu nie zauważyła, że w jakimś momencie minęli bramy miasta i teraz nie słyszą już zawodzących nieszczęśników stłoczonych na mostach. Zastanawiała się, ilu z nich runęło w przepaść, goniąc rozpaczliwie za powozami i łudząc się, że dostaną się w obręb murów Elysium.

Gdy pomyślała o przepaści, powróciło wspomnienie.

Remy przeczytał jej fragment z jednej ze swoich wykradzionych książek, w Orline, w życiu, które teraz wydawało się Elianie odległe i absurdalne. „Ostatniej nocy tamtej dawnej, pozłacanej ery Krwawa Królowa podniosła oceany ze swojego leża, wezwała ogień ze słońca, wyrwała z ziemi góry i wszystko to, czym była dawniej Celdaria, czym był cały świat, runęło pod naporem jej wściekłości”.

Kochany głos Remy’ego dźwięczący w jej głowie przypomniawszy Elianie, że przepaść znajdowała się w miejscu, gdzie dawniej były góry. Góry zniszczone przez jej matkę w ostatnią noc jej życia.

Raz jeszcze Eliana rozprostowała nagie dłonie i wezwała moce, które tak rozpaczliwie starała się zrozumieć.

Nic jej nie odpowiedziało.

Omów nie roześmiała się ponownie. Oczywiście, że nic jej nie odpowiedziało, skoro stała się niczym, skorupą dawnej siebie, a ta świadomość przyniosła jej prawdziwą ulgę, ponieważ gdyby zwrócono jej

formy, to byłoby naprawdę niebezpieczne. Moc matki w jej żyłach, jej własne formy na dłoniach i umysł imperatora kierujący jej umysłem.

Przerażające rozbawienie ogarnęło ją, gdy wyobrażała sobie aniołów szarpiących i rozrywających jej szczątki w poszukiwaniu broni, której nigdy nie znajdują.

Eliana zacisnęła pięści w kajdanach i przygryzła wargę, aż pociekła z niej krew.

Odbierze sobie życie, zanim pozwoli swoim mocom przebudzić się na rozkaz imperatora.

Przeszli pod białą bramą na inny kamienny dziedziniec, a potem schodami w dół, do ciągu tuneli. Były ciemne, zimne i kręte, wyraźnie zaprojektowane tak, aby zmylić napastników. W ciasnej przestrzeni i wilgotnym powietrzu Eliana zaczęła czuć mdłości takie jak wtedy, gdy wraz z Harkanem wsiadła na pokład Streganny, a jej żyły wypełniała trucizna czarnej lilii.

Kiedy pomyślała o nim – o jego ciepłych, ciemnych oczach, pewnych ramionach, które ją podtrzymywały; o tym, jak akceptował ją nawet w jej najczarniejsze dni – poczuła, że oczy zaczynają ją piec. Potknęła się, a strażnik złapał ją za łokieć. Powtarzała sobie, że może Harkan nie zginął. Nie widziała go na plaży w Festivalu. Simon nie zastrzelił go tak jak wielu innych.

To było możliwe. To była maleńka, nieśmiała nadzieja. Obracała się w jej sercu jak pączek, który stara się z całych sił rozwinąć, a ona przylgnęła do tej nadziei, wykorzystując zmęczone resztki sił, jakie jej pozostały.

Otoczenie wokół niej się zmieniło, co Eliana zauważyła z obojętnością, nie koncentrując na niczym wzroku. Lśniaca marmurowa posadzka. Daleko w górze ciemne sklepienia lśniące od namalowanych gwiazd – srebro

i złoto, fiolet i krystaliczny błękit. Wysokie okna z witrażowego szkła rzucające smugi kolorowego światła na równie wysoką, wąską salę. Bursztynowe i różowe, turkusowe i jadeitowe.

Admirał Ravikant szedł przodem, z rękami splecionymi na plecach, krokiem swobodnym i obrzydliwie znajomym. To był lekko zmieniony sposób chodzenia ojca Eliany. Za nim stąpił Simon, spokojnie, ale z wyraźną lekkością, bez cienia napięcia w plecach. Eliana uświadomiła sobie, że wcześniej udawał, a teraz nie musiał. Teraz mógł się odprężyć. Teraz był sobą.

Rozmyta plama koloru w kształcie człowieka po lewej stronie, niepokojąco blisko, zwróciła uwagę Eliany.

Zachwiała się i szarpnęła, podtrzymywana przez strażników.

To był posąg kobiety.

Jeden z wielu.

– Chodźmy, chodźmy – powiedział admirał Ravikant. W jego głosie dźwięczała satysfakcja. – Bez ociągania.

Strażnicy popchnęli Elianę naprzód, a ona posłuchała – ale prawie nie zwracała na nich uwagi.

Wpatrywała się w kobiety.

To była galeria kobiet – niektóre wyrzeźbione z kamienia, inne zrobione ze szkła lub poskładane z tysięcy małych kolorowych kafelków. Kobiety ze złocistego brązu, kobiety ze stalowych płyt i miedzianych drutów, kobiety namalowane plamami koloru na obrazach wiszących na ścianach.

Eliana czuła, że mrowi ją skóra, gdy szli pomiędzy zastygłymi sylwetkami. Wydawały się zbyt wspaniałe, by mogły być prawdziwe – nawet te groteskowe miały w sobie dziwne piękno i było ich zbyt wiele, aż Eliana poczuła się wytrącona z równowagi, jakby świat się przechylił pod

jej stopami. To była kolekcja zrodzona z obsesji, wypełniająca salę od ściany do ściany, poustawiana bez żadnego widocznego zamysłu.

Nagle, mijając kolejną z nich, Eliana zatrzymała się gwałtownie, ponieważ spłynęło na nią mdlące olśnienie.

Wpatrywała się w posąg, który miała przed sobą – kobietę z migoczącego czarnego kamienia, z nieprawdopodobnie smukłymi kończynami, o wydłużonych nienaturalnie proporcjach. Klęczała wygięta w łuk, wyraźnie w agonii, z ramionami i głową odchylonymi do tyłu, jakby wystawiona na wściekłość niebios. Z jej ramion, palców i końcówek rozwianych dziko włosów wyrastały niezliczone pozłacane płomienie. Suknia tylko częściowo zasłaniała ciało, podarta na dole i przy kołnierzu. Na piersi kobiety namalowano złotą gwiazdę. Podobne lśniły w płaskich miejscach, w których powinny się znajdować oczy, a jeszcze dwie na jej rozprostowanych, sztywnych dłoniach.

Eliana stężała. Otwarte usta kobiety także były złote, a najgłębszą widoczną część jej gardła pomalowano tak, jakby podchodził pod nie intensywnie czerwony ogień.

Kobieta wrzeszczała.

Eliana ją rozpoznała.

Gdy strażnicy popchnęli ją naprzód, zaczęła się rozglądać i rozpoznała je wszystkie. To była ta sama kobieta, raz za razem, czasem o rysach przestylizowanych i karykaturalnych, ale zawsze podobna do siebie, zawsze znajoma. Eliana widziała ją na własne oczy kilka tygodni temu, wiele wieków temu, w Celdarii, w lesie, w którym Rielle próbowała ją zabić. W lesie, w którym Corien wślizgnął się do jej umysłu i powiedział: „Jakie życie prowadziłaś. W jak ciekawym towarzystwie się obracasz”.

To wszystko była Rielle. Każda z tych kobiet to była Rielle.

Rielle namalowana gniewnymi, grubymi pociągnięciami pędzla farbą olejną, stojąca samotnie na brzegu urwiska nad czerwonym morzem, pod niebem płonącym od niezliczonych gwiazd. Rielle, zwyczajna dziewczyna, abstrakcyjna i radosna, uformowana z poskręcanych drutów pomalowanych w jaskrawe kolory, wyciągająca jedną rękę do zawieszonego w powietrzu pióra.

– Imponujące, nieprawdaż? – zapytał admirał Ravikant z domyślnym uśmiechem. Dotarli na drugi koniec galerii, pod wąskie zamknięte drzwi, których brązowe klamki miały kształt skrzydeł. – Jego Wysokość jest uzdolnionym artystą.

„W jak ciekawym towarzystwie się obracasz”. Słowa Coriena z rykiem krążyły zapętlone w głowie Eliany. „Jakie życie prowadziłaś”.

Spojrzała na Simona i poczuła, że jej skóra robi się lodowata, gdy wszystko zrozumiała. Czy od początku zamierzał ją zdradzić? Czy też to ich pechowa, źle zaplanowana podróż w przeszłość go odmieniła? Czy Corien zobaczył tamtego okropnego dnia Simona w jej umyśle – jego wierności Prorokowi, jego oddanie wobec Eliany, jego niezłomną wiarę w to, że Eliana może ich wszystkich uratować – i to właśnie wszystko zmieniło? Czy kiedy powróciła do Wierzbowego Dworu, Simon był już odmieniony, skażony, wierny Imperium?

Simon powiedział, że jej podróż w czasie nie będzie miała na niego wpływu, że jako splatający nici pozostanie odporny na wszelkie zmiany w świecie przyszłości, tak samo jak ona. Ale może nie wiedział na pewno, albo kłamał wtedy, żeby tylko ją uspokoić, żeby tylko dokończyć ich misję i zmienić przeszłość w celu ocalenia przyszłości, z nadzieją, że jakimś cudem uda się uniknąć najgorszego. Albo też z nadzieją, że najgorsze spadnie na niego.

Gdzie był Prorok w tej nowej, zmienionej przyszłości? Dlaczego na to pozwolił, kimkolwiek był?

Czy Prorok w ogóle istniał?

Admirał Ravikant otworzył drzwi.

– Ubolewam, ale muszę was teraz opuścić. Rozkaz to rozkaz. – Admirał uniósł skute dłonie Eliany do ust. – Niebawem znowu się spotkamy, lady Eliano. – Spojrzał na Simona. – Generale.

Simon skłonił głowę, ale nie odpowiedział.

Potem anioł w skórze ojca Eliany odszedł, oddalił się w głąb galerii wraz ze strażnikami, a Simon zamknął drzwi. Byli sami w ogromnej, ukrytej w cieniach sali, z wypolerowanym parkietem, gigantycznymi obrazami przedstawiającymi aniołów w locie, olbrzymimi oknami zasłoniętymi tak szczelnie, że do środka wpadały tylko wąskie smugi światła krojące posadzkę na osiem części. Sklepienie wznosiło się wysoko, a salę z trzech stron otaczały trzy półpiętra zasłoniętych galerii. To było miejsce, w którym odbywały się bale i uroczyste ceremonie.

Na drugim końcu sali wielkie schody prowadziły spiralnie na drugie piętro; kojarzyły się z tłustym, lśniącym wężem. Eliana nie czuła żadnego przeciągu, powietrze było nieruchome. Ale coś poruszało się w cieniach na schodach – dostrzegała jakieś falowanie w ciemności, która skręcała się i zwijała.

Simon pociągnął ją dalej, trzymając mocno za przedramię. Dopiero wtedy Eliana uświadomiła sobie, że stała bez ruchu przy zamkniętych drzwiach. Drżące cienie na schodach zahipnotyzowały ją, więc nie stawiała Simonowi oporu, ale gdy zatrzymali się dziesięć kroków od najniższego stopnia, na czole Eliany perlił się pot, a jej dłonie stały się lepkie. Chciała uciec i ukryć się przed tym, co schodziło po schodach; chciała zostać i spojrzeć temu w oczy.

Ulotne wrażenie ingerencji muskało obrzeża jej umysłu. Lekkie, niewidzialne palce dotykały i naciskały. Potrząsnęła głową, jakby chciała pozbyć się senności, a świat zakołysał się gwałtownie wraz z nieprzyjemnym dźwiękiem, który odbił się echem w jej czaszce. Z każdym mrugnięciem pojawiały się obrazy: mężczyzna w czerni siedzący na tronie. Kobieta stojąca na polu ognia.

Sama Eliana, po kostki w płytkiej czarnej sadzawce, wyciągająca ręce ku oprószonemu gwiazdami niebu.

Dotknęła jednej z gwiazd, a ta oparzyła jej palce. Spróbowała cofnąć szybko dłoń, ale gwiazda przylgnęła do skóry i ściekała po jej ręce, wypełniając żyły i wzbierając w gardle, aby roztopić język.

Obrazy zniknęły gwałtownie, pozostawiając ją wytrąconą z równowagi. Patrzyła, jak cienie spływają ze schodów, gromadzą się i łączą, by utworzyć pulsujące czarne serce. Zastanawiała się rozpaczliwie, czy to jakaś bestia zbliża się do niej, jakaś dzika i wygłodniała istota wypuszczona z lochów pod miastem.

Otrząsnęła się i zamrugła gwałtownie. Nie mogła wierzyć własnemu umysłowi. To oczywiste, że nie mogła.

Cóż to za nonsens, rozległ się głos, który rozpoznawała. Wślizgnął się radośnie do jej umysłu jak zadowolony kot. Twój umysł jest jedyną rzeczą, jakiej możesz zaufać. Pokaże ci, co musisz zrobić, aby przeżyć.

Popatrzyła w górę piękącymi oczami i obserwowała, jak kształty wyłaniają się z cieni, aż w końcu stały się butami i spodniami, wytworną białą koszulą i długim czarnym surdutom, niezapiętym i sięgającym kolan. Uśmiechniętą twarzą, bladą i elegancką. Czarnymi płynnymi oczami. Miękkimi ciemnymi włosami spływającymi puklami na policzki i kark.

Imperator. Corien.

– W końcu tutaj jesteś – powiedział. – Córką mojej największej miłości. Czas próbował nas rozdzielić, Eliano, ale wreszcie zdołaliśmy się odnaleźć, nieprawdaż?

Jego głos był miękki i czysty, tak bezsprzecznie pełen uroku, że wywoływał w niej mdłości. Ledwie była w stanie się odezwać z powodu strachu zaciskającego jej gardło.

– Gdzie jest mój brat?

– Powiem ci, jeśli mi pomożesz. Sprowadzę go tutaj i zawsze już będziecie razem.

Spojrzała na niego ze zgrozą.

– Jeśli ci pomogę?

Corien roześmiał się cicho.

– Nie mogę wyrazić, jak bardzo się cieszę, że w końcu będę miał okazję dowiedzieć się o tobie wszystkiego. – Umilkł, a jego uśmiech stał się szerszy. – Właściwie mogę to wyrazić. Mogę sprawić, że poczujesz moją radość tak samo jak ja. Mogę sprawić, że poczujesz to, czego tylko zapragnę. Mogę sprawić, że będziesz chciała mnie pocałować. Mogę sprawić, że będziesz ocierać się o mnie jak pokorny pies.

Znowu umilkł i zaczął ją okręcać, a gdy Simon cofnął się o krok, Eliana poczuła absurdalną, upokarzającą pokusę, by wyciągnąć rękę i przytrzymać go przy sobie pomimo wszystko.

– To okropne, prawda? Kochać kogoś tak głęboko. Kochać kogoś do tego stopnia, żeby całkowicie zatracić siebie, oddać tej osobie wszystko, byle tylko została chwilę dłużej. – W głosie Coriena brzmiała drwina, a pod nią cień współczucia. – Wiesz, ja kiedyś też tak kochałem. Kochałem wiele razy wcześniej, ale nigdy później. Czułem się samotny, na tysiąc lat pozbawiony miłości. Czułem się jeszcze bardziej samotny, wznosząc

imperium na gruzach świata zniszczonego z powodu moich błędów, i to nie raz, a dwa razy.

Corien zatrzymał się teraz tuż przed Elianą. Przyglądał się jej twarzy, a ona rozpaczliwie starała się nie zblednąć pod jego badawczym wzrokiem.

– Powiedz mi, gdzie jest Remy – odezwała się, zaciskając mocno szczęki.

– Nie popełnię tych błędów po raz trzeci – oznajmił, jakby jej nie usłyszał. – Jestem pewien, że już się tego domyśliłaś. Miałem całe wieki, aby zaplanować tę chwilę. Moja nienawiść narastała przez stulecia. Moja nienawiść do ciebie, Eliano, i całego twojego rodzaju. Moja nienawiść do kłamliwej kobiety, którą kochałem. Moja nienawiść do Boga, który skazał mnie na to niekończące się życie pełne wojny, żalu i udręki. – W oczach Coriena był namysł, jego głos brzmiał spokojnie. – Czy potrafisz pojąć, jak dogłębnie cię nienawidzę? Pozwolę ci na razie, żebyś się tego domyślała, aż do chwili, gdy postanowię się podzielić z tobą moimi uczuciami. Nienawidzę cię, a jednak w dziwny sposób cię kocham. To nieznośna sprzeczność, którą pragnąłbym wydrzeć ze swojego umysłu, ale nie mogę, bo tkwi tam i jest częścią mnie. Kocham cię, ponieważ należysz do niej. Nienawidzę cię, ponieważ należysz do niego. – Bez ostrzeżenia chwycił ją za podbródek i obrócił jej twarz w lewo, a następnie w prawo, żeby przyjrzeć się jej uważnie, a ona była zbyt przerażona i zaskoczona, by zareagować. Jego usta wygięły się w lekkim uśmiechu. – Widzę ją tutaj. – Machnął drugą ręką, a jego głos zabrzmiał śpiewnie. – Widzę cię, Rielle! – Potem z żalem wypuścił Elianę. – Masz jej ostry podbródek i kości policzkowe. Ale jesteś smukła, podczas gdy ona była zaokrąglona, i masz ciemniejszą karnację. Masz też jego usta, jego nos. Jego wielkie cielece oczy.

To właśnie wzmianka o Audricu poruszyła Elianę, przebudziła w niej zaskakującą iskrę buntu. Świetlisty, którego znała tylko ze starych pieśni i ukochanych opowieści Remy’ego. Zniszczony posąg nad rzeką w Orline: Świetlisty, dumny i smutny, na grzbiecie chavaila – który dawniej był wierny Krwawej Królowej – spoglądający wraz ze swoim wierzchowcem w stronę wschodzącego słońca.

Eliana najeżyła się, słysząc pogardę w głosie Coriena. „Cielęce oczy”. Jakby Świetlisty był pospolitym zwierzęciem.

– Biorąc pod uwagę twoje wszystkie wspaniałe moce – powiedziała, cedząc słowa przez zęby – zdumiewa mnie, że tyle czasu zajęło ci, by mnie znaleźć. Pojawiłam się w tej epoce osiemnaście lat temu. Twój anielski umysł z pewnością powinien znacznie wcześniej mnie dostrzec. A jednak potrzebowałeś prymitywnego ludzkiego narzędzia, aby przeszukiwało świat i pracowało zamiast ciebie.

Nie zamierzała patrzeć na Simona.

Ale Corien tylko rozłożył ręce dłońmi do góry.

– Oczywiście masz rację. Gdyby nasz świat był taki, jak powinien, gdyby moja ukochana w chwili śmierci nie uszkodziła nieodwołalnie empirium – wskazał swoje atramentowoczarne oczy – znalazłbym cię w kilka godzin. Mój dawny, wspaniały umysł odszukałby cię od razu, gdy leżałabyś w ramionach Rozen Ferracory, i przytrzymał was obie bez ruchu, dopóki nie przybyliby po was moi żołnierze. Oni poderznąliby gardło Rozen, a także Iosephowi, co byłoby ogromną szkodą, ponieważ ze wszystkich ciał, które posiadał Ravikant, Ioseph jest jego ulubionym. Ale być może jedynym powodem było to, że nie mógł się doczekać, aż zobaczy wyraz twojej twarzy, gdy uświadomisz sobie, do czego jest używane ciało twego przybranego ojca. – Złożył dłonie i popatrzył na Elianę z podziwem przesyconym drwiną. – Wiesz, widziałem to. Widziałem wszystko, co

wydarzyło się tamtego dnia. Moi żołnierze są moimi oczami i uszami, a ja widziałem cię na plaży, z lśnącymi dłońmi, biegnącą w stronę morza. Och, najdroższa Eliano, byłaś tak pełna nadziei. To wyglądało naprawdę czarująco. Widziałem twoją twarz, gdy zrozumiałaś, że Ravikant żyje w ciele Iosepha. A potem, kiedy Simon zamknął cię w celi... Cudowny widok. Wspaniały obraz niedowierzania i rozpacz. Prawie jakbym widział, jak łamie się twoje serce. Swoją drogą, zawsze wydawało mi się to dziwnym powiedzeniem. Serce nie może się przecież złamać. Może wybuchnąć, może zostać rozerwane na strzępy, może zostać rozdeptane i rozgniecione na ziemi, ale nie łamie się tak jak kości.

Mówił zbyt szybko, jego bezdenne czarne oczy lśniły. Wydawał się uradowany na jej widok, jak zachwycone dziecko, które znowu spotkało najlepszego przyjaciela. Żołądek Eliany się skręcił. Nie potrafiła powstrzymać krótkiego, pełnego paniki szlochu.

– Proszę – powiedziała, koncentrując się na jedynej rzeczy, o której potrafiła jasno myśleć. – Pozwól mi zobaczyć brata.

Corien zignorował ją i odsunął pasmo włosów, które przylgnęło do jej mokrego policzka.

– Czy możesz sobie wyobrazić, co by było, gdybyś była moim dzieckiem, a nie jego? Urodę twojej matki zmieszaną z moją? Moją anielską urodą, rzecz jasna. Tak jak wyglądałem, zanim pochłonęła mnie Otchłań. Mój Boże. Byłabyś zjawiskowa. A do tego! – Klasnął w dłonie. – Miałabyś skrzydła na plecach, tak jak kiedyś Simon! To cecha Naznaczonych. Czy nie tak, Simonie?

– Tak, Wasza Wysokość – odpowiedział Simon gdzieś z tyłu.

– Zrób, co masz zrobić, i skończmy z tym – warknęła Eliana, czując w oczach gorące łzy. – Zamierzasz mnie skrzywdzić, więc uczyn to.

Uśmiech Coriena zbladł.

– Cóż za rozczarowanie. Wyraźnie odziedziczyłaś po ojcu także brak poczucia humoru.

– Oraz jego brak tolerancji dla okrutnych despotów. – Elianie kręciło się w głowie z przerażenia, ale zmusiła się, żeby patrzeć prosto na niego. – Wiem, o co ci chodzi. Chcesz mnie użyć jako broni, aby w końcu zgładzić ludzkość, czego nie zdołałeś dokonać z pomocą mojej matki. Nie pomogę ci. Będziesz musiał mnie zabić. – Szukała rozpaczliwie argumentów. – Nie możesz mnie zmusić, żebym zrobiła to, czego pragniesz. Nie na taką skalę i nie z mocami, jakimi dysponuję. Gdyby to było możliwe, zrobiłbyś to z Rielle. – Na twarzy Coriena pojawiła się przelotnie złość. Eliana, zaskoczona, uczepliła się tego wątku. – O, proszę. Jest coś w tej mocy, którą ona miała i ja mam. Coś przekraczającego twoje możliwości, coś, czego nie możesz dotknąć.

– Tak się wydaje – odparł spokojnie Corien.

– Musiałeś ją przekonać, żeby dołączyła do ciebie, zanim zaczęła robić to, czego od niej chciałeś – ciągnęła Eliana, ośmielona złością na jego twarzy. – A teraz musisz przekonać mnie, ale nie uda ci się to. Nigdy nie zrobię tego, co ona. Nie pomogę ci zabijać moich pobratymców.

– Och, naiwne i głupie dziecko. – Corien przesunął kciukami po śliskich łukach jej brwi. – Myślisz, że chcę cię użyć do zniszczenia ludzkości? Sam już prawie tego dokonałem. To tylko kwestia czasu, aż pozbędę się reszty z was. Nie, ty będziesz tylko siedzieć i patrzeć, zakneblowana i związana, jak Simon używa mocy, które tak życzliwie pomogłaś mu odzyskać, żeby wysłać mnie w przeszłość, gdzie odnajdę twoją matkę.

Eliana patrzyła na podchodzącego Simona, a cała przywołana wcześniej siła zniknęła w jednej chwili. To jasne. Nie chodziło o jej moce, już nie.

Chodziło o niego.

Zaś ona przebudziła jego moce.

Rozpaczliwie chciała się poderwać, podbiec do niego, ale tkwiła bezradna i nieruchoma na posadzce. Walczyła z więzami, których nie mogła zobaczyć. W jej skroniach eksplodował ból.

Corien zacmokał z niezadowoleniem.

– Oszczędź sobie tego, Eliano. Anielskich łańcuchów nie da się zerwać.

Spróbowała krzyknąć; stłumił jej głos. W pełnym zgrozy milczeniu obserwowała Simona, niecałe trzy kroki od niej, który uniósł ramiona i zaczął wyciągać z powietrza cienkie, blade nici ze światła. Leciutko marszczył brwi i pozostawał nienagannie wyprostowany.

Elia zapłonęła gniewem na ten widok. Dawniej uważała, że jego magia jest piękna. Wspomnienie jego twarzy przepełnionej zachwytem nad własną mocą paliło ją z wściekłością. W jednym krystalicznie czystym momencie cały jej strach został wymazany i zastąpiony twardym, lodowatym ostrzem gniewu.

Dawniej siedziała koło niego w ogrodzie Wierzbowego Dworu i leczyła bliznę na jego piersi. Tulili się do siebie, szeptali o starych ranach i o tym, co im zrobiono. Byli czymś więcej niż ich rany, czymś więcej niż ich gniew.

Dawniej obudziła w nim moce, a on je wykorzystał, aby wysłać ją wiele wieków w przeszłość.

Tym razem było inaczej.

Lśniące pasma wyciągane przez Simona z powietrza pękały przy każdym ruchu. Próbował utworzyć pierścień z unoszących się fragmentów, ale im szybciej po nie sięgał, tym szybciej się rozwiewały i po chwili zniknęły całkowicie.

Na czole Simona perlił się pot. Jego błękitne oczy wpatrywały się w odległy punkt w słabo oświetlonej sali audiencyjnej, gdy sięgnął po

więcej światła, lecz niczego nie znalazł. Komnata była cicha. Simon stał samotnie, z drżącymi ramionami uniesionymi w pustym powietrzu.

Opuścił ręce. Ramiona miał ściągnięte i wyprostowane. Nie patrzył na Coriena.

Ale Corien patrzył na niego, a z jego twarzy zniknęło całe rozbawienie.

– Dlaczego przerwałeś?

– Nie mogę tego zrobić – odparł z trudem Simon.

– Oczywiście, że możesz. Już wcześniej to robiłeś. Dlatego teraz jesteś tutaj, ze mną. Wysłałeś ją w przeszłość, a teraz należysz do mnie. – W oczach Coriena pojawił się ostry błysk. Jego kości policzkowe były jak białe noże ukryte w cieniach. – Zrób to, Simonie.

Simon zawahał się, a później znowu podniósł ręce, ale po dłuższej chwili pełnej napięcia ciszy krzyknął i upadł na posadzkę, drżący i blady. Powietrze pozostawało ciemne. Bez żadnych nici.

W głowie Eliany buzowało przerażenie. Spróbowała się odsunąć, lecz umysł Coriena przytrzymał ją pewnie.

– Jeszcze raz – powiedział chłodno Corien.

Simon posłuchał. Cisza w ciemnej sali była przesycona napięciem. W końcu osunął się na kolana i podparł dłońmi, dysząc ciężko.

– Jeszcze raz.

Simon, nadal klęcząc, podniósł ramiona i napiął wszystkie mięśnie, jakby podtrzymywał dłońmi górę.

Corien stał nad nim i patrzył wzrokiem bez wyrazu, a gdy Simon w końcu podniósł się ciężko i przeszedł kilka kroków, oddychając z trudem, Corien nadal przypatrywał się i nic nie mówił.

Potem jego spokojny, czarny wzrok spoczął na Elianie.

Chciała odwrócić głowę, ale on nie pozwolił jej nawet mrugnąć. Oczy ją piekły, a płuca bolały. Pragnęła zaczerpnąć haust powietrza, lecz mogła

tylko wciągać jego resztki. Spróbowała wrzasnąć, jednak wola Coriena stłumiła jej głos.

– Rozumiem – mruknął w końcu. Przeniósł wzrok z Eliany na Simona, a następnie znów na Elianę. – Rozumiem.

Simon się odwrócił. Oczy miał załzawione i zaczerwienione, skórę woskową.

– Wasza Wysokość, proszę o wybaczenie, nie wiem, co się stało...

– Ja wiem. – Corien podszedł do Eliany i pogłodził ją po policzku. – Wydaje mi się, że bez niej jesteś nikim, Simonie. I wydaje mi się, że ją rozgniewałeś.

Eliana odwzajemniła jego spojrzenie, a w jej sercu triumf rozpałił się jak ogień. Zanim jednak zdążyła spróbować się odezwać, wpadła nieoczekiwanie w gęstą mgłę.

Corien był wszędzie i nigdzie. Słyszała jego szept, ale nie widziała jego twarzy. Była poruszana jak lalka, nogi niosły ją wbrew jej woli. Czuła brutalne, kierujące nią ręce na szyi i ramieniu. Przelotnie dostrzegła błysk słońca, złotą komnatę, szelest czarnej tkaniny. Sylwetkę Simona. Ukryte w cieniu postacie o szybkich ruchach. Echo śmiechu Coriena. Lakoniczne rozkazy: „Dopilnujcie, żeby jadła. Dopilnujcie, żeby spała”.

Przed oczami Eliany pojawiła się wizja: ona sama, śpiąca smacznie w białej koszuli, na białym łożu, w białej wieży, wysoko nad białym wybrzeżem. Wiedziała, że to kłamstwo, i spróbowała mu się opierać, wywalczyć sobie drogę na wolność, lecz wizja była zbyt potężna i zapanowała nad nią.

Była Elianą śpiącą w dziwnym białym łożu, a kiedy śniła, uśmiechała się, zapominała o cierpieniu i była zadowolona.

Chłodna dłoń pogłodziła jej plecy. *Śpij, Eliano. Jak widzę, czeka nas wiele pracy. Więcej, niż można było przypuszczać. Śpij. Śnij.*

Posłuchała.

Audric

Merovec zaczął wzywać magów żywiołów do Sali Świętych, przed swoje oblicze, żeby ich przesłuchiwać. Spośród naszych obywateli i spośród własnych ludzi. Słyszeliśmy, że pyta ich, czy wiedzą, gdzie zniknęła Rielle. Czy rozmawiają z aniołami. Czy są lojalni wobec niego, czy wobec Ciebie. Nie pozwala mistrzom uczestniczyć w tych przesłuchaniach – tylko Archonowi i tylko dlatego, że od swojego wyświęcenia kilka dekad temu przestał używać magii. Nie wiemy, czego świadkiem jest Archon przez te długie godziny. Odo i ja robimy, co w naszej mocy, aby pocieszać rodziny, i potajemnie rozwijamy działalność Czerwonej Korony, ale panuje atmosfera zagubienia i strachu, a my musimy postępować ostrożnie.

– z zaszyfrowanego listu Miren Ballastier do przebywającego na wygnaniu króla Audrica Courverie, 19 listopada 999 roku

Drugiej Ery

W domu Audricowi nie przeszkadzało, gdy nie mógł zasnąć.

Miał swoje książki dające mu pociechę, mógł się zaszyć w królewskich archiwach lub spacerować po ogrodach i katakumbach. Jako dziecko miał swoją kuzynkę Ludivine i najlepszą przyjaciółkę Rielle, które nigdy nie protestowały, gdy zostały obudzone na nocną wyprawę do kuchni w poszukiwaniu słodczy albo miały dołączyć do niego podczas eksploracji nieznanego skrzydła zamku. Baingarde było ogromną starożytną, pełną zakamarków budowlą, której sekrety Audric odkrywał przez całe życie –

w samą porę, jak uświadamiał sobie ironicznie, żeby zostać stamtąd wygnanym.

Poza tym, oczywiście, przez ostatnie miesiące nie mógł czasem zasnąć z czystej radości na myśl o tym, że Rielle leży w łóżku koło niego. Zamykał oczy i wyobrażał sobie ich wspólne życie, złotą przyszłość ciągnącą się całe dekady.

Nocami, gdy Rielle była obok niego, łatwiej mu było ignorować niebezpieczną rzeczywistość zmieniającego się świata.

Tutaj, w królewskim pałacu w Quelbani, nie mógł liczyć na żadną pociechę, a Rielle znajdowała się tak daleko, że dzielący ich dystans był niewyobrażalny.

Próbował do niej sięgnąć. Raz, tamtego okropnego dnia, gdy fanatyczni członkowie Domu Drugiego Słońca odebrali sobie życie przed bramą Baingarde, Ludivine połączyła myśli całej ich trójki. Wtedy Audric uznał, że to była pomyłka popełniona przez Ludivine z nieostrożności wywołanej paniką i zgrozą.

Teraz nie mógł być już niczego pewien.

Być może jednak pozostało coś z tamtej więzi łączącej umysły trzech osób. Jakaś nadwątłona, cienka jak włos nitka, którą zdołałby wykorzystać, gdyby miał szczęście.

Jakby kiedykolwiek w życiu miał szczęście.

Ogarnęła go kolejna fala znużenia. Przestał krążyć niespokojnie po swojej komnacie i zatrzymał się przy oknie. Zamknął oczy, pomyślał o Celdarii: dwunastu ośnieżonych górskich szczytach otaczających Âme de la Terre, zielonych polach środkowej Celdarii, lśniących i poprzecinanych kanałami miastach, które zdobiły południowe wybrzeże.

Rielle? Czuł się niepewnie, zawstydzony, gdy sięgał myślami w głąb wietrznej mazabackiej nocy. *Jesteś tam?*

Czekał w napięciu przez kilka minut. Wysyłał w noc błagania, przeprosiny, wyznania miłości.

Gdzie jesteś?

Czy jesteś bezpieczna?

Rielle, tak bardzo przepraszam.

Kocham cię, najdroższa, i zawsze będę cię kochać.

Światło mojego życia, wróć do mnie, proszę.

Nie nadeszła żadna odpowiedź, a Audric poddał się od razu, ogarnięty gorączkową rozpaczą. W jego umyśle kłębił się z trudem powstrzymywany krzyk.

Odwrócił się od okna, przeczesał palcami włosy, a potem – czując, że daremność jego wysiłków wali się na niego z oszałamiającą siłą – wyszedł szybko na taras, pragnąc koniecznie zaczerpnąć powietrza.

Jakieś pięć metrów dalej Atheria leżała na swoim posłaniu. Audric poprosił mazabackich służących, żeby przynieśli jej poduszki, tak jak robiła to Rielle w domu. Widok był absurdalny – potężna, muskularna boska bestia ulokowana elegancko na stosie obszytego chwościami pluszu, z ogromnymi skrzydłami złożonymi wzdłuż ciała jak pierzasta skorupa. Sprawił, że Audric zatęsknił rozpaczliwie za swoją sypialnią i znajdującą się w niej Rielle, i Atherią tuż za oknem, i jego poddanymi śpiącymi w swoich łóżkach w mieście poniżej. Jego oczy wypełniły się łzami. Stał obok Atherii, opierając się ciężko o kamienną balustradę.

– Teraz może jej już nie być w Celdarii – powiedział i machnął ręką w kierunku północnym. – Może być gdziekolwiek. Może wysyłam swoje myśli w niewłaściwe miejsce. Najprawdopodobniej nie mogę wysyłać moich myśli, nie tak jak ona, nie tak jak oni, i jestem głupi, że w ogóle próbuję.

Atheria przycisnęła nos do jego biodra i rozděła nozdrza.

– Powinienem poprosić Lu o pomoc, ale nie chcę jej o nic prosić.

Atheria zachrapała cicho i z zaciekawieniem, po czym oparła pysk na balustradzie koło jego łokcia, tak jakby wyczuwała, że powinna go pocieszyć, lecz nie miała ochoty rozstawać się z poduszkami.

Audric mówił dalej z westchnieniem zmęczenia.

– To jednak wydaje się tym rodzajem uporów, z którym należy walczyć, a nie pozwalać, żeby nade mną zapanował. – Spojrzał na Atherię. – Czyż nie tak?

Chavail na moment przestał zwracać na niego uwagę i prychnął na białą ćmę, która wylądowała na jego nodze.

– Właśnie. Dziękuję za przemiłą rozmowę.

Zirytowany na świat i zirytowany na siebie za tę irytację, zaczął znowu krążyć, tym razem po tarasie. Jego zmęczenie było tak wszechogarniające, że nie czuł się dobrze we własnym ciele, jakby dręczyły go pragnienie i zawroty głowy. Nie wyspał się porządnie, od kiedy cztery dni temu przybyli do Quelbani, i prawie nic nie jadł. Jego sny były nieokreślone i złowróżbne; za każdym razem budził się z imieniem Rielle na ustach.

Dźwięk rogu zapowiedział statek wpływający do pobliskiego portu. Audric spojrzał uważniej na rozjaśnione latarniami wybrzeże i w końcu zobaczył okręt na ciemnej wodzie – pękaty i zwyczajny, podświetlony blaskiem przedświt. W porcie zapanował ruch. Ludzie biegali, zapalano kute latarnie.

Ludivine przysłała radosną myśl: *To Sloane wraz z Evelyne i słonecznymi gwardzistkami. Wszystkie są całe i zdrowe.*

Audric stał bez ruchu przy balustradzie i patrzył, jak statek niosący kolejnych wygnańców z Celdarii zbliża się do brzegu. Wygnańców, którzy pozostali wierni jemu, zaryzykowali życie i opuścili ojczyznę, żeby go

wspierać. Wiedział, czego oczekują – chcą mu pomóc odzyskać tron, odnaleźć Rielle.

Audric zrozumiał, że nie może sobie wyobrazić żadnej z tych rzeczy. Jego umysł był obezwładniony rozpaczą; nie potrafił jasno myśleć i nie chciał tego robić. Był przekonany, że mglisty, zaciskający się ból nigdy nie przeminie, i zaczął się z tego cieszyć, ponieważ gdyby ten ból zniknął, mógłby zabrać wraz ze sobą punkt zakotwiczenia. Wtedy Audric się rozsypie, po prostu rozpułynie i przestanie istnieć – co nie było najokropniejszym losem, jaki potrafiłby sobie wyobrazić.

Najokropniejsza rzecz już się stała.

Podszedł spokojnie do drzwi komnaty i sprawdził, czy są zamknięte na klucz.

Dopilnuj, proszę, żeby zostały dobrze nakarmione, pomyślał. Nie zwracał się do Ludivine, ale wiedział, że ona i tak go słyszy, jego podstępna, ukochana kłamczuszka. A także dostały wygodne miejsce do spania oraz pomoc uzdrowicieli, jeśli to konieczne.

Co się stało? Coś w jego głosie ją zaniepokoiło.

Straciłem kobietę, którą kocham, a także dom, który kocham, pomyślał. Obawiam się też, że zanim to wszystko się skończy, będę musiał wybierać pomiędzy nimi.

Ludivine milczała bardzo długo. *Zamierzasz zrobić sobie krzywdę?*

Roześmiał się na głos z goryczą. *Czy nie byłabyś pierwszą osobą, która by o tym wiedziała?*

Szczerze mówiąc, myślał o takiej możliwości, ale na razie nawet myślenie wymagało więcej wysiłku, niż był w stanie w to włożyć. Wrócił do łóżka i ściągnął tunikę oraz spodnie. Stał i patrzył na siebie w wysokim stojącym lustrze, aż nie mógł dłużej znieść własnego widoku – smukłych brązowych kończyn, nieporządnej strzechy ciemnych kędziorów,

przetłuszczonych i zmatowionych, cieni pod oczami, popękanych warg. Widział siebie takim, jakim musiał go widzieć Corien, a także Merovec i mazabackie królowe – był nieudolny. Mały. Tchórzliwy. Błady i nijaki przy niezrównanej Rielle. Zwykły człowiek, uległy i naiwny. Ktoś odebrał mu tron, a on uciekł i pozwolił na to.

Nazywali go Świetlistym, ale w swoich ciemnych, lśniących od łez oczach nie widział żadnego światła, ani śladu króla, którym kiedyś pragnął się stać. Pomyślał o Illumenorze, ciemnym i nieruchomym koło łóżka, i zastanowił się, czy nie cisnąć go do morza. Świat przed jego oczami się zaszklął, a gardło wypełniło gorącymi łzami, gdy Audric położył się do łóżka i zamknął oczy. Nie przypuszczał, żeby udało mu się zasnąć, lecz ten bezruch przynajmniej dawał mu spokój. Sprawiał, że jego kończyny były ciężkie.

Uznał, że gdyby mógł tak zostać na zawsze – nawet jeśli to oznaczało, że nie opuści tego łóżka, nie zobaczy nigdy Rielle, nie postawi stopy na celdaryjskiej ziemi – byłby zadowolony, ponieważ prawdopodobnie oszczędziłby w ten sposób wszystkim mnóstwa kłopotów.

Po co z tym walczyć? Posłał tę myśl do Ludivine, nie spodziewając się i nie pragnąc odpowiedzi, a potem pozwolił, by żal pochłonał go jak wzbierająca czarna woda.

Audric obudził się zaledwie dwie godziny później, gdy na jego głowę spadła potężna fala lodowato zimnej wody.

Poderwał się z jękiem, otworzył szeroko oczy i usiłował zrozumieć, co się dzieje. Ledwie zdążył przetrzeć oczy, gdy to się powtórzyło – chluśnięto na niego z góry zimną wodą.

Przemoczony, próbował wyskoczyć z łóżka i sięgnąć po Illumenora, ale przesiąknięta wodą pościel zaplątała mu się wokół nóg, co sprawiło, że

Audric zachwiał się, gdy tylko wstał. Syknął przekleństwo, łapiąc się słupka łóżka.

Okręcił się na pięcie z nagłym przypływem wściekłości. Było przed południem, słońce wlewało się przez okna, a jego ciało lśniło od tego blasku. Złość kierowała gorąco i światło do jego dłoni, które świerzbily, by sięgnąć do miecza.

– Ubierz się – warknął znajomy głos. – Robisz z siebie widowisko w obecności księżniczki.

Audric odgarnął mokre włosy z twarzy, zamrugął i zobaczył dwie osoby stojące kilka kroków od łóżka. Jedną z nich była Sloane Belounnon, Wielka Mistrzyni Domu Nocy – siostra Tala, wybitnie uzdolniona zaklinaczka cieni, teraz wyraźnie poirytowana. Nadal miała na sobie wytworny, czarno-niebieski strój, który założyła wiele dni temu na uroczystości ślubne, chociaż teraz materiał był przybrudzony po podróży, podobnie jak jej blada twarz. Gładkie, sięgające do ramion czarne włosy związała niedbale na karku.

Koło niej – uśmiechnięta, z formami na nadgarstkach wibrującymi jeszcze po niedawnym użyciu – stała księżniczka Kamayin Asdalla z ciemnobrązową skórą i włosami jak miękka czarna chmura. Pod wyprasowanym białym kaftanem miała mieniącą się suknię przytrzymywaną w talii cienkim złotym łańcuszkiem.

Pomachała do niego, pełna satysfakcji.

– Dzień dobry.

Audric owinął się w talii mokrą pościelą. Tylko przelotnie rozważył jakieś pełne godności powitanie.

– Za co to było?

– Ponieważ wiedziałeś, że przypłynęłyśmy, ale nie przyszedłeś, żeby nas powitać – oznajmiła oschle Sloane. – Słoneczna Gwardia przez całą

podróż zamartwiała się i poganiała nas, bo pod nieobecność Słonecznej Królowej pragnęła chronić ciebie, Świetlistego. A gdybyś mógł ujrzyć wyraz twarzy Evyline, gdy jej powiedziano, że nie, król Audric nie przyjdzie jej przywitać, gdyż jeszcze śpi i nie życzy sobie, by mu przeszkadzano... Mogłabym cię spoliczkować. Ta kobieta pokochała ciebie i Rielle, jakbyście byli jej własnymi dziećmi, i pozostawiła w Âme de la Terre rodzinę, przyjaciół i całe swoje życie, żeby ci pomagać. One wszystkie tak zrobiły, a ty tak im dziękujesz za to poświęcenie?

Audric na chwilę zaniemówił. Miała oczywiście rację, a on wstydził się tak bardzo, że aż się skulił. Odrętwienie, na chwilę przepędzone gwałtownym przebudzeniem, powróciło, on zaś uświadomił sobie, że nie obchodzi go, czy księżniczka Kamayin widzi go nago. Wypuścił pościel i podniósł spodnie.

– Słucham? – W głosie Sloane dzwięczała niecierpliwość. Zawsze to ona była ostrzejsza, a Tal łagodniejszy. – Co masz do powiedzenia na swoją obronę?

Wzruszył ramionami, zmęczony, lecz zdecydowany.

– Nie mogę się z nimi zobaczyć.

– Nie możesz się z nimi zobaczyć – powtórzyła głucho Sloane. – Co to ma niby oznaczać? Jak śmiesz gadać do mnie takie brednie?

Kamayin uniosła wysoko brwi.

– Gdyby ktokolwiek odezwał się w taki sposób do moich matek, spędziłby resztę życia w lochach.

– Sloane zna mnie od urodzenia – wymamrotał Audric i naciągnął tunikę. – Zawsze się tak do mnie odzywa.

– Tylko wtedy, gdy na to zasługujesz. – Sloane splótła ręce na piersi. – Co to znaczy, że nie możesz się z nimi zobaczyć?

– To znaczy... – Urwał.

Jak właściwie miał wyjaśnić, że gdyby zobaczył wierne strażniczki Rielle, czyli Evyline, Farę, Ivaine i Maylis, miałby wrażenie, iż stracił ją na nowo? Jak miał opisać narastającą w nim mroczną falę, coraz wyższą i wyższą, zacierającą wszystkie myśli i uczucia, sprawiającą, że stawał się wymazany, odrętwiały, nieważny? Albo swój gniew na Ludivine za jej manipulacje, swój gniew na Rielle za to, że go porzuciła, swój gniew na siebie za to, że ją odepchnął. A co najważniejsze, swój gniew na Coriena, pozostający odległym uczuciem, tak gigantycznym i buzującym, że jego umysł nie potrafił tego ogarnąć, więc koncentrował się na bliższych rzeczach, słabszym gniewie, mniejszych lękach? Audric popatrzył bezradnie na Sloane.

– Nie mogę się z nimi zobaczyć – powtórzył szeptem, a wyraz twarzy Sloane odrobinę się zmienił. Złagodniała. Tylko trochę, ale niewątpliwie.

Skinęła powoli głową i uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami.

– Powinieneś się jeszcze przespać. – Podeszła do niego, poprawiła kołnierzyk tuniki, obejrzała ociekające wodą włosy i oświadczyła z życzliwszym uśmiechem: – Muszę przyznać, że wyglądasz okropnie. Wrócę po południu, żeby pomóc ci się przygotować przed jutrzejszym dniem.

– Jutrzejszym dniem?

– Mamy się spotkać z królowymi. Ty, ja, Ludivine, Słoneczna Gwardia, królewscy doradcy i mazabaccy mistrzowie. To będzie narada wojenna.

– Jeszcze ja – wtrąciła Kamayin i poruszyła nadgarstkami, a jej formy zawibrowały. Rozlana woda wyparowała, po chwili łoże było suche. – Ja także tam będę.

– Nie spotkam się z nikim – odparł bez zastanowienia Audric. Sama myśl o tym, że miałby się wystawić na te wszystkie badawcze spojrzenia, sprawiała, że miał ochotę zasnąć i się nie obudzić.

– Niech i tak będzie. Jak rozumiem, Merovec pozostanie na twoim tronie, Corien zniszczy nas wszystkich, a ty będziesz przez ten czas ukrywał się tutaj, w swoim łóżku, i nie będziesz czytał raportów Miren, podczas gdy ona i wszyscy inni w naszej ojczyźnie będą żyć w niepewności, zagubieni i przerażeni.

Z tymi słowami Sloane wymaszerowała z komnaty, a gdy Kamayin bez słowa poszła w jej ślady, w piersi Audrica wezbrała dziwna potrzeba bliskości drugiej osoby. Pomyślał o wezwaniu Ludivine i natychmiast z tego zrezygnował.

– Zaczekaj, proszę – powiedział.

Kamayin obejrzała się na niego z ciekawością.

– Jestem... – Umilkł, z trudem szukając słów. Nie był w stanie dłużej stać, więc usiadł na dywanie i oparł się plecami o łóżko. – Możesz trochę ze mną posiedzieć? Jeśli masz jakieś pilne obowiązki, zrozumiem to.

– Jestem księżniczką – odrzekła nie bez pewnej życzliwości. – Nie lekarką ani jedną z twoich służących. Poza tym prawie się nie znamy.

– Wiem.

– Nie wolałbyś, żeby posiedziała z tobą lady Ludivine?

Nie potrafił powstrzymać mrocznej nuty w swoim głosie.

– Nie. Nie chcę jej w tym momencie oglądać.

Kamayin skinęła głową.

– Zawsze się obawiam, że ona grzebie w moim umyśle.

– To uzasadniona obawa.

– Ale mimo to ją kochasz.

– Oczywiście.

Kamayin wypuściła powietrze z płuc. Później usiadła obok Audrica i przyciągnęła kolana do piersi.

– To naprawdę okropne, co się dzieje. Co się może stać. Z nami wszystkimi.

Audric oparł się głową o słupek łóżka.

– Wiem.

– Czytam wszystko, co napisano o wojnach anielskich, wraz z moim przyjacielem Zuką. Wiesz, żeby się przygotować. Nie pomijam tych makabrycznych kawałków. Czytam wszystko. Mam lekką obsesję na tym punkcie. Nigdy nie widziałam wojny.

– Przykro mi, że być może będziesz musiała ją zobaczyć.

Kamayin przez chwilę milczała. Potem odezwała się ciszej:

– Okropne jest także to, co spotkało ciebie. Gdybym była na twoim miejscu, gdyby odeszła moja ukochana osoba i odebrano mi ojczyznę, nie wychodziłabym z łóżka przez rok. Co najmniej. Doradcy mojej matki musieliby mnie z niego wywlec siłą.

– A gdyby polali cię wodą we śnie?

– Nie odważyliby się – odparła spokojnie. – Obawialiby się zrobić coś takiego, i to całkiem słusznie.

Audric uśmiechnął się leciutko i nie odpowiedział. Nie wydawało mu się, żeby musiał cokolwiek mówić. Przynosiło mu ulgę, że może siedzieć w milczeniu obok kogoś, kto wyraźnie bez problemu sam podtrzymywał rozmowę. Osoby, która rozumiała przyczyny jego żalu, ale sama ich nie odczuwała i nie żądała, by on się tłumaczył.

Zasnął, a kiedy się obudził zeszytywniały na podłodze, było już ciemno, a Kamayin zniknęła. Zostawiła mu jednak na stoliku przy łóżku równy stosik książek z karteczką: *To z mojej prywatnej biblioteczki. Powieści ze szczęśliwymi zakończeniami. Jeśli zagniesz jakiś róg albo podrzesz choćby jedną stronę, nie będziemy już przyjaciółmi.*

Audric sięgnął po książkę leżącą na wierzchu – *Jastrzęb i gołębica*. Później usiadł na łóżku, przytulił tom do piersi i długo wdychał zapach papieru i atramentu, myśląc o domu.

Pomimo gróźb Sloane Audric następnego dnia nie poszedł na naradę.

Jej zrozumiała furia sprawiła, że jeszcze bardziej brzydził się samego siebie. Był jeszcze bardziej wściekły na swoją niezdolność zmierzenia się z tym, co musi nadejść, i jeszcze głębiej zapadał się w toksyczny wir rozpaczy. Wiedział, że użala się nad sobą, ale i tak nie potrafił się pozbierać. Wiedział, że spacer na świeżym powietrzu dobrze by mu zrobił, lecz odmawiał opuszczenia kokonu z niewypranej pościeli. Zaczął się zastanawiać, czy pewnego dnia Sloane naprawdę nie wyciągnie go siłą z łóżka, uznał jednak, że upłynie jeszcze trochę czasu, zanim ona tego spróbuje.

Znacznie łatwiej było odwracać się plecami do wyrazu rozczarowania malującego się na jej twarzy i udawać, że jej tam nie ma, więc dokładnie tak robił.

Czwartej nocy po przybyciu Sloane i Słonecznej Gwardii Audric przebudził się z lepkiego, niespokojnego snu, ponieważ usłyszał dziwne szuranie.

Zamrugął sennie i zobaczył łeb Atherii spoczywający na materacu obok jego wyciągniętej ręki. Ulokowała się na podłodze obok łóżka i wpatrywała w niego ogromnymi ciemnymi oczami.

– Śpisz teraz tutaj ze mną? – zapytał cicho.

Atheria dmuchnęła gorącym oddechem na jego palce. Uwielbiał jej prykanie, jej skrzeczenie rano, gdy spoglądała w niebo i naśladowała wołanie ptaków. Wiedział, że gdyby chciała, mogłaby mu odgryźć rękę ogromnymi zębami drapieżnika, ale w ciszy i ciemności leżała obok niego spokojnie jak ciepły, znajomy ciężar.

Tej nocy śnił o tym, że leci na Atherii. Kierowali się na wschód, w stronę słońca; był zmęczony i bolało go serce, lecz pewnie trzymał miecz w dłoni.

Audric nie przyszedł także na drugą naradę wojenną. Wiedział, kiedy się odbyła; Sloane przychodziła codziennie, żeby mu o tym przypomnieć. Na zmianę karmiła go i nalegała. Tylko raz zniżyła się do błagania.

– Merovec nie będzie wiedział, co zrobić, gdy on na nich napadnie – powiedziała cicho. Oboje wiedzieli, o kim mowa. – Wydaje mu się, że może pokonać aniołów, ale nie zna ich tak jak ty. Jest twardy, nieustępliwy. Nie zna też Rielle. – Sloane przykucnęła przy nim z oczami lśniącymi od łez. – Audricu, może nadejść dzień, gdy ona zwróci się przeciwko Celdarii. Wiesz o tym. Ty ją znasz. Kiedy ten dzień nadejdzie, możesz być jedyną osobą zdolną ją powstrzymać.

– Nie skrzywdzę jej – rzekł głosem tak ochrypłym i pełnym furii, że zaskoczyło go to tak samo, jak zaskoczyło Sloane. – Nie proś mnie o to. Możesz prosić o cokolwiek, ale nie o to. Jeśli jeszcze raz to powiesz, nigdy ci nie wybaczę. Zresztą niech cię szlag, Sloane, za to, że cały czas zachowujesz się tak bezdusznie.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, a później coś w niej pękło, jakby zobaczyła go wyraźnie po raz pierwszy i w końcu dotarło do niej, jak bardzo jest rozczarowana. Wstyd piekł go jak ogień; czuł odrazę do samego siebie.

Potem przez wiele dni Sloane nie zaglądała do niego, aż wreszcie coś niewyjaśnionego wydarzyło się pewnego dnia rano, gdy Audric obudził się po kilku godzinach niedającego odpoczynku snu. Minęło osiemnaście dni od przybycia grupy z Celdarii. Prawie miesiąc, odkąd po raz ostatni widział Rielle.

Audric wstał z łóżka z uczuciem spokoju ducha, które wydało mu się niepokojące jak złowieszcza cisza na morzu przed huraganem. Stał w milczeniu na środku sypialni, bosy i półnagi, i wiedział, że znajduje się na rozstajach. Po jednej stronie była trzecia narada wojenna, która miała się zacząć za godzinę na dole. Mógł się ubrać i umyć, przystrzyc brodę, która urosła nieporządnie. Mógł wziąć udział w tej naradzie i tym samym zmierzyć się z niewyobrażalnym, nieuchronnym rozstaniem majaczącym na horyzoncie.

Po drugiej stronie był koniec. Mógł odebrać sobie życie i pozwolić, żeby pozostali zajęli się całą resztą na własną rękę.

Zastanawiał się nad tą koncepcją, badał ją, jak uzdrowiciel ogląda ranę wymagającą zaszycia. Przez kilka długich minut się wahał. Atheria obserwowała go uważnie z tarasu, zajęta śniadaniem, ze zmasakrowaną zdobyczą pod nogami.

W końcu Audric odetchnął powoli i głęboko, a następnie poszedł do łazienki. Ochlapał twarz wodą, przyjrzał się włosom i potarł zarośnięte policzki.

„Podoba mi się, jak szybko rośnie ci broda”, powtarzała Rielle przy wielu okazjach, wpatrując się w niego rozmarzonym wzrokiem. Uwielbiała ocierać swoje gładkie policzki o jego szorstki zarost. „Mój cudowny, piękny, szlachetny król-niedźwiedź”, powiedziała raz, pijana winem i jego bliskością, a on wybuchnął śmiechem i całował ją, aż oboje stali się drżący i gotowi.

Jego odbicie w lustrze uśmiechnęło się blado.

Czterdzieści pięć minut później, ubrany w pożyczone rzeczy wiszące na nim luźniej niż miesiąc temu, stąpając niepewnie jak nowo narodzony żreback, Audric otworzył drzwi sali narad królowej Bazati, spojrzał na Evyline – z kwadratową szczęką, siwymi włosami i twarzą rozjaśnioną

nagłą nadzieją – i skinął jej głową. Ból i żaloba nadal w nim tkwiły i miały pozostać już na zawsze, a on domyślał się, że w niektóre dni podniesienie się z łóżka będzie dla niego niewyobrażalną torturą.

Dzisiaj jednak stał prosto.

– Przepraszam – powiedział do Evyline i do nich wszystkich, stanowczo ignorując blady profil Ludivine po lewej stronie. – Potrzebowałem czasu. Jestem gotowy.

Eliana

Jako mag żywiołów musisz nauczyć się panowania nad sobą, jakiego inni ludzie, niezdolni dotknąć empirium, nie będą nigdy potrzebować. Twoje ciało – każdy mięsień, każda myśl, każde uczucie – jest nierozzerwalnie powiązane z najgłębszą tkanką świata. Niepohamowany gniew może wybuchnąć i roztrzaskać okno, cisnąć nożem kuchennym. Twoja rozpacz może sprawić, że pod stopami twojej matki pęknie ziemia.

*– Droga do empirium. Medytacje o praktykach magów żywiołów
Velii Arrosary, Wielkiej Mistrzyni Firmamentu w Orline, stolicy
Ventery, 313–331 rok Drugiej Ery*

Kiedy Eliana się obudziła, znajdowała się w białej komnacie ze swoich snów.

Krokwie w kolorze pereł i kości słoniowej zbiegały się w dziewięciu punktach na suficie i przypominały pęki wybielonych łodyg. Łoże było ogromne i przykryte białą pościelą. Na jego słupkach rozpięto jasne, muślinowe zasłony. Posadzka została zrobiona z polerowanego białego kamienia. Przy najbliższym oknie dwa misternie wykonane fotele stały naprzeciwko siebie w oczekiwaniu na rozmowę.

Wazony szkarłatnych kwiatów umieszczono koło jej łóżka, pod oknem i na małym stole jadalnym, a ich poskręcane czerwone płatki były jedynymi plamami kolorów w tym wnętrzu.

Eliana przyglądała się temu wszystkiemu z uśmiechem. Cóż za prześliczną komnatę podarował jej imperator. Z jakim smakiem ją

udekorował i jaką troskliwością się wykazał, przydzielając jej tyle służących, gdyby potrzebowała w czymkolwiek pomocy.

Było ich dziesięć, stojących pod jasnymi ścianami milczących kobiet o szklistych oczach. Miały krótko przycięte włosy i białe szaty zasłaniające je od szyi do stóp.

– Dzień dobry! – zawołała pogodnie Eliana. Przeciągnęła się i ziewnęła, a potem usiadła na łóżku i wystawiła się na chłodne powietrze. Ktoś ją wykapał i ubrał w cienką białą koszulę nocną. Imperator był wyjątkowo hojnym gospodarzem. Zastanawiała się z roztargnieniem, czy wszyscy aniołowie są tak życzliwi.

Odkryła, że poza sypialnią ma do dyspozycji salonik, bawialnię, łazienkę i garderobę. Wszystkie pomieszczenia miały ściany w odcieniach bieli – kremowy, kość słoniowa, wanilia, chmury, śnieg i piasek. Zasłony były odsunięte, do wnętrza wpadał blask słońca. Z czerwonych kwiatów unosił się ostry, słodki zapach, tak silny, że Elianę mrowił język.

Zanurzyła twarz w płatkach i wzięła głęboki wdech.

Później poszła do łazienki w poszukiwaniu lustra. Jeśli ma się dzisiaj spotkać z Corienem, powinna wyglądać stosownie. Nie mogła jednak znaleźć lustra ani grzebienia, ani biżuterii, ani szpilek do włosów.

– Dziwne – powiedziała na głos, a potem wzruszyła ramionami i zapomniała o tej myśli.

Podwójne drzwi umożliwiały wyjście z jej apartamentu – dwa ogromne skrzydła z białego kamienia, na których wryto idealnie symetryczne romby.

Eliana popchnęła drzwi, które otworzyły się bezgłośnie.

Na zewnątrz zobaczyła szeroki i jasny korytarz. Po obu stronach znajdowały się otwarte okna z trzepoczącymi koronkowymi firankami. Za

oknami rozciągała się zieleń i kwiaty. Z pogodnego błękitnego nieba dobiegał śpiew ptaków.

Eliana radośnie wędrowała przed siebie pustymi białymi korytarzami. Słońce grzało jej bose stopy. Chwytała palcami migoczące drobinki kurzu.

W końcu stanęła przed pojedynczymi uchylonymi drzwiami w ścianie pokrytej błyszczącą, jasną boazerią.

Jej serce wezbrało na ten widok, chociaż nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego, a kiedy otworzyła drzwi, krzyknęła radośnie, ponieważ ujrzała Simona siedzącego przy biurku i opierającego stopy na parapecie. Obejrzał się i uśmiechnął szeroko. Wstał, podszedł do niej trzema długimi krokami, a ona spotkała się z nim w plamie słońca na środku komnaty. Gdy zarzuciła mu ramiona na szyję, on ją podniósł i wtulił twarz w jej włosy.

– Jesteś – powiedział, a ona poruszyła się radośnie w jego ramionach i odsunęła, żeby przyjrzeć się jego twarzy.

Zamarła.

To było nie tak. Wszystko było nie tak.

Ta twarz, tak gładka i uśmiechnięta, nie należała do Simona. Eliana teraz sobie przypomniała, że powinien mieć blizny. Miał blizny na całym ciele, po oparzeniach i cięciach. Mężczyzna, który trzymał ją w ramionach, był zdrowy i szczęśliwy. Żaden cień nie majaczył w intensywnym błękitcie jego oczu. Uśmiechał się ciepło i swobodnie.

– Nie – szepnęła i cofnęła się od niego.

Wypuścił ją i zmarszczył brwi.

– O co chodzi, kochanie?

Odwróciła się do drzwi i wrzasnęła:

– Nie!

Obudziła się w białej komnacie mokra od potu. Słońce zniknęło. Był środek nocy.

Po drugiej stronie, w fotelu pod oknem, siedział Corien, posrebrzony blaskiem księżyca.

– To nie było prawdziwe – powiedziała Eliana, patrząc na niego. Czuła w gardle pulsowanie serca. Nawet teraz, gdy rozumiała, że ten sen był stworzonym przez niego kłamstwem, żałowała, że się obudziła, i jednocześnie nienawidziła siebie za ten żal.

Nadal czuła obejmujące ją ręce Simona i pamiętała uczucie lekkości w sercu, z jakim wędrowała po tamtych słonecznych korytarzach.

Łzy napłynęły jej do oczu. Poczuła w piersi bolesną tęsknotę. W żołądku obudziło się ukłucie głodu – nie jadła, od kiedy pierwszy raz obudziła się w tej komnacie, od kiedy zdarła sobie skórę z pięści, tłukąc nimi w zamknięte drzwi.

– To nie było prawdziwe – wyszeptała raz jeszcze.

Corien wzruszył wymownie ramionami i wstał.

– Mogłoby być – oznajmił i pozostawił ją samą, z wpatrującymi się w nią strażniczkami.

Kiedy Eliana się obudziła, stała na białym brzegu.

Lekkie, ciepłe fale omywały jej stopy. Piasek był miękki, a za jej plecami, na wydmach, kępy cienkich i jasnych traw szeleściły cicho na wietrze. Czuła w ustach smak soli. Powietrze było czyste i lekkie. Wyciągnęła ramiona, żeby je poczuć, i wspięła się na palce. Może wzniesie się w powietrze. Była dość szczęśliwa, aby to zrobić.

– El!

Odwróciła się z uśmiechem.

Remy zbliżał się ścieżką pomiędzy wydhami, pod rękę z chłopakiem o ciepłych oczach, z jasnobrązową skórą i ciemnymi długimi włosami związanymi na karku. Remy ucałował go w policzek, a potem podbiegł do Eliany, niosąc koszyk. Patrzyła na niego z czułością. W wieku siedemnastu

lat był najbardziej kościstym chłopakiem, jakiego w życiu widziała, i wydawał się wyższy, niż zapamiętała. Czy urósł od rana, kiedy poszedł na targ? Morska bryza zmierzwiła jego ciemne włosy. Jego oczy były bardziej błękitne niż niebo.

Uśmiechnął się do niej z góry i podał jej koszyk.

– Pamiętałem.

Podniosła pokrywę kosza i zobaczyła pełno truskawek, lśniących i czerwonych jak krew. Gdy ugryzła jedną z nich, smak wypełnił jej usta idealną kombinacją słodczy i cierpkości.

Westchnęła i przymknęła oczy.

– Mogłabym umrzeć ze szczęścia.

Ciepłe dłonie objęły ją w talii i czule przyciągnęły do szerokiej piersi.

– Proszę, nie umieraj – mruknął Simon. – Zostań ze mną.

Odwróciła się do niego z uśmiechem.

– Są wyborne – powiedziała.

Simon zjadł owoc, który mu podała; jego zęby musnęły jej skórę, a ona zadrżała z rozkoszy, ale zaraz potem wyczuła w powietrzu dziwny zapach. Ostrą słodczy, która nie pasowała do otoczenia.

– Co to jest? – zapytała, zanim jeszcze rozpoznała woń kwiatów, duszącą i znajomą.

Krzyknęła, wyrwała się z objęć Simona, zignorowała Remy'ego wołającego jej imię i uciekła.

Obudziła się nie w łóżku, lecz na ramieniu Coriena. Szli razem pod kolumnadą w jego pałacu, z widokiem na Elysium. Białe iglice sięgały do nieba. Suknia z czarnego aksamitu obszytego złotem muskała czule jej stopy przy każdym kroku.

Pomyślała o morzu, miękkiej plaży, promiennym uśmiechu Remy'ego.

Corien wskazał laską pobliską wieżę z dachówkami z brązu i uskrzydłonymi postaciami wykutymi z białego kamienia. Wypolerowany szkarłatny klejnot na czubku laski lśnił jak złowrogie oko.

– To jest Wieża Śpiewających Niebios – rzekł lekko. – W Patrii, w Mieście Niebios, gdy anioł umierał, chóry świątynne wznosiły się w niebo i śpiewały treny przez trzy dni bez ustanku. Gdybyś tylko mogła to usłyszeć, Eliano. Gdybyś tylko mogła nas zobaczyć u szczytu naszej chwały.

Chciał, żeby szlochała, zawodziła i błagała, ale Eliana nie zrobiła tego nawet po powrocie do komnaty. Ostatecznie nie była tam naprawdę sama.

Nigdy już nie będzie naprawdę sama.

Kiedy Eliana się obudziła, znajdowała się w domu przypominającym jej dom w Online.

Wysoki i wąski budynek ze wszystkimi oknami otwartymi, by wpuścić poranek. Podłogi z wypolerowanych kafelków, grube dywany w salonie, sypialniach, gabinecie jej ojca.

Zastała Iosepha Ferracorę w kuchni, krojącego warzywa i nucącego pod nosem. Eliana obserwowała go z uśmiechem. Wiele czasu minęło, odkąd widziała go takiego, odprężonego i przygotowującego śniadanie. Spędził tyle lat na wojnie, ale teraz był w domu, a ona nie mogła oderwać od niego wzroku. Był blady, miał strzechę ciemnych włosów jak Remy, a także upartą, kwadratową szczękę i szerokie ramiona. Ktoś, kto by go nie znał, nie podejrzewałby go o choćby cień gracji i łagodności, lecz Eliana знаła prawdę.

Potrafił rzeźbić misterne, malutkie figurki – leśne zwierzęta z nogami jak patyczki, świętych w togach, z aureolami z gwiazd. Kiedy budziła się z koszmarne snu o wojnie, która omal nie odebrała mu życia, on tulił ją czule, jakby była niemowlęciem.

Ioseph odłożył nóż, a Eliana podeszła do niego od tyłu i uściskała go – objęła ramionami szeroką pierś, przyciskając policzek do jego pleców. Kiedy się roześmiał, poczuła to we własnych żebrach.

– A to z jakiej okazji? – zapytał, przyciągając ją do przodu, żeby na nią spojrzeć.

Popatrzyła na jego surowe rysy i zarost na policzkach. Miała wrażenie, że twarz jej się rozpęknie od szerokości uśmiechu.

– Z żadnej – odpowiedziała. – Z każdej. Tęskniłam za tobą, tatusiu.

– Wiem, moje kochanie – skwitował i pocałował ją w policzek. – Ale to już przeszłość. Jesteśmy razem. Jesteśmy rodziną i nic nam nie grozi.

W pokoju obok rozległ się radosny pisk, który sprawił, że usta ojca Eliany drgnęły w uśmiechu. Podniósł nóż i machnął nim w stronę drzwi.

– Zajmij się lepiej tym swoim mężczyzną – ostrzegł Ioseph ze śmiechem w głosie. – On i Remy obudzą wszystkich sąsiadów.

Eliana się odwróciła i zobaczyła Remy'ego wbiegającego do kuchni i Simona depczącego mu po piętach. Simon złapał chłopca i podniósł, a Remy zaczął się śmiać i tłuc go pięstkami w ramiona.

– On oszukiwał, El! – krzyknął Remy. – Oszukiwał w karty, a ja go przyłapałem!

– Och, nigdy w życiu bym cię nie okłamał – zapewnił Simon z kamienną powagą, a potem, nad głową chłopca, mrugnął porozumiewawczo do Eliany, która zachwiała się ze szczęścia u boku ojca.

Kiedy jednak patrzyła, jak przekomarzają się ze śmiechem, czuła, że coś jest nie tak. Ioseph podszedł do nich z udawaną surowością, kładąc ręce na biodrach, i powiedział coś, czego Eliana nie usłyszała, ponieważ nagle coś odwróciło jej uwagę. Patrzyła na plecy ojca, na Simona, który postawił Remy'ego na ziemi i poczochnął mu włosy, i uświadomiła sobie, o co chodzi. To jej nie pasowało.

Remy był za mały. Był znowu malutkim dzieckiem, nie kościstym nastolatkiem, którego znała. Zaś twarz Simona była gładka i pełna światła, spod jego oczu zniknęły cienie, a Ioseph...

– Ojczy? – zapytała cicho.

Nie odpowiedział. Stał odwrócony do niej tyłem, ale coś było nie tak, przynajmniej tak jej się wydawało, więc musiała popatrzeć w oczy Iosephowi Ferracorze. Musiała zobaczyć ciepłe, ciemne spojrzenie ojca, pozostawione przez śmiech linie zmarszczek otaczające oczy, i uspokoić samą siebie, że to kotłujące się w niej dziwne uczucie to tylko przelotne urojenie, pozostałość snu.

Dotknęła jego ramienia, lecz zanim się odwrócił, dostrzegła jego odbicie w lustrze zawieszonym na ścianie.

Usta zastygły w uśmiechu, oczy jak dwie czarne dziury.

– Powinnaś pozwolić sobie śnić – powiedział Ioseph, ale to nie był jego głos i dobiegał zza jej pleców.

Odwróciła się szybko, kiedy jednak otworzyła oczy, leżała skrzycona na posadzce swojej komnaty. Przesiąknięta potem koszula nocna kleiła się do jej ciała.

Corien stał nad nią, wyraźnie rozbawiony.

– Upierasz się zamieniać każdą słodką wizję, jaką ci daję, w horror – rzekł, po czym podniósł ją i przytrzymał, gdy szlochała. Zaciskała palce na jego czarnym kaftanie, żałując, że nie ma siły, by rozszarpać go pazurami. Była jednak roztrzęsiona po śnie, który jej zesłał. Jej ramiona stały się słabe, bezużyteczne.

– Mogłoby tak być – wyszeptał Corien w jej wilgotne włosy. Kołysał się z nią, jakby mieli zaraz zacząć tańczyć. – Życie mogłoby być znowu szczęśliwe, Eliano, gdybyś pozwoliła, żebym je takim uczynił.

Wiedziała, że mówił prawdę, i zacisnęła powieki, czując ból w piersi na wspomnienie ciepłego uśmiechu ojca. Jej spokojnego domu w Orline. Ogrodu Rozen Ferracory, stołu kuchennego zawałonego rzeczami naprawianymi przez matkę Eliany. Remy'ego bezpiecznego w swoim łóżku, czytającego na głos jedną ze swoich książek, i Harkana śpiącego po sąsiedzku.

Kiedy Eliana się obudziła, Simon stał nad nią, a w jego oczach malowała się niecierpliwość. Przy boku miał przypięty miecz, na piersi przypasane dwa pistolety.

– Mamy niewiele czasu – powiedział i pomógł jej usiąść. – Słuchaj mnie uważnie, ponieważ on łąda moment może odkryć moją nieobecność, a wtedy wszystko przepadnie.

Popatrzyła na niego.

– O czym ty mówisz?

– To był podstęp, Eliano. To wszystko było kłamstwo. – Ujął jej dłonie i je ucałował. – Przepraszam cię za to, ale tylko w ten sposób mogłem cię ochronić. Nie mogłem ryzykować twojego życia. – Jego głos się załamał, gdy mówił z ustami tuż przy jej palcach. – Oszukiwanie cię było prawdziwą torturą. Każda chwila twojego cierpienia sprawiała mi udrękę.

Ułga zalała jej ciało, jej skóra zamrowiała. Wirowało jej w głowie.

– Nie rozumiem – odparła, ale wstała z łóżka i poszła za nim. Przygotował zapasy. Podał jej płaszcz. Remy stał przy drzwiach na straży. Miał potargane, zmatowiałe włosy spadające mu na ramiona. Sińce znaczyły jego skórę, jakby musiał znieść tysiąc uderzeń pięści, lecz jego oczy lśniły triumfalnie w blasku księżyca.

– Mamy tylko jedną szansę ucieczki, właśnie dzisiaj – oświadczył Simon i poprowadził ją do drzwi. – Za mną.

Ona jednak odmówiła, zapierając się piętami na progu. Coś było nie tak. Czuła w głowie ostre, metaliczne stukanie, którego rytmu nie potrafiła się pozbyć. Ten dźwięk był znajomy. Już go słyszała.

– El, musimy uciekać! – szepnął Remy od drzwi.

– Strzały. – Popatrzyła na Simona, a jej wspomnienia szybko powróciły. – Zastrześliś ich wszystkich w Festivalu. Wydawałeś rozkazy aniołom.

Syknął niecierpliwie.

– To wszystko było udawane, Eliano. Nie słuchałaś mnie? – Chwycił ją za nadgarstek, mocno i bezlitośnie. – Chodź. Teraz.

Znała jednak prawdę: nie mogła ufać niczemu, co widziała. Jej cały świat składał się z kłamstw stworzonych przez Coriena.

Obudziła się spokojnie w przyćmionym świetle w swojej komnacie, z twarzą mokrą od łez, i zobaczyła go siedzącego na brzegu łóżka.

– Miałam nadzieję, że tak będzie – powiedziała głosem załamującym się ze zmęczenia. Nic z jej snu nie wydawało się już prawdziwe. – Że jest jakieś inne wyjaśnienie tego niż zdrada.

– Wiem – rzekł Corien głosem pełnym współczucia. Dotknął jej policzka i poprawił potargane włosy.

Nowe łzy sprawiły, że biała komnata pojaśniała i się rozmyła.

– Jaka ja jestem głupia – szepnęła Eliana. – Jaka od początku byłam głupia.

– Mogę to zatrzymać – rozległ się jego czuły głos, nalegający i życzliwy. – Wiesz, że mogę. W zamian chcę tylko...

– Prędzej umrę, niż ci pomogę. – Spojrzała na niego gniewnie przez łzy, drżąc od nagłego przypływu wściekłości. – Możesz mi podarować tysiąc słodkich kłamstw, złożyć tysiąc nocnych obietnic, pokazać tysiąc snów ze

wszystkim, czego pragnęłam, i wszystkimi, których kochałam, a moja odpowiedź się nie zmieni.

Jego milczenie było kompletne i przerażające w swojej nieruchomości.

Czekała w napięciu, próbując odczytać coś z jego czarnego bezkresnego spojrzenia, a gdy pieczenie w jej oczach stało się nieznośne i w końcu zamrugła, on zniknął.

Kiedy Eliana się obudziła, była w białej komnacie ze swoich snów.

– Dzień dobry! – zawołała pogodnie do swoich służących. Przeciągnęła się i ziewnęła, a potem usiadła na łóżku i wystawiła się na chłodne powietrze. W koszuli nocnej wędrowała szerokimi, oświetlonymi słońcem korytarzami swojego domu i rozmyślała, jak zawsze, nad własnym niewiarygodnym szczęściem. Słyszała śpiew ptaków i nuciła wraz z nimi. Wyjęła z wazonu czerwony kwiat i upajała się słodkim zapachem.

W końcu stanęła przed wąskimi, podwójnymi drzwiami z ciemnego wypolerowanego drewna, których brązowe klamki miały kształt rozłożonych skrzydeł.

Corien stał w progu w brokatowym płaszczu w barwach hebanu i granatu. Wyhaftowane wzory mieniły się tęczowo jak pióra kosa.

Radość Eliany zgasła. Kłamstwo. To było kłamstwo. To nie był jej dom. To był dom Coriena.

– Nie – powiedziała i cofnęła się od niego o krok. Za chwilę się obudzi. Znała już ten porządek wydarzeń. Ocknie się w swojej komnacie i zobaczy go nad sobą, będzie słuchać jego słów pociechy i namawiania.

Strażnicy pojawili się po jej bokach i wepchnęli do spowitej w cieniach sali audiencyjnej, w której spotkała się po raz pierwszy z Corieniem.

– Kolejny sen? – Roześmiała się, rozpaczliwie szukając w sobie brawury. – Nie spodziewałam się, że będziesz taki monotonny.

Corien wyminął ją bez słowa.

– Mam dla ciebie prezent, Eliano – oznajmił gładko, a gdy Eliana poszła za nim, potykając się pomiędzy dwoma nieubłaganymi anielskimi strażnikami, z cienia wyłoniły się dwie sylwetki.

Simon z obojętnymi, zimnymi oczami. Jego ciało składało się z równych linii w czarnym mundurze imperialnym. Kwadratowe ramiona, złote guziki, czerwona szarfa.

Koło niego stał Remy, chudy i blady, ubrany w zwykłą tunikę i spodnie, podarte i poplamione. Miał szeroko otwarte oczy, ręce skute kajdanami i zakrwawione wargi.

Żołądek Eliany się skręcił, ale nie ruszyła się z miejsca. Zacisnęła pięści i zmusiła swój głos, żeby brzmiał spokojnie.

– Widziałam to już wcześniej. Widziałam setkę Remych, a niektórzy z nich wyglądali tak samo.

– Remy Ferracora – stwierdził Corien, krążąc po komnacie. – Słyszałem, że słyniesz ze swoich opowieści.

– El? – Głos Remy’ego był ochrypły. Przenosił spojrzenie z Eliany na Coriena i drzwi. – Co się dzieje? Gdzie oni cię trzymają?

Eliana nie odpowiedziała. Nie weźmie w tym udziału. Nie po raz kolejny. Już nigdy. Zbyt wiele nocy wierzyła w to, co widziała. Próbowwała ucieczki. Była w domu, w Orlie, wraz z ojcem i Harkanem. Była na białej plaży z Simonem, w szarym wiejskim domu, który należał do nich.

Nigdy więcej. Przełknęła z trudem. Nie odezwała się ani słowem.

Remy spojrzał z lękiem na Coriena.

– Czy mogę do niej podejść?

– Oczywiście. – Corien skinął na niego wspaniałomyślnie. – Ciesz się tą chwilą.

Remy rzucił się w jej ramiona, lecz sny Eliany już wcześniej wydawały się rzeczywiste. Odwróciła głowę, nic nie zrobiła, nic nie powiedziała.

Corien obserwował ich, chodząc wokół, z rękami splecionymi z tyłu. Na jego ustach malował się lekki uśmiech.

Nie zamierzała nic mu dać.

– Gdzie byłaś? – Remy przycisnął twarz do jej ramienia. Jego chude ciało dygotało. – Wołałem cię, ale nie przychodziłaś.

– Przepraszam – odparła obojętnie. – Byłam zajęta.

Remy odsunął się trochę i zmarszczył brwi.

– Co się z tobą dzieje? Nie obchodzi cię, gdzie byłem?

Eliana nie patrzyła na niego. Jeśli spojrzy w oczy jeszcze jednego tworu Coriena, pozwoli mu wygrać.

– Powiedz mi – rzuciła bez wyrazu.

Remy zastanowił się, niepewny, a potem zaczął mówić szybko:

– W tym miejscu jest wiele cel. Nie wiem, jak dużo. Nie mogę ich policzyć. Jest pod ziemią, ciemne i zimne. Słyszę ich wszystkich wokół mnie. Tysiące głosów wrzeszczących, płaczących, śmiejących się. – Zawahał się i spojrzał na Simona. – On mnie tam zaprowadził zaraz po przyjeździe. Umieścił mnie w mojej celi.

Ach, czyli teraz Corien wciągnie Simona w to kłamstwo, starając się zwrócić tym jej uwagę.

– Rozumiem. Co to za cela?

– Miejsce, w którym jestem przetrzymywany. – Remy cofnął się o krok, a w jego głosie zabrzmiał teraz lęk. – Dlaczego na mnie nie patrzysz?

– To smutne, prawda? – Corien zbliżył się do nich z twarzą promieniającą triumfalną radością. – Widzieć ją tak zmienioną. Jak sądzę, już jej nie obchodzisz.

Remy odsunął się od nich obojga.

– Co z nią zrobiłeś?

– Pytanie, które powinienś zadać – oznajmił Corien – brzmi: co zrobię z tobą?

Nagle ciało Remy’ego stężało bez uprzedzenia. Ze zduszonym krzykiem szarpnął się w lewo, potem w prawo. Upadł, uderzył mocno brodą o podłogę i zaczął wrzeszczeć.

Przez moment Eliana wpatrywała się w niego zamarła ze zgrozy. Jego przeszywający krzyk sprawił, że krew się w niej zagotowała.

Później odwróciła się plecami i spojrzała na zamknięte drzwi.

– Nie będę dłużej twoją zabawką – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Corien podszedł, by się jej przyjrzeć, a na jego twarzy malowało się drwiące zaskoczenie.

– Pozwolisz, żeby zamiast tego stał się nią twój własny brat? Myślałem, że znam cię dobrze.

Eliana odsunęła się od niego. Za jej plecami krzyki Remy’ego rozdzierały powietrze. Poczuła na ramionach gęsią skórę. Rzuciła się do drzwi. Lada moment obudzi się w swoim łóżku, wypoczęta i triumfująca. To Corien wyjdzie na głupca, nie ona.

– Córka szlachetnego Świetlistego – zdumiał się, dotrzymując jej kroku. – Kto by pomyślał, że będziesz tak zimna?

Dotarła do drzwi. Gdy się odezwała, jej głos drżał ze złości.

– Zakończ to. Obudź mnie.

Corien oparł się o ścianę obok drzwi.

– Och, Eliano. Nic nie rozumiesz. Proszę, trochę ci pomogę. Każda minuta, którą spędzam w umyśle twojego brata, kosztuje go rok życia. Może więcej. Każdy umysł jest inny. – Wzruszył ramionami. – Wyjdź, jeśli chcesz.

Eliana patrzyła na drzwi, na swoją dłoń na brązowym skrzydle, i ogarniało ją powoli okropne przeczucie. Słyszała wysokie zawrozczenie;

słyszała stukot, gdy głowa Remy'ego uderzyła o posadzkę. Skręcał się w konwulsjach.

Twarz Coriena wyrażała litość, której Eliana nie ufała. Wyjął coś złotego z kieszeni.

– Proszę – powiedział łagodnie i zaczął zapinać na jej nadgarstkach znajome łańcuszki. Bliźniacze dyski jej form ulokowały się w dłoniach, gładkie i zimne. Corien się uśmiechnął. – Widzisz? Jeśli jestem w dobrym nastroju, potrafię być niezwykle wspaniałomyślny.

Popatrzyła na niego ze zgrozą i świadomością, że tego właśnie chciał, a potem odwróciła się do Remy'ego. Formy spoczywały w jej spoconych dłoniach jak zimne, niemrugające oczy.

Upadła na kolana koło Remy'ego, podniosła go niezgrabnie i położyła sobie jego głowę na kolanach. Oczy miał zaszkłone, na wargach wykwitła piana. Eliana trzymała go, rozpaczliwie próbując złagodzić jego drgawki, ale on jej nie widział. Wpatrywał się w sufit, starał się pochwycić powietrze, a później zaczął szarpać palcami samego siebie; jego paznokcie zostawiały ślady na ramionach i policzkach.

Eliana złapała go za ręce i przycisnęła do jego boków.

– Puść go! – krzyknęła. – Co mu robisz?

– Zmuszam go, żeby przeżył moment, w którym odebrano mi ciało – oznajmił spokojnie Corien. Był teraz blisko, patrzył na nich z góry. – Kiedy zostałem wtrącony w Otchłań przez waszych przodków i pozbawiony całej cielesności. Moja skóra został zdarta, kości zmiażdżone, żyły wysrane do sucha przez siły wszechświata. Empirium rozdarło mnie w pustce, w której nie może istnieć nic oprócz jego czystej mocy. – Powoli wciągnął powietrze w płuca, po czym je wypuścił. – Jak możesz sobie wyobrazić, była to nieopisana agonía. Nikt, kto tego nie poczuł, nie zdoła zrozumieć.

Przykucnął, żeby się lepiej przyjrzeć, i zatrzymał czarne spojrzenie na szarpiącym się ciele Remy'ego. Eliana wyczuwała jego skupienie, okropną koncentrację łączącą wszystko to, czym był, ze wszystkim tym, czym był Remy, drobny i bezradny w jej ramionach.

Na twarzy Coriena pojawił się lekki uśmiech.

– Być może potem Remy powie mi, jak mógłbym to opisać. Nasz mały mistrz słowa.

Eliana siedziała na posadzce z umierającym Remym w ramionach i z mdłym przypiływem przerażenia uświadomiła sobie, że to upiorne odzwierciedlenie sceny w Karlaine – otwarta krwawa rana na brzuchu jej brata, jej wizja złotych przestrzeni empirium, jej dłonie zanurzone w ranie i wiążące go na nowo w całość.

– Wiesz, jak to zakończyć, Eliano – rzekł cicho Corien. – Wiesz, co musisz zrobić.

Oddychała chrapliwie, walcząc z całej siły, żeby unieruchomić ciało Remy'ego, ale to było niemożliwe. Nie mogła w pojedynkę walczyć z Corieniem, nie bez swojej mocy, a jeśli zdoła ją wezwać, Simon może wezwać swoją.

– Prędzej umrę, niż ci pomogę – powiedziała przez łzy.

Remy nagle przestał się szarpać.

Leżał bezwładnie w jej ramionach, mokry od potu. Wpatrywał się z drżeniem w sufit, a jego wargi poruszały się bezgłośnie.

– Remy, słyszysz mnie? – Położyła dłonie na jego policzkach, przycisnęła czoło do czoła. Pod zimnymi łańcuszkami swoich form czuła jego rozpaloną skórę. – Odezwij się do mnie. Powiedz coś, proszę.

Zrobił to szeptem tak słabym, że musiała go poprosić, by powtórzył.

– Zabij mnie.

Elianie zrobiło się zimno.

– Co ty powiedziałaś?

Spojrzał jej prosto w oczy załzawionym wzrokiem.

– Zabij mnie, El. Wtedy on nie będzie mógł mnie wykorzystywać przeciwko tobie w taki sposób.

Corien przeciągnął się w cieniu, aż strzeły mu stawy.

– Boże, to naprawdę ciężka praca, tak grzebać i grzebać, żeby zaszczepić wizję. Koncentrować się do tego stopnia na jednym umyśle, a jednocześnie kontrolować tysiące innych. Może was pocieszy, że to wyjątkowo męczące.

– On nic ci nie zrobił. – Eliana drżącymi dłońmi otarła oczy. – Jest niewinny.

– Podobnie jak wiele anielskich dzieci, które doświadczyły tego samego co teraz Remy – odparł spokojnie Corien. – Zaś one nie obudziły się potem we własnych ciałach, żywe i zdrowe. Czyż on nie ma szczęścia?

W tym momencie odezwał się Simon.

– Jeśli ci na nim zależy, zrobisz to, co zostanie ci polecane, i oszczędzisz mu bólu. – Jego cichy głos zaszokował Elianę jak chłaiście bicza. Jak kiedykolwiek mógł jej się wydawać ciepły, żarliwy, ofiarny? Jego wargi drgnęły okrutnie, jakby czytał jej w myślach. – Albo być może nie zależy ci na nim – dodał. – Może umiesz kłamać tak samo dobrze jak ja.

– Dlaczego on tutaj jest? – zapytała Eliana Coriena, dławiąc się własnym głosem. – Nie będę go błagać o pomoc. Nie będę błagać żadnego z was.

Dłoń Remy'ego zacisnęła się na jej dłoniach. Na jego ustach pojawił się bardzo blady uśmiech.

Corien spojrzał na Simona.

– Muszę mieć pewność, że on nadal należy do mnie, prawda? Rozumiem, że wy dwoje, jego urocza podopieczna i jej kochany mąż

braciszek, możecie roztopić nawet najbardziej zlodowaciałe serce. Dlatego chcę, żeby widział to wszystko. Chcę go wystawić na próbę. On lubi, gdy go wystawiam na próbę.

Wymienili porozumiewawcze uśmiechy. Eliana wypatrywała w oczach Simona charakterystycznej szarości adatroksów, ale widziała tylko znajomy intensywny błękit.

Nie znajdował się pod kontrolą Coriena. Był w końcu całkowicie sobą, zaś Eliana siedziała z bezwładnym Remym w ramionach, a świadomość tego, jak bardzo samotna jest w tym miejscu, gdzie może liczyć tylko na własną siłę, osadzała się na jej zmęczonych kościach jak muł w ciemnej wodzie.

Odwróciła się do Coriena z rozpaczliwym błaganiem na ustach.

Natychmiast znalazł się przy niej i przykląkł obok.

– Możesz mieć wszystko, co ci pokazałem. Całe to szczęście i spokój. Zakończę to, Eliano. Twoje obecne życie wraz z całym cierpieniem i wszystkimi poświęceniami. Twój brat będzie bezpieczny. Będzie bardzo szczęśliwy, podobnie jak ty. Żywy i zdrowy. Bezpieczny. Potrafisz sobie wyobrazić poczucie bezpieczeństwa? Po raz pierwszy w swoim życiu. – Pogłodził jej policzki grzbietami palców. – Mogę zakończyć twoją walkę, jeśli zrobisz dla mnie jedną, ostatnią rzecz. Wezwij swoje moce, tak jak dawniej. Podziel się nimi z Simonem, tak jak dawniej.

Chociaż Simon obserwował ich z cienia, Eliana była o krok od wyrażenia zgody. Czuła te słowa na ustach. „Tak”, pragnęła powiedzieć. „Wygrałeś. Obaj wygraliście”.

Ale coś ją powstrzymywało, ostatni strzęp buntu, a Corien z ostrym, sfrustrowanym syknieniem chwycił ją za głowę i potrząsnął.

– Muszę wrócić do niej w przeszłość, Eliano – wyszeptał ze łzami w oczach. – Muszę ją znaleźć. Otwórz się. Daj nam swoją moc. Wyślij

mnie w przeszłość.

Kiedy Eliana się obudziła, była w białej komnacie ze swoich snów.

Corien siedział koło niej na łóżku, zaś Simon stał obok w oczekiwaniu, a milczące pustookie służące w białych szatach czekały pod ścianami.

Jej formy, nadal na jej dłoniach, się rozgrzewały.

Remy... Po Remym nie było nawet śladu. Remy zniknął. Co takiego mówił? „W tym miejscu jest wiele cel. Jest pod ziemią, ciemne i zimne”.

Na myśl o Remym uwięzionym w takim miejscu, pozbawionym całych lat życia, gniew i rozpacz Eliany stały się realną, zmęczoną eksplozją żaru, który ogarnął jej ciało. Nie potrafiła ani nie chciała tego powstrzymać. Pragnęła, aby ten narastający żar pochłonał ją, a także komnatę, w której teraz mieszkała, i pałac, który stał się całym jej światem, a potem wypłuł popioły jak truciznę.

Odepchnęła Coriena, podniosła się chwiejnie z łóżka i upadła ciężko na posadzkę. Jej dłonie uderzyły o biały kamień, a siła uderzenia sprawiła, że formy rozjarzyły się światłem. Stały się bliźniaczymi sieciami ognia na jej dłoniach, a Eliana wyczuwała z rozpaloną do białości jasnością, że niezliczone pasma energii obudziły się do życia na jej rozpaczliwy, mimowolny rozkaz.

Świat zadygotał – to było trzęsienie ziemi, eksplozja. Okna sypialni zadrżały we framugach. Strażniczki się zachwiały.

W ciszy, która później nastąpiła, Eliana skuliła się na ziemi. Przed oczami miała światło, przyciskała palce do kamiennej posadzki. Oddychała ciężko, czuła zawroty głowy, wszystkie jej mięśnie drżały.

Na jej dłoniach wibrowały formy, ożywione i oczekujące.

Ich widok sprawił, że przerażenie uderzyło ją jak cios pięścią. Wraz z koszmarным zrozumieniem powróciła jej jasność widzenia.

Natychmiast postarała się nad sobą zapanować. Złość nadal ją wypełniała, a bolesny smutek ścisnął jej gardło, ale nie mogła pozwolić, żeby ją pokonały. Corien może snuć dla niej tysiąc pięknych kłamstw codziennie przez resztę jej życia. To nie miało znaczenia. Nie pozwoli, żeby tak się stało, nigdy więcej. Wyobrażała sobie, że napiera na swoje formy i zmusza je, by znowu stały się ciemne i zimne. Wyobrażała sobie, że jej moc powraca w najgłębsze zakamarki jej jestestwa, ukryta i niedosiężna, jak cienie kurczące się szybko w południe.

Było już jednak za późno.

Simon stał przed wibrującym, bladym pierścieniem światła. Jego podniesione ręce drżały z wyraźnego wysiłku. Mimo to wszedł w krąg światła i zniknął, a w następnej chwili pojawił się po przeciwnej stronie komnaty. Zrobił jeden chwiejny krok, zanim osunął się na kolana, próbując złapać oddech, a kiedy spojrzał na Coriena, na jego twarzy malowały się zmęczenie i triumf.

Tak drobna rzecz, przeskoczenie na odległość jednego pokoju, a on nie dotknął jeszcze nici czasu.

Ale nici przestrzeni, które znalazł, były jaśniejsze niż te, które przywołał po przybyciu do Elysium. Silniejsze, bardziej wytrzymałe. To był pierwszy krok, a Eliana na to pozwoliła. Sama to sprawiła. Straciła panowanie nad swoimi mocami, pozwoliła im wezbrać tak jak wtedy, gdy Remy leżał zakrwawiony w jej ramionach, a potem jeszcze raz na plaży w Festivalu i jeszcze raz – okropny, bolesny – w ogrodzie Wierzbowego Dworu, gdy czuła pod dłońmi bijące serce Simona. Ten jeden krótki moment wystarczył.

Jej żołądek zacisnął się gwałtownie, jakby został wypełniony lodem.

Corien uśmiechnął się powoli i szeroko.

– Doskonale – stwierdził cicho. – Teraz możemy zaczynać.

Navi

Ostatnia królowa Vesperów? Och, wszyscy ją kochaliśmy. Jej księżę małżonek zginął na morzu wiele lat temu, więc owdowiała młodo, ale nadal budowała statki i wychowywała siedmioro dzieci, które były najśłodszymi królewijkami, jakie można sobie wyobrazić. Potem Imperium zajęło stolicę, a ona wraz z sześciorgiem dzieci została stracona na schodach Pałacu z Kości Słoniowej. Ale siódmego dziecka, małej Brizei, nigdy nie odnaleziono. Niektórzy myślą, że zabrało ją morze, a fale złożyły ją na spoczynek u boku ojca. Inni uważają, że ona nadal żyje i planuje zemstę. Co noc myślę o tym biednym dziecku. Jeśli wciąż żyje, mam nadzieję, że nigdy nie pozna swojego prawdziwego imienia. Nic tu dla niej nie zostało. Nic tu nie zostało dla nikogo z nas.

– z kolekcji historii spisanych przez uchodźców na okupowanych Vesperach, wybór: Hob Cavaserra

Podróżowali przez Bagna Kavaliańskie od sześciu dni i dwóch godzin, a Navi była przeświadczona, że nigdy ich nie opuszczą.

Spojrzała przed siebie, w dziwną, zabarwioną na żółto gęstą mgłę, ścisnęła mocniej wiosło i naparła na nie.

Ruusie, dowódczyni jej osobistej straży, nie odpowiadało, że Navi wiosłuje. Była jedną z czterech strażniczek, którym udało się wydostać z pałacu podczas napaści sił imperialnych na Astavar i uciec w bezpieczne miejsce wraz z Navi, jej bratem Malikiem i ich przyjacielem Hobem.

Minęło kilka tygodni, od kiedy opuścili Astavar, a jeszcze parę tygodni wcześniej uzdrowiciele podali Navi antidotum, które Eliana i Harkan

wykradli z Annerkilak. Ruusa nadal jednak nie przywykła do myśli o tym, że Navi jest zdrowa. Karciała księżniczkę za to, że tak się trudi przy wiosłach. Za bardzo się zmęczy. Powinna unikać skrajnego wyczerpania na wypadek, gdyby w jej krwi pozostały jakieś uśpione resztki substancji przemieniającej ludzi w pełzacze.

Ale wiosłowanie było jedyną rzeczą pozwalającą Navi zachować zdrowe zmysły. Wiosłowanie i odtwarzanie w pamięci mapy Vesperów.

Znajdowali się na Hariace, jednej z najbardziej wysuniętych na północ wysp archipelagu. Kiedy pokonają te ohydne, niekończące się mokradła, popłyną rzeką Hezta na południowe wybrzeże wyspy. Piechotą przetną mieliznę Amatis, aby przedostać się na wyspę Laranti.

Tam Navi w końcu spotka się z lokalną przywódczynią Czerwonej Korony. Hob twierdził, że jest to kobieta imieniem Ysabet, która pomoże Navi zmobilizować żołnierzy Czerwonej Korony rozsianych po Vesperach – ogromnym kraju złożonym z tysięcy wysp, niektórych wielkich i pełnych miast, innych malutkich i oddalonych od świata. Potem zaczną przygotowania do podróży przez Ocean Wielki do miasta imperatora, Elysium. Zgromadzą armię złożoną z rebeliantów i uchodźców, żeby popłynąć na pomoc Elianie i wraz z nią uderzyć w samo serce Imperium.

Oczywiście jeśli Eliana będzie jeszcze żyła. Jeśli nie została dotychczas doprowadzona do szaleństwa torturami lub nakłonią do sprzymierzenia się z imperatorem.

Albo, broń Boże, z własnej woli sprzymierzyła się z nim.

Straszliwe wieści dotarły do nich, gdy przebywali w niewielkiej kryjówce w Meridianie. Dowiedzieli się o brutalnej pacyfikacji Festivalu przez siły imperialne oraz o pojmaniu Eliany przez admirała Ravikanta, który dowodził flotą imperatora.

Navi zamknęła oczy. Za każdym razem, gdy myślała o Elianie, nie potrafiła powstrzymać łez.

– Eliana mu nie pomoże – mruknęła po astawarsku. – Jest dla niego za silna. Nie da się złamać.

To był znajomy refren, który powtarzała na głos, ilekroć potrzebowała się uspokoić.

– Oczywiście, milady – odpowiedziała głucho Ruusa, także w ich ojczystym języku.

– Jej matka mogła dołączyć do aniołów, ale Eliana nie jest jak jej matka.

– To prawda, milady.

– Jest silniejsza niż królowa Rielle.

Na te słowa Ruusa prychnęła niecierpliwie.

– Nie znałaś królowej Rielle, milady, więc nie możesz wiedzieć, czy Eliana jest od niej silniejsza!

Navi uśmiechnęła się kwaśno.

– Od wielu dni słuchasz, jak recytuję swoją małą modlitwę. Zastanawiałam się, kiedy przestaniesz powtarzać „tak, milady” i „masz oczywiście rację, milady” i zamiast tego na mnie nakrzyczysz.

Ruusa zacisnęła usta w wąską kreskę. Spojrzała gniewnie na drzewa, które mijali, lepkie od glonów i obrośnięte gęsto pnączami. Cztery łodzie niosące resztę ich grupy znajdowały się niedaleko, a słabe latarnie świeciły blado w półmroku. Ciepły odór rozkładu unosił się znad stojącej wody i przypominał zapach kwiatów pozostawionych w wazonie, dopóki nie zbrązowiały.

– Nie krzyczałam, milady – wymamrotała Ruusa. – Bardzo się pilnuję, żeby nie krzyczeć.

– To chyba zależy od definicji krzyku.

Ruusa milczała przez chwilę.

– Przepraszam, milady. Proszę o wybaczenie.

– Nie mam ci czego wybaczać. Impertynencja u moich strażniczek jest mile widziana, Ruuso. Wiesz o tym.

– Oczywiście, milady. – Ruusa się zastanowiła. – Po prostu nie chciałabym, żebyś się rozczarowała.

– Czym miałabym się rozczarować? – zapytała Navi, chociaż już знаła odpowiedź. Strach skrzył się w jej sercu. Nie zamierzała przyznawać mu racji istnienia.

– Kim.

– Aha.

– Odkąd opuściłaś Online, lady Eliana sprowadzała na ciebie tylko kłopoty. Gdyby nie ona, nie zostałabyś schwytana przez Fidelę w Sanktuarium. Nie zostałabyś poddana torturom ani eksperymentom i nie podano by ci serum pęzaczy.

– Nie możesz być tego pewna – odparła lekko Navi. – Mogłam zostać schwytana przez Fidelę w innym miejscu. A gdyby Eliana mi nie pomogła, byłabym teraz pęzaczem.

– A później – ciągnęła Ruusa, na której nie zrobiło to wrażenia – Imperium przybyło do Vintervoku, ponieważ chciało odnaleźć lady Elianę. To na niej im zależało. To z jej powodu zaatakowali nasze miasto, milady, naszą ojczyznę. Wiem, że nie urodziłam się w Astavarze, ale teraz to jest mój kraj, tak samo jak twój, milady, i kiedy on krwawi, ja także krwawię.

Ból w głosie Ruusy był zbyt dojmujący, by Navi mogła go zignorować. Spojrzała szybko na opalonego chłopaka o popielatych włosach, który siedział naprzeciwko i słuchał uważnie, chociaż udawał, że tego nie robi. Był jednym z uchodźców, miał piętnaście lat, a jego rodzina zginęła w czasie ataku Imperium. Pewnej nocy próbował okraść ich obozowisko gdzieś w południowych wyschniętych lasach Meridianu. Ruusa chciała go

za to zabić, ale Navi nie pozwoliła na to, a teraz chłopak był jej oddany i gotów walczyć z Imperium. Miał na imię Miro. Od kiedy Navi ocaliła mu życie tamtej nocy w lesie, patrzył na nią zawsze z żarliwym podziwem.

Oczywiście nie znał jej prawdziwej tożsamości. Nikt z uchodźców jej nie znał. Dla nich była Jataną, zaś Malik był Rovanem.

To, że byli ostatnimi ocalałymi członkami astawarskiej rodziny królewskiej, musiało pozostać tajemnicą. Navi i jej brat należeli do Czerwonej Korony i nienawidzili Imperium. Tylko tyle Miro i pozostali musieli wiedzieć.

Navi uśmiechnęła się do chłopaka.

– Mógłbyś trochę powiosłować, Miro? – zapytała w języku wspólnym.

Szybko zajął jej miejsce, a Navi usiadła naprzeciwko Ruusy i znowu odezwała się po astawarsku.

– Najdroższa Ruuso, chcę, byś wiedziała, że słyszę twoje słowa. Wiem, że opuściłaś ojczyznę, miejsce, które stało się dla ciebie schronieniem, i pozostawiłaś tam wszystkich, których kochasz.

– Wszystkich oprócz ciebie – poprawiła natychmiast Ruusa.

Te słowa sprawiły, że Navi poczuła, iż coś w niej pęka, a jej oczy zapiekły od łez. Gdy wraz ze swoimi ludźmi wędrowała na południe, starała się nie myśleć o tym, co zostawiają za sobą. Ale ogromnie żałowała, że nie może usiąść na kolanach Ruusy, jak robiła to wiele razy w dzieciństwie, i zapomnieć o wszystkich niemożliwych rzeczach, które ma przed sobą.

Ruusa rzuciła jej przenikliwe spojrzenie. Znała dobrze różne wyrazy twarzy Navi, szczególnie ten, po którym następował gwałtowny uścisk.

– Nie teraz, Wasza Wysokość. Nie na oczach wszystkich.

Navi się uśmiechnęła i zamrugła, żeby powstrzymać łzy.

– Dobrze. Jakoś się od tego powstrzymam.

– Doskonale, milady.

– Ale jedno ci powiem: wiem, że jesteś pogrążona w żałobie za tym, co straciłaś. Ja także. Myślę, że ta żałoba będzie nam towarzyszyć do końca życia. Z każdym krokiem oddalającym nas od domu żal zapuszcza korzenie głębiej w tkankę naszej najprawdziwszej duszy. Ale tak jak nie potrafię wyrwać tej żałoby, porzucić jej i iść dalej bez niej, nie potrafię też wyzbyć się nadziei.

Navi położyła dłonie na rękach Ruusy. Dwójka pozostałych wioślarzy zwolniła ruchy, żeby ich posłuchać. Jedną z nich była Taya, strażniczka Navi, a drugim Edran, jeden z uchodźców, który dołączył do ich niewielkiej grupki na wybrzeżu Morza Wąskiego.

– Muszę wierzyć, że Eliana jest Słoneczną Królową, o której nadejście modlimy się całe życie – oznajmiła Navi z nadzieją, że Ruusa zobaczy w jej oczach tylko przekonanie, a nie towarzyszący mu lęk. – Muszę wierzyć, że ma siłę, aby przeciwstawić się całej przebiegłości i okrucieństwu, jakich imperator użyje przeciwko niej. Zrozum, proszę, że kiedy tak o niej mówię, nie chcę lekceważyć twojego gniewu ani smutku, lecz wyrazić moje przekonania. Dotyczące mnie i wszystkich tych, którzy powierzyli nam swoje życie. Moja wiara jest moją nadzieją, a nadzieja jest światłem lśniącym nawet w najczarniejszą noc.

Ruusa milczała, a jej spojrzenie pozostawało twarde. Miro obserwował ich rozmowę szeroko otwartymi oczami i wiosłował bez przekonania.

W końcu twarz Ruusy zmiękła tak ledwie dostrzegalnie, że Navi była pewna, iż pozostali tego nie zauważą.

– Rozumiem, milady – powiedziała Ruusa. – Wybaczam ci.

Navi w podziękę uściśnęła jej dłonie.

Potem, gdy sięgnęła po trzymane przez Mira wiosło, bagno zadygotało.

To było coś więcej niż zwykły wstrząs, który dało się wyjaśnić w tej niestabilnej części świata. Ciągnęło się bez końca, a kiedy Navi spróbowała

zawołać, przekonała się, że coś odebrało jej głos.

Chwyciła się burty łodzi i starała się oddychać, a myśli w jej głowie kłębiły się gorączkowo.

Wulkany i trzęsienia ziemi były tutaj codziennością. Nowe wyspy wyłaniały się z morza, a stare rozpadały się na kawałki. Mieszkańcy Vesperów – tysiące wielopokoleniowych rodzin, setki kultur połączonych miłością do nieżyjącej królowej, zamordowanej podczas inwazji Imperium – polegali na raportach przygotowywanych przez Saterketów, naukowców specjalizujących się w odczytywaniu i przewidywaniu ruchów ziemi.

Ich przewodnik, Bazko, powiedział im o tym pierwszego dnia na bagnach, gdy nastroje były nadal dobre, a sam Bazko gadał jak najęty. Był lojalny wobec Czerwonej Korony i miał im pomóc przemierzyć bezpiecznie Bagna Kavaliańskie owiane złą sławą z powodu licznych wędrowców, którzy zakończyli tragicznie życie w ich mętnych wodach.

Przez ostatnie sześć dni Navi – która pragnęła ufać ludziom i rozpaczliwie szukała każdego, kto mógłby im pomóc – nabrała mimo wszystko podejrzliwości. Po raz pierwszy Bazko powiedział im, że niedługo opuszczą bagna i znajdą się na czystej wodzie, dwa dni temu.

Teraz bagno się trzęsło, nie było widać końca tej podróży, a Navi słyszała w uszach wysoki pisk, którego nie potrafiła się pozbyć. Stawał się coraz bardziej i bardziej przenikliwy. Jedno spojrzenie na Ruusę podpowiedziało jej, że nie tylko ona go słyszy.

Bazko siedział jak ogłupiały na dziobie pierwszej łodzi, trzymał się kurczowo ławki i rozglądał gwałtownie. Przechylił głowę, przyciskając lewe ucho do ramienia, i podniósł wysoko pięść. To był sygnał, że mają się zatrzymać.

Wioślarze w pozostałych czterech łodziach unieśli wiosła. Navi wypatrywała w żółtawo-szarych oparach swojego brata Malika, który siedział sztywno w łodzi po lewej stronie. Upiorne światło na bagnach sprawiało, że na jego skórze kładły się niezdrowe cienie. Potem spojrzała w prawo – w tej łodzi siedział Hob, o ciemnej skórze i szerokich ramionach. Navi często poszukiwała pociechy u tej dwójki. Jednego kochała całe swoje życie, drugiego pokochała w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Teraz jednak byli tak samo przerażeni jak ona. Lodowaty strach ścisnął serce Navi, gdy się zastanawiała, czy tutaj umrą – czy bagno się rozstąpi i ich pochłonie.

Wstrząsy trwały, a Navi liczyła w myślach. Cuchnąca woda falowała i kołysała łodziami. Owady i węże spadały z gałęzi. Długonogie ptaki odlatywały całymi stadami.

Później nastąpiła cisza. Całkowita i nagła. Navi słyszała dzwonięcie w uszach, ale okropny pisk ustał.

– Co to było? – wyszeptał po chwili Miro. Zaczął wstawać, ściskając wiosło jak broń. – Co się dzieje?

Ruusa pociągnęła go z powrotem na siedzenie.

– Cicho, chłopcze.

Navi czekała, aż przewodnik da sygnał, jakiś znak pokazujący, że wiedział, co to były za wstrząsy, ale Bazko nic nie mówił. Powoli opuścił pięść i popatrzył na pozostałych jak dziecko rozpaczliwie potrzebujące wskazówek. Navi uświadomiła sobie, jak bardzo są mali, jak niewiele znaczą wobec wielkości i niezrozumiałości świata.

Ilu uchodźców zrekrutowali? Otarła szybko pot ściekający jej z czoła i policzyła, by mieć pewność, że wszyscy są nadal bezpieczni na łodziach. Trzydzieści jeden osób. Ona, Malik, Hob, Ruusa, pozostałe trzy ocalałe

strażniczki i trzydzieści jeden osób, które albo rozpaczliwie chciały uciec samotności, albo tak obsesyjnie pragnęły zemsty na Imperium, że zgodziły się wędrować przez vesperyjską dzicz z młodą kobietą, która mówiła o legendach, jakby były żywe, i obiecywała tylko nadzieję na walkę w odległej przyszłości. Podróż do miasta imperatora. Uderzenie w miejsce, które uważał za swój dom.

Przyjście na ratunek księżniczce, która ocali ich wszystkich, jeśli tylko dotrą do niej na czas.

Navi przełknęła, czując kwaśność w ustach. Co ona sobie wyobrażała? Jak wraz z tak małą armią mogłaby podjąć jakiekolwiek działania ofensywne przeciwko niezmordowanym żołnierzom imperialnym?

Nie powinna mieć nadziei i wykazała się głupotą, próbując czegokolwiek. Jej ojczyzna była stracona. Jej świat był stracony. Próby przetrwania w taki sposób, czepianie się nierealnej wizji zwycięstwa były nie tylko pozbawionym godności sposobem na przeżycie tego, co z pewnością należało uznać za jej ostatnie dni, lecz także okrucieństwem wobec tych, którzy jej towarzyszyli. Wygnańców rozpaczliwie pragnących choćby cienia nadziei na ratunek.

Zamknęła oczy, a jej dłonie stały się lepkie ze strachu. Co ona zrobiła? Dokąd ich prowadziła i jakie kłamstwa wmówiła samej sobie?

– Wszystko w porządku! – zawołał Bazko. Jego śmiech zabrzmiał nieprzekonująco. – Niezłe trzęsienie, prawda? Nie martwcie się. Nie bez powodu Vespery są nazywane Ruchomymi Wyspami.

Ruusa dotknęła łokcia Navi.

– Napij się trochę wody, milady. Oprzyj się na mnie.

Gdy jednak Navi otworzyła oczy, żeby wziąć od Ruusy bukłak, coś odwróciło jej uwagę – dziwna, poszarpana, migocząca ciemność, jak rozdarty szew w powietrzu. Nie, nie migocząca – poruszająca się. Jak

światło widziane przez stojącą wodę, ale unoszące się nad nią, w odległości jakichś trzydziestu pięciu metrów. Zawisło w oczekiwaniu, otoczone cieniami w kolorach złota, fioletu i błękitu kojarzącego się z siniakiem.

Coś w tym widoku – słaby złocisty poblask, szczególny rodzaj falowania, samo istnienie czegoś, co wyglądało jak wyjęte z baśni o Dawnym Świecie – skojarzyło się Navi z powodów, których nie potrafiłaby określić, z zaginioną przyjaciółką.

Eliana.

Poczuła dotknięcie chłodu na szyi. Wstała powoli, ignorując Ruusę. Smugi ciemności rozchodziły się z tego kształtu w powietrze jak pęknięcia na szkle. Obserwowała, jak się rozrastają, wstrzymywała oddech i słuchała okrzyków zdumienia swoich towarzyszy.

Nagle pęknięcie przestało się rozrastać. Ciemność zawisła w powietrzu setkami pajęczych nóg i już się nie powiększyła.

Jakieś uczucie poruszyło się pod obojczykiem Navi, ponaglając ją, żeby się zbliżyła, a może oddaliła. Nie rozumiała go, ale im dłużej wpatrywała się w zawieszony kształt, tym gorzej się czuła.

Musiała jednak na niego patrzeć. Musiała się zbliżyć. Coś się zdarzyło, coś mającego związek z empirium, a to stanowiło dowód. Najpierw trzęsienie ziemi, a teraz to. Navi musiała się dowiedzieć, co to takiego. Czy Elianie coś się stało? Czy została zamordowana, a świat teraz pękał?

– Tam – wskazała. – Widzicie to?

– Widzę, milady! – Miro przesunął się, żeby przykucnąć koło niej. Łódź się zakołysała, a Ruusa zaklęła. – Czy to ogień?

Navi wzięła od niego wiosło.

– Musimy do tego podpłynąć, szybko.

Ruusa się nie ruszyła.

– Milady, cokolwiek to jest, powinniśmy się trzymać od tego z daleka.

Cierpliwość Navi się wyczerpała, zastąpiona gorączkową potrzebą obejrzenia tego zjawiska, dotknięcia go. Przyszła jej do głowy fantastyczna myśl, że po drugiej stronie może być Eliana.

– Weźmiesz wiosło – powiedziała do Ruusy głosem spokojnym, lecz ostrym – i pomożesz mi tam podpłynąć, zanim to coś zniknie, albo już zawsze będziesz widzieć w moich oczach rozczarowanie tobą.

To były surowe słowa, a Navi nienawidziła się za nie, ale po chwili łódź ruszyła przed siebie, a Ruusa wiosłowała w zawstydzonym milczeniu. Malik zawołał za nimi, podobnie jak Hob, a Navi usłyszała plusk ich wiosł, lecz nie obejrzała się, ponieważ gdy Ruusa, Taya, Edran i Miro skierowali łódź bliżej tego zjawiska, tego unoszącego się, spękanego oka, coś się zmieniło.

W samym centrum, wśród wirujących ciemnych kolorów, pojawiły się kształty jak krople atramentu rozchodzące się w wodzie.

Navi nie mogła odwrócić wzroku. To nieprawdopodobne zjawisko zapuściło korzenie w jej sercu. Jeśli spróbuje się uwolnić, jej pierś otworzy się jak szczelina w ziemi. Co to było?

– Jesteście za wolni – wymamrotała, a później, gdy zobaczyła, że woda staje się płytsza, wyskoczyła z łodzi i wylądowała w bagnie.

Zaraz potem wiosło Ruusy uderzyło o dno. Navi usłyszała, że łódź grzęźnie w mule, a Miro wydaje okrzyk przerażenia, ale nie potrafiła się zatrzymać.

– Milady! – rozległ się głos Hoba. – Stój!

– Coś jest tam w środku! – zawołała do niego.

Jakieś wodne stworzenie musnęło jej nogę. Ledwie to zauważyła, ponieważ wspinała się na niewielkie wybrzuszenie w lepkim mule. Wewnątrz rozmytej krawędzi zjawiska obracały się powoli kształty przypominające smugi dymu.

Navi wydostała się z błota na twardszy grunt. Widziane z boku zjawisko było cienkie jak papier, prawie znikало, gdy na nie patrzyła.

Kiedy jednak je obeszła, dostrzegła, że pod innym kątem jest szersze, jak zawieszone w powietrzu ciemne lustro. Gdyby tylko mogła go dotknąć, odsunąć otaczające je splątane cienie, dowiedziałyby się, co jest w środku. Mogłaby zrozumieć.

Jej stopy poruszały się za szybko. Spróbowała zwolnić, odsunąć się, ale samo powietrze ciągnęło ją naprzód. Potknęła się o własne nogi, wyciągnęła ręce, żeby złapać równowagę, lecz się nie przewróciła. Jej ramiona zeszywniały, palce skierowały się do ciemnego, niemrugającego oka. W przypiływie przerażenia uświadomiła sobie, że to coś, czymkolwiek było, ma własną wolę.

Chciało, żeby podeszła bliżej.

Chciało, żeby go dotknęła.

Jej palce musnęły powietrze wokół zjawiska. Poczula na nich okropny nacisk, a potem na dłoni i nadgarstku, przedramieniu i łokciu.

Spojrzała ze zgrozą w dół, a krzyk uwiązł jej w gardle. W tym momencie w ciemności znajdującej się kilka centymetrów od jej twarzy, tuż przed jej oczami, załśniło pęknięcie jak błyskawica.

W tej jednej szokującej chwili Navi ujrzała tysiące obrazów, jakby czas obejmujący niezliczone pokolenia został wepchnięty w jednym momencie do jej umysłu. Strzępy skóry łuszczące się z kości jak długie czarne języki. Dłonie sięgające po pomoc, która nie miała nadejść. Milion zawodzących głosów w kakofonii wściekłości.

Migotliwe miasto, które ciągnęło się bez końca. Bestie o skrzydłach przypominających ostrza kosy.

Szczęki tak ogromne, że mogłyby pochłonać świat, czarne i bezdenne.

Navi poleciała chwiejnie do tyłu. Coś przerwało jej wizję. Czyjeś dłonie chwyciły ją za ręce i nogi, żeby wciągnąć z powrotem w bagno. Przewróciła się, napiła mętnej wody i wynurzyła, łapiąc powietrze.

Uderzyła o coś solidnego i zobaczyła Malika po kolana w błocie, a tuż za nim Hoba i Ruusę. Pomogli jej wrócić do łodzi, a następnie popchnęli ją mocno, byle dalej od wysepki na bagnie i unoszącego się nad nią czarnego rozdarcia w powietrzu.

Wdrapali się do łodzi za Navi, ociekając wodą i oddychając ciężko. Miro, z szeroko otwartymi oczami, ściągnął swój płaszcz i narzucił jej na ramiona.

Navi owinęła się nim ciasno i dopiero wtedy zauważyła, że na palcach ma cieniutką warstewkę krwi.

Patrzyła, jak jej przyjaciele wiosłują z całej siły, a ciemność się oddala. Zaczęła szlochać.

Malik przysiadł koło niej, śmiertelnie poważny.

– Co to było? Co zobaczyłaś?

Navi nie potrafiłaby tego opisać. Głowa bolała ją od obrazów wypalonych w jej umyśle. Czuła, jak tłoczą się w czaszce, zbyt wielkie i zbyt starożytne dla niej.

Przyszła ulotna myśl – jeśli to jest blade echo tego, czego doświadcza Eliana żyjąca z takimi mocami, to zdumiewające, że jeszcze nie oszalała.

– To była Otchłań – szepnęła Navi. – Wiem o tym, chociaż nie umiałabym wyjaśnić dlaczego. To coś, co tam było, przyciągało mnie... – Potrząsnęła głową. – Ten kształt, to zjawisko, jest szczeliną pomiędzy tym, co tutaj, i tym, co jest tam. Otworzyło się z jakiegoś powodu, nie wiem dlaczego, ale dalej, za tą szczeliną, jest wszystko to, czego się obawiamy.

Ruusa wpatrywała się w nią, a jej piegowata twarz pobladła okropnie. Hob wiosłował z ustami zaciśniętymi w wąską linię.

– Eliana często rozmawiała ze mną o Bramie – ciągnęła Navi, mocno ściskając dłoń Malika. – Ty także o niej słyszałeś. Ojczym i tata opowiadali ci o niej, tak samo jak mnie. Większość ludzi uważa, że to tylko legendy. Patrzą na czarnookich najeźdźców i przekonują samych siebie, że nie ma już żadnych aniołów. Ale my znamy prawdę.

Malik spoglądał na nią ponuro.

– Uważasz, że... że to coś jest drugą Bramą?

– Myślę, że kiedyś może się nią stać. Myślę, że to trzęsienie było czymś więcej niż zwykłymi ruchami ziemi. Myślę, że coś się porusza w empirium, że Eliana nadal żyje i walczy. – Navi popatrzyła na odległy czarny kształt, na pół ukryty za drzewami. Strach łaskotał ją w gardle. – Myślę także – powiedziała cicho – że to oznacza, że jeśli mamy jej pomóc, zanim będzie za późno, to musimy się spieszyć.

Rielle

Najdroższa Siostrze, mogły dotrzeć do Ciebie pogłoski o mojej śmierci. To prawda, że Merovec Sauvillier pobił mnie prawie na śmierć, jednak nie dokończył dzieła, choć żałuję, że mu się to nie udało. Dwójka przyjaciół pospieszyła mi z pomocą. Nie, nie mogę Ci zdradzić ich imion, chociaż polubiłabyś oboje. Chcę, byś wiedziała, że nie jestem już więźniem Meroveca. Nie mogę jednak powrócić do domu. Słyszałem o tym, co się wydarzyło w Âme de la Terre. Wiem, że Audric i Rielle zniknęli. Nie zdołałem ich ostrzec w porę. Zawiodłem ich, tak samo jak nie potrafiłem uratować Ojca. Nie chciałem nigdy korony. Ty zawsze tego w głębi serca pragnęłaś. Będziesz lepszą władczynią dla naszych poddanych, niż mnie mogłoby się to kiedykolwiek udać. Znajdź Audrica i pomóż mu, na ile to będzie możliwe. Za to, że Cię porzuciłem, otrzymam przydomek Tchórzliwy. Ludzie będą mówić, że abdykowałem i uciekłem. Niech tak mówią. Kiedy byłem bliski śmierci, uświadomiłem sobie, że w zamku nigdy nie czułem się jak w domu. Teraz zdecydowałem się żyć i znaleźć miejsce, gdzie będę się czuć dobrze, na tak długo, jak to możliwe w tym pogrążającym się w mroku świecie. Będę za Tobą tęsknić, ale nie żałuję, że odchodzę.

– z zaszyfrowanego listu króla Ilmaire’a Lyslevy do jego siostry

Ingrid, listopad 999 roku Drugiej Ery

Corien odnalazł Obritkę niemal natychmiast i unieruchomił swoim umysłem ją i jej strażnika. Jednak przez ten krótki czas zdołała pokonać ponad dwieście pięćdziesiąt kilometrów.

Musieli udać się po nią na piechotę.

Przez trzy dni Corien wściekał się w milczeniu, gdy wędrowali przez pustynię Vindiki. Narzucał mordercze tempo. Ledwie odzywał się do Rielle, a jeśli to robił, rzucał krótkie rozkazy.

„Chodź tutaj”.

„Idź szybciej”.

„Pocałuj mnie”.

Dotrzymywał obietnicy i nie mącił już w jej myślach. Kiedy przyciągnął ją do siebie w ciemności, Rielle chwyciła go za kołnierz i przycisnęła wargi do jego ust.

Jeśli go słuchała, robiła to, ponieważ chciała go słuchać.

Potem, czwartego dnia, znaleźli Obritkę.

Rielle wiedziała o tym od chwili, gdy otworzyła oczy po niespokojnym, dwugodzinnym śnie. Przerwali pościg przez noc dopiero wtedy, kiedy wyczerpana Rielle potknęła się o szczelinę w ziemi i omal nie spadła ze ścieżki wzdłuż urwiska. Teraz, skulona na dnie płytkiej górskiej groty, otworzyła oczy w momencie, gdy spacerujący wokół niej Corien się zatrzymał.

– Wstań. – Był jak oszalały, jego włosy zwisały przetłuszczonymi strąkami. Brutalnie poderwał Rielle z ziemi. – Są blisko.

– Puść mnie. – Wyrwała się z jego uścisku. – Mogę iść sama.

– W takim razie trzymaj się za mną. I patrz pod nogi. – Jego jasne oczy lśniły w blasku księżyca, gdy uśmiechał się ponuro. – Mam ją. Nie może się ruszyć. Mam ich oboje.

Rielle z trudem za nim nadążała, czując klucie w boku. Corien ukrywał przed nią swoje intencje, a wyraz jego twarzy ją niepokoił.

Najpierw znaleźli Artema w kępie poskręcanych od wiatru drzew. Leżał na brzuchu, z rozrzuconymi kończynami. Rielle zakładała, że był żywy, ale nie mógł się poruszać. Tobół zawierający formy upadł na ziemię i się

rozsypał. Tarcza Marzany lśniła srebrem. Młot Grimvalda wibrował bezgłośnie.

Dalej znajdowała się Obritsa. Corien przytrzymał ją swoim umysłem, lecz mimo to pełzała powoli, jakby poruszała się w smole. Z oczu płynęły jej łzy wysiłku. Jej twarz była wymizerowana, wargi popękane. Zaskoczona Rielle zaczęła się zastanawiać, czy ta dziewczyna czołgała się tak przez trzy dni, starając się uciec Corienowi.

Podszedł szybkim krokiem do Obritsy, chwycił ją za splątane białe włosy i szarpnięciem postawił na nogi. Nie krzyknęła – kopnęła go w krocze i wykręciła się z jego uścisku. To go zaskoczyło; Rielle wyczuwała jego zdumienie. Patrzyła z podziwem, jak dziewczyna wyciąga z buta prymitywny nóż – nierówny kamień z ostrzem zrobionym z jednej z krawędzi. Obritsa zamachnęła się na Coriena, gdy się na nią rzucił. Cięła go przez pierś, a on wrzasnął z wściekłości i uderzył ją grzbietem dłoni. Upadła na ziemię i skoczyła ku swojemu nożowi, który poleciał pomiędzy drzewa.

Corien dopadł ją szybciej.

Przewróciła się z krzykiem. Jej drobne ciało skręcało się na ziemi jak wyciągnięta z wody ryba.

– Myślałaś, że możesz przede mną uciec – powiedział Corien, kucając nad nią. – Myślałaś, że możesz mnie pokonać.

– Udało mi się – wykrztusiła Obritsa. – Przez trzy dni byłam lepsza od ciebie.

Twarz Coriena wykrzywiła się wściekłością.

– Nie muszę cię dotykać, żeby zrobić ci krzywdę, ale to wzmacnia wrażenia. – Położył dłoń na jej twarzy i przycisnął jej policzek do podłoża. – Chyba się ze mną zgodzisz?

Wrzaski Obritsy stały się zwierzęce, nieartykułowane. Rielle usłyszała po lewej stronie niski jęk. Artem, nadal unieruchomiony na ziemi, mógł tylko skomleć cicho z rozpaczy, gdy Obritsa skręcała się w cierpieniu.

Ten dźwięk był tak żałosny, że Rielle czuła się zażenowana. Poza tym jeśli Corien będzie kontynuować, zabije tę dziewczynę. Wtedy utkną tutaj – gdziekolwiek to było – i będą musieli potajemnie znajdować środki transportu za pomocą wyłudzeń, manipulacji i morderstw. Wykonalne, ale kłopotliwe.

Rielle była zbyt zmęczona na rzeczy kłopotliwe, a jej żołądek skręcał się na widok Obritsy wierzgającej nogami i drapiącej paznokciami ziemię, gdy próbowała się uwolnić od Coriena. Rielle ogarnęło rozpaczliwe uczucie – wrażenie, że jest przytrzymywana, zatrzaśnięta w klatce – i uświadomiła sobie, że to strach Obritsy przenika do niej poprzez myśli Coriena.

Kirvajska królowa była uciążliwą smarkulą, jednak nie tak należało ją ukarać.

Rielle zrobiła krok do przodu.

– Puść ją.

– Och, ale ona przecież uciekła – powiedział ze słodyczą Corien. – Musi zostać ukarana.

– Pozbawisz ją życia swoją karą, a wtedy zostaniemy bez Naznaczonej, która może nam pomagać. Wypuść ją natychmiast.

– Uciekła jak nieposłuszna suka i musieliśmy za nią gonić. – Corien cmoknął z niezadowoleniem. Plecy Obritsy wygięły się w łuk, jej wrzaski przeplatało łkanie.

– Ale to twoja wina, że udało jej się uciec – przypomniała Rielle.

Wrzaski Obritsy ustąpiły miejsca okropnym, zdławionym jękom.

– Puść ją – poleciła Rielle.

Corien warknął anielskie przekleństwo, lecz nie ustąpił.

– Niech ci będzie – rzuciła ostro Rielle. – Jesteś idiotą.

Jednym ruchem nadgarstka sprawiła, że Corien poleciał do tyłu pomiędzy drzewa. Uderzył plecami w pień i osunął się na splątany podszyt.

Rielle czuła zawroty głowy, gdy stała nad Obritsą wymiotującą na ziemię. Artem, ciężko oddychając, zdołał się podeprzeć na rękach i kolanach.

– *Korozhka* – wyrzucił, a potem podczołgał się do dziewczyny, przemawiając do niej po kirvajsku. Rielle знаła język na tyle, żeby go rozumieć: „Moja królowo, moja najdroższa, jestem tutaj. Jeśli przeżyjesz, ja także będę żyć. Jeśli umrzesz, będzie i po mnie”.

Nieskrywana czułość w jego głosie sprawiła, że Rielle wstrząsnął mimowolny dreszcz. Zamknięte drzwi w jej wnętrzu ustąpiły i zalały ją powodzią obrazów.

Ona sama w Baingarde, śpiąca spokojnie w łóżku, z Audrikiem po lewej i Ludivine po prawej stronie. Ich kończyny na poduszkach. Audric pochrapywał, a powieki Ludivine trzepotały lekko przez sen. Byli mali, a w dzieciństwie często tak robili – zakradali się do swoich komnat, żeby czytać książki, grać w gry i jeść ciastka wykradzione z kuchni, aż zasypiali razem jak zmęczone szczeniaki. To było, zanim Ludivine umarła, zanim anielica zajęła jej miejsce. Przed próbami. Przed Corieniem.

Rielle znieruchomiała, jednocześnie widząc i nie widząc obejmujących się Artema i Obritsę – on gładził jej brudne włosy, ona szeptała coś żarliwie, ze łzami, w jego szyję.

Ciało Rielle pozostawało w kanionach Vindiki, ale jej umysł nagle znalazł się w ojczystej Celdarii.

Nadpłynęła kolejna wizja. Grała w karty przy lepkiem stole w tawernie Oda. Audric z humorem przegrywał; uśmiechał się szeroko, a jego kręcone

włosy były wilgotne od gorąca. Obok Ludivine – będąca już anielicą, chociaż jeszcze o tym nie wiedzieli – pochylała się, żeby pocałować Rielle w policzek.

Rielle otrząsnęła się i odsunęła od Obritsy i Artema.

Ludivine w końcu ją znalazła.

– Odejdź – szepnęła Rielle. – Nie chcę cię tutaj.

W odpowiedzi pojawił się następny obraz: ona sama w sklepie Garvera Randella, słuchająca cierpliwie, jak mały Simon uczy ją nazw specyfików w butelkach ustawionych na półkach jego ojca.

Następny: znowu ona, bosa, siedząca wygodnie na tarasie, z książką w dłoni i oparta o bok Atherii.

Następny: ona w łóżku Audrica, z nogami zaplątanymi w pościel, skórą zaróżowioną od jego pocałunków, palcami wsuniętymi w jego włosy.

– Przestań! – Rielle określiła się na pięcie i rozejrzała wśród drzew. – Precz ode mnie! Nie chcę cię tutaj! Opuściłam cię!

Wróć do domu, rozległ się głos Ludivine, odległy i zniekształcony. Rielle wyczuwała dzielące je kilometry i to, jak trudno było Ludivine formułować słowa. *Proszę, Rielle. Wróć do nas. Wróć do mnie.*

– Nigdy. – To słowo wyrwało się Rielle zdławionym szlochem. Odsunęła się chwiejnie od Ludivine, której tutaj nie było. Podniosła ręce, żeby odpędzić wizję siebie samej uśmiechającej się marzycielsko do Audrica. Dotykającej jego twarzy. Przyciągającej go do pocałunku. – Nigdy nie wrócę – wyszeptała Rielle. Oparła się ciężko o drzewo i wpatrywała ze złością w ciemność tej nieznaney krainy.

Tęsknisz za domem.

– Nie mam domu – warknęła Rielle. – Jestem potworem. Nie pamiętasz? „Jesteś przepowiedzianym przez Aryawę potworem. Zdrajczynią i kłamczynią”.

Audric był rozzłoszczony i przestraszony. Żałuje tych słów. Sam w to nie wierzy. Myśli Ludivine stawały się silniejsze, bardziej gorączkowe. Rielle, on nadal cię kocha. Chce ci pomóc.

Łzy Rielle popłynęły. Zacisnęła palce na szorstkiej korze drzewa.

– Nie potrzebuję pomocy. Dokonałam wyboru. Uszanuj to i zostaw mnie.

Chwila ciszy. *Nie powiedziałam mu jeszcze o dziecku, przekazała spokojnie Ludivine. To nie moja rola. Powiedziałam, że tego nie zrobię, i nie zrobiłam.*

Dziecko.

Fala szoku zalała Rielle. Ostatnie wspomnienia ukryte przed nią przez Coriena zostały nieoczekiwanie wypłukane i zalśniły w jej umyśle jak diamenty.

Machinalnie dotknęła lewą ręką brzucha. Zawsze był leciutko zaokrąglony, ale teraz stało się to wyraźniejsze. Z oszałamiającą jasnością uświadomiła sobie, skąd brały się trapiące ją mdłości i nieprzyjemne uczucie obrzmienia całego ciała.

Och, Rielle. Głos Ludivine brzmiał łagodnie. *Czyżbyś zapomniała?*

Wróciło wspomnienie dziewczyny w górach pochodzące sprzed kilku miesięcy – młodej kobiety twierdzącej, że jest jej córką. Walczyły. Mówiła, że ma na imię Eliana.

Rielle odwróciła się od tego wspomnienia i potrząsnęła głową, by się go pozbyć. Powiedziała sobie, że to było kłamstwo. Jakaś sztuczka Coriena. Nic nie znaczyło.

Coś trzasnęło i zaszleściło w krzakach.

Rielle odwróciła się błyskawicznie i machnęła ręką, przewracając Obritę i Artema. Upadli, oszołomieni, wśród drzew, kilkanaście metrów od niej. Krótkotrwała próba ucieczki.

Niczego nie zapomniałam, warknęła Rielle. Nie była już w stanie odezwać się na głos. Pamiętam każde kłamstwo, jakim mnie nakarmiłaś, Lu, każde kłamstwo, które powiedziałam za twoją namową. Nie mówiłaś nam, że jesteś anielicą, dopóki nie zaczęło to pasować do obrazu, jaki zamierzałaś stworzyć na użytek mieszkańców Celdarii – obrazu mnie jako zbawczyni zdolnej do wskrzeszania. Nie mówiłaś mi prawdy o tym, jak święci podstępem wtręcili aniołów do Otchłani, bo nie chciałaś, żebym przestała ci ufać lub zaczęła się obawiać, że manipulujesz mną, by skłonić mnie do pomocy w jakimś planie zemsty za los twojej rasy.

Rielle kręciło się w głowie ze złości. Rzuciła całym tym uczuciem w obecność Ludivine i poczuła pulsujący ból, ponieważ atakowała własny umysł. *Powiedziałaś mi, żebym okłamała Audrica, więc zrobiłam to i nienawidzę cię za to prawie tak samo, jak nienawidzę siebie. Jesteś żmiją i zdrajczynią. Nienawidzę cię.*

Chwila ciszy. Potem Ludivine odpowiedziała: *Kłamiesz, kochanie.*

Rielle pobiegła pomiędzy drzewa i znalazła Coriena leżącego bez ruchu i oddychającego z trudem tam, gdzie nim rzuciła. Machnęła niecierpliwie ręką nad jego ciałem. Zaklął krótko, gdy jego kręgosłup gwałtownie poskładał się w całość.

– Powstrzymaj ją, proszę – wykrztusiła Rielle, klękając koło Coriena. – Jest w mojej głowie. Nie chcę jej tam.

Rielle, nie, zaczekaj...!

W tym momencie Ludivine zniknęła. Zamiast niej pojawiło się upragnione uczucie ciepła i czystości. Zamknięte drzwi. Posprzątany umysł.

Rielle wtuliła się w ramiona Coriena i złościła się, roztrzęsiona. Pozwalała mu gładzić się po włosach i szeptać do niej czułe słowa w języku anielskim. *Ishkana, ukochana. Daeleya-lira, moja najdroższa, jesteś bezpieczna.*

Chociaż ją pocieszał, rozpacz uwięzła jej w gardle tak mocno, jakby została tam przyklejona. Jednocześnie Rielle czuła zawroty głowy z ulgi i okrutnej radości.

– Nigdy nie wrócę – szepnęła. – Nie mam domu.

– Twój dom jest tutaj, przy mnie – powiedział Corien z wargami przy jej włosach. – Twój dom jest tam, gdzie się znajdujemy.

Pozostawała w niej jednak pustka, której Corien nie zdołał wypełnić. Echo głosu Ludivine przywoływało wspomnienia domu – ciepłego śmiechu Audrica, miękkości Ludivine, zapachu cynamonu w kuchni i górskiego śniegu na skrzydłach Atherii. Piwa i pieczonych ziemniaków w tawernie Oda. Słodkiego kwietnego zapachu bryzantów otaczających Opokę. Woni dymu świec i kadzidełek, ciężkiej i duszącej, w gabinecie Tala.

– Jesteśmy razem – upierał się Corien. – Razem, Rielle. Tylko to ma znaczenie.

Rielle wiedziała jednak – i wyczuwała, że on także to wie – iż niezależnie od tego, jak bardzo oboje tego pragną, to nie wystarcza.

Jeszcze nie.

Najpierw musi pozwolić, żeby to dziwne nowe życie, towarzysząca mu samotność i wciąż jątrzący się w niej żal złamały jej serce do końca.

Potem będzie musiała je posklejać.

Pięć dni później znajdowali się na ukradzionym statku handlowym i żeglowali na południowy wschód przez Morze Namuriańskie.

Corien skłonił załogę, by wymordowała się nawzajem, i oszczędził tylko tyle osób, żeby mogły pozbyć się ciał i kierować statkiem. Marynarze wykonywali swoje obowiązki z poszarzałymi, niewidzącymi oczami – rozwijali żagle, stali za sterem, szorowali pokład z krwi swoich towarzyszy.

Rielle kuliła się w kajucie kapitańskiej, owinięta ciasno gryzącym wełnianym kocem. Poszukiwali najbliższej formy – strzały świętego

Ghovana. Od wielu miesięcy Corien tropił venteryjskich strażników Obex, starożytnego zakonu, który przysięgał stać na straży formy. Opuścili swoje zwykłe siedziby i podróżowali z niewiarygodną szybkością po świecie, nie zatrzymując się nigdzie na długo i używając Naznaczonych, by przeskakiwać z miejsca na miejsce.

Kilka tygodni temu ich szlak ucieczki zakończył się nieoczekiwanie na południowym kontynencie, w Patrii, która wieki temu stanowiła serce anielskiego imperium. Od tamtego czasu strażnicy Obex pozostawali w jednym miejscu. Ukrywali się. Czekali.

Czyżby wyczerpali swoje siły i energię? Czy zostali uwięzieni bez możliwości ucieczki, zostali pozbawieni pomocy Naznaczonych i zamierzali bronić się do samego końca w ruinach Patrii?

– Czy może to jakaś pułapka? – zastanawiał się Corien dwa dni wcześniej, leżąc na łóżku zamordowanego kapitana, z Rielle zwiniętą obok. – Czy wiedzą, że ich szukam? Czy planują zasadzkę?

Roześmiał się na myśl o tym, a Rielle – zmęczona, dręczona chorobą morską – uśmiechnęła się słabo w jego rękaw. Jego perlisty śmiech był precudownym dźwiękiem. Uczepiła się go.

– Mam nadzieję, że spróbują zasadzki – powiedział, gładząc leniwie jej plecy. – Czy to nie byłoby zabawne, ukochana?

W jego głosie usłyszała, czego od niej oczekiwał. Jeśli strażnicy Obex rzeczywiście na nich czekali i planowali zasadzkę, chciał, żeby Rielle ich zabiła, zanim zdążą zaatakować. Roztopiła ich. Spaliła.

Chciał, żeby wymazała ich ze świata.

A ja będę na ciebie patrzeć, wyszeptał Corien w jej umyśle. Moja wspaniała królowa wypalająca wrogów, nim ruszą się z miejsca. Zabierająca to, co należy do nas. Rozpoczynająca nasz wielki podbój.

Teraz siedząca na podłodze Rielle zwinęła długie włosy w węzeł na karku i zacisnęła je w pięści. Była zbyt zmęczona, żeby w tym momencie myśleć o wymazywaniu kogokolwiek. Cięża była jak choroba, bolały ją stawy, a jej żołądek się przewracał.

W dodatku jej umysł nie chciał się uspokoić. Chociaż Corien zamknął i zaryglował podwójnie drzwi, Ludivine nie odpuszczała. Szeptała i nalegała. Przesyłała słowa czułości i cienkie nitki wspomnień.

Rielle przycisnęła nasady dłoni do czoła i pocierała mocno, kolistymi ruchami.

– Lu, idź sobie.

– Jeśli chcesz ją zobaczyć – rozległ się cichy głos z drugiej strony kajuty – mogę cię do niej wysłać. Nie od razu oczywiście, ale krok po kroku.

Rielle podniosła głowę i spojrzała mętnym wzrokiem.

Związana w przeciwnym kącie młodziutka królowa Obritsa popatrzyła jej prosto w oczy. Odezwała się pierwszy raz, od kiedy Corien zabrał Artema pod pokład tuż po zajęciu tego statku. Rielle nie wiedziała, gdzie jest przetrzymywany kirvajski strażnik i jakie gry toczy Corien w jego umyśle.

– Czy nie tego chcesz? – ciągnęła Obritsa. – Zobaczyć lady Ludivine? Zobaczyć ich oboje? Ostatecznie nie miałaś czasu, żeby się z nimi pożegnać.

Rielle zamknęła oczy.

– Nie chciałam się żegnać.

– Widziałam cię w noc twojego ślubu. Byłaś zdruzgotana. Na twojej twarzy malowało się cierpienie. Nie chciałaś ich zostawiać, a jednak to zrobiłaś. Uważałaś, że nie masz wyboru.

– Z przyjemnością ich opuściłam – warknęła Rielle i przycisnęła palce do skroni. Miniaturowe burze mocy trzaskały pod jej kciukami. – Powinnam była zrobić to wcześniej.

– Zapominasz, że odwiedziłaś mój pałac, lady Rielle – powiedziała Obritsa. – Widziałam was wszystkich razem. Widziałam cię z księciem Audrikiem. Teraz już królem Audrikiem. Łącząca was miłość nie była kłamstwem.

Rielle słyszała uderzenia własnego serca w uszach.

– Wtedy łącząca nas miłość nie była kłamstwem – oznajmiła sztywno. – Teraz jest.

– Skoro tak twierdzisz, być może to prawda.

– Wiesz, że mogłabym cię zniszczyć jednym pstryknięciem palców. Biorąc to pod uwagę, dziwię się, że nadal starasz się mnie sprowokować.

Jeśli Obritsa się bała, Rielle nie mogła tego wyczuć. Cienie pod zmęczonymi oczami dziewczyny sprawiały, że jej twarz wyglądała na wynędzniałą, ale zachowywała się z nienaganną godnością. Rielle wiedziała, że Obritsa jest szpiegiem – bronią umieszczoną na kirvajskim tronie przez rewolucjonistów, którzy chcieli obalić rządzących krajem magów żywiołów. Teraz zaś stała się więźniarką anioła.

Rielle odwróciła głowę. Ta dziewczyna była narzędziem, niczym więcej. Nie zasługiwała ani na podziw, ani na współczucie.

– Jego uwaga jest odwrócona, ale nie na długo – rzekła cicho Obritsa. – Jeśli chcesz znowu zobaczyć Ludivine i Audrica, powinnaś działać szybko i wiesz o tym.

Rielle podniosła się niepewnie, nienawidząc nowo nabytej okrągłości swojego ciała. Myśli o rosnącym w niej dziecku nabrzmiały falą goryczy, lecz stłumiła je. Nie mogła jeszcze myśleć o życiu w swoim wnętrzu ani o niebezpieczeństwie, jakie mogło się z nim wiązać. Nie mogła myśleć

o tym, jak wściekła była na Coriena za to, że ukrywał przed nią prawdę o dziecku, chociaż obiecał jej, iż skończy z kłamstwami. Przeprosił, a ona przyjęła przeprosiny. To powinno wystarczyć.

Rielle krążyła po kajucie. Corien był na pokładzie, gdzie nadzorował swoją nową, szarooką załogę. Wiedziała, że nawet gdy był zajęty, jego umysł znajdował się gdzie indziej, w tysiącu różnych miejsc na całym świecie i w Otchłani. Ani jeden kawałek nie pozostał w kajucie kapitańskiej, gdzie słowa Obritsy dźwięczały w uszach Rielle, a w jej sercu kiełkowały powoli wątpliwości.

Dziewczyna miała jednak rację: on mógł powrócić do nich w każdej chwili. Mógł momentalnie sięgnąć do niej i usłyszeć wszystko, o czym mówiły.

– Potrzebowaliśmy całych tygodni, żeby zawędrować tak daleko – powiedziała cicho Rielle. – Nie zdołam dotrzeć do Celdarii i wrócić, zanim on się zorientuje, że zniknęliśmy.

– Nie, nie zdołasz – przyznała Obritsa.

– Znajdzie nas, zanim się na dobre oddalimy.

– Najprawdopodobniej.

– Wtedy nas ukarze. Ciebie przede wszystkim. – Rielle szybko prychnęła. – Co za głupi pomysł. Jesteś głupia, żeby proponować coś takiego.

– Bez wątpienia. – Chwila ciszy. – Ale czy nie byłoby warto spróbować?

Rielle odetchnęła głęboko przez nos, zmuszając się, by zachować spokój, chociaż zdenerwowanie pieniło się gorącem w jej piersi, narastając coraz bardziej. Czy było warto spróbować ucieczki? Wyobraziła sobie, że jest znowu w Celdarii, w znajomych komnatach Baingarde. Mogłaby stanąć

oko w oko z Audrikiem, wiedzieć na pewno, że jest cały i zdrowy. Zażądać przeprosin za to, co powiedział w noc ich ślubu.

Ukarać go, jeśli tak zdecyduje. Odtrącić go na zawsze.

Mogłaby jeszcze raz stanąć na celdaryjskiej ziemi, polecieć na grzbiecie Atherii aż na szczyt Cibelline i wdychać świeże górskie powietrze, aż rozbolą ją płuca.

Ale co by tam znalazła poza tym? Jakie życie mogłaby prowadzić po tym wszystkim, co się stało?

Rielle zacisnęła pięści na zasłonie. Serce tłukło się jej w rytm kołysania statku.

– Nie mogę.

W głosie Obritsy zadźwięczało zniecierpliwienie.

– Twierdzisz, że pragniesz wolności, ale godzisz się na jego kajdany. – Dodała natarczywym szeptem: – Lady Rielle, gdybyś zobaczyła to, co ja widziałam w jego siedzibie na północy, rzeczy, które on robi w górach pod swoją fortecą...

Nagle, w pół słowa, Obritsa zamilkła.

Rielle odwróciła się szybko, w samą porę, żeby ujrzeć, jak dziewczyna sztywnieje. Jej oczy się zaszklily, oparła się ciężko o ścianę.

Drzwi się otworzyły, a Rielle podbiegła do nich, by przywitać Coriena w progu pocałunkiem.

– Chcę się ich pozbyć – oznajmiła zdyszana, z ustami na jego ustach. – Kiedy tylko zdobędziemy formę i zabierzemy ją do... jak ona się nazywa? Ta twoja baza?

– Terytorium Północne – powiedział głucho, nie reagując na jej dotyk.

– Właśnie. Czy kiedy tylko się tam dostaniemy, znajdziemy się w domu, będziemy mogli się jej pozbyć? – Wskazała Obritsę. – Znajdziemy

sobie innego Naznaczonego. Tej tutaj nie lubię. Sam jej widok budzi we mnie odrazę. Taka koścista brzydula.

To było żalosne kłamstwo. Obritsa była bardzo piękna, a Corien wiedział, że Rielle tak uważa.

Jego palce zacisnęły się na jej talii. Usta zawisły nad jej wargami.

– Twoja suknia robi się za ciasna. Musimy poszukać ci nowej.

– Kilku nowych, proszę. Koronkowych i aksamitnych. Sukni, których przyjemnie jest dotykać. – Rielle przesunęła dłońmi po jego tułowi, zatrzymała się na chwilę na pasie, a potem sięgnęła niżej. Corien odetchnął gwałtownie. To było coś nowego, miejsce, którego dotykała w sennym marzeniu w ich umysłach, ale nigdy w rzeczywistości. Jej ciało dygotało z nerwów, gdy przysunęła się bliżej i wyszeptała, muskając skórę nad jego kołnierzykiem: – Sukni, które przyjemnie będzie ci się ze mnie zdejmowało.

Chwycił ją za nadgarstek i ucałował miejsce, w którym szybko uderzał puls.

– Zostań przy mnie, Rielle – powiedział – a dostaniesz wszystko, czego zapragniesz.

Poczuła muśnięcie strachu. On wiedział, że rozmawiała z Obritsą; wyczuła to w momencie, gdy wszedł do kajuty.

Uśmiechnęła się do niego, udając, że oboje nie wiedzą, iż zaproponowano jej szansę ucieczki i niewiele brakowało, by się zgodziła.

Udając, że wie doskonale, czego pragnie, i jest to tak proste jak pocałunek, którym teraz przypieczętowała ich związek.

Po tygodniu na morzu dotarli na ogromną wyspę o nazwie Patria – kraj bujnych lasów deszczowych, płaskowyżów i niebosiężnych gór wulkanicznych.

Dawniej mieszkało tu mnóstwo aniołów.

Teraz była to prześliczna, bezludna kraina, gdzie na każdej opuszczonej ulicy widać było cienie dawnego luksusu. Rozległe place z popękkanymi marmurowymi płytami, spiralne wieżyczki pokryte zaśnieżoną i poczerniałą miedzią, wytworne posiadłości z dachami przykrytymi dachówką i zrujnowane kamienice otaczające okazałe, otoczone kolumnami podwórka. Wszystkie budynki tworzyły nienagannie elegancki układ architektoniczny. Szczyty dachów, drogowaskazy i zarośnięte ogrody były ozdobione skrzydłami z brązu i kości słoniowej.

Jednakże przez stulecia, które upłynęły od porażki aniołów, przyroda pochłonięła budynki. Intensywnie zielone pnącza z żarłocznie otwartymi białymi kwiatami wylewały się z dziedzińców. Poskręcane czarne drzewa wyłaniały się z roztrzaskanych szklanych sufitów. W centralnej części oświetlonej słońcem dzielnicy mieszkaniowej stała przestronna biblioteka z pustymi półkami i zbutwiałymi książkami na podłodze.

– Miasto Niebios – oznajmił Corien, gdy przekroczyli próg biblioteki. Sufit w górze tworzył niekompletną mozaikę z kolorowego szkła. – Serce anielskiego imperium. Tutaj empirium stworzyło z prochu pierwszą anielicę i tchnęło w jej płuca dar długowieczności, zanim wysłało ją, aby żyła pomiędzy chmurami.

Rielle odwróciła się od niego, czując, że jej żołądek się skręca. Bardzo dobrze знаła tę opowieść. Audric czytał ją na głos wiele razy ze swojej ulubionej kolekcji historii o aniołach. Nawet teraz Rielle słyszała jego ciepły, głęboki głos kształtujący poszczególne słowa i nadający im melodyjny rytm.

Corien się odwrócił, żeby spojrzeć na nią ostro.

Ich oczy się spotkały, a na wargach Rielle tłoczyły się setki sprzecznych słów.

Wtedy znaleźli ich strażnicy Obex.

To rzeczywiście była zasadzka, na którą liczył Corien, a do tego żałosna. Kiedy tylko w powietrzu śmignęła pierwsza strzała – wypuszczona z góry, zza parapetu kruszącej się wieży strażniczej obok biblioteki – zmęczenie Rielle zniknęło, zaś jej instynkty się przebudziły.

Nie pamiętała potem masakry, której dokonała. Ich twarzy, tego, jak przygotowali atak, gdzie się ukrywali, ilu ich było, co mieli na sobie, ilu spośród nich było ludźmi, a ilu Naznaczonymi na usługach zakonu Obex. Rielle nie wiedziała tego wszystkiego i nie obchodziło jej to.

Wiedziała tylko, że podniesiono przeciwko niej broń i przyszedł czas zabijania.

W kilka chwil było po wszystkim.

Cudownych, rozgrzanych do czerwoności chwil, przez które nie czuła ani granic swojego ciała, ani ziemi pod stopami. Jej moce czekały na ten moment, wrzały pod jej skórą, gdy spała i się niepokoiła; gdy kuliła się, nieszczęśliwa i chora, na wykradzionym statku; gdy kryła się przed uporczywymi strzęgami głosu Ludivine w gorączkowych snach zesłanych przez Coriena.

Czekały od tygodni jak zwierzę krążące w klatce, a gdy się uwolniły, wybuch mocy cisnął Obritę i Artema na ziemię. Rielle pamiętała czerń podnoszącą się i ogarniającą ją całą, zastępującą jej oczy i płuca złotem.

Potem powoli dochodziła do siebie. Oddychała ciężko, oparta na dłoniach i kolanach na popękanej marmurowej posadzce. Otaczało ją czerwone słońce z krwi, o mokrych i lśniących promieniach. Nie było żadnych ciał; odłamki kości dryfowały powoli w powietrzu jak płatki śniegu. Uszy Rielle wypełniało brzęczenie, a ona nie potrafiła określić, czy pochodziło z daleka, czy też spod jej żeber.

Szukała na oślep wśród kawałków potraskanego marmuru i brył świeżej ziemi. Jej dłoń natrafiła na długi, ciężki kawałek metalu, a gdy

wyciągnęła z gruzowiska strzałę Ghovana, zaczęła widzieć jasno.

Siedziała na scenie kompletnego zniszczenia.

Biblioteka zniknęła, jej ruiny zostały zburzone. Stosy gruzu i kamieni piętrzyły się na odsłoniętych fundamentach jak zaspas śniegu. Spiralne smugi czarnego dymu unosiły się z palców Rielle. Przytuliła strzałę do siebie i uśmiechnęła się, gdy jej skóra zamrowiała. Poczowała nici łączące strzałę świętego Ghovana z tarczą świętej Marzany, młotem świętego Grimvalda i laską świętego Tokaziego. Całą sieć mocy zasilającej jej moce i malującej na jej skórze barwne żyłki.

Usłyszała odgłos ciągnięcia czegoś ciężkiego, a kiedy podniosła głowę, zobaczyła Coriena klęczącego kilka kroków od niej. Znalazł nietknięte ciało – zapewne kogoś ze strażników Obex. Jedną osobę ominęła.

Corien chwycił ją za nadgarstki, zanim zdążyła dokończyć dzieła zniszczenia.

– Zaczekaj – powiedział, a jego głos dobiegł do niej przez skłębione morze kolorów. Rielle zamrugła, a potem jeszcze raz. Chyba jednak nie zaczęła widzieć jasno. Dostrzegała znajomą, czarno-białą sylwetkę Coriena, a także lekkie lśnienie czerwieni na ziemi, ale cała reszta była złota. Widziała złoto w swoich oczach, pod paznokciami, w kącikach ust Coriena.

Rzuciła się do przodu i pocałowała go, chciwa i pełna ognia. Ugryzła go w wargi, usiadła mu na kolanach. Była nienasycona. W prawej dłoni ścisnęła strzałę świętego Ghovana.

– Rielle, zaczekaj, posłuchaj mnie. – Głos Coriena spłynął do niej z chmur. Ostrożnie odsunął się od niej. – Chcę, żebyś czegoś dla mnie spróbowała. Teraz, gdy nadal jesteś rozgrzana i gotowa. Moja prześliczna dziewczyna. – Wycisnął pocałunek na jej czole. W jego głosie wibrowały naleganie i ekscytacja.

Czy to może ona wibrowała? Cały świat wibrował – za jej sprawą.

Z uśmiechem dotknęła twarzy Coriena. Zdarzało jej się upijać winem i piwem, ale nic nie mogło się równać z ekstazą bycia pijaną własnymi mocami. Miała odległe poczucie, że nigdy wcześniej używanie mocy nie było tak przyjemne, tak gwałtowne i szybkie – ani tak dezorientujące. Jej moc wybuchła nieoczekiwanie i ogarnęła ją gwałtownie.

Rielle oparła się dłońmi o ziemię.

– Czego chcesz? – Roześmiała się na widok absurdalnego kształtu swoich rozplaszczonych dłoni. – Wszystko. Mogę zrobić wszystko.

– Wiem, że możesz. – Corien przysunął do niej ciało strażnika. – Mam tutaj przyjaciół. Bardzo wielu. Czy możesz ich zobaczyć?

Wysłał jej myśl, a Rielle wyczuła w niej wahanie i niepewność. Corien zachowywał się wobec niej ostrożnie jak nigdy wcześniej.

Obawiał się.

Zamierzała zapytać go o to później, lecz w tym momencie była zafascynowana myślami, które jej przekazywał. Uświadomiła sobie obecność nowych istot – całych tuzinów i jeszcze więcej, dryfujących w pobliżu. Czystych świadomości. Potężnych.

– Aniołowie – westchnęła i rozejrzała się ze zdumieniem. – Są tutaj aniołowie.

Empirium umożliwiało widzenie w sposób niedostępny dla jej oczu. W powietrzu unosiły się niewyraźne sylwetki, rozmyte i blade, bezkształtne i zrozpaczone. Ich głosy narastały szeptami. Nie mieli dłoni ani ramion, ale wyczuwała, że sięgają do niej błagalnie. Brakowało im spójności. Lśniące w nich złoto empirium było przygasłe i zmęczone.

– To są ci, którzy uciekli z Otchłani – rzekł cicho Corien – ale nie byli dość silni, by stać się żołnierzami. Wysłałem ich tutaj, do Miasta Niebios, żeby ukryli się i czekali. Na ciebie, mój okrutny cudzie. – Umilkł na pełną napięcia i wyczekiwania chwilę. – Spróbujesz? Teraz, dla mnie? Twoje

moce są w tym momencie tak pełne życia, że ledwie... Rielle, ja ledwie mogę na ciebie patrzeć. Jesteś oślepiająca. Olśniewająca.

– Jestem Niszczycielką – powiedziała po prostu, życzliwie. To było wyjaśnienie. – A także Królobójczynią. Ale nie trzeba się mnie obawiać. – To ostatnie zdanie wygłosiła w powietrze. Miała poczucie, że staje się sobą i ogarnia ją cudowny spokój. – Kto spośród was jest dość śmiały, by stać się pierwszym odrodzonym aniołem? Niech wystąpi. Niech przyjdzie do mnie.

Zbliżył się do niej umysł, zaniepokojony i przestraszony, starający się ukryć swój lęk. Rielle pomyślała, że to dziecko. Chłopiec. Spłynęła na nią wizja prawdy: w Pierwszej Erze, jako anioł, to dziecko miało alabastrową skórę, włosy spływające kasztanowymi puklami za ramiona i bursztynowe oczy z plamkami intensywnej zieleni.

Gdy Otchłań pochłonęła go i odebrała mu ciało, miał zaledwie kilka dziesiątków lat, był bardzo młody jak na anioła.

– Malikel – wyszeptała Rielle. – Nie obawiaj się. Możesz się odrodzić.

Zanurzyła się w jasnym świetle wizji empirium. Zobaczyła, że ten chłopiec, Malikel, składał się w swojej istocie po prostu z gwiazdowego pyłu. Miliony wirujących kul, każda jaśniejsza od słońca i połączona z pozostałymi – a także z ziemią, na której klęczała Rielle, i z ciemnym kształtem ciała leżącego przed nią. To ciało było odrażające. Nienawidziła jego widoku. Dlaczego leżało i gapiło się na nią w ten sposób, tak bardzo martwe i ciemne, tak pozbawione życia, gdy mogła z łatwością uczynić je znowu całym?

Pracowała szybko. Jej moce były nieskończone i skłębione jak burza. Ogarnęła nimi Malikela i pociągnęła za nici jego umysłu. Pobliskich nici, śliskich i ulotnych, nie mogła dotknąć – jeszcze nie teraz. To były nici łączące to miejsce z tamtym miejscem i łączące chwile przed nią z chwilami w przeszłości.

Rielle pomyślała ponuro o Obritsie. To niesprawiedliwe, że ta dziewczyna cieszyła się przywilejami, których ona była pozbawiona.

– Pewnego dnia będę podróżować, gdzie tylko zapragnę – wymamrotała, wiążąc razem nici, których mogła dotykać, fizyczność trupa, gorliwość umysłu Malikela. Jednocześnie marzyła o nieosiągalnych dla niej niciach. – Pewnego dnia powędruję na koniec stworzenia, a potem wrócę na sam jego początek. Pewnego dnia Naznaczeni padną na kolana z zazdrości wobec mnie, ponieważ ich prześcignę.

– Skoncentruj się, Rielle – powiedział z naciskiem Corien. Jego głos dobiegał jednocześnie z bliska i daleka. – Szybko przygasasz.

Miał rację. Coś zmieniał się tak gwałtownie, że Rielle się zawahała. Umysł Malikela, wszystkie jego starożytne myśli były na pół połączone z trupem, z ciałem, w którym rozjaśniało się światło. Splatana ścieżka łączyła ich powoli więzią zrobioną z czystego empirium – anioła z trupem, pełen życia umysł z martwym ciałem. To był początek nowego życia zrodzonego z jej woli.

Wtedy jednak palce Rielle natrafiły na węzeł w empirium – jakąś pomyłkę w tworzonej przez nią tkaninie mocy – a ona nabrała wątpliwości. Energia, która spłynęła na nią, gdy zabijała venteryjskich strażników Obex, uchodziła z niej szybko. Zupełnie jakby podtrzymywała własnymi dłońmi pałac wysoko w powietrzu, aż jej mięśnie zwiotczały bez ostrzeżenia, a cała budowla runęła na ziemię. Węzły zaczęły się rozplatać, nici łączące umysł z ciałem i ciało z umysłem wyślizgnęły się jej z rąk.

Nie słyszała krzyku Malikela, ponieważ nie miał ust ani głosu, ale czuła jego panikę, przerażenie i ból. Rozpadały się nie tylko świeżo utworzone przez nią szwy.

Cały Malikel się rozpadał.

Czuła, jak esencja jego umysłu się rozprasza. Coś w samym rdzeniu jego jestestwa zostało otwarte i rozprysnęło się w eksplozji. Strzępy jego istnienia poleciały we wszystkie strony, w jego myślach pozostał tylko czysty strach, a później nie było już nic.

Rielle usiadła ciężko na piętach.

Ciało dymiło przed nią, zamienione teraz w kałużę krwi, kości i porozrywanych organów. To, co wcześniej było tułowiem, przecinała siatka syczących szczelin, w których lśniło szybko gasnące złote światło.

Rielle podniosła z trudem głowę i spojrzała na Coriena. Jej zmęczenie powróciło, zaczęła rozumieć, co się stało. Myśli innych aniołów muskały ją. Wszyscy oni byli przerażeni, zdumieni i pełni pokory.

– Nie jestem jeszcze gotowa – oznajmiła w końcu Rielle. – Wydawało mi się, że mogę to zrobić. Czułam, jak niewiele brakowało. Byłam bardzo blisko. – Płakała łzami, których nie pragnęła, i odczuwała smutek, który wydawał się zbyt daleki, by mogła go dotknąć. Jej umysł był owinięty grubymi bawełnianymi płachtami. Chciała się położyć na ziemi i spać przez całe miesiące. W nosie i ustach czuła zapach i smak krwi. Jej myśli piętrzyły się i falowały, przemykały od jednego pragnienia do drugiego, a ona nie potrafiła ich uciszyć.

Corien nie odpowiedział. Wziął ją w ramiona i przytulił do piersi.

– Potrzebujesz odpoczynku – powiedział cicho. – Prawdziwego odpoczynku. Mamy już cztery formy. Zanim będziemy potrzebowali pozostałych, minie jeszcze trochę czasu. – Musnął pocałunkiem jej policzek i szepnął: – Pokażę ci mój dom. Miejsce mojej pracy pełne potwornego piękna. Woda jest tam czarna i zimna, śnieg bezkresny i czysty.

Rielle ledwie go słyszała. Świat przed jej oczami przechylił się, a ona wpadła w rozkołysane morze półświadomości. Ścigał ją głos Coriena, a tuż za nim postępowała wizja: ona sama, w czerwonej szacie i aureoli światła.

Gwiazdy i księżyce spadały na jej otwarte dłonie jak wodospady z nocnego nieba. U jej stóp klęczał Corien, a za nim całe zastępy aniołów, skrzydlatych i w zbrojach.

Otworzysz Bramę, rzekł do niej. Stworzysz na nowo świat.

Jednakże Rielle słyszała zwątpienie w jego głosie, a także lęk i niepokój.

Kiedy spadała w ciemność, z odległego oceanu jej mocy dobiegło wołanie innego głosu. Dudnił i drżał. Był zwielokrotniony i pojedynczy. Rozpoznała go natychmiast. To była nieskończona starożytna czerń w oczach Atherii. To był ryk jej własnej krwi, gdy patrzyła, jak stworzony przez nią z cienia smok liże policzek Archona, gotów go pożreć. To było brzęczące wibrowanie mocy w jej żyłach, gdy zamieniła ogień w pióra, gdy ujarzmiła ocean, gdy zabijała, zabijała i znowu zabijała.

To był głos empirium wypalający zimne, bezlitosne słowa w jej umyśle jak piętno, przed którym nie mogła uciec:

ta moc jest twoja

ty jesteś moja

moje jest twoje

weź to

weź mnie

zabiorę cię

budzę się

budzę się

BUDZĘ SIĘ

Simon

Czy myślisz, że chcę wydać ten dekret? Czy sądzisz, że pragnę kolejnych śmierci? Nie, mój przyjacielu. Czy słyszysz jednak, jak nas nazywają? Święta Katell Wielka. Święty Grimvald Mocarny. A jednak staramy się utrzymać w naszych zmęczonych rękach to, co pozostało z tego świata. Nie wiem, czy Brama przetrwa. Wiem jednak, co widziałam, i zdaję sobie sprawę z prawdziwego zagrożenia ze strony Naznaczonych tak samo dobrze jak Ty. Nie możemy pozwolić, aby to wszystko znowu się wydarzyło. Świat tego nie przetrwa.

– z niedatowanego, zaszyfrowanego listu świętej Katell Wielkiej
do świętego Grimvalda Mocarnego wykradzonego z archiwów
Pierwszej Wielkiej Biblioteki Quelbani

Simon siedział na krześle tuż przed drzwiami prywatnego gabinetu imperatora i udawał, że czyta trzymaną książkę.

W rzeczywistości jednak interesowała go nerwowa młoda kobieta siedząca naprzeciwko niego.

Nazywała się Jessamyn i była uczennicą Invictus – podlegającego bezpośrednio imperatorowi oddziału ludzkich zabójców, co do jednego bezwzględnych i oddanych sprawie anielskiej. Miała lekko piegowatą brązową skórę i schludny warkocz ufarbowany na intensywnie czerwony kolor, który zapewne niedługo ulegnie zmianie. Lyceum, na terenie którego mieściły się baraki i place treningowe Invictus, było tak pełne farb do włosów, masek i kostiumów, jak teatr.

Simon obserwował ją. Skubała paznokcie, jakby siedzenie przed gabinetem imperatora ogromnie ją nudziło. Simon jednak znał prawdę. Wszyscy agenci Invictus byli tacy sami. Widział pot lśniący na linii jej włosów. Widział nerwowe spojrzenia rzucane przez nią na zamknięte drzwi gabinetu, na sekretarza siedzącego za biurkiem, na służących przy drzwiach na zewnątrz, zanim przeniosła wzrok znowu na paznokcie.

Była przerażona.

Całkowicie słusznie.

Uśmiechnął się do siebie. Corienowi sprawiłoby przyjemność obserwowanie jej niepokoju.

– Jesteś uczennicą Invictus, prawda? – odezwał się Simon. – Jessamyn, tak?

Dziewczyna skrzywiła się lekko, ale natychmiast nad sobą zapanowała.

Simon spodziewał się tego. Jej nauczycielem był ulubieniec Coriena, Varos, który zginął niedawno podczas operacji w Festivalu. W dodatku z rąk Harkana. Szkoda było utraty dobrego zabójcy, lecz należało się pocieszać myślą, że Varos przed śmiercią zdołał się pozbyć tego venteryjskiego głupca.

Wszystko to zostało zawarte w raporcie Jessamyn, zaś w dzienniku Varosa, który Simon skonfiskował w imieniu imperatora, znajdowało się wiele zapisków na temat tej dziewczyny. Za wszelką cenę pragnęła dowieść swojej wartości w oczach imperatora. Była pojętna i działała szybko, a także nienawidziła swojego ludzkiego imienia.

Varos nie wiedział jednak, podobnie jak na razie sama Jessamyn, że Eliana ją znała i walczyła u jej boku – albo przynajmniej znała Jessamyn, która już nie istniała.

Dzięki niemu.

– Tak, Jessamyn – odpowiedziała sztywno. – Zgadza się.

Simon zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

– To interesujące, że zapragnął porozmawiać z kimś tak nieznaczącym.

Trzeba przyznać, że Jessamyn tylko skłoniła głowę – chociaż Simon widział, że mięśnie jej szczęki zadrgały.

– Mimo wszystko mam nadzieję, że będę mogła okazać się przydatna – odparła. – Czy wiesz, dlaczego zostałam wezwana?

– Imperator wiele o tobie słyszał i poczuł się zaniepokojony. Interesuje go, którzy uczniowie Lyceum są uważani za szczególnie zdolnych. Chce zobaczyć cię na własne oczy i przekazać kondolencje z powodu śmierci twojego nauczyciela. Poza tym mam jedną radę: nie powinnaś zadawać takich pytań. – Simon zamknął książkę i rzucił Jessamyn zimne spojrzenie. – Brzmisz jak dziecko, nie jak zabójczyni.

Z gabinetu Coriena dobiegł ich brzęk tłuczonego szkła.

Jessamyn poderwała się i sięgnęła do sztyletu przy boku.

Czarnooki sekretarz imperatora podskoczył na swoim krześle i nawet Simon, który był do takich rzeczy przyzwyczajony, musiał zamrugać, żeby dostosować wzrok, ponieważ ciało sekretarza poruszyło się i rozmyło, otoczone ciemną aurą.

Sekretarz wyskoczył ze swojego miejsca, ścisnął swoją szyję, pierś i ramiona, a potem ze stłumionym krzykiem wypadł chwiejnie na korytarz. Simon patrzył za nim z lekkim obrzydzeniem. Nie po raz pierwszy niewielkie zakłócenie spokoju wstrząsnęło tym sekretarzem. Był on na tyle silnym aniołem, by utrzymywać się w ludzkim ciele przez dłuższy czas, ale nie dość silnym, żeby poradzić sobie, gdy coś go rozproszyło. Jego więź z empirium była wątła.

Podobnie jak wszystkich aniołów od upadku Krwawej Królowej.

– Idźcie za nim – polecił Simon oczekującym służącym. – Zaczyna tracić spójność.

Posłuchali natychmiast. Simon został sam z Jessamyn.

– Rozdziela się? – zapytała cicho po chwili. – Tylko dlatego, że coś go zaskoczyło?

Simon szybkimi ruchami porządkował porzucone przez sekretarza dokumenty.

– Jest młody. Widywałem gorsze przypadki.

– To niesprawiedliwe. – Jessamyn spojrzała na Simona, zaciskając zęby, z błyszczącymi oczami. – Oni nie powinni być zmuszeni żyć w taki sposób, czepiając się kolejnych ciał. Są wybrańcami Boga. Zaslужują na coś lepszego...

Drzwi gabinetu się otworzyły.

Staął w nich imperator, opierając się ciężko o framugę. Jego biała koszula, zwisająca luźno i z rękawami podwiniętymi do łokci, była przesiąknięta krwią.

Skierował wzrok na Simona. Jego oczy lśniły jak wyrzeźbione z czarnego szkła.

Jak zawsze, gdy oczy Coriena spoczęły na nim, Simon poczuł gwałtowny dreszcz. To była radość płynąca z poczucia, że imperator rozgląda się za nim po raz kolejny, za swoim najbardziej zaufanym i najukochańszym sługą.

To było narastające przerażenie, że Simon, po tym wszystkim, na co pracowali, ponownie go zawiedzie.

– Pieprzyli bez końca o krucjuszach – warknął Corien. – Powstrzymuję je od dziesiątek, setek lat i będę je powstrzymywać nadal, jeśli to będzie konieczne. Ale nie będzie.

Simon popatrzył w głąb gabinetu i dostrzegł tam scenę jak z rzeźni. Smugi krwi zabarwiły ściany i dywan. Na posadzce leżały okaleczone ciała w podartych czarnych mundurach. Simon je rozpoznał – należały do trójki

anielskich generałów. Zaledwie wczoraj otrzymali oni rozkaz i mieli zmienić na posterunkach swoich kolegów rozlokowanych obecnie na froncie północnym, który stanowił pierwszą linię obrony Imperium przed wszystkim, co przechodziło przez Bramę.

Teraz na posadzce leżały ich zniszczone ciała.

Sądząc po wyrazie twarzy Coriena, sami aniołowie również nie przetrwali tej konfrontacji.

Simon bardzo ostrożnie dobierał słowa. W takich chwilach nawet on mógł się narazić na gniew imperatora.

– Wasza Wysokość – powiedział. – Oto uczennica Invictus, Jessamyn, która brała udział w bitwie w Festiwalu...

Nie mów mi tego, co sam wiem, rzucił Corien z taką wściekłością, że ból przeszył czaszkę Simona jak nóż. Simon potrzebował całej swojej siły, żeby utrzymać się na nogach i nie zacząć przeproszać. Mało rzeczy budziło większą wściekłość Coriena niż przeprosiny.

Simon znosił zadawane mu cierpienia i patrzył, jak Corien przenosi wzrok na Jessamyn.

– Trójka moich generałów upierała się, że nasze umocnienia chroniące przed krucjuszami są nieskuteczne i niebawem zostaną przełamane – zaczął mówić Corien upiornie spokojnym głosem. – Wtargnąłem do ich umysłów i zabiłem ich, a potem rozerwałem ich ciała na kawałki. – Wskazał samego siebie teatralnym gestem. – Stąd ten bałagan. Powiedz mi, Jessamyn, co o tym myślisz?

Jessamyn przez chwilę mogła się tylko w niego wpatrywać. Potem osunęła się na kolana i pochyliła głowę. Jej dłonie drżały na posadzce.

– Generałowie byli głupcami, wątpiąc w słowa Waszej Wysokości – powiedziała.

– Ale nie do końca się mylili, prawda? – Corien przykląkł przed nią. – Podnieś głowę. Chcę ci się przyjrzeć. Tak lepiej. Moi generałowie nie do końca się mylili. Coraz więcej krucjuszy przeciska się przez Bramę. Udaje nam się część zabić. Inne uciekają.

– Tak, Wasza Wysokość – wykrztusiła Jessamyn. – To prawda.

Simon zrobił krok naprzód. Nie wiedział, jak Corien zamierza pokierować tą rozmową, lecz dostrzegł na jego bladej twarzy ledwie widoczne poruszenia, jakby cienie czegoś, czego nie było, a ten widok budził niepokój. W każdej chwili mógł powrócić sekretarz wraz ze służącymi. Inni służący mogli przynieść kolację, którą Corien miał spożyć w towarzystwie admirała Ravikanta – albo, co gorsza, sam admirał mógł się pojawić przed umówioną godziną.

Nie mogli zobaczyć Coriena w takim stanie, pokrytego krwią własnych żołnierzy, z szaleństwem wirującym w jego oczach jak gwiazdy. Kondycja Imperium zależała od tego, czy pozostaną w nieświadomości.

– Wasza Wysokość – zaczął. – Być może przed kolacją powinniśmy uporządkować gabinet...

Jego czaszka rozpękała się, wpuszczając języki czarnego ognia, które wpełznąły się do jego gardła i wyrwały kręgosłup przez żebra.

Wizja była tak niezwykła, tak szczegółowa i okrutna, że Simon na moment zatracił świadomość samego siebie i się zachwiał. Szukając na oślep czegoś, czego mógłby się przytrzymać, uczeplił się drzwi gabinetu.

Mieszkał w tym pałacu od siedemnastu lat, a kary zsyłane przez jego pana potrafiły go nadal zaskoczyć.

Powinieneś być mądrzejszy, usłyszał głos Coriena, pełen żalu i współczucia, którym Simon nauczył się już nie ufać.

– Nie przerywaj mi, Simonie – powiedział Corien na głos. – Nie lubię, gdy się mi przerywa.

Simon oddychał spokojnie przez nos, ponieważ nie zamierzał połykać haustów powietrza na oczach Jessamyn. Niech myśli, że poczuł tylko lekkie ukłucie bólu.

Patrzył, jak Corien ujmuje dłonią podbródek dziewczyny.

– Powiedz mi, co wiesz o krucjuszach – polecił.

– To bestie z Otchłani – odparła z twarzą ściągniętą determinacją. – Dowiedziały się o nas, gdy aniołowie uwolnili się ze swojego więzienia.

– Gdy Rielle otworzyła Bramę – poprawił ją Corien.

Jessamyn poczerwieniała.

– Tak, Wasza Wysokość.

– Kto powstrzymuje te bestie przed podbiciem naszego świata?

– Wasza Wysokość – wyszeptała Jessamyn. – Umysł Waszej Wysokości stworzył maszyny, które zestrzeliwują je, gdy tylko wkroczą do naszego świata.

– Waekordie. Działa wybrańców Boga.

– Tak, Wasza Wysokość.

– Zaś mój umysł kieruje tymi maszynami – rzekł Corien. – Mój umysł kieruje także strażnikami w tym pałacu, przemawia do moich generałów w Astavarze, do kapitanów na Morzu Namuriańskim i do adatroksów patrolujących ulice Online. Mój umysł poszukuje w tym świecie Proroka. – Uśmiechnął się. – Mój umysł jest nieskończony. Żadna żyjąca istota nie zdoła pojąć mojej wielkości.

Oczy Jessamyn lśniły jasno podziwem.

– Tak, Wasza Wysokość.

Ból ustąpił na tyle, że Simon wyczuł, iż coś jest nie tak. Rzadko kiedy był sam we własnej głowie. Tylko wtedy, gdy Corien pogrążał się w najbardziej wymagającej pracy, poddawał wpływowi alkoholu lub muzyki albo zamykał się w swoich komnatach i zatapiał we

wspomnieniach, Simon czuł, że starożytny umysł anielski zostawia go na chwilę w spokoju.

To właśnie stało się teraz, gdy Corien klęczał na posadzce przed dziewczyną o szeroko otwartych oczach. Jego umysł uderzył w umysł Simona, a potem wycofał się jak odcięty lśniącym ostrzem. Simon zobaczył, że ramiona Coriena opadają, a jego uśmiech blednie. Nagle przed oczami stanęła mu wizja Coriena rzucającego się do przodu, żeby rozerwać twarz Jessamyn zębami.

– Wyglądasz inaczej, Jessamyn – mruknął Corien, pochylając się do niej. – Wyglądasz inaczej, niż cię zapamiętała. Chciałbym zatrzymać cię przy sobie. Myślę, że twój widok sprawi jej ból. Zaś ja chcę sprawiać jej ból, aż nie będzie go w stanie wytrzymać. – Roześmiał się cicho, dotknął twarzy Jessamyn, a później swojej. – Aż ja nie będę tego w stanie wytrzymać. – Przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, a jego śmiech ucichł. – Właściwie mam pewien pomysł. Doskonały pomysł. Widzisz, jest taki chłopiec, Remy.

Jessamyn zmarszczyła brwi. Rzuciła Simonowi szybkie spojrzenie, po czym popatrzyła znowu na Coriena.

– Brat Eliany Ferracory?

– Zaiste. Gnije w karcerze w sercu Vaera Bashta. Sprowadzisz go do Lyceum i będziesz uczyć tak, jak Varos uczył ciebie. – Corien się uśmiechnął, spoglądając w przestrzeń. – Sprawisz, że stanie się zimny i nieczuły. Zabójca będący tylko żywym ostrzem. Potem będzie służyć w jej straży, a każdy dzień, w którym ona będzie mi się opierać, stanie się kolejnym dniem, gdy będzie spoglądać w oczy brata, któremu pomogła stać się potworem. – Corien ścisnął ramiona Jessamyn i pochylił głowę. Jego ramiona zadrżały w milczącym śmiechu. – Tak. Tak! Nic nie uwolni jej od tego poczucia winy. Już teraz jest pogrążona w rozpacz z powodu tego, co

przez jej działania stało się z Remym. Niebawem, gdy uświadomi sobie, co zrobiłaś z jej bratem, ta udręka jeszcze wzrośnie i rozkwitnie, aż ona się rozpęknie i będę mógł wydostać wszystko to, co ukrywa w swoim przeklętym wnętrzu. – Ponownie spojrzał na Jessamyn. – Złamię ją. Znów zobaczę moją ukochaną, a wtedy wszystko będzie tak, jak być powinno.

Na twarzy Jessamyn malowały się determinacja i gotowość.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Zrobię, co rozkażesz.

Corien wstał i zachwiał się z brwiami ściągniętymi z bólu. Odwrócił się, jakby chciał wejść z powrotem do gabinetu, i oparł się ciężko o pierś Simona.

Simon pochwycił go i pomógł utrzymać się prosto. Corien mamrotał w jego kurtkę raz za razem dwa słowa w języku lissar:

„Spal ich”.

Simon zauważył, że Jessamyn wpatruje się w nich ze swojego miejsca na posadzce.

– Wynoś się stąd. Jeśli powiesz komukolwiek, co widziałas, wytnę ci oczy i nakarmię cię nimi.

Jessamyn natychmiast uciekła, a kiedy zniknęła, Simon pomógł Corienowi wejść do gabinetu i kopniakiem zamknął za nimi drzwi. Posadzka była śliska od krwi, a dywany całkowicie nią nasiąkły. Simon ominął ciało, które należało dawniej do generała Bartamosa, i posadził Coriena w fotelu najbliższej pustego kominka.

Przez chwilę stał nad nim i obserwował, jak oddycha. Corien ostrożnie dotknął swoich skroni, jakby mogły się rozpęknąć pod naciskiem jego rąk. Nie pierwszy raz działo się coś takiego, i nie ostatni.

Simon znał tylko jeden sposób, żeby uspokoić go, gdy jego umysł zmieniał się w coś takiego – pękał od wściekłości i wyczerpania, zatruty

stuleciami żałoby. Z każdym dniem więcej krucjuszy przedzierało się przez Bramę. Z każdym dniem świat Otchłani zbliżał się do ich świata.

Imperium potrzebowało dowódcy, a nie szaleńca.

Simon odczekał, aż zaczął oddychać miarowo, aż uporządkował swoje myśli i czuł się przygotowany na to, co nastąpi. Był tablicą, czystą i gładką. Był pustym naczyniem gotowym przyjąć to, co konieczne.

– Zbyt wiele od siebie wymagasz – rzekł w końcu spokojnym tonem. – Nawet ty, pomimo swojej potęgi, nie jesteś niezniszczalny. Nie po tysiącu lat odrodzenia i podboju.

Corien roześmiał się cicho.

– Powiedziałem jej to kiedyś. Powiedziałem, że nawet ona nie jest odporna na śmierć. Powiedziałem jej tak wiele rzeczy.

Simon spojrzał w okna, rozjaśnione złocistym blaskiem zapowiadającym nadejście wieczoru. Admirał Ravikant przybędzie o zmroku. Dywany muszą zostać zabrane, meble wymienione, posadzka wyszorowana.

Przykląkł przed Corieniem i ucałował jego czerwone kłykcie, tak jak to robił w komnatach jeszcze mroczniejszych i bardziej okrwawionych od tej.

– Panie – odezwał się cicho. – Muszę także przypomnieć, że trudno ci będzie utrzymać lojalność w Imperium, jeśli będziesz zabijać każdego generała, który przychodzi do twojego gabinetu z istotnymi sprawami.

Po tych słowach atmosfera w komnacie się zmieniła. Simon wyczuł, że Corien podnosi głowę, by na niego spojrzeć, ale sam nadal się pochylał. Jego spokój zakłóciło drgnienie strachu. Pomyślał przelotnie o mroźnym płaskowyżu Vindiki, gdzie Corien po raz pierwszy poddał jego umysł torturom. Pamiętał, że przez wiele dni budził się ogarnięty cierpieniem, z poczuciem, że jego umysł został rozdarty i zacerowany ponownie tysiące razy.

Pamiętał, jak spokojnie potem zachowywał się Corien, z jaką życzliwością – wręcz z czułością.

– Co ty mówisz, Simonie? – zapytał cicho Corien. – Że nie nadaję się już do sprawowania władzy? Że powinienem zapanować nad moimi wybuchami, bo inaczej ci, którymi dowodzę i którzy gdyby nie ja, nadal gniliby w Otchłani, powstaną przeciwko mnie i jakimś cudem odniosą zwycięstwo?

Simon potrząsnął głową.

– Nie, panie. Po prostu się o ciebie martwię.

– To dziwne, że tak mówisz – oznajmił z namysłem Corien. – Ponieważ ja martwię się o ciebie. Minęły już całe tygodnie od przybycia Eliany, a my nadal jesteśmy tutaj. Twoje moce wydają się mieć opory. – Chłodne palce, lepkie i cuchnące, spoczęły na policzku Simona. – Sądzę, że potrzebują niewielkiej zachęty.

Simon nie zdołał odpowiedzieć, gdyż w uścisku tych białych, splamionych krwią dłoni przestał być Simonem. Stał się umysłem w agonii. Stał się nieruchomym ciałem na posadzce.

Stał się bronią niszczoną przez swojego pana.

Audric

Spisuję te słowa, aby jeśli umrę i ktoś znajdzie moje ciało, dowiedziano się, gdzie byłem i co widziałem. Wyruszyłem na północ z miejsca, które było dawniej i nie było nigdy moim domem, i dotarłem obecnie do północnego pasma górskiego o nazwie Villmark. Zawsze chciałem zbadać te góry w poszukiwaniu smoków lodowych, starożytnych boskich bestii takich jak ta, na grzbiecie której święty Grimvald wyruszył do bitwy z aniołami. Jednakże księciu nie wolno włączyć się w dziczy w poszukiwaniu stworzeń niewidzianych od wieków. Na szczęście nie jestem już księciem ani królem, a tylko samotnym mężczyzną.

– z dziennika Ilmaire’a Lyslevy, grudzień 999 roku Drugiej Ery

Audric zrobił unik przed mieczem Evyline, okręcił się i odparował cios, zderzając ostrze Illumenora z jej ostrzem.

Evyline proponowała, żeby walczyli drewnianymi mieczami treningowymi, ale zarówno Sloane, jak i Audric zaprotestowali. Jeśli Audric miał zrobić dobre wrażenie na mazabackich wojskowych i być może przekonać część z nich, aby udała się do swoich senatorów przed jutrzejszym głosowaniem, musiał się odpowiednio zaprezentować.

Zależało mu, by senat zagłosował za udzieleniem mu wsparcia militarnego, o które się ubiegał. Skoro Sloane uważała, że publiczna walka na dziedzińcu przed barakami może w tym pomóc, Audric zamierzał jej posłuchać.

Wolałby tylko, żeby Illumenor nie był tak diabelnie ciężki.

Kolejny cios, ponownie odparowany. On i Evyline okrążali się czujnie, a ich zderzające się miecze lśniły w blasku porannego słońca. Chociaż solidnie zbudowana, Evyline była szybka i poruszała się z imponującą pewnością. Wyprowadziła pchnięcie; Audric je odbił, ale mało elegancko. Evyline naparła, wykorzystując ciężar swojego miecza, żeby przycisnąć go do ziemi. Audric odepchnął ją i odskoczył. Jego buty podniosły chmurę pyłu, kiedy się okręcił i rozpaczliwie zamachnął mieczem, by zablokować jej cios.

Zaczynał żałować, że nie zgodził się na używanie mieczy treningowych. Walka nie zawsze była taka trudna.

Jednak po ośmiu tygodniach żałoby Audric czuł się wychudzony i kruchy, jego mięśnie osłabły, a wytrzymałość spadła. Wspomniał o tym Sloane, która zlekceważyła jego obawy.

– Jesteś Świetlistym – powiedziała z bladym uśmiechem, starając się go pocieszyć. – Kilka tygodni w łóżku nie zdoła cię zniszczyć.

Miała rację, nie czuł się zniszczony.

Czuł się jednak zmęczony.

Zaś Evyline była niezmordowana. Wymachiwała mieczem, jakby nic nie ważył, wyprowadzała jeden za drugim potężne ciosy znad głowy. Audric parował je wszystkie, ale w ostatniej chwili, aż wreszcie zrobił niezgrabny obrót i zachwiał się, ponieważ ugięły się pod nim kolana. Czuł, że szala zwycięstwa zaczyna się przechylać i zobaczył w jasnobrązowych oczach Evyline, że ona także o tym wie. Jeszcze jedno wykorzystanie wagi, jeden cios jej miecza i zdoła go pokonać.

Audric spojrzał na Sloane stojącą za plecami Evyline. Opierała się o kolumnę ze skrzyżowanymi ramionami. Dobrze znał grymas niepokoju na jej twarzy.

W tym momencie Evyline odpuściła, zadała niezgrabny, nieskuteczny cios, który Audric z łatwością sparował, co dało mu możliwość odzyskać inicjatywę. Pozwalała mu wygrać, ale był zbyt zmęczony, żeby się tym przejmować.

Zrobiła unik, niedostatecznie szybko. Audric okręcił się i naparł ostrzem na jej ostrze, wykorzystując przeciwko niej swoją wagę. Widzowie pomyślał, że unieruchomił jej miecz naciskiem własnego, lecz to nie była prawda. Należało to zakończyć.

– Poddajesz się? – zawołał.

– Poddaję się – odparła Evyline, więc odsunęli się od siebie, oddychając ciężko. Evyline schowała miecz i się skłoniła. – Doskonała walka, Wasza Wysokość – oznajmiła tak, żeby wszyscy słyszeli.

Po jej słowach nie rozległy się jednak oklaski, a gdy Audric odważył się spojrzeć na żołnierzy rozproszonych po dziedzińcu i obserwujących walkę, poczuł, że jego żołądek się zaciska.

Zgromadziły się ich całe tuziny – w oknach baraków, w przejściach wokół dziedzińca – ale żaden z nich się nie uśmiechał.

Nie martw się, nadpłynęły uspokajające słowa Ludivine. Będą inne okazje, żeby zrobić na nich wrażenie.

Oparł się pokusie trzepnięcia jej jak muchy.

Prosiłem, żebyś nie rozmawiała ze mną w taki sposób. To jest mój umysł, a ty nie masz prawa wchodzić do niego, kiedy ci się spodoba.

Zniknęła bez słowa, a leciutkie ukłucie bólu w jego sercu rozwścieczyło go. Za każdym razem, gdy odzywała się do niego, za każdym razem, gdy ją zbywał, miał wrażenie, że na nowo staje wobec bezmiaru jej kłamstw. Rielle zabiła jego ojca, ojca Ludivine, nawet własnego ojca – a potem wraz z Ludivine trzymała to przed nim w tajemnicy. Obiecały mu samą prawdę, ale go oszukiwały.

Księżniczka Kamayin przekonywała go, żeby wybaczył Ludivine. Przypominała, że będą jej potrzebować jako sojuszniczki w zbliżającej się wojnie.

Audric temu nie zaprzeczał. Zamierzał przyjąć jej pomoc w stosownym czasie.

Ale nie musiał jej przebaczać.

Ktoś spośród zgromadzonych żołnierzy krzyknął ostro jedno słowo po mazabacku:

– Zdrajca!

Zapadła cisza pełna szoku. Słowo dźwięczało w uszach Audrica jak uderzony dzwon.

Evyline dobyła miecza i z wściekłością zrobiła dwa kroki naprzód, aż najbliżej stojący żołnierze musieli się cofnąć.

– Zwracacie się do króla Celdarii – warknęła. – Macie mu okazywać stosowny szacunek albo poniesiecie konsekwencje.

– W porządku, Evyline – odezwał się Audric, podchodząc do niej. Evyline niechętnie opuściła miecz i cofnęła się, żeby stanąć obok niego. – Jeśli ktoś chce ze mną porozmawiać, niech wystąpi i to zrobi. Zachęcam do tego.

Minęła chwila, podczas której zebrani wydawali się wstrzymywać oddech. Potem, po prawej stronie Audrica, zaczęła się przepychać do przodu młoda żołnierka, o brązowej skórze i lśniących czarnych włosach splecionych w ciasny warkocz. Jej oczy lśniły drapieżnie. Jeden z jej towarzyszy chwycił ją za ramię i spróbował pociągnąć do tyłu; wyrwała mu się.

– Nazywam się Sanya – oznajmiła. – Chciałabym coś powiedzieć.

Audric skinął jej głową.

– Słucham.

– Od waszego przybycia minęło osiem tygodni – zaczęła. – Śpicie w pałacu naszych królowych. Zasiadacie przy ich stole. Uczestniczycie w wielogodzinnych naradach, ale gdy pytamy naszych dowódców, o czym dyskutujecie, zbywają nas i nie patrzą nam w oczy. Skąd mamy wiedzieć, że to nie jest gra na czas, aż wasza królowa przybędzie, żeby nas pozabijać? Jak mamy zaufać królowi, którego własna królowa oszukała tak całkowicie?

Wśród zgromadzonych rozległy się pomruki aprobaty. Żołnierze przestępowali z nogi na nogę, wymieniali niespokojne spojrzenia. Inni w milczeniu obserwowali Audrica.

Coś wewnątrz niego rozsypało się bezgłośnie. Nigdy nie przeczuwał, że kiedyś będą na niego patrzeć z taką podejrzliwością, z taką wrogą nieufnością.

Tak teraz wyglądał jego świat. To był efekt wyborów, których dokonał, oraz wyborów innych osób, na które nie miał wpływu. Mógł tylko powiedzieć tej kobiecie prawdę.

– Nie będziecie mieć pewności, czy można mi zaufać – odrzekł spokojnie. – Rozumiem waszą frustrację i obawy. Przykro mi z ich powodu.

Inny żołnierz zrobił krok do przodu – towarzysz Sanyi, który próbował ją zatrzymać.

– Słyszeliśmy, że wasza przyjaciółka, lady Ludivine, nie jest człowiekiem, lecz aniołem.

– To prawda.

Tłum zawrzał z wściekłości. Za plecami i nad głową Audrica rozległy się kolejne głosy:

– Zdrajca! Kłamca!

Evyline pochyliła się do niego.

– Musimy iść, milordzie.

– Ich gniew jest zrozumiały – stwierdził Audric i odsunął się od niej.

– Wyślesz nas, żebyśmy umarli za ciebie? – zawołała Sanya, wbijając w niego spojrzenie jak strzały nakierowane na cel. – Od kiedy twoja królowa pojawiła się tutaj, w stolicy, musimy się mierzyć ze sztormami, trzęsieniami ziemi i powodzią, które zrujnowały większość naszego kraju. Teraz zaś otrzymamy rozkazy, aby wyruszyć i walczyć o odzyskanie twojego tronu, zamiast strzec naszej ojczyzny?

– Tu nie chodzi tylko o mój tron – odparł Audric. Wiedział, że powinien wygłosić bardziej przekonujące słowa, porywającą mowę o tym, jak ważne jest, aby wszystkie narody zjednoczyły się w obronie przeciwko nadciągającej ciemności. Był jednak zmęczony, a narastający gniew żołnierzy piętrzył się na nim jak stos kamieni. – Wiele możliwości jest bardzo starannie i szczegółowo analizowanych i dyskutowanych. – Nie było go stać na nic lepszego. – W tym momencie mogę wam tylko powiedzieć, że wasze królowe mi ufają.

Sanya skrzywiła się, a jej oczy zalsniły.

– Podobnie jak dawniej twoi poddani. Teraz słyszymy, że są wypędzani ze swoich domów i trafiają do więzień za uprawianie magii, nawet jeśli zapalą tylko pojedynczą świecę. Czy to samo stanie się z nami? Czy kiedy w końcu nadejdą aniołowie, będziemy siedzieć biernie, pozbawieni magii?

W tłumie znowu zapadła cisza.

Audric wpatrywał się w Sanyę, niezdolny odpowiedzieć.

Miała rację: jego poddani ufali, że będzie ich chronił, a on ich zawiódł. Porzucił ich, żeby radzili sobie sami w chaosie, który ogarnął kraj w przeddzień z góry przegranej wojny.

Nieoczekiwanie spadła na nich chmura wirujących cieni, które otoczyły Audrica i Evyline. W cieniach kryły się wilki kłapiące zębami i lamparty z cętkami poruszającymi się na czarnych futrach.

Oślonięty ciemnością Audric podbiegł do najbliższych drzwi do baraków, a Evyline trzymała się tuż za nim. W środku czekały pozostałe słoneczne gwardzistki, obserwujące cienie z podziwem i lękiem. Jedna z nich, Maylis, wymamrotała modlitwę i dotknęła karku, aby oddać cześć Domowi Nocy.

Drzwi baraków się zatrzasnęły. Sloane wyłoniła się z cieni, które rozwiały się pod jej dotykiem. Szklana kula na czubku jej hebanowej laski lśniła jasno jak błękitne serce płomienia.

– To moja wina – mruknęła, gdy wracali szybkim krokiem do pałacu. – Nie powinniśmy byli tutaj przychodzić. Nie jesteś na to gotowy.

Audric zaprotestował, starając się nie myśleć o wściekłości dźwięczącej w głosie Sanyi:

– Przyznaję, na zbyt długo przerwałem treningi szermierki, ale...

– Nie mówię o szermierce – warknęła Sloane. – Mówię o twojej zdolności do stawienia czoła temu, co nastąpi, i zainspirowania tych, których pomocy będziesz potrzebować, żeby przeżyć.

Evyline po lewej stronie Audrica wydała ostrzegawczy pomruk. Sloane westchnęła, zatrzymała się na zakręcie korytarza i potarła twarz.

– Nie przepraszaj – powiedział głucho Audric. Nie był w stanie patrzeć na Sloane. Chciał wrócić do swoich komnat; rozpaczliwie pragnął się przespać. Może to wymaże ten dzień z jego pamięci. – Masz oczywiście rację.

– Posłuchaj mnie, skarbie. – Sloane lekko dotknęła policzka Audrica, żeby na nią spojrzeć. – Wiem, że cierpisz. Wiem, że twój umysł zwrócił się przeciwko tobie, i rozumiem, dlaczego tak się stało. Ale wielu spośród nas cierpi, a w przyszłości czeka nas więcej smutków, więc chciałabym, chcielibyśmy, żebyś się pozbierał i stanął do walki. – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Jesteś Świetlistym, a nasz świat pogrąża się w mroku.

Patrzył na nią przez rozmywające mu świat przed oczami łzy. Chociaż górował nad nią wzrostem, czuł się przy niej malutki. Chłopiec, którego ukochana ciotka ogląda uważnie i stwierdza, że nie jest dość dobry.

– Kiedy to nastąpi, jeśli nastąpi... – odezwał się z trudem. – Co będzie, jeżeli nie zdołam zrobić tego, co konieczne?

Sloane opuściła rękę, a jej spojrzenie było pełne powagi.

– Wtedy wszyscy zginiemy, Audricu. Wszyscy.

W głębi korytarza pojawił się zadyszany paź królewski; podbiegł do nich.

– Wiadomość dla Waszej Wysokości – oznajmił. Skłonił się lekko i pobiegł z powrotem tak samo szybko.

Audric przeczytał list z narastającymi złymi przeczuciami. Wiadomość była krótka i nakreślona pospiesznie.

– Królowe zwołują naradę z samego rana – rzekł, zgniatając kartkę w dłoni. Jutro mazabacki senat miał głosować nad przyjęciem lub odrzuceniem jego wniosku o udzielenie wsparcia militarnego. – Nadeszły wieści z północy.

Jakiegokolwiek były, nie spodziewał się, by zawierały cokolwiek dobrego.

Następnego dnia o godzinie dziewiętej rada wojenna spotkała się w królewskim atrium, komnacie na planie koła pod szklanym dachem, przez który wpadało światło słoneczne przefiltrowane przez liście chwiejących się w górze drzew i zabarwione zielonkawo. Ściany miały ciemny odcień terakoty, posadzka została wyłożona perłowymi i kobaltowymi płytkami.

Pośrodku komnaty stał wielki okrągły stół z dębu w odcieniu ciepłej czerwieni, przy którym zasiadała rada wojenna: Audric, królowa Bazati, królowa Fozeyah, księżniczka Kamayin, dowodząca armią królewską

generałka Rakallo, siedmioro wielkich mistrzów, Ludivine, Sloane oraz Evyline, która nie odstępowała Audrica na krok.

Tego ranka dołączył do nich chudy, blady mężczyzna, na oko starszy od Audrica o jakieś dziesięć lat. Wpatrywał się w blat stołu i ścisnął jego krawędź, aż pobieleły mu kłykcie.

Audric wiedział tylko, że nazywa się Jazan i jest jedynym ocalałym z czwórki szpiegów. Kilka miesięcy temu uwagę księżniczki Kamayin przykuły doniesienia o zaginionych dzieciach w Kirvayi. Wysłała tam czworo spośród swoich osobistych szpiegów, ale powrócił tylko jeden z nich.

Kiedy zaczął mówić, w komnacie panowała cisza jak makiem zasiał.

– Trzyma je w malutkich celach – wyszeptał Jazan drżącym głosem. – Celach tak niskich, że nie da się w nich wyprostować. Kiedy po nie posyła, są zabierane w podziemia góry. Do jego laboratoriów. – Jazan spojrzał na Kamayin. – To jest całe miasto, milady. Miasto wyrzeźbione z lodu i czarnego kamienia.

Królowa Bazati siedziała sztywno wyprostowana, z płonącymi ciemnymi oczami.

– Czego on chce od dzieci? – zapytała pobladła Sloane. – Dlaczego zabiera dzieci?

– Dziecięcych magów żywiołów – odpowiedział Jazan. – Przepraszam, milady, ale one wszystkie są obdarzone magią żywiołów. W większości z nich nie zdążyła się jeszcze obudzić i wydaje mi się, że właśnie o to mu chodzi. To, co on z nimi robi, z pomocą swoich uzdrowicieli i żołnierzy... Zmusza magię tych dzieci, by przebudziła się wcześniej, niż powinna naturalnie, a gdy to następuje, on ma nad nią całkowitą kontrolę. Może ją kształtować. Może kształtować te dzieci. – Głos Jazana się załamał. – Sądzę także, że zabiera je, ponieważ ludzie się boją, gdy znikają dzieci. –

Mężczyzna przesunął drżącą dłoń po twarzy. – Boże, on nas nienawidzi. Zabije nas wszystkich. Co do jednego. Zrobi to w najokrutniejszy możliwy sposób. Zginiemy, płonąc. Zginiemy, krzycząc.

Audric pochylił się nad stołem.

– Jazanie. Co on z nimi robi? Mówiłeś o eksperymentach.

– Są takie potwory z Otchłani – wyszeptał Jazan przez palce. – Słyszałem, jak jego uzdrowiciele o nich rozmawiają. To nie są uzdrowiciele, jakich znamy. To rzeźnicy. To aniołowie w ludzkich skórach, chociaż nie wszyscy mają dość siły, żeby pozostawać w swoich ciałach. Niektórym się to udaje, trzymają się jednego ciała tygodniami. Było kilkoro, którzy zawsze wyglądali tak samo. Ale inni zmieniają ciała tak, jak żołnierz zmienia rękawice.

– Czyli rozmawiali o potworach – przypomniał łagodnie Audric. – Jakie to potwory?

– Nie wiem. Nazywają je takim dziwnym słowem: krucjusze. O ile rozumiem, żyją w Otchłani, a teraz on próbuje je odtworzyć lub coś podobnego do nich. On i jego uzdrowiciele przygotowują serum, koszarne eliksiry. Cuchną trucizną, aż wszystkie tunele i jaskinie pod górami są przesiąknięte ich smrodem. A potem oni... – Jazan z milczącym błaganiem popatrzył na Audrica. – Są tam także smoki. Smoki. – Roześmiał się cicho. – Początkowo nie wierzyłem własnym oczom, ale to prawda: na tym świecie nadal są smoki. Smoki lodowe z Borsvallu. Z futrzanymi grzywami, zupełnie jak na obrazach. A on... – Jazan rozłożył ręce dłońmi do góry. Rozejrzał się bezradnie po zgromadzonych, jakby rozpaczliwie liczył, że ktoś mu powie, iż to był tylko sen. – On robi z nich potwory. Rozcina je i zszywa z powrotem. Są także inne bestie, z którymi pracują jego uzdrowiciele i zszywają je ze smokami, albo... Boże, nie wiem, jak oni to robią. Ale te bestie są naprawdę odrażające. Zaś dzieci... on je

zmusza, żeby wykuwały formy, i kontroluje ich umysły, gdy to robią. To nienaturalne. To niesprawiedliwe. Te formy, które wykonują, pasują na potwory i... Wasze Wysokości, sądzę, że on zamierza stworzyć z nich armię. Dziecięcy magowie żywiołów, których umysły kontroluje, oraz bestie uzbrojone w formy. Bestie zdolne pluć ogniem na rozkaz dzieci. Potwory zdolne wstrząsać ziemią i zginać miecze, tak jak magowie żywiołów.

– To niemożliwe – mruknął Wielki Mistrz Łaźni. – Na pewno wzrok cię zawiódł.

– Wzrok mnie nie zawiódł. – Jazan przetarł oczy zabandażowanymi palcami. Odniósł tylko powierzchowne obrażenia.

To właśnie najbardziej niepokoiło Audrica.

– Dlaczego on pozwolił ci przeżyć? – zapytał.

– Nawet go tam nie było. Nie tak po prostu. Nie było go ciałem. – Jazan uderzył się mocno w pierś. – Nie w taki sposób. Jest gdzie indziej na świecie, a jego generałowie kierują wszystkim pod jego nieobecność. Ale słyszałem go. – Jazan pokiwał głową i roześmiał się cicho. Łzy płynęły mu po twarzy. – Słyszałem go. Jestem jego posłańcem. Chce, żebyście wiedzieli, co was czeka.

– Co powiedział? – Audric się pochylił. – Czy wiesz, gdzie on jest?

– Jest w Patrii – odezwała się Ludivine. Wszyscy odwrócili się do niej. Siedziała blada i nieruchoma, z rękami złożonymi na stole. Spojrzała prosto na Audrica i nie odwróciła wzroku. – Zabrał Rielle do Patrii. Ich celem są formy świętych. Mają już trzy.

Audric na moment przymknął oczy. To oczywiste, że Rielle będzie nadal szukać form – teraz być może po to, żeby otworzyć Bramę, zamiast ją naprawiać.

Kilka osób przy stole westchnęło gwałtownie.

– Ma tarczę świętej Marzany – rzekł cicho Audric, przypominając sobie. – Młot świętego Grimvalda.

– Oraz laskę świętego Tokaziego – dodała Kamayin. Nie powiedziała o strażnikach Obex, których Rielle wymordowała, by zdobyć tę laskę, ale Audric widział to wspomnienie na jej ponurej twarzy.

– Kiedy zaś znajdzie wszystkie siedem – kontynuował, chociaż każde słowo ciążyło mu na języku – ich moc może wystarczyć, żeby była zdolna zrobić z Bramą, co tylko zapragnie.

W komnacie zapadła cisza.

Królowa Fozeyah spojrzała na Ludivine.

– Skąd wiesz, że oni są w Patrii?

Ludivine się zawahała.

– Próbowalam porozmawiać z Rielle. Sięgnęłam do niej. Ja... ja ją widziałam.

Audric drgnął z zaskoczenia.

– Czy nic jej nie jest? Czy dobrze się czuje?

– Nic jej nie jest – odparła powoli Ludivine. – Nie stało się nic, o czym możesz myśleć.

– Przestań mówić zagadkami i powiedz nam prawdę – warknął.

Spokój Ludivine doprowadzał go do szału.

– Jej więź z empirium jest obecnie znacznie silniejsza niż kilka tygodni temu. Byłam zszokowana zmianą, jaka w niej nastąpiła. Zupełnie jakbym została wrzucona w szalejący złoty pożar. – Ludivine umilkła na chwilę. Drgnęła leciutko, co sprawiło Audricowi okrutną satysfakcję. Miał nadzieję, że cierpi od ran, które nigdy się nie zagoją, tak samo jak on. – Jej moce szybko narastają – dokończyła Ludivine. – Nie wiem, jak długo będzie w stanie je kontrolować.

Cisza była nie do wytrzymania. Audric oparł się ciężko o blat stołu i przeczesał palcami włosy.

Po raz pierwszy od tygodni sięgnął do umysłu Ludivine, niezgrabnie i rozpaczliwie. *Czy ona się boi?*

Tak. Głos Ludivine był najcichszym szeptem. *I tęskni za domem.*

Audric podniósł się od stołu i podszedł do najbliższego okna. Zamknął oczy, żeby nie widzieć pogodnego poranka i zadbanych ogrodów pałacowych. Starał się nie wyobrażać sobie Rielle samej w obcym kraju, z Corienem szepczącym jej do ucha obietnice i empirium wypalającym ją od środka.

Niestety zawsze miał bujną wyobraźnię.

– Poza smokami, dziećmi i tymi przekłętymi bestiami, które stwarzają – odezwała się Sloane głosem pełnym gniewu – ilu żołnierzy ma do swojej dyspozycji?

– Według moich najnowszych szacunków pięciuset anielskich żołnierzy – odrzekł głucho Jazan.

– Będzie ich więcej – oświadczyła cicho Ludivine. – Gdy Rielle otworzy Bramę, będą ich miliony.

– Jeśli otworzy bramę – poprawiła Wielka Mistrzyni Stosu.

– Są też inni – ciągnął Jazan. Skubał nerwowo swoje rękawy. – Tysiące ludzi. Aniołowie mają nad nimi władzę.

Audric odwrócił się do stołu, a jego serce się zacisnęło, gdy zaczął rozumieć.

– Zrobił tak z żołnierzami Sauvillierów w dniu próby ognia. Kontrolował ich, żeby zwrócili się przeciwko własnym rodakom.

– Ich oczy były szare – westchnęła Sloane, wpatrując się w przestrzeń. Pamiętała to tak samo jak Audric. – Szare i puste, jakby wypełniała je mgła.

– Aniołowie nazywają ich adatroksami – powiedział Jazan. – Jego generałowie podróżują po świecie, żeby ich zbierać. Całe tysiące. Wślizgują się do ich umysłów i odmieniają je tak, jak im wygodniej. Mówią im, co mają robić, a oni muszą to robić. Nie sądzę, żeby zdawali sobie sprawę z własnych działań. Mam nadzieję, że nie zdają sobie sprawy. – Na twarzy Jazana odmalowała się rozpacz. – To, co aniołowie każą im robić sobie nawzajem... to, co kazali im zrobić z nami...

Zaczął szlochać, a kiedy Kamayin wezwała swoje zausznice, by odprowadziły go do skrzydła szpitalnego, królowa Bazati odwróciła się do niej i odezwała się po raz pierwszy od początku narady.

– Mam do ciebie wiele pytań, moja córko – oznajmiła stłumionym głosem.

– Trzy lata temu zatrudniłam dwa tuziny szpiegów. – Kamayin spojrzała na matkę z wyzywającym błyskiem w oczach. – Nazwałam ich Szpakami. Są bardzo dobrzy. Lepszy niż twoi, mamó. Nie obawiaj się, opłacam ich z własnej kieszeni.

Wargi królowej Fozeyah drgnęły, ale w jej oczach nie było rozbawienia.

– To niezwykle przemyślne z twojej strony.

– Każda księżniczka zasługuje na to, żeby mieć własny oddział szpiegów – rzuciła wojowniczo Kamayin. – Kiedy usłyszałam o zaginionych dzieciach w Kirvayi, musiałam wysłać tam moje ptaki. Dobrze, że to robiłam. Teraz wiemy, z czym mamy do czynienia.

– Tak – zgodziła się generałka Rakallo, której twarz stawała się coraz bardziej ponura wraz z kolejnymi słowami Jazana. – To także wszystko zmienia.

– To niczego nie zmienia – skwitowała Sloane z goryczą w głosie. – Podejrzewaliśmy, że Corien gromadzi armię, aby użyć jej przeciwko nam.

Wielki Mistrz mazabackiej Opoki odezwał się przyciszonym głosem:

– Nie wiedzieliśmy jednak, jak wielka będzie to armia, i nie mieliśmy pojęcia o tworzonych przez niego potworach.

– Nie rozumiem w ogóle, jak coś takiego jest możliwe – wymamrotała królowa Bazati, zaciskając dłonie w pięści.

– Umysł przeciętnego anioła, Wasza Wysokość, jest czymś wyjątkowym – powiedziała Ludivine. – Umysłu Coriena nie dałoby się nazwać przeciętnym. Przed wojną był silny. Teraz, po wiekach spędzonych w Otchłani na planowaniu zemsty, przerasta każdego z nas. Nawet mnie.

– Z wyjątkiem Rielle – uzupełnił natychmiast Audric, a gdy tylko te słowa padły z jego ust, do oczu napłynęły mu łzy. Po raz pierwszy od tygodni wypowiedział jej najdroższe imię na głos i sprawiło ono, że zabrakło mu tchu.

Generałka Rakallo westchnęła niecierpliwie.

– Tak, jedyną istotą potężniejszą od anioła zdeterminowanego, by nas zniszczyć, jest kobieta, która porzuciła swój dom i bliskich, żeby do niego dołączyć. Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość, ale ta myśl nie wydaje mi się szczególnie pocieszająca.

Kamayin wstała gwałtownie i oparła się dłońmi o stół.

– Takie słowa nie są ani konieczne, ani przydatne, generałko Rakallo.

Wielki Mistrz Opoki potrząsnął głową.

– Nie zgadzam się, Wasza Wysokość. Nie możemy rozpatrywać Rielle w kategoriach sojuszniczki. Jest bronią, która obecnie znajduje się w arsenale Coriena.

Królowa Fozeyah siedziała z palcami przyciśniętymi do ust.

– Czy można ją zabić?

Teraz to Evyline poderwała się z miejsca z oczami lśniącymi oburzeniem.

Audric wyciągnął do niej rękę.

– Evyline, usiądź, proszę.

Królowa Fozeyah podniosła ręce, a lśniące pukle włosów zsunęły się z jej ramion.

– Królowa Rielle jest droga dla wielu spośród tu obecnych. Ale jeśli chcemy przetrwać, musimy zadać sobie te pytania i być przygotowani na każdą ewentualność.

– Każdą żywą istotę da się zabić – wymówiła z trudem Ludivine. – Ale czy zdołamy zbliżyć się na tyle, by tego dokonać? – Spojrzała z rozpaczą na Audrica. – Tego nie wiem.

– Zabicie jej może nie być konieczne – odezwał się cicho Audric. Był na siebie wściekły za ulgę, którą poczuł na widok leciutkiego uśmiechu aprobaty posłanego mu przez Ludivine.

Generałka Rakallo zaciskała wargi w wąską kreskę z irytacji.

– Wasze Wysokości, czy możemy naprawdę zaufać temu człowiekowi podczas opracowywania naszej strategii? Jest zaślepiony miłością. Został już raz oszukany przez królową Rielle i może zostać oszukany ponownie.

– Tak, kocham ją – rzekł Audric i nigdy wcześniej nie włożył w te słowa takiego żaru. Jakby było zbrodnią kochać ją, tę przerażającą, niezrozumiałą kobietę, wraz z jej humorami, brawurą i zaskakującym, błyskotliwym umysłem. – Tak – mówił dalej – oszukała mnie, a kiedy zorientowałem się w bezmiarze jej kłamstw, pozwoliłem, by zawładnął mną gniew. Powiedziałem jej, że jest tym, czym obawiała się stać: potworem. Zaprzeczyłem jej człowieczeństwu i zignorowałem wszystko, co jest w niej dobre. – Jego głos się załamał. – A jest w niej wiele dobra. Odwaga i wytrwałość, a także taki ogrom miłości, że każdy, kto miał tyle szczęścia, by zasłużyć na zaufanie, byłby w stanie karmić się samym jej uwielbieniem. – Rozejrzał się po zgromadzonych członkach rady, bezgłośnie błagając, by go zrozumieli. – Odrąciłem ją. Teraz jest u boku

naszego największego wroga. Gdyby nie mój błąd w ocenie sytuacji, nie moja słabość, mogłaby nadal być z nami. – Odetchnął powoli, starając się uspokoić. – Od urodzenia niosła ciężar ogromnej i straszliwej mocy. Przez całe miesiące była oceniana, dręczona, wielbiona i atakowana. Pomimo tego wszystkiego pozostawała z nami, aż ja popełniłem błąd i ją potępiłem. Nie zdołamy jej odzyskać bez miłości. Bez niej zaś nie zdołamy wygrać.

W komnacie panowała cisza, gdy zgromadzeni patrzyli na Audrica z różnymi odcieniami litości, zażenowania i smutku. A także gniewu.

– Królowo Bazati – podjął Audric. Jego głos był spokojny, ale żołądek mu się zaciskał. – Królowo Fozeyah. Nie możecie pozwolić, aby te wieści z północy wpłynęły na wynik dzisiejszego głosowania. Zaklinam was, porozmawiajcie ze zgromadzeniem przed rozpoczęciem głosowania. Pozwólcie, żebym ja z nimi porozmawiał. Celdaria w tej wojnie stanie na pierwszej linii frontu, mogę wam to obiecać. Corien będzie chciał symbolicznie rozpocząć swój podbój od mojej siedziby, a z Merovekiem na tronie stolica szybko upadnie. On jest kompletnie nieprzygotowany na stawienie czoła takiej armii. Jest ogarnięty paranoicznymi lękami, jak donoszą listy od Czerwonej Korony. Pokazywałem je wam. Czytaliście je i słyszeliście raporty własnych wywiadowców. On nie rozumie aniołów tak jak ja. On nie zna Rielle. – Audric uśmiechnął się blado, chociaż serce mu się krajało. – Ja tak. A jeśli chcemy, żeby do nas wróciła, musi mieć dom, do którego będzie mogła wrócić. – Rozejrzał się z nadzieją, że zostanie zrozumiany. – Aby przygotować się do prawdziwej wojny, która nas czeka, musimy zgromadzić jak największe siły w miejscu, gdzie Corien bez wątplenia uderzy na samym początku: w Âme de la Terre. Zanim zaś to zrobimy, muszę odzyskać tron. Nie uda mi się to bez waszej armii. Razem możemy stać się pierwszą linią obrony naszego świata przed Corieniem, gdy

zaatakuje. Chyba że wolicie, aby zmierzył się z przypadkową zbieraniną żołnierzy powołanych przez Meroveca.

Królowa Bazati pozostawała nieprzejeđnana.

– Rozumiem twoje argumenty, Audricu. Poparłam twój wniosek do senatu, podobnie jak moja małżonka. – Westchnęła, popatrzyła na stół, a potem się wyprostowała, by zwrócić się do całej rady. – Ale nie mogę spotkać się z senatem przed głosowaniem, ponieważ ono już się odbyło.

Widać było, że wszyscy obecni są tym zaskoczeni.

Kamayin otworzyła usta i potrząsnęła powoli głową.

– Jak to? – szepnął Audric. Czuł się odrętwiały z przerażenia. – Kiedy? I dlaczego?

– Wczoraj późnym wieczorem wraz z marszałkami wszystkich dziesięciu izb senackich rozmawialiśmy z Jazanem – wyjaśniła królowa Fozeyah. – Chciałyśmy wysłuchać jego raportu przed tobą i ocenić osobiście sytuację.

– Zmusiliście tego człowieka, żeby opowiadał o tym, co się z nim działo, dwa razy w ciągu dwunastu godzin? – zapytał gniewnie Audric. – Nie sądziłem, że jesteście tak okrutne.

– To nie okrucieństwo, Audricu. – Wzrok królowej Bazati był pełen litości. – To kwestia przetrwania.

Pełną napięcia ciszę przerwało mocne pukanie do drzwi. Królowa Fozeyah wstała, żeby je otworzyć i wpuścić pierwszą marszałkinię mazabackiego senatu – pulchną kobietę o surowej twarzy i skórze w odcieniu ciepłego brązu, z siwymi włosami poskręcanymi w ciasne pierścionki. Rozejrzała się po komnacie, a jej ostre spojrzenie spoczęło na Audricu.

– Masz dla nas wieści – powiedziała cicho królowa Bazati.

Marszałkini skinęła głową, otworzyła skózaną torbę i zaczęła czytać.

– Senat rozpatrzył i przegłosował petycję króla Audrica Courverie z Celdarii – rzekła ostrym, idealnie wyraźnym głosem – który zwraca się z prośbą o wsparcie militarne w celu zajęcia stolicy kraju i odsunięcia od władzy uzurpatora, Meroveca Sauvilliera, co w dalszej perspektywie umożliwiłoby ustanowienie linii obrony przed potencjalnym atakiem sił anielskich. Wzięliśmy pod uwagę opinie naszych królowych, świętych mistrzów oraz obywateli Mazabatu, których głosy powołały nas na nasze stanowiska. Nasz naród został w ostatnich miesiącach dotknięty bezprecedensowymi katastrofami naturalnymi i nie mamy obecnie możliwości ani środków pozwalających na wysłanie naszych sił za granicę w momencie, gdy nadal jesteśmy zajęci oczyszczaniem wybrzeży oraz pól uprawnych, a także poszukiwaniem zmarłych. – Pierwsza marszałkini umilkła na chwilę. – Stosunkiem stu dziewięćdziesięciu dwóch do ośmiu głosów petycja celdaryjska oraz prośba o wsparcie militarne została odrzucona.

Audric usiadł ciężko na swoim krześle i obserwował w odrętwieniu, jak marszałkini przekazuje protokół królowym.

– Jeśli Wasze Wysokości zgadzają się z tą decyzją – ciągnęła marszałkini – proszę o złożenie podpisów na protokole potwierdzającym głosowanie. Jeśli nie, istnieje możliwość odwołania się od tej decyzji podczas posiedzenia specjalnego.

Audric wstrzymał oddech; nie odważył się odezwać. Miał wrażenie, że w czasie spowolnionym jak we śnie widzi, że królowe podpisują dokument, który przypieczętował zagładę jego kraju, a niebawem przypieczętuje zagładę ich wszystkich. Ledwie był świadomy reakcji pozostałych: Kamayin, podbiegającej do matek, żeby gwałtownie zaprotestować; Wielkiego Mistrza Firmamentu dotykającego czoła w milczącej modlitwie.

Królowa Bazati obserwowała go, a na jej twarzy współczucie mieszało się ze stanowczością. Królowa Fozeyah wyprowadziła krzyczącą Kamayin do jednego z prywatnych gabinetów przylegających do tej komnaty.

Najgorszą, najstraszniejszą rzeczą było to, że Audric rozumiał ich decyzję.

Dlaczego mieliby mu zaufać? Dlaczego mieliby wysłać tysiące swoich żołnierzy na z góry przegraną wojnę, która rozpoczęła się tysiące lat przed ich narodzeniem?

Jeśli zamierzał odzyskać swój kraj i poderwać mieszkańców Avitas, aby walczyli o swoją Słoneczną Królową i o swoją przyszłość, musiał to zrobić sam.

Rielle

Na podstawie naszych obserwacji w Otchłani podzieliliśmy krucjusze na pięć grup wyodrębnionych na podstawie ich podobieństwa do zwierząt spotykanych w Avitas: żmije (gady), drapieżce (ptaki), kotokształtne (koty), byczarze (osobliwe połączenie cech wołowatych i niedźwiedzi) oraz nożycowce (owady i pająki, znacznie większe od typowych dla Avitas). Warto zwrócić uwagę, że chociaż nożycowce są mniejsze od pozostałych, a ich grupa jest najmniej liczna – być może wskazuje to na brak siły potrzebnej do przemieszczania się w Otchłani – są one zdecydowanie najbardziej żarłoczne.

– z raportu anioła Kasdei, chirurga z Terytorium Północnego,
17 sierpnia 994 roku Drugiej Ery

Przez całe dni Rielle egzystowała w oceanie czerni i złota. Tam, w najbardziej wyrafinowanych i niewyobrażalnych głębinach jej ciała, empirium kłębiło się i burzyło.

W krótkich przeblyskach świadomości zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje: podróżowali na północ. Ona i Corien. Dziewczyna imieniem Obritsa i jej strażnik Artem. Podróżowali szybko. Pierścienie światła otwierały się i zamykały, a każdemu z momentów jasności towarzyszył leciutki zapach dymu.

Niesione przez Artema formy promieniowały mocą, która wibrowała na skórze Rielle jak powietrze przed burzą, gotowa do eksplozji.

Corien był blisko. Rielle czuła jego usta na policzku, otaczające ją ramiona. Czasem zauważała jego bliskość i dotykała wargami jego warg.

Czasem czuła się zagubiona na morzu i wołała go, ale nawet on nie potrafił jej odnaleźć w mrocznej, migotliwej głębi.

Była tam całkowicie samotna wśród empirium. Jego niezmordowany głos był niekończącym się chórem słów zbyt wielkich i zbyt straszliwych, by mogła je zrozumieć, a ona nie mogła zatkać uszu ani też nie chciała tego robić. Otoczona jego falami unosiła się na nich i nurkowała, zapadała się i tonęła, ciesząc się każdym miażdżącym płuca momentem bólu. Otwierała usta i połykała czarną wodę. Otwierała oczy i widziała niebo usiane złotymi gwiazdami. Rozkładała ręce i nogi i była wciągana w ciemność, a ten upadek ją cieszył, ponieważ gdzieś w tej ciemności kryła się odpowiedź.

Gdzieś w tym bezkresnym świecie empirium było coś więcej – więcej mocy, więcej zrozumienia.

Dlaczego zostałam wybrana? Wiele razy zadawała to pytanie. *Czego chcesz ode mnie?*

Empirium odpowiadało niezrozumiałymi słowami, które grzechotały w jej kościach i trzeszczały w kręgosłupie, ale ona zamiast bólu czuła tylko ciepłe fale rozkoszy. Odwróciła się do fali i pozwoliła wciągnąć pod przynoszącą ekstazę czarną wodę, która załamała się wokół niej jak zimna kurtyna zrobiona z igieł.

ty jesteś, zadudnił głos, który nie był pojedynczy, lecz składał się ze wszystkich głosów połączonych w odwieczny chór.

Tak? Wstrzymała oddech, nasłuchując.

Nie odpowiedziało jej nic poza stałymi uderzeniami jej serca i pulsującym szumem czarnych fal.

Wtedy empirium przemówiło znowu – bezgłośny hałas wybuchł w uszach Rielle.

przebudzę się

Otworzyła gwałtownie oczy.

Była otoczona bielą i znajdowała się w ramionach Coriena. Przytulał ją do piersi, a czarne włosy miał przyprószone śniegiem.

– Jesteś – wyszeptał. Na jego twarzy odmalowała się ulga. – Wróciłaś do mnie.

Powietrze napłynęło do jej płuc. Zakasłała, pozbywając się wyimaginowanej wody, i szturchnęła Coriena w pierś.

– Postaw mnie!

Posłuchał, wyraźnie zdumiony, a Rielle stanęła na ziemi obok długich czarnych schodów. Powietrze wydawało jej się odrażające, podobnie jak kilometry skał ciągnące się pod jej stopami, a także niezliczone, nieskończenie drobne kropelki wilgoci, które wyczuwała wokół siebie. Zwróciła się do wewnątrz, odwróciła od wzywających ją żywiołów, od żyjącego w nich wszystkiego empirium. W głowie słyszała szum czarnych fal, a kiedy spróbowała z nimi walczyć, zaryczały jeszcze głośniej.

– Jestem tylko dziewczyną – wyszeptała, jakby to była modlitwa. To kłamstwo zdołało ją pocieszyć.

Kiedy przypomniała sobie, jak się oddycha, rozejrzała się i zobaczyła, że siedzi skulona pomiędzy dwoma skrzydłami ogromnych wrót, otwartych na oścież. Po lewej stronie rozciągał się pejzaż złożony z gór i lodu. Po prawej – mroczny, lśniący hol oświetlony pochodniami w żelaznych uchwytach.

Przycisnęła czoło do zimnej posadzki z wypolerowanych płyt czarnego marmuru przecinanego białymi żyłkami. Raz uderzyła w nią pięściami.

Corien przykląkł bezgłośnie koło niej.

– O co chodzi? Co się stało?

– Już prawie tam byłam – wyjaśniła, ledwie zdolna mówić. – Prawie zrozumiałam. Widziałam to. Czułam to. Płynęłam do tego, ale nagle

znalazłam się tutaj, z tobą. – Spojrzała na niego gniewnie przez łzy. – Czy ty mnie obudziłeś?

– Nie – odparł spokojnie Corien. – Obudziłaś się sama. Martwiłem się... – Jego szczeka drgnęła. – Martwiłem się, że możesz się nie obudzić.

Rielle zamknęła oczy i mocniej przycisnęła czoło do posadzki. Była zimna jak lód i uspokajała jej rozgrzany umysł.

– Był tam ocean. Wielki czarny ocean rozświetlony złotem. Byłam w nim. Zabierał mnie...

– Dokąd cię zabierał?

– Nie, nie rozumiesz. Zabierał mnie. Chciał oddychać. Chciał chodzić, patrzeć moimi oczami. – Z trudem usiadła, zadowolona, że Corien nie próbuje jej pomagać. Jej ciało było niezgrabne po dniach spędzonych w bezruchu, a także z powodu dziwnej nowej ociążałości w jej brzuchu. Z roztargnieniem położyła na nim rękę. Przelotnie pomyślała o dziewczynie w górach, ale nie starała się odświeżyć tego wspomnienia. – Empirium chciało mnie zabrać dla siebie – wymamrotała. – A ja chciałam mu na to pozwolić.

Corien obserwował ją z ciekawością.

– Co by się z tobą stało, gdyby empirium cię zabrało?

– Nie wiem. Zabiłoby mnie. Uczyniłoby mnie lepszą albo silniejszą. A może nie spodobałby mu się mój smak i wypłułoby mnie. Ale ja przynajmniej bym wiedziała, nawet gdyby mnie to zabiło. Zrozumiałabym.

– Co byś zrozumiała?

Zniecierpliwienie ogarnęło ją gwałtowną falą.

– To. To wszystko. – Wskazała samą siebie. – Dlaczego taka jestem. Dlaczego jestem. Czy możesz wyczuć, o co mi chodzi?

Kiedy jednak sięgnęła do myśli Coriena, poczuła zaskakującą prawdę: w jej wnętrzu pozostał tylko słaby cień jego obecności. Reszta zniknęła

gdzieś w oddali w pejzażu jej umysłu. Wydawał się dystyngowany, wręcz powściągliwy. Ostrożny. Dyskretny.

Popatrzyła na niego, odczuwając jednocześnie wdzięczność i urazę.

– Bałeś się? Czy dlatego trzymałeś się z dala od moich myśli? – Uniosła podbródek. – Pomyślałeś, że empirium może sięgnąć przeze mnie, żeby zrobić ci krzywdę. Brzydziłeś się mną.

– Nigdy w życiu. Pomyślałem... – Urwał; jak rzadko kiedy zabrakło mu słów. – Pomyślałem, że możesz chcieć prywatności. Kiedy cię przytulałem, byłaś tak rozpalona, że zacząłem się bać. Pomyślałem, że moja obecność tam, gdzie się znajdowałaś, może tylko przeszkadzać w tym, co się dzieje. Chciałem... – Rozłożył ręce i roześmiał się cicho. – Przerastasz mnie, Rielle. Mam nadzieję, że pewnego dnia będziesz mogła zabrać mnie ze sobą w to miejsce i razem znajdziemy wszystkie odpowiedzi, których poszukujemy.

Popatrzył na posadzkę i zmarszczył brwi. Miał tak gęste i ciemne rzęsy, że Rielle nagle zapragnęła je pocałować. Posłała mu tę myśl, a jego pełen żaru wzrok skierował się prosto na nią.

– Nie będę udawać, że rozumiem wszystko, co się z tobą dzieje – wyszeptał. – Ale zrobię, co w mojej mocy, żeby stać się ciebie godnym.

Rielle przez dłuższą chwilę nie była w stanie się odezwać. Zamiast tego wstała chwiejnie i odwróciła się do niego plecami, by spojrzeć na świat.

Stała na szczycie ogromnych kamiennych schodów, poniżej których rozciągała się rozległa sieć lodu, skały, ognia i maszyn. Żołnierze ćwiczyli musztrę. Robotnicy nosili skrzynie i obracali szprychy ogromnych metalowych kół, aby otworzyć wielkie, osadzone w ziemi wrota. Mieli na sobie niewyróżniające się ubrania i słuchali żołnierzy rzucających krótkie rozkazy w języku, który Rielle uznała za jeden z anielskich. Za jej plecami

wznosiła się gigantyczna forteca z czarnego kamienia, w której holu, u stóp zakręcających spiralnie schodów, stali milczący, zamaskowani strażnicy.

– Terytorium Północne – wyszeptała Rielle. Jej oddech zawisł chmurką w powietrzu.

Corien podszedł i stanął koło niej.

– Dom.

Popatrzyła na niego – na przybrudzony po podróży kołnierz, zaciśnięte szczęki, dumny błysk w jasnych oczach, z którym przyglądał się temu królestwu z lodu, wzniesionemu z niczego.

Ogarnął ją przypływ czułości. Obróciła jego podbródek i przyciągnęła jego usta do swoich warg. Nieproszone wspomnienie Audrica pojawiło się jej przed oczami; wyczuła, że Corien drgnął, lecz nie przeprosił.

– Nadal go kocham – przypomniła i pomyślała o pozostającym w niej żalu, żeby Corien mógł go jasno dostrzec w jej umyśle. – Ale jestem tutaj z tobą. On się mnie boi. Ty nie. On mnie odtrącił. Ty nie. To musi na razie wystarczyć.

Twarz Coriena stężała.

– Jesteś istotą pełną doprowadzających do szału sprzeczności – mruknął i przeczesał dłonią włosy.

– A ty mnie za to kochasz – odpowiedziała Rielle. Usłyszała odległe echo ciemnych fal. Poczowała bezkresne złoto omywające palce jej stóp. Dotknęła głowy, poszukując pęknięć.

– Przygotowałem dla ciebie apartament – rzekł sztywno Corien, odsuwając się od niej. – Jak sądzę, chciałabyś odpocząć.

– Nie.

Audric pozostawał w jej myślach, jego wspomnienie było ciepłe i stabilne nawet wtedy, gdy wszystko inne się chwiało. Gdyby przyjrzała mu się zbyt uważnie, ból przeszyłby jej pierś i oczy jak ciernie.

Ale Audric był daleko. Audric uważał ją za potwora.

Jej umysł zadrżał, zmęczony własnym wahaniem. Rozpaczliwie pragnęła zapomnienia. Chwyciła Coriena za rękę i posłała mu myśl jasną i twardą jak diament: *Nie chcę teraz odpoczynku.*

Siła jej sugestii zaskoczyła go; wyczuwała jego radość rozkwitającą i zmiękczającą wszystkie jego frustracje.

Potem Corien zacisnął palce na jej dłoni, zawołał do strażników, żeby zamknęły drzwi przed zimnem, i poprowadził ją na górę.

Corien tworzył potwory.

Jeden zwisał pod sufitem – chociaż ten nie był jego dziełem. Raczej modelem. Inspiracją.

– Nazwaliśmy je krucjuszami – wyjaśnił Corien, prowadząc Rielle przez wielką salę będącą laboratorium. Pod kamiennym sufitem, na cienkich miedzianych drutach i stalowych dyskach, wisiało wypchane ciało bestii. Miała sześć długich nóg, tułów pokryty lśniącymi szkarłatnymi łuskami i wydłużony, gadzi pysk. Puste oczodoły, długi zakrzywiony ogon i drobne, piłkowane kolce wzdłuż kręgosłupa. Otwarte szczęki odsłaniały kilka rzędów zębów. Corien wskazał nieruchome cienkie nogi. – Niektóre mogą latać. Inne się czołgają. To jest żmij, jego najważniejszą broń stanowi szybkość. Biega po ziemi podobnie do jaszczurek i potrafi się poruszać niemal bezgłośnie.

Corien, nie przerywając wyjaśnień, szedł powoli przez salę w powiewającym za nim długim czarnym płaszczu. Wykąpał się po ich wspólnej nocy, a ciemne fale jego włosów lśniły w blasku oświetlających laboratorium pochodni.

Rielle słuchała tego, co mówił. Naprawdę, uczciwie słuchała.

Jednocześnie jednak nie potrafiła odwrócić spojrzenia od jego hebanowych loków – przede wszystkim dlatego, że pamiętała ich

jedwabisty dotyk na swoich udach ostatniej nocy.

– Kiedy wasi święci stworzyli Bramę – mówił Corien – rozdarcie tkanki Otchłani wywołało chaotyczne wstrząsy całego istnienia. Niemierzalna przestrzeń została odmieniona na zawsze poprzez zbrodnię naszego uwięzienia. – Jego głos stał się ponury. – Powstanie Bramy rozerwało niezliczone szwy, w większości zbyt nieznaczące, by się nimi przejmować. Jeden z nich jednakże otworzył przejście do świata, z którego pochodzą te istoty. Szczelina jest niewielka, ale nadal istnieje i stale się poszerza. Krucjusze są przebiegłe, a najsilniejsze z nich, mające najwięcej szczęścia, znajdują sposoby, żeby uciec z własnego świata i wkroczyć do Otchłani. Potrzebują na to całych wieków. Jeszcze mniejsza ich liczba potrafi przemierzyć Otchłań, przecisnąć się przez Bramę i wkroczyć tutaj. Lecz pojawi się ich więcej. To tylko kwestia czasu.

Umysł Rielle starał się z trudem zaakceptować koncept innych światów poza ich własnym, poza Otchłanią. Niezliczonych światów, jak przypuszczał Corien, połączonych w niezmierzonym empirium.

Inne światy. Kolejna informacja, której nie przekazała jej Ludivine.

Ludivine. *Ludivine*. Im częściej powtarzała sobie to imię, tym mniej bolało jego wspomnienie. Pewnego dnia będzie sobie wyobrażał twarz Ludivine i niczego nie poczuje.

Pewnego dnia. Ale jeszcze nie teraz.

– Przecież Otchłań pozbawiła was ciał – przypomniała Rielle, starając się skoncentrować. – Czy kiedy krucjusze przeniknęły do Otchłani, nie spotkał ich podobny los?

Twarz Coriena miała ponury wyraz.

– Nie. Wydają się odporne na takie niedogodności.

– Być może empirium postanowiło ukarać aniołów za wszczęcie wojny przeciwko ludziom – podsunęła niefrasobliwie Rielle. Drażnienie się z nim

pomagało jej oczyścić umysł. Nie potrafiła się temu oprzeć. – Być może krucjusze nie dopuściły się takiego występu.

Corien rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Być może.

– Słyszałam już wcześniej o tych krucjuszach – powiedziała, wymijając go. – Mówiono mi, że pochodzą z samej Otchłani.

– Kto tak twierdził?

– Jodoc Indarien, mówca zakonu Obex na Sunderlandach. Zranił Ludivine czymś, co nazywał ostrzem zagłady.

Corien zeszywniał, odczytawszy jej wspomnienia.

– Przekazał ci tylko swoją wiedzę, która jest niekompletna.

– Powiedział także, że krew krucjuszy jest śmiertelnie niebezpieczna dla aniołów. Czy to prawda?

– Niestety tak. – Corien spojrzał na zawieszoną w górze bestię. Na jej brzuchu widać było szereg równych czarnych szwów. – Ten żmij przekradł się przez Bramę kilka lat temu i, cwana bestia, wślizgnął się na pokład statku kupieckiego, który przyplłynął na Sunderlandy z zaopatrzeniem dla strażników Obex. Nie sądzę, by się zorientowali, że się wydostał. Wielu aniołów straciło życie, żeby go pojmać i przywieźć tutaj. Chodzi o coś we krwi. Musieliśmy go całkowicie wykrwawić, aby móc bezpiecznie przeprowadzić sekcję. Nawet jej opary są toksyczne.

– Dla was – stwierdziła Rielle. – Nie dla ludzi. – Zamrugała szczerze otwartymi oczami. – Tak twierdził Jodoc.

Corien zacisnął wargi.

– Pod tym względem się nie mylił. Moi myśliwi, gdy weszli w kontakt z krwią tej bestii, zostali wypchnięci z ludzkich ciał, które zajmowali, i całkowicie stracili spójność. Na szczęście inni zajęli ich miejsce, a my od

tamtego czasu znaleźliśmy sposoby, żeby się chronić, na wypadek gdybyśmy w przyszłości natrafili na więcej krucjuszy.

Sugestia w jego głosie sprawiła, że Rielle zapomniała o swoim rozbawieniu. Spojrzała prosto na niego.

– Chodzi ci o to, co będzie, jeśli otworzę Bramę.

Corien uśmiechnął się blado. Nie umknęło mu, że użyła słowa „jeśli”.

– Tak.

Zadrżała na tę myśl. Empirium zafalowało w niej mrocznym drżeniem. Obawiało się czy nie mogło się doczekać? Zajrzała w głąb własnego serca, ale nie znalazła odpowiedzi.

– W Otchłani pozostaje wielu aniołów lojalnych wobec mnie – ciągnął Corien. – Dzięki tobie, moja miła, i twojej nieudanej próbie naprawienia Bramy mogę się teraz z nimi kontaktować. Przekazali mi, że znakomita większość krucjuszy pozostaje w ich ojczystym świecie, któremu nadaliśmy nazwę Hosterah. Jeśli otworzysz Bramę, ryzyko inwazji krucjuszy będzie znikome. Jeśli chcesz, możesz zapieczętować to przekłete przejście, gdy tylko moi pobratymcy zostaną uwolnieni. A jeśli krucjusze przedostaną się tutaj, zanim ci się to uda, zniszczysz je wszystkie.

Rielle wyczuła wspomnienie, które wypłynęło na powierzchnię jego umysłu i podryfowało do niej. To była ona sama, kilka miesięcy temu na Sunderlandach, próbująca naprawić Bramę i powiększająca tylko jej pęknięcia.

– Czy dlatego mnie do tego nakłaniałeś? – Obserwowała uważnie Coriena. – Chciałeś, żebym jej dotknęła. Chciałeś zobaczyć, czy jestem już dość potężna, żeby ją otworzyć.

– Po części – przyznał gładko.

– Ale podejrzewałeś, że nie jestem gotowa i że to mnie zrani?

– Domyślałem się, że cię to zrani, i wiedziałem, że ta porażka pomoże mnie, a w ten sposób pomoże tobie.

Cofnęła się od niego, sięgnęła do jego umysłu i ku swojej zgrozie odkryła, że mówił prawdę.

– Zdumiewasz mnie.

– Zresztą sama chciałaś spróbować naprawy. – Corien podszedł do niej powoli. – Nawet gdybym cię nie zachęcił, zrobiłabyś dokładnie to samo. Dlaczego nie miałem wykorzystać okazji, która i tak by się nadarzyła? – Stał teraz koło niej, a jego oczy lśniły pasją. – Muszę myśleć o moich pobratymcach, Rielle. Milionach aniołów, uwięzionych i czekających, żebym ich uwolnił. Pamiętaj o tym.

Te słowa nasunęły Rielle pełną gorzkości myśl – że Audric, nawet dla swoich poddanych, nawet gdyby wszyscy tego od niego oczekiwali, nigdy nie nakłaniałby jej do czegoś, co zrobiłoby jej krzywdę.

Wepchnęła tę myśl Corienowi i patrzyła, jak gniew oplata go siecią trzepoczących cieni.

Z satysfakcją uniosła podbródek i spojrzała na niego wyniośle.

– Czy możesz kontrolować krucjusze tak, jak kontrolujesz ludzi?

Jego rozwścieczone spojrzenie przesunęło się po jej twarzy, jakby wypatrywało słabego punktu w zbroi.

– Nie. Ich umysły są zbyt obce.

– Dlatego tworzysz własne. – Rielle wspięła się na palce, żeby dotknąć sztywnego ogona krucjusza. – Bestie z krwią, która nie robi ci krzywdy. Bestie z umysłami, nad którymi możesz zapanować.

Oczy Coriena śledziły każdy jej ruch.

– Właśnie tak.

Przez moment Rielle wpatrywała się w żmija i wyobrażała sobie, jak wyglądał żywy i drapieżny – sześć metrów mięśni i łusek pędzące po ziemi

i uzbrojone w pazury długości jej przedramienia.

– Jeśli otworzę Bramę – powiedziała powoli – mogę powiększyć zniszczenia wywołane przez świętych.

– Tak – zgodził się Corien.

– Mogę nieświadomie poszerzyć te szczeliny w Otchłani i ściągnąć krucjusze tutaj.

– A wtedy je zniszczysz, tak jak mówiłem. Mrugnięciem obrócisz je w popiół. – W jego głosie brzmiała irytacja. – Martwisz się o ludzi z tego świata. Martwisz się o tych, którzy nie martwiliby się o ciebie. Dlaczego?

Ponieważ życie jest skarbem.

Ponieważ tak należy czynić.

Ponieważ jestem Słoneczną Królową. Strzegę i bronię.

Żadna z odpowiedzi, które rozważała, nie wydawała się prawdziwa. Na początku, podczas prób, wierzyła w takie rzeczy, wygłaszała je nawet głośno. Ale może nawet wtedy okłamywała samą siebie.

Corien przyglądał się jej uważnie.

– Oni nie zasługują na twoją litość ani na ochronę. Jesteś bardziej podobna do nas niż do nich. Twoje miejsce jest przy nas. – Umilkł na chwilę. – Twoje miejsce jest przy mnie, nie przy nim.

Rielle starała się uczepić tej deklaracji, ale czuła, że się jej wyslizguje.

Odwróciła się plecami do Coriena, żeby popatrzeć na bestię, z którą nagle poczuła mdłą pokrewieństwo.

– Nigdzie nie ma dla mnie miejsca – wyszeptała.

To była najbardziej prawdziwa rzecz, jaką powiedziała od dłuższego czasu.

Palce Coriena musnęły jej plecy.

– Wiem, że musisz dojść do tej prawdy sama, i zaczekam, aż tak się stanie, ale zachęcam cię, żebyś dostrzegła ją już teraz. Twoje miejsce jest

u mojego boku.

Ponieważ nie odpowiedziała, wziął ją za rękę i przycisnął kciuk do jej dłoni.

– Od stuleci przygotowuję się do tej wojny. A gdy się zakończy, ty i ja będziemy rządzić wspaniałym nowym światem, w którym wszystkie potwory będą należeć do nas i słuchać każdego naszego rozkazu.

Rielle zaczerpnęła tchu i odwróciła się do niego.

– Pokaż mi je.

Corien wykuł pod górami całe miasto. Kolejne nieskazitelnie czyste laboratoria, w których pracowali odziani na biało anielscy badacze, pełne metalowych stołów, półek z groźnie wyglądającymi narzędziami i rzędów zakorkowanych fiolek. Kopalnie i kuźnie płonące dniem i nocą. Baraki dla zastępów niemych, szarookich żołnierzy, których Corien nazywał adatroksami.

– Są ludźmi – powiedziała cicho Rielle, gdy Corien prowadził ją przez ogromną kamienną salę. Po obu stronach stały rzędy adatroksów. Byli wśród nich ciemno- i jasnoskórzy, grubi i chudzi. Mężczyźni z Borsvallu, kobiety z Kirvayi. Mieszkańcy Mazabatu i Celdarii. Stali jak lalki ustawione przez dziecko – sztywni, trochę niezgrabni, trochę przekrzywieni.

Kiedy Rielle przechodziła obok, ich zamglone oczy nie śledziły jej ruchów.

– Będą naszą pierwszą falą terroru – rzekł Corien. – Bezmyślni brutale. Nie są zbyt kreatywni, ale z pewnością są skuteczni.

– Ilu ich tutaj jest?

– Siedem tysięcy. Za dwa miesiące będę miał ich dziesięć tysięcy.

Dreszcz strachu przeszedł Rielle, gdy zaczęła sobie uświadamiać skalę jego dzieła. Przypomniała sobie żołnierzy Sauvillierów podczas próby

ognia – ich szare oczy, milczenie, to, że zwrócili się bez ostrzeżenia przeciwko swoim rodakom.

Tam było kilka tuzinów żołnierzy. Tutaj znajdowały się ich tysiące. Tysiące ludzi wyrwanych ze swoich domów, opętanych przez anioły.

– Ty kontrolujesz ich wszystkich? – szepnęła Rielle.

– Większość. Każdy z moich dowódców kontroluje kilka szwadronów. – Corien spojrzał na nią, a w jego myślach błysnęło rozbawienie. – To cię przeraża.

– Robi na mnie wrażenie. Ale tak, także mnie przeraża.

Uniósł jej dłoń do ust.

– Lubię robić na tobie wrażenie. Przyznaję, lubię również cię przerażać. Sprawia mi przyjemność myśl o tym, że drżysz z podziwu wobec mnie, tak jak ja często, gdy podziwiam ciebie. Ach. Tędy.

Nie dał jej szansy na odpowiedź. Wyczuwała, że wiedział o jej dyskomforcie i o tym, jak bardzo wytrącał ją z równowagi, ale mimo to naciskał triumfalnie. Toczyła się między nimi gra w przeciąganie liny. Pokonała go w laboratorium, a teraz on nadrabiał straty.

Gra, w której celem nie jest wygrana, przesłał jej myśl, lecz stanie się równorzędnymi zwycięzcami.

Rielle nie odrywała wzroku od drogi przed nimi. *A jeśli uznam, że nie chcę w nią dłużej grać?*

Corien nie odpowiedział. Prowadził ją ciągiem słabo oświetlonych korytarzy, a powietrze było coraz gorętsze i bardziej cuchnące. W końcu wyłonili się w obszernej sali oświetlonej z góry żelaznymi kratownicami pełnymi pochodni, a odór stał się tak silny, że Rielleomal się nie przewróciła. Była jednak zadowolona ze wszystkiego, co odwracało ich uwagę i pozwalało zniknąć napięciu między nimi.

– Popatrz – szepnął Corien i machnął zamasyście ręką. – Czyż to nie małe dzieła sztuki? Smoki okazały się dla nas szczególnie przydatne. Ich geny są plastyczne i wszechstronne.

Rielle nie rozumiała, co miał na myśli, ale mimo to podeszła do brzegu jamy wykutej w skale, a jej gardło ścisnęły gorące obręcze strachu. Ta dziura była ogromna, miała jakieś trzysta metrów kwadratowych, od góry została zabezpieczona grubymi żelaznymi kratami. Wokół były rozlokowane dzieci, z których żadne nie mogło mieć więcej niż dziesięć lat. One także miały szare, zamglone oczy, lecz była w nich moc, jaką nie dysponowali adatroksi. Niektóre stały, inne kucąły. Wszystkie wpatrywały się w głąb jamy.

Wszystkie też nosiły formy.

Te formy były identyczne – bliźniacze złote obręcze na nadgarstkach i złota obroża na szyi. W powietrzu, mieszając się ze smrodem, unosiły się znajome zapachy. Wilgotnej ziemi. Nagrzanego słońcem kamienia. Wody deszczowej, dymu, górskiego wiatru. Bezwonna smuga cienia i gorzki posmak metalu.

Rielle wpatrywała się, ogarnięta narastającą odrazą.

Te dzieci były magami żywiołów, o wiele za młodymi, by używać form. Jej własne doświadczenia z magią, podobnie jak doświadczenia Audrica, były wyjątkowe. Zazwyczaj dziecko wykuwało swoje formy dopiero w wieku dojrzewania.

– Czy one wykuły swoje formy tutaj? – zapytała słabo Rielle.

– Tak. – Milczące zadowolenie Coriena musnęło jej myśli. – Niektóre zniosły to lepiej od innych.

– A jeśli odmawiały?

– Przekonywałem je.

Rielle, której odebrało mowę, podeszła do jamy i przyklękła, by zajrzeć do środka.

Pod kratą, kłapiąc na siebie i szturchając się łapami, kłębiły się potwory – przypominające wypchanego krucjusza, ale bardziej upiorne. Rielle wpatrywała się bez tchu w ich ohydne kształty: zwaliste barki z węzłami mięśni; krótkie skrzydła pokryte skórą i pierzem; ciemne, kosmate futra i łuski; dzioby i pazury. Łby tępo zakończone i wielkie jak kowadła. Rogi szczękające o kratę i sypiące iskrami jak krzemień. Potwory zgrzytały zębami i machały łbami, wydając jęki kojarzące się z pełną wściekłości agonią.

A chociaż były wynaturzone i zdeformowane, każde z nich stanowiło mozaikę koszmarów, łączyły je wyraźne wspólne cechy. Na przykład ogony, skrzydła i szorstkie, grube futro.

– To są smoki – wyszeptała Rielle. – Zmieniłeś je.

– Ulepszyłem, czyniąc bardziej groteskowymi. – Corien przykląkł obok niej i przyjrzał się z namysłem swoim kreacjom. – Jeden z moich generałów zaczął je nazywać pełzaczami, ponieważ nie można już ich chyba nazywać smokami, prawda? Ta nazwa się przyjęła. Chociaż na razie nie udaje mi się uzyskać wpływu na umysły boskich bestii, podawane im substancje sprawiają, że są potulne, a oprócz tego formy dzieci pętają je tak jak uprzęż konia. Zaś ja oczywiście mogę kontrolować dzieci. Popatrz.

Pstryknął palcami; Rielle wiedziała, że robi to na pokaz. Jego umiejętności nie wymagały zewnętrznego stymulowania.

Bestie natychmiast zamilkły. W ciszy dźwięczało tylko echo ich ochrypłych głosów. Otaczające ją dzieci poderwały się i stanęły na baczność. Corien sięgnął do mechanizmu przymocowanego do kraty i nacisnął dźwignię. W kracie otworzyły się drzwi.

– Pokażcie jej – polecił Corien głosem dźwięczącym ekscytacją.

Gdy tylko to powiedział, jedno z dzieci, chłopiec o jasnej skórze i włosach, z szarymi oczami i pucołowatymi policzkami, podniosło ręce z obręczami na nadgarstkach.

Pełzacz wyskoczył z jamy i pochwycił go zakrzywionymi pazurami. Otworzył szeroko paszczę i zawył.

Wszystkie pochodnie w kratownicach w górze nagle ożyły. Płomienie wystrzeliły z rykiem ze swoich uchwytów, wypełniając jaskinię oślepiającym światłem i żarem. Metalowe płyty obejmujące pierś, brzuch i barki bestii zaśniły jak płynny ogień, podobnie jak rozjarzone formy chłopca.

Rielle cofnęła się o krok od tego piekła, a serce waliło jej jak młotem, gdy uświadomiła sobie, co widzi.

Zbroja pełzacza była częścią form dziecka, łączącą je ze sobą. Para zabójców, uległych i bezwzględnych. Moce obecne w boskiej bestii bez wątpienia potęgowały magię żywiołów, którą było obdarzone dziecko.

Zaś Corien...

Corien je kontrolował – dziecko i bestię.

Mógł kontrolować ich wszystkich.

Jessamyn

W tłumaczeniu z formalnego języka qaharis „Vaera Bashta” znaczy „jaskinia smutków”. Ten potężny podziemny kompleks zajmuje powierzchnię ponad pięciu kilometrów kwadratowych pod Elysium. Trafiają do niego więźniowie ze wszystkich krajów w Avitas, a Imperator w Swojej nieskończonej mądrości zaprojektował go tak, by dręczyć osadzonych tam ludzi i doprowadzać ich do szaleństwa.

*– Świetność Elysium. Wprowadzenie do Miasta Imperatora,
podręcznik opracowany przez Radę Pięciorga Invictus dla
uczniów Lyceum*

To odbywało się dwa razy w miesiącu, zapowiedziane przez pięć ostrych sygnałów gigantycznych brązowych rogów więziennych – część z nich znajdowała się pod ziemią, inne zamocowano na pobliskich dachach budynków w mieście.

Jessamyn kucała na skalnej półce w więzieniu Vaera Bashta i obserwowała chaos w dole. W języku wspólnym nazywało się to „przerzedzaniem”. Odpowiednie słowo w lissar brzmiało *cinvayat*, a w qaharis – *praeori kyta*. Czas, gdy wszystkie zamki w piętnastu oddziałach więziennych się otwierały, a wszystkie drzwi stawały na oścież.

Przez trzy godziny tysiące więźniów mogły robić, co tylko chciały. Osadzeni mogli zabijać, kogo zapragną, albo chować się w cieniach i liczyć, że nikt ich nie znajdzie – dopóki anielscy strażnicy nie zapędzili ich z powrotem do cel.

Jessamyn zaczęła, aż dźwięk rogów ucichnie, a potem zeskoczyła bezgłośnie ze swojej półki nad sekcją E3. Okratowane przejście poniżej było puste, chaos przerzedzania nie dotarł aż tutaj. Prowadziło do karceru, ponieważ przebywającym tam więźniom odmawiano tej zabawy, która była udziałem pozostałych. Więźniowie osadzeni w karcerze byli szczególni. Wielu z nich osobiście obraziło imperatora. Byli tam konspiratorzy. Dysydenci.

Bracia upartych księżniczek, które odmawiały użycia swoich mocy, tak jak powinny.

Strażnicy wycofali się do swoich wartowni, zabierając jedzenie i picie – które nie mogły nasycić ich pragnienia ani głodu, ale, jak wyjaśnił jej wiele lat temu Varos, sam akt konsumpcji przynosił im dostateczną satysfakcję. Przynajmniej na pewien czas. Przynajmniej dopóki nie przestawał.

Jessamyn szła pustym korytarzem, a w jej uszach dźwięczały odgłosy walki. Dzikie wrzaski myśliwych napadających na swoje ofiary. Zdławione, wilgotne krzyki słabych, których spotykała śmierć. Tylko chwilami widziała tłumy więźniów kłębiące się w słabo oświetlonych jaskiniach poniżej. Chudy chłopak, którego łopatki wystawały z nagich pleców jak para zanurzonych w wodzie noży, czołgał się w cieniu i modlił gorączkowo, żeby nikt go nie znalazł. Komuś się to udało; Jessamyn usłyszała jego stłumiony krzyk, a potem odgłos kości uderzających o kamień. Po prawej stronie grupa mężczyzn skandowała coś po borsvalsku i kierowała się na niższe poziomy, niosąc pościągane ze ścian pochodnie. Po lewej gang półnagich dzieci w brudnych łachmanach skoczył na starego mężczyznę i powalił go na ziemię.

Byli głodni. Dla części z nich to nie był czas, żeby zabijać dla przyjemności, ale po prostu napełnić żołądek.

Kiedy Jessamyn dotarła do karceru, odgłosy przerzedzania zmieniły się w odległe echo. Korytarz wykuty w czarnym kamieniu był nieskazitelnie czysty i milczący. Przy drzwiach celi numer czternaście stało na straży dwóch adatroksów. Jessamyn zamierzała im rozkazać, żeby się odsunęli, ale otworzyli drzwi i cofnęli się, zanim zdążyła to zrobić.

Wyminęła ich, zaciskając mocno zęby. Miała nadzieję, że kiedy Imperium powróci do właściwej, dawnej świetności, będzie można się pozbyć adatroksów. Nie cierpiała ich niewidzących szarych oczu, głupiego, szarpanego sposobu poruszania. Wydawało jej się odrażające, że aniołowie mogą być zmuszeni do używania trupów jak marionetek.

Pewnego dnia, gdy otrzyma anielskie imię, a wraz z nim stanowisko doradczyni imperatora, powie mu o tym. Zaś on jej posłucha.

Leciutki dreszcz szczęścia przeszedł po jej rękach, gdy to sobie wyobraziła. Od wczorajszego spotkania z imperatorem nie potrafiła przestać o nim myśleć. Zakrwawiony, z szalonymi oczami, prześliczny, szeptał do niej o planie, który razem wprowadzą w życie. Zmienia tego chłopca, Remy'ego, w broń. Wykorzystają go, aby złamać resztki oporu Eliany.

Pokażą tej pieprzonej księżniczce, że jedyna pozostała jej bliska osoba stała się posłusznym pupilkiem jej wroga – a wszystko to za sprawą Jessamyn.

Duma wezbrała ciepłem w jej piersi. Gdyby tylko Varos mógł ją dzisiaj zobaczyć. Nigdy już by w nią nie zwątpił.

Jessamyn stanęła wyprostowana w drzwiach celi Remy'ego. Chłopiec kulił się w kącie. Powietrze było cuchnące i zimne.

– Obudź się – rozkazała.

Minęła chwila. Remy się nie poruszył.

Podeszła do niego gwałtownie, chwyciła za kołnierz więziennej tuniki i szarpnięciem postawiła chłopca na nogi.

– Obudź się – powtórzyła i odepchnęła go z gniewnym grymasem.

Zachwiał się, otwierając szeroko oczy, i zdołał się wyprostować. Jego bose stopy wdepnęły w płytką ciemną kałużę niedaleko otworu odpływowego na środku podłogi.

Jessamyn w milczeniu taksowała go wzrokiem. Był chudy i kościsty jak ptaszek. Ledwie sięgał jej głową do ramienia. Jego sfilcowane włosy były potargane, dolną wargę miał nabrzmiłą i zakrwawioną. Ramiona i stopy pokryte były zadrapaniami i siniakami. Stał lekko przygarbiony i pochylony do przodu, jakby chciał ochronić brzuch. Wyraźnie strażnicy już się z nim zabawiali.

Jessamyn stłumiła przypływ irytacji. Jeśli zaprezentuje Radzie Pięciorga sparszywiałego, półżywego dzieciaka jako swojego ucznia, stanie się pośmiewiskiem bez względu na rozkazy imperatora.

Potrzebowała trochę czasu sam na sam z Remym, zanim ktoś z Lyceum będzie miał okazję go porządnie obejrzeć. Tu nie chodziło tylko o jej reputację, lecz także Varosa.

– Nazywam się Jessamyn – powiedziała do niego. – Pójdiesz ze mną. – Odwróciła się i skierowała do drzwi, ale on nie poszedł w jej ślady. W progu obejrzała się ze złością przez ramię. – Czy może wolisz zostać tutaj? – zapytała spokojnie. – Gnić samotnie w ciemności? Jeść spleśniałe odpadki i codziennie obrywać od strażników?

W końcu się odezwał.

– Czy tam, dokąd mnie zabierasz, będzie gorzej?

To ją zaskoczyło. Wyglądał tak rozpaczliwie, że nie spodziewała się po nim ani cienia bystrości umysłu.

– Pod pewnymi względami lepiej, pod innymi gorzej – odpowiedziała, ponieważ nie było sensu kłamać. Zmusiła swój głos, by zabrzmiał łagodnie. Niech chłopak myśli, że może być jego przyjaciółką. – Ale zobaczysz swoją siostrę. Jeśli będziesz robić, co ci każę, niedługo będziesz mógł się z nią widywać codziennie.

Jego twarz pojaśniała. W oczach zalśniła iskierka nadziei.

Jessamyn zmarszczyła brwi, gdy chłopak pokuśtykał za nią. Czyli miał w sobie jeszcze słabość.

Nie na długo.

Tej nocy Remy siedział na stołku w pokoju Jessamyn w Lyceum i obserwował ją uważnie w lustrze.

– Twoja twarz jest największą wadą – oznajmiła mu Jessamyn. Jej nożyczki zalśniły srebrem. Remy został wykąpany, a teraz dziewczyna przycinała mu włosy do akceptowalnej długości. – Widzę na niej każde pytanie, które chcesz zadać, każdą emocję, którą odczuwasz.

Patrzyła, jak stara się zapanować nad twarzą i zamienić ją w zimną maskę. To mogłoby być zabawne, gdyby nie słowa imperatora wciąż rozbrzmiewające szeptem w jej myślach.

Może nawet teraz ich podglądał.

Jessamyn rzuciła złe spojrzenie swojemu niewyraźnemu odbiciu w ostrzach nożyczek.

– Rozumiem – powiedział Remy ze starannie udawanym spokojem.

– Niczego nie rozumiesz. – Jessamyn cofnęła się o krok, żeby przyjrzeć się swojemu dziełu. – Ale jeśli chcesz przeżyć, będziesz robić wszystko, co ci powiem. Będziesz się uczyć, ćwiczyć i trenować. Będziesz jeść, gdy ja będę jadła. Będziesz spać, gdy ja będę spała.

Remy w milczeniu obserwował ją, gdy sprzątała i zamiatała włosy z podłogi.

– Dlaczego to robisz? – zapytał cicho.

Jessamyn nie patrzyła na niego. Kiedy przydzielono ją do Varosa, była małym dzieckiem. Spała na twardym sienniku na podłodze w jego sypialni. Wiele razy leżała i czuwała, nasłuchiwała jego oddechu i starała się nie zasnąć, ponieważ wiedziała, że obudzi się z dłońmi Varosa na swoim gardle i będzie musiała z nim walczyć lub poniesie porażkę w kolejnej lekcji. Początkowo obawiała się takich prób.

Później zaczęła ich wyczekiwać.

Remy będzie taki sam, a pewnego dnia Eliana Ferracora ujrzy ten blask w jego oczach i zrozumie, że wszystko stracone. Nie ma już powodów, by walczyć. Istnieje tylko Imperium i szczytny cel służenia Jego Wysokości Imperatorowi Nieśmiertelnego Imperium.

Jessamyn znalazła pod łóżkiem swój stary siennik i rzuciła go na podłogę. Był brązowy od kurzu, postrzępiony i połatany na brzegach.

Potem się odwróciła i zobaczyła Remy'ego stojącego całkiem blisko, z neutralnym wyrazem twarzy.

Jeden rzut oka w lustro potwierdził, że chłopiec ściska za plecami nożyczki.

Głupiec.

A ona była jeszcze głupsza, pozwalając, by wspomnienia odwróciły jej uwagę.

Jessamyn z gniewnym grymasem uderzyła Remy'ego w gardło, prosto w tchawicę. Upuścił nożyczki i cofnął się chwiejnie, próbując złapać oddech.

Zrobiła krok za nim, trzepnęła go mocno dłonią w ucho, po czym uderzyła pięścią tuż poniżej piersi. Krzyknął z bólu i upadł na kolana. Widziała, że osłaniał lewy bok; podejrzewała, że ma z tej strony obolałe żebra.

Błyskawicznie zacisnęła dłoń na jego włosach i szarpnęła głowę do tyłu. W drugiej trzymała jeden z noży, który wyjęła zza pasa. Przycisnęła ostrze do szyi Remy'ego i pochyliła się tak blisko, że jej wargi musnęły jego policzek.

– Dlaczego to robię? – powtórzyła jego pytanie. – Ponieważ On wybrał mnie, abym strzegła Jego dzieła.

Podniosła go szarpnięciem na nogi i kopnęła w udo. Upadł znowu na rozłożony dla niego siennik.

Jessamyn podeszła bliżej.

– On wybrał mnie, abym podziwiała Jego chwałę – mówiła dalej. To była przysięga zabójców Invictus, którą powinna była wygłosić przed Radą Pięciorga, z Varosem stojącym dumnie za nią.

Remy poderwał się, chcąc uciec. Jessamyn złapała stołek i rzuciła w stronę drzwi, aż roztrzaskał się o ścianę; Remy zrobił unik przed lecącymi drzazgami.

– Jestem ostrzem przecinającym noc – powiedziała Jessamyn, nadal idąc za nim. – Jestem strażniczką Jego historii. – Chwyciła Remy'ego za ramiona i popchnęła go z powrotem do lustra. Stała za nim, przytrzymując go mocno, i zmusiła, żeby patrzył na swoje odbicie, zapłakane i z szeroko otwartymi oczami. Na jego gardle widać było cienką kreskę krwi. – Pewnego dnia ty także taki będziesz – zapowiedziała. – Tak życzy sobie imperator. To postanowione, Remy. Rozkaz został wydany. – Potem odwróciła go i chwyciła za podbródek, by spojrzeć mu prosto w oczy. Lśniły, chociaż jego usta drżały. – Pomogę ci przetrwać – obiecała i to przynajmniej było prawdą. – Jeśli jednak znowu spróbujesz mnie zranić, pożałujesz, że nie gnijesz już w ciemności w tamtej celi. Rozumiesz?

Po chwili Remy skinął głową. Łzy spływały mu po policzkach, a Jessamyn powściągnęła impuls, żeby go za to skarcić. To nie był zwyczajny uczeń. Musiała postępować z wyczuciem.

– Dobrze – powiedziała tylko i ruchem głowy wskazała miednicę. – To była nasza pierwsza lekcja. A teraz się umyj.

Eliana

Sprowadź mi dwie setki muzyków. Ci, których się właśnie pozbyliśmy, byli kompletnie nieudolni, o czym wiedziałeś, kiedy mi ich zaprezentowałeś. Sprowadź mi kompozytorów, którzy przelewają swoją bezradną śmiertelność w każdą melodię; śpiewaków, którzy mają w piersiach burzę rozpaczy. Sprowadź mi ludzi, którzy pragnęliby przestać słuchać muzyki wrzającej w ich krwi, ale nie potrafią tego uczynić, więc wydzierają ją ze swojego ciała w jedyny znany im sposób – przez powietrze, struny, bębny i pióra.

– z listu Jego Największej Wysokości, Imperatora
Nieśmiertelnego Imperium do admirała Ravikanta, 11 maja 1018
roku Trzeciej Ery

Słowa unosiły się w umyśle Eliany poruszane lekkim wiatrem: „Skrzywdzisz mnie, żeby ją odzyskać?”.

Obudziła się z głębokiego snu i otworzyła oczy w gęstej białej mgle. Jej język był suchy i opuchnięty, kończyny ociężałe. Chciała iść, ale nie mogła wstać.

Dlatego pełzała.

Dotarła na dziedziniec, później do czystego holu wyłożonego grubym niebieskim dywanem. Słońce wlewało się przez łukowate okna obramowane kolorowym szkłem, a Eliana znalazła siłę, żeby się podnieść. Na końcu korytarza znajdowały się drzwi, za nimi zaś gabinet Simona.

Dłonie ją zamrowiły na jego widok.

W środku znalazła go przy otwartym oknie, drzemiącego na szezlongu, z otwartą książką na piersi. Wiatr poruszał kartkami.

Eliana z uśmiechem odłożyła książkę na bok, usiadła Simonowi na kolanach i sięgnęła do jego twarzy – a potem znieruchomiała z dłońmi tuż nad jego skórą.

Otworzył oczy i wpatrywał się w nią teraz z sennym uśmiechem.

– Dla takiego widoku warto się obudzić – powiedział cicho.

Poderwała się i uciekła z pokoju z mocno bijącym sercem. Zaciskała pięści i zmuszała mrowiące dłonie, żeby się uspokoiły. Oplatające je łańcuszki form drżały i iskrzyły.

Nie tutaj. Ukształtowała tę myśl i popchnęła ją wzdłuż rąk. *Już nigdy więcej.*

Eliana otworzyła oczy.

„Skrzywdzisz mnie, żeby ją odzyskać?”

– Nie wiem, kim jesteś! – krzyknęła. – Kim jesteś?

Nikt jej nie odpowiedział.

Stała na obrzeżach dziwnego, bezlistnego lasu. Nie podobał jej się, ale musiała się w nim zagłębić.

Kiedy szła wśród drzew, poniewczasie uświadomiła sobie, że to w ogóle nie są drzewa. To były ciała różnych kolorów i kształtów, nagie i wpatrujące się w nią. Ich czarne oczy pozbawione były powiek.

Aniołowie, czekający, aż ich ocali.

Empirium ukarało ich, odarło ten świat z magii.

– Tylko ty możesz sprowadzić to z powrotem – wyszeptało jedno z ciał, a chociaż się nie poruszyło, Eliana poczuła palce zaciskające się na jej spódnicy. – Tylko ty możesz sprowadzić ją z powrotem.

– Ratuj nas – zaszlochało inne. – Pomóż nam widzieć.

– Jesteśmy głodni.

– Jesteśmy spragnieni.

Jedno ciało zadrżało, gdy je mijała.

– Dotknij mnie. Pozwól mi znowu czuć.

– Znajdź ją.

Eliana zacisnęła dłonie na uszach i pobiegła, ścigana płaczem aniołów. Żar jej dłoni parzył skórę, a wargi miała wilgotne od krwi, ale nadal przyciskała mocno ręce do czaszki.

Jeśli ma spłonąć, zrobi to w pojedynkę.

Eliana otworzyła oczy.

„Skrzywdzisz mnie, żeby ją odzyskać?”

Wpatrywała się ze zgrozą w mężczyznę skulonego na ziemi u jej stóp. Został ciężko pobity; czarne sińce tworzyły wzory na jego ziemistej skórze. Jedną dłoń przyciskał do siebie, drugą wyciągał do Eliany. Pomiedzy palcami zaciśniętymi na brzuchu pieniał się karmazynowo kres jego życia.

– To był tylko podstęp, Eliano – powiedział Simon z trudem. – Proszę, pomóż mi. Zrobiłem to wszystko dla ciebie.

Eliana cofnęła się o krok. Oczy piekły ją tak samo jak dłonie.

– Nie mogę. Nie zrobię tego. – Popatrzyła w niebo. Znajdowali się nad urwiskiem, z widokiem na pasmo nagich gór. Niebo płonęło zorzą zachodzącego słońca. Na dłoniach miała pierścienie krwi otaczające formy. Były rozgrzane; były gotowe.

Nie pozwoliła im działać. *Nie tutaj*. Wyobraziła sobie, że wkłada dłonie do lodowatej wody, a jej formy parują i gasną.

– Słyszysz mnie? – Podniosła głos. Powietrze było dziwne, gęste i duszne, połykało jej słowa, gdy tylko je wykrzyczała. – Nie pomogę ci. Prędzej umrę, niż ci pomogę. Mogę tak wytrzymać wieczność.

Simon podczołgał się do niej.

– Pomożesz mi? Tak jak Remy’emu, pamiętasz? – W tym momencie wyrwał mu się ostry jęk bólu, a potem zdławiony szloch. Zamrugał i potrząsnął głową. – Pospiesz się, Eliano. Chcę ci wyjaśnić. Chcę ci wszystko powiedzieć. Proszę, pomóż mi.

Eliana odwróciła się do niego plecami i odeszła. Słyszała, jak za nią woła i błaga, by wróciła. Coś go zaatakowało; słyszała brzęczenie, jakby chmary owadów, a później tupot stóp i uderzenia pięści o ciało. Trzasnęła kość; wrzask Simona był ochrypły z bólu.

– Proszę, Eliano!

Zamknęła oczy i szła przed siebie, aż w jej butach zrobiły się dziury, a stopy pozostawiały czerwone odciski. To nie była prawda. Wiedziała o tym. Nic z tego nie było prawdą.

A jednak krzyki bólu Simona ścigały ją aż na koniec świata.

„Skrzywdzisz mnie, żeby ją odzyskać?”

Eliana otworzyła oczy i zobaczyła młodą kobietę patrzącą na nią gniewnie.

Była ubrana w czarny mundur z epoletami, jak pałacowi strażnicy, i miała skórę barwy miodowego brązu oraz policzki usiane piegami. Jej długi warkocz został ufarbowany na intensywnie szkarłatny kolor.

Jessamyn.

Wspomnienia wróciły szybko. Gładkość i ciepło skóry Jessamyn, gdy całowały się w szopie na obrzeżach Karlaine. Ulga, jaką przynosił jej dotyk, i spokój, który przyszedł potem – aż do ataku, niecałą godzinę później, gdy Remy omal nie stracił życia.

Eliana prędko się opanowała.

– Kiedy ostatnio cię widziałam – powiedziała, siadając – tłukłaś mnie pięściami. Byłyśmy w porcie w Festivalu.

– Pamiętam – odpowiedziała krótko Jessamyn. – Wstawaj.

– Dlaczego tu jesteś?

– Imperator przydzielił mnie, żebym cię eskortowała – padła obojętna odpowiedź. Jessamyn chwyciła Elianę za nadgarstek i szarpnęła mocno, by przyciągnąć ją na brzeg łóżka. – Życzy sobie twojej obecności na koncercie dzisiaj wieczorem.

Czyli ta Jessamyn była równie uparta jak tamta, którą znała Eliana.

Dwójka służących adatroksów zaprowadziła ją do łazienki. To były prześliczne kobiety, szarookie i nieme, jedna z gładką brązową skórą, druga niepokojąco blada. Ich białe szaty trzepotały wokół kostek, a na szyjach lśniły pozłacane obroże.

Kiedy czesały i nacierały olejkami pukle włosów sięgające teraz do ramion, Eliana uważnie obserwowała Jessamyn. Chociaż zatrzymała się w drzwiach łazienki, jak każdy strażnik, wydawała się niespokojna i zniecierpliwiona. Postukiwała jednym palcem o udo. Mocno zaciskała szczękę.

W zmęczonym umyśle Eliany pojawiła się pewna myśl. Niewiele wiedziała o mechanizmach czasu, ale mimo to się zastanawiała: czy to możliwe, że w tej Jessamyn pozostało coś z tamtej, którą znała? Jakiś element wspólny, który dałoby się znaleźć i wykorzystać, gdyby się tylko wiedziało, gdzie go szukać?

Eliana musiała ją skłonić do mówienia. Spojrzała na suknię czekającą na wieszaku.

– Czyli dzisiaj wieczorem ma być koncert?

– Nie znam planów imperatora – odparła Jessamyn. – A gdybym je znała, nie zdradziłabym ich tobie.

– Dlaczego przydzielił cię jako moją strażniczkę?

– Nie pytam imperatora o uzasadnienie jego rozkazów. Po prostu je wykonuję.

Służące pomogły Elianie wstać, a następnie wytarły ją miękkimi białymi ręcznikami i zaczęły ubierać w wymyślną bieliznę, która zwęzała jej talię.

– Nie jesteś ciekawa? – dopytywała się Eliana.

Jessamyn popatrzyła na nią obojętnie.

– Nie.

Służące założyły na Elianę wydekoltowaną suknię z czerwonego aksamitu. Przezroczyste rękawy ozdobiono brylantami, a na spódnicy błyszczała wierzchnia warstwa ze złotej organzy.

– Na twoim miejscu byłabym ciekawa – oznajmiła Eliana. – Jesteś uczennicą Invictus, prawda? Powinnaś być w terenie i wykonywać misje. Zajmowanie się moimi strojami, eskortowanie mnie na koncerty... Czy to nie jest trochę poniżej twojej godności?

Jessamyn rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie.

– On wybrał mnie, abym strzegła Jego dzieła. On wybrał mnie, abym podziwiała Jego chwałę. Jestem ostrzem przecinającym noc. Jestem strażniczką Jego historii.

Nabożny szacunek w głosie Jessamyn sprawił, że Elianę przeszedł dreszcz. Zamaskowała go wzruszeniem ramion.

– Skoro tak twierdzisz.

Do sukni dobrano biżuterię – dwa ciężkie złote pierścienie z płaskimi pękami gwiazd. Służące się pochyliły, aby wsunąć je na dłonie Eliany, a potem cofnęły się szybko na widok lśniących złotem łańcuszków form. Równe brwi kobiet lekko się zmarszczyły. Jedna otworzyła usta i wydała bezgłośny krzyk strachu.

– Zostawcie to – rozległ się szorstki rozkaz Jessamyn. Odsunęła służące i sama założyła pierścienie na palce Eliany.

– Kiedyś cię znałam – powiedziała Eliana, obserwując jej twarz w poszukiwaniu jakiegoś śladu kobiety, którą pamiętała. – Byłaś wtedy dla mnie życzliwa. Całowałaś się równie dobrze, jak walczyłaś.

Jessamyn cofnęła się o krok, żeby się jej przyjrzeć, i skrzywiła brwi.

– Zapomniały o kolczykach.

Eliana przełknęła ukłucie rozczarowania i opuściła wzrok. Jeśli Jessamyn poczuła jakieś zaciekawienie tak dziwną uwagą, nie zdradziła się z nim. Jej kamienna twarz była praktycznie zupełnie obca i dopiero w tym momencie, wraz z przypływem towarzyszącego rozpaczcy bólu, Eliana uświadomiła sobie, na co miała nadzieję.

Że jeśli uda jej się dotrzeć do Jessamyn, którą znała, to może uda się także dotrzeć do Simona.

– Powiedz mi – wyszeptała zdławionym głosem. – Jak długo tu jestem?

Jessamyn podniosła błyszczące kolczyki z leżącej na podłodze poduszki.

– Dwa miesiące.

Minęła chwila, zanim Eliana zdołała się znowu odezwać. Dwa miesiące to dłużej, niż szacowała. Spędziła osiem tygodni w koszmarnych snach zsyłanych przez Coriena i nadal nie była pewna, czy jej wizja Remy’ego – jego rzucające się ciało, jego okropne wrzaski – była prawdą czy kłamstwem.

Jej oczy wypełniły się łzami, więc zamrugała szybko, by się ich pozbyć. Nie użyła swoich form od tamtego dnia, gdy Simon przeniósł się z jednego końca jej sypialni na drugi. To był jej triumf. To było warte każdego poświęcenia.

Ale była już bardzo zmęczona tym poświęceniem.

„Zakończę to, Eliano”. Szept Coriena zabrzmiał w jej pamięci słodkim przypomnieniem. „Twoje obecne życie wraz z całym cierpieniem

i wszystkimi poświęceniami. Twój brat będzie bezpieczny. Będzie bardzo szczęśliwy, podobnie jak ty. Żywy i zdrowy. Bezpieczny. Potrafisz sobie wyobrazić poczucie bezpieczeństwa? Po raz pierwszy w swoim życiu”.

Eliana odetchnęła powoli, z drżeniem. Mocno przycisnęła dłonie do nóg.

– Skrzywdzisz mnie, żeby ją odzyskać? – zapytała szeptem.

Jessamyn, zakładająca jej kolczyki, nie odpowiedziała.

– Cały czas słyszę te słowa – podjęła Eliana. Otarła policzki, nie przejmując się różem. – Nie wiem, dlaczego je słyszę. Myślę, że ktoś próbuje mi coś powiedzieć, ale nie wiem, kto taki ani o co mu chodzi. „Skrzywdzisz mnie, żeby ją odzyskać?”. Co to znaczy? Czy to ostrzeżenie? Wiadomość?

Ich spojrzenia na chwilę się spotkały, a Eliana przyglądała się twarzy Jessamyn z desperacją będącą o włos od szaleństwa.

Cień emocji pojawił się na twarzy Jessamyn i szybko zniknął. Jej usta były zaciśnięte w wąską, poirytowaną kreskę.

– Może to wspomnienie – podsunęła. – Przy tylu aniołach w pobliżu zdarzają się zagubione myśli. – Uniosła obojętnie brew. – Proponuję, żebyś się nad tym dłużej nie zastanawiała. Imperator będzie niezadowolony z twojej nieuwagi.

Potem spojrzała na kogoś za plecami Eliany, przyklękła płynnym ruchem na jedno kolano i pochyliła głowę.

Eliana się odwróciła i zobaczyła Coriena stojącego na progu i obserwującego je z rozbawieniem. Miał na sobie koszulę z czarnego brokatu z wysokim kołnierzykiem, czarny aksamitny surdut i kamizelkę w kolorze krwi.

– Wyglądasz zjawiskowo – mruknął. – Gdybym przymknął oczy i wypił jeszcze kilka kieliszków, mógłbym chyba prawie udawać, że nią jesteś.

Podał jej rękę, ale Eliana odmówiła. Oczy ją piekły ze zmęczenia, lecz mimo to poczuła ciepło, ogarnięta nagłym spokojem.

„Skrzywdzisz mnie, żeby ją odzyskać?”

W końcu rozpoznała ten głos.

– Muszę zobaczyć Simona – oznajmiła. Rozprostowała palce; jej formy były zimne i ciemne.

Corien uśmiechnął się szeroko.

– Jak sobie życzy moja królowa.

Simon czekał na nich w bawialni w północnym skrzydle pałacu. Był ubrany w ciemny mundur galowy z kurtką sięgającą do kolan, zapiętą pod samą szyję i opinającą ciasno jego umięśnioną pierś. Stał przy oknie i patrzył w ciemność, a kiedy weszli, odwrócił się i skłonił głowę.

– Wasza Wysokość – rzekł gładko, spoglądając na imperatora. W ogóle nie patrzył na Elianę.

Jednak Eliana od momentu wejścia do tej komnaty nie potrafiła oderwać od niego wzroku.

– Wybacz, że musimy opóźnić koncert, Simonie – powiedział Corien, promieniujący milczącą, pełną satysfakcji energią. – Wiem, jak bardzo lubisz tego kompozytora. Ale nasza królowa zażądała spotkania z tobą i brzmiała bardzo poważnie. Nie mogłem jej odmówić.

Corien podszedł do karafki stojącej na stoliku, nalał sobie kieliszek czerwonego wina, uniósł go w geście toastu i ulokował się wygodnie na szeszlengu w kącie. Służący rozpałił niewielki ogień w kominku; w brązowym świetle w komnacie zakołysały się cienie.

Eliana stała przez chwilę w milczeniu, stężała z niepewności. Być może popełniła błąd, przychodząc tutaj. Nie mogła sobie pozwolić na uwolnienie choćby strzępu gniewu.

Było jednak coś, co musiała wiedzieć.

– Jestem sobą – wymamrotała, zaciskając i rozluźniając pięści po bokach. *Nie tutaj*, poleciła swoim formom. *Nigdy więcej*.

Simon obserwował ją bez słowa. Corien, rozłożony na szezlongu, uśmiechał się znad kieliszka.

– Rzeczywiście, czekałem na ten koncert – powiedział w końcu Simon z cieniem zniecierpliwienia w głosie. – Więc jeśli nie zamierzasz nic mówić...

– Zaraz powiem – odezwała się cicho Eliana. Ramiona miała sztywne. – Tamtej nocy w Karlaine. Zostaliśmy zaatakowani. Byli tam adatroksi, pełzacze, krucjusze.

– Tak.

– Ty i Remy tropiliście mnie, jak rozumiem, odkąd Harkan... – Imię Harkana uwięzło jej w gardle. – Odkąd Harkan odurzył mnie i zabrał z Dyrefalu. W dniu, gdy Imperium napadło Astavar.

– Tak.

Jego głos był głuchy, martwy i zimny. Eliana wbiła sobie paznokcie w dłonie. Simon nie był głupi. Na pewno wiedział, do czego zmierza, i doprowadzało ją do furii, że potrafi być tak spokojny. Do jeszcze większej furii doprowadzało ją to, że nie mogła sobie pozwolić na furie.

Zmusiła swój głos, żeby brzmiał pewnie.

– Tamtego dnia Remy został postrzelony. Postrzelony w brzuch. Umarł, ale ja go uleczyłam.

– Tak.

– „Uratuj go albo patrz, jak umiera”. Tak mi powiedziałaś. – Eliana poczuła kwaśność w ustach na to wspomnienie. – Przytulałeś mnie. Zapewniałeś, że mnie nie puścisz.

Cisza. Nie przestąpił nawet z nogi na nogę. Był jak martwy obraz obserwujący, jak ona się rozsypuje.

Eliana wydusiła kolejne słowa.

– Pozwoliłam, żebyś mnie pieprzył.

Leciutki uśmiech pojawił się w kącikach ust Simona.

– Dziękuję ci za to. Potrzebowałem tego.

Jego słowa były jak cios, a jej żołądek się skręcił, gdy to usłyszała, ale stała wyprostowana. Jej dłonie rozgrzały się; ledwie to zauważyła.

– Cały czas słyszę coś w głowie – wycedziła przez zęby. – Początkowo nie rozpoznawałam głosu. Był zniekształcony, odległy, a mój umysł jest wyczerpany. Ale teraz wiem, że to głos Remy’ego. Słyszę go od... – Zawahała się. W jej głowie dni zamieniały się w tygodnie i w godziny. Nie wiedziała, jak długo słyszy ten głos. – Nie wiem, dlaczego tak się dzieje – stwierdziła w końcu. – Ale tuziny razy słyszałam, jak Remy powtarza to samo pytanie. „Skrzywdzisz mnie, żeby ją odzyskać?”. – Przyglądała się każdej bliźnie na twarzy Simona, krzywiźnie jego dolnej wargi, kanciastemu zarysowi szczęki. Kropla potu spłynęła jej po szyi. Wyobrażała sobie, jak uderza go pięścią z ognia, i zastanawiała się, co zdradziłaby jego twarz, gdyby płonął. – „Odzyskać ją” – wyszeptała. – Odzyskać mnie. Ponieważ Harkan mnie zabrał. Nie zastanawiałam się, dlaczego zabrałeś Remy’ego, gdy wyruszyłeś, żeby mnie znaleźć. Myślałam, że mnie kochasz. Chciałeś, żebym była z bratem, ponieważ to by mnie uszczęśliwiło. – Eliana zbliżała się do niego powoli. Ciężki tren jej sukni ciągnął się po podłodze. – Teraz już rozumiem. Teraz wiem, że nigdy mnie nie kochałeś. Każdy twój dotyk był kłamstwem. Dlaczego więc ciągnąłeś ze sobą mojego młodszego brata, chociaż mógłbyś podróżować szybciej bez niego?

Simon patrzył, jak Eliana się zbliża, a jego twarz nadal przypominała płaskorzeźbę.

– Ponieważ rozpaczliwie ci zależało na tym, by moje moce się przebudziły – odpowiedziała samej sobie. – Chciałeś zobaczyć coś więcej niż przypadkowo przyzywane płomienie i statki zatopione przez burzę. Chciałeś zobaczyć moje prawdziwe moce, żeby przebudzić własne, i wiedziałeś, że najlepiej będzie wymusić je ode mnie strachem. – Zatrzymała się trzy kroki od niego. Odległy ryk gniewu huczał jej w uszach. Jej ciało bolało z napięcia. – Ty go postrzeliłeś.

Uśmieszek Simona powrócił. Jego oczy zalśniły wilczo.

– Tak. Strzeliłem mu prosto w brzuch.

Z okropnym, ostrym krzykiem Eliana skoczyła na niego; pięść miała podniesioną do ataku. Simon poderwał się, żeby zablokować jej uderzenie własnym. Jego pięść trafiła ją w ramię, a druga zadała mocny cios w żołądek. Dawniej Eliana błyskawicznie by się po czymś takim otrząsnęła, ale tygodnie na morzu, a potem tygodnie w więzieniu umysłu Coriena sprawiły, że była chuda i słaba.

Zachwiała się pod tym uderzeniem i zaczerpnęła gwałtownie powietrza, lecz rozgrzane do białości ostrza furii przeszywające kręgosłup nie pozwoliły jej się zatrzymać. Skoczyła na Simona, atakując wściekłymi ciosami i kopniakami, ochrypla od krzyku. Przytrzymał ją w ramionach; dźgnęła go łokciem w żebra, po czym odwróciła się i trafiła go w szczękę silnym ciosem. Stracił równowagę, a wtedy kopnęła go w krocze.

Kiedy się pochylił, obróciła się błyskawicznie, chwyciła ze stołu wazę i roztrzaskała mu ją na głowie. Zachwiał się, a gdy go kopnęła, przeleciał przez całą komnatę i uderzył o przeciwległą ścianę. Kilka obrazów spadło na ziemię; Simon osunął się obok nich z twarzą zalaną krwią. Po jego lewej stronie pulsował kominek.

Eliana usiadła nagle na dywanie. Wściekłość nie wypuszczała jej ze swojego uścisku, zabarwiając jej wizję czerwienią i czernią. Okna

trzeszczały we framugach. Na kominku świece zamieniły się w lśniące włócznie z ognia. Daleko w mieście wysmukła biała wieża zakołysała się i zawaliła. Do pałacu dobiegały odległe odgłosy paniki.

Nie tutaj. Eliana skuliła się w mały kłębek na podłodze, przyciskając do piersi stulone dłonie.

Nie tutaj, nie tutaj. Była sobą. Była dziewczyną, dzieckiem, niemowlęciem.

Nie tutaj, już nigdy. Była czysta i biała. Miękka i spowita kokonem, jej moce stały się cichym szeptem. Nie była rozgniewana. Nie była przestraszona. Nie będzie rozpaczać.

Nasłuchiwała, jak pałac drży, a po jej policzkach spływały gorące łzy wstydu. Tak długo opierała się pokusie oddania Corienowi choćby cząstki siebie, trzymała swoje moce zaryglowane i ciche – aż do dzisiaj. Czy to Corien zaszczerpił głos Remy’ego w jej umyśle z nadzieją, że ją sprowokuje? Czy może to wspomnienie pochodziło od kogoś innego?

Podniosła głowę i zobaczyła Simona; wstawał i podnosił ramiona, by sięgnąć po nici. Słabe światełka lśniły na czubkach jego palców tylko przez moment, zanim komnata znowu pociemniała.

Eliana zamknęła oczy, a formy w jej zaciśniętych pięściach zgasły. Gdy się uśmiechnęła, poczuła smak soli.

Wtedy rozległ się znajomy ryk wściekłości, a potem brzęk tłuczonego szkła. Ktoś chwycił ją za włosy i siłą postawił na nogi. W jej głowie pojawiła się twarz Remy’ego, wynędzniała i zakrwawiona. Jedno oko miał niebieskie, a drugie czerwone od okrutnych ciosów i otoczone siniakami. Chciała wyciągnąć do niego ręce, ale nie zrobiła tego. Zamknęła oczy, walczyła z pokusą podążenia za jego najdroższym głosem szepczącym jej imię.

To nie było prawdziwe. Po prostu żyła w koszmarnej śnie.

– Skrzywdzę go znowu – syknął jej do ucha Corien. Jego oddech cuchnął winem. – A później jeszcze raz, i jeszcze raz. Pokazywałem ci piękno. Od wielu tygodni obiecuję ci spokój, a co dostaję w zamian? Ty przekłeta idiotko. Prowadzisz wojnę, której nie możesz wygrać, i wiesz o tym. Skrzywdzę go na twoich oczach, tak jak wcześniej. Tak, to się działo naprawdę i zdarzy się znowu. Będę go zalewać agonią, aż się załamiesz. Czy tego właśnie chcesz?

Ciągnął ją za sobą, trzymając pod pachami. Eliana próbowała z nim walczyć, ale jego umysł zapanował nad nią i zmusił, żeby szła. Czuła mdłości ze strachu, gdy jej nogi poruszały się wbrew jej woli.

– Chcę obejrzeć koncert – wykrztusiła.

– O nie, moja śliczna – odparł Corien ze śmiechem. – Za późno na przyjemności. Wycofuję się z mojej oferty zapewnienia ci spokojnego życia.

Kiedy szli przez pałac, Eliana widziała tylko rozmyte kolory. Jej stopy kierowane przez Coriena były niezgrabne. Gdy oprzytomniała, mrugając szybko oczami, stała na tarasie oświetlonym przez pochodnie. Wiatr wył, a szybkie spojrzenie wokół powiedziało jej, że znajdują się na jednym z najwyższych pięter pałacu. Po bokach tarasu wznosiły się dwie białe strażnice, a Elianie zrobiło się zimno ze zgrozy, gdy zobaczyła Remy'ego zwisającego z jednej z nich. Anielski strażnik trzymał go za kołnierz. Jego twarz, zakrwawioną i z zapadniętymi policzkami, okalały równo przycięte ciemne włosy.

Na drugiej wieży...

Eliana wpatrywała się w mężczyznę wiszącego w powietrzu tak samo jak Remy. Znała jego twarz, ale jej umysł odmawiał zaakceptowania, co to może oznaczać.

– Ojczy? – wyszeptała. Ręce miała jak z lodu.

Ioseph Ferracora patrzył na nią z góry, z twarzą mokrą od łez, a jego oczy nie były już czarne. Stały się błękitne jak oczy Remy'ego. Jego kwadratowy podbródek wysuwał się uparcie jak u Remy'ego.

– Och tak, miałem ci o tym powiedzieć – odezwał się pogodnie Corien. – Twój ojciec... O przepraszam, mężczyzna, który cię wychowywał. Wiemy przecież, kto jest twoim prawdziwym ojcem... Nie zginął w bitwie w Zatoce Arxara, tak jak mogłaś przypuszczać. Żył jeszcze, gdy znalazł go admirał Ravikant. A ponieważ Ravikant jest jednym z najbardziej utalentowanych i najsilniejszych spośród nas, był w stanie zająć umysł twojego ojca, nie pozbawiając go życia. Oczywiście admirał był tak uprzejmy i opuścił go, żeby umożliwić to dzisiejsze spotkanie. – Corien czule dotknął policzka Eliany. – Czyż to nie szczęśliwa wiadomość? Ioseph Ferracora mimo wszystko żyje!

Eliana nie była w stanie się odezwać. Jej wzrok przykleił się do twarzy ojca i nie chciał drgnąć. Nie potrafiła przestać myśleć o wizji zesłanej przez Coriena – Remy, Simon, Ioseph i ona, szczęśliwi i roześmiani w pełnym słońca domu. Wróciły także wszystkie wspomnienia z jej dzieciństwa: Ioseph idący na wojnę; tańczący z Rozen w kuchni, trzymający małą Elianę na kolanach po konkursie na Słoneczną Królową. Oboje błyszczeli od złotego pudru i oglądali wschód słońca spod górującego nad nimi posągu Świetlistego.

Świat obracał się powoli; zaraz miało się stać coś strasznego, a Eliana nie mogła tego powstrzymać. Zaciśnęła dłonie w pięści. Nie była pewna, czy jeśli jej formy znowu się przebudzą, tym razem zdoła zatrzymać powódź swojej mocy.

Ioseph potrząsnął głową.

– Nie słuchaj go, malutka. Niech tak będzie. – Jego głos drżał. Łzy spływały po policzkach na brodę nienagannie przystrzyganą przez admirała

Ravikanta. – Niech tak będzie.

– Czy to nie szczęśliwa wiadomość? – ryknął Corien. Potrzęsnał mocno Elianę. – Odpowiedz!

Wyrwał się jej szloch.

– Tak. Tak!

– Zmęczyło mnie czekanie, aż nabierzesz rozsądku, Eliano – powiedział żarliwie tuż przy jej policzku. – Oferowanie ci przyjemności, obiecywanie spokoju ducha. Koniec z tym. Jeśli nie można cię przekonać argumentami, będę zmuszony cię złamać. – Corien ruchem głowy wskazał wieżę Iosepha. – Uratuj mężczyznę, który znalazł cię na ulicy, karmił i strzegł cię, aż musiał wyruszyć na rozpoczętą przeze mnie wojnę, gdzie jego ciało zostało mu odebrane i wykorzystane jako marionetka. – Obrócił brutalnie Elianę, zmuszając, by popatrzyła teraz na wieżę Remy’ego. – Albo uratuj swojego niewinnego młodszego brata, który nawet teraz nie obwinia cię za wszystkie nieszczęścia, jakie na niego spadły z twojego powodu. Spróbuj ocalić ich obu, a ja rozsadzę ich czaszki na kawałki od środka, zanim jeszcze dotkną ziemi.

Potem, zanim Eliana zdążyła zaczerpnąć powietrza, żeby zacząć go błagać, strażnicy puścili Iosepha i Remy’ego, a ich ciała runęły w ciemność.

Tal

Merovec znalazł martwego Archona przy drzwiach Domu Światła. Twierdzi, że Archon odebrał sobie życie, ale nie pozwolił nam zbadać ciała. Przez ostatnie dni Archon błagał Meroveca o zaprzestanie przesłuchań magów żywiołów. Był jedyną osobą z Rady Mistrzów, którą Merovec wpuszczał do Baingarde; teraz nie mamy już żadnego sprzymierzeńca w zamku. W mieście panuje wzburzenie. Ludzie lojalni Merovecowi rabują świątynie, rozbierając je kawałek po kawałku. Wierni są zrozpaczeni, lecz nie mają dokąd się udać. Pogłoski o Czerwonej Koronie dotarły do Meroveca, który osobiście wpada do podejrzanych domów wraz z oddziałem żołnierzy, żeby przeszukiwać piwnice i przesłuchiwać mieszkańców. Zupełnie jakby sądził, że ukrywamy Rielle gdzieś na strychu. My z Czerwonej Korony powtarzamy to sobie, gdy potrzebujemy odwagi: dla korony i dla kraju będziemy chronić prawdziwe światło.

– z zaszyfrowanego listu Miren Ballastier, Wielkiej Mistrzynie
Kuźni, do wygnanego króla Audrica Courverie, 3 grudnia 999
roku Drugiej Ery

Tal dotarł do zakrętu górskiej ścieżki i zatrzymał się, żeby złapać oddech.

Przed nim rozciągało się morze czerwonych skał – wąwozy i góry południowo-wschodniej Vindiki. Był to kraj, który dawniej należał do aniołów, a teraz mógł się szczycić tylko pustym, surowym pięknem, jakby został zapomniany przez samo empirium. Ruiny miast, porzucone na

pastwę czasu, zamieszkiwali tylko szabrownicy i włóczędzy. Od czasu do czasu pojawiał się wśród nich samotny akolita na pielgrzymce.

Ze swojego miejsca na ścieżce Tal przyjrzał się horyzontowi, otaczającym go górom i ciemniejącemu niebu w kolorze barwinka. Chociaż głowę i szyję miał owiniętą długim i grubym szalem, wargi go piekły, a w gardle czuł suchość. Gorące pustynne wiatry były niezmordowane.

W jego głowie zabrzmiał nagle spanikowany głos Ludivine – to odczucie nadal było dla Tala okropne i godził się na nie tylko dlatego, że już dawno temu uświadomił sobie, iż na własną rękę nie zdoła znaleźć Rielle. Nie był dostatecznie potężny. Jego umysł był tępy, pozbawiony wyobraźni. Zawsze tak było. Tylko istotny dar magii żywiołu oraz bezwzględne poświęcenie się nauce zapewniły mu pozycję Wielkiego Mistrza.

Ta prawda od zawsze go dręczyła. Teraz, gdy od tygodni wędrował w samotności, nie dawała mu spokoju ani na chwilę, sprawiając, że pogrążał się w ponurym, niestabilnym nastroju.

Nie widzę jej. Myśli Ludivine uczepliły się go gorączkowo, jak tonący chwyta się ratownika. *Coś się stało. Nie widzę jej teraz.*

Tal nienawidził myślomowy. Nienawidził. Wydawała się czymś bluźnierczym i sprawiała, że miał ochotę wykapać się we wrzątku.

Czy coś jej się stało? Stał sztywno na szorstkiej trawie i wpatrywał się w południowy horyzont, na którym cienką czarną linią rysowało się Morze Namuriańskie, zaś dalej leżała Patria. *Czy ona nie żyje?*

Dotarł do niego zmęczony śmiech Ludivine. *Czy sądzisz, że gdyby Rielle umarła, świat pozostawałby całkowicie niewzruszony?*

W takim razie gdzie ona jest?

Nie wiem. Nie wiem! Jest tak daleko ode mnie. Tak daleko i tak bardzo przestraszona, Talu. Przez tę nienaturalną więź, którą Ludivine ustanowiła

z jego umysłem, dobiegło go szlochanie. *On ją przede mną ukrywa. Musisz ją znaleźć.*

Tal roześmiał się krótko z goryczą. Desperacja dodawała mu sił od tygodni; prawie nie zatrzymywał się na odpoczynek, prac przez burze śnieżne i piaskowe. Wędrował krętym szlakiem posplatany z gorączkowych szeptów Ludivine oraz informacji, które udawało się mu zdobyć, gdy odważał się zatrzymać w gospodach, zajazdach lub obozowiskach nomadów i wędrownych poszukiwaczy skarbów.

Od tygodni prawie nie spał, a jego sny i myśli wypełniała Rielle. Prześladował go jej obraz z tamtej okropnej nocy w Tavistère. Ich wzrok się spotkał; Corien drwił z niego. „Za późno, Talu”.

Ta desperacja, wspomnienie jej przestraszonej twarzy w deszczu pchały go przed siebie przez całe tygodnie i sprawiały, że ignorował bolące mięśnie, pęcherze na nogach, klucie głodu w żołądku.

Teraz jednak ta siła opuściła go całkowicie, jakby ktoś wyciągnął z niego wszystkie kości. Tal osunął się na ziemię i siedział bez ruchu w wietrze plującym bezustannie czerwonym piaskiem.

„Za późno, Talu”. Roześmiał się, sięgnął pod szal i potarł twarz brudnymi dłońmi. *Tak właśnie powiedział mi tamtej nocy. Najwidoczniej miał rację.*

Głos Ludivine był śmiertelnie poważny. Oczami duszy Tal widział ją siedzącą w fotelu wśród zieleni, ze sztywnymi ramionami i dłońmi splecionymi ciasno na kolanach.

Musisz ją znaleźć, Talu, pomyślała do niego. Skoro ja jej nie widzę, musisz dokonać tego sam.

– Jak sądzisz, co próbuję zrobić? – zapytał przez zaciśnięte zęby. Nie chciał dłużej używać myśłomowy.

Nie mogę zostawić Audrica. On potrzebuje mojej pomocy, a świat potrzebuje jego na tronie.

– Nie prosiłem, żebyś zostawiła Audrica. – Tal podniósł się ciężko. Ten prosty ruch zmęczył go tak, że miał ochotę znowu się położyć i pozwolić, by przysypał go piasek. Zobaczył jednak oddaloną o jakieś dwa kilometry jaskinię, gdzie będzie mógł przespać noc. – Przeszukam cały świat, żeby ją znaleźć – wymamrotał. – Ja, zwykły i prosty dzierżyciel ognia, odszukam dwójkę najpotężniejszych istot, jakie kiedykolwiek żyły. Anioła i boską królową. Zaś kiedy ich znajdę, ona z pewnością mnie posłucha. Nie uważasz? Tak jak zawsze. Ani razu mi się nie sprzeciwiła.

Po chwili Ludivine odezwała się cicho: *Brzmisz odrobinę histerycznie, Talu. Powinieneś odpocząć.*

Gdyby tylko była tutaj przy nim i mógł ją spoliczkować.

– Powinienem odpocząć. A wiesz, nie przyszło mi to do głowy. Dziękuję.

Nie przydasz się jej wyczerpany.

Cisnął w swoje myśli całą gwałtowną siłę frustracji.

Ty się jej nie przydałaś nawet w najlepszym stanie.

Wycofała się, a Tal przeszedł jeszcze kilometr, zanim się znowu odezwała.

Masz rację. Jej głos brzmiał słabo. Całkowicie ją zawiodłam. Zawiodłam was wszystkich.

Jej rozpacz była szczerą. Nawet odległe echo falujące w umyśle Tala sprawiało, że piekły go oczy. Przez moment zastanawiał się, czy nie posłać jej pocieszającej myśli, chociaż na to nie zasługiwała.

Coś jednak odwróciło jego uwagę – błysk światła kilkaset metrów dalej, w dole zbocza. Zalśniło na dwie sekundy, zamigotało, pojaśniało, a potem zniknęło.

Tal zamarł, a jego przegrzaną skórę zmroził zimny dreszcz. Słońce przygasło, otaczające go skały lśniły teraz upiornym czerwonym poblaskiem. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo jest samotny i bezbronny.

Wsunął dłoń do kieszeni zeszywniałego od piasku płaszcza. Zacisnął palce na sztylcie. Sięgnął mocą do tarczy na plecach i poczuł jej echo wibrujące mu w żebrach.

Co się dzieje?, zapytała Ludivine.

Na pewno nic dobrego, odparł Tal. *Zostaw mnie. Rozpraszasz mnie, a jesteś za daleko, żeby pomóc.*

Wyczuł jej wahanie.

Powiedz mi, co znalazłeś, poprosiła w końcu.

A jeśli znajdę śmierć?

Jej głos był zdławiony żalem. *Przykro mi, Talu.*

Jej zniknięciu z jego umysłu towarzyszyło ledwie odczuwalne wrażenie zmiany.

Tal przycisnął się plecami do skały i zaczął się posuwać powoli w dół górskiej ścieżki, która zwężała się do wąskiego przesmyku między dwiema wysokimi ścianami.

U wylotu przesmyku zatrzymał się, wstrzymując oddech, ponieważ za skalnymi ścianami, gdzie ścieżka znowu się rozszerzała, teren obniżał się gwałtownie, a dalej znajdowała się niewielka płaska płyta skalna otoczona skupiskami głazów.

Nad tą płytą pojawił się krąg światła – początkowo mały i słaby, rozrósł się szybko i pojaśniał. W jego wnętrzu poruszała się ciemność. Zapadała noc, pozostała już tylko ledwie widoczna czerwonawa łuna zachodu.

Tal słyszał w uszach własny dudniący puls.

Nie wiedział, kim są ci ludzie. Ale przynajmniej jedno spośród nich było Naznaczonym – a Rielle podróżowała w towarzystwie kogoś takiego.

Rozglądał się w ciemności. Jeśli ona tu była, musiał działać szybko. Jeśli jej nie było, nie będzie chyba w stanie tego znieść.

– To trwało o wiele za długo – powiedziała jedna z osób w dole. Głos był męski, szorstki i odrobinę znajomy. – To trzęsienie ziemi...

– Próbowano mnie zabić, ale bezskutecznie – warknęła druga osoba. Kobieta, jak uznał Tal. Zrzuciła z głowy kaptur i przeczesła dłońmi długie rozpuszczone jasne włosy. – Cały świat oszalał, Garverze. Sam świat i wszyscy zamieszkujący go ludzie.

Kolana Tala zadrżały z ulgi, chociaż towarzyszyła jej nowa fala rozpacz. Żadna z tych osób nie była Naznaczoną towarzyszącą Rielle. Przycisnął czoło do kamiennej ściany nadal cieplej od słońca. Położył dłonie na skale i zaczął się modlić.

Zwinny płomieniu, nie buchaj z wściekłością, bez opamiętania.

Płoń spokojnie i pewnie, płoń czysto i jasno.

Kiedy jego myśli zaczęły się uspokajać, Tal uświadomił sobie, że zna to imię, o ile chodziło o tę samą osobę. Garver Randell był uzdrowicielem i aptekarzem, którego zarówno Audric, jak i Rielle cenili wyżej od królewskich uzdrowicieli w pałacu, ku ogromnemu oburzeniu tych ostatnich. Rielle mówiła, że Garver miał syna. Ośmioletniego chłopca imieniem Simon.

– Co z Avurą? – usłyszał z dołu pytanie Garvera.

– Zniszczona – odpowiedziała jego towarzyszka. – Te wstrząsy sprawiły, że zawaliło się wszystko, nawet przeklęte góry.

Tal słuchał, oszołomiony. Avura była jednym z największych miast po zachodniej stronie Gór Maktari, które rozciągały się na linii północ-południe przez całą zachodnią Vindicę.

Tal był tam zaledwie cztery dni temu, podążał za nieregularnym szlakiem podróży Rielle. Populacja liczyła setki tysięcy ludzi,

a w kronikach historycznych nie odnotowano ani jednego trzęsienia ziemi w tym regionie. Na pewno nie na tyle potężnego, by zniszczyć tak duże miasto.

Brama upadnie. Działo się tak, jak przepowiadał Aryava.

Narodzą się dwie Królowe: jedna z krwi, druga ze światła.

Od lat się modlił, by Rielle okazała się Słoneczną Królową. Modlił się tak żarliwie i tak często, że uwierzył w to z całego serca – że ona jest dobra i nie może zbłądzić ani zostać zdeprawowana. Że jeśli Tal będzie ją sumiennie uczył, jeśli będzie się za nią modlił z dostatecznym przekonaniem, ona stanie się dzięki temu osobą, która ich ocali.

Ale to wszystko nie wystarczyło. Zawiódł ją. Zawiódł wszystkich. Był nie lepszy od Ludivine, niezdolny ochronić tego, co najważniejsze, a teraz Rielle była stracona. Okazała się mimo wszystko Krwawą Królową. Wielu nazywało ją Królobójczynią.

Tylko że Tal nie potrafił w to uwierzyć, nawet po tym wszystkim, co się stało. Nie Rielle. Uczył ją przez lata, patrzył, jak rozkwita w niej odwaga. Owszem, była potężna, ale także dobra. Wiedziała, co jest słuszne, i zawsze starała się postępować właściwie. Próbował ją sobie wyobrazić jako żądną krwi królową w ramionach anioła i nie chciał w to wierzyć, nawet gdy umysł podsuwał mu odpowiednie obrazy.

– Zwinny płomieniu – wyszeptał z dłońmi drżącymi na nagrzonej słońcem skale – nie buchaj z wściekłością, bez opamiętania. Płoń spokojnie i pewnie, płoń czysto i jasno.

Przez zamknięte powieki zobaczył światło. Powietrze wokół się poruszyło.

Tal odwrócił się i otworzył oczy w momencie, gdy światło przygasło. Silne ręce chwyciły go za ramiona; zimne ostrze dotknęło jego gardła.

– On ma formę – powiedziała osoba, która go przytrzymała. To była kobieta, którą widział, a jej głos stał się ostry. – Tarczę na plecach. Spróbuj wezwać swoje moce, magu żywiołu – dodała cicho – a wbiję ci ten sztylet w gardło.

– W tych skałach nie ma ognia – odparł ze znużeniem. – Jesteś bezpieczna, Naznaczona.

Słaby poblask słońca pozostały na zachodnim horyzoncie dawał na tyle światła, żeby Tal mógł dostrzec mężczyznę przykładającego mu nóż do gardła. Miał siwiejące brązowe włosy i ogorzałą skórę, rzadką brodę i przenikliwe niebieskie oczy.

Mężczyzna zmrużył powieki, a potem drugą ręką zerwał Talowi z głowy szal.

– Znam cię – stwierdził, przyglądając się jego twarzy. – Taliesin Belounnon. Wielki Mistrz Stosu w stolicy.

– Ty zaś jesteś Garver Randell – domyślił się Tal. – Uzdrowiciel prawowitego króla Celdarii.

Po chwili Garver uśmiechnął się ponuro.

– Prawowitego króla – przyznał i opuścił nóż.

Kobieta wypuściła Tala i zaczęła krążyć wokół i mierzyć go gniewnym wzrokiem. Miała skórę tak samo jasną jak włosy. Jej oczy były jeszcze bardziej przenikliwe niż Garvera, a sylwetka koścista i wyprostowana.

– Co ty tu robisz, na litość boską? – zapytała.

– Modłę się – odrzekł głucho Tal.

– Tak, a my usłyszeliśmy cię aż tam w dole. Powinieneś bardziej uważać w przyszłości. Co byś zrobił, gdybym chciała cię zabić?

– Annick – ostrzegł ją Garver.

– Chcesz mnie zabić? – zapytał Tal.

– Nie w tej chwili – odpowiedziała Annick. – Ale to się może z łatwością zmienić. Odpowiedz mi, milordzie. – Jej wargi wykrzywiły się, gdy to słowo je opuściło. Tal nie obwiniął jej; podczas wojen anielskich, gdy lęk przed Naznaczonymi osiągnął rozmiary paniki, Kościół odegrał kluczową rolę w ich zagładzie. Wszyscy, którzy ocaleli z masakry, musieli się od tamtej pory ukrywać. – Od tygodni śledzimy Naznaczonego – ciągnęła Annick – z nadzieją, że znajdziemy sprzymierzeńca w tych mrocznych, niepewnych czasach. Kimkolwiek jest ta osoba, jest szybka i silna, więc trudno nam dotrzymywać jej kroku. Teraz zgubiliśmy ślad i tego samego dnia znajdujemy ciebie, Wielkiego Mistrza Kościoła celdaryjskiego, na pustkowiach ziem anielskich. Czy masz jakieś wyjaśnienie tak niezwykłego zbiegu okoliczności?

Tal przyjrzał się uważnie Annick, której twarz zbyt starannie niczego nie wyrażała, by mógł jej zaufać. Następnie spojrzał na Garvera.

– Ja także tropię Naznaczonego – powiedział. – Idę za nim od Tavistère. Potem byłem w Terenash, na Wyżynie Gormar i w Zhiracie. Zaledwie cztery dni temu minąłem Avurę. Czy wy poruszaliście się podobną trasą?

Annick milczała jak grób. Garver przyglądał się Talowi ze zmarszczonymi brwiami.

Tal naciskał gorączkowo.

– Jeśli mogę wam jakoś pomóc w odnalezieniu tego tropu, powiedzcie mi. Muszę znaleźć tę osobę.

– Dlaczego mielibyśmy ci pomagać w znalezieniu Naznaczonego? – Annick skrzyżowała ramiona na piersi. – Jesteś z Kościoła. W tym miejscu w pojedynkę reprezentujesz Kościół.

– Nie było mnie na świecie w czasach Czystki! Powinnaś kierować te zarzuty do moich poprzedników.

– A czy ty zrobiłeś w swoim życiu coś, aby zadośćuczynić za ich zbrodnie? – zapytała Annick z błyszczącymi oczami. – Nalegałeś na innych mistrzów, by zrewidowali prawa i pozwolili mi pokazywać skrzydła na moich plecach i żyć swobodnie, a nie ukrywać się w jaskini na pustkowiu?

Garver ścisnął palcami grzbiet nosa.

– Annick...

– Nie, nie zrobiłem – przyznał Tal.

– Więc nie udawaj niewinnego – warknęła Annick. – Masz na rękach moją krew.

– Tak, rozumiem, oczywiście masz rację – rzekł szybko Tal. – Jeśli przeżyję niebezpieczeństwo grożące światu, przysięgam ci, że zwołam Radę Mistrzów i zażądam zrewidowania doktryn i kodeksów. Ale najpierw musimy przeżyć. Muszę znaleźć Naznaczonego, którego szukacie, a wy możecie mi pomóc odszukać tę osobę znacznie skuteczniej, niż mógłbym to zrobić w pojedynkę. – Zawahał się, lecz uznał, że to, co chce powiedzieć, jest warte podjęcia ryzyka. – Sądzę, że poszukujecie tej osoby z tego samego powodu co ja. Nie po to, żeby znaleźć sprzymierzeńca, ale żeby znaleźć Rielle.

Cisza, która zapadła, wibrowała napięciem. Twarz Annick była nieprzenikniona.

Jednak Garver uległ.

– W noc królewskiego ślubu wyczułem Naznaczonego w pobliżu miasta. To było szokujące, ponieważ wiedziałem tylko o dwóch takich osobach w stolicy, a sam byłem jedną z nich. To był ktoś nowy, niezwykle potężny, znacznie silniejszy ode mnie. Później królowa Rielle zniknęła, a Naznaczony wraz z nią.

– Od tamtej pory ich szukasz? – zapytał Tal.

– Z pomocą i znacznie wolniej, niżbym chciał. – Spojrzał na Annick. – Niewielu Naznaczonych może współcześnie pokonywać takie odległości w pojedynkę. Ta osoba, która jest z królową, musi mieć naprawdę wyjątkowe moce.

– A gdy już znajdziecie tego Naznaczonego i królową Rielle – spytał Tal – co właściwie zamierzacie zrobić?

Zanim Garver zdążył odpowiedzieć, Annick się roześmiała.

– Jeszcze do tego nie doszedł – prychnęła. – Wyliczałam mu wszystkie powody, dla których nie powinien robić czegoś tak ryzykownego, a to znalazło się na pierwszym miejscu listy. Nie ma żadnego planu.

Garver się zjeżył.

– Nie mogłem czekać bezczynnie.

– Nie, i dlatego bez ostrzeżenia pojawiłeś się wprost w mojej sypialni, wepchnąłeś mi naszego syna, nie licząc się z uczuciami mojej biednej, zszokowanej żony, a potem poszedłeś włóczyć się po świecie za aniołem, bez żadnego planu poza tym, że będziesz mnie ciągnąć ze sobą.

– Mogę wam pomóc – oświadczył z naciskiem Tal. – Jeśli znajdziemy tego Naznaczonego, znajdziemy Rielle. A jeśli uda mi się znaleźć Rielle... – Poczuł gulę w gardle; sprawiła, że jego głos się załamał. – Jeśli uda mi się ją znaleźć, uwolnię ją od niego. Sprowadzę ją do domu, do Celdarii, gdzie jej miejsce. Dopiero wtedy będziemy bezpieczni. Jeśli nam się to nie uda, obawiam się, że stracimy ją na zawsze, a świat upadnie, jak przepowiadał Aryava.

– A jeśli królowa Rielle nie chce się od niego uwolnić? – zapytał cicho Garver. – A jeśli odeszła z własnej woli? Czy dysponujesz czymś, co mogłoby ją przekonać, żeby go zostawiła?

– Kocham ją. – Te zdławione słowa wyrwały się Talowi. – Kocham ją, a ona kocha mnie. Nauczyłem ją wszystkiego, co wie. Chroniłem ją przez

całe życie.

– I widać, jak świetnie ci poszło – wymamrotała Annick.

– Annick! – skarcił ją Garver.

– Znam ją. Naprawdę znam. – Tal patrzył na nich, modląc się, żeby mu uwierzyli. – Mogę do niej dotrzeć. Wiem, że to możliwe. Muszę tylko z nią porozmawiać. Jeśli mnie wysłucha, oprzytomnieje. Jeśli będę mógł jej dotknąć, przytulić ją, przypomni sobie dom. Jeśli będzie musiała, uwolni się siłą.

Po dłuższej chwili Garver spojrzał na Annick. Nic nie powiedziała, skinęła tylko krótko głową z poważnym wyrazem twarzy.

– Niech będzie, milordzie – zdecydował Garver. – Możemy podróżować razem. Odpocznijemy do świtu i wyruszymy o brzasku.

Tal nie odpowiedział; jego zmęczenie i ulga były zbyt wielkie, by ubrać je w słowa. Rozbił prosty obóz na skalnej płycie, po czym usiadł na kamieniach pod niebem przypominającym czarną rozwartą paszczę pełną gwiazd. Rękę wsunął w uchwyt swojej tarczy, która przykrywała mu pierś jak lśniąca skorupa.

Z drugiej strony Garver usiadł ciężko i ukrył twarz w dłoniach. Annick ulokowała się obok niego, spoglądając w ciemność.

– Nie podoba mi się, że jestem tak daleko od Simona – odezwał się ponuro Garver po dłuższej chwili. – On jest bardzo wrażliwy, chociaż stara się z tym walczyć. Będzie się martwił.

– Quinlan się nim opiekuje – odparła Annick. – Ona ma wpływowych przyjaciół. Będą bezpieczni.

– Twoja żona jest dla ciebie o wiele za dobra.

– To prawda – przyznała Annick i dodała z uśmiechem w głosie: – Wiesz, w takich chwilach prawie żałuję, że przestaliśmy się kochać.

– W takich chwilach żałuję, że nie jestem całkowicie pozbawiony mocy, bo mógłbym wtedy wysłać cię w diabły, żebyś ratowała świat, i siedzieć w domu z moim synem.

– Naszym synem, ty draniu – odpowiedziała czule Annick i pocałowała Garvera w nos.

Tal słuchał ich przyciszonej rozmowy, aż powieki zaczęły mu się zamykać. Po raz pierwszy od opuszczenia Celdarii zasnął z płomieniem nadziei gorejącym czysto i jasno w jego sercu.

Eliana

Bywają dni, kiedy ja także tracę odwagę. Słyszę krzyki umierających i myślę, że wszystko już stracone. Ale jeśli wynieśliście cokolwiek z moich zapisków, mam nadzieję, że zapamiętacie to jedno: niezależnie od tego, jaki ból stał się waszym udziałem, Słoneczna Królowa, gdy się pojawi, będzie znosić o wiele gorszy. Będzie też wiedzieć, że jeśli ulegnie, stanie się to za cenę wszystkiego, co żyje.

– słowa Proroka

Zbyt szybko było po wszystkim.

Eliana rzuciła się przed siebie, niezgrabna ze zgrozy, i osunęła się na kolana przy niskiej kamiennej balustradzie. Ioseph i Remy spadali, a ich ciała były rozmytymi kształtami w ciemności.

Eliana od początku rozumiała zamiary Coriena i wiedziała, na czym ma polegać jej wybór, więc się nie zawahała. Wyczuwała szczerłość jego słów: gdyby spróbowała ocalić obu, zabiłby ich, a jej nic by nie pozostało.

Wiedział jednak i przewidział prawidłowo, jak ona zareaguje na takie zagrożenie, że nie będzie miała innego wyboru, jak tylko zrobić to, co teraz – sięgnąć do koziołkującego w powietrzu ciała Remy'ego z desperacją, która sprawiła, że jej formy zapłonęły.

Empirium poruszyło się na jej rozkaz, powietrze splotło się samo w lśniąca sieć bezpieczeństwa. Zaszklonymi oczami, którymi widziała złoty, złożony świat, Eliana postrzegała zmianę w powietrzu jak naciśnięcie kciukiem skóry, sprawiające, że tkanka świata rozciągnęła się i wygięła.

Ze łzami spływającymi jej bezgłośnie po policzkach położyła Remy'ego ostrożnie na dziedzińcu w dole, którego białe płyty były teraz skalane czymś, na co nie potrafiła spojrzeć. Zamiast tego patrzyła, jak dwójka strażników podnosi Remy'ego i odprowadza go dokądś, znikając pośród cieni.

Skuliła się na tarasie i drżała pod balustradą. Oparła policzek na szorstkim kamieniu i nasłuchiwała żołnierzy zabierających ciało Iosepha, aż coś w niej pękło. To nie było trzaśnięcie, lecz łagodna kapitulacja, jakby przegniłe, spróchniałe drzewo stało wyprostowane w porywistym wietrze, aż nie było w stanie mu się dłużej opierać. Ogarnęło ją wyczerpanie, jakiego jeszcze nigdy nie czuła, i spowiło jej myśli gęstą kołdrą odrętwienia.

Ledwie zauważyła, że Corien pomógł jej wstać. Odgarnął jej włosy z twarzy, otarł jej łzy.

– Cóż to za marnotrawstwo, że musisz to znosić – powiedział. – Gdybyś pozwoliła, zostalibyśmy szczęśliwą rodziną. Ty, ja, Remy. Oraz twoja matka, kiedy ją znajdę. Pozwoliłbym ci obedrzeć Simona żywcem ze skóry, gdybyś tylko chciała, i dopilnowałbym, żeby był świadomy w każdej sekundzie agonii. – Corien pieścił kciukiem jej szczękę. Obserwował ją oczami czarniejszymi od nieba nad nimi. – Wyślij mnie w przeszłość, Eliano, a już nigdy nie będziesz musiała się tak czuć.

Potem odwrócił się i zniknął, a Eliana wpadła w cichy, ciemny i pozbawiony życia tunel. Gdy znowu zobaczyła światło, leżała na swoim czystym białym łóżku w czystym białym pokoju, gdzie wszystkie powierzchnie były zalane miękkim światłem księżyca. Kulila się na kołdrze i drżała.

W pokoju zabrzmiał nagle trzeszczący dźwięk, nierówne brzęczenie kojarzące się jej z nieprzyjemnym syczeniem lamp galwanicznych.

Z brązowej tuby, umocowanej wysoko na ścianie w kącie, ponad pękiem grubych przewodów, dobiegła wzniosła melodia wykonywana przez orkiestrę w teatrze na dole. Brązowe urządzenie zniekształcało dźwięk, co brzmiało, jakby orkiestra grała swoją muzykę na odległej górze.

Eliana nie wiedziała, jak Corien to zrobił, ani jej to nie obchodziło. Muzyka tłukła ją w uszy jak brutalne dłonie, a ona pozwoliła, by ten rytm zmusił ją do zapadnięcia w sen.

Elianę obudził wywołujący mdłości zapach przyniesionego śniadania.

Patrzyła tępo, jak ubrane na biało służące znoszą naczynia na mały biały stolik przy oknie wychodzącym na południe – talerz, miseczkę, karafkę, puchar. Zapach jedzenia osadzał się w jej nosie i ustach jak kwaśna powłoka. Eliana odwróciła się od schludnie zastawionego stołu. Jeśli będzie na niego patrzeć jeszcze przez sekundę, wymiotuje.

Przez chwilę panowała cisza, a potem od drzwi rozległo się ostre westchnienie zniecierpliwienia. Pojawiła się Jessamyn w czarnym, dopasowanym mundurze, i podeszła szybkim krokiem do łóżka Eliany. U pasa miała kilka noży w pochwach.

– Zjesz każdy kęs – poleciła, stawiając Elianę szarpnięciem na nogi. – Tak rozkazuje Jego Wysokość.

Eliana nie stawiała oporu. Gdy już wstała, poszła za Jessamyn do stolika. Jej umysł wydawał się zamulony; poruszanie nogami i myślenie przypominały brnięcie przez bagno. Miała wrażenie, że przeciągnięto ją przez wąską szczelinę do stanu pomiędzy snem a jawą.

Mimo to jej wzrok uciekał do sztyletów Jessamyn. Myśli pobiegły do Arabeth, Nox i Świstuna – jej ukochanych, dawno przepadłych noży, a później, powoli, w jej głowie zaczął się formować pewien pomysł.

Usiadła przy śniadaniu i oddychała miarowo, pozwalając pomysłowi się rozwijać. Jeśli będzie działać zbyt szybko, rozwieje mgłę utrzymującą jej

umysł w apatii, a wtedy Corien wyczuje zamiary i ją powstrzyma.

– Jedz – warknęła Jessamyn, która stała wyprostowana obok stołu.

Eliana podniosła do ust łyżkę papki. Poranne światło wpadało przez otwarte okna; szyby były nieskazitelnie czyste, a za nimi widać było gołębia, który przysiadł na rynnie i czyścił sobie pióra.

Pomysł Eliany obracał się i wyostrzał, nabierając powoli kształtu. Nie mogła – nie chciała – pomagać Corienowi. Jednocześnie nie była w stanie dłużej tego znosić. Niekończącej się nocnej udręki, Remy’ego przyprowadzanego do niej i krzywdzonego, niemożności zaufania własnemu umysłowi.

To była odpowiedź. Musiała zakończyć tę grę, zanim on wygra, i istniał na to tylko jeden sposób.

Jadła pod czujnym okiem Jessamyn. Podnosiła łyżkę z miseczki do ust, aż opróżniła naczynie, a następnie wzięła się za owoce. Jagoda pękła pod naciskiem jej zębów, zimna i cierpka.

– Gdzie jest przetrzymywany Remy? – zapytała. Skoro miała porzucić go w tym miejscu, musiała poznać prawdę o jego losie. – Czy jest ranny? Czy dostaje jedzenie?

– Tak, dostaje jedzenie – odparła Jessamyn po krótkiej chwili. – Tak, jest ranny, ale to nic poważnego. Imperator pilnuje, aby był bezpieczny, dopóki jest przydatny.

„Dopóki jest przydatny”. Eliana uśmiechnęła się z leciutką ulgą. To oznacza, że gdy jej już nie będzie, zabiją go. Chciałby, żeby tak się stało. Chciałby, żeby ona tak zrobiła. Dwa życia w zamian za nieskończenie wiele innych. To proste równanie. Gdyby Remy wiedział, tak jak ona, że to jedyny sposób na zwycięstwo, sam podałby jej nóż.

– Zastanawiałam się nad tym – szepnęła, dojadając owoce. – Że będzie trzymany żywy tak samo długo jak ja.

Sięgnęła po kawałek chleba z masłem. Wyobrażała sobie trzy sztylety przypięte do pasa Jessamyn, ale nie odważała się na nie spojrzeć. Ogarnął ją dziwny spokój. Będzie musiała działać szybko. Ostatnie zabójstwo Postrachu Online.

Wybacz mi, Remy, pomodliła się w myślach.

Potem poderwała się szybko z krzesła i z całej siły uderzyła Jessamyn w gardło.

Jessamyn cofnęła się chwiejnie i bezgłośnie zachłysnęła się powietrzem, ściskając szyję. Nie spodziewała się tego. Eliana była słaba. Stała się miękka, od tygodni nie miała w dłoni sztyletu. Nie wyglądała już jak samodzielna osoba, a co dopiero zabójczyni.

Jednak desperacja dodała jej na nowo siły. Chwyciła najkrótszy sztylet z przytroczonych do pasa Jessamyn i wyrwała go z pochwy. Jej umysł był chaosem białego światła i trzasków, a krew płonęła w niej triumfalnie, gdy skierowała ostrze na własny brzuch.

Zanim ostrze zdążyło dotknąć ciała, coś ją pochwyciło – stanowcza, ale delikatna obecność w jej umyśle, jak dłoń zaciśnięta na nadgarstku i powstrzymująca ją w ostatniej chwili.

Nie, malutka. Jeszcze nie. Mamy wiele do zrobienia, ty i ja.

Kimkolwiek była ta osoba, przesyłająca do jej głowy myśli tak jak aniołowie, nie był to Corien.

Eliana upuściła nóż.

Służące, rozstawione wokół pokoju, pozostawały milczące i nieruchome. Jessamyn opierała się jedną ręką o stół pomiędzy pustymi naczyniami, a drugą ściskała szyję. Nie rzuciła się w odwecie na Elianę. Żadna z adatroksów nie podbiegła, żeby ją powstrzymać.

Eliana powoli się wyprostowała i rozejrzała. Jessamyn chwyciła łapczywie powietrze. Gołąb za oknem odfrunął z cichym gruchaniem.

Mamy chwilę, żeby porozmawiać bez przeszkód, powiedział głos do Eliany. Oszukuję oczy twoich strażniczek, ale nie uda mi się długo nas osłaniać.

Kim jesteś? Eliana odsunęła się od Jessamyn, słysząc w uszach dudnienie swojego serca. Jesteś aniołem.

Jestem przyjacielem.

Eliana okręciła się na pięcie, szukając czegoś, co mogłaby zaatakować, ale w pokoju panowały bezruch i cisza przerywana tylko ciężkim oddechem Jessamyn.

To nie odpowiada na moje pytanie.

Nie wszyscy aniołowie są podobni i nie wszyscy wielbią ziemię, po której stąpa imperator. Po chwili głos dodał cieplejszym tonem: Czy nie miałaś takiej przyjaciółki? Twojej Zahry, którą pokochałaś?

Eliana wyczuwała w tym głosie życzliwość i ogromny smutek. Do oczu napłynęły jej gwałtownie łzy. Nie chcesz, żebym go powstrzymała? To jedyny sposób.

Nie. Jest jeszcze inny. Nie mam wiele czasu, zanim on się zorientuje, że tu jestem, a on nie może się dowiedzieć, że ja żyję. Dlatego do tej pory nie mogłaś mnie zobaczyć. Pomimo smutku w życzliwym głosie dźwięczała teraz żelazna determinacja, która przeraziła Elianę – ponieważ przynajmniej pod tym względem ten głos przypominał Coriena. Niezłomna wola. Stulecia walki o swój cel.

Ze względu na twoje dobro żałuję, że muszę objawić się tobie już teraz, ciągnął głos. Te miesiące stopniowo podkopują twoje siły. Straciłaś tak wiele i tak zaciekle walczyłaś ze swoimi mocami, żeby chronić nas wszystkich, że teraz możesz je odnaleźć tylko w skrajnych sytuacjach, z powodu bólu lub strachu. Dlatego właśnie on tak cię rani. Dlatego obiecuje ci szczęście, żeby zaraz ci je wydrzeć. Chwila ciszy, a potem

niewyobrażalna czułość. *To, co musiałaś znosić, jest niewybaczalne. Żałuję, że nie mogę cię zapewnić, że to już koniec.*

Eliana była zdumiona. Stała w plamie nieruchomego blasku słonecznego, otoczona niewidzącymi niczego strażniczkami, i zapytała, tym razem na głos:

– Kim jesteś?

Mam wiele imion, odparł głos. Ale ty znasz mnie jako Proroka.

Rielle

Akademicy znają tylko jeden wizerunek świętej Tameryn bez sztyletu w dłoni – jest to frontyspis zbioru starannie wybranych, mało znanych astavarskich baśni dla dzieci. Na tej ilustracji, widocznej tylko w bezpośrednim świetle słońca, Tameryn jest dzieckiem, a chociaż zazwyczaj przedstawia się ją pełną powagi, tu na jej twarzy maluje się błogość. Odpoczywa na łące pełnej kwiatów, tuląc do siebie jedną ręką białe kocię, a drugą – promień światła. Nie strzeże jej boska bestia, czarna pantera. Nie trzyma sztyletu, którym zabijała swoich wrogów. Nie ma wokół niej ani jednego cienia.

– przypis do Księgi świętych

Rielle czekała z narastającą niecierpliwością, aż krawiec skończy przymiarke jej nowej sukni.

Nie mogła sobie jednak pozwolić na niecierpliwość. Musiała panować nad swoim umysłem tak samo jak nad wyrazem twarzy – żeby promieniować przede wszystkim obojętnością i odrobiną wyniosłości. Mężczyzna poruszał się szybko, upinając materiał i zapisując pomiary. Corienowi zależało, by miała wyjątkowe kreacje, więc w tym celu sprowadził krawca z Kirvayi. Zapewniał Rielle, że ten człowiek jest wyjątkowo utalentowany, i rzeczywiście, uszył dla niej coś niezwykle wytwornego – czarną suknię z wysokim kołnierzem, poduszkami na ramionach i długimi, wąskimi rękawami, które lśniły od misternych spirali z naszytych złotych klejnocików. Kreacja miała wysoki stan i obszerny, imponujący dół, który pozwalał ukryć rosnący brzuch.

Była wytworna, ale Rielle nie potrafiła na nią patrzeć. Czarny przestwór i obrębająca go lśniąca złotem koronka przypominały jej bezkresne morze empirium, w którym omal nie utonęła.

A także to, jak bardzo pragnęła w nim utonąć.

Krawiec podniósł etolę z ciemnoszarego futra, którą udrapował jej na ramionach.

Rielle spojrzała na swoje odbicie. W zielonych oczach, które zawsze widziała w lustrze, błyszczały teraz szerokie obręcze wirującego złota. Ta zmiana zachodziła powoli w ciągu ostatnich miesięcy, a ona ignorowała ją wcześniej, ale teraz stało się to niemożliwe. Niedługo złoto przyćmi zieleni.

Nagle stwierdziła, że nie jest w stanie dłużej tutaj stać. Jej żołądek się nie uspokajał, ledwie mogła coś zjeść, nie czując mdłości. Otaczały ją koszmary. Potwory łączące w sobie smoki i dzieci, na których wymuszono magię. Potwory tłukące się o Bramę. Potwór, który całował ją w jednej chwili, a w następnej tworzył bluźniercze istoty.

Zaś ona sama była tutaj największym potworem.

– Dokończymy później – oznajmiła Rielle, kładąc dłoń na brzuchu. – Źle się czuję i muszę odpocząć.

To było częściowo kłamstwo, które sprawiło, że omal się nie roześmiała. Już nigdy nie będzie mogła odpocząć.

Gdy pokojówki pomogły jej się rozebrać, założyły jej koszulę nocną i przyniosły obszyte futrem kapcie, Rielle wyobrażała sobie, że ściska swoje myśli w imadle, i obawiała się odetchnąć zbyt głośno. Corien był zajęty pracą gdzieś w trzewiach Terytorium Północnego, których jeszcze jej nie zaprezentował. Gdy jego umysł był zajęty – kierowaniem ruchami aniołów na całym świecie, komunikowaniem się z pozostającymi jeszcze w Otchłani, nadzorowaniem chirurgów, którzy kroili i okaleczali – umysł Rielle był czysty tak jak nigdy.

Musiała jednak działać szybko.

Kiedy tylko została sama, zebrała wszystkie ciepłe ubrania, jakie znalazła. Solidne buty na futrze, które nosiła wcześniej, gdy Corien oprowadzał ją po cuchnących smoczach jamach. Grube rajtuzy, wełniane skarpetki, tunikę i spodnie, a także długi, podbity futrem płaszcz sięgający jej za kolana. Szal do owinięcia szyi i głowy oraz futrzaną czapkę do zawiązania na nim.

Zrobiła worek z jednego z prześcieradeł, starając się wymazać niedawne wspomnienie, kiedy leżała zaplątana w to prześcieradło, a gorące wargi Coriena dotykały jej skóry. Jej dłonie drżały, gdy wpychała ubrania do zaimprovizowanej torby. Potem wyrwała z notatnika na biurku Coriena czystą kartkę i schowała ją wraz z ołówkiem pod gorsetem.

Zbiegła po ukrytych schodach, które zaczynały się za lustrem w łazience – przez tajne przejście, którym Corien mógł wychodzić i wracać do swoich komnat, niewidziany przez nikogo. Było po południu, w laboratoriach, barakach, kopalniach i kuźniach trwała ożywiona praca, ale w fortecy panowała cisza. Rielle pobiegła do jednej z przylegających do kuchni spiżarni, skąd zabrała ziemniaki, kajzerki i kilka kawałków wędzonego mięsa łosia. Nie mogła wiedzieć, jakie jedzenie znajdą tam, gdzie zaprowadzi je ta podróż.

Sięgnęła wokół umysłem, zastanawiając się, czy wyczuje obserwującego ją Coriena.

Cisza. Był tam, ale odległy, jak blady cień w jej umyśle. Nadal pracował. Miała jeszcze czas.

W pustym gabinecie należącym do Anadiraha, jednego z dowódców zwiadowców Coriena, Rielle znalazła nieduży skórzany plecak z pasami do zapinania na piersi. Przełożyła do niego jedzenie, zostawiając przygotowane ubrania na podłodze. Później z mocno bijącym sercem

i twarzą zimną jak lód przeszła przez fortecę do pokoiku we wschodnim skrzydle, w którym mieszkała Obritsa.

– Zamierzam zobaczyć się z Naznaczoną – oświadczyła Rielle dwóm pilnującym drzwi adatroksom. – Natychmiast.

Zamrugali z zaskoczenia szarymi, nieskoncentrowanymi na niczym oczami, ale stała przed nimi wyprostowana, patrząc gniewnie, więc po chwili otworzyli drzwi i odsunęli się na bok.

Rielle, słysząc szum własnej krwi w czaszce, weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Aniołowie, którym powierzono kierowanie tymi konkretnymi adatroksami, przekażą niedługo Corienowi, co się wydarzyło. To była wystarczająco nietypowa rzecz, by zaryzykować przerwanie mu pracy.

Niedaleko płonącego kominka siedziała na krześle Obritsa skrępowana długimi, grubymi łańcuchami. Było jej wyraźnie za ciepło, jej brązowa skóra poróżowiła, a czoło miała mokre od potu. Unieruchomiona w ten sposób, nie mogła splatać nici. To wymagało użycia dłoni.

Obritsa popatrzyła na wchodzącą Rielle. Jej oczy były przekrwione i opuchnięte od płaczu, ale twarz miała stężałą z nienawiści.

– Czy przyszedłeś, żeby mnie w końcu zabić? Czy tylko chcesz mi powiedzieć, że mój Artem nie żyje?

Rielle zignorowała ją i szybkim uderzeniem mocy w jednej chwili zniszczyła łańcuchy. Nagle uwolniona Obritsa siedziała w chmurze opalizującego pyłu.

– Nie mamy wiele czasu – powiedziała Rielle, wyciągnęła spod gorsetu kartkę i zaczęła szkicować plan fortecy. – On niedługo tu przyjdzie. Weź pod uwagę, że mamy przed sobą długą drogę i musisz oszczędzać siły. Przygotowałam zapasy i ubrania, które ukryłam w szafie w korytarzu. Zabierzemy je przed odejściem. Ubierz się szybko. Wydaje mi się, że

najlepiej będzie, jeśli skierujemy się na północ, przez Białe Pustkowia. Przetniemy lodowe pola na biegunie i dostaniemy się do Astawaru od północy.

– Twoja nagła przemiana jest zaskakująca. – Oczy Obritsy zalśniły ostro nowym blaskiem. – Pokazał ci, prawda? Zobaczyłaś, co on robi. Dzieci obdarzone magią żywiołów, wykradzione z mojego kraju. Przetrzymuje je w klatkach. W swoich laboratoriach wynaturza ich magię i przemienia boskie bestie w potwory. Widziałaś to wszystko.

Rielle przerwała rysowanie. Wspomnienia ostatnich kilku dni tkwiły w jej umyśle jak strzępy koszmaru. Pragnęła sięgnąć do nich, przyjrzeć się temu, czego dokonał Corien, i zachwycać się jego pomysłowością.

Pragnęła potępić go za to i osobiście dopilnować, by poniósł karę.

Ta sprzeczność w jej sercu sprawiała, że miała ochotę wrzeszczeć.

– Brama nie może zostać otwarta – rzekła, nie patrząc na Obritsę. Gdyby dostrzegła choćby prześwit zarozumiałego uśmiechu, spaliłaby tej dziewczynie twarz. – Te odrażające istoty, które stwarza, są zbrodnią przeciwko empirium.

Przygotowała się, milcząca i nieruchoma, jakby te słowa miały sprawić, że on wpadnie przez drzwi.

Ale w pokoju słychać było tylko trzask ognia. Rielle wypuściła drżący oddech.

– Zniszczymy formy, które już mamy. Wiem, gdzie są trzymane. – Wskazała naszkicowaną mapę. – Zabierzesz mnie najpierw tam, a potem do form. To odwróci jego uwagę, być może go spowolni. Następnie udamy się do Astawaru, żeby znaleźć sztylet Tameryn.

– Czy jesteś w stanie je zniszczyć? – Obritsa obserwowała ją uważnie. – Zostały wykute przez świętych.

Rielle roześmiała się lekko i z roztargnieniem potarła skronie.

– Jestem w stanie zrobić wszystko. A teraz pospiesz się, dopóki jestem sobą. Zanim ktoś mnie dopadnie.

Zamknęła oczy, odsuwając odległy szum empirium i kołysanie czarnozłotych fal. Jej paznokcie zadrapały skórę do krwi.

– Nie możesz mnie dotknąć – szepnęła. – Nie możesz mnie dostać, jeszcze nie teraz.

W głosie Obritsy zabrzmiał lekki niepokój.

– Z kim rozmawiasz?

Rielle ją zignorowała.

– Jeśli chcesz go powstrzymać, zrobisz, co ci rozkażę. Teraz.

Dziewczyna podniosła się z krzesła, ale się zawahała.

– Artem jest zbyt dobrze pilnowany – powiedziała natychmiast Rielle – a my i tak zmarnowałyśmy dużo czasu. Musimy go zostawić. – Podała mapę Obritsie. Czowała, że jej opanowanie zaczyna pękać, jej myśli się wylewają. – Szybciej, niech cię szlag! On lada moment zacznie mnie szukać!

Z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę i lśniącym, twardym wzrokiem Obritsa pracowała szybko. Jej zwinne palce wyciągały z powietrza jasne nici i splatały je w wibrujący pierścień światła. Spojrzała na Rielle.

Rielle przeszła przez światło, a Obritsa poszła w jej ślady. Nici rozwinęły się z przeciągłym sykiem, pierścień zapadł się i zatrzasnął.

Ubrały się pospiesznie w gabinecie Anadiraha; Obritsa wyglądała jak dziecko w zbyt obszernym futrze. W umyśle Rielle pojawił się lekki nacisk, jej myśli układały się w znajome wzory.

– Szybko – wyszeptała i drżącymi palcami zawiązała szal i czapkę. – On się zbliża.

Obritsa z szeroko otwartymi oczami przywołała więcej nici, a kiedy przez nie przeszły, znalazły się w małym, surowym pomieszczeniu z kamiennymi ścianami w jednej z wież, tak jak życzyła sobie Rielle – ale ogarnęła ją zgroza, gdy uświadomiła sobie prawdę.

Znajdowała się tutaj tylko jedna forma – tarcza świętej Marzany leżąca samotnie pośrodku na podłodze. Błede snopy zimowego światła z czterech okien krzyżowały się na jej poobijanej powierzchni.

Obritsa zamknęła nici i się odwróciła.

– Gdzie są pozostałe?

Rielle wpatrywała się w tarczę, czując wzbierającą, rozpaloną wściekłość.

Corien rozdzielił formy, poukrywał je pojedynczo w różnych miejscach fortecy i nie powiedział jej o tym.

Resztki jej nadwyręzonego opanowania prysnęły.

Wrzasnęła z furją i machnęła rękami nad tarczą, wzywając do siebie migotliwą kaskadę mocy empirium. Pokój eksplodował złotem, wszystkie pyłki kurzu, smugi powietrza i wilgoci rozjaśniły się oślepiającym światłem.

Obritsa podniosła ręce, żeby zasłonić oczy.

W powietrzu słyszeć było wysokie, nieharmonijne brzęczenie – to tarcza wibrowała na podłodze. Potem z głośnym trzaskiem poleciała w górę, rozpadła się w pył i zniknęła. Pozostał tylko wypalony ślad na podłodze i pajęczyna pęknięć od ściany do ściany. Pomieszczenie trzęsło się gwałtownie, sufit chwiał się w górę.

Rielle opadła na podłogę z głową pełną gwiazd. Kości i mięśnie ją rwały, zęby i przestrzeń za oczami pulsowały bólem – ale pod spodem była niemoralna, wibrująca rozkosz. Rielle czuła leciutkie mrowienie w palcach

rąk i stóp, posłuszną energię buzującą na koniuszkach jej włosów i trzeszczącą na miękkich liniach jej ciała.

Wyczuła światło w pobliżu i obróciła się w jego stronę powoli, jakby poruszała się w wodzie.

– Chodź, Rielle – odezwała się Obritsa głosem zdławionym przez strach. – Pospiesz się. Wieża się wali.

Rozległ się donośny łoskot, a podłoga uciekła Rielle spod stóp w momencie, kiedy przechodziła przez krąg światła unoszący się w powietrzu po lewej stronie. Czuła tuż za sobą Obritsę i usłyszała, jak pierścień zatrząskuje się za nimi, gdy razem poleciały w świat śnieżnej bieli.

Powietrze było tak zimne, że Rielle natychmiast zabrakło tchu. Poderwała się, łapiąc oddech, i pośpiesznie naciągnęła rękawiczki. Koło niej Obritsa poprawiła plecak na ramionach.

Stały na lodowcu, a za ich plecami wznosiło się niskie pasmo szaro-białych gór. Kilkaset metrów przed nimi lśniła czarnym uśmiechem woda spływająca pomiędzy bryłami lodu. W oddali widać było ciemne, sięgające nieba góry.

Serce Rielle tłukło się mocno, gdy na nie patrzyła. W tych górach znajdowało się Terytorium Północne, a ona stamtąd uciekła. Uciekła od niego.

Gdy tylko to pomyślała, on ją znalazł.

Rielle, coś ty zrobiła? Sięgnął do niej, jego palce musnęły jej nadgarstek, głos pieścił jej szyję. Jego gniew zaciskał się na jej piersi – była kolacją schwytaną we wnyki. *Tarcza, Rielle! Jak mogłaś mi to zrobić? Nam obojgu?*

– Jeszcze raz, Obritso! – krzyknęła Rielle. – Na północ!

Dziewczyna posłuchała. Spod warstw futra było widać tylko jej szeroko otwarte ze strachu oczy.

Rielle przeszła jako pierwsza, Obritsa za nią. Gdy Rielle wkroczyła w pierścień światła, ryk wściekłości Coriena uderzył ją w kark jak smagnięcie bicia.

Wylądowały w głębokiej śnieżnej zaspie.

Rielle zakrztusiła się świeżym puchem sięgającym jej do brody i zaczęła na oślep szukać Obritsy. Znalazła dłoń dziewczyny w rękawiczce, chwyciła ją mocno, a potem cisnęła mocą, którą stopiła każdy śniegowy płatek w promieniu trzech metrów. Woda spływała na czarną odsłoniętą ziemię szybko zamarzającymi strugami.

Obritsa, w przemoczonym futrze, chwytająca powietrze i walcząca o oddech, mimo wszystko się nie zawahała. Przywołała więcej nici dryfujących w obłoczkach pary z padającego na nie śniegu.

Przed oczami Rielle pojawiła się wizja: czarna forteca na Terytorium Północnym z wyrwą w narożniku, w którym stała dawniej zburzona przez nią wieża.

Zamrugła, a Corien pojawił się koło niej, ubrany w czarne i szare futra. Nie zasłaniał twarzy, na tle nieustannie padającego śniegu jego jasnooka uroda była jeszcze bardziej przejmująca.

– Jaki masz w tym cel, Rielle? – zapytał ją. – Co masz zamiar osiągnąć?

Chociaż w rzeczywistości go tutaj nie było, w jej umyśle był całkiem prawdziwy, a Rielle ciągnęło w obiecujące ciepło jego ramion.

Odwróciła się jednak od niego i pomyślała o martwym krucjuszu wiszącym pod sufitem, o porwanych kirvajskich dzieciach wepchniętych do klatek i o pełzaczach zawodzących w swoich jamach.

– Okłamałeś mnie – powiedziała do Coriena. – Nigdy mi nie mówiłeś, co robisz, jakie okropieństwa powołujesz do życia. Może jestem potworem,

ale nie jestem tak spotworniała, żeby pozwalać na krzywdzenie dzieci i boskich bestii.

Corien roześmiał się ciepło.

– Jesteś zagubiona, kochanie. Jesteś zmęczona. Rozumiem to. Wróć do mnie. Wróć do domu i odpocznij. – Jego głos spływał po jej plecach. – Pamiętasz, jak cudownie się dzięki mnie czułaś, jak rozsypywałaś się raz za razem pod moimi dłońmi? Pamiętasz towarzyszącą temu moc, poczucie właściwości? Tu jest twoje miejsce. Twoje miejsce jest w moich ramionach, Rielle.

Rielle ze szczękającymi zębami krzyknęła na Obritsę.

– Proszę, szybciej!

– Nasz tron oczekuje na nas – mówił z naciskiem Corien. – Jeśliby po niego sięgnąć, trzeba dopuścić się potworności, niech i tak będzie. Potwornością było to, co zrobiono mnie i moim pobratymcom. Każde wielkie dzieło musi się od czegoś zacząć, a w przyszłości czeka nas chwała, która wypali wszystkie wspomnienia ohydy i okrucieństwa. Pragniesz tego ponad wszystko inne. Czuję to. Znam cię, Rielle.

Obritsa obejrzała się przez ramię.

– Gotowe!

Rielle podbiegła do lśniącego nad śniegiem pierścienia ze światła.

– Okłamujesz samą siebie! – wrzasnął Corien. – Co się z tobą stanie beze mnie? Zostaniesz sama! Nigdy nie znajdziesz...

Rielle przeszła przez nici, a jego głos ucichł.

Wylądowały na stromym lodowym zboczu. Rielle natychmiast się poślizgnęła, ale chwyciła się pobliskiej skały.

Obritsa nie znalazła punktu zaczepienia i z ostrym krzykiem przestraszu ześlizgnęła się obok Rielle.

Rielle sięgnęła i zatrzymała ją, chwytając Obritsę w sieć swojej mocy, która przytrzymała ją rozciągniętą na śniegu.

Gdy Rielle także poczuła, że skała zaczyna się jej wyslizgiwać i za chwilę polecą w dół, ogarnął ją przypływ natchnienia. Dotknęła empirium i posłała łagodną falę mocy nad tym fragmentem pasma górskiego. Lód i śnieg stały się pagórkami miękkiej trawy przetykanej kwiatami, a powietrze nabrało balsamicznego, słodkiego zapachu.

Rielle upadła na chłodną kępę koniczyzny i wdychała zapach zieleni.

Głos Coriena był cichy. *Wstydzę się tego, jak się do ciebie zwracałem. Przeraziłem się, gdy sobie uświadomiłem, że mnie opuściłaś. Przepraszam. Byłem okrutny i okłamałem cię. Nigdy nie będziesz sama, Rielle. W jego głosie dźwięczały tłumione łzy. Zaś ja nigdy nie przestanę cię kochać. Nigdy cię nie opuszczę, nie ucieknę od ciebie ani nie odsunę się z lękiem. Zostałem do tego stworzony, królowo mego serca. Przyszedłem na ten świat, by cię kochać.*

Obritsa podczołgała się do Rielle po trawie i pomogła jej usiąść. Przywołała kolejne nici, a zrobiony z nich pierścień wibrował radośnie pod stopami Rielle.

– Już czas – powiedziała zdyszana Obritsa. – Chodź. To szybko gaśnie.

Miała rację. Rielle rozejrzała się zamglonym wzrokiem i zobaczyła, że trawa na jej łące więdnęła, a kwiaty czernieją. Jej uwaga była zbyt rozproszona, lęk i złość panowały nad nią.

Podniosła się ciężko, odwróciła plecami do cichych błagań Coriena i przeszła przez nici Obritsy do tego, co mogło na nią czekać po drugiej stronie.

W bezchmurną noc na Białym Pustkowie Rielle i Obritsa siedziały oparte plecami o niską skalną ścianę, spoglądając na imponujący pejzaż śnieżnych przestrzeni. Świat jak okiem sięgnąć był biały i płaski. Nad ich

głowami rozciągało się niebo pełne gwiazd i kołyszących się światel – zielonych i fioletowych, turkusowych i bursztynowych. Legendarne astawarskie niebo.

Obritsa oparła głowę na ramieniu Rielle, która gładziła ramię dziewczyny pod futrem.

Corien milczał, stał się ledwie dostrzegalnym odcieniem koloru na horyzoncie umysłu Rielle. Wiedziała, że powinna się martwić, co to może znaczyć, ale była na to zbyt zmęczona. Od wielu dni podróżowały bez wytchnienia przez Białe Pustkowia i po raz pierwszy zobaczyły gwiazdy.

– Jesteśmy prawie na miejscu – mruknęła do Obritsy, której powieki stały się ciężkie od snu.

Cienka smuga mocy łaskotała krawędzie świadomości Rielle. Czuła mrowienie w zgięciach łokci, niespokojnie pocierała o siebie buty. Forma była blisko i wzywała ją do siebie. Oczami duszy widziała świętą Tameryn podczas bitwy, siedzącą na grzbiecie czarnej pantery i otoczoną watahą cienistych wilków, które przywołała dzięki swojej formie – eleganckiemu sztyletowi z hebanową rękojeścią.

Rielle zamknęła oczy.

– Jesteśmy tak blisko – wyszeptała. – Czuję to.

Kiedy Rielle przeszła przez ostatni pierścień światła, który miał ją zaprowadzić do formy świętej Tameryn, była spięta i gotowa, a moc pulsowała energicznie na czubkach jej palców.

Stała w ogromnej jaskini nad wielkim, czystym jeziorem. Ściany jaskini porastała bujna zieleń – splątane pnącza o lśniących liściach barwy jadeitu, pęki drobnych białych kwiatków przypominających obłoki. Szeroki brzeg jeziora był pokryty czarnymi kamykami lśniącymi żyłkami ametystu. Lekki wiatr poruszał wodę, a chociaż nie było tutaj żadnych okien na świat zewnętrzny, miękki blask słońca oświeślał wszystko, co widziała Rielle.

Obritsa podeszła do niej w milczeniu i zdjęła obszyty futrem kaptur. Grudy śniegu poleciały na ziemię.

– Grota świętej Tameryn – wyszeptała.

Rielle zamknęła oczy i wdychała ciepłe powietrze. Tutaj wyraźnie słyszała uporczywy zew formy. Jej moc przekazała Rielle wizję: senna święta Tameryn w objęciach świętej Neridy. Jedna z jasnobrązową skórą i falami ciemnych lśniących włosów, druga o włosach jak heban i białej skórze opalanej złociście przez słońce. Promieniały szczęściem, splecione w białym łożu pod baldachimem z liści.

Echo ich miłości rozkwitło w sercu Rielle, wspomnienie niesione nurtem mocy formy było tak przytłaczające i barwne w swojej czystości, że Rielle poczuła, iż się dławi. Odpędziła cisnące się do oczu łzy i obiecała sobie, że opuści to miejsce, gdy tylko będzie mogła, ponieważ za bardzo przypominało jej o Audricu.

Rozejrzała się po jaskini i zobaczyła zbudowaną z kamienia altanę na planie koła usytuowaną na wystającej z wody skale. Niski mur łączył ją z brzegiem.

Pod kolumnami altany stało trzech mężczyzn w szarych habitach z wyhaftowanym na piersi znajomym znakiem – wysoką kwadratową wieżą i unoszącym się ponad nią okiem. Jeden z nich gorączkowo wysnuwał nici z powietrza, co sprawiło, że Obritsa syknęła przez zęby.

To byli astawarscy strażnicy Obex i jeden ze służących im Naznaczonych.

Rielle natychmiast ruszyła w ich stronę szybkim krokiem, a Obritsa podbiegła za nią.

– Oddajcie to – zawołała Rielle. – Albo was zniszczę.

Jeden ze strażników ścisnął za plecami sztylet Tameryn.

– Lady Rielle, proszę, posłuchaj głosu rozsądku...

– Ostrzegałam – powiedziała Rielle. Nie było czasu, żeby ich przekonywać lub oszczędzić. Oddalona o pięćdziesiąt metrów, posłała przed sobą pięści zrobione z mocy, chwyciła w płonącą dłoń ich serca i zatrzymała je, tak jak zrobiła to ze swoim ojcem, królem Bastienem, lordem Dervinem. Teraz była w tym lepsza – szybsza, bardziej skuteczna. Umarli bezboleśnie, dopilnowała tego. Sztylet Tameryn upadł na ziemię. Nici Naznaczonego rozplotły się i rozwiały.

Rielle przeszła po murze, żeby zabrać sztylet, a potem wróciła do Obritsy na brzegu. Dziewczyna nie była w najmniejszym stopniu zaskoczona tym, co zrobiła Rielle. Na jej zmęczonej twarzy malował się leciutki uśmiech.

– Udało nam się – rzuciła bez tchu Obritsa. – Mnie się udało.

– Doskonale ci poszło – zgodziła się Rielle, po czym podniosła sztylet i przechyliła ostrze, żeby odbiło światło. Starła się nie myśleć, jak szczęśliwy byłby Audric, gdyby mógł stanąć w schronieniu ukochanej świętej Tameryn, ale jej umysł był podłym zdrajcą. – Zabierz nas na powierzchnię – poleciła. – W jakieś odległe miejsce. Pod ten wodospad, który mijaliśmy w górach. Zabierz nas tam.

Obritsa zmarszczyła brwi.

– Nie zniszczysz go tutaj?

Rielle zacisnęła dłoń na sztylcie. Poczekala, aż jej oczy staną się suche, a umysł wolny od wizji zachwyconego Audrica stojącego na brzegu jeziora.

– Nie – odparła w końcu cicho. – Nie tutaj.

Zatrzymały się, żeby odpocząć, w kępie górskich sosen na północ od Vintervoku, stolicy Astavaru. Niedaleko wąski wodospad spadał po czarnych kamieniach. Lekka mgiełka unosiła się w powietrzu, zmiękczając wszystkie liście i gałęzie.

Obritsa spała smacznie na posłaniu z futer, ulokowana wygodnie pomiędzy Rielle a głazem porośniętym aksamitnym mchem. Pod jej oczami malowały się ciemne cienie, a policzki były teraz bardziej zapadnięte niż w twierdzy na Terytorium Północnym. Ale to samo można byłoby powiedzieć o Rielle. Zobaczyła swoje odbicie w pobliskiej rzece i ledwie rozpoznała patrzącą na nią osobę.

Zostawiła śpiącą Obritsę i wędrowała pomiędzy drzewami, aż znalazła malutką polankę wśród sosen. Tam rozebrała się do bielizny i cienkiej tuniki. Samotna, uwolniona od grubych warstw ubrania, mając za towarzystwo tylko drzewa, czuła się mniej krucha i łatwiej jej było oddychać. Usiadła na miękkim dywanie mchu, oparła głowę o pień sosny i patrzyła na morze igieł chwiejących się w górze. Dłonie nadal ją mrowiły po zniszczeniu sztyletu i czuła wszechogarniającą potrzebę spania przez cały miesiąc. Ale nie mogła długo odpoczywać. Przedłużająca się cisza oznaczała, że Corien coś planuje – albo że wie coś, o czym ona nie wiedziała.

Rielle położyła jedną dłoń na brzuchu. Czasem jego nowy kształt wzbudzał w niej odrazę i była o krok od wezwania swoich mocy i pozbycia się raz na zawsze tej istoty ze swojego wnętrza. Nie miała ani czasu, ani siły na zmiany zachodzące w jej ciele, nowe zmęczenie, z jakim się poruszała po świecie. To istnienie należało nie tylko do niej, lecz także do Audrica, a ten szczególny łańcuch sprawiał, że nigdy nie mogła się do końca od niego uwolnić.

W innych chwilach ogarniała ją taka czułość do dziecka, które w sobie nosiła, że aż kręciło jej się w głowie. Machinalnie gładziła palcami skórę i zastanawiała się, jak ono sobie radzi podczas tych trudnych dni w podróży. Rozmyślała także, czy nie powinna odwiedzić uzdrowiciela – a to sprawiło, że pomyślała o Garverze Randellu, małym sklepie

pachnącym ziołami i żywicą oraz Simonie patrzącym roziskrzonym wzrokiem na swoją Słoneczną Królową.

Co takiego myśleli o niej, siedząc przy swoim stole w Âme de la Terre i zastanawiając się, jak mogli dać się tak kompletnie oszukać?

Jak bardzo musieli jej nienawidzić?

Z twarzą w dłoniach Rielle zamrugała, żeby oczyścić piekące oczy i nagle, chociaż nie zażyczyła sobie tego, świat zamigotał. Gdy wróciła jej jasność widzenia, las wokół niej nabrał odcieni ruchomego złota.

Znużone złe przeczucie ogarnęło jej ciało, chociaż umysł zapłonął z pragnienia.

ta moc jest twoja

– Nie – jęknęła, zatykając uszy. – Nie teraz.

budzę się

Obecność empirium była zimna i nieskończona, jego szept odwieczny, jego potęga niewyobrażalna. Wynurzało się w niej na powierzchnię jak morski potwór pragnący zaczerpnąć powietrza. Rielle zacisnęła powieki, zmuszając swój świat, by znowu stał się mały i wyblakły.

ta moc jest twoja

przyjmij ją

przyjmij mnie

BUDZĘ SIĘ

– Nie mogę – szepnęła Rielle. Na jej rzęsach wisały łzy. – To za wiele.

Jej dłonie trzaskały gorącem, więc przycisnęła je do ziemi, mając nadzieję, że to pozwoli zaspokoić ich głód.

Wtedy coś poruszyło się w powietrzu, cisza zgęstniała, tłumiąc wszystkie dźwięki na świecie. Szum wodospadu zmienił się w odległy szmer. Szepty lasu ucichły.

Rielle podniosła głowę i zobaczyła migoczącą wizję przestronnej komnaty z trzepoczącymi zasłonami. Okna z widokiem na białe miasto. Taras, na którym piętrzyły się kwiaty.

Zaś przed nią stała Ludivine, ledwie widoczna, ale uśmiechnięta. Złotowłosa i jasnoskóra, w blad różowej sukni. Koło niej czekał mężczyzna w zielonej tunice, z potarganymi ciemnymi włosami i brązową skórą rozgrzaną od słońca.

Oddech uwiązł Rielle w gardle.

– Audric?

Navi

*Niech statek twój pewnie żegluję
A ogień płonie jasno
Niech serce twe o mnie pomyśli
Gdy gwiazdy zaświecą swym blaskiem.*

– tradycyjna vesperyjska modlitwa podróżnych

Malik zniknął na pięć dni – o dwa więcej, niż powinien potrzebować na podróż na wyspę Laranti i powrót z Ysabet, przywódczynią Czerwonej Korony, z którą mieli się spotkać dzięki pośrednictwu Hoba. Znane mu osoby kontaktowe twierdziły, że jest to kobieta mająca ogromne wpływy na Vesperach.

Ale Malik nadal nie wracał. Navi nie mogła spać, ponieważ niepokoiła się o niego.

Zamiast tego siedziała do późna w zgrzebnym namiocie i wpatrywała się w wilgotną, zawijającą się na brzegach kartkę leżącą na stole, który wraz z Hobem zrobili ze starego pnia. Na zewnątrz namiotu kłębiły się roje gniewnych much, odpędzane przez ohydnie śmierdzący olej sprzedany im przez przewodnika Bazko po cenie, jak podejrzewała Navi, bardzo wygórowanej. Zapłaciła jednak bez wahania, chociaż pieniądze, które zdołali zabrać z Astavaru, rozchodziły się szybko. Bagienne owady były bezwzględne i miały rozmiary kciuka.

– Czterdzieści siedem – westchnęła Navi, przeglądając leżącą przed nią zaszyfrowaną listę imion. To był najnowszy spis wszystkich, których udało

im się zrekrutować do ich małej armii wyrzutków. Sprzymierzeńcy Czerwonej Korony, uchodźcy, sieroty. – To nie wystarczy.

– Nie – odparł wprost Hob. – Nie wystarczy.

– Musimy znaleźć sposób, by działać szybciej. Nie podoba mi się, że tkwimy w tym okropnym miejscu.

– To była właściwa decyzja, żeby tu zostać i obserwować szczelinę.

Navi odetchnęła głęboko i powoli z nadzieją, że to jej pomoże chociaż częściowo odzyskać spokój.

Nie pomogło.

Od szczeliny do Otchłani oddzielało ją płótno namiotu i kilkaset metrów bagien, ale Navi nadal czuła jej przyciąganie. Cały czas widziała kształt mrocznego, poszarpanego oka, jakby wpatrywała się zbyt długo w jasne światło. Nic nie wyłoniło się ze szczeliny, która się nie powiększała.

Lecz od jej pojawienia się mokradła były upiornie ciche. Navi miała wrażenie, że nie tylko ona wstrzymuje oddech w oczekiwaniu na następny wstrząs i to, co może przynieść.

Kłapa namiotu się podniosła, a do środka wszedł nieszczęśliwie wyglądający Miro. Otarł sobie brudną twarz rękawem.

– Milady, czy mogę się tutaj przespać do mojej warty? Te muchy zjadają mnie żywcem.

– Tak, oczywiście. – Navi wskazała przetartą skórzaną płachtę, która służyła za posłanie dla każdego, kto tego potrzebował.

Gdy chłopak zaczął oddychać miarowo, spojrzała znowu na Hoba, otarła czoło wyjętą z kieszeni szmatką, a potem przycisnęła twarz do wilgotnej tkaniny. Ciszę przerywało tylko lekkie pochrapywanie Mira, brzęczenie much, stłumione szuranie i odgłosy innych osób poruszających się po obozie. Wszyscy mówili półgłosem, jakby obawiali się zakłócić

nienaturalny spokój na bagnach. Niedaleko ci, którzy pełnili w tym momencie wartę, patrolowali powoli okoliczne wody.

– Co mi przyszło do głowy, Hobie? – szepnęła Navi. – To szaleństwo.

– Wydaje mi się, że nazwałbym to straceńczą odwagą – stwierdził spokojnie Hob. – Ale nie szaleństwem.

Popatrzyła na niego. Zmęczenie sprawiało, że oczy piekły ją od łez.

– Armia, która zmiotła Imperium. Powiedziałam, że ją zbuduję. Zapewniałam o tym Malika, kiedy uciekaliśmy z Astavaru. Teraz siedzę na rojących się od robactwa mokradłach i mam czterdzieści siedem osób, które czekają, aż zrobię coś niezwykłego, podczas gdy drzwi do Otchłani wpatrują się w nas dniem i nocą, a Malik, który miał się spotkać z naszą potencjalną sojuszniczką, zniknął na zbyt długo. Czy jego także posłałam na śmierć?

– To nie jest nic niepewnego. Ysabet nam pomoże.

Navi roześmiała się ze znużeniem i przetarła oczy, zmuszając łzy, żeby obeschły.

– Ufasz mi, prawda? – zapytał ciepło Hob.

– Czy wierzę, że to, co mi powiedziałaś, jest prawdą? Tak, wierzę. Ale czy ufam tej kobiecie, której jeszcze nie spotkałam? – Navi wpatrywała się ponuro w listę imion. – Zawiodłam Elianę.

– Jeszcze niczego nie zrobiliśmy. Nie miałaś okazji, żeby ją zawieść.

Navi wyrwał się cichy pomruk frustracji.

– Właśnie ta beczynność może ją zabić, tak samo jak nas wszystkich. Albo może... – Westchnęła i znowu otarła twarz. Nigdy w życiu się tyle nie pociła. – Może to aroganckie, wręcz idiotyczne sądzić, że zdołam zrobić cokolwiek, żeby jej pomóc.

– Doprowadzasz się do szaleństwa snuciem takich niepewnych dywagacji.

Navi wiedziała, że Hob ma rację. Ale jej świat kurczył się nawet wtedy, gdy powinien się powiększać. Wyczuwała, jak mała jest wobec niego, jak gigantyczny jest świat, ile bólu i smutku się na nim mieści.

Wstała i poruszyła ramionami. Spacer pomoże jej odzyskać jasność myślenia, nawet jeśli będzie musiała się zmierzyć z muchami.

Nagle lampy na zewnątrz namiotu, rozstawione po obozie jak blade świetliki, pogasły jedna po drugiej. W ciemności rozległy się stłumione krzyki zaskoczenia.

Hob poderwał się błyskawicznie, zgasił ich lampę, dobył miecza i obudził Mira. Navi schyliła się po swój rewolwer, prymitywną broń kupioną na czarnym rynku w Morsii. Była wdzięczna Hobowi za zgaszenie światła; jej wzrok zaczął się przyzwyczajać do ciemności.

Na środku obozu rozległ się głos:

– Ty, do której należy ten obóz. Ty, która nazywasz się Jatana. Jeśli chcesz, żeby Rován przeżył, odłóżysz całą broń, jaką masz, i wyjdiesz do nas natychmiast.

Navi stanęła przy klapie namiotu z mocno bijącym sercem. Jatana i Rován – to były przybrane imiona jej i Malika.

Kimkolwiek byli ci ludzie, mieli jej brata.

Navi rzuciła rewolwer w błoto, zignorowała szeptane ostrzeżenie Hoba i wyszła na zewnątrz.

Ktoś natychmiast pochwycił ją i brutalnie wepchnął jej worek na głowę. Kopnęła i trafiła w czyjaś goleń, uderzyła łokciem w ciało, ale potem jakieś dłonie pochwyciły ją za ramiona i nie była w stanie dłużej utrzymać się na nogach. Zachwiała się i uświadomiła sobie, że worek został nasączony czymś ostro cuchnącym, co miało ją odurzyć.

Warknęła z frustracji i usłyszała, że Hob wybiega za nią. Przez gruby materiał worka zobaczyła odległy przeblysł sinoniebieskiego światła – to

było oko szczeliny, pozbawione powiek i obserwujące beznamiętnie jej walkę.

Później już nic nie widziała.

Gdy Navi się obudziła, poczuła świeży podmuch wiatru. Słońce pieściło jej ramiona i szyję.

Nie miała już worka na głowie. Zamiast tego zawiązano jej szczelnie oczy, odsłaniając nos i usta, żeby mogła wdychać słone powietrze. Poruszyła się na twardej ławce – ręce miała związane kawałkiem szmaty. Uświadomiła sobie, że cały świat się kołysze.

Nad jej głową rozległ się szorstki głos.

– Obudziła się.

Inny, ostry i stanowczy, powiedział:

– Pokażcie mi ją.

Zdjęto opaskę, więc Navi zmrużyła oczy w ostrym blasku słońca, a po chwili ujrzała, że siedzi w niewielkiej, wąskiej łodzi. Naprzeciwko, na niskiej ławce, siedział ktoś zawinięty w szale w barwach ziemi – niektóre obszyte paciorkami, inne obrębione różowym jedwabiem, maskujące kształt i rozmiar sylwetki. Ta osoba miała na głowie ciemną chustę zasłaniającą włosy, a na twarzy owalną maskę z małych metalowych płytek połączonych łańcuszkami, ze szczelinami w miejscu nosa i ust.

Navi rozejrzała się szybko i dostrzegła w pobliżu inne łodzie. W każdej były trzy osoby – jedna przy wiosłach, a dwie wyprostowane, z włóczyniami wycelowanymi w Navi.

Zamaskowana osoba odezwała się niskim, głębokim głosem.

– Jesteś Jatana z Meridianu.

Navi spoglądała spokojnie na maskę.

– Tak.

– Dlaczego się tutaj znalazłaś?

– Porwaliście mnie z mojego obozu i zabraliście w to miejsce.

Zamaskowana osoba milczała dłuższą chwilę.

– Przybyłaś na Vespéry z nadzieją, że spotkasz się z Ysabet z Czerwonej Korony. Chcesz żołnierzy. Chcesz broni. Chcesz wystąpić przeciwko Imperium.

Navi nie odpowiedziała.

– Czternaście lat temu Imperium zajęło Vespéry w imię Jego Najświętszej Wysokości Imperatora Nieśmiertelnego Imperium – kontynuowała zamaskowana postać. – Ci, którzy działają przeciwko niemu, są uważani za zdrajców Imperium. My, jego pokorni słudzy, mamy za zadanie przewozić zdrajców na sąd do stolicy. Możemy jednak także sami wykonywać egzekucje.

Po plecach Navi spływał pot. Wiatr w niewielkim stopniu łagodził piekące promienie słoneczne. Uświadomiła sobie, że nie widziała w żadnej łodzi Malika ani dwóch osób, które wraz z nim wyruszyły na spotkanie z Ysabet. Zastanawiała się, czy leżą martwi na dnie morza i czy ona niedługo do nich dołączy. Nie odzywała się. Każde jej słowo mogło być ostatnim.

– Co powiesz – ciągnęła zamaskowana osoba – jeśli zażądam, żebyś zadeklarowała swoją lojalność wobec Imperium, albo stracisz życie z rąk moich strażników?

Żołnierze unieśli włócznie, a ich ciała się naprężyły, jakby szykowali się do rzutu.

Łódź kołysała się na falach. Navi wyobrażała sobie chłodny błękitny świat na dnie oceanu. To nie takie najgorsze miejsce spoczynku.

Jeśli ma umrzeć, zrobi to z miłością do Eliany na ustach.

– Powiem, że prowadzi mnie światło Królowej – odparła, patrząc spokojnie na nieprzeniknioną twarz maski. – I że jej ogień spali Imperium

do gołej ziemi.

Wtedy, o dziwo, zamaskowana postać oznajmiła:

– Doskonale.

Wyciągnęła z zanadru sztylet i skoczyła na Navi. Unieruchomiła ją na ławce i przycisnęła jej mocno ostrze do gardła.

Navi zamarła, walcząc z instynktem nakazującym się szamotać. Przez szpary w płytkowej masce spjrzały na nią brązowe oczy.

Przez długą chwilę ich przenikliwe spojrzenie badało jej twarz. Potem zamaskowana osoba się odprężyła, wstała i schowała sztylet do pochwy. Navi przelotnie dostrzegła mieniące się tęczowo miedziane ostrze – z takiego samego metalu zrobiono pudełko, w którym została uwięziona Zahra.

Navi poczuła gorzkie ukłucie tęsknoty. Ile by dała, żeby głos upiorzycy nagle dobiegł z góry.

Zamaskowana postać wydała rozkaz w nieznanym Navi dialekcie vesperyjskim. Żołnierze w pobliskich łodziach opuścili włócznie. Wioślarze podjęli pracę, kierując łodzie do czarnej, niewielkiej wyspy na horyzoncie.

Osoba, która zaatakowała Navi, odpięła maskę i odwinęła szal z głowy. Okazała się smukłą, opaloną młodą kobietą o skórze usianej piegami i przeciętej jedną długą, białą blizną. Potrząsnęła potarganymi, sięgającymi jej do podbródka włosami wybielonymi od słońca i zrzuciła kolejne warstwy szalów. Pod spodem na szczupłych i zgrabnych nogach nosiła obcisłe brązowe spodnie i podniszczone buty do kolan. Kołnierzyk białej tuniki odsłaniał dwa węzłowate rzemienie związane wokół zgrabnej szyi.

– Przepraszam za to przedstawienie – powiedziała, machając niezobowiązująco i leniwie ręką. – A także za nóż. Nie ufam nikomu, dopóki nie spojrzę mu w oczy i nie przyłożę mu do gardła ostrza zagłady. Rozumiesz.

Navi była na tyle zaskoczona, że odparła:

– Tak, właściwie rozumiem. – Potem się zastanowiła. Kobieta była znacznie młodsza, niż się spodziewała; mogła być starsza od samej Navi o zaledwie rok lub dwa. – Ty jesteś Ysabet?

Ysabet uniosła brew.

– Ty zaś jesteś Navana, księżniczka Astavaru.

– Nazywam się Jatana. – Navi zmarszczyła czoło, udając zaskoczenie, ale jej serce zacisnęło się z nagłego strachu. – Wiesz o tym.

– Wiem, że docierały do mnie różne wieści z północy – rzekła Ysabet, spoglądając na morze i zbliżającą się wyspę. – Księżniczka pracująca w haremie lorda Arkeliona jako szpieg Czerwonej Korony. Szaleńcza ucieczka. Sojusz z osławionym Wilkiem. A także plotki o dziewczynie obdarzonej cudownymi mocami. Niektórzy mówią, że to Słoneczna Królowa. Gwałtowny sztorm, który zatopił imperialną flotę wojenną w zatoce Karajak. Armia potworów. Inwazja na Astavar i jego upadek. Królowie zginęli, ale nie znaleziono królewskich dzieci. Teraz zaś dziewczyna imieniem Jatana wraz z bratem przybywa na moje wyspy i chce się ze mną spotkać. Zamierza zgromadzić armię.

Ysabet umilkła na chwilę i obejrzała się przez ramię.

Pierś Navi wezbrała świeżym żalem, lecz odwzajemniła bez mrugnięcia zaciekawione spojrzenie Ysabet.

– Jesteśmy rozsiani po Vesperach – ciągnęła Ysabet – i jest nas o wiele mniej, niżbym chciała. Czerwona Korona na tych wyspach jest słaba, ale wciąż żyje, a moje wrony latają daleko. – Ysabet się zawahała. Mówiła twardym głosem, jednak w jej wygiętych ustach była jakaś miękkość. – Wiem, jak to jest stracić rodzinę, Navano. Jakie to niesprawiedliwe. Jak bardzo boli żałoba. Dlatego walczę. Jesteś tutaj wśród przyjaciół. Po prostu musiałam zobaczyć cię na własne oczy, żeby mieć pewność.

– A co z moim bratem? – zapytała Navi, unosząc podbródek. Musiała ukryć swoje zaskoczenie i ból serca. Ta królowa Czerwonej Korony nie zdołała nią wstrząsnąć. – Co z jego towarzyszami?

– Oni zapewne odpoczywają, jak rozsądni ludzie, którymi są. On bez wątpienia wydeptuje ścieżki na mojej podłodze, oczekując na twoje przybycie. Nie jestem pewna, czy zdołam się z nim kiedykolwiek naprawdę zaprzyjaźnić. Nie sądzę, żeby zechciał mi przebaczyć to, jak bardzo cię nastraszyłam. No cóż. – Ysabet uśmiechnęła się lekko do Navi. – Ty i ja możemy zostać przyjaciółkami.

Navi nie była pewna, co odpowiedzieć, więc milczała. Siedziały w ciszy, gdy ich niewielka flotylla łódek zbliżała się do wyspy, która nie była już tak odległa. Kiedy fale niosły ich coraz bliżej, Navi zwróciła uwagę, jak swobodnie Ysabet siedzi na dziobie, cierpliwie obserwując pobliską wyspę.

W głębi wody rozległo się dudnienie. Wydawało się, że nawet powietrze zadrżało. Navi zauważyła, że jedna z czarnych gór na wyspie zaczęła wypluwać parę.

Ysabet dostrzegła zachowanie Navi. Jej wargi drgnęły.

– Nie obawiaj się, księżniczko. Raratari nie wybuchnie przez najbliższe trzy miesiące. Pracuje dla mnie dwóch Saterketów, którzy jeszcze nigdy się nie pomylili w przewidywaniu ruchów ziemi.

– Miejmy nadzieję, że to nie będzie ich pierwsza pomyłka – odparła Navi, poirytowana, że jej niepokój był tak bardzo widoczny.

Ysabet się roześmiała, a potem stanęła na dziobie i wydała rozkazy pozostałym łodziom. Wpłynęli przez szerokie skalne wejście do czarnej groty, a Navi otworzyła usta ze zdziwienia, ponieważ skalna ściana przed nimi zaczęła się otwierać. Masywne wrota poruszały się za sprawą ukrytego mechanizmu, który Navi koniecznie pragnęła obejrzeć. Rozsuwały się

powoli, ale prawie bezgłośnie, biorąc pod uwagę ich rozmiary. Wykute kunsztownie tak, by przypominały skały, zamaskowane brudem i roślinami, odsłoniły ukrytą, wewnętrzną jaskinię. Na wodzie stał wielki, ciemny statek w trakcie budowy. Na niższych pokładach lśniły działa.

Navi dołączyła do Ysabet na dziobie, żeby przyjrzeć się z podziwem mijanemu statkowi. Był ogromny, z pewnością dorównywał rozmiarami imperialnym okrętom wojennym.

– Jest prześliczny – wyszeptała.

Ysabet spojrzała na okręt.

– Wymyśliła go moja matka. To był ostatni projekt, który ukończyła przed śmiercią, i jedna z nielicznych pamiątek po niej, które mój wuj zdołał ocalić. Ja ulepszyłam jej pomysły. Wuj twierdzi, że mam taki sam dar jak moja matka. Oko do projektów. Umysł konstruktorki.

To poruszyło jakieś ukryte wspomnienie w Navi, które ponagliło ją, żeby przyjrzała się mu uważniej. Dawno temu słyszała o kimś słynnym z budowania statków na Vesperach. Odsunęła jednak tę myśl, by jej nie rozpraszała. Niewiele wiedziała o sztuce żeglarskiej, ale doceniała smukłe, stanowcze linie kadłuba. Okręt sprawiał wrażenie skutecznego i pewnego siebie. Nawet teraz, gdy stał nieruchomo na kotwicy, wydawał się rwać do podróży.

– Jest chyba szybki – zauważyła Navi.

Ysabet rzuciła jej pytający uśmiech.

– Znasz się na statkach?

Navi się zarumieniła, niepewna, czy powinna być zawstydzona, czy zadowolona z powodu rozbawienia Ysabet.

– Nie – przyznała. – Ale ten mi się podoba.

To sprawiło, że Ysabet się rozpromieniła.

– Znamy się tak krótko, a ty już wiesz, co zrobić, żebym pękała z dumy.

Całkowicie rozbrojona szerokim uśmiechem Ysabet Navi poszukiwała jakiejś ciętej riposty – i w tym momencie usłyszała wołanie.

Podniosła głowę i także krzyknęła z ulgą, ponieważ Malik stał na jednym z mostków linowych podwieszonych na ścianach jaskini. Pomachała do niego, po czym złożyła ręce na piersi i wyszeptała cichą modlitwę.

Ysabet obserwowała ją uważnie. Usiadła ze skrzyżowanymi ramionami i oparła się o dziób.

– Zaczęłam go budować, nie wiedząc, co zamierzam z nim zrobić – powiedziała cicho. – Od lat toczyłam pomniejsze potyczki, uciekałam z wyspy na wyspę i kąsałam Imperium jak komar. Kradłam broń, napadałam ich magazyny. Nienawidziłam siebie za to, że nie mogę zrobić nic więcej. Nienawidziłam mieszkańców Vesperów za to, że nie walczą bardziej zaciekle, co jest wielce niesprawiedliwe z mojej strony, ale nic na to nie poradzę. Potem zaś – ciągnęła Ysabet; pochyliła się do przodu i oparła łokcie na kolanach – usłyszałam o tej zadziwiającej dziewczynie. Ci, którzy nadal modlą się do empirium z nadzieją, że powróci, nazywali ją Słoneczną Królową. Później usłyszałam o upadku Astavaru i zrozumiałam, że coś się zbliża. Jakieś rozstrzygnięcie. Ja zaś mogę albo siedzieć i czekać, aż świat runie na moich oczach, albo zrobić cokolwiek, choćby miało to być głupie i szalone. Dlatego po latach wyciągnęłam plany mojej matki, które trzymałam pod kluczem, i rozpoczęłam budowę. Nie wiedziałam, w jakim celu, ale gdybym kiedykolwiek potrzebowała okrętu, będę go miała. Następnie usłyszałam o tobie i po raz pierwszy od wieków poczułam coś przyjemnego. Poczułam na nowo nadzieję. – W brązowych oczach Ysabet płonął żarliwy ogień. – Czego chcesz, księżniczko? – zapytała cicho. – Dlaczego walczysz? Jeśli zgromadzisz armię, to co z nią zamierzasz zrobić?

Dopłynęli do niewielkiego pomostu. Dwóch żołnierzy wyskoczyło z ich łodzi i przywiązało ją grubymi linami. Navi nie wysiadała; wpatrywała się w Ysabet, czując, że ma serce w gardle. Od tygodni nie czuła podobnego przypływu energii, pragnienia nadziei. Ledwie ośmielała się uwierzyć w te uczucia.

– Słoneczna Królowa żyje – odezwała się cicho. – Jest mi bardzo droga, jest przyjaciółką, którą kocham całym sercem. Potrzebuje mojej pomocy. Gdybym miała armię, popłynęłabym do Elysium, żeby o nią walczyć. Pokazałabym jej, że nie jest sama.

– Oddałabyś życie za tę przyjaciółkę?

– Za nią i za wszystkich innych – odparła Navi.

Jeden z żołnierzy wyciągnął rękę do Ysabet, żeby pomóc jej wejść na pomost. Machnęła na niego, nie odrywając wzroku od Navi.

– Ten statek, gdy zostanie ukończony – oświadczyła – będzie zdolny pokonać ocean w trzy tygodnie. Ma działa, a także magazyny broni, które wzbudziłyby zazdrość każdego generała Imperium.

Navi roześmiała się cicho ze zdumienia.

– Trzy tygodnie? Jest tak szybki jak imperialne okręty wojenne.

Ysabet się uśmiechnęła.

– Moja matka była w tym dobra. Ja jestem jeszcze lepsza. Ale szybki okręt nic nie znaczy, jeśli nie będzie mieć misji do wykonania.

Navi obejrzała się na armaty lśniące dumnie w swoich wykuszach. Rozpoznawała ich kształty.

– To są działa imperialne.

– Staram się, żeby moi ludzie mieli co robić.

Navi usłyszała w jej głosie mroczniejszą nutę, przebłysk wewnętrznej tarczy. Patrząc prosto na Ysabet, położyła jej lekko dłoń na ramieniu.

– Także straciłam wielu bliskich – powiedziała cicho. – Wiem, czym jest świadomość, że żyjesz, ponieważ inni musieli zginąć, i jaki żal tkwi w tobie jak kamień, którego nie da się poruszyć. Muszę wierzyć, że gdyby zobaczyli nas teraz, byłiby dumni z naszej walki i nie żałowałiby roli, jaką w niej odegrali.

Ysabet, z oczami lśniącymi od łez, rzuciła jej kwaśny uśmiech.

– Zaiste, jesteś księżniczką. Potrafisz doskonale przemawiać, Wasza Wysokość.

– A ty masz statek, podczas gdy ja mam misję.

– Ty zaś masz armię.

– Bardzo małą.

– Podobnie jak moja. – Ysabet uściskała dłonie Navi. – Ale razem nasze oddziały nie są już tak nieznaczące. Razem są silniejsze.

Navi uśmiechnęła się, ponieważ przypływ radości pozbawił ją tchu. Co za ulga, że nie jest już tak bardzo sama.

– Czyli pomożesz nam?

– Tak, księżniczko. Pomożemy sobie nawzajem. Pogonię moich ludzi do pracy, aż zaczną żałować, że kochają mnie tak bardzo i nie potrafią się zdobyć na nienawiść wobec mnie. Wydaje mi się, że potrzebujemy tylko miesiąca.

Ysabet pochyliła się, żeby musnąć wargami knykcie Navi. Potem wyskoczyła z łodzi na pomost i krzyknęła rozkazy do pobliskich żołnierzy.

Navi siedziała przez chwilę, łapiąc oddech. Nadal czuła na skórze ciepło warg Ysabet. Splotła dłonie na piersi i przyciskała je, dopóki jej myśli się nie uspokoiły. Malik biegł do niej po pomoście, z jasnym i szerokim uśmiechem. Jej brat wciąż żył, podobnie jak ona.

Eliano, modliła się Navi, niech twoja żelazna wola wytrzyma. Bądź silna. Idziemy do ciebie.

Audric

Zdarzyła się rzecz niewiarygodna. Natknąłem się na smoka lodowego. Boską bestię, żywą legendę. Nazywa się Valdís i podróżuje z jednym z Kammeratów, legendarnych mówców smoków – młodzieńcem imieniem Leevi. Ów młodzieniec jest chyba w wieku Audrica, być może o rok lub dwa młodszy ode mnie, i opowiedział mi zdumiewającą historię. Wraz z Valdís uciekli z miejsca zwanego Terytorium Północnym. Od tygodni podróżują do Wysokiego Villmarku, gdzie w ukryciu żyją inni Kammeratowie, którzy strzegą swoich smoczych towarzyszy. Valdís chorowała, zatruta przez aniołów, i sądzę, że Leevi mógłby mnie zabić, gdy się na nich natknąłem, gdyby nie Valdís, która wyczuła we mnie krew Grimvalda i znalazła świeże siły, jakich wedle Leeviego nie miała od miesięcy. Jutro polecimy razem do Kammeratów. Leevi chce, aby pomogli uwolnić innych uwięzionych w anielskiej twierdzy. Mówi, że ja, król Borsvallu, mogę ich przekonać. Czy jednak zdołamy wygrać wojnę przeciwko tak okrutnym i pomysłowym istotom? Nie znam odpowiedzi, ale wiem jedno: dobrzy święci, jutro polecę na grzbiecie smoka.

– z dziennika Ilmaire’a Lyslevy, styczeń 1000 roku Drugiej Ery

To była ona – Rielle, w jakimś odległym astavarskim lesie, otoczona paprociami i jeżynami. Wilgotne pukle włosów kleiły się do jej policzków i szyi, gdy siedziała na dywanie z mchu, ubrana tylko w ciemne spodnie i cienką białą tunikę. Jej dłonie i ubranie były poplamione błotem.

Audric omal nie upadł na kolana na ten widok, walcząc z przemożnym instynktem nakazującym mu podbiec do niej. Spróbował powiedzieć jej imię, ale z ust wydobył się tylko szept.

– Audric? – Rielle patrzyła na niego. Miała policzki mokre od łez, oczy podkrążone z niewyspania.

– Tak, jestem tutaj. Ale nie na długo. – Zrobił niepewny krok naprzód. Pamiętał ostrzeżenie Ludivine: próba przesunięcia granicy mentalnego połączenia, które na nowo utworzyła pomiędzy ich trójką, przekroczenia granic wizji, mogła spowodować, że się ona rozwieje – lub, co gorsza, zwrócić uwagę Coriena.

– On niedługo mnie znajdzie – powiedziała Ludivine, stojąca za nim po lewej stronie. Przez ich połączone umysły Audric wyczuwał, że Ludivine drży z wysiłku. Fale tęsknoty omywały go łagodnie, a jemu wydało się pocieszające, że Ludivine także cierpi, widząc Rielle i nie mogąc jej dotknąć. – Ćwiczyłam, Rielle – dodała Ludivine. – Stałam się silniejsza, pracuję nad poszerzeniem zasięgu i wzmocnieniem maskowania mojego umysłu, ale to nadal wymaga... – Urwała, a Audric poczuł przenikające go westchnienie zmęczenia. – To nadal wymaga ogromnego wysiłku, a ja muszę się jeszcze wiele nauczyć.

Rielle obserwowała ich w milczeniu. Gdziekolwiek była, światło przesunęło się, podkreślając dziwne lśnienie jej oczu.

– Kochanie, czy coś ci jest? – zapytał Audric, starając się zachować spokój w głosie. – Jak się czujesz? – Przyglądał się jej w poszukiwaniu obrażeń i chłonał widok wszystkiego, za czym tęsknił. Ciemnej burzy jej włosów, zarysu twarzy, miejsca zajmowanego przez nią w świecie. Wyobrażał sobie jej ciepło, miękkość jej ciała obok niego, głowę wsuniętą pod jego podbródek. Wydawała się z jakiegoś powodu okrąglejsza, chociaż jej ocieniona twarz była niepokojąco wymizerowana. Widać było, że brakowało jej zarówno snu, jak i jedzenia.

Nagle nie był w stanie dłużej stać i udawać, że jest silny. Jeśli jej nie dotknie – nawet jeśli miałoby to być blade, półrealne muśnięcie jej umysłu

jego umysłem niesionym rzeką mocy Ludivine – jeśli nie wyciągnie do niej rąk, nie ujmie jej twarzy w dłonie, nie oprze czoła o jej czoło i nie poczuje jej oddechu pulsującego w tym samym rytmie, co jego oddech, ból w piersi go zabije. Jeśli nie mógł jej ochronić ani pomóc, mógł przynajmniej spróbować do niej sięgnąć.

Podbiegł do przodu, wołając jej imię zdławionym głosem i ignorując ostrzegawcze szarpnięcie Ludivine – ale Rielle odsunęła się od niego. Jakby mógł ją skrzywdzić, jakby zapędził ją w ślepy zaułek.

Audric natychmiast się cofnął, a jego żołądek zacisnął się ze wstydu.

– Przepraszam – szepnął. Podniósł ręce. Łzy cisnęły mu się do oczu, lecz nie pozwalał im popłynąć. – Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla rzeczy, które powiedziałem ci tamtej nocy. Rozumiem, dlaczego odeszłaś. Rielle... – Wspomnienie nocy ich ślubu, gorzkie echo tego, czym mogła być, okazało się zbyt straszne i ciężkie, sprawiło, że jego głos się załamał. – Tak bardzo cię przepraszam, ukochana.

Rielle obserwowała go w milczeniu lśnącymi, surowymi oczami. Przeniosła szybko wzrok na Ludivine, potem na niego, a następnie bez słowa podniosła się i wygładziła swoją tunikę, przyciskając ją do brzucha.

Audric omal nie roześmiał się z ulgi na jej widok, stojącej z wyprostowanymi sztywno ramionami. To była ona – jego ukochana, jego Rielle – to były jej ramiona, krzywizna jej gardła, fałdy tuniki i spodnie podkreślające jej kształty.

Natychmiast dostrzegł zmianę, a na widok jej powiększonego brzucha i nabrzmiątych piersi wyrwał mu się cichy, dziwny dźwięk, który nie był ani śmiechem, ani płaczem.

Na twarzy Rielle pojawił się na moment ciepły uśmiech. W jej oczach było światło, a Audric uradował się na jego widok.

Nie potrafił jednak pozbyć się nagłego strachu, który szarpnął się w jego umyśle. To było okropne pytanie, zazdrość, na którą nie było miejsca w tym momencie.

Czy to jego dziecko? Czy też Coriena?

Odepchnął tę myśl, gdy tylko się pojawiła. To było dziecko Rielle, a on pokocha je całym sercem.

– Och, Rielle – westchnął z uśmiechem. Rozpaczliwe pragnienie, by ją przytulić, przeszło jego pierś jak włócznia. – Jak się czujesz? Byłaś u uzdrowiciela? Wiem, że musisz być przestraszona i zaniepokojona. Przepowiednia...

– Widziałam – odpowiedziała, a jej odległy głos był kłujący jak oset. – Widziałam to na twojej twarzy. – Opuściła ramiona, zacisnęła dłonie w pięści, a w jej oczach zalśniła wściekłość. – To jest pierwsza rzecz, którą pomyślałeś po tak długiej rozłące? Czy to dziecko jest twoje?

Serce Audrica się zacisnęło.

– Nie, Rielle, to nie ma dla mnie znaczenia. Moją pierwszą myślą była ulga, że nic ci nie jest.

– Kłamiesz – oznajmiła zimno. Coś złotego zalśniło w jej oczach. – Możesz być spokojny, Audricu. Ty mi to zrobiłeś. To wszystko.

Gwałtowna siła przerwała ten moment, spadając pomiędzy nich jak ostrze topora.

Audric cofnął się chwiejnie i upadł, ponieważ coś przycisnęło jego głowę i ramiona do posadzki, a kiedy zdołał się znowu poruszyć, las zniknął, a wraz z nim Rielle.

Znajdował się w swojej komnacie w pałacu królowej Bazati i królowej Fozeyah, w towarzystwie jedynie Ludivine.

Świat wirował mu przed oczami, a Audric, desperacko starając się zacisnąć gardło, oparł się czołem i pięściami na miękkim dywanie. Ledwie

słyszał, że Ludivine się poruszyła, a kiedy podniósł głowę, siedziała koło niego, pobladła i spocona. Za jej plecami przez otwarte okno widać było spokojne morze, słońce pogodnie oświetlające fale i spustoszoną plażę. Na horyzoncie narastała ciemność malująca niebo tłustym odcieniem ołowiu.

– Znalazł ją – powiedziała Ludivine i dotknęła lekko jego kolana. – Przepraszam. Nic nie mogłam zrobić. – Odetchnęła z drżeniem. – Jest silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

Audric nie odpowiedział. Dotknął krawędzi dywanu, gdzie chwilę wcześniej stało widmo Rielle. Przycisnął do niego dłonie, beznadziejnie poszukując ciepłego echa jej ciała.

Po dłuższej chwili Ludivine odezwała się cicho:

– To twoje dziecko, Audricu.

– Nie kłamałem, kiedy mówiłem, że to nie ma dla mnie znaczenia. – Te słowa smakowały w jego ustach jak popiół i przyszły zbyt późno. – Ona tak czy inaczej będzie przerażona, będzie je nienawidzić i jednocześnie je kochać, a to, że nie mogę jej w tym czasie wspierać, jest ogromną niesprawiedliwością wobec nas obojga. Ja na to zasługuję, ale ona nie.

Ludivine przyklękła koło niego bez słowa.

– Powinnam ci powiedzieć, że Rielle wiedziała o tym przed waszym ślubem, podobnie jak ja.

Audric roześmiał się z goryczą. Torturą było wyobrażanie sobie świata, w którym on i Rielle mogliby razem świętować i się martwić. Opiekowałyby się nią i przynosił jej wszystko, czego by zapragnęła. Wszyscy w Âme de la Terre trzęsłoby się nad nią – albo też nikt by tego nie robił, jeśli tak by wołała.

– Wiedziałaś o czymś, o czym ja koniecznie powinienem wiedzieć – rzekł – ale nie przekazałaś mi tego? Zaskakujące. Niebawale.

Ludivine milczała przez moment.

– Nie chciała, żebym ci o tym mówiła. Nie mogłam tego zignorować.

– Gdybym wiedział... – Urwał i odwrócił głowę.

– Czy gdybyś wiedział, obszedłbyś się z nią mniej okrutnie w ogrodach? – zapytała Ludivine. – Zastanowiłbyś się nad swoimi słowami? Okazałbyś swojemu dziecku miłosierdzie i zrozumienie, na które nie mogła liczyć twoja żona?

Audric wpatrywał się w podłogę, aż odzyskał głos, a potem spojrzał gniewnie na Ludivine. Gniew pulsował lekko w jego krwi.

– Gdybym wiedział – odparł przez zaciśnięte zęby – mielibyśmy tę radosną nowinę, światło rozjaśniające ciemność tamtego dnia. Kotwicę, która pomogłaby nam przetrwać sztorm. Słusznie oskarżasz mnie o porywczosć, głupotę, nawet okrucieństwo. Ale nie ja jeden popełniam błędy. Nic z tego nie rozgrzesza ciebie.

Ludivine dłuższą chwilę patrzyła mu w oczy. Odczucie jej wstydu dorównywało jego własnemu.

– Rozgrzeszenie – powiedziała w końcu – to nie jest coś, czego szukam lub na co zasługuję.

– Pod tym względem się zgadzamy – stwierdził, co być może było niesprawiedliwe, ale czuł, że znowu zapada się w cichą, ciemną otchłań, która pochłaniała go przez pierwsze długie tygodnie w Mazabacie, zaś beznadziejność płynąca z tego uczucia, towarzyszący mu ciężar działały jak narkotyk unieruchamiający jego język.

Wstał, sięgnął do resztek głosu i odprawił ją myślami.

– Dziękuję za twoją pomoc – rzucił tylko. – Cieszę się, że mogłem ponownie ją zobaczyć.

Ludivine się zawahała, a potem łagodnie przesłała mu całą swoją miłość do niego, zanim pozostawiła go w samotności, żeby mógł uciec w sen.

Niecałe dwie godziny później obudziło go uczucie deszczu spływającego mu po twarzy.

Pospiesz się, Audricu, rozległ się niecierpliwy głos Ludivine. *Jesteś potrzebny*.

Drzwi jego komnaty stały otworem. Do środka wbiegła Evyline wraz z resztą słonecznych gwardzistek.

– Wasza Wysokość, musimy natychmiast wyruszać! – zawołała Evyline, spoglądając niespokojnie w okno.

Audric usiadł i otarł twarz. Atheria stała obok łóżka i otrzepywała skrzydła i grzywę. Jej kopyta grzebały w dywanie, nozdrza miała rozdęte.

Audric spojrzał za nią i natychmiast zrozumiał, o co chodzi.

Kiedy podbiegł do okna, zauważył, że świat na zewnątrz jest czarny, a morze wysokie i pełne furii. Ogromne spienione fale zalewały brzeg. Drzewa kładły się w porywistym wietrze. Miał wrażenie,

że nawet zamek się kołysze. Na niebie kłębiły się czarne chmury podświetlane przez poszarpane zygzyki błyskawic. W siedmiu miejskich świątyniach biły dzwony ledwie słyszalne w wyciu wichury.

Audric szybko się ubrał, naciągnął kurtkę i buty.

– Czy w mieście trwa ewakuacja? – zapytał.

– Tak, Wasza Wysokość – odpowiedziała Evyline. – Ale panuje chaos, a wiele dróg zostało już zalanych. Zdarzały się tutaj huragany, zwłaszcza w ostatnich miesiącach, lecz zawsze było dość czasu na przygotowania.

Audric znalazł przy łóżku Illumenora. Gdy zacisnął dłoń na rękojeści, poczuł znajome vibracje mocy od dłoni do ramienia.

– Dlaczego nikt nie obudził mnie wcześniej?

– To zaczęło się przed chwilą, Wasza Wysokość. Dziesięć minut temu niebo było czyste, a chmury na horyzoncie.

Nieprzyjemne uczucie ścisnęło pierś Audrica. To był efekt działania Bramy.

– Czyli to nie jest zwykły sztorm.

– Zastanawiałam się nad tym, Wasza Wysokość – odparła ponuro Evyline.

Fala krzyków na zewnątrz sprawiła, że wybiegli na taras, gdzie ulewa spadała jak czarna kurtyna. Atheria osłaniała ich częściowo skrzydłami.

Audric przyjrzał się w ciemności wybrzeżu. Resztki już wcześniej zniszczonej plaży zniknęły pod spiętrzonymi falami, które miały wysokość ponad trzydziestu metrów i składały się z większej ilości piany niż wody. Ze zgrozą patrzył, jak zabierały ogromne sterty szczątków – wille i pomosty, wieże strażnicze rozstawione na wybrzeżu, dzielnicę targową, całe połacie dzielnic mieszkalnych. Z każdą falą kolejny kawałek miasta walił się do morza.

Ludivine pojawiła się u jego boku z ponurą twarzą.

– Ile osób zginęło? – zapytał ją Audric.

– Pięćset dwie – odrzekła cicho.

– Gdzie jest Kamayin? Królowe?

– Nadzorują magów żywiołów w pobliżu wody i starają się powstrzymać nawałnicę.

Audric odwrócił się natychmiast i wsiadł na grzbiet Atherii. Wyciągnął rękę do Ludivine, żeby pomóc jej usiąść za sobą.

Evyline rzuciła się do nich.

– Nie, Wasza Wysokość!

Jednakże Atheria poderwała się już w niespokojne powietrze i niebawem taras został daleko w dole. Chavail walczył z ulewą i wichrem, wymijając przelatujące szczątki – wyrwane z korzeniami drzewa, wyłamane okiennice, odłamki dachówek, czarne smugi ziemi i żwiru.

Kiedy lecieli, Audric przyglądał się zniszczeniom w dole. Skłębiona woda przelewała się przez zalane ulice, niosąc resztki domów i utopione zwierzęta. Mieszkańcy Quelbani uciekali rozpaczliwie w wyżej położone miejsca.

Atheria zabrała ich na szeroką ulicę, do której docierała teraz linia wody, pełnej wodorostów, muszli i wyrzuconych na brzeg ryb. Królowa Bazati i królowa Fozeyah kierowały oddziałem magów żywiołów. Rzeźbiarze ziemi z trudem starali się umocnić rozmiękły grunt. Pieśniarze wiatru unosili wysoko ramiona i walczyli z wichurą.

Księżniczka Kamayin, w sukni klejącej się do ciała, z formami lśniącymi na jej nadgarstkach jak pochwyczone gwiazdy, wykrzykiwała rozkazy do grupy rządców wody ustawionych w trójkąt. Ich moce powstrzymały napierającą falę i odepchnęły ją w stronę morza – ale za nią toczyły się następne, nieubłagane i pełne wściekłości, a chociaż magowie Kamayin walczyli dzielnie, na ich twarzach malowały się bezradność i panika.

Wiedzieli, że ta burza nie jest pochodzenia naturalnego.

Wiedzieli, że mogą jej nie przeżyć.

Audric skierował Atherię w dół, żeby wylądować obok królowych, a potem zeskoczył na ziemię i wyciągnął Illumenora. Słońce było odległe, zasłonięte chmurami i słabsze o tak późnej porze, ale Audric mimo to wyczuwał wszędzie wokół siebie światło. Nieskończone, znajome ciepło poruszyło jego serce jak rytm starej, ulubionej piosenki.

Gdy skoncentrował się na więzi łączącej go ze światłem i na mocy krążącej coraz szybciej w jego ciele, Illumenor załśnił. A kiedy zapłonął oślepiającym blaskiem, Audric uwolnił napięcie w swoim ciele, skierował moc na zewnątrz i utworzył krąg z jasnych promieni słońca, stojąc w jego płonącym wnętrzu.

Przytrzymał światło w miejscu, a jego wibrujący umysł trzymał moce na wodzy. Żar zamieniał deszcz w parę, zanim krople zdążyły spaść na ziemię, a stojący w strefie Audricowego światła magowie żywiołów mogli otrzeć twarze i złapać oddech.

Audric utrzymywał swoje moce na stabilnym poziomie. Gdy spojrzał w lewo, zobaczył Sanyę, żołnierkę, która wystąpiła przeciwko niemu na placu treningowym. Najwyraźniej nie miała mocy żywiołów. Wraz z innymi żołnierzami układała wysokie zapory ze szczątków i płóciennych worków wypełnionych piaskiem.

– Sanyo! – zawołał. – Przynieś mi łańcuch, linę, coś, co może się opierać wiatrowi. Najmocniejsze, jakie znajdziesz!

Sanya, krzywiąc się z powodu siekącego deszczu, rzuciła się wykonać rozkaz i zawołała innych, by jej pomogli.

Kamayin podbiegła do nich. Jej formy nadal słabo lśniły na nadgarstkach, mokra brązowa skóra błyszczała w świetle wezwanym przez Audrica. Za jej plecami królowe wciąż wykrzykiwały rozkazy.

– Co chcesz zrobić? – krzyknęła.

Audric także musiał podnieść głos, żeby było go słychać.

– Myślę, że mogę rozproszyć ten sztorm.

Kamayin spojrzała szybko na jego miecz i ramiona.

– Jesteś na to dość silny?

Oczami duszy ujrzał Rielle lecącą na grzbiecie Atherii na spotkanie z ogromną falą zagrażającą wybrzeżu Borsvallu. Pamiętał, jak oślepiająco lśniła na tle czarnej ściany wody, niczym gwiazda nadziei dla wszystkich, którzy ją zobaczyli.

Uczepił się tej wizji, pełen miłości i tęsknoty.

– Mogę to zrobić. Lu, pomagaj im, na ile możesz. Ułatw im koncentrację, wzmocnij pewność siebie.

Spodziewał się, że Ludivine zaprotestuje, ale skinęła tylko głową, patrząc na niego poważnymi jasnymi oczami. Pociemniałe złote pukle kleiły się do jej policzków.

Nowe wrzaski sprawiły, że Kamayin się odwróciła i jęknęła z rozpaczy.

Audric obejrzał się w samą porę, by spostrzec ogromną falę spadającą na plażę w odległości kilometra. Załamała się z rykiem i runęła, niszcząc wszystko na swojej drodze.

– Mam! – Sanya podbiegła do niego wraz z drugim żołnierzem. Nieśli gruby, pokryty piachem łańcuch i zwój przemoczonej liny.

Audric zawołał do wszystkich zgromadzonych:

– Zamierzam wypuścić światło! Przygotujcie się!

Magowie i żołnierze odwrócili się znowu do szalejącego sztormu, a na ich twarzach malowała się determinacja. Pieśniarze wiatru unieśli ręce, zaś Audric poczuł, że powietrze gęstnieje, gdy skoncentrowali swoje moce.

Wtedy wypuścił spod kontroli własną moc. Illumenor pociemniał, podobnie jak wybrzeże. Deszcz siekł z góry, a żołnierze wrócili do wznoszenia wałów.

Audric wsiadł na grzbiet Atherii i zawołał, przekrzykując wiatr i ulewę:

– Zawiążcie wokół nas łańcuch! Ciasno, ale tak, żeby nie zrobić jej krzywdy!

Sanya, towarzyszący jej żołnierz, Kamayin i Ludivine podbiegli, by pomóc Audricowi owinąć łańcuch wokół jego piersi i nóg, a także brzucha Atherii, aż został pewnie unieruchomiony pomiędzy jej drżącymi skrzydłami.

Potem, odczytując jego intencje, Atheria przyklękła, spojrzała na Sanyę i prychnęła.

Sanya się zawahała, ściskając w dłoniach linę.

– Milordzie... Ten sztorm straci boską bestię z nieba.

Audric uniósł dłonie, w których trzymał Illumenora.

– Najmocniej, jak możesz, Sanyo. Mocniej, niż ci się wydaje, że należy.

Sanya rzuciła mu jedno niespokojne spojrzenie, a potem posłuchała i opłótła linę kilka razy wokół jego dłoni i rękojeści Illumenora, tak ciasno, że ręce zaczęły go boleć.

Z tyłu, na obrzeżach miasta, rozległy się kolejne wrzaski, ale Audric nie obejrzał się, żeby tam spojrzeć.

Ludivine wysłała mu gorącą, silną falę zachęty. *Leć, kochany.*

Audric zamknął oczy i posłał Atherii nieme przeprosiny.

– Rodzę się o świtanie – pomodlił się. – Płonę za dnia. – Później krzyknął: – Leć!

Atheria poderwała się ciężko z piasku i wzniosła w powietrze, gdzie wiatr natychmiast cisnął nimi mocno na bok. Boska bestia szybko odzyskała równowagę, uderzając gwałtownie skrzydłami.

Sztorm był gigantyczny, niewyobrażalny. Wichura wyła i zawodziła, tłukąc o nich tak, jak fale w dole tłukły się o brzeg. Atheria walczyła, żeby utrzymać się w powietrzu, i pochylała łeb pod naporem wiatru. Wyrywane z jej skrzydeł pióra leciały, wirując, w chmury. Jej ciało drżało pod Audrikiem, który wiedział, że słabsza istota zostałaby już pokonana.

Przed nimi piętrzyła się czarna ściana chmur rozjaśniana błyskawicami.

Za nią znajduje się oko sztormu, powiedziała Ludivine w jego głowie. *Jest tam spokojniej niż wokół.*

Audric zamknął oczy i stłumił przepływający przez jego ciało strach, żeby skoncentrować myśli na czekającym go zadaniu. To była szalona teoria, która mogła się nie sprawdzić: zakładał, że eksplozja czystej mocy, jeśli będzie dostatecznie silna i precyzyjnie wymierzona, poruszy samym empirium i rozwieje ten sztorm od podstaw.

Takie działanie mogło go także zabić. Jeśli ciśnie całą swoją moc, aż do ostatka, w oko sztormu, to co się z nim stanie bez niej?

Nie mógł jednak rozmyślać o śmierci. Zamiast tego wyobraził sobie, że wraz z Atherią przelatują przez grubą ścianę chmur, a po jej drugiej stronie znajdują światło i bezpieczeństwo.

Tkwiała w nim również wizja Rielle jak przypływ ciepła w sercu – ona i Atheria, jak maleńka gwiazda walcząca z niszczycielską ścianą wody na Morzu Północnym.

Audric zmusił się, by otworzyć oczy, i zobaczył tylko skłębione czarne chmury. Podmuch wiatru zepchnął Atherię z kursu i sprawił, że żołądek Audrica zacisnął się gwałtownie. Potem jednak Atheria wyrównała lot, walcząc z niezmordowanymi uderzeniami wichury.

Błyskawica załśniła tak blisko, że Audricowi zadźwięczało w uszach od jej trzeszczącego żaru. Zęby go zaboląły, a do jego ust i nosa doleciał kwaśny, gorący zapach przypominający gryzący odór, który wypełnił powietrze, gdy Rielle bez powodzenia próbowała naprawić Bramę.

Ciało Audrica wibrowało energią, która nie należała do niego. Pochodziła ze sztormu, z tego zrodzonego z Bramy huraganu. Szalała na jego skórze, przepalała mu płuca, a on zaczął się obawiać, że popełnił fatalny błąd, że to, co może zrobić, nie wystarczy w obliczu tak boskiej mocy. Brama powstała w czasach rozlewu krwi i desperacji. Ten sztorm czerpał swoje istnienie z tamtej wściekłości.

Audric z drzeniem sięgnął myślami. *Lu?*

Jestem tutaj, rozległ się spokojny głos. Ty także tam jesteś, Świetlisty. Pokaż się.

Audric jeszcze raz zamknął oczy, nabrał powietrza i uniósł dłonie, w których ścisnął Illumenora.

Wiatr natychmiast uderzył w lśniące szerokie ostrze i sprawił, że zawirowali, zanim Atheria wyrównała lot i szarpnęła się do przodu z przeszywającym wrzaskiem.

Audric, któremu kręciło się w głowie, jakby został uderzony, spojrzał na rozszalałe chmury i zaczął się modlić. *Rodzę się o świtaniu.*

Powróciły falą wspomnienia: kiedy jako dziecko ćwiczył w królewskich ogrodach pod okiem Wielkiej Mistrzyni Guillory, wszystkie paprocie i sosny w cienistym zielonym świecie zdobiły rozbłyśki słońca, które sprowadził z nieba.

Płonę za dnia.

Jego ośmioletnie ręce, pulchne i spocone, ale mimo wszystko uniesione pewnie w powietrze, sprawiały, że niezliczone światełka wisiały i obracały się powoli. Niedaleko matka i ojciec obserwowali go z dumą na twarzach.

Teraz, nawet w sercu szalejącego sztormu, Audric poczuł wokół siebie blask słońca reagujący na wezwanie jego mocy. Illumenor rozświetlił się w dłoniach tak jasno, że Audric nie widział nic więcej. Ten blask był całym jego światem i wypalał swój kształt w jego oczach.

Skoncentrowany podmuch wiatru uderzył ich w plecy, popychając do przodu w czarną ścianę chmur.

Rodzę się o świtaniu.

Modlitwa do słońca krążyła w jego głowie, a Audric uświadomił sobie, że ten wiatr był zbyt precyzyjny, zbyt pewny, żeby mógł być naturalny. Towarzyszące mu uczucie nadziei i wdzięczności, wibrującej mocy, potwierdziło jego podejrzenia.

Pieśniarze wiatru w dole posłali mu swój wiatr. Razem zebrali dość mocy, by wesprzeć jego i Atherię w tym ostatnim desperackim zryw.

Płonę za dnia, pomyślał Audric. Dłonie mrowiły go od mocy, a gdy wraz z Atherią przedarli się przez chmury do oka sztormu, ulga była tak

ogromna, że krzyknął, a jego moce wybuchły radością. Wypełniała go energia tak gwałtowna i żywa, że był pewien, iż za chwilę rozerwie go na pół. Wyobrażał sobie cały ogrom sztormu, czarnego i gniewnego ponad morzem, a także niezliczone warstwy empirium przenikające go jak tafle złotego szkła. Dotykały chmur i błyskawic, ostrza w jego dłoniach, mocy w jego żyłach. Szerokie promienie światła eksplodowały z Illumenora, a świat zapłonął gorącą bielą.

W dzwoniącej ciszy, która później nastąpiła, Audric zaczął powoli odzyskiwać zdolność widzenia, chociaż w głowie pulsował mu ból sprawiający, że świat częściowo poczerniał. Audric ledwie zdawał sobie sprawę z tego, że Atheria leci desperacko do brzegu. Rozglądał się, mrugając, żeby rozproszyć ciemność przed oczami. Sztorm zaczął się rozwiewać, chmury rozpraszaly się i szybko znikaly. Spokojniejszy wiatr owionął go, chłodząc płonące policzki, gdy Atheria śmigala nad wodą.

Czuł tępy ból w rękach, więc spojrzał na swoje dłonie.

Rękojeść Illumenora lśniła od krwi. Dłonie Audrica przeszywał ból tak dojmujący, że czuł go aż w zębach.

Ludivine sięgnęła do niego, a łagodna fala jej czułości stłumiła wszystkie wrażenia. Po chwili nie czuł już żadnego bólu.

Możesz odpocząć, Audricu, powiedziała mu. *Wszyscy są bezpieczni.*

Zrobił to, pozwolił sobie opuścić ramiona. Kołysał się na grzbiecie Atherii, zamroczony, i patrzył na barwne kręgi ognia wirujące mu przed oczami. Zastanawiał się, czy umiera, czy zobaczy jeszcze Rielle i co by pomyślała, gdyby się dowiedziała, czego dokonał. Potem osunął się na szyję Atherii.

Audric poruszył się lekko, słysząc znajomy głos wołający jego imię. Pozwolił się obudzić tylko dlatego, że to był głos Rielle.

Podążał za nim w górę, przedzierając się przez bolesny ciężar, który naciskał na niego, żeby pogrzebać go żywcem. To było całkowite wyczerpanie.

Wtedy zobaczył ją – jego ukochaną, jego Rielle, ubraną na biało, z rozpuszczonymi włosami i twarzą rozpromienioną miłością. Wyciągała do niego ręce i zachęcała, by się wspinał.

Gdy jednak Audric otworzył oczy z jej imieniem na ustach, wizja zniknęła. To tylko Ludivine patrzyła na niego z góry. Siedziała obok na łóżku z oczami lśniącymi od łez.

– Przepraszam – szepnęła. – Musiałam cię obudzić. Nie mogłam czekać ani chwili dłużej, żeby spojrzeć ci w oczy.

Audric odwrócił się od niej i zacisnął piekące powieki. Łzy spłynęły mu po policzkach.

Ostrożnie, ze względu na grube bandaże na jego dłoniach, Ludivine uniosła jego nadgarstki do ust, by je ucałować.

– Udało ci się – szepnęła. – Sztorm się rozwiął. Twoja moc go roztrzaskała. Zniszczyłeś go, Świetlisty. Morze jest spokojne. Ocaliłeś miasto.

Audric oddychał, dopóki żałoba nie wypuściła go z czarnego uścisku. Napłynęło do niego pytanie, chociaż serce nadal go bolało.

Ludivine odczytała je i uśmiechnęła się lekko.

– Tak. Tak, Audricu. Wszyscy widzieli, co zrobiłeś. Patrzyli, jak Atheria się wznosi. Z niczym podobnym nigdy wcześniej się nie spotkali. Stali na wybrzeżu, a magowie wyczuli moment, gdy twoje moce wybuchły. Fala uderzeniowa przeniknęła ich ciała i obudziła ich własną magię. Powiedzieli o tym żołnierzom, a żołnierze powiedzieli zwykłym ludziom i teraz całe miasto mówi o tobie jak o jednym ze świętych. – Dotknęła jego twarzy,

a on był tak zmęczony, że zapomniał o złości na nią i przycisnął policzek do jej dłoni.

Ludivine z drżeniem ucałowała go w czoło.

– Chodź już. Oni na ciebie czekają.

– Kto?

– Wszyscy.

Rozpaliła się w nim maleńka nadzieja, dzięki której podniósł się z łóżka. Pozwolił, by Ludivine pomogła mu się ubrać. Przez cały ten czas przyglądał się swoim dłoniom, a potem posłał jej nieme pytanie.

– Wygoją się – odparła ciepło. – Zajęli się tobą osobiście lekarze królowych. Są niezwykle uzdolnieni i twierdzili, że samo empirium pomagało im w leczeniu. Mówią, że za tydzień będziesz mógł zdjąć bandaż. Za dwa możesz znowu podnieść Illumenora.

Skinął głową, chociaż nadal chwiał się na nogach i czuł suchość w ustach. Opierał się ciężko na Ludivine, kiedy szli na dół, eskortowani przez Evyline i Słoneczną Gwardię. Gdy dotarli do sali senatu, Audric odsunął się łagodnie od Ludivine, gotów iść o własnych siłach.

Wtedy jednak otworzyły się drzwi, a Audric patrzył i czuł, że jego puls gwałtownie przyspiesza. W środku zebrał się nie tylko cały senat – wszystkich dwustu senatorów w barwach swoich dystryktów – lecz także ich asystenci, doradcy i Rada Mistrzów. Setki żołnierzy i cywilów. Gdy mijał generałkę Rakallo, położyła dłoń na piersi i skłoniła nisko głowę. Wszyscy się przed nim kłaniali. Klękali, dotykali ust, piersi i czoła w modlitwie.

Na centralnym podwyższeniu królowe wstały ze swoich tronów. Rozpromieniona księżniczka Kamayin podeszła do Audrica i wpięła mu w klapę błękitny irys – jeden z najwyżej cenionych kwiatów w Mazabacie, będący symbolem rodziny królewskiej.

Pierwsza marszałkini senatu wystąpiła na środek ze zwojem w dłoniach, a Audric mimo zmęczenia słuchał ze zdumieniem jej głosu rozbrzmiewającego w całej sali.

– Senat zebrał się ponownie w sprawie petycji króla Audrica Courverie z Celdarii, który zwraca się z prośbą o wsparcie militarne w celu zajęcia stolicy kraju i odsunięcia od władzy uzurpatora, Meroveca Sauvilliera, co w dalszej perspektywie umożliwiłoby ustanowienie linii obrony przed potencjalnym atakiem sił anielskich. Senat zrewidował wcześniejszą decyzję, biorąc pod uwagę opinie naszych królowych, świętych mistrzów oraz obywateli Mazabatu, których głosy powołały nas na nasze stanowiska. – Marszałkini spojrzała na Audrica z nieprzeniknioną twarzą. – Wzięliśmy pod uwagę także najnowsze wydarzenia, w tym sztorm, który omal nie zmiotł z powierzchni ziemi naszej stolicy, oraz działanie celdaryjskiego króla w chwili zagrożenia; działanie, które mogło go kosztować życie. – Umilkła na chwilę. – Nasze ostateczne głosowanie było jednogłosne. Niniejszym przyjmujemy celdaryjską petycję i wyrażamy zgodę na udzielenie przez koronę wsparcia militarnego, w pierwszej kolejności w celu odzyskania tronu Celdarii, a co ważniejsze, na potrzeby sojuszu w wojnie z aniołem Corienem oraz we wszelkich konfliktach zbrojnych, które mogą mieć miejsce później. – Pierwsza marszałkini rozwinęła zwój przed królowymi na mównicy z wypolerowanego drewna i w końcu obdarzyła Audrica leciutkim uśmiechem. – Jeśli Wasze Wysokości zgadzają się z tą decyzją – zakończyła – proszę o złożenie podpisów na protokole potwierdzającym głosowanie.

Królowa Bazati podeszła do mównicy z wysoko uniesioną głową i zamaszystym ruchem podpisała dokument. Potem swój podpis złożyła z szerokim uśmiechem królowa Fozeyah.

Kamayin podbiegła do Audrica i objęła go mocno, a on patrzył ponad jej ramieniem, z głową wirującą z niedowierzania, jak wszyscy w sali wstają i wybucha gorąca owacja.

Jessamyn

Białym wieżom Elysium poświęcam wszystkie moje kości. Chwale, która przeminęła, i chwale, która nadejdzie, poświęcam wszystkie moje ścięgna. Jemu, Nieśmiertelnemu Światłu, poświęcam całe moje ciało.

– z przysięgi inicjacyjnej nowicjuszy Invictus

Jessamyn zrobiła unik przed śmigającą w powietrzu bojową pałką Nevii, a potem się poderwała, żeby zatrzymać ją własną pałką.

Walka była dobra. Walka pomagała jej zapomnieć o okropnej rzeczy, którą zrobiła.

Od niemal godziny pojedynkowała się z Nevią na jednym z placów treningowych Lyceum. Nie zamierzała się zatrzymywać, nawet po to, by otrzeć twarz, co się dobrze składało, ponieważ Nevii miała opinię bezwzględnej i nie pozwoliłaby jej na odpoczynek.

Właśnie z powodu tej bezwzględności Jessamyn zostawiła Remy'ego w swoim pokoju w połowie lekcji, pomaszerowała do baraków i rzuciła Nevii pałkę, co sprawiło, że starsza kobieta uśmiechnęła się drapieżnie.

Teraz walczyły, a w drzwiach i oknach wokół placu gromadzili się gapie. Rekruci z własnymi pałkami czekali w gotowości, żeby zastąpić Jessamyn, gdy tylko ulegnie. Ona jednak nie zamierzała ulec.

Z każdym zadany cios, z każdym otrzymanym uderzeniem czuła, że jej wszechogarniający strach słabnie, chociaż w głowie nadal kręciło jej się na wspomnienie tego, co poprzedniego dnia wydarzyło się w komnacie Eliany.

Jak ta wynędniała, niema, śmieszna dziewczyna – która podobno kiedyś była niezwykle utalentowaną zabójczynią, chociaż Jessamyn nie potrafiła sobie tego wyobrazić – mogła ją pokonać? Uczennicę jednego z najlepszych zabójców w historii Invictus? Jessamyn, virashtë Varosa? Powtarzała sobie, że to utrzymująca się żałoba po jego śmierci była przyczyną jej nieuwagi. To jednak nie stanowiło pociechy, bo oznaczało słabość, na którą od dawna wydawała się odporna. Ludzką słabość, którą starał się z niej wypłenić Varos.

Pałka Nevii musnęła jej ramię, co sprawiło, że Jessamyn jęknęła i się zachwiała. Odzyskała równowagę, okręciła się na cienkiej i elastycznej podeszwie sandała, uderzyła Navię mocno w ramię, a następnie w biodro.

Nadal nie potrafiła przestać myśleć o tym, co by się stało, gdyby Eliana zdołała się zabić, jaką karę wymierzyłby za to imperator.

Jaką karę może jej jeszcze wymierzyć.

Te myśli sprawiły, że stała się nieostrożna. Nevia odwróciła się szybko, trzepnęła Jessamyn pałką w głowę, po czym tą samą bronią podcięła jej nogi. Jessamyn przewróciła się ciężko, uderzając podbródkiem o ziemię. W jej oczach zapłonęły gwiazdy, poczuła smak krwi, ale smak wstydu był znacznie gorszy.

Nevia obchodziła ją kołem.

– Nigdy nie rozumiałam, co Varos w tobie widział – powiedziała. W jej głosie nie było złośliwości, tylko zdziwienie i ciekawość.

Nagle drzwi po prawej stronie otwarły się gwałtownie i wszyscy oprócz Jessamyn – Navia, obserwujący walkę rekruci – jednocześnie runęli na ziemię.

Imperator wpadł na plac, ubrany w obszyty futrem płaszcz, i gdy tylko Jessamyn na niego spojrzała, jej ciało zesztyniało, a kości się naprężyły. Zamrugnęła, przez co cały świat się zmienił.

Stała samotnie na dziedzińcu. Niebo było szare, budynki Lyceum czarne i pozbawione okien. Świat wibrował – powietrze, Lyceum, kamienie pod stopami. Wyglądał jak dziecinny szkic, który ktoś nappełnił gorączkowym życiem.

W tym dziwnym, cieniowanym świecie imperator był cudownym widokiem – wysoki na dwa i pół metra, smukły, z długimi kończynami, o twarzy z wytwornymi kośćmi policzkowymi i intensywnymi jasnymi oczami. Jego włosy wyglądały jak poruszająca się czarna chmura, a ubranie trzepotało na nim w czarnych podmuchach. Na jego plecach rozpościerały się ogromne skrzydła – lśniące w miejscu, gdzie wyrastały z pleców, ocienione na końcach.

Jessamyn krzyknęła, nogi się pod nią ugięły. Rozpaczliwie pragnęła odwrócić wzrok. On był zbyt piękny, zbyt jaśniejący. Nie powinna na niego patrzeć. Jej ludzkie oczy były za bardzo pospolite.

Ale imperator zatrzymał ją w miejscu swoim umysłem i zmusił, by patrzyła. Czuła, że wślizguje się w jej myśli jak wąż przez szczelinę w skale. Za chwilę ona się roztrzaska, czując w ustach smak jego wściekłości, cierpki i metaliczny niczym krew.

– Przyniosłaś noże do jej pokoju – odezwał się głosem ostrym i grzmiącym.

Był dla niej zbyt potężny. Obecność jego umysłu sprawiała, że bolała ją głowa, a oczy piekły palącym żarem. Jego palce zagłębiły się w fałdach jej myśli, grzebiąc i przewracając w nich.

Świat zamigotał, a potem się zmienił.

Jessamyn patrzyła ze zgrozą, jak Nevii i pozostali pojawiają się znowu, ale byli teraz wynędzniali, z płonącymi dziko oczami. Tłukli głowami o ściany, aż ich twarze zalewały się krwią. Rzucali się na siebie i szarpali zębami, pożerając.

– Wasza Wysokość, błagam... – wykrztusiła Jessamyn.

– Byłaś szkolona przez moich najlepszych wojowników – rzekł imperator – a jednak na tyle głupia, by podsunąć Elianie broń. Twoja bezmyślność mnie zdumiewa.

Wrona o czarnych, lśniących błękitem piórach zapikowała z nieba i pochwyciła małego słowika. Jessamyn patrzyła, jak przeszywa pierś swojej ofiary, rozrywa jej szyję i potrząsa. Wielkim czarnym dziobem odrywa kawałki mięsa i kępy piór.

Serce Jessamyn biło coraz szybciej i mocniej. Rozpaczliwie pragnęła zasłonić uszy, ale nie mogła poruszyć rękami, ponieważ nie miała już rąk. Jej skrzydła trzepotały bezradnie. Była leżącym na ziemi słowikiem, a wrona dziobała ją, łamała jej żebra, wyrywała strzępy mięsa. Oczy drapieżnika lśniły oślepiającą bielą, równie jasną, jak dawniej anielskie oczy imperatora. Jessamyn wiedziała, że ta ciemność, ten ogromny, przygniatający i szarpiący ją ciężar to wrona, lecz także imperator, który rozrywał jej umysł.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość – wykrztusiła Jessamyn przez rozerwane gardło. – Jestem pogrążona w żałobie po Varosie...

– Twoja żałoba jest śmiechu warta w porównaniu z moją – odparł imperator. Był ruchomą kolumną ciemności i przysunął się do jej twarzy, jakby zastanawiał się nad pocałunkiem.

Widziała biel jego oczu i chciała zamknąć swoje, ale nie miała powiek. Chciała wrzeszczeć, ale nie mogła otworzyć ust. Kiedy dotknęła twarzy, uświadomiła sobie, że jej wargi zniknęły, zastąpione gładką skórą.

– Powiedz mi – mruknął imperator – dlaczego ona się zatrzymała? Co takiego zobaczyłaś?

Jessamyn stała obok własnego ciała. Widziała drugą siebie, bez ust i powiek, drgającą i przytrzymywaną przez imperatora.

– Uderzyła mnie w gardło – powiedziała Jessamyn, patrząc na to spokojnie. – Wyciągnęła mi sztylet zza pasa. Przycisnęła ostrze do brzucha, a później znieruchomiała, zanim zdążyło się wbić.

– Jak wyglądała w tamtym momencie?

– Jej oczy się zamgliły. – Jessamyn czuła się zafascynowana widokiem własnego ciała w agonii. Swoich naprężonych mięśni, strumieni łez płynących z oczu. – Upuściła nóż. – Umilkła, żeby się zastanowić. Wspomnienie było zniekształcone, jakby obserwowała je przez zasłonę. – Zadała pytanie. „Kim jesteś?”

Świat eksplodował białym światłem, powietrze zaskrzeczało w uszach Jessamyn.

W końcu ogarnęła ją ciemność.

Otworzyła oczy, chwytając oddech, i spojrzała w jasne niebo. Imperator zniknął. Wydawało jej się, że słyszała jego buty na kamieniach. Nevii i pozostali otrząsnęli się ze stuporu, w którym utrzymywał ich imperator, i mrugali zdezorientowani.

Dopiero wtedy Jessamyn uświadomiła sobie, jakie to dziwne, że imperator pytał ją, co się zdarzyło w pokoju Eliany. Ostatecznie spędzał większość czasu w umyśle tej dziewczyny. Powinien sam znać odpowiedź.

Co oznaczało – chociaż Jessamyn nie wyobrażała sobie nigdy, żeby ktokolwiek mógł dorównywać imperatorowi siłą – że ktoś w jakiś sposób ukrywał przed nim prawdę.

Kiedy Jessamyn następnego wieczoru znalazła Remy’ego w bibliotece Lyceum, miała napięte nerwy i uczucie, że skóra na nią nie pasuje. Przez cały dzień stała pod drzwiami pokoju Eliany, podczas gdy imperator pracował.

Była wściekła, że słuchanie krzyków tej dziewczyny tak wytrąciło ją z równowagi. Należała do Invictus, była uczennicą Varosa. Słyszała gorsze

rzeczy. Robiła gorsze rzeczy.

A jednak nie potrafiła zapomnieć o tym, co imperator poprzedniego dnia zrobił jej na placu treningowym. Zupełnie jakby zginęła z jego ręki i odrodziła się jako roztrzęsiona, nerwowa wersja samej siebie.

Twardy supeł złości powiększał się w gardle Jessamyn, gdy szła szybkim krokiem szerokim korytarzem prowadzącym do biblioteki. To wszystko była wina Eliany. Nie zgadzała się poddać, co miało fatalny wpływ na humor imperatora.

Jessamyn od kilku tygodni słyszała w Lyceum pełne wściekłości i lęku szepty. Z każdym dniem przez Bramę przedostawało się więcej krucjuszy. Sunderlandy były już stracone, a na Morzu Północnym roiło się od potworów. Tysiące aniołów patrolowały wybrzeża Celdarii i Borsvallu, żeby nie dopuścić do inwazji krucjuszy na Elysium. Używano wynalezionych przez imperatora waekordii, aby strącać jedną bestię za drugą z nieba. Żadna jeszcze nie przedarła się na kontynent, ale aniołowie ginęli tuzinami, a Imperium nie nadążało z dostarczaniem dla nich nowych ciał.

Front nie mógł się utrzymywać w nieskończoność.

Jessamyn rozejrzała się po bibliotece za Remym. Jej serce pulsowało obcym, gniewnym strachem, którego nie potrafiła się pozbyć. Sprawiał on, że jej umysł wydawał się gorący i przytłoczony. Eliana miała moc pozwalającą zapieczętować Bramę i raz na zawsze rozwiązać ten problem Imperium, lecz odmawiała jej użycia. Jeśli imperator nie zdoła jej w porę złamać, jej bezczynność skaże ich wszystkich na śmierć.

Jessamyn myślała sobie, że nie da się wykluczyć, iż imperator nie jest już dostatecznie silny albo dostatecznie w pełni władz umysłowych, aby przełamać opór Eliany. Minęły miesiące od jej przybycia, a mała, zagubiona księżniczka nie dawała się pokonać.

Jessamyn wstrzymała oddech, czekając na karę z nieba. Jakiś anioł usłyszy jej zdradzieckie myśli i przyjdzie po nią, zawlecze ją do pałacu i pozwoli, by admirał Ravikant pokroił ją na kawałki.

Jednakże w bibliotece było ciemno i cicho. Na jej przeciwległym końcu paliła się niewielka lampa, a ciemnowłosa sylwetka pochylała się nad książką. Remy uczył się przy swoim ulubionym stole. Jessamyn odetchnęła powoli.

Kiedy Varos żył, jej lojalność była niezachwiana, posłuszeństwo absolutne i pozbawione namysłu. Teraz jednak Varos był martwy. Jessamyn na własne oczy widziała niestabilny stan umysłu imperatora. Po Lyceum krążyły plotki, a potwory zalewały falą świat.

Po raz pierwszy w sercu Jessamyn nabrzmiewały powoli wątpliwości. Nienawidziła się za to. Zwątpienie było słabością; zwątpienie było zdradą.

Mogła zrobić tylko jedno. Musiała wymagać od Remy'ego jeszcze więcej podczas treningu. Zaprezentować go Radzie Pięciorga i imperatorowi, a potem Elianie. Jessamyn wyobrażała sobie rozpacz malującą się na twarzy tej dziewczyny, gdy zrozumie, co zrobiono z jej bratem – a później uchodzącą z niej wolę walki.

Z nową pewnością Jessamyn potrząsnęła rękami, jakby strzepywała z nich kurz, a następnie przeszła na palcach przez bibliotekę do miejsca, w którym siedział Remy.

Gdy jednak znalazła się przy jego stole, on zniknął. Książka nadal była otwarta, lampa paliła się miękkim światłem.

Jessamyn zaklęła półgłosem, wyciągnęła sztylet z buta i obróciła się błyskawicznie, ale Remy, którego uwagi nie zaprzętały wywrotowe myśli, poruszał się szybciej.

Wyskoczył z cienia i rzucił się na nią. Przycisnął jej nóż do gardła, uderzył mocno w splot słoneczny. Wykręcił jej ramię i prawie udało mu się

ją rozbroić.

Prawie.

Otrząsnęła się błyskawicznie i trafiła go szybkim ciosem w biceps.

– Chodzisz zbyt głośno, *kaeshana* – powiedział Remy głosem, w którym pobłyskiwało srebro. Wypuścił ją. – Wpadłaś przez drzwi biblioteki jak zwierzę. Myślałaś, że nie usłyszę? – Odezwał się po raz pierwszy od tego, co zrobił z nim imperator dwa dni temu. Cokolwiek to było, sprawiło, że Eliana chciała odebrać sobie życie.

– Postanowiłam być wspaniałomyślna – odparła Jessamyn. – Uznałam, że dam ci odrobinę przewagi.

Zapanowała nad rozproszonymi myślami, stłumiła przypływ irytacji na myśl o tym, że zdołał ją całkowicie zaskoczyć, i obeszła stół, żeby mu się przyjrzeć.

Przez te miesiące, które upłynęły od jego przybycia do Elysium, Remy zrobił się wyższy. Urósł pewnie o około pięć centymetrów. Teraz, gdy od kilku tygodni mieszkał w Lyceum, chodził wyprostowany, a nie kulił się jak więzień. Blask jego oczu był ostry i wyrażał koncentrację. Stał z dłońmi splecionymi za plecami, czekając na jej rozkazy. Posłuszny uczeń ze schludnie zaczesanymi ciemnymi włosami i równo ułożonym kołnierzykiem tuniki. Na policzku miał ledwie widoczny ślad cięcia po ich zeszlotygodniowym treningu.

Jessamyn popatrzyła na czytaną przez niego książkę o zbrązowiałych kartach, napisaną w języku staroceldaryjskim. To była część szkolenia każdego zabójcy Invictus – opanowanie w stopniu biegłym języków Dawnego Świata, języków anielskich oraz wszystkich języków nowożytnych.

– Skończyłeś tłumaczenie? – zapytała.

– Prawie – odrzekł Remy.

– Prawie nie wystarczy. Powinieneś do tej pory przełożyć całą książkę. – Jessamyn zatrzasnęła tom i kopnięciem przewróciła krzesło. Jego trzask odbił się echem w cichym, przestronnym wnętrzu. – Idziemy na plac treningowy. Będziemy walczyć do świtu, a potem siądziesz i skończysz to. Dopóki tego nie zrobisz, niczego nie zjesz.

Remy drgnął, ale patrzył prosto przed siebie. Na policzku miał wyraźny siniec po gwałtownym ciosie, który Jessamyn wymierzyła mu kilka dni temu.

– To będzie błąd – powiedział spokojnie. Tylko leciutkie drżenie w jego głosie zdradzało zdenerwowanie.

Jessamyn wbrew sobie poczuła podziw dla jego nieposłuszeństwa.

– Och? – Podeszła, żeby przyjrzeć mu się z bliska. – Czyżbyś oszalał, mały *virashto*? Czy moje pięści wytlukły z ciebie cały rozum?

Remy milczał przez chwilę, zanim odważył się na nią spojrzeć. Jego twarz była obojętna, ale w oczach malowała się litość, która wyprowadzała Jessamyn z równowagi.

– Walka ze mną do świtu będzie błędem – oznajmił. Jego głos łamał się w mutacji, nie należał ani do chłopca, ani do mężczyzny. – Potrzebujesz odpoczynku, a jeśli wrócisz do pałacu po bezsennej nocy, popełnisz kolejny błąd i wzbudzisz niezadowolenie imperatora.

Jessamyn wpatrywała się w niego oniemiała.

– Widziałem, co stało się wczoraj na placu treningowym. – Remy odwrócił wzrok. – Zakradłem się na strych i patrzyłem, jak walczysz z Nevą. Widziałem, kiedy do ciebie przyszedł. Był chyba zbyt zajęty, by się zorientować, że tam jestem. Widziałem, jak inni się przewracali. Widziałem, jak cię zaatakował.

Usta Remy'ego się wykrzywiły. Przygryzał od wewnątrz wargę – to był nerwowy tik, który Jessamyn starała się z niego wypłenić od pierwszego

wspólnie spędzonego tygodnia. Powinna go za to uderzyć, ale była zbyt zszokowana, żeby się ruszyć.

– Słyszałem też, co się stało z Elianą – dodał z jasno lśniącymi oczami. – Słyszałem, że omal nie użyła twojego noża. Wszyscy o tym mówią.

– Wszyscy – powtórzyła Jessamyn, ukrywając swój szok.

– Tutaj, w Lyceum. Zauważam różne rzeczy, kiedy ciebie nie ma. Zakradam się w rozmaite miejsca i szpieguję, tak jak mnie nauczyłaś. – Spojrzał na nią znowu, z gwałtownością, która ją zaskoczyła. – Nie wydaje mi się, że powinnaś dzisiaj ze mną walczyć. Myślę, że potrzebujesz odpoczynku. Myślę, że powinnaś się skoncentrować.

Jessamyn w końcu zdołała zaśmiać się lekko.

– Jesteś niezwykle oddanym uczniem. Czuję się wzruszona twoją troską. Twoją, osoby, która mnie nienawidzi i prawdopodobnie ucieszyłaby się, gdybym została stracona lub wygnana przez Radę Pięciorga. Wyrzucona do obozu namiotowego, na pastwę uchodźców.

– Nie ma znaczenia, czy cię nienawidzę – odpowiedział Remy. – Musisz pozostawać żywa i cieszyć się łaskami imperatora. To, że jesteś żywa, jest przydatne dla mnie.

Cienie w bibliotece nagle wydały się groźne, jakby kryły ciężar spojrzeń wielu oczu. Czyli podsłuchał szept. Inni uczniowie bez wątpienia plotkowali o jej domniemanej porażce. Jessamyn się roześmiała, obchodząc Remy'ego, żeby nie widział jej twarzy i nie dostrzegł, do jakiego stopnia ją wstrząsnął.

Później okręciła się na pięcie i kopnęła go w plecy, aż poleciał na stół.

– Powinnam się skoncentrować? – warknęła, przełykając odrażający strach, który skręcał się w jej gardle. – Ty także, mały *virashto*. Jeśli ci się wydaje, że zdołasz się wykręcić od tej walki, to się grubo mylisz.

Remy spojrzał na nią ze złością przez ramię i otarł krew z warg.

Potem rzucił się na nią, a Jessamyn poczuła, że jej ciało się odpręża, gdy wymierzyła mu pierwszy brutalny cios w głowę. Będą walczyć, dopóki to ona nie zdecyduje, że czas na odpoczynek.

Będą walczyć, aż Remy przypomni sobie swoje miejsce – a ona swoje.

Rielle

Niektórzy badacze uważają, że empirium to moc obdarzona świadomością, życzliwa i miłosierna, będąca darem od łaskawego Boga. Inni twierdzą, że jest ono całkowicie obojętne wobec życia, które stworzyło. Ja zgadzam się z teoriami, że empirium i Bóg są jednym i tym samym. To nie jest siła nam wroga ani szczególnie życzliwa. Po prostu jest – niemożliwa do objęcia rozumem esencja, zaś ja się cieszę, że nie mogę jej świadomie dotknąć.

*– Niepoznawalna esencja. Studium empirium oczami ludzi
pozbawionych magii żywiołów, zbiór esejów opracowany przez
celdaryjską bibliotekarkę Vaillanę Morel z Pierwszej Gildii
Akademików*

Krople deszczu spadły na policzki Rielle, a ona podniosła twarz, by je powitać.

Rozłożyła szeroko ramiona, ponieważ otaczał ją okropny żar, a w jej krwi buzował ogień. Rozpaczliwie potrzebowała ochłody.

Jednakże deszcz okazał się gorący, a gdy dotknął jej warg, miał w sobie drażniącą gęstość, czerwoną cierpkość. Coś zwijało się ciasno w jej piersi, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że krople na twarzy nie są wodą, lecz krwią.

Stała w płytkiej kałuży krwi na krawędzi urwiska, z którego rozciągał się widok na szereg kamienistych zatoczek. Jej wspomnienia powoli powracały. Obritsa zabrała ją na wschodnie wybrzeże Meridianu w poszukiwaniu tutejszych strażników Obex i trójzębu świętej Neridy.

Wiatr z oceanu poniżej szarpał jej przesiąkniętymi krwią włosami. Fale się załamywały i ryczały jak bestie walczące o mięso. Gdzieś dalej szalał sztorm.

Wiele sztormów, jak stwierdziła Rielle, gdy wyciągnęła swoje moce nad przestrzenią wody i odczytała słowa wyryte na niej przez empirium. Tysiące sztormów wyrywały się z Bramy i przesłaniały niebo na całym świecie.

Rielle się roześmiała, oblizwała wargi i oparła rękami o śliską ziemię. Grunt zafalował pod jej dłońmi, które nadal były rozpalone. Wibrujące echo zniszczonego trójzębu świętej Neridy pozostawało na jej skórze. U stóp leżała połamana strzała. Strażnicy Obex próbowali do niej strzelać, jakby była jakąś zwyczajną napastniczką. Jakże krzyczeli, tuż zanim ich wymazała.

Rielle obejrzała się przez ramię, prosto na Obritę. Małą podróżniczkę, jasnowłosą i brązowoskórą królową Kirvayi. Dziewczyna lśniła – złoto powlekało jej dłonie, w których spoczywało empirium czekające, aż zacznie splatać nici. Złoto powlekało jej umysł z całym jego wypracowanym opanowaniem i koncentracją. Złoto było w oceanie i na niebie, pulsowało pod czarnymi skałami i niespokojnymi falami, podnosząc się i podnosząc.

– Słucham? – zachrypiała drwiąco Rielle. – Masz mi coś do powiedzenia?

Futro Obrity także było ochlapane krwią. Popiół ze spalonych ciał unosił się w powietrzu, ale dziewczyna nie wzdrygała się na jego widok.

Odwzajemniła wzrok Rielle i zapytała:

– Czy brałaś kiedyś pod uwagę zabicie go?

Rielle się roześmiała. Włoski zjeżyły się jej na karku.

– Zabicie go?

– Myślę, że mogłabyś to zrobić. – Płatek popiołu osiadł na rzęsach Obritsy. Nie zwróciła na niego uwagi, jej twarz była pozbawiona wyrazu jak oszlifowany przez wodę kamień. – To jasne, że możesz niszczyć ciała. Myślę, że mogłabyś zniszczyć także jego, gdybyś zechciała. Wymazać jego samo istnienie od środka. Umysł, ciało... są tym samym, prawda? Na najgłębszym poziomie składają się z empirium, tak jak wszystko inne.

„Czy mogłabym go zabić?” – Rielle spróbowała to powiedzieć, ale sama myśl prześlizgiwała się przez jej umysł jak węgorz o ostrych zębach, drapieżny i nieuchwytny. Skręcał się w jej wnętrzu, a jego oczy były blade jak oczy Coriena w oświetlonej blaskiem księżyca sypialni, obłe ciało lśniło obsydianem tak jak jego włosy.

Wściekłość wybuchła w niej momentalnie. Podeszła do Obritsy i przewróciła ją jednym ruchem. Głowa dziewczyny uderzyła w miękką ziemię pomiędzy kamieniami, płaski skrawek czarnego błota. Rielle widziała gniewny, czerwono-czarny błysk bólu w czaszce dziewczyny i gwiazdy wirujące jej szybko przed oczami.

– Nie będziesz wspominać o tym ani o nim, nigdy więcej – syknęła Rielle. Zaledwie godzinę temu była śmiertelnie zmęczona. Teraz, wśród krwi i z brutalnością zniszczenia buzującą w jej żyłach, czuła się jak nowo narodzona.

Obritsa wpatrywała się w nią bez tchu.

– Powinnam była cię powstrzymać, zanim zabiłaś strażników Obex. Nie jesteś sobą. Twoje oczy zmieniają się tak szybko. Złoto pożera zieleń.

– Powstrzymać mnie? – Rielle uśmiechnęła się szeroko. – Nie miałabyś szans.

W tym momencie wyczuła w powietrzu zmianę. To powietrze było jej posłuszne, znajdowało się w niej i należało do niej. Mogło uformować maczugę i rozgnieść Obritsę na ziemi, gdyby tylko Rielle zapragnęła.

Poruszyło się i poskładało, żeby zrobić miejsce dla jeszcze trzech osób na tym czarnym urwisku nad morzem. Kiedy Rielle podniosła głowę, zobaczyła dwa zamykające się kręgi światła.

W nosie poczuła znajomy dymny zapach nici, które jednak nie należały do Obritsy.

Należały do dwojga Naznaczonych – mężczyzny znanego Rielle i kobiety, którą widziała po raz pierwszy. Mężczyzna był wysoki, niebieskooki, z ogorzałą twarzą i szczeciniastymi włosami. Kobieta wysoka, smukła i jasna. Mężczyzna opuścił lśniące dłonie. Jego ciało było zeszywniałe z napięcia, a na jego twarzy Rielle dostrzegła miękkie współczucie, chociaż wyraźnie także się bał.

– Garver? – wyszeptała. Jego widok w tym miejscu był niestosowny i głęboko niepokojący. Wyobrażała sobie, że pozbywa się go z tego świata jednym machnięciem ręki. Nie chciała myśleć o domu, o Audricu z nasyconym zazdrością pytaniem na twarzy, ale Garver stał przed nią i przypominał jej o tym wszystkim samym swoim istnieniem.

Ktoś inny wyszedł zza pleców Garvera i to było jeszcze gorsze. To był cios, który sprawił, że Rielle się zachwiała i zadrżała ze złości na myśl o tym, że on za nią podążał, że zdołał ją tutaj znaleźć. Nigdy wcześniej nie widziała go tak zaniedbanego. Był chudszy, a poplątane jasne włosy związał w nieporządną węzeł.

Tal. Jej serce zacisnęło się na tym imieniu.

Szedł w jej stronę szybkim krokiem, z radosną ulgą na twarzy, a Rielle natychmiast uświadomiła sobie, co on zobaczy – ją samą ochlapaną krwią, jej dłonie przyciskające Obritsę do ziemi. Otaczający je krąg zniszczenia, popiołu i śmierci.

Po raz ostatni widział ją w noc jej ślubu. Była złocistą istotą wystrojoną w aksamit i koronki, głupią i szczęśliwą. Była też szczuplejsza niż teraz, jej

brzuch i twarz nie stały się jeszcze tak zaokrąglone.

– Rielle! Dobrzy święci, dzięki Bogu, że nic ci nie jest. – Słowa wyrywały się z niego jedno za drugim. Gdy wyciągnął do niej rękę, przerażenie przeszło ją jak błyskawica.

– Odsuń się ode mnie – warknęła, nie wypuszczając Obritsy. Dziewczyna by uciekła; ich dziwny, krótkotrwały sojusz został z pewnością zerwany w momencie, gdy Rielle ją zaatakowała. Bez niej, jeśli Rielle nie zdążyłaby złapać Garvera lub jego przyjaciółki, zanim przeniosą się poprzez nici w bezpieczne miejsce, zostałaby uwięziona tutaj, na tym okropnym, szarpanym sztormami wybrzeżu, a Corien potrzebowałaby całych miesięcy, żeby ją stąd zabrać.

Tal umilkł, zaskoczony, a jego radość przygasła. Popatrzył na ochlapane krwią głązy nad urwiskiem.

Ich oczy się spotkały.

– Wszystko w porządku, Rielle – powiedział, jakby uspokajał dziecko. – Rozumiem, co tu się stało.

Roześmiała się. Tak jakby ze swoim prostym umysłem i przeciętnym talentem mógł zrozumieć cokolwiek z tego, co ona czuła i czym była.

Zbliżył się do niej, unosząc dłonie.

– Nie musisz się wstydzić. Niszczysz formy świętych, prawda? Postanowiłaś nie otwierać Bramy. – Na jego ustach malował się lekki uśmiech. – Wiedziałem, że mu nie pomożesz. Wiedziałem, że oprzytomniejesz. Byłaś rozgniewana i przestraszona. Rozumiem to.

– Oprzytomnieję? – Spojrzała na niego gniewnie przez rzęsy. Świat pulsował odcieniami bursztynu i brązu. – Nic nie wiesz o moim umyśle i nigdy nie zdołasz go pojąć.

– Ale chciałbym, Rielle. – Przykląkł powoli, żeby znaleźć się na jej wysokości. – Chcę wiedzieć, co widzisz. Chcę zrozumieć wszystko, co

wyrządza ci krzywdę.

Obritsa szamotała się w uścisku Rielle, oddychając płytko i szybko.

– Nie możesz. – W Rielle narastała ogromna frustracja. Ignorancja Tala budziła jej odrazę. – Moja potęga jest poza zasięgiem wszystkich żyjących.

– Może jeśli wrócisz ze mną do domu...

– Do domu? – Roześmiała się krótko. Odetchnęła z drżeniem, które wycisnęło łzy z oczu. Jej głos był ledwie słyszalny. – Nie mam domu.

– Owszem, masz. – W słowach Tala była nieskończona czułość, a ona nie była w stanie wytrzymać tego, że on ośmiela się być czuły w momencie, gdy ona stała się tak kolczasta, tak lepka od krwi.

– Odejdź stąd, Talu. Mówiłeś, że mnie kochasz. Udowodnij, że to prawda, i uszanuj moje życzenie.

– Twój dom jest w Âme de la Terre – podjął, niezrażony. – Przy mnie, Audricu i Ludivine. Przy królowej Genoveve, Sloane, Miren. – Tal obejrzał się przez ramię na ponurego Garvera. – Przy twoim przyjacielu Garverze Randellu i jego synku.

Rielle wyczuła moment, gdy Corien zapanował nad umysłem Obritsy. Ciało dziewczyny zwiotczało pod jej dłońmi, więc Rielle z ulgą się cofnęła, zostawiając ją na ziemi. Garver natychmiast chciał podejść do Obritsy, ale Rielle machnęła ręką i wepchnęła go w splątany krzak, daleko od krawędzi urwiska. Towarzysząca mu blada kobieta podbiegła do niego z ostrym okrzykiem.

Tal stężał.

– Proszę, Rielle. Wróć ze mną do domu. Nie musisz już uciekać.

– A cóż takiego powinnam zrobić, kiedy wrócę z tobą do domu? – Rielle przykucnęła na ziemi, w jej uśmiechu pojawiło się okrucieństwo. – Czy powinnam przejść dumnie ulicami, żeby powitać moich wielbicieli?

Czy powinnam skomponować pieśń do słów przekleństw, którymi będą mnie obrzucać? Powiedz mi, Talu, co się rymuje z Królobójczynią?

– Rielle. Nic takiego się nie zdarzy.

– Okłamujesz mnie. – Potrząsnęła głową, czując narastający suchy śmiech. Dotknęła bolącej skroni. – Wszyscy mnie stale okłamują. Audric mówił, że go to nie obchodzi, że to bez znaczenia, ale to ma znaczenie. Nie może tego przede mną ukryć.

– Jeśli wrócisz do domu, jeśli powiesz wszystkim, co się stało, zrozumieją. Zaakceptują cię.

– Oni mnie nienawidzą – szepnęła Rielle. – Zawsze będą mnie nienawidzić, a ty o tym wiesz.

Tal rozłożył ramiona, jego twarz była tak pełna ciepła i otwartej miłości, że Rielle, zmęczona, z głową pulsującą bólem i kwaśnym smakiem śmierci w ustach, pozwoliła mu się zbliżyć. Przytulił ją do piersi, ostrożnie przytrzymując jej głowę. Przycisnął usta do jej włosów, nie zwracając uwagi na krew.

Rielle na chwilę zamknęła oczy i zezwalała na to.

Wtedy jednak Tal zaczął mówić.

– Byłaś zdezorientowana – powiedział cicho. – On wślizgnął się do twojej głowy, żeby cię oszukać. Rozumiem to.

Rielle odepchnęła go i wstała z trudem. Świat rozmywał się jej od łez, a ona była wściekła, że Tal widzi to i sądzi, że ona potrzebuje pociechy. Ściągnęła łzy w dłonie, zamieniła je w ogień i cisnęła na ziemię, gdzie pozostały i zaczęły się rozrastać.

Tal ze zdumieniem patrzył w płomienie. Tarcza, którą miał na plecach, wydawała się przy nich żalosna jak zabawka odpowiednia tylko dla dziecka.

– Nie zostałam oszukana – warknęła Rielle z suchymi oczami. – Chciałam odejść. Pragnęłam go. On się mnie nie boi. Podziwia to, co mogę zrobić, i chce, bym robiła tego więcej.

Tal wpatrywał się w nią spomiędzy skał ze zgrozą.

– To oczywiste! On chce cię wykorzystać!

– Chce, żebyśmy działali razem, ramię w ramię.

– A co cię czeka, gdy to dzieło się dokona? Wszystko, co kochasz, zostanie zniszczone. Wszystko, co znałaś, przepadnie.

– Jeśli postanowię kogoś oszczędzić, on na to pozwoli.

– Posłuchaj sama siebie!

– On mnie kocha, Talu.

– My także. – Tal wstał, a jego tarcza zaiskrzyła, gdy nabrzmiął w nim gniew. – Kochamy cię, Rielle, i nie zażądamy, żebyś przelewała krew.

– A jeśli ja chcę przelewać krew? Czy nadal będziecie mnie kochać?

Zawahał się i to wystarczyło.

Rielle odsunęła się od niego.

– Czytam z twojej twarzy. Przeraza cię to, czym jestem. Budzi twoją odrazę.

– Nie, kocha...

– Życie w cieniu, ukrywanie się w miękkich komnatach, modlenie się o spokój ducha, wychodzenie tylko po to, żeby nawodnić umierające pola lub ochłodzić letnie wiatry, to nie jest życie, jakie chcę prowadzić. Umarłabym za życia, nawet jeśli otaczałoby mnie tyle miłości, ile mi obiecujesz.

Coś się działo z twarzą Tala. Jej mięśnie się napinały, jego oczy lśniły smutkiem.

– Rielle, nie tak by wyglądało twoje życie – zapewnił. – Byłabyś chroniona przez wszystkich. Stopniowo przyzwyczailibyśmy ludzi do

ciebie, zapraszalibyśmy na dwór tych, którzy chcieliby zadawać pytania albo wyrazić obawy.

– A do czasu, gdy mogłabym bezpiecznie wychodzić z domu, powinnam siedzieć pokornie u boku Audrica z naszym dzieckiem w ramionach? Wierna żona i królowa, milcząca ze wstydu? Błagająca o wybaczenie? Próbuująca przekonać wszystkich, którzy patrzyliby na mnie z obrzydzeniem, że moje dziecko nie zostało spłodzone przez anioła? Czy musiałabym co miesiąc pokazywać ją mistrzom, by udowodnić, że na jej plecach nie pojawiają się znaki czarnych skrzydeł?

– Nie... Boże, nic takiego by się nie stało, przysięgam ci, Rielle. Potrzeba czasu, ale...

– Przestań mnie okłamywać!

Pod Talem ugięły się nogi. Rielle patrzyła, jak upada, a jej ciało było zeszytywniałe od gniewu. Widziała miejsca, w których odczuwał ból – czaszkę, pierś, brzuch. Ciemne ślady od nacisku jej mocy. Jego światło było tak blade, tak pospolite. Empirium w jego wnętrzu było tylko słabym poblaskiem. Zdumiewało ją, że nigdy wcześniej tego nie zauważyła.

– Wiesz, że nic już tam dla mnie nie zostało – wyszeptała. – Być może nigdy niczego nie miałam.

– Tam jest twoja rodzina – wykrztusił Tal, wyciągając do niej rękę. – Twoi przyjaciele, twoi nauczyciele. Nie wiem, do czego przekonał cię Corien, ale nie jesteś potworem zdolnym tylko do niszczenia. Jesteś kochana, Rielle.

– Kłamiesz! – Machnęła rękami z dłońmi sztywnymi z gniewu. Tal spróbował wstać, ale popchnęła go z powrotem na ziemię. Szarpał się bezsilnie i usiłował chwycić się za gardło. Oczy wychodziły mu na wierzch, żyłki nabrzmiały jak pęknięcia.

– Byłbym gotów dla ciebie umrzeć – wyszeptał, wijąc się w drgawkach na ziemi. Wyrwał się mu straszny, mroczny jęk, przepełniony bólem, a Rielle dostrzegła błysk mocy w jego oczach, tuż zanim Tal krzyknął z wysiłku. Sięgnął ręką za siebie, walcząc z uściskiem Rielle tak gwałtownie, że pękła mu kość, a potem, z twarzą pobielającą z bólu, chwycił swoją tarczę.

Rozkwitła wieńcem ognia. Rielle zobaczyła Garvera skulonego w krzakach kilka metrów dalej i bladą kobietę, która pomogła mu usiąść. Garver osłaniał dłońmi niewielki płomień prowizorycznej pochodni. U jego stóp leżała obszarpana torba z zapasami.

Rielle spojrzała w ogień, którym cisnął w nią Tal, i przez jeden krystalicznie czysty moment jej oczy były nieskończone i bezlitosne. Tysiące maleńkich więzów drżało przed nią, miliony wirujących gwiazd empirium czekały na jej rozkaz. Wewnątrz niej setka drzwi otworzyła się na oścież.

Łatwo było skierować ogień z powrotem do jego źródła. Tal wydał zdławiony krzyk, który natychmiast ucichł.

Dopilnowała, by spłonął błyskawicznie.

Nawet potwory nie są całkowicie pozbawione miłosierdzia.

Całe godziny później szept sprawił, że Rielle się podniosła.

Oblizwała wargi i poczuła smak popiołu, a potem zobaczyła Coriena stojącego na krawędzi urwiska. Czują, jak ostrożnie przesuwa się przez jej umysł. Jak jeleni wychodzący krok po kroku na łąkę po burzy. Obawiał się, że Rielle znowu ucieknie.

Roześmiała się słabo.

– Nie mam już dokąd uciekać – wyszeptała. Dotknęła mokrego płaszcza, a na jej palcach pozostała czerń zniszczenia.

Nie musisz, powiedział Corien, a jego widmo otworzyło przed nią ramiona. Przycisnęła policzek do jego piersi, rozkoszując się ciepłem, które przekazywał czule do jej umysłu, ale nawet to nie przynosiło większej pociechy. Była jak odrętwiała. Palce mrowiły ją od ognia. Wpatrywała się pustym wzrokiem w blednące złote miejsce na ziemi, gdzie wcześniej był Tal.

Pełnemu zrozumieniu jej bezgranicznie groteskowej nieprawdopodobności towarzyszyła samotność – a także perwersyjna ulga, że teraz, gdy prochy Tala pokrywają jej futro, ona już nigdy nie może wrócić do domu.

Corien przytulał ją i szeptał rzeczy, których nie słyszała, ale wtedy odezwał się do niej inny głos, czysty jak dźwięk trąbki, więc odwróciła twarz na północny wschód, nasłuchując.

Wyobrażony Corien obserwował ją niepewnie, gdy wyminęła go, by podejść do krawędzi urwiska. *Co takiego słyszysz?*

Zastanowiła się, jak mu to wyjaśnić – że ten głos należał do bezkresnego istnienia poruszającego się w jej wnętrzu i że teraz rozumiała go znacznie wyraźniej, gdy jej oczy zostały otwarte przez ogień, który sama stworzyła. To coś budziło się w niej od lat, a teraz, nareszcie, przeciągnęło kończyny i otworzyło szeroką czarną paszczę.

Pamiętała czarno-złote morze, które ją pochłonęło, gdy wymordowała strażników Obex w Patrii. Teraz powróciło, omywając ją, a ona się go nie bała. Żyło w jej krwiobiegu, a ona akceptowała jego bezkresną wolę. Czowała, że ją przyciąga, skubie. Żywi ją i jest jej głodne.

Odwróciła się do Coriena. U jego stóp leżała bez ruchu Obritsa. W pobliżu nie było nikogo; Garver i jego towarzyszka prawdopodobnie uciekli, albo też Rielle również ich zabiła. Na myśl o tym nie czuła niczego.

Rielle, powiedz mi, o czym myślisz, nalegał Corien z niepokojem dźwięczącym w głosie.

– Muszę się udać pod Bramę. – Jej usta się poruszały; była we własnym ciele i jednocześnie wszędzie indziej, rozpraszała się po świecie, niesiona przez sztormy. Była sobą i była migotliwym czarnym morzem wewnątrz siebie, a także oceanem uderzającym w dole o skały. Roześmiała się. Brama. Oczywiście. – Tylko to jedno mi zostało – wyszeptała. – Dokonałam wyboru. Teraz zostało tylko to. Ja, moje moce i rzeczy, które rozkazuję im zrobić.

I ja, dodał cicho Corien.

Rielle go zignorowała. Patrzyła na fale i widziała tylko nieskończone warstwy złota. Morze gwiazd kształtujące świat. Oślepiały ją, ale nie potrafiła oderwać od nich wzroku.

– Wzywa mnie – powiedziała – a ja muszę odpowiedzieć.

Corien skinął głową i zniknął. Zaraz potem Obritsa usiadła. Miała zaszkłone oczy, a na szyi siniaki od palców Rielle. Chociaż Rielle widziała, że dziewczyna próbuje walczyć z rozkazami Coriena, Obritsa uniosła ręce, wezwała nici i splotła je w okrąg. Rielle przeszła przez nie na mokrą czarną wyspę pośrodku oceanu. Wiatr rzucił ją na kolana.

Nie bój się, rzekł Corien głosem, który był jak rzucona jej lina miłości. Przylgnęła do niego. *Jestem tutaj z tobą. Od tygodni zmierzam do ciebie. Spotkamy się tam, moja piękna.*

Rielle ledwie go słyszała. Obritsa przeszła za nią przez nici na czarną wyspę i zaczęła znowu. Jej wymizerowana twarz zastygła w koncentracji, oczy miała zamglone przez Coriena.

Kolejny pierścień światła. Rielle przeszła przez niego, a wtedy Corien wysłał do jej umysłu mapę Oceanu Wielkiego z długim łańcuchem

starannie naszkicowanych wysp, które tworzyły zygzakującą ścieżkę przez fale.

Nie potrzebuję tego, powiedziała mu, ponieważ jej mapa była bardziej dokładna. Kiedy podróżowały, empirium falowało czernią i złotem w jej żebrach, a ona się śmiała, a także szlochała z przerażenia i tęsknoty, bo nigdy jeszcze nie było tak wyraźne, tak niecierpliwe. Nawet wtedy, gdy jej cienisty smok polizał twarz Archona. Nawet kilka godzin temu, gdy zabiła strażników Obex w Meridianie. Twarz Tala pojawiła się w jej umyśle, pełna bólu i miłości, ale empirium wezbrało i ją pochłonęło.

Kolejna wysepka na Morzu Północnym. Po prawej stronie rozciągało się wybrzeże Celdarii jak odległa ciemna wstęga. Patrzyła na nie i niczego nie czuła.

Następny krąg światła przeniósł ją na Iastrę, największą wyspę Sunderlandów, przed ogromną skalną płytą, na której wznosiła się Brama.

Obritsa upadła na kolana z twarzą ściągniętą bólem. Corien ją wypuścił, więc skuliła się na ziemi i zwymiotowała.

Rielle ominęła ją i podeszła bez pośpiechu do Bramy. Strzały pofrunęły w jej stronę, wokół rozległy się krzyki. Strażnicy Obex spodziewali się jej nadejścia. Zabrzmiał dźwięk rogu, słychać było kroki biegnące po kamieniach.

Podniosła rękę i uciszyła ich wszystkich. Nie bawiło jej, że próbują ją powstrzymać. Byli po prostu żałośni. Ich ciała osunęły się za nią, wszystkie czterdzieści jednocześnie.

Brama wznosiła się wysoko, monument z poruszającego się światła obramowany skałą. Rielle podpłynęła do niej, ledwie dotykając stopami ziemi. Empirium pchało ją do przodu, jej własne pozłacane mięśnie niosły ją i czuła zdumienie na myśl, że kilka miesięcy temu stała w tym samym miejscu. Popatrzyła na Bramę i tuziny szczelin migoczących na

powierzchni z sinego światła; czarnych, fioletowych i biało-niebieskich jak płomienie. Tamta dziewczyna uważała się za dość silną, by naprawić to coś, co stworzyli święci.

Jakże była głupia pod wieloma względami. Na myśl o tym w Rielle zapłonął gniew zimny i czysty jak ogień gwiazd.

Empirium wypełniło jej uszy, ryczało dla niej.

należę do ciebie

Myśl, że może potrzebować czegokolwiek poza swoimi dłońmi, aby stwarzać lub niszczyć, wydawała się jej teraz komiczna. Roześmiała się, pijana zdumieniem.

należysz do mnie

Rielle wstąpiła na starożytnie podwyższenie i zanurzyła dłonie w Bramę.

Moc płynęła przez nią – wieczny prąd, który sprawiał, że jej krew stawała się nieźnośnie gorąca, i potrzasał jej kośćmi. Chwyciła tkanę empirium, zdumiewając się tym, jak gruba jest tutaj, przy Bramie, jak ściśle spleciona, jak rozpaczliwie pragnąca wolności. Falowała jak boki wielkiej bestii. Rielle odsunęła ją od swojego ciała, a z każdym nowym centymetrem z Bramy wystrzeliwały błyskawice, uderzające w nią raz za razem – w jej czoło, pierś, biodra. Brzuch, w którym rośnie jej dziecko.

Nieoczekiwanie jej serce przeszył desperacki strach.

Nie pozwól jej umrzeć, powiedziała do empirium, gdy Brama starała się ją spalić; wydawało jej się, że poczuła w jego bezkresnej zachłanności zapewnienie, wysłane znikąd i zewsząd.

ona się narodzi

Czyli to będzie dziewczynka, tak jak sądziła. Rielle z uśmiechem otwierała Bramę szerzej, rozrywając na kawałki to, dla czego stworzenia święci przelali tyle krwi. Pchała i szarpała, aż stanęła przed otwartą Bramą, z wyciągniętymi sztywno w górę ramionami i głową uniesioną ku niebu.

Wściekłe prądy mocy szarpały ją na strzępy i zszywały na nowo złotymi ściegami.

Ponad nią rozległo się wycie, jakby wszystkie wichry się zgromadziły, by uczcić tę okazję.

Rielle ledwie zdołała otworzyć oczy. Po policzkach spływały jej łzy, ale nawet rozmyty widok uciekających aniołów był wspaniały – wartka kaskada cieni, echo rytmicznie uderzających czarnych skrzydeł.

Wylewali się ze światła Bramy jak uwolniona rzeka. Niektórzy w przelocie muskali ją swoimi umysłami i ich napęczniała, chłodną nicością. Spadał na nią grad szaleńczej wdzięczności, triumfalnej furii, a Rielle drżała, gdy ją mijali. Zasypywały ją obrazy: trzepot lśniących skrzydeł, rozbłyśki światła łączące je z ciałami gładkimi i lśniącymi jak ciała fok. Włosy płynące niczym srebrne strumienie. Niebosiężne miasta zwieńczone spiralnymi wieżyczkami.

Rielle nie potrafiłaby określić, jak długo tak stała. Gdy w końcu osunęła się na kolana i dłonie, leżała na ziemi, szlochając i uśmiechając się przez łzy. Jej ciało wibrowało tysiącem siniaków; jej skóra syczała od ognia. Mimo to żyła, a jej dłonie były nagie, stanowiąc dowód na to, czym była. Aby dokonać tak monstrualnego dzieła, potrzebowała tylko samej siebie.

Corien pojawił się przy niej, rozgorączkowany. Chociaż wyczuwała, jak bardzo jest z niej dumny, jak bezgranicznie cieszy się na widok swoich oswobodzonych pobratymców, czuła leciutkie drżenie, zdradzający go strach.

Moja miłości, moja piękna, powtarzał czule, posyłając jej swoją pociechę. Jego myśli chłodziły ją jak fałszywy kompres na oparzenia.

Przekazał jej obraz: on sam, z krwi i kości, w swoim pięknym, kradzionym ciele, płynący do niej po Morzu Północnym na czarnym okręcie. Przybywał, aby zabrać ją do domu.

Zrobiłaś za dużo, powiedział do niej. Popatrz na siebie, moja wspaniała. Jestem już prawie na miejscu.

Jestem większa nawet od tego, odpowiedziała, zaskoczona tym, o ile jej myśli stały się głębsze i bardziej chropowate, odkąd wpuściła odmienny głos. Wyczuła zaskoczenie Coriena i zastanawiała się, ogarnięta euforycznym bólem, czy w jakimś momencie w przyszłości w ogóle przestanie mówić. Czy nadejdzie dzień, gdy otworzy usta, ale przemawiać będzie tylko empirium, a jej głos zostanie pochłonięty i uciszony.

Eliana

Święty Ghovan Nieustraszony wykuł swoją formę na wysokich klifach zachodniej Ventry w czasie wściekłego sztormu. Ocean był oszalałą dziką bestią, bezkresną i straszliwą, zaś ogień w kuźni płonął tak wysoko, że spalił dłonie świętego. On jednak wytrzymywał ten ból, ponieważ przypominał mu o tym, co będzie musiał uczynić. Widział ciemność w oczach swojego ojca, sekrety w jego pałacu, więc pojął, że musi zacząć wykuwać własne sekrety.

– Księga świętych

Eliana upadła na podłogę, zalana potem.

Leżała na dywanie i wciągała hausty powietrza. W głowie pulsowały jej piekące szlaki, które przed chwilą wytoczył Corien, wibrujące przeszywającym bólem.

Przykucnął koło niej i odgarnął jej z twarzy mokre włosy.

– Spróbujmy jeszcze raz – zaproponował życzliwie. – Zamierzałaś się zabić. Potem zmieniłaś zdanie. Dlaczego?

Z trudem była się w stanie odezwać.

– Nie mogłam zostawić Remy’ego. On by nie zrozumiał.

– Kłamiesz. Zrozumiałby. Nie zmienił się do tego stopnia, żeby przestać rozumieć poświęcenie dla wyższej sprawy. – W głosie Coriena zadźwięczała drwina. – Powiedz mi prawdę.

Eliana zamknęła oczy. Jej ciało zadrżało od gorączkowych dreszczy.

– Nie mogę – wyszeptała, ponieważ to była prawda. Ile razy próbowała myśleć o tym, co się wydarzyło, drogę zagradzały jej dezorientujące cienie. Sięgnęła do swoich myśli, gotowa poukładać je tak, żeby Corien wszystko zobaczył, bo jeśli będzie musiała znieść jeszcze jeden taki dzień – jego umysł pustoszący jej umysł, jego bezlitosne czarne spojrzenie, gdy skręcała się z bólu na podłodze – umrze.

Gdyby tylko jej na to pozwolił.

Ale wspomnienie jak zawsze jej się wyślizgiwało.

– Nie mogę ci powiedzieć – powtórzyła ponownie i zmusiła się, żeby otworzyć oczy i spojrzeć na niego gniewnie. Zalśniła w niej iskra uporu. Przycisnęła zimne formy do podłogi i chłonęła uczucie łańcuszków wbijających się w jej skórę. – A nawet gdybym mogła, nie zrobiłabym tego. Możesz mnie szarpać, ile chcesz. Nigdy nie znajdziesz tego, czego szukasz, i nigdy więcej nie zobaczysz mojej matki. Ona nie żyje. Masz teraz tylko mnie, a ja będę z tobą walczyć, aż pewnego dnia stracisz panowanie nad sobą i mnie zabijesz. Wtedy zostaniesz sam na wieczność. – Uśmiechnęła się, w gardle zapienił się jej zmęczony śmiech. – Wieczne więzienie za czarnymi oczami, w szarym świecie pełnym zniszczonej magii, której nie możesz dotknąć. Jedzenie, którego smaku nie czujesz, i wino, które jest jak popiół w twoich ustach. Każdego ranka będziesz się zastanawiać, czy w tym dniu zostaniesz w końcu wyrwany z ciała, które ukradłeś, i pozostawiony sam sobie, niezdolny zająć następnego. Nie zazdroścę ci. Biedactwo.

Corien przyglądał się jej przez długą chwilę. Milczenie napełniło Elianę narastającym powoli przerażeniem.

– Proszę, nie – wyszeptała, żałując swoich słów. – Nie chciałam tego powiedzieć.

– Chciałaś, ty podła suko – odparł Corien. – Mam nadzieję, że przyniosło ci to satysfakcję.

Uderzył w nią znowu, jego wola twarda i ostra jak nóż przygotowany na polowanie. Przecięła jej czaszkę i wszystko, co się w niej znajdowało. Zrywała z niej warstwę po warstwie, aż Eliana zapomniała o swojej determinacji, żeby z nim walczyć, i zeszywniała ze zwierzęcymi wrzaskami na ustach.

Nocami Eliana szlochała lub leżała skulona z bólu. Czasem spała, ale sen zwykle przynosił wizje przysłane przez Coriena, niemożliwe do opisanego koszmara pozostawiające ją z przekonaniem, że umarła, że agonizacja umysłu w końcu ją zabiła. Potem uświadamiała sobie, że żyje, i czuła, że oszaleje z rozpacz.

Lecz strażnicy pilnowali każdego jej ruchu, a Jessamyn – z zaczerwienionymi oczami i dziwnie ziemistą cerą, jakby dla niej także sen stał się luksusem – nie miała już przy sobie noży. Wszyscy pilnowali, by nie podsunąć jej niczego, co dałoby się wykorzystać jako broń. Jadła wszystkie posiłki rękami.

Od czasu do czasu lekki szept muskał jej myśli, a ona przypominała sobie głos, który odezwał się do niej życzliwie, pełen czułości umysł, który tamtego dnia powstrzymał jej rękę.

Lekceważyła to jako urojenia.

W jej świecie nie pozostało nic życzliwego ani czułego.

Obudź się, odezwał się głos we śnie Eliany, ale powoli.

Szła po płaskiej szarej plaży pokrytej płatkami piany morskiej. Powoli zanurzyła się w wodzie, aż fale zamknęły się nad jej głową.

Otworzyła oczy.

Znajdowała się w swoim pokoju w pałacu Coriena, ale w powietrzu była obca nieruchomość, gęsta cisza, w której przyplłynęło pojedyncze,

nieśmiałe wspomnienie.

Obawiała się nawet pomyśleć to słowo na wypadek, gdyby on mógł usłyszeć, ale mimo to zadała swoje pytanie: *Proroku?*

Jestem tutaj, odpowiedział głos, dokładnie taki sam jak wcześniej. *Musimy działać po cichu, Eliano. Nie mogę pozostać z tobą na dłużej. Jeszcze nie teraz.*

Eliana leżała w łóżku jak skamieniała, oklejona wilgotną pościelą. Poranne słońce zalewało pokój, napełniając go upałem, ale jeśli się poruszy, on ją znajdzie.

Dlaczego cię nie było? Życie w pałacu Coriena, jego wiecznie bliska obecność i dni wypełnione niezmordowaną wściekłością jego umysłu nauczyły ją koncentracji potrzebnej do myślomowy. Przez ciebie nie mogłam się zabić. Usłyszałam, że mamy wiele do zrobienia. Potem zostałam sama.

Wiem. Głos Proroka nie należał do mężczyzny ani do kobiety. Był miękki i pewny, docierał do Eliany przez grube warstwy mułu. Wyczuwała, że Prorok stara się ukrywać. *Przepraszam cię za to. Muszę pozostawać w oddaleniu, dopóki jego gniew nie osłabnie. On mnie szuka od czasu tego, co wydarzyło się tamtego dnia.*

Imię Coriena wypłynęło na wierzch myśli Eliany wraz z tępą falą strachu.

Ostrożnie, usłyszała ostrzeżenie Proroka. *Nie myśl o nim zbyt wiele, gdy będziemy rozmawiać. Możesz zwrócić jego uwagę na mnie. Jeśli w ogóle musisz o nim myśleć, pozwól, by twoje myśli prześlizgiwały się po jego koncepcie jak woda po kamieniach.*

Było już za późno na wodę prześlizgującą się po kamieniach. Panika zapulsowała werblem w uszach Eliany, która potrafiła myśleć tylko o jego imieniu. *Corien.* Jego myśli wciskały się do jej czaszki jak twarde palce.

Corien. Jego obecność wdzierала się w jej sny z lśnjącymi zębami i dłońmi śliskimi jak węże. *Corien.*

On się zbliża. Głos Proroka zaczął już cichnąć. Przepraszam. Wrócę do ciebie, malutka.

Eliana wyczuła odejście Proroka jak igłę wysuwającą się z poduszeczki.

Gdy Corien się pojawił, nie skrzywdził jej. Położył się bez słowa na jej łóżku, objął ją ramionami, jakby był kochankiem, i skulił się obok niej.

Tulił ją godzinami i nucił w jej szyję anielskie kołysanki. Eliana opierała się pokusie, żeby mu się wyrwać, i walczyła ze snem, myśląc o miękkim rzeczonym nurcie płynącym cicho po wygładzonych szarych kamieniach. Niebawem, rozmyta i ociążała, ledwie już zauważała czarne oczy wbijające się od tyłu w jej czaszkę jak ociążałe od jaj żuki.

Obudź się, ale powoli.

Eliana otworzyła oczy i zobaczyła swój pokój wysrebrzony blaskiem księżyca.

Czy pokażesz mi swoją twarz, aniele?

Minęło dwanaście dni, od kiedy Prorok się do niej odezwał. Pilnowała, żeby je liczyć, chociaż wcześniej z tego zrezygnowała, ponieważ każdy dzień wydawał jej się nieprawdopodobnym ciężarem.

Teraz każda chwila wibrowała niecierpliwością, gdy Eliana oczekiwała na powrót Proroka, a ciągnące się bez końca dni wydawały się złejsze.

Jeszcze nie. Głos Proroka był pełen żalu. Porozmawiajmy teraz. Zastanawiam się, jak długo możemy rozmawiać, zanim on się przebudzi.

O czym chcesz rozmawiać? Eliana popatrzyła na adatroksów pod drzwiami. Jessamyn tam nie było, ale pojawi się rano. *O tym, że każdy dzień mojego życia jest torturą? O tym, jak bardzo wykończone są moje ciało i umysł? Jak odległe wydają się teraz moje moce?*

Wiem już to wszystko, padła łagodna odpowiedź Proroka. Ale jeśli ci pomoże, że mi o tym opowiesz, będę słuchać.

Eliana przez kilka minut oddychała w milczeniu. Wyobrażała sobie swoją małą rzekę płynącą po kamieniach.

Codziennie wyobrażam sobie, że kończę swoje życie. Pozwalała myślom spływać z niespiesznym nurtem rzeki. Pozwól mi na to. Twierdzisz, że stoisz po stronie ludzi, ale w rzeczywistości skazujesz nas wszystkich na zagładę.

Prośenie cię o cierpliwość wydaje się okrucieństwem, lecz muszę to zrobić. Wysłane przez Proroka w górę rzeki uczucie omyło palce stóp Eliany. Było zbyt subtelne, żeby dać się odczytać wyraźnie, ale rozgrzało Elianę, a ona wyobraziła sobie, że się nim otula.

Na co czekam? Co mamy zrobić?

Niestety musimy działać powoli. Musimy ślizgać się po wodzie i nie wzbudzać żadnych fal, które mogłyby obudzić bestię drzemącą w głębinach. Rozumiesz mnie?

Eliana ułożyła się ostrożnie na poduszce, udając, że śpi.

A potem? Mówisz, że mamy działać powoli. W jakim celu?

Chwila ciszy, po której myśli Proroka wślizgnęły się w zakamarki umysłu Eliany jak zwinne płotki.

Uzyskania drugiej szansy.

Dreszcz przeszedł ciało Eliany.

Nie wiem, o czym mówisz.

Opowiedz mi o domu, padła propozycja. O Orlinie.

Nie mogę. To boli. Zbyt wiele śmierci, zbyt wiele smutku.

A te dobre rzeczy? Opowiedz mi o Remym. O Harkanie. Oprócz żalu pozostaje światło, nawet jeśli tylko w pamięci. Opowiedz mi o tym świetle.

Eliana odczekała kilka minut, zanim zdołała uformować spokojnie myśl.

Kiedy Remy był bardzo mały, zaczęła, okropnie bał się burzy. Budziłam się i znajdowałam go drżącego w moim łóżku. Czasem nie pomagały nawet baśnie ani piosenki. Pewnej nocy zrobiliśmy namiot z mojej kołdry, którą przywiązaliśmy w kącie pokoju kawałkiem sznurka. W środku zebraliśmy koce i poduszki, jego książki, muszle pozbierane dla mnie przez Harkana, gdy ojciec zabierał go na łódź. To była nasza twierdza, w której nie mogła nas dosięgnąć żadna burza.

Eliana mówiła, wtulona w objęcia obecności Proroka. To było zupełnie inne uczucie niż w przypadku Coriena – pewne, ale nienarzucające się. Na krawędziach jej umysłu gromadziła się leciutka piana.

Doskonale, usłyszała od Proroka, gdy tylko zamilkła. Piętnaście minut. On się zbliża, ale to wspaniały początek. Powrócę, gdy to będzie bezpieczne, Eliano. Zaufaj mi.

Jak miałabym to zrobić? – wyszeptała Eliana.

Ale Proroka już nie było.

Dni pomiędzy wizytami Proroka ciągnęły się jak ciemne drogi bez końca. Przez całe tygodnie ich potajemne spotkania i starannie ukrywane wspomnienia dawały Elianie siłę, gdy Corien rozdzierał jej myśli w poszukiwaniu rzeczy, której nie mógł znaleźć, próbując wycisnąć z niej moce, których nie zgadzała się dotykać.

Czterdzieści pięć minut. Godzina. Udało im się osiągnąć dwie godziny, a potem trzy, bez interwencji Coriena i nie zwracając uwagi strażników, aż któregoś dnia Prorok oznajmił:

Doskonale. Teraz możemy się ruszyć.

Za pierwszym razem Eliana przeszła na drugi koniec pokoju, a potem wykapała się sama po raz pierwszy od przybycia do Elysium. Otworzyła drzwi swojego pokoju z mocno bijącym sercem i wyjrzała na szeroki,

ukryty w cieniach korytarz. Nad głową miała białe łukowate wsporniki, a lśniące marmurowe posadzki przykrywały jasne dywany.

Przez cały ten czas służące pozostawały nieruchome i nieme. Nawet Jessamyn wydawała się niczego nieświadoma. Eliana wyszła z pokoju na bosaka i pomachała jej dłonią przed twarzą. Nic.

Kierowana przez Proroka, przeszła do nieużywanej bawialni w pobliżu jej pokoju, bogato ozdobionej i z obrazami w złotych ramach przedstawiającymi chwałę anielską.

Wewnątrz, osłaniana przez spokojną obecność Proroka, z sercem tłukącym się w piersi jak spłoszony ptak, Eliana sięgnęła do swoich mocy z celowym zamiarem. Nie pozwalała, by wybuchły z powodu gniewu ani żeby strach przytłoczył zdrowy rozsądek i uwolnił moce bez jej zgody. Robiła to po raz pierwszy od przybycia do Elysium, a jej umysł wydawał się niezdarny, rozciągał się i płatał. Koncentrowała się na znajomych liniach swoich form, smukłych i chłodnych na jej dłoniach i nadgarstkach. Rozciągała swe myśli po kamiennej podłodze i w powietrzu.

Cel był prosty: poruszyć powietrze i rozkazać mu, by przewróciło złoty świecznik stojący dumnie na stoliku.

Prosty, ale nie potrafiła tego dokonać. Powietrze pozostawało nieruchome. Jej moce nawykły do ukrywania się i nie chciały wyłonić się z głębin, w które je wepchnęła. Poczuła odległe brzęczenie w głębi umysłu, leciutkie mrowienie dłoni – nic więcej. Obejrzała się przez ramię; w ustach zaschło jej ze strachu na myśl o tym, że Corien wpadnie tu za moment, lecz pokój nadal należał tylko do nich.

Dobrze, stwierdził Prorok. Teraz spróbuj znowu. Nie wychodź ani na chwilę ze swojej rzeki. Niech twoje stopy pozostają chłodne i stoją pewnie, nawet jeśli twoje dłonie zapłoną. On nie może cię tutaj znaleźć, malutka, nie w tej wodzie.

Eliana posłuchała, ale rezultat był taki sam. Jej moce stały się niezgrabne i odległe. Dłonie ją świerbiły, a ona nie miała jak się podrapać.

Szybko. Wracaj do swojego pokoju. W głosie Proroka brzmiało ponaglenie, nigdy jednak strach. Jakby w odróżnieniu od Eliany widział pełną nadziei przyszłość.

Posłuchała, przemknęła się przez korytarz i położyła do łóżka. Krew pulsowała w jej żyłach, chociaż koncentrowała się z całej siły na spokojnym nurcie swojej rzeki. To było bardziej wymagające ćwiczenie niż wszystko, co robiła jako Postrach – znaleźć równowagę pomiędzy Elianą, która była więźniarką pogrążoną w bólu i rozpacz, a tą nową Elianą, która ponownie dotykała swoich mocy. Jakże tęskniła za ich fakturą i rytmem.

Jakże przerażająco było znowu się obudzić.

Warstwa potu pokrywała jej skórę, gdy położyła się ponownie do łóżka.

Co widzą moje strażniczki, kiedy mnie nie ma?

Twój pokój, taki, jaki powinien być, usłyszała odpowiedź Proroka. *Ciebie śpiącą niespokojnie w łóżku, tam gdzie twoje miejsce. Teraz muszę odejść. Śpij, Eliano. Będziesz tego potrzebować.*

Zaczekaj. Dlaczego to robimy? Jaki jest nasz cel? Powiedz mi.

Jeszcze nie, padło po chwili. *Jeszcze nie jest bezpiecznie. Nie jesteś dość silna. Ale będziesz.*

Od czasu do czasu Corien udawał się na Sunderlandy, gdzie gigantyczne mechaniczne bronie nazywane waekordiami zatrzymywały część krucjuszy.

Czasem w pałacu organizowano hałaśliwe uroczystości trwające wiele dni. Corien wyciągał na nie Elianę, częstował ją jedzeniem i alkoholem, tańczył z nią pod sufitem, na którym wibrowały żyrandole, aż osuwała się z zawrotami głowy w jego ramiona. Wiedziała, że mieszał narkotyki do

wszystkiego, co jadła, z nadzieją, że jakaś ich kombinacja pozwoli uwolnić jej moce.

Ale nigdy mu się to nie udało.

Z każdą nową porażką wściekał się i to były najgorsze dni, gdy przywiązywał ją do krzesła i tłukł jej umysł swoim albo też ścigał ją po całym pałacu koszmarnymi iluzjami, które pozostawiały ją oszalałą i pełną wściekłości. Przed oczami miała czerń, w uszach słyszała brzęczenie, jakby były pełne gniewnych pszczoł. Nie wiedziała, co robiła w takich chwilach. Budziła się później w swoim pokoju z bolącym gardłem, krwią pod paznokciami i odległymi wspomnieniami kogoś błagającego ją o łaskę. Szła chwiejnie do łazienki i szorowała się niemal wrzącą wodą, podczas gdy strażniczki obserwowały ją, niezmiennie czujne. Była tam także Jessamyn, o przenikliwym spojrzeniu, ogarnięta dziwnym niepokojem, jakiego Eliana wcześniej u niej nie widziała.

Czasem los się do niej uśmiechał i uroczystości odbywały się bez jej udziału lub też Corien zamykał się w swoich komnatach, komunikował się z generałami na całym świecie albo obżerał się w łoży w sali koncertowej, podczas gdy zmordowana orkiestra grała gorączkowo w dole.

W takich godzinach pojawiał się Prorok, a Eliana ćwiczyła sztukę ucieczki.

Początkowo na korytarz tuż przed jej pokojem i do małej bawialni. Potem na schody na północnym końcu korytarza. Do pokoju muzycznego na dole, gdzie Corien lubił tłuc w ogromny fortepian. Do sali balowej w odcieniach różu, granatu i ochry. Do dormitoriów, w których spała pałacowa służba. Do okropnej galerii pełnej podobizn Rielle.

Mijały dni, a później tygodnie, a z każdą wyprawą poza pokój mięśnie Eliany przypominały sobie dawną siłę. Nie zdołała jeszcze przewrócić

lichtarza, ale dowiedziała się wielu rzeczy o ogromnym pałacu, jego zakrętach i zakamarkach, i zaczęła czuć się pewniej na ciebie i na ducha.

Dobrze, oznajmił Prorok. Kiedy nadejdzie dzień, w którym opuścisz ten pałac, będziesz wiedziała, jak to zrobić, i będziesz mogła się obronić.

Eliana ugryzła się w język. Tuziny razy pytała, po co robią to wszystko, na jaki dzień czekają, na czym polega plan obmyślany przez Proroka.

Nigdy jednak nie otrzymała odpowiedzi.

Jeszcze nie. Dopiero gdy będziesz silniejsza i będę mieć pewność, że wszystkie zakamarki twojego umysłu są przed nim dobrze ukryte.

Skąd mam wiedzieć, że to nie jest jakaś obłąkańcza zabawa?, zjeżyła się Eliana. Noc po nocy prowadzisz mnie po całym pałacu; każesz wykonywać te ćwiczenia wzmacniające mój umysł i moce. W jakim celu?

Od Proroka napłynęła do niej łagodna prośba wraz z czułością, za którą Eliana tak tęskniła. Jej ciepło było słodsze niż każde wino.

Proszę, zaufaj mi, malutka, odezwał się Prorok. Wiele osób zdarzyło mi się oszukiwać w moim życiu, ale nie ciebie. Nigdy ciebie.

Eliana nie miała innego wyboru, jak tylko wierzyć temu dziwnemu sprzymierzeńcowi, którego twarzy nadal nie знаła, i miała nadzieję, że nie okaże się głupia, ośmielając się po raz kolejny zaufać komuś ukrywającemu się za maską.

Wreszcie, pewnej nocy, gdy Eliana poczuła znajome powitanie Proroka, wyrwało ją ono ze snu tak wyrazistego, że towarzyszył jej jeszcze na jawie.

To było, jakby próbowała sobie przypomnieć słowo tuż poza swoim zasięgiem. Jakiś węzeł w piersi ciągnął ją do przodu. Palce ją mrowiły. Gdy zamykała oczy, słyszała czarne, odległe werble. Gdy otwierała oczy i nie koncentrowała na niczym wzroku, na krawędzi jej pola widzenia falowało złoto.

Wiem, dokąd dzisiaj pójdziemy, oznajmiła, wstając z łóżka.

Ciekawość Proroka skrzyła się w niej.

Dokąd?

Widziałam to we śnie.

Powiesz mi?

Możesz to przecież zobaczyć.

Wiesz, że nie lubię tego robić, napłynęła łagodna odpowiedź. Jeśli tylko nie muszę.

W takim razie pokażę ci.

Powiedz mi najpierw. Proszę. Muszę wiedzieć, dokąd idziemy. Na chwilę zapadła cisza. Nie chcę wkraczać do twojego umysłu, Eliano. Nie działałam tak jak on.

Powiem ci, jeśli mi powiesz, w jakim celu pracujemy. Jaki plan masz dla mnie przygotowany. Gdzie jesteś i czy mogę przyjść do ciebie.

Odpowiedziało jej milczenie Proroka.

Eliana uśmiechnęła się ponuro i wymknęła się na korytarz, mijając marszczącą brwi Jessamyn.

Pracujemy razem od tygodni. Mój umysł jest silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Możemy rozmawiać, a on niczego nie zauważa. Możesz mnie teraz ukrywać chyba przez pięć godzin, gdy poruszam się po pałacu.

To prawda, usłyszała odpowiedź Proroka, celowo pozbawioną uczuć.

Eliana skrzyła za róg i przebiegła, niezauważona, obok dwójki patrolujących korytarz wartowników.

Wiele tygodni temu zostałam przez ciebie zmuszona, żeby wypuścić ten nóż. Chyba zasługuję, by wiedzieć. Jaki jest cel tego wszystkiego, co robimy? Czy to tylko sposób na zabicie czasu?

Nie.

Więc co?

Nadal milczenie.

Eliana przemknęła się jak cień po parterze pałacu. Dziwne wspomnienie snu prowadziło ją przez labirynt wykładanych kafelkami komnat i oddzielonych zasłonami korytarzy, aż w końcu wyszła w miękki świat zieleni.

To był ogromny dziedziniec, dorównujący rozmiarami największym salom balowym Coriena. Po ścianach wspinały się kwiaty, pnącza zwieszały się z żelaznych treliarzy, na krzakach rosły kolorowe owoce. Rzędy czerwonych kwiatów, olejowane drewniane stoły z sadzonkami ukorzeniającymi się w szklanych fiolkach. Ogromne, drżące paprocie, drzewa o lśniących liściach obwieszone owocami. Eliana popatrzyła na sufit z kolorowego szkła. Szkarłatne i złote panele, wywietrzniki otwarte, żeby wpuścić nocne powietrze.

Wzięła w dłonie najbliższy czerwony kwiat i poczuła słodki zapach, który znała ze swojego pokoju.

Czyli tutaj uprawia te kwiaty.

Obecność Proroka była pełna napięcia i lekkiego zdumienia.

Widziałas to wszystko we śnie?

Tak, właśnie tak. Do najdrobniejszych szczegółów. I... tutaj. To także zobaczyłam.

Eliana przeczołgała się pod stołem z sadzonkami i zniknęła w gęstym zielonym półmroku. To, co robiła, było absurdalne jak dziecięca zabawa. Ale dziwne napięcie nasilało się w jej piersi, ciągnęło ją do przodu, a ona musiała iść za nim, bo inaczej by wybuchła. Czuła lekkie wibrowanie w zębach; pamiętała, jak wykuwała swoje formy, jak zanurzała dłonie w ranę Remy'ego. To było takie samo uczucie – taka sama siła życiowa, ponaglające przyciąganie mocy, która napinała się złotem w jej kościach.

To chyba jest empirium, pomyślała. Wydaje mi się, że próbuje mi coś pokazać.

Od strony Proroka poczuła leciutki dreszcz zaniepokojenia.

Dlaczego tak uważasz?

Eliana przedarła się przez splątane pnącza. Znajdowała się teraz w głębi dziedzińca, otoczona przytłaczającą ciszą. Pod swoimi dłońmi czuła miękki mech, a powietrze w jej płucach pachniało zielenią.

Wtedy zobaczyła miejsce ze swojego snu – niewielką ciemną kępę paproci i pnączy otoczoną korzeniami kwitnącego drzewa o zwieszających się gałęziach i grubej czarnej korze. Było tam za mało miejsca, żeby mogła się w nim skulić, a jednak przepychała się przez zdziczały gąszcz, aż usiadła w samym środku i zaczęła drzeć.

– Powietrze wydaje się tutaj rozrzedzone – wyszeptała, powoli przesuwając po nim palcami. – Jakbym mogła je rozsunąć i znaleźć coś pod spodem.

Głos Proroka stał się bardzo cichy.

Chcesz spróbować?

Tak, odparła Eliana, nadal drżąc. Formy rozgrzewały jej skórę. *Ale nie sądzę, żeby mi się udało.*

Zacznij od czegoś małego. Czegoś naturalnego. Nie od lichtarza, lecz od drzewa. Czy możesz wyciągnąć jego korzenie z ziemi?

Eliana spróbowała, a jej skóra po chwili zrobiła się mokra od potu. Korzenie pozostawały wczepione w czarną ziemię, ale powietrze się zmieniło, ożywione wibrującą, gorącą elektrycznością. Eliana sięgnęła swoimi mocami i poleciała im zatrzymać to uczucie. Świat zadrżał od żaru, tak samo jak jej skóra. Poczuła, że unosi się z ziemi, aby pójść za nowym prądem w powietrzu.

Nagle wszystko jej się wymknęło i usiadła ciężko na ziemi, zmęczona i zmarznięta. Jej formy były ciemne, głowa ją bolała.

Doskonale sobie radzisz, malutka, przyplęła pochwała Proroka, a Eliana uczepliła się ciepła tych słów.

Przychodziła do ogrodu raz za razem i zawsze gdy wchodziła na czworakach w ciemny, cichy gąszcz, czuła, że powraca maleńki skrawek jej dawnej mocy. To były powolne postępy, ponieważ Corien nadal ją dręczył, jeszcze brutalniej niż wcześniej. Wyczuwał w niej zmianę, ale nie potrafił odkryć jej źródła, więc wyładowywał na niej swoją wściekłość pięściami i umysłem. Po tych torturach, z posiniaczonym ciałem i obolałym umysłem, Eliana poruszała się powoli, a jej myśli były czasem zbyt rozproszone, by mogła się porządnie skoncentrować.

W niektóre noce w ogóle nie była w stanie ruszyć się z łóżka, a Prorok po prostu pocieszał ją, szepcząc słowa, których zamroczony umysł Eliany nie mógł zrozumieć, i wysyłając złudzenie dotyku miękkich dłoni na jej plecach.

Raz Corien spędził w jej umyśle całe dwadzieścia godzin, przeszukując wszystkie zakamarki, aby odnaleźć wyjaśnienie tego, co się dzieje jakimś cudem tuż pod jego nosem. Eliana straciła całe poczucie godności i świadomość siebie, gdy kolce bólu przeszywały jej czaszkę. Szlochała na podłodze, skręcała się w drgawkach w uścisku Coriena i grzęzła w czarnej agonii, a jedynym słowem, które potrafiła przywołać, było imię Simona.

Wrzeszczała je raz za razem, sięgając do drzwi, jakby on stał za nimi. Jeśli będzie krzyczeć dostatecznie głośno, on po nią przyjdzie. Jeśli będzie go błagać, on ją uratuje.

W końcu drzwi się otworzyły, Simon podszedł do niej, podniósł ją z podłogi i musnął wargami jej czoło. Wiedziała, że go tam nie ma. Złowrogie rozbawienie Coriena wbijało się w jej plecy jak ostrze topora. Mimo to Simon wydawał się tak prawdziwy, tak znajomy, że przycisnęła twarz do jego piersi i przylgnęła do niego.

Zaniósł ją do małego łóżka w Wierzbowym Dworze, pod skośnym sufitem. W kącie płonął koksownik, deszcz bębnił o szybę. Bezpieczna w jego ramionach, rozgrzana w ich łóżku, pozwoliła sobie przez chwilę cieszyć się tym kłamstwem.

Potem wyrwała się, kopnęła go, gdy do niej sięgnął, wyciągnęła z koksownika rozpalone węgle i rzuciła mu w twarz.

Zaczęła spadać w czerń, słysząc drwiący głos Coriena.

Przez całe dni szarpała się w jego złośliwych snach, a gdy się znowu obudziła, w pokoju panowała cisza.

Usiadła, włożyła koszulę nocną i podeszła chwiejnie do drzwi.

Tak mi przykro, malutka. Głos Proroka był przesyciony żalem. *Gdyby tylko było można oszczędzić ci tego wszystkiego...*

Nie potrzebuję twoich przeprosin, rzuciła ostro Eliana. *Ukryj mnie.*

Później, w ogrodzie, otulona żarliwym płaszczem Proroka, Eliana otworzyła ziemię i wyciągnęła z niej korzenie tylko swoimi mocami. Sięgnęła w powietrze, wykorzystała je, aby utorować sobie ścieżkę wśród paproci w głąb ogrodu. Zagłębiła się w glebę i wezwała wodę, aż utworzyła wokół siebie chłodne, bulgoczące kałuże.

Jej formy lśniły słabo, oświetlając gąszcz bladym złotem.

On próbuje cię złamać i ponosi kompletną porażkę, odezwał się Prorok głosem ciepłym z dumy. *Doskonała robota.*

Echo Simona zaszeptało w jej włosach. Eliana strząsnęła je i zacisnęła szczękę.

Chciałabym spróbować czegoś nowego, pomyślała. Wstążki bladego światła przepływały bez przeszkód przez jej żyły. Jej moce były odzwierciedleniem nowej siły jej umysłu. Jej umysł i ciało były połączone ze sobą, a także z wodą pod jej stopami oraz korzeniami, które wsunęła z powrotem w ziemię, żeby drzewo mogło się napić.

Czuła, jak korzenie chłoną wodę, jak zmarszczki empirium zdradzają jego pierwotny, bezmyślny apetyt, i rozumiała to uczucie.

Jej moce były gotowe i powleczone stałą. Były głodne. A ona pragnęła je nakarmić.

Prorok się niepokoił. *Co zrobisz? Powiedz mi.*

Tak jak mówiłam wcześniej, odparła Eliana, *świat jest tutaj rozrzedzony. Powietrze wydaje się delikatne.*

Jej palce buzowały gorącem, formy były jak maleńkie gwiazdy uczące się na nowo swojego blasku. Wyciągnęła ręce przed siebie, po czym rozsunała je, dłońmi naprzód. Wybuchła z niej fala energii, ale Eliana zatrzymała ją i pochłonięła swoim ciałem i krwią, żeby nie wstrząsnąć całym pałacem.

Czuła zdumienie Proroka.

Och, Eliano. Obserwowanie cię przy pracy sprawia mi radość, jakiej nie dane mi było odczuwać od wieków.

Eliana słuchała nieuważnie, z dłońmi nadal zagłębionymi w powietrze. Żłociste żyły empirium trzeszczały pod jej palcami jak małe kosmyki błyskawic. Każde ziarno światła malujące gęszcz złotem szeptało do niej, a ona słuchała uważnie, wpatrzona w nieprawdopodobną rzecz, którą miała przed sobą.

W powietrzu unosił się kształt, ciemny i cienki, jak źrenica kociego oka. Wewnątrz kłębiły się sine odcienie: indygo, fiolet i błękit tak intensywny, że wydawał się prawie biały. Eliana natychmiast poczuła przyciąganie, jakby była to paszcza pragnąca ją pochłoniąć.

Zaparała się piętami i oparła dłońmi o ziemię. W jej umyśle zaskoczenie Proroka wibrowało jak uderzony dzwon.

Co to jest? – zapytała Eliana.

Szczelina, usłyszała ostrożną odpowiedź Proroka. Otworzyłaś ich wiele nieświadomie w chwilach, gdy wzywałaś swoje moce ze strachu i gniewu. Jednakże ta... Spójrz, jaka jest równa, precyzyjna. To twoja skoncentrowana wola, Eliano, otworzyła te drzwi.

Eliana wpatrywała się w szczelinę. Coś popychało jej ramiona, wabiło ją do przodu. Zajrzała w ciemność i poruszające się w niej gniewne światło. Dostrzegła odległy pejzaż niskich wzgórz, mozaikę lasów sosnowych i niebo fioletowe od zachodzącego słońca.

Dokąd prowadzą te drzwi?, zastanawiała się z mocno bijącym sercem. Zanim Prorok zdążył coś powiedzieć, dłonie Eliany wyciągnęły się do szczeliny. Chwyciła jej brzegi i otworzyła ją szerzej, aż mogła wślizgnąć się do środka.

Proroka ogarnęła panika. *Zaczekaj, Eliano!*

Jednak to empirium przyprowadziło ją w to miejsce, a teraz złote szepty ciągnęły ją do przodu.

tutaj

TUTAJ

chodź zobacz

są wszędzie

szybko

Zanim Prorok zdążył ją powstrzymać, Eliana wstrzymała oddech, zamknęła oczy i przeszła przez migoczącą szczelinę do tego, co czekało po drugiej stronie.

Jej stopy stanęły na twardej ziemi. Otworzyła oczy i zobaczyła szare chmury przesuwające się szybko po fioletowym niebie. Niskie, pękate wzgórza porastał dywan wilgotnej zielonej trawy, a w zasięgu wzroku nie było żadnej żywej istoty. Ani ludzi, ani zwierząt. Nie było nawet wiatru. Tylko cisza, która wydawała się nienaturalna. Upiorne blade światło

przenikało wszystko, kojarząc się z nadchodzącą o zmierzchu burzą. Na horyzoncie ze wszystkich stron gromadziły się czarne chmury, a pod stopami Eliany, pod zielenią trawy, poruszała się bezkresna ciemność, tak jakby łąka i wzgórza były tylko cienką zasłoną przykrywającą coś straszliwego i pozbawionego światła.

Wtedy rozległ się głos ptaka, a gdy Eliana podniosła głowę, ujrzała wysoko w górze poruszający się kształt gigantycznej skrzydlatej bestii, która przeleciała nad nią, aż niebo zafalowało ciemnością, i zniknęła. Zaraz potem pojawiła się następna, później jeszcze jedna i trzy kolejne, smukłe i węzowate, każda monstrualnie wielka.

Eliana cofnęła się o krok i patrzyła na nie ze zgrozą. To, co wydawało jej się szarymi chmurami, było w rzeczywistości cieniami tych istot rojących się od horyzontu po horyzont.

Mdlący żar rozlał się pod jej obojczykiem i sięgnął aż do palców. Pochyliła się, szukając bezskutecznie miejsca, w którym mogłaby się ukryć. Nienaturalna cisza trwała nadal, a gdy Eliana znowu spojrzała w niebo, przekonała się, że wygląda tak samo jak wcześniej. Potworne kształty nie zbliżały się do niej. Zupełnie jakby ona wraz z tym dziwnym zielonym światem istniała w bańce, poza którą wiły się olbrzymie bestie – ale nie potrafiła określić, czy znajdują się daleko, czy też bardzo blisko. Wydawało się, że przynajmniej nie mogą jej dosięgnąć.

Wyprostowała się powoli i zmusiła oddech, żeby się uspokoił. Na karku czuła zimny pot.

Wówczas powietrze przeszył gardłowy wrzask, roztrzaskując upiorną ciszę. Na horyzoncie coś długiego, ciemnego i skręconego opadło z chmur i poderwało się do lotu. To nie był odległy szary kształt. To było wyraźne i ostre, z długim ogonem i szerokimi czarnymi skrzydłami, i zbliżało się szybko.

Eliana okręciła się na pięcie i pobiegła do pionowego rozcięcia w intensywnej zieleni wyznaczającego jej drogę powrotną do pałacu Coriena. Minęły długie minuty, zanim zdołała się przez nie przecisnąć, ponieważ czuła odpychającą ją potężną siłę.

Udało jej się to z ostatnim kontrolowanym wybuchem mocy. Upadła w ogrodzie na dziedzińcu i obróciła się natychmiast, żeby chwycić krawędzie szczeliny. Palce zamrowiły ją, jakby zanurzyła je w wodzie na tyle gorącej, by można się było poparzyć. Szczelina próbowała ją zassać; to miejsce, gdziekolwiek było, chciało ją odzyskać. Ona jednak walczyła z tą siłą, zmusiła syczące brzegi, by się połączyły, i użyła swojej mocy, żeby zapieczętować szczelinę. Pozostało po niej tylko słabe lśnienie w powietrzu, które po chwili zniknęło.

Eliana, zdyszana i mokra od potu, sięgnęła do Proroka.

Co to za miejsce? Co ja widziałam?

Głos Proroka był zdławiony ulgą i podziwem.

Widziałś krucjusze, odpowiedział. Byłaś w Otchłani.

Rielle

Siedziba Kammeratów jest zdumiewająca – pełne życia miasto smoków i mówców smoków, wzniesione w jaskiniach i wąwozach wysoko w górach. Leżąc poniżej zielona dolina dostarcza im jedzenia i ciepła. Mówią, że to święci po zakończeniu wojen anielskich pomogli im zbudować to schronienie, w którym nikt nie zakłócał ich spokoju. Aż do teraz. Trudno było przekonać Kammeratów, by polecieli na Terytorium Północne ratować swoich braci. Pozostawanie w izolacji jest dla nich świętą zasadą, nawet za cenę życia ich pojmanych towarzyszy. Oznajmili, że w żaden inny sposób nie przyłożą się do tej wojny, a ja ich za to nie obwiniam. Leevi uważa jednak, że mimo wszystko zdoła ich przekonać. Przyznaję, mnie także będzie musiał przekonać. Dlaczego mam porzucać to sanktuarium, by brać udział w niemożliwej do wygrania wojnie? Ale Leevi jest zdeterminowany i tak piękny w swojej nadziei na zwycięstwo, że zapiera mi dech w piersiach.

– z dziennika Ilmaire’a Lyslevy, luty 1000 roku Drugiej Ery

Rielle obudziła się na Terytorium Północnym.

Gdy tylko otworzyła oczy, rozpoznała sypialnię, którą dzieliła z Corienem. Czarne kamienne ściany, grube białe futra udrapowane na łóżku, wielkie okna z widokiem na lodowce i niebo, na którym słabo świeciło słońce. Morza i góry, przemysł i ogień.

Wszystko to, co się wydarzyło, tkwiło na krawędzi jej umysłu jak obraz namalowany przez nią w żywych barwach, a ona obawiała się na niego

spojrzeć. Na języku nadal czuła gorzki smak popiołu. W jej uszach dźwięczało echo fal czarnego morza.

Corien siedział przy jej łóżku i obserwował ją w milczeniu. Był jak zwykle ubrany w czerń – brokatowa kamizelka, tunika z obsydianowymi spinkami przy mankietach, wysoki, kanciasty kołnierz, płaszcz umocowany na ramionach lśniącego hebanowymi zapinkami.

Zmusiła się, żeby usiąść, chociaż jej ciało zapłonęło bólem, i zachrypiała:

– Nie krzywdź tej dziewczyny bardziej, niż już to zrobiłeś. Obritsa musiała się mnie słuchać. Jeśli coś jej znowu zrobisz, zabiję cię.

– Zakładasz, że w ogóle coś jej zrobiłem – odparł, nie mrugając.

Roześmiała się, co sprawiło, że zapiekło ją obolałe gardło.

– Jesteś nieprzekonująco niewinny.

Dopiero wtedy Rielle zauważyła troje pielęgniarzy krzątających się wokół niej i zmieniających bandaż, które pokrywały większość jej ciała. Trójka ludzi – dwie kobiety i mężczyzna. Czy postanowili służyć aniołom w zamian za oszczędzenie życia ich bliskich? Spoglądali na nią nerwowo, po czym wracali do pracy. Skóra ją piekła w miejscach, gdzie posmarowali ją maściami; była owinięta długimi białymi paskami materiału.

Zaś Corien nadal się jej przyglądał, blady i nieruchomy, ale Rielle nie wzdygnęła się pod jego spojrzeniem. Otworzyła Bramę gołymi rękami. Promieniowała dumą, jej potędze nikt nie mógł dorównać. Wiedziała, że gdy on patrzy na nią, także to wyczuwa: zmianę, jaka zaszła między nimi. Nową zmarszczkę napięcia, zakręt nurtu zmieniającego kierunek.

Moc, którą się posłużyła, przekraczała wszystko, czego oboje się spodziewali.

Rielle odepchnęła pielęgniarzy. Szybki, nagły ruch boleśnie uraził jej oparzenia.

– Zostawcie nas. Sama potrafię się wyleczyć.

Potem wstała chwiejnie i zerwała z siebie bandaż, jeden po drugim. Początkowo ból był nie do wytrzymania, jakby zdzierała pasami swoje poczerniałe, pokryte pęcherzami ciało. Zacisnęła jednak szczęki i ignorowała cierpienie, wyobrażając sobie, że jest cała i gładka, tak jak dawniej. Rozesłała te myśli po całym swoim ciele. Fale szybkiej mocy rzeźbiły ją.

Zanim skończyła zdejmować bandaż, jej skóra się zagoiła, a cały ból zniknął.

Niezawstydzona obecnością Coriena i trójki pielęgniarzy, którzy zamarli w drzwiach, patrząc, jak niweczy całą ich pracę, Rielle podeszła do ogromnego lustra pod ścianą w kącie pokoju. Z fascynacją przyglądała się swojej nagości.

Jej skóra nabrała złocistego poblasku, a koniuszki włosów i palców iskrzyły jak uderzone kowadło. Jej tęczówki stały się bliźniaczymi wirami złota, w których pozostały tylko cienkie zielone obwódki. Wargi miała blade, popękane i spierzchnięte. Cienie pod oczami stały się głębokie i ciemne, a twarz była wymizerowana, jakby odebrano jej coś ważnego. Czowała, że nie będzie jej tego brakować, chociaż głowa ją bolała, a kości rwały z wyczerpania.

Jej umysł był teraz czysty jak nigdy wcześniej, skoncentrowany na jednym celu. Nadal wiedziała, że urodziła się w Celdarii, że poślubiła mężczyznę imieniem Audric i zabiła nauczyciela imieniem Tal, ale kiedy zwracała ku nim swoje myśli i próbowała sobie przypomnieć szczegóły ich wyglądu lub też to, co do niej czuli i co ona czuła do nich, pamiętała bardzo niewiele. Tylko rozmyte plamy kolorów i emocji. Wszystkie wspomnienia, które dawniej ją dręczyły, stały się cieniami w jej umyśle.

W ich miejscu kipiły złociste szepty, gorączkowe i pełne apetytu, przesłaniające wszystko poza chwilą obecną. Tą zamarzną fortecą, aniołem obserwującym ją ze swojego łóżka. Jej palcami nadal buzującymi energią Bramy. Wiedziała, że do końca życia będzie czuła ten gwałtowny, odwieczny napór. Zimny ból w zębach, nieustanne wibrowanie dłoni, które chwyciły tkankę Bramy i otworzyły ją na oścież. To będzie jej już zawsze towarzyszyć.

Rielle uśmiechnęła się lekko, dotknęła ze zdumieniem swojej twarzy, a potem obróciła się w bok, żeby przyrzeć się krągłości nabrzmiałego brzucha. Ten widok wywołał w niej nową falę czułości. Objęła brzuch dłońmi, by poczuć ciepły puls rozwijającego się dziecka. To dziecko przeżyło spotkanie z Bramą. Nie potrafiła pojąć, jak kiedykolwiek mogła rozważać odebranie mu życia. Nikt więcej na świecie nie dowie się nigdy, jakie to uczucie dotknąć mocy Bramy. To, że dziecko należało po części do Audrica, było jej teraz całkowicie obojętne.

To było jej dziecko, przede wszystkim, i wiązało ją tylko z nią samą.

Kiedy odwróciła się do Coriena, zobaczyła, że wpatruje się w nią jak urzeczoney. Rzuciła nieme spojrzenie pielęgniarzom, którzy uciekli z komnaty.

Rielle podeszła do garderoby. Czuła lśnienie każdego swojego kroku.

– Ilu aniołów uwolniłam?

– Pięćset tysięcy – odparł cicho Corien.

Założyła czarny aksamitny peniuar ze złotym paskiem haftowany misternie w skrzydła, kwiaty i ciernie.

– Tak niewielu? Mówiłeś, że w Otchłani przebywają ich miliony.

– Tak. Brama zachowała część swojej mocy, chociaż znacznie ją osłabiłaś. Najślabsi z moich pobratymców nie potrafią uciec jej przyciąganiu.

– Może mogłabym wymazać te moce – zastanowiła się Rielle. – Utworzyć bezpieczne wrota, przez które będą mogli przejść pozostali.

Corien się podniósł i pociągnął ją powoli do łóżka.

– Możesz, jestem tego pewien. Możesz zrobić wszystko, moja gwiazdo, mój płomieniu. – Ucałował ją w zagłębienie szyi. – Najpierw jednak musimy zrobić coś innego.

Leciutko poirytowana Rielle zastanawiała się, czy się nie sprzeciwić. Część jej umysłu znajdowała się gdzieś daleko, wyobrażała sobie Bramę i to, jak należałoby zmienić jej tkanę, żeby umożliwić ucieczkę pozostałym aniołom. Jednakże dłonie Coriena były ciepłe i robiły rozkoszne rzeczy na jej skórze. Z uśmiechem przesunęła palcami po jego piersi. Pragnęła także takiej rozkoszy.

Porozmawiają o Bramie później.

– Czy to właśnie masz na myśli? – mruknęła.

– Minęło zbyt wiele czasu, Rielle, odkąd mogłem cię dotykać.

Zadrżała, słysząc chrapliwość jego głosu, ze świadomością, jak blisko jest krawędzi. Odsunęła się od niego i skłoniła, by ukląkł przed nią. Przytrzymał jej biodra, odsunął poły peniaru i z jękiem wtulił twarz w jej uda.

– Potem zaś zacznę nasze wielkie dzieło – powiedziała Rielle, wplatając palce w lśniąca czern jego włosów.

– Potem zaś zaczniemy nasze wielkie dzieło – zgodził się z nią. Nakrył jej usta swoimi wargami, a Rielle myślała tylko o tej giętkiej nowej sile, która przeciągała się rozkosznie w jej wnętrzu, o migotliwym lśnieniu swojej skóry, o mocy, która nabrzmiewała pod pocałunkami Coriena.

W podziemiach fortecy Coriena znajdował się rozległy, przypominający plaster miodu kompleks sal i komnat. Składy broni, magazyny zboża i wina, wąskie ciemne kwatery, w których sypiali służący. Tuziny korytarzy

prowadziły do laboratoriów, baraków adatroksów, jaskiń, gdzie smoki lodowe z Borsvallu były przetrzymywane, krojone i narkotyzowane.

W sercu tego labiryntu ze skały wryto na posadzce okrąg – wielki pierścień złożony ze skrzydeł. Otaczały go liczne kolumny, wysokie i grube jak tarany obłęznicze.

Rielle stała pośrodku uskrzydłonego pierścienia. Corien powiedział jej, że wrył go sam podczas budowy fortocy. Nikt tam nie stanął do tej pory. Dopiero ona.

To był ołtarz przeznaczony do wskrzeszania.

U stóp Rielle leżał prześliczny młodzieniec z głębokiej prowincji w zachodniej części Kirvayi. Rozebrany do naga, drżał na zimnej posadzce. Jego skóra była jasna i gładka, kończyny długie i zdrowe. Blask pochodni wokół kręgu wyzłacał jego ciało. Wybrany ze względu na swoją urodę i siłę, wyciągnięty z łóżka przez niecierpliwy umysł anielski, wyglądał oszałamiająco nawet rozciągnięty na ziemi jak kawał mięsa. Nazywał się Tamarkin.

Corien stał u boku Rielle z dłońmi splecionymi na plecach, przytrzymał młodzieńca i czekał.

Rielle przyglądała się liniom ciała Tamarkina – wszystkim jego mięśniom, ścięgom i kościom. Widziała pod jego skórą pulsujące organy i naczynia nabrzmiałe krwią. Pod spodem morze złota szumiało i falowało, tworząc wszystko, czym był ten człowiek. Najjaśniejsze w jego umyśle i sercu, rozjaśniało bliźniacze sieci jego płuc.

Mogłaby patrzeć na niego godzinami, obserwując z fascynacją pulsowanie światła i energii towarzyszące jego rozpaczliwym myślom, jego przyspieszonym uderzeniom serca. Tylko ona widziała takie rzeczy, najgłębsze mechanizmy poruszające jego ciałem i krwią. Nawet aniołom nie był dany taki wzrok.

– Czy jesteś gotowa, moja miłości? – zapytał łagodnie Corien.

– Prawie – odparła sennie. Przyklękła przy Tamarkinie, przesunęła palcami po zagłębieniu jego miednicy, krawędziach żeber. Jego skóra drżała pod jej dotykiem. Niemy i przerażony, przytrzymywany przez Corienę, wpatrywał się w nią pełnymi paniki oczami. Obserwował jej palce, jakby obawiał się szponów.

Wokół nich sala pulsowała. Wydawało się, że to złudzenie optyczne, ale był w nim ciężar istnienia, świadomość muskająca umysł Rielle, pełna szacunku, a także chciwości. Powietrze zakrzywiało się, by zrobić dla nich miejsce.

Tłumy czekających aniołów. Ich energia przypominała energię stada zwierząt w zagrodzie, z drżącymi mięśniami i spoconymi bokami.

Jeden z nich unosił się nad głową Rielle. Nazywał się Sarakael i został wybrany losowo przez Corienę jako pierwszy, który miał zostać wskrzeszony. Rielle wyczuwała jego rozgorączkowanie i pragnienie, by upaść przed nią i oddać jej żarliwy hołd.

Ledwie jednak zwracała na niego uwagę. Wyczuwała wszystkich obserwujących ją aniołów – ich umysły prześlizgujące się w powietrzu, szeleszczące i szemrzące szepty – ale jej uwaga była skoncentrowana całkowicie na leżącym przed nią mężczyźnie.

Zastanawiała się, czy powinna się denerwować, lecz nic takiego nie czuła. Po jej plecach przemykały dreszcze jak palce dotykające jej, żeby się obudziła.

Corien podszedł bliżej.

Teraz, Rielle?

Skinęła głową.

Teraz.

Corien natychmiast zabił młodzieńca. Z łatwością roztrzaskał jego umysł, a bez umysłu wszystko inne przestawało działać. Powiedział jej, że to moment agonii, a potem pustka, ześlizgnięcie się w rozległą czern śmierci. Rielle patrzyła, jak w uroczych błękitnych oczach Tamarkina gaśnie światło.

Jego puste ciało czekało, aż ona rozpocznie pracę.

Teoria była łatwa, ale Rielle przypuszczała, że praktyka może się okazać inna. Przemyślała to wszystko. Gdy Corien spał, siedziała w przykrytym futrami fotelu przy oknie, wpatrywała się w lodowe przestrzenie i obmyślała swoją metodę.

Teraz działała zgodnie z własnymi instrukcjami. Jej oddech drżał, jej ciało ożyło pod napływem żaru, który dobijał się do niej jak do drzwi. Sięgnęła swoimi mocami i rozkazała aniołowi Sarakaelowi wejść do tego ciała, a następnie czekała, aż jego blady cień wślizgnie się przez wszystkie otwory – leciutko uchylone usta, nozdrza, uszy. Położyła dłonie na czaszce, bo to była najważniejsza kotwica. Powiązać żyjący umysł z martwym mózgiem. Jasne oczy z zaszkłonymi.

Zakładała, że kluczem do sukcesu będzie działanie, zanim empirium w martwym ciele przygaśnie. Zwłoki Tamarkina były ciepłe, morze złota nadal w nim pulsowało, chociaż za chwilę zacznie wysychać. Im bardziej żywotne było empirium, tym silniejsza stanie się więź.

Dlatego zaczęła splatać.

Używała dłoni, ponieważ aspekt fizyczny pomagał jej się koncentrować i ponieważ chciała wyglądać imponująco i tajemniczo. Kłęczała na ziemi obok trupa, przebudowując go w coś nowego i wspaniałego wyłącznie swoimi zwinnymi palcami, podczas gdy aniołowie patrzyli na nią z podziwem. Więż będzie silniejsza, niż gdyby Sarakael po prostu opętał żyjącego człowieka. Zszyje ich, umysł z ciałem, i złączy tak

nieodwracalnie, że staną się pojedynczym istnieniem silniejszym od człowieka i anioła. Nowym rodzajem życia stworzonym przez nią.

Rielle przesuwała się po centymetrze przez czaszkę, a pod jej palcami moce poszukiwały i badały. Wyczuwała chłodną, giętką obecność Sarakaela czekającego z zapartym tchem. Empirium w umysłach aniołów błyszczało olśniewająco, a Sarakael, chociaż młody i słaby, niezdolny bez pomocy zająć ludzkiego ciała, nie był pod tym względem wyjątkiem.

Dawniej mógłby ją boleć wzrok, gdyby na niego spojrzała. Teraz wpatrywała się prosto w morze ognia.

Pracowała, używając swoich mocy jak szwaczka igły, żeby przyszyć anioła do nowego ciała. Oślepiające światło do blednącego i gasnącego. Centymetr po centymetrze, okruch po okruchu złota. Miliony ściegów, każdy mały i nieskończony.

Pot spływał po jej plecach i ramionach. Poczowała odległy chłód – Corien ocierał mokrą szmatką jej szyję i czoło. Ostrzegła go, by nie dotykał jej umysłu, mógłby bowiem zakłócić jej koncentrację, przepływ mocy z jej palców do anioła i ciała.

Jednak w miarę czynionych postępów zatęskniła za jego znajomym dotykiem. Wskrzeszanie było gigantyczną pracą, na którą nie była jeszcze w pełni gotowa. Z każdym szwem traciła i odzyskiwała część siebie. Jej mięśnie zrywały się i naprawiały tysiące razy. Oddychała szybko i boleśnie.

– Czy nie powinnaś przerwać, moja miłości? – W głosie Coriena dźwięczał niepokój. – Czy to nie zbyt wcześnie po Bramie?

– Daj mi spokój – poleciła Rielle. Formowała słowa przez mgłę przypominającą sen. – Jestem Stworzycielką i Niszczycielką. Tym, co wymazuje, i tym, co powołuje do istnienia.

Świat przed jej oczami rozmywał się i rozszerzał, aż była w stanie widzieć jednocześnie wszystko, co znajdowało się w tym ogromnym

kompleksie i na całym Terytorium Północnym, pomniejszone jak na płótnie malarza. A może to ona urosła, przekraczając ograniczenia własnego ciała? Widziała otaczające ich góry, rozległe zamrożone morze, Białe Pustkowia. Widziała gwiazdy na niebie i obracające się za nimi światy – to było zbyt wiele, zbyt ją oszalało. Zalekniona, pełna zachwyty, opanowała swój błędzący wzrok i skoncentrowała się ponownie na pracujących szybko dłoniach.

Nareszcie skończyła.

Jej wizję nadal wypełniało empirium, więc patrzyła, z uniesieniem i zmęczeniem, jak to ciało, nowa istota ze starożytnym, potężnym umysłem i giętkimi ludzkimi kończynami, podnosi się przed nią. Wypróbował swoje nogi, wyciągnął ramiona ku wysokiemu sklepieniu i wrzasnął triumfalnie.

Iskrzył się i lśnił. Spróbował podbiec i podskoczyć. Był szybszy niż Tamarkin kiedykolwiek, prześlicznie zwinny, oszalał silny. Złapał się uchwytu pochodni i podciągnął na kamienne wsporniki na najbliższej kolumnie. Nagi i wspaniały, błyszczał lekko jak zanurzony w złocie.

Rielle patrzyła na niego ze swojego miejsca na posadzce, starając się nie poruszać. Czuła, że Corien stoi za nią, zeszywniały, ale nie chciała się odwrócić, żeby na niego spojrzeć; przewróciłaby się ze zmęczenia, a nie zamierzała tego zrobić, gdy wszyscy mogli ją zobaczyć – chmary aniołów ścigające Sarakaela. Ich euforyczne krzyki dźwięczały w jej umyśle.

Sarakael zeskoczył na dół, a potem podbiegł do Rielle i padł przed nią na posadzkę. Ucałował jej palce i rąbek sukni.

– Dziękuję, moja królowo – wyszeptał u jej stóp. – Moja wspaniała królowo. Nie wiem, jak mógłbym wyrazić swoją wdzięczność. Mogę się znowu poruszać, biegać i skakać. Czuję chłód tych kamieni i wilgoć powietrza, ciężar góry nade mną i miękki dotyk twojej boskiej skóry. Moja królowo – wykrztusił – nie wiesz nawet, co to znaczy dla nas wszystkich.

– Wystarczy, Sarakaelu – uciął Corien głosem doświadczonego dowódcy. Rielle z łatwością mogła go sobie wyobrazić jako anioła Kalmarotha wydającego rozkazy oddziałom anielskim podczas wojny. – Wy wszyscy, zajmijcie się czymś pożytecznym. Mam generałów silniejszych od was, na tyle silnych, że samodzielnie uciekli dawno temu przez Bramę i na własną rękę opętali ciała, aby pomóc mi w budowie naszej nowej siedziby. Oni znajdą zadania, które każde z was może wykonywać. Będziecie posłuszni wszystkim ich rozkazom, dopóki nie otrzymacie wezwania na wskrzeszenie.

Rielle słuchała jego przemowy jakby z dużej odległości. W jej głowie szalał taki wir, że omal nie zemdlą. Jak przez mgłę czuła, że Corien pomaga jej się podnieść i podtrzymuje jej ciężar, obejmując ją ramieniem.

Gdy w końcu dotarli do sypialni, Rielle pozwoliła sobie upaść.

Corien złapał ją i pocałował lekko.

– Moja piękna, moja odważna. Jesteś teraz przy mnie. Możesz odpocząć.

Rozluźniła napięte mięśnie i zaczęła drzeć w jego ramionach. Kiedy prowadził ją do łóżka, zaskoczyło ją jej własne odbicie w lustrze. Wargi blade jak skóra, pozbawione całkowicie kolorów, ale oczy płonące jak rozżarzone węgle. Wyobrażała sobie, że otwiera usta i wydmuchuje ogień. Wyobrażała sobie, że kąsa szyję Coriena i wstrzykuje mu truciznę.

To dziwne, że tak bardzo się trzęsła i potrzebowała Coriena, żeby się utrzymać na nogach, a mimo to czuła się silniejsza niż jakiekolwiek jej wcześniejsze wcielenie. Zupełnie jakby były zrzuconymi przez nią skórami, a ona zaczynała poznawać prawdziwą Rielle pod nimi wszystkimi. Słodki orzech mocy lśniący intensywnie w swojej skorupie.

Wymizerowana i promieniejąca uśmiechnęła się do swojego odbicia i patrzyła, jak czarno-złote cienie kłębią się pod jej obojczykiem, w rękach,

w pulsujących bólem skroniach.

– Gdy będę dostatecznie silna – wyszeptała w pierś Coriena – dam im wszystkim skrzydła.

Eliana

Duża część pism świętych dotyczących Otchłani zaginęła w pomroce dziejów lub została zniszczona przez radykalistów, takich jak Anima Primoria, popierających aniołów i potępiających wzniesienie Bramy. Teksty, które nie zostały wykradzione, są pieczołowicie strzeżone przez tych, do których należą – zazwyczaj władze kościelne danego państwa – i nie bywają udostępniane przyjezdnym badaczom. Ten fakt uznaję nie tylko za uwłaczający, lecz także potencjalnie niebezpieczny. Tylko dzięki zrozumieniu tego, co wydarzyło się w tamtych czasach, możemy zapobiec powtórzeniu się historii.

– Traktat o niezgłębionej Otchłani Tasha Kirdova z Pierwszej Gildii Akademików

Prorok odwiedził ponownie Elianę siedem dni po jej podróży do Otchłani.

Doskonale się spisałaś, przypłynęły słowa, którym towarzyszyła ostrożna fala otuchy. On nie dostrzegł w tobie nawet cienia Otchłani i nie przyszło mu do głowy, żeby coś podejrzewać.

Eliana, skulona na podłodze tam, gdzie zostawił ją Corien, otworzyła z trudem oczy. Przełknęła i poczuła metaliczny posmak; przygryzła od środka policzki do krwi. Na podłodze leżały odłamki szkła rozsypane jak śnieg. Corien w złości często niszczył przedmioty. Przez potłuczone szyby wpadało wieczorne powietrze. Połowa służących metodycznie zmiatała szkło. Druga połowa, z obojętną czujnością adatroksów na twarzach,

pilnowała, żeby Eliana nie złapała któregoś odłamka i nie poderżnęła sobie gardła.

– Pod dywanem – poleciła Jessamyn, przesuwając butem po podłożu. Spojrzała na Elianę, a na jej twarzy odmalował się niepokój. – Podnieście wszystkie dywany.

Eliana patrzyła, jak jej pokój jest sprzątany, a potem zawlokła się do łóżka i udawała, że zasnęła z twarzą ukrytą pod włosami, chociaż w rzeczywistości obserwowała drzwi, czekając, czy Corien znowu przez nie wpadnie. Policzki miała mokre od łez, ale prawie tego nie czuła. Każdy odgłos dobiegający od jej strażniczek sprawiał, że się wzdrygała. Minęła godzina, dwie. Nastąpiła zmiana warty. Jessamyn poszła do Lyceum, siedziby Invictus, żeby się przespać.

W końcu Eliana była bezpieczna.

Chcę tam wrócić, pomyślała, nasycając każde słowo triumfem. Mam pomysł. Czy myślisz, że to możliwe?

Później przesłała plan, który sobie obmyślała.

Doskonale wyczuwała dumę Proroka.

Och, malutka, podoba mi się twój sposób myślenia. Tak, uważam, że to możliwe i warte zbadania. Zaczniemy jeszcze dzisiaj.

Eliana siedziała po turecku na ziemi na dziedzińcu, schowana w gąszczu, w którym wcześniej znalazła przejście do Otchłani, i przyglądała się unoszącej przed nią ciemnej szczeliny. Czuła jej przyciąganie, jakby były to łakome usta. Musiała przytrzymywać się korzeni, których dotykały jej kolana, żeby nie zbliżyć się, dopóki nie będzie gotowa. Wszystko wokół szczeliny – mech i liście, ziemia i kamyki – poczerniały i zmarniały. Suche pozostałości drżały, zasysane do pęknięcia rzeczywistości, jakby nie chciały zostać połknięte.

Pamiętaj, usłyszała głos Proroka, kiedy tylko przestaniesz mnie słyszeć, musisz wracać do Avitas, tak jak poprzednio.

Eliana oburzyłaby się, gdyby nie była tak przestraszona. Już to słyszałam.

Zaś ja będę to powtarzać. Twój plan jest fascynujący, ale niepozbawiony ryzyka.

Ryzyko. Tak pospolite słowo na to, co zamierzała Eliana. Potrzeba było mocy siedmioro świętych, by stworzyć Bramę, którą później jej matka otworzyła gołymi rękami.

Teraz zaś Eliana Ferracora miała dłonie mokre od potu i oplecione złotymi łańcuszkami.

Opowiedz mi jeszcze raz, co to jest, poprosiła. Otchłań.

Wyczuła wahanie Proroka.

Obawiam się, że powtarzanie tego podsyci tylko twój lęk.

Proszę. Rozmowa o tym pomoże mi się uspokoić.

Niech będzie. Otchłań to przede wszystkim pustka. Przestrzeń pomiędzy światami, tak jak kilka miesięcy temu powiedziała ci Zahra. Nie ma tam światła ani dźwięku. Nie ma fizyczności. Nic poza surowym, swobodnym empirium. Przynajmniej tak twierdzą aniołowie. Od czasu do czasu któreś z nich mogło wyczuć błysk koloru lub szmer dźwięku. Wizje przemykające jak ulotne myśli, zanim powróci czarna pustka. Wydaje się jednak, że dzięki swoim mocom odbierasz tę przestrzeń w inny sposób. Dla ciebie Otchłań to miejsce wypełnione nieprzerwaną, namacalną iluzją.

Jest także wypełnione niezliczonymi ogromnymi potworami. Nie zapominajmy o tym, dodała oschle Eliana.

Prorok przesłał jej drżenie rozbawienia. Tak. Krucjusze, które przeniknęły do Otchłani ze swojego świata, nazwanego przez aniołów Hosterah, rzeczywiście mogą tam przetrwać. To dziwne, starożytne bestie,

nie do końca zrozumiałe nawet dla aniołów. Ale poza nimi mało co może przeżyć w Otchłani. Aniołowie potracili tam ciała.

Eliana położyła dłonie na ziemi. Grunt stanowił znajomą kotwicę. Panika tłukła się gwałtownym rytmem w jej sercu. Oczami duszy zobaczyła swoje ciało rozdzierane na strzępy.

Ty nie stracisz ciała tak jak aniołowie, przypomniiał Prorok, lecz w jego głosie wibrowało wyczuwalne napięcie. Oni nie mogli wkroczyć do Otchłani bez szwanku, ale zdaje się, że dla ciebie jest to możliwe. Wydaje mi się, że twoja matka także by to potrafiła, gdyby miała okazję spróbować.

Tak jakby to stanowiło pociechę. Eliana zacisnęła szczęki i poruszyła ramionami. Będę widzieć rzeczy, którym nie mogę ufać, ale będę musiała im zaufać.

Myślę, że zobaczysz, tak jak poprzednio, blade obrazy pochodzące zapewne ze światów innych niż nasz własny, tak jakby były wspomnieniami. Nie sądzę jednak, żeby to były wspomnienia – to coś, co dzieje się teraz, dzieło się w przeszłości lub dopiero się stanie. Wiele światów jest połączonych Otchłaniami, w której czas nie ma znaczenia.

Eliana skoncentrowała się na uspokojeniu oddechu.

Nie sądzisz.

To tylko teoria, przyznał Prorok. Wielu badaczy na przestrzeni historii, zarówno ludzkich, jak i anielskich, wysuwało teorie, które właśnie opisuję. Zastanów się nad tym. Tydzień temu stałaś wśród wzgórz, chociaż były tylko zwykłą iluzją, echem odbitym w Otchłani. Dlatego jeśli dzisiaj zobaczysz coś innego – góry, drogi lub lasy – zaufaj temu. Wykorzystaj to. Uwierz w iluzję. Pozwól, aby twoje moce stały się rzeczywistością.

Bo inaczej wpadnę w bezdenną pustkę? – zapytała kwaśno Eliana. Zostanę pochłonięta przez Otchłań.

Wierzę z całego serca, że zdołasz tego uniknąć.

Eliana wyczuwała tę pewność przesyłaną jej nieprzerwanym strumieniem przez Proroka.

Chciałaby podzielać to odczucie.

Zamiast tego jej żołądek ścisnął mdlący strach. Nie potrafiła wyprzeć z pamięci fioletowego nieba, które poszarzało od cieni bestii. Chociaż przeżyła pierwszą wyprawę do Otchłani, nie było pewności, czy uda jej się to po raz drugi. Jeśli jednak zaczeka jeszcze dłużej, podda się przerażeniu wywołanemu tym czymś, co sama stworzyła.

Eliana wstrzymała oddech, puściła korzenie drzewa i przeszła szybko przez szczelinę. Spodziewała się, że powita ją ten sam pejzaż łagodnych wzgórz i pustych łąk.

Zamiast tego ujrzała miasto najeżone wąskimi czarnymi wieżami, które pięły się do ciemnego nieba usianego gwiazdami.

Zamarła bez ruchu na środku szerokiej arterii pełnej ludzi – handlarze wieźli swoje towary, żonglerzy podrzucali świecące kule, dzieci prowadziły zwierzęta na zasupłanych powrozach. Znała niektóre z tych zwierząt, inne – grube i plamiste – widziała po raz pierwszy. Jeśli patrzyła na coś zbyt bezpośrednio, zaczynało jej się wymykać, stawało się szare i rozmyte, a potem znikało. Wszystko wydawało się odrobinę wyblakłe, odbarwione, tak jakby patrzyła nie na coś rzeczywistego, ale na pozostałości snu.

Oni mnie nie widzą, powiedziała, idąc powoli zatłoczoną ulicą. Ciemne kształty drgały na obrzeżach jej pola widzenia, wywołując niepokojące wrażenie, że zbliża się do niej coś ogromnego. Szybko się nauczyła, że musi patrzeć prosto przed siebie, bo inaczej zaczyna jej wirować w głowie. Nie mogła myśleć o tym, co naprawdę ją otaczało – nieskończonej, mrocznej pustce. Jej stopy stąpały po iluzorycznej drodze, a ona okłamywała się, że ulica jest prawdziwa i namacalna.

Teraz już rozumiesz, jak to zostało zrobione. Głos Proroka brzmiał ponuro. Otchłań dotyka wszystkiego. Połączenia między światami są tutaj cienkie i elastyczne, empirium może być kształtowane przez osoby z odpowiednimi mocami. Takie jak dawni święci, którzy wykorzystali swoje moce żywiołów, aby skazać na zagładę całą rasę.

Zahra powiedziała mi, że to był traktat pokojowy, pomyślała spokojnie Eliana, dopasowując rytm słów do rytmu kroków. Aniołowie przejdą do innego świata, niezamieszkanego, i zajmą go dla siebie. Ludzie pozostaną w Avitas i tak się skończą wojny anielskie.

Zahra mówiła prawdę, odparł Prorok. To było koszmarnie oszustwo.

Święci nie wkroczyli do Otchłani, bo wtedy by zginęli. Czy nie tak?

Owszem, używali swojej magii, pozostając w Avitas.

Jak to było możliwe?

Odpowiedziało jej milczenie Proroka.

Eliana zwalczyła przypływ zniecierpliwienia.

Skąd wiesz to wszystko?

Znam bardzo wiele dawnych opowieści, padła zagadkowa odpowiedź.

Eliana powstrzymała się od zadania licznych pytań i popatrzyła na przebiegającego obok chłopca. Białe warkocze sięgały mu do pasa, a jego jasna skóra była usiana piegami. Patrzyła na niego zbyt długo – jego sylwetka się rozmyła i zbladła, a potem spłaszczyła jak cień padający na ziemię i zniknęła. Kamienie brukowe były śliskie od deszczu, a Elianie się wydawało, że widzi spadające krople, ale gdy spróbowała się przyjrzeć, żeby to potwierdzić, poczuła ostry ból za oczami.

Odwróciła się z bolącą głową. Niepewność, co jest prawdziwe, a co nie, sprawiała, że jej żołądek zaciskał się nieprzyjemnie.

Nic z tego nie jest prawdziwe, oznajmił Prorok, a jednocześnie wszystko jest prawdziwe. Sądzę, że widzisz inny świat, bardzo odległy od naszego,

a także tak bliski, że gdybyś tutaj, w Elysium, wyciągnęła rękę, dotknęłabyś go, nie wiedząc o tym. Wiele światów, powtórzył Prorok głosem przesyconym fascynacją, jest połączonych poprzez Otchłń.

Poruszenie w górze, niewyraźne i na obrzeżach pola widzenia, sprawiło, że Eliana chciała podnieść głowę, lecz powstrzymała się w obawie przed tym, co mogłaby zobaczyć. Pamiętała Remy'ego skracającego się w konwulsjach u jej stóp i Coriena spoglądającego zimno z góry.

Czy to cię bolało?, pomyślała, chociaż znała odpowiedź. Utrata ciała?

Znowu chwila ciszy. Temat tożsamości Proroka niemal nie pojawiał się w ich rozmowach. Eliana często się obawiała, że drążenie zbyt natarczywymi pytaniami zniszczyłoby więź pomiędzy nimi.

Znała jednak prawdę od ich pierwszej rozmowy – Prorok był aniołem, czy się do tego przyznawał, czy też nie.

Znowu poruszenie nad jej głową. Eliana spojrzała w górę. Zobaczyła nocne niebo usiane większą liczbą gwiazd, niż widziała w Avitas. Gwiazdy falowały lekko, jakby były pianą na czarnej wodzie, w której pływały niewidoczne istoty. Eliana zmrużyła oczy i dostrzegła niewyraźne czarne kształty.

Zrobiło jej się zimno. To krucjusze?

Tak, odpowiedział Prorok.

Czy one mnie widzą?

Wahanie.

To możliwe.

Kierowana pierwotnym, zaciskającym gardło instynktem Eliana dotarła do żelaznej bramy i weszła szybkim krokiem do niedużego parku, w którym drzewa były ciężkie od deszczu. Schowała się za jednym z nich i przylgnęła do pnia, ukryta pod przemoczonymi liśćmi.

Wtedy jednak przypomniła sobie pomimo lęku – to wszystko nie było prawdziwe. Mogła ukrywać się pod drzewem, w domu lub w jaskini, ale to nie miało żadnego znaczenia, ponieważ w rzeczywistości była tylko ona sama, Eliana, skulona pod osłoną niczego, widoczna dla wszystkich istot zamieszkujących Otchłani. Nie mogła się ukryć – była samotna i bezbronna w nieskończonej pustce. To drzewo nie było drzewem, a ziemia, na której stała, w ogóle nie była ziemią. Eliana była zawieszona w pustce i otoczona pustką.

Jej palce nieoczekiwanie przeniknęły przez drzewo, a Eliana straciła równowagę i upadła. Uparta część jej umysłu spodziewała się uderzenia o ziemię, lecz zamiast tego zaczęła spadać, poprzez grunt, którego tak naprawdę tu nie było, w wirujące odmęty ciemności.

Rozbłyskiwały światła, jakby wpadła w burzową chmurę. Spróbowała zacisnąć powieki, żeby ich nie widzieć – były tak jasne, że aż bolesne – ale nie mogła tego zrobić. Znajdowały się wszędzie, jak rozżarzone diamenty, jakby wszystkie gwiazdy, które widziała, wybuchnęły teraz fontannami kolorów. Rozgrzana biel błyskawic i złamany śliwkowy, a także czarnoniebieskawy kolor świeżego sińca. Spróbowała krzyknąć, lecz gęste powietrze pochłonęło jej głos. Nie, to nie było powietrze, tylko pustka. Empirium, według słów Proroka, surowe i swobodne.

Odległe skrzeki i przeciągłe ryki nakładały się na siebie, tworząc okropną, fałszywą kakofonię, która wciskała się w uszy, jakby Eliana spadała z wysokiego urwiska w chaotycznym górskim wichrze.

Chciała zaczerpnąć powietrza, ale go nie znalazła. Żar przepływał po jej skórze bolesnymi falami, a Eliana w przypływie paniki zaczęła się zastanawiać, czy to już koniec. Straci swoje ciało tak samo jak aniołowie, jej skóra zostanie zdarta przez Otchłani.

Eliano, posłuchaj mojego głosu.

Uczepiła się słabych słów Proroka, jakby były uchwytami pozwalającymi jej wypełznąć z ciemności.

Co się dzieje? Nic nie rozumiem!

Posłuchaj mnie i skoncentruj się na tym, co mówię. Pamiętasz miasto, które widziałaś, i ulicę, którą szłaś? Musisz odtworzyć tamtą iluzję, wykorzystać ją, żeby się uspokoić i odzyskać równowagę. Przypomnij sobie swoją rzekę, Eliano. To, jak łączy cię z twoją mocą. Jak chroni przed wszystkim, co mogłoby cię skrzywdzić.

Eliana z trudem myślała o mieście i czarnych wieżach, chłopcu z białymi warkoczami, lśniących kulach żonglerów. Obrazy tłoczyły się wokół niej gorączkowo, a ona je chwytiała i zatrzymywała w umyśle, a każdy przynosił jej chwilę wytchnienia od ryczącego dźwięku w uszach. Oślepiające światło przygasło, wirowanie ciemności zwolniło i ustało. Eliana zaczęła znowu wyczuwać swoje krawędzie – brzeg koszuli nocnej muskający jej nogi, włosy dotykające ramion, chłodny nacisk form.

Doskonale. Głos Proroka był wyraźny, już nie tak odległy. *Zrób krok przed siebie.*

Eliana posłuchała i postawiła stopę na mokrym bruku zalanej deszczem ulicy w mieście wież. Przez chwilę stała tylko na trzęsących się nogach i oddychała. Czepiała się wrażenia własnej cielesności z nadzieją, że to da jej punkt oparcia.

Zaufaj iluzji, powiedziała do siebie. Wsłuchiwała się w pomruki swojej mocy wibrującej we wszystkich jej żyłach, a w głowie kreśliła obraz widzianego świata. *Odbuduj ją.*

Chłopiec z białymi warkoczami przebiegł obok niej. Czując zawroty głowy, odwróciła się, żeby popatrzeć, jak przemknął przez zatłoczoną ulicę i wpadł w ramiona mężczyzny, który przykląkł przed sklepem i czekał, by

go przytulić. Białe włosy mężczyzny były upięte w liczne węzły. Eliana pomyślała, że to ojciec chłopca.

Jej oczy napełniły się łzami, gdy ich obserwowała. Ile czasu minęło, odkąd przytulał ją ktoś, kto ją kochał?

Wracaj już do domu, polecił Prorok. Nie należało ci na to pozwalać.

Eliana odwróciła się od wąskiego zielonego światła w oddali, oznaczającego jej drogę powrotną.

Nie mogę. Jeszcze nie teraz. Nie zrobiłam tego, po co przyszłam.

Eliano, przed chwilą omal nie zatraciłaś się w Otchłani. Dla mnie to także coś nowego. Jeśli wydarzy się coś podobnego lub gorszego, być może nie zdołam ci pomóc.

Eliana rozprostowała palce. Łańcuszki form poruszyły się lekko na jej dłoniach.

Ale jeśli teraz wrócę, mogę też zginąć, więc wyjdzie na jedno, gdy zostanę tutaj i dokończę to, co zamierzam.

Prorok umilkł, a jego cichy gniew był jak chmura na horyzoncie umysłu Eliany. Ona jednak zignorowała to i zamknęła oczy. Skoncentrowała się na lekkim ucisku złotych dysków na dłoniach i powoli zachęcała swoje moce do przebudzenia, aż poczuła delikatne przyciąganie w piersi. Ten sam instynkt zaprowadził ją do miejsca w ogrodzie na dziedzińcu, gdzie powietrze było rzadsze.

Teraz ta siła przyciągania działała na jej pierś, ramiona i palce, ponaglając ją, żeby szła naprzód. Eliana powoli otworzyła oczy i zobaczyła czarne miasto pomalowane migotliwymi odcieniami złota empirium. Było najjaśniejsze tam, gdzie koncentrowała wzrok, i przygasało na obrzeżach jej pola widzenia.

Empirium jest tutaj takie świetliste, pomyślała do Proroka. Jaśniejsze od wszystkiego, co widziałam w Avitas.

Tak powinno być. Otchłań to empirium nieskażone fizycznością. Głos Proroka stał się miększy. Wydaje mi się, że dlatego ty, córka Rielle, możesz iść przez nią bez bólu. Empirium to odciski stóp Boga. To coś, co stwarza światy. Ty zaś masz go w sobie więcej niż jakakolwiek żyjąca wcześniej istota.

Z wyjątkiem mojej matki.

Trzepotliwe wrażenie, jakby Prorok odczuwał lekki ból.

Tak, malutka. Z wyjątkiem twojej matki.

Eliana szła krętymi ulicami miasta, kierowana zewem empirium, a budynki wokół niej stawały się coraz wyższe i gęściej poustawiane. Pilnowała jasności umysłu i wykorzystywała go, by wytyczyć ścieżkę, która była prawdziwa, nawet jeśli ulica pod jej stopami stanowiła złudzenie. Nawet jeśli to była iluzja, zaledwie echo świata będącego daleko poza jej zasięgiem, zamierzała w nią wierzyć. Ścieżka zaprowadziła ją na wąskie kamienne schody i do domu, którego drzwi były otwarte na ciemną noc.

Pospiesz się, Eliano, powiedział w końcu Prorok. Godziny mijały w mgnieniu oka. On niebawem nadejdzie. Jeśli to konieczne, spróbujemy innego dnia. Nie pozwól, aby upór lub duma...

Tutaj, pomyślała Eliana. Wewnątrz budynku, w kącie salonu, który istniał w odległym świecie niebędącym jej własnym, znalazła to, czego szukała.

Och, westchnął Prorok, a jego myśli zafalowały podziwem na widok miejsca, które widział oczami Eliany: cieńszego fragmentu tkanki Otchłani, słabego punktu w empirium, takiego samego jak w Avitas. Tutaj, w Otchłani, miało ono postać leciutko wilgotnego lśnienia w powietrzu. Składało się z tysięcy kolorów, jak pryzmat, na który padło słońce.

Eliana odczekała chwilę, wykorzystując swoje moce, by patrzeć przez lśnienie na to, co znajdowało się po drugiej stronie. Uśmiechnęła się na ten

widok, a potem wezwała swoje moce, rozpalila dłonie do białości i rozgarnęła lśniące przed nią powietrze, aż pojawiła się z sykiem niewielka szczelina, plując na jej palce rozpalonym błękitnym światłem.

Za szczeliną, poniżej, jakby spoglądała z wysokości niskich chmur, rozciągało się białe miasto. Spiralne wieże zwieńczone skrzydłami pięły się do jaśniejszego porannego nieba. Miasto otaczała szeroka przepaść poprzecinana mostami.

Był tu także pałac Coriena z lśniącymi kopułami i misternie zdobionymi gzymsami, które wyglądały imponująco w kremowym blasku wschodzącego słońca.

Eliana osunęła się na ziemię i usiadła ciężko na piętach. Położyła dłonie na udach, obawiając się oddychać zbyt głęboko, chociaż w głowie wirowało jej z wysiłku. Świat wokół niej migotał niebezpiecznie. Zamrugła gwałtownie i jak przez lśniącą mgiełkę wpatrywała się w dziurę, którą otworzyła. Otwór wydawał się nietrwały, mały i blady. Otaczały go kosmyki światła, ale rozchodziły się powoli i były ledwie widoczne, więc Eliana obawiała się, że szczelina może się niebawem zamknąć.

Wystarczy na dzisiaj, powiedział Prorok. Spiesz się z powrotem, malutka, błagam cię.

Eliana wstała i zachwiała się lekko.

Muszę to poszerzyć. Otworzyć bardziej. Teraz jest za małe. Krucjusze się nie przecisną.

Nie ma na to teraz czasu. Wrócimy tutaj i będziemy próbować ponownie, aż odniesiemy sukces. Albo też opracujemy zupełnie inny plan.

Eliana wpatrywała się, rozgorączkowana, w blade zarysy Elysium.

Nie mogę czekać dłużej!

Jeśli będziesz wymagać zbyt wiele od swoich mocy, możesz zatracić się w Otchłani lub zwabić krucjusze, zanim będziesz gotowa – zanim ja

wszystko przygotuję – albo też zwrócić uwagę Coriena, który przyjdzie po ciebie i po mnie, a wtedy wszystko będzie stracone. Głos Proroka brzmiał surowo. Musisz bezwzględnie odmierzać wykorzystanie swoich mocy albo zostaniesz bezbronna wtedy, gdy najbardziej będziesz potrzebować siły. Musimy działać powoli, przez cały czas ćwiczyć i pomagać ci odzyskiwać moce. Sama się na to zgodziłaś, gdy po raz pierwszy przedstawiłaś mi swój plan.

Eliana wiedziała, że to prawda, ale gdy odwróciła się od szczeliny, miała w oczach łzy frustracji. *Czy on się zorientuje?*

Sądzę, że niedługo. Ty zaś musisz być w pełni sobą, zanim on cię zauważy.

Eliana z ciężkim sercem wyszła z domu i pobiegła z powrotem – przez centrum miasta na jego obrzeża. Zobaczyła wąskie przejście do Avitas, odległą zieleń obramowaną gniewnym, sinym światłem.

To jest prawdziwe, powtarzała sobie, zmierzając do przejścia tak szybko, jak się odważała. To jest prawdziwe, jest materialne. Zmusiła się, żeby zwolnić i wyczuwać każdy krok na drodze. W końcu znalazła się przy szczelinie i przemknęła się przez nią, a światło zawibrowało na jej skórze. Na ziemi, bezpieczna w poczerniałym gąszczu, odwróciła się i zamknęła drżącymi palcami szczelinę. Niebawem pozostał tylko blady ślad, gra światła, którą można byłoby z łatwością przeoczyć. Eliana patrzyła, jak światło blednie, i cały czas myślała o tym jednym niewielkim otworze w Otchłani. Czuła mdłości na myśl o tym, ile zostało do zrobienia i co będzie musiała przez ten czas znosić.

Jesteś. W głosie Proroka dźwięczała cicha ulga. Dzięki Bogu. Eliano, uważam, że to było zbyt dużo, zbyt ambitnie. Nie powinnaś tam wracać. Są inne sposoby, żeby z nim walczyć. Szczelina, którą zrobiłaś, może sama się poszerzyć z czasem. Krucjusze ją znajdą.

– Ale ile czasu to potrwa? – szepnęła Eliana. Była zbyt zmęczona na myślową, dźwięk jej ochrypłego głosu przynosił jej pociechę. – Nie mogę na to czekać. Muszę zrobić to sama, zanim walka z nim sprawi, że stracę resztki siebie.

Prorok nie odpowiedział, lecz Eliana czuła pewny płaszczyśli, które ją otulały, gdy biegła z powrotem przez pałac do swojego pokoju. Kiedy zobaczyła swoje drzwi i dwóch szarookich strażników, poczuła okropny smak w ustach.

To nie będzie trwało wiecznie, Eliano, rozległ się głos Proroka przesiąknięty żalem. Pracuję bez wytchnienia, żeby pomagać ci na sposoby, o których jeszcze nie wiesz, ale czas musi zostać wyliczony precyzyjnie, bo inaczej stracimy naszą szansę. Wrócę do ciebie, gdy tylko będzie to bezpieczne. Pójdziemy tam razem.

Eliana nie odpowiedziała. Otworzyła drzwi swojego pokoju i bez słowa zamknęła je za sobą.

Simon

*Nie wpatruj się w las, mój miły,
Nie mów zbyt głośno po zmroku,
Nie podnoś się z łóżka, mój miły,
Nie odwracaj od świecy wzroku.*

– tradycyjna astawarska piosenka ludowa

Corien wypełnił miasto kradzioną urodą – twarzami o wyjątkowej symetrii, umysłami kipiącymi talentem. Poeci i muzycy, artyści i rzemieślnicy. Każdy budynek był idealny, zaprojektowany przez anielskie umysły i wzniesiony przez budowniczych porwanych z domów na drugim końcu świata. Obiecano bezpieczeństwo im i ich rodzinom, jeśli tylko zamieszkają w Elysium i będą wypełniać rozkazy Jego Wysokości Imperatora Nieśmiertelnego Imperium.

Gdy Simon szedł przez miasto do Lyceum, zauważył, że wszyscy zebrani przez Coriena mieszkańcy wpatrują się w niebo – jedni ze zdumieniem, inni z lękiem.

Simon mijał ich, patrząc przed siebie, ponieważ nie zamierzał się gapić tak jak oni, ale światło tego czegoś, co pojawiło się w górze, nie dawało się ignorować. Padało na wszystko, malując miasto dziwnymi barwami. Biel i błękit, indygo i śliwkowy. Zapadła już noc, lecz w mieście było jasno jak za dnia.

Simon spojrzał w górę tylko raz, gdy stanął przed drzwiami Lyceum.

Nad miastem, dokładnie nad jego centrum, lśniło jasne, niemrugające światło ukryte za chmurami. Pojawiło się kilka tygodni temu, a co kilka dni stawało się jaśniejsze i większe, jak zapowiedź gwałtownej burzy. Niektórzy opisywali je jako rozdarcie lub ranę w chmurach. Inni twierdzili, że przypomina wielkie oko. Simon słyszał szept pod czas patroli; całe miasto snuło teorie na temat tej tajemnicy.

Aniołowie nazwali to zjawisko „Ostia”.

Na mostach i skalistych równinach rozciągających się wokół Elysium uchodźcy starający się o wstęp do miasta zaczęli składać wyszukane ofiary, aby zaskarbić sobie przychylność anielskich strażników. Wierzyli, że światło w powietrzu oznacza, iż nadszedł czas na jakiś wielki akt łaski lub okrucieństwa ze strony imperatora. Jeśli zdołają zrobić na nim dobre wrażenie, ocalą życie.

Nie wiedzieli, że anielscy strażnicy przyglądają im się tylko z okrutnym rozbawieniem, a ich akty przemocy nie doczekają się żadnej nagrody.

Simon rzucił ostatnie chłodne spojrzenie na niebo. Doskonale wiedział, czym jest Ostia, podobnie jak aniołowie i wielu rezydentów Lyceum. To była szczelina w empirium, mała, ale coraz większa, za którą rozciągała się Otchłań. Niebawem będą musieli pilnować nie jednej Bramy, lecz dwóch. Pytanie brzmiało: kto odpowiadał za jej powstanie?

Odpowiedź wydawała się Simonowi oczywista, ale Corien przez całe tygodnie dręczył Elianę, nie znajdując żadnych dowodów pozwalających ją z tym powiązać. Jej wrzaski odbijały się echem w całym pałacowym skrzydle dniem i nocą, rzadko cichnąc.

Simon, nie oglądając się, wszedł do Lyceum.

W Lyceum, w sali audiencyjnej nazywanej Różaną Komnatą, Simon siedział, słuchał dyskusji nadzorującej Invictus Rady Pięciorga i zastanawiał się, ile czasu minie, zanim się zorientują, że są szpiegowani.

Popatrzył na lśniące drzwi z drewna wiśniowego, za którymi kuciała podsłuchująca ich Jessamyn. Jej ruchy były zbyt niezdarne, by mogły pozostawać całkowicie niezauważone; Simon usłyszał szurnięcie jej stóp na podłodze. Podobnie jak pozostali, miała bez wątpienia napięte nerwy z powodu upiornego światła lejącego się bez ustanku z nieba. Noc nie zapadała już naprawdę; nawet najciemniejsze godziny były przesycane srebrem.

Simon spojrzał znowu na Radę Pięciorga, ale nie zauważyli jej obecności, co wywołało w nim lekkie obrzydzenie. Mieli być najlepszymi z zabójców, a nie słyszeli nawet własnej uczennicy kręcącej się pod drzwiami.

Jedna z nich, jasnoskóra i żylasta kobieta imieniem Vezdal, pochyliła się nad stołem i łypnęła na niego gniewnie.

– Sam rozumiesz, Simonie, że nie możemy dłużej zwlekać – powiedziała z naciskiem. – Każda upływająca chwila może być naszą ostatnią. Widziałeś niebo. Nie chcę patrzeć, jak aniołowie umierają, a Imperium upada, ponieważ nie podjęliśmy działania.

– „On wybrał mnie, abym strzegła Jego dzieła” – odezwała się druga członkini Pięciorga. Nazywała się Mirzet, miała brązową skórę poznaczoną zmarszczkami wieku, ale mimo to była ponoć nadal niepokonaną mistrzynią miecza. – „On wybrał mnie, abym podziwiała Jego chwałę”. Tak brzmi przysięga Invictus. To on nas wybrał. Nie „oni”. Musimy pozostawać wierni wobec imperatora.

– Ale przysięga mówi także „Jestem strażnikiem Jego historii” – zauważył kolejny członek Rady miękkiem i spokojnym głosem. Miał na imię Kalan, był wysoki i mocno zbudowany. – Można by stwierdzić, że „Jego historia” to historia aniołów. Imperium, całej rasy, a nie tylko jednego anioła. Nie będziemy prawdziwymi strażnikami, jeśli pozwolimy, by ta

historia się zakończyła, niezależnie od tego, czy musimy z tego powodu zdradzić imperatora.

Mirzet zmarszczyła brwi, odsunęła gwałtownie krzesło od stołu i podeszła do jedyne go otwartego okna, które wpuszczało do komnaty upiorne błękitne światło Ostii.

Kalan odwrócił się do Simona i kontynuował.

– Z raportów Jessamyn wynika, że on na całe godziny zamyka się w pokoju z tą dziewczyną. Jessamyn słyszy jej wrzaski, a potem widzi, jak imperator wychodzi stamtąd, zmęczony i na pół obłąkany, ale dziewczyna nadal mu się opiera. Czy to prawda, Simonie?

Simon przyglądał mu się zimno.

– Tak, to prawda.

– Ostia codziennie się powiększa. Niebawem otworzy się na tyle szeroko, że krucjusze zaczną spadać prosto na ulice naszego miasta. Czy nie tak?

– Jeśli starasz się mnie skłonić, żebym zdradził mojego pana, imperatora, nie uda ci się to – odparł Simon cichym i spokojnym głosem. Podniósł się z krzesła. – Popełniłem błąd, przychodząc tutaj. Ty popełniłeś jeszcze większy błąd, zwołując to spotkanie. Masz jedną szansę, by mnie przekonać, że mówiłeś to wszystko ze strachu i z powodu błędnej interpretacji przysięgi Invictus. Jeśli nie zdołasz mnie przekonać, przyprowadzę tu dzisiaj imperatora i zabiję cię bez litości.

Oczy Kalana zalśniły. Położył dłonie płasko na stole.

– Jego umysł przebywa daleko, Simonie. Wiesz o tym. Widzisz to codziennie. Wszyscy to widzimy. Ta obsesja, aby udać się w przeszłość i odnaleźć dawną ukochaną, zniszczyła go. Gdyby był sobą, gdyby jego umysł był taki jak kiedyś, już dawno złamałby tę Ferracorę. Ale nie potrafi

tego zrobić, a potwory atakują nas z lądu i morza. Musimy działać. Ona musi zamknąć Bramę, a teraz także Ostię, bo inaczej wszyscy zginiemy.

Simon czekał, poświęcając tylko połowę swojej uwagi nerwowej Radzie Pięciorga.

Drugą połowę nasłuchiwał Jessamyn.

– Admirał Ravikant zaczął już działać – ciągnął Kalan pewniejszym tonem. Wydawało mu się, że jego argumenty trafiają. – Zebrał swoich najsilniejszych poruczników. Uważają, że połączone siły ich umysłów wystarczą, by go zniszczyć. Aby to jednak zrobić, potrzebujemy twojej pomocy.

Vezdal poderwała się nagle od stołu i podbiegła do drzwi. Otworzyła je kopniakiem na oścież, przewracając Jessamyn na podłogę.

Dziewczyna poderwała się w momencie, gdy Vezdal rzuciła się na nią z długim i wąskim ostrzem w ręku. Jessamyn zrobiła unik, okręciła się na pięcie i kopnęła. Nie trafiła; Vezdal chwyciła ją za nogę i rzuciła mocno o ziemię.

– Głupia dziewczucha! – wrzasnęła Vezdal. – Przeklęta zdrajczyni!

Kalan wciągnął ją z powrotem do komnaty i obrócił siłą, żeby na niego spojrzała.

– Możemy ją wykorzystać – syknął. – Została przydzielona jako strażniczka tej dziewczyny. Została przydzielona jako opiekunka jej brata. Jessamyn to cenna para naszych oczu w pałacu.

Vezdal wyrwała rękę z jego uścisku.

– Jest dla nas zagrożeniem i musimy ją wyeliminować.

Jessamyn zdążyła tymczasem uciec w głąb korytarza.

Vezdal ruszyła za nią, wyciągając drugi nóż zza pasa. Kolejny z Pięciorga, łucznik wyborowy imieniem Telantes, rzucił się w jej ślady.

Simon usłyszał szcęk noży spadających na kamienną podłogę i cienki świst strzału.

Kalan odwrócił się do Simona z policzkami czerwonymi z gniewu, ale nie zdążył niczego powiedzieć, bo Simon wyciągnął z kabury przy boku rewolwer i zastrzelił go.

Zanim Kalan upadł na ziemię, Simon okręcił się i strzelił pozostałej dwójce precyzyjnie pomiędzy oczy – Mirzet przy oknie i Praxii nadal przy stole.

Simon przeszedł przez komnatę i stanął nad ściskającym krwawiący brzuch Kalanem. Uniósł rewolwer do śmiertelnego strzału.

– Bardzo mi przykro, Kalanie – powiedział. – Nie mogę pozwolić, żebyś wystąpił przeciwko imperatorowi. Wydaje ci się, że Ravikant zdoła zrobić to, co nie udało się imperatorowi? Jego umysł jest jak taran. Zabije dziewczynę za pierwszym razem, gdy wejdzie się do jej myśli, a wtedy zostaniemy bezbronni wobec zbliżającej się inwazji.

Potem pociągnął za spust. Wyszedł z komnaty, zanim ucichło echo wystrzału.

Kiedy wybiegł z Lyceum w poszukiwaniu pozostałych, w jego głowie kłębiła się pojedyncza myśl, której nie potrafił się pozbyć, chociaż jego stopy uderzały o kamienie, a w rękę trzymał rozgrzaną broń.

Strzeliłem mu prosto w brzuch.

Strzeliłem mu prosto w brzuch.

Pałac imperatora był otoczony labiryntem dziedzińców, który Simon znał doskonale.

Przebiegł pod kamiennym łukiem z jednego na drugi, nie odrywając wzroku od Jessamyn. Była niedaleko przed nim – dostała strzałę w udo i poruszała się coraz wolniej.

Vezdal wyskoczyła z cienia, chwyciła Jessamyn za ramię i okręciła ją w swoją stronę. Dziewczyna zrobiła unik przed nożem zabójczyni, po czym z ohydny chrzęstem uderzyła ją pochwą swojej broni w nos. Vezdal zachwiała się z krwią ciekącą z nosa, ale zawahała się tylko na chwilę, zanim pobiegła dalej za utykającą Jessamyn.

Po murach nad nimi przemknął szybki cień – to był Telantes z kołczanem strzał na plecach.

Simon minął kolejny dziedziniec i wyłonił się spod obrośniętego kwiatami łuku z kutego żelaza w momencie, gdy Jessamyn pojawiła się na białych schodach. Podbiegła do niego chwiejnie, a on złapał ją mocno, zanim upadła.

– Invictus – rzuciła zdyszana, z szeroko otwartymi oczami, pobladła od upływu krwi. – Ravikant.

– Wiem – powiedział spokojnie Simon. – Może pamiętasz, że tam byłem.

Odsunął ją na bok, wycelował i strzelił w osoby za jej plecami. Dwie kule – jedna dla Vezdal, druga dla Telantesa. Łucznik spadł z murów w kępę kwiatów.

Simon pomagał Jessamyn iść do pałacu, podtrzymując ją mocno ramieniem. Spojrzał w dół. Nogawkę miała przesiąkniętą krwią, jej oczy były szkliste i niewidzące.

– Nasi lekarze zajmą się twoimi ranami – zapewnił i w tym momencie ogarnął go bezruch. Zasłona opadła na jego umysł. Znał ją doskonale – jej smak i zapach. Zdumiewającą siłę woli.

Simon otworzył swoje myśli przed Corienem i pozwalał mu wyczytać, co tylko zechciał – Różaną Komnatę, frustrację członków Invictus, zdradę Ravikanta.

Rozumiem. Słowa Coriena napłynęły jak biała rzeka.

W następnej chwili znaleźli się w pałacu. Weszli, chwiejąc się, do niewielkiej bawialni w pobliżu południowo-wschodniego wejścia. Corien krążył po komnacie w rozpiętej białej koszuli opadającej luźno na ciemne spodnie, z włosami splątanymi i potarganymi. Był u Eliany; miał w oczach błysk szaleństwa, które towarzyszyło mu tylko wtedy, gdy spędził dzień zamknięty w jej pokoju.

Przybiegły pałacowe pielęgniarki, które położyły Jessamyn na kanapie i natychmiast zaczęły opatrywać jej rany.

Corien stał nad nią, chociaż Simon wiedział, że imperator na nią nie patrzy. Wyczuwał chaos w umyśle Coriena, którego myśli pochłaniały dwie kobiety – jedna martwa, druga bardzo bliska śmierci.

– Dziękuję, Jessamyn, że przyszedłś, by mnie ostrzec – rzekł cicho Corien. Przycisnął usta do jej dłoni i przytrzymał je na tyle długo, że pielęgniarki – kobiety o przytomnych oczach, porwane ze względu na swoje umiejętności medyczne – wymieniły nerwowe spojrzenia.

Simon odchrząknął i zrobił krok naprzód.

– Panie? Co rozkażesz?

– Co rozkażę? – Corien odwrócił się do niego. Wpadające przez okna światło Ostii malowało go prześlicznymi barwami. Jego policzki lśniły, jakby posypał je pudrem zrobionym z gwiazd. – Rozkażę otworzyć wszystkie drzwi w Vaera Bashta – powiedział cicho głosem, który sprawiał, że każde słowo drżało. – Wszyscy znajdujący się tam więźniowie zostaną uwolnieni i będą mogli czynić, co tylko zapragną. Wolno im będzie przywłaszczyć sobie każdy dom, każdą osobę, każde łóżko. Nie będzie już cel. Nie będzie strażników. Chcę, aby moje białe ulice spłynęły na jej cześć czerwienią. Jak widać, to miasto jest pełne brudu, którego nie dostrzegałem. Czas je oczyścić.

Podniósł z podłogi swój płaszcz i wyszedł z komnaty. Simon chciał pójść za nim, ale Jessamyn chwyciła go za rękę, gdy ją mijał.

– Remy jest nadal w Lyceum – wydusiła z trudem. Oddychała płytko, oczy miała zaszkłone bólem, a warkocz przesiąknięty potem. – Zabierz go, proszę, i przyprowadź tutaj, zanim otworzą więzienie. Jeśli on zginie...

Simon zabrał najbliższej pielęgniarki strzykawkę pełną środka uspokajającego i wbił ją w ramię Jessamyn. Dziewczyna zwiotczała na kanapie, a Simon pozostawił ją z milczącymi opiekunkami, żeby pójść za Corieniem w głąb pałacu.

Navi

Wiem, że jesteś pogrążona w żałobie. Wiem, że wspominasz dawne życie i gdy patrzysz na to, co stało się ze światem, w Twoim sercu płonie wściekłość. Zamiast tego myśl jednak o tym, jak bardzo Cię kocham, jak Nerida kocha Tameryn i jak członkowie rodzin, które widzieliśmy, są sobie bliscy, jak zawsze w rodzinach. Miłość jest jedyną pewną siłą, która nigdy nie ulegnie przemocy ani rozpacz. Musimy pozwolić, aby ta prawda oświeciła nam drogę, Cat, nawet gdy świat ogarnia ciemność. Szczególnie w takiej chwili.

– z niedatowanego listu świętego Ghovana Nieustraszonego do siostry Catariny, przechowywanego w Skarbcu Wieków w Online, stolicy Ventery

Przez ostatni miesiąc Navi przetransportowała niemal wszystkie skromne zapasy i większość swojej małej armii z obozu na Bagnach Kavaliańskich do ukrytej jaskini Ysabet.

Za cztery dni okręt będzie gotowy do wyruszenia w morze. To było niezwykle osiągnięcie, które wypełniało zarówno obóz w jaskini, jak i na bagnach nerwową energią.

Ta energia udzieliła się także Navi, która pracowała niemal bez wytchnienia, ledwie pozwalając, żeby wysechł na niej pot, zanim zajęła się następnym zadaniem. Przygotowywała kłębki opatrunków, zioła w butelkach i impregnowane płótno; układała paczki z suszonym mięsem, orzechami i ciastkami ryżowymi; chowała do skrzyń worki pszenicy i owsa. Większość ostatniego miesiąca pochłonęły ostrożne i starannie

zaplanowane wyprawy na dobierane w celowo losowy sposób targi na wyspach Hariaca i Laranti, a nawet okazjonalne wypady do portu Algaré, gdzie przybyli po opuszczeniu Meridianu.

Teraz mieli przyzwoitą ilość zapasów, które mogli dołożyć do zasobów Ysabet, a Navi zaczęła oddychać spokojnie, ponieważ wiedziała, że jej ludzie nie będą stanowić dodatkowego obciążenia. Skoro zamierzała zabrać Ysabet i jej załogę na straceńczą misję do Elysium za oceanem, mogła przynajmniej dopilnować, żeby po drodze byli najedzeni – o ile zapasy się nie popsują lub nie zostaną zmyte przez sztorm.

Navi wypchnęła te obawy z głowy i weszła do swojego namiotu w poszukiwaniu kawałka papieru do notowania. Oczy piekły ją z niewyspania, ale gdy próbowała się położyć, sen przychodził tylko niespokojnymi falami. Wszyscy odczuwali to samo – zmęczenie, strach i dziką, oszałamiającą ekscytację. W końcu wypłyną na morze, zaatakują imperatora w jego domu i będą walczyć za Słoneczną Królową. Staną się legendą w świecie, który przetrwa. Ich imiona będą powtarzane szeptem przy stołach, mamrotane w modlitwach.

Oczywiście najpierw musieli wymyślić, jak właściwie dostać się do Eliany. Wdarcie się do miasta imperatora nie było łatwym zadaniem.

Navi roześmiała się do siebie i otarła czoło. Rozpaczliwie potrzebowała snu. Poza tym mieli całą podróż przez ocean na opracowanie planu.

Na zewnątrz namiotu rozległy się pogodne okrzyki, a potem szuranie łodzi wciąganych na błotniste brzegi obozu. To załoga Ysabet przybyła po dzisiejszą porcję ładunku.

Navi znieruchomiała z kartką w dłoni. Próbowwała usłyszeć coś poprzez nagle przyspieszone bicie serca, ale słyszała tylko własną ekscytację, gorący rytm swojej krwi.

Chwilę później klapa namiotu się uniosła, a do środka weszła Ysabet, wnosząc słony zapach morza. Wilgotne pasma białych włosów skręcały się na jej podbródku, policzki miała zaczerwienione od wiatru.

– Wszystko idzie dobrze – powiedziała, opierając ręce na biodrach. Przy pasie miała pochwę z mieczem, rękawy białej koszuli podwinęła do łokci. Przyjrzała się krytycznie porządkowi panującemu w niewielkim namiocie Navi, jakby był to pokład jej własnego statku. – Za cztery dni będziemy gotowi do wyruszenia w rejs. Wypłyniemy wieczorem; nie przepadam za tym, ale dopóki nie oddalimy się od wysp, musimy bardzo uważać na okręty imperialne. Światło Królowej poradziłoby sobie z nimi, ten statek jest jak morski drapieźnik, lepiej jednak unikać walki, jak długo to będzie możliwe.

Navi kręciła się niepotrzebnie po namiocie. Porządkowała papiery, wsunęła notes Hoba pod jego koc i pilnowała, żeby zachowywać obojętny wyraz twarzy. Nie potrafiła spojrzeć na Ysabet. Od miesiąca narastało w niej pragnienie, jakiego nie czuła, od kiedy w wieku czternastu lat po raz pierwszy poszła do łóżka z dziewczyną. Temu pragnieniu towarzyszył okropny lęk, że jeśli wyzna swoje uczucia, Ysabet roześmieje się jej w twarz. Mimo że Ysabet często spoglądała na nią ukradkiem, kiedy pracowały razem, a czasem gdy ich dłonie się dotknęły, pojawiała się uczucie, jakby hubka zajmowała się ogniem.

W tym momencie coś z tego, co mówiła Ysabet, zwróciło uwagę niespokojnej Navi. Światło Królowej. Wyprostowała się, żeby spojrzeć na Ysabet, która uśmiechała się coraz szerzej, zadowolona z siebie.

– Nazwałaś statek – odezwała się słabo Navi, z której uszło całe powietrze. – Nazwałaś go na cześć Eliany.

– To dobra nazwa, prawda? – Ysabet mrugnęła do niej. – Czy zasłużyłam przynajmniej na buziaka?

Ciepło zaczęło się powoli rozchodzić po ciele Navi. Jej oczy wypełniły się łzami; nie potrafiła oderwać wzroku od twarzy Ysabet, nasycić się wymalowaną na niej czułością. Oстрым zarysem podbródka i kości policzkowych, przenikliwymi brązowymi oczami.

Zadowolony uśmiech Ysabet przygaś.

– Płaczesz. To są dobre łzy czy złe?

Navi potrząsnęła głową i podbiegła do niej, a kiedy się ze sobą zderzyły, wydawało się, że całe życie zmierzały tym kursem. Dotknęła uśmiechniętych ust Ysabet własnymi, objęła jej ramiona.

– Dzięki Bogu – wymamrotała Ysabet na jej wargach. Objęła Navi w talii, a później już nie miały powietrza, żeby rozmawiać.

Ysabet całowała tak samo, jak robiła wszystko inne – ze swobodną pewnością siebie sprawiającą, że pod Navi ugięły się kolana. Początkowo były to czułe, kuszące skubnięcia sprawiające, że wargi Navi nabrzmiały i stały się bardziej wrażliwe. Potem, z szybko rzuconym i pełnym żaru spojrzeniem, Ysabet przesunęła dłoń na głowę Navi, która stanęła na palcach, by jej dosięgnąć. Ten pocałunek był głębszy, gorący. Dłonie Navi uczepliły się rękawów Ysabet, a język Ysabet pieścił usta Navi, aż się rozchyliły.

Ysabet jęknęła i popchnęła ją lekko na stos skrzyń w kącie namiotu. Navi usiadła na nich, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie, i natychmiast objęła nogami uda Ysabet, żeby przyciągnąć ją bliżej. Czuła jej żar, silne i rozgrzane linie jej ciała. Ysabet przytrzymała jej biodra i przysunęła się do niej. Navi odchyliła głowę, pozwalając, by usta Ysabet wędrowały po jej szyi. Wplotła palce we włosy Ysabet, zachwycona ich miękkością. Pragnęła wtulić w nie twarz.

Rękawy jej tuniki się zsunęły. Ysabet pocałowała jej nagie ramię.

– Nie nadałam mu tej nazwy tylko po to, żeby dostać się do twojego łóżka – wymamrotała z ustami przy skórze Navi.

Navi z uśmiechem przymknęła oczy.

– Ja nie mam łóżka.

– Ja mam, na moim statku. – Ysabet podniosła głowę; miała oczy pełne gwiazd. – Jest duże. Wiesz, kajuta kapitańska. – Zaraz potem jej twarz spoważniała. Oparła czoło o czoło Navi i w tej chwili wytchnienia z czułością odgarnęła Navi z policzka jedwabiste czarne włosy. Kilka miesięcy po porwaniu przez Fidelie odrosły jej w końcu do ramion. – Nie chcę, żeby łączyły nas tylko kłamstwa, Navi – wyszeptała. – Nie tylko o to mi chodzi.

Navi musnęła pocałunkami jej policzki. Serce ją zabolalo, gdy Ysabet uniosła twarz z zamkniętymi oczami jak kwiat sięgający do słońca.

– Wiem – powiedziała cicho Navi. – Ja czuję to samo. – Zadrżała, kiedy Ysabet przesunęła palcami po krawędzi jej tuniki, pieszcząc odsłoniętą skórę w talii. – Tylko bardzo dawno temu, gdy byłam jeszcze naprawdę młoda, dotykała mnie w taki sposób osoba, której pragnęłam. Zapomniałam, że to może być takie przyjemne.

Ysabet znieruchomiała i odsunęła się od niej. Jej spojrzenie było poważne.

– Mamy sobie do opowiedzenia jeszcze tyle historii.

Navi dotknęła jej twarzy z lekkim uśmiechem.

– Będziemy mieć mnóstwo czasu na historie, mknąc przez ocean twoim pięknym statkiem.

– Powtórz to.

Navi uśmiechnęła się szerzej.

– Twoim pięknym statkiem.

Ysabet westchnęła.

– Uwielbiam słuchać, jak mówisz tak cudowne rzeczy.

Rozległ się głośny okrzyk, a zaraz potem następny. Navi i Ysabet spojrzały na siebie błyskawicznie i wybiegły z namiotu. Na zewnątrz ich ludzie chwyтали za broń i pospiesznie chowali zapasy. Malik z ponurą twarzą dobył miecza. Hob przeładował rewolwer.

Navi rozejrzała się w półmroku bagien. Ysabet stała tuż za nią. Zmierzchało, a resztki światła przenikające przez gęstą sieć gałęzi nad ich głowami były słabe i żółtawe. Navi spojrzała w stronę szczeliny, która jednak wyglądała tak jak zawsze – otoczone sinymi barwami czarne rozcięcie wypełnione rozbłyskami światła wisiało spokojnie w powietrzu kilkaset metrów od nich.

Zbliżała się łódź, na tyle odległa od szczeliny, że pasażerowie mogli jej nawet nie zauważyć. Ktoś stał na pokładzie i kierował po mętnej wodzie za pomocą długiego wiosła.

Navi stężała. Czy to była tylko jedna osoba, jedna łódź? A może jedna z wielu? Człowiek czy anioł?

Nagle powietrze poruszyło się jakby od wiatru. W nieruchomości bagien Navi zauważyła to od razu i wstrzymała oddech, ponieważ знаła to zniekształcenie, ledwie dostrzegalny cień, który bezustannie przemieszczał się i zmieniał.

Wasza Wysokość. W głosie Zahry brzmiała ulga. *Nareszcie.*

Navi rzuciła się do przodu.

– Nie strzelać! – krzyknęła ostro. – Opuśćcie broń!

Malik popatrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami i nadal uniesionym mieczem.

Navi wyminęła go, a z jej gardła wyrwał się śmiech, gdy machała rękami na powitanie. Usłyszała moment, w którym Hob rozpoznał wiosłarza – niskiego, krępego mężczyznę o jasnej skórze i potarganych

miedzianych włosach. Hob wydał zdławiony okrzyk, podbiegł do Navi, a potem bez zastanowienia wskoczył do mulistej wody, żeby złapać łódź i przyciągnąć ją do wyspy.

Patrik z uśmiechem przypominającym wschodzące słońce i nową blizną na policzku rzucił wiosło na błotnisty brzeg. Navi przycisnęła dłonie do ust, uśmiechając się przez łzy. Tak bardzo się zmienił od tamtego dnia kilka miesięcy temu, gdy spotkała go w kryjówce rebeliantów nazywanej Jaskinią Korony. Nosił postrzępioną czarną opaskę na oku i był zbyt chudy, pokryty świeżymi bliznami, ale zdrowy i żywy.

Hob ujął jego twarz drżącymi ciemnymi dłońmi, po czym delikatnie, jakby się obawiał, że sen się rozwieje, przyciągnął go do siebie i zamknął w ramionach. Wtulił twarz w nieposłuszne włosy Patrika, zacisnął palce na jego przetartej koszuli. Hob był powściągliwym mężczyzną, lecz nie potrafił teraz powstrzymać głośnego szlochu przerywanego śmiechem niedowierzania.

Patrik przycisnął twarz do jego ramienia i zamknął oczy. Mamrotał coś ledwie słyszalnego przez odgłosy ulgi Hoba. Gładził palcami kark swojego partnera. Navi ledwie go widziała zza potężnych ramion Hoba, ale zdołała pochwycić jego spojrzenie.

Odwróciła się do pozostałych obserwujących tę scenę. Malik się rozpromienił i odłożył miecz.

– No już – powiedziała bezgłośnie i machnęła na nich, żeby się odsunęli. – Dajcie im chwilę dla siebie.

Jej mała armia wyrzutków posłuchała natychmiast i wróciła do swoich zadań wraz z załogą Ysabet – poza samą Ysabet, która wpatrywała się przenikliwym wzrokiem w drzewa.

– Coś tu jest – mruknęła z dłonią na rękojeści miecza. – Coś anielskiego.

Navi dotknęła jej ramienia.

– Tak, ale to przyjaciółka. Upiorzyca imieniem Zahra. Ocaliła mnie raz, a Elianę kilkakrotnie.

Później odwróciła się do Zahry, niewyraźnego rozmycia w powietrzu, pozbawionego twarzy i kształtu. W odróżnieniu od Eliany nie widziała cienia prawdziwej sylwetki Zahry, lecz głos upiorzycy w jej głowie był czysty jak bezchmurne niebo.

– Zanim wyrażę, jak bardzo się cieszę, że w końcu cię spotykam – odezwała się Zahra, która nie używała teraz myśłomowy, a jej głęboki, miękki głos był przesycony radością – i zanim opowiem, gdzie byliśmy i co widzieliśmy, muszę przekazać ci wieści, Wasza Wysokość.

Ysabet zaklęła cicho. Z szeroko otwartymi oczami odsunęła się od dryfującej w powietrzu Zahry, chociaż nie potrafiła odnaleźć jej wzrokiem.

– Nie rozumiem – wymamrotała. – Nigdy nie słyszałam, żeby anioł mówił bez ciała.

– Umysł jest w stanie dokonać wiele, jeśli ma dostateczną wolę – oznajmiła stanowczo Zahra. – To, co słyszycie, jest przybliżoną projekcją mojego dawnego głosu, wzmocnioną i oczyszczoną przez wasze umysły. Chociaż nie wszystkie upiory są zdolne do podobnych rzeczy, mój umysł jest na szczęście dostatecznie na to silny.

Ysabet zamrugała, a potem spojrzała na Navi z takim zdumieniem, że Navi musiała stłumić śmiech.

– Porozmawiamy o tym później – obiecała, dotykając lekko jej ramienia.

– A teraz moje wieści. – Wydawało się, że ledwie widoczna w powietrzu sylwetka Zahry się wyprostowała. – Przynoszę wiadomość od Proroka. Eliana nadal żyje. Stawia opór imperatorowi. Pod nadzorem Proroka uczy się potajemnie używać swoich mocy. Pracuje nad otwarciem

ogromnej szczeliny pomiędzy Avitas a Otchłanią i niebawem wypuści na Elysium horde krucjuszy.

Wśród tych, którzy się zebrali, żeby posłuchać, zapanowało radosne poruszenie.

Navi zakreśliło się w głowie ze szczęścia. Położyła dłonie na szyi, łzy napływały jej do oczu.

– Och, Zahro, dzięki Bogu. Eliana żyje. Dobrzy święci, ona żyje. Co jeszcze mówił Prorok? Kim w ogóle jest Prorok? Czy ty wiesz?

– Tak – odparła Zahra, ale nie powiedziała nic więcej.

Navi to nie obchodziło, jej ciało było wypełnione światłem.

– Musisz nam powiedzieć wszystko, co wiesz. Gdzie byliście z Patrikiem, co widzieliście. Jak możemy pomóc Elianie. Mamy statek, bardzo szybki. Mamy tuziny żołnierzy gotowych do walki. – Określiła się na pięcie, chwyciła dłonie Ysabet i ścisnęła je z uśmiechem. – Eliana żyje. Ona walczy. Wiedziałam, że tak będzie, i tak jest. Empirium ją prowadzi, a...

Gdy głos Navi się załamał i nie była w stanie dłużej mówić, Ysabet dotknęła jej twarzy z łagodnym uśmiechem.

– A teraz światło Królowej poprowadzi nas do niej.

Navi nie żałowała, że opuszcza Bagna Kavaliańskie, nawet jeśli to oznaczało, że musi zamieszkać na statku, który wyraźnie się na nią uwziął.

Z kwaśnym posmakiem w ustach po naporze, który dała jej Ysabet, spróbowała się przynajmniej poruszyć. Przez pierwsze dwa dni rejsu nie była w stanie podnieść się z łóżka i oddalić od stojącego przy nim wiadra.

Jednakże napar pomógł uspokoić jej żołądek, więc wyszła z kajuty na pokład. Jak do tej pory mieli pomyślny wiatr i oddalali się od Vesperów z szybkością, która budziła zachwyt Ysabet. Navi stała w głównych drzwiach prowadzących pod pokład, z zamkniętymi oczami, i pozwalała,

by wiatr ją owiewał. Czuła świeże powietrze, zapach soli i gęstej, oleistej żywicy używanej przez załogę Ysabet do polerowania pokładu.

Navi otworzyła oczy i patrzyła, jak jej ludzie pracują. Ich ludzie. Sześćdziesięcioosobowa załoga Ysabet i jej armia licząca czterdzieści siedem osób. Sto siedmioro ludzi i jedna upiorzyca przeciwko oceanowi, flocie imperialnej i koszmarom, które mogły na nich oczekiwać w Elysium.

Odsunęła ponure obrazy zrodzone z jej lęków i przeszła przez pokład, zapamiętując jego stopnie i krzywizny, podziwiając gładkie lśnienie relingu. Dobiegały ją rozmowy zapracowanej załogi. Cieszyła się, że ich głosy są pogodne teraz, gdy Vesperry zniknęły już na horyzoncie. Nie ścigały ich żadne imperialne okręty, żadne niebezpieczeństwo nie deptało im po piętach.

Jeszcze nie.

Potem Navi spojrzała na dziób statku i kunsztownie rzeźbioną figurę, którą przemęczeniu cieśle Ysabet musieli wyrzeźbić niemal bez uprzedzenia. Kobieta z uniesioną twarzą i wyciągniętymi ku niebu ramionami. Jej włosy spadały falami do pasa, a na głowie miała koronę z szerokich promieni.

Obok figury dziobowej coś migotało w powietrzu.

Navi zatrzymała się na chwilę. Upiorzyca powiedziała jej o wszystkim, co zdarzyło się przez te miesiące, które upłynęły od ich rozstania, a Navi nadal próbowała te informacje poukładać. Uwięzienie Zahry na pewien czas w ostrzu zagłady, aż Eliana przywróciła Remy'ego do życia i uwolniła ją przy tej okazji. Ponowne spotkanie z Patrikiem i szpiedzy Czerwonej Korony w Festivalu. Noc Jubileuszu Admiralskiego, gdy Festival został zniszczony przez siły anielskie poszukujące Eliany, aby sprowadzić ją w końcu przed oblicze imperatora.

Teraz, wiele tygodni później, Zahra i Patrik, jedyni ocalali z tego okropnego dnia, dołączyli w końcu do swoich przyjaciół.

Navi żałowała tylko, że nie mogło im zostać oszczędzone wszystko to, co wydarzyło się w międzyczasie.

Podeszła do Zahry i stanęła obok niej w milczeniu, starając się utrzymywać równowagę na rozkołysanym dziobie statku. Pragnęła zobaczyć upiorzycę wyraźniej niż jako błąd ślad w powietrzu.

Głos Zahry był pełen melancholii.

– Ja także tego pragnę, Wasza Wysokość.

Rozbryzgi piany z przecinanych w dole fal osiadały na twarzy Navi zimną mgiełką. Przytrzymała się relingu, a całe jej ciało się napięło.

– Nie musisz tu ze mną stać – powiedziała Zahra. – Możesz się położyć, jeśli chcesz.

– Ysabet dała mi napor, który ma pomagać, dopóki nie zostanę wilkiem morskim – odparła ze znużeniem Navi. – Nigdy wcześniej nie słyszałam o wilkach morskich. To określenie nasuwa mi dziwne skojarzenia. Nie jestem pewna, czy będę wtedy miała łapy, czy może płetwy. – Zmarszczyła nos. – Mam nadzieję, że nie macki.

Zahra roześmiała się bez przekonania i znowu umilkła. Otaczało ją tak wiele mrocznych uczuć, że nawet Navi, niemająca doświadczenia w odczytywaniu emocji aniołów, czuła ich napór.

Spojrzała na upiorzycę, zawahała się i wyciągnęła rękę dłonią do góry.

– Czy pozwolisz, Zahro?

Po chwili Zahra odpowiedziała stłumionym głosem:

– Proszę bardzo.

Navi przesunęła palcami w powietrzu tam, gdzie unosiło się echo Zahry. W swoim zmęczonym umyśle stworzyła obraz z tego, co wiedziała o wyglądzie upiorzycy na podstawie opisów wizji Eliany. Wyobraziła sobie wysoką, lśniąca anielicę o ciemnej skórze i rozwianych białych włosach, z olśniewającymi płomiennymi skrzydłami, a potem wyobraziła sobie, że

przytula tę anielicę z czułością. Gdyby mogła, pocałowałaby Zahre w policzek. Gładziłaby jej ramiona, dopóki Zahra by nie zasnęła.

Navi zadrżała, na jej skórze pojawiła się gęsia skórka wywołała chłodem Zahry. Dotykanie jej przypominało poruszanie palcami w lodowatej wodzie, aksamitnej i gęstej.

Głos Zahry był ochrypły od nadmiaru uczuć.

– Dziękuję, Navi. To było z twojej strony niezwykle życzliwym gestem. Widziałam to bardzo żywo. Nie jesteś przyzwyczajona rozmawiać ze mną w taki sposób, ale masz przenikliwy, bystry umysł. Uważam, że wystarczy trochę praktyki, a będziesz w tym biegła.

– Masz moje pozwolenie, aby przemawiać bezpośrednio do mojego umysłu, Zahro – rzekła Navi. – Rozmowa w taki sposób jest na pewno dla ciebie bardziej męcząca.

– Tak, jest męcząca, ale sprawia mi przyjemność odtwarzanie chociażby części siebie w świecie materialnym. Poza tym uważam, że grzeczniej jest zachowywać dystans, szczególnie gdy tak wielu z moich pobratymców tego nie robi.

– Niech i tak będzie. – Navi patrzyła na wodę i ostrożnie dobierała słowa. – Możesz nas opuścić, jeśli chcesz. Potrafisz podróżować szybciej niż my. Wiem, że pragniesz ją zobaczyć.

W śmiechu Zahry zadźwięczała gorycz.

– Pragnę? To zbyt słabe określenie na to, co czuję. Dziewczyna, którą pokochałam jak własną córkę, została zabrana na moich oczach. Patrzyłam, jak ją schwytali na plaży w Festivalu. Patrzyłam, jak okręt admirała odpływa, i nie mogłam nic zrobić. Imperator nie dopuszczał mnie do niej. Przeklinałam go i wylałam za nią, ale to nic nie dało. Zawiodłam ją.

– Och, Zahro, nie mogłaś...

– Nie. Nie próbuj mnie pocieszać.

Navi odczekała chwilę.

– Mówiłam szczerze. Udaj się do niej, jeśli to ci pomoże.

– Nie mogę. Prorok mi tego zabrania.

To zaskoczyło Navi. Zmarszczyła brwi i spojrzała w miejsce, gdzie mogła się znajdować twarz Zahry.

– Dlaczego?

– Mam zostać z wami – odparła głucho Zahra. – Ukrywać wasz statek, a potem pomóc wam pokonać Morze Silarra, na którym roi się od imperialnych statków. To będzie wymagało ogromnego wysiłku, lecz muszę to zrobić. Eliana nie ma sprzymierzeńców w Elysium. Nie ma tam Czerwonej Korony, nikogo, kto by ją kochał. Nie zdoła sama zrobić tego, co konieczne. Ty i Ysabet, wasza załoga, wasza armia wyrzutków, Patrik i Hob... Będzie potrzebować was wszystkich, gdy nadejdzie właściwy moment. Nie możemy dać jej armii, na jaką zasługuje, ale możemy dać jej samych siebie. Dlatego też pozostanę tutaj i ukryję was przed czujnymi czarnymi oczami.

Navi zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Czy zdołasz to zrobić? Ukryć cały statek?

– Jestem do tego stworzona. Nie po to, by mścić się na ludziach lub służyć szalonemu imperatorowi. Narodziłam się, żeby jej służyć, żeby ją kochać. Wierzę w to. Zabiorę was do Słonecznej Królowej, żebyście mogli walczyć u jej boku i pomóc jej wygrać w końcu tę wojnę. To będzie kulminacja mojego długiego życia, nagroda za niekończące się wieki w Otchłani. Będę mogła służyć największej nadziei tego świata i strzec jej przyjaciół z całą siłą, jaka mi jeszcze pozostała.

Navi spojrzała na swoje dłonie przez łyzy. Onieśmielona, z trudem znajdowała słowa.

– Jesteś niezwykle odważna, Zahro. A jeśli temu zaprzeczysz, bardzo się rozgniewam.

Zahra się roześmiała. Czuły chłód musnął ramię Navi.

W milczeniu patrzyły na ciemniejące fale; słońce za ich plecami dotknęło horyzontu. W zapadającym zmierzchu Navi utworzyła w umyśle obraz i posłała go niezgrabnie do Zahry: ona i Zahra taka jak dawniej stojąca obok niej. Navi opierała jej głowę na ramieniu, ich palce były splecione w geście przyjaźni, ich bliźniacze, pełne oddania serca rwały się na wschód.

Zapadła już głęboka ciemność, gdy Navi w końcu poczuła się na tyle dobrze, żeby odwiedzić kajutę kapitańską. Noc była cicha, członkowie załogi zajmowali się przypisanymi zadaniami, a fale kołysały się i łamały w miarowym rytmie.

Navi pragnęła, by jej serce było tak samo spokojne, zamiast trzepotać i zaciskać się w piersi i gardle. Dotknęła zasuwki na drzwiach Ysabet. Po rozmowie z Zahrą spacerowała po pokładzie i pozwalała, by jej umysł zadawał pytania, wyobrażał sobie wszystkie możliwe klęski i triumfy. Myślała o wszystkim, co się stało i co się dopiero wydarzy. Zahra opowiedziała o Harkanie i o tym, jak umarł przy niej. O Simonie, który stał z zimnym wzrokiem na pomoście i mordował ich przyjaciół i sprzymierzeńców. Ulubieniec imperatora, deklarujący swoją wierność i jednocześnie knujący zdradę.

Navi nie mogła o tym za dużo myśleć. Znała uczucia Eliany do Simona. Masakra na plaży była koszmarным przeżyciem, świadomość porażki stanowiła cios w samo serce – ale widok Simona strzelającego do przyjaciół, uświadomienie sobie, wobec kogo był w rzeczywistości lojalny, musiało być znacznie bardziej druzgocące. Rzadko można było znaleźć kogoś godnego zaufania, obdarzyć go miłością i chronić to uczucie. Navi

wiedziała o tym aż za dobrze. Gdy potem to zaufanie zostanie zawiedzione, a miłość okaże się kłamstwem...

Navi, gdyby tylko mogła, wyrzekłaby się całkowicie przemocy. Jeśli jednak spotkałaby znowu Simona, zabiłaby go.

Zastukała do drzwi Ysabet i weszła do środka.

Ysabet siedziała przy biurku zavalonym spisami zapasów i broni, mapami morza i nieba.

Odwróciła się od swojej pracy i uśmiechnęła szeroko.

– Jesteś. Jak się czujesz? Chcesz jeszcze trochę mojej cudownej herbatki?

Navi podeszła bliżej, zanim zdążyła stracić odwagę. Rzeczywiście, rzadko spotykała kogoś, komu mogłaby zaufać. Kogoś, kto być może pozwoli jej obdarzyć się miłością i będzie chronić to uczucie.

– Chciałabym – odezwała się tylko lekko drżącym głosem – czegoś, co, jak się obawiam, może wydawać się aroganckie.

Atmosfera w kajucie zmieniła się w mgnieniu oka, zgęstniała. Zupełnie jakby połączyła je pozłacana struna, napięta i brzęcząca.

Ysabet odchyliła się na krześle, a jej brązowe oczy zalśniły w blasku świecy.

– Bądź więc arogancka, księżniczko.

Navi odetchnęła głębiej i opanowała drżenie dłoni, po czym odpięła klamrę płaszcza, który opadł do jej stóp.

– Płyniemy na wojnę, a być może na pewną śmierć.

– Tak. – Ysabet nie odrywała od niej wzroku.

– Powiedziałam ci w moim namiocie, że minęło wiele czasu, odkąd mogłam liczyć na czułą miłość. – Navi zsunęła buty, rozpięła spodnie i zdjęła je. Z gołymi nogami, w samej tunice, patrzyła, jak Ysabet rozchyła usta, a jej wargi wyginają się w uśmiechu.

Pierś Ysabet unosiła się szybciej.

– Tak.

Navi rozpięła kołnierz tuniki i ściągnęła ją przez głowę. Naga, zadała Ysabet nieme pytanie.

– Tak – szepnęła Ysabet i obserwowała z zachwytem, jak Navi siada jej lekko na kolanach. Dłonie Ysabet natychmiast się wyciągnęły: jedna spoczęła na biodrze Navi, druga zaczęła się bawić koniuszkami jej włosów. – Boże, Navi – szepnęła ochryple – zabijesz mnie dzisiaj. Popatrz tylko na siebie.

– Tak, popatrz na mnie. Patrz na mnie, gdy to mówię. – Navi gładziła jedwabiste łuki jasnych brwi Ysabet. – Powiedziałaś także, że nie chcesz, by łączyły nas tylko kłamstwa, a ja odpowiedziałam tym samym.

Nigdy jeszcze nie widziała na twarz Ysabet takiej czułości, jakby wszystkie jej kolce, cała brawura stopniały pod dotykiem Navi.

– Tak – wyszeptała.

Navi dotknęła wargami jej skroni.

– Czy można pokochać kogoś, kogo zna się zaledwie od kilku tygodni?

– Tak. Tak. – Ysabet musnęła twarz Navi, niezgrabna w swoim uwielbieniu. Pocałowała podbródek Navi, jej policzek, szyję.

– Jeśli mam niedługo umrzeć – powiedziała Navi, zamykając oczy – chcę to zrobić, wspominając ciebie.

Dobiegł ją głos Ysabet zdławiony emocjami.

– Tak. – Przesunęła dłońmi po nagich plecach Navi i poznaczonej bliznami linii jej kręgosłupa. – Tak. – Przyciągnęła Navi do pocałunku, a ona jęknęła pod jej ustami, ponieważ w ramionach Ysabet czuła się jedwabista i wrażliwa, bezpieczna jak rzadko kiedy. Nawet podczas wojny istniało coś takiego: miłość, nadzieja i prosta przyjemność.

Roześmiała się, wypełniona pienistą radością.

– Nie umiesz powiedzieć nic więcej? – zażartowała.

Ysabet dotknęła twarzy Navi i popatrzyła na nią, jakby spoglądała na wszystkie cuda świata.

– Pocałuj mnie – poprosiła głosem, w którym dźwięczała leciutko błagalna nuta, ledwie słyszalne zdumienie, jakby nie mogła do końca uwierzyć, kogo ma w ramionach.

Navi z uśmiechem przesunęła jeszcze raz palcami po miękkich, białych włosach Ysabet i pochyliła się, by spełnić jej prośbę.

Eliana

Nie mogę powiedzieć o tym ojcu i braciom, jeszcze nie teraz, ponieważ nie chcę, by przedwcześnie robili sobie nadzieję. Odwiedził mnie potajemnie jeden z poruczników Imperatora i oznajmił, że jestem dość piękna, by otrzymać zaproszenie do pałacu Imperatora! Być może wezwie mnie już dzisiaj, a ja wiem, jaką suknię założyć: czerwoną jak...

– z ostatniego wpisu w pamiętniku Demetry Vassos, ludzkiej obywatelki Elysium, 3 kwietnia 1018 roku Trzeciej Ery

W bezkształtnym, spokojnym śnie Eliany pojawiło się jedno słowo: *Uciekaj.*

Otworzyła szybko oczy. Ktoś wyciągał ją z łóżka, zrzucając poduszki. Spróbowała się wyrwać, ale nie zdołała. Dłoń zaciśnięta na jej kostce była pewna i zimna.

Zobaczyła twarz Coriena pełną uniesienia, z leciutko maniackalnym uśmiechem. Miała nogi zaplątane w pościel, lecz on szarpnął ją poza krawędź łóżka i puścił, pozwalając, by upadła.

– Wstawaj. Uczesz trochę te włosy. Wyglądasz jak dzikuska. – Grzebał w jej ogromnej garderobie, odrzucając jedną suknię za drugą. – Mam dla ciebie prezent, ale musisz odpowiednio wyglądać, aby go przyjąć.

Eliana podniosła się i rozejrzała pospiesznie po pokoju. Służące w białych szatach stały z pustymi oczami adatroksów. Jessamyn była nieobecna, bez wątpienia nocowała w Lyceum. Światło Ostii zabarwiało okna i rzucało na podłogę długie cienie. Eliana musiała głęboko ukryć

dumę i nie czuć niczego, gdy spoglądała przez okno na gigantyczne sine światło lśniące na nocnym niebie.

Kątem oka pochwyciła poruszający się cień. Odwróciła się i ujrzała, że w otwartych drzwiach jej pokoju stoi znajoma osoba.

Nie widziała Simona od tak dawna, że straciła rachubę czasu. Nie była na to przygotowana. W jej piersi zapłonęło gorąco, rzuciła się na niego z pięścią uniesioną do ciosu, kierowana jasnym i czystym gniewem. Nie wezwie bezwiednie swoich mocy, nie dzisiaj. Jej wściekłość płonęła w niezniszczalnej klatce. On jej nie dosięgnie, ale ona może dosięgnąć jego.

Simon zablokował ją przedramieniem, po czym złapał ją za rękę, szarpnął do tyłu i popchnął na podłogę.

Upadła ciężko, uderzając głową o kafelki. Otrząsnęła się, a potem spojrzała na kołyszący się świat i dostrzegła złość na twarzy Coriena. Białe noże jego kości policzkowych, czarne oczy odbijające światło Ostii. Nie był ubrany ze zwykłą starannością. Cienka biała koszula zwisała na nim luźno, miał potargane włosy i bordową plamę na wargach.

– Ubieraj się – warknął.

Suknia czekała na nią na łóżku, lśniąca jak zrzucona skóra zrobiona z klejnotów. Eliana widziała ją w swojej garderobie, ale nigdy jej nie dotknęła. Czerwony gorset z wysokim kołnierzykiem, ciemny jak rozlana krew i ciężki od naszytych paciorków. Szeroka czarna szarfa z jedwabiu otaczająca talię i zapięta klamrą w kształcie złotych piór. Wąski, głęboki dekolt obramowany czarną koronką i spódnica z obszernych warstw szkarłatnego jedwabiu.

To była suknia stosowna dla Krwawej Królowej.

Zawahała się, pełna irracjonalnej obawy.

Szybkie kroki przeszły przez pokój i w następnej chwili Corien popchnął ją na łóżko i szarpnął za rękaw koszuli nocnej. Eliana wyrwała

mu się, odwróciła i bez namysłu go spoliczkowała.

Uśmiechnął się, a cienka czerwona linia skaleczenia w miejscu, gdzie jej forma rozcięła jego policzek, szybko zniknęła. Potem chwycił Elianę, odwrócił ją i popchnął twarzą w dół na migotliwą suknię.

– Czekam – syknął jej do ucha. Jego oddech był gorący i cuchnący. Pił, a być może także ucztował w jednej ze swoich jadalni w towarzystwie mieszkańców miasta, których spotkał zaszczyt zaproszenia na dzisiejszy wieczór.

Później puścił ją gwałtownie, a Eliana wyszła chwiejnie na środek pokoju, ściskając w dłoniach suknię. Ubrała się bez cienia wstydu w blasku Ostii. Spojrzała na Simona, jego lekko lśniące oczy. Patrzyła prosto na niego, gdy zapinała haczyki gorsetu. Niech obaj na nią patrzą. Niech widzą każdą jej bliznę, każdą krzywiznę jej ciała. Już dawno wybito z niej cały wstyd z powodu nagości. Ale jej palce drżały, kiedy zawiązywała szarfę, i czuła się gorzej, otulona tą suknią, która kojarzyła jej się z obrazami w galerii Coriena. Wolałaby nic nie mieć na sobie.

– W końcu. – Corien złapał ją za ramię i pociągnął za sobą do drzwi. Nie dał jej czasu na włożenie butów. – Mamy umówione spotkanie. Przez ciebie omal się nie spóźniliśmy.

Wyszli z jej pokoju na korytarz. W pałacu panowała wrzawa. Służący w prostych tunikach i zaproszeni goście w błyszczących płaszczach przebiegali obok. Ze ściągniętymi twarzami uśmiechali się desperacko do Coriena.

Simon trzymał się za nimi, gdy szli w dół po ogromnych schodach. Hol wejściowy lśnił, jasno oświetlone sale balowe otaczały go jak klejnoty koronę. Zimny lęk narastał w Elianie, tak ostry i wszechogarniający, że czuła absurdalną potrzebę, żeby się roześmiać.

Corien pociągnął ją w dół schodami, przez hol i drzwi na zewnątrz. Boleśnie ścisnął jej nadgarstek i nie zwalniał nawet na chwilę. Eliana biegła za nim, potykając się, zdyszana, a jej strach płonął jak ogień. Nagle, w labiryncie otaczających pałac dziedzińców i ogrodów, Simon zrobił coś niewyobrażalnego.

Złapał Coriena za ramię, żeby go zatrzymać.

– Mój panie – powiedział, pochylając się bliżej. – Sądzę, że to może być poważny błąd. Jeśli ona zostanie zabita...

Corien uderzył go tak mocno, że Simon cofnął się chwiejnie i przytrzymał dla równowagi cienkiego pnia przyciętego geometrycznie krzewu.

– Ona nie zostanie zabita – rzucił Corien i ruszył znowu przed siebie szybkim krokiem, ciągnąc Elianę. – Nie chcę cię zabić. Prawda, skarbie? Nie chcę. Po prostu uważam, że powinnaś to obejrzeć z najlepszego miejsca. Powinnaś to poczuć na własnej skórze. Myślę, że kiedy cię znajdą, nie będziesz miała innego wyjścia, jak tylko podjąć walkę. Musisz to zrobić albo rozszarpią cię zębami na strzępy. A co wtedy się stanie? Wybuchniesz, ty niezdolna smarkulo. Rozlejesz swoją moc na wszystkie ulice.

– Kiedy kto mnie znajdzie? – zapytała Eliana. Spróbowała obejrzeć się przez ramię na Simona, ale wyszli już z dziedzińców, a eskorta anielskich strażników w lśniących imperialnych zbrojach otoczyła ich, zasłaniając widok na wszystko poza ulicami przed nimi.

Pełne namiotów i zaimprovizowanych, oświetlonych świecami ołtarzy, ulice i alejki, każdy ogród pomiędzy budynkami były rozjaśnione jak na jakieś święto.

Rozwieszono sznury brzęczących lamp galwanicznych, pochodnie trzaskały radośnie w uchwytach, drzwi i okna zostały otwarte, żeby wpuścić chłodne powietrze. Grupa mieszkańców skupiona wokół mistrza

ceremonii z papierowymi skrzydłami przypiętymi do piersi klęczała koło fontanny. Eliana patrzyła, zafascynowana, jak unoszą błagalnie ramiona do upiornie jasnego światła, którego nie rozumieli – drugiego księżyca, ogromnego, bliskiego i złowieszczonego. Słyszeli nazwę nadaną mu przez aniołów. Szeptano o tym na przyjęciach, plotki przenikały z pałacu na targowiska, od żołnierzy do niewolników. *Ostia*. Być może nowa Brama. Drugie zstąpienie aniołów lub bestii.

Corien szedł przez tłum jak statek mknący przez morze i rozcinający fale. Mieszkańcy Elysium porzucali swoje namioty i przyjęcia, żeby biec za nim. Wołali imperatora, błagali go o błogosławieństwo, o zaproszenie do pałacu. Eliana uświadomiła sobie z odrazą, że krzyczeli także jej imię. Znali je: „Eliana”. „Eliana”.

„Słoneczna Królowa”, nazywali ją. „Dziecię Zrodzone z Furii!”

Gwar ich głosów brzęczał w jej uszach. Jej dłonie w łańcuszkach form były śliskie od potu. Rozpaczliwie pragnęła sięgnąć do Proroka i zapytać, co planuje Corien, ale nie odważała się tego zrobić, gdy on był tak blisko.

W tym momencie rozległ się donośny, zawodzący dźwięk.

Elianie krew zakrzepła w żyłach. Rogi z Vaera Bashta. Żałosne dźwięki przypominały cienkie igiełki przesuwające się po jej ramionach. Prorok opowiedział jej o praktykach w więzieniu i zapewnił, że Remy nadal żyje.

Jednak za każdym razem, gdy Eliana słyszała te rogi, przypominała sobie, co Remy szeptał o podziemnej celi, i wyobrażała sobie, jak jej brat ginie z rąk współwięźniów – z rozszarpanym gardłem, głową rozbitą kamieniem. Rana w brzuchu, którą wyleczyła, zostaje na nowo otwarta prymitywnym nożem zrobionym w ciemności.

W jej umyśle błysnęły okrutne słowa Simona: „Strzeliłem mu prosto w brzuch”.

Corien zatrzymał się na pięciokątnym, nienagannie symetrycznym placu otoczonym wysokimi arkadami z białego kamienia. W każdym rogu stała szeroka kolumna zwieńczona posągami anioła w locie lub w trakcie walki. Po drugiej stronie placu kilku anielskich strażników pilnowało ogromnych czarnych drzwi.

Corien puścił Elianę, aby unieść ramiona. Otaczający ich tłum gapiów ucichł. Niektórzy wyciągnęli do niego ręce, inni padli na kolana.

– Elysium! – krzyknął. – Twoja zgnilizna zostanie wypalona! Twój brud zostanie wymieciony do czysta! Każde kłamstwo, które mi mówiłeś, każdy sekret, który miałeś przede mną, zostanie ujawniony! – Odwrócił się i z szalonym uśmiechem pozwalał, by wszyscy patrzyli na jego twarz rozpromienioną triumfalnie. – Nawet najlepszy pan musi czasem zabić swojego psa, by mu przypomnieć, kto trzyma łańcuch.

Tłum się poruszył, uśmiechy przygasły.

Rogi w Vaera Bashta zabrzmiały jeszcze raz – ostatni sygnał zapowiadający przerzedzanie.

– Patrzcie! – wrzasnął Corien głosem pełnym śmiechu. – Niech miasto się oczyści!

W tym momencie czarne drzwi otwarły się szeroko jak bezzębna ciemna paszcza, odsłaniając kamienne schody znikające w mroku.

Zebrany tłum natychmiast zrozumiał. Ich wrzaski brzmiały jak głosy zwierzyny uciekającej przed myśliwymi i zawodzącej w tępy strach. Ludzie przepychali się jedni przez drugich, przewracali i tratowali powolnych. Lawina szybko uciekających ciał.

Nie byli dostatecznie szybcy.

Z otwartych drzwi wylała się rzeka ciemności – powykęceni i wynędzniali, pokryci strupami i wyjący. Nie pełzacze, nie krucjusze, lecz ludzie, których trzymano zbyt długo pod ziemią. Całe dziesiątki. Setki.

Z oddali dobiegał szczęk i zgrzytanie kolejnych otwierających się drzwi, a także nowe krzyki.

Zgroza ogarniała Elianę zimnymi falami. Cofnęła się, ale Corien był tuż za nią. Chwycił ją za ramiona i przycisnął policzek do jej policzka.

– Powiedziałem im, że mogą robić, co tylko zapragną. – Jego szept drżał od koszmarnego, tłumionego rozbawienia. – Wślizgnąłem się do ich umysłów i powiedziałem każdemu z nich, że jeśli chcą na zawsze uwolnić się z tych cel, muszą zrobić na mnie wrażenie. Lubię patrzeć na nową rozrywkę.

Eliana pomyślała o Remym i poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

– Dlaczego to robisz?

Obrócił ją delikatnie.

– Z twojego powodu, Eliano – odrzekł, jakby to było oczywiste. – Masz przede mną tajemnice. Wiem o tym. Nie szkodzi. Ja też mam przed tobą tajemnice. Ale nie mogę pozwolić, żeby ci to uszło bezkarnie. Zastanawiam się także, czy walka na ulicach spływających krwią obudzi w tobie coś, do czego mnie nie udało się dotrzeć. Dla mnie nie ma znaczenia, ile osób w tym mieście zginie dzisiaj z twojego powodu, lecz jestem pewien, że ty spojrzysz na to inaczej. Moja księżniczka o czułym sercu. Słyszałem, jak nazywają cię Dziecięciem Zrodzonym z Furii. Bardzo obrazowe. Doceniam poetyckość tego sformułowania.

Skinął na jednego ze strażników z eskorty, który podał mu pakunek zawinięty w tkaninę. Corien wcisnął go w dłonie Eliany i pocałował ją w policzek.

– Nie bój się – powiedział. – Nie pozwolę, by ktokolwiek cię zabił. Ale jeśli chodzi o resztę...

W mgnieniu oka zniknął, podobnie jak strażnicy. Samotna w swojej sukni, doskonale widoczna w intensywnej krwawej czerwieni Eliana natychmiast poczuła, że kierują się na nią tuziny oczu.

Znała kształt trzymanego pakunku. Odwinęła go szybko.

Arabeth. Nox. Świstun. Tuora i Burza.

Jej noże, wyczyszczone i schowane w pochwach przypiętych do skórzanego pasa. Jakże nienawidziła Coriena za ten prezent. Nawet w tym chaosie, tej koszmarnej nocy cieszyła się na ich widok. Tylko one były przyjaciółmi, którzy jej pozostali.

Z suchością w ustach, drżącymi rękami zapięła pas wokół talii i pobiegła. Torowała sobie drogę łokciami przez gęsty tłum, przepychała się obok ludzi, którzy ją rozpoznawali i chwyтали za suknię. Jeden nie chciał puścić – siwy starzec w wytwornym brokatowym surducie mieniącym się tęczowo. Złapał ją za szarfę i przyciągnął bliżej.

– Pomóż nam! – Na twarzy miał już kropelki krwi. Sięgnął do jej form. – Zabij ich!

Eliana wyrwała Arabeth z pochwy i cięła go przez pierś. Cofnął się chwiejnie, zaklął i ją wypuścił. Odwróciła się i uciekła – nie wiedziała, dokąd biegnie, ale nie chciała sięgać do Proroka. Corien na pewno nadal był w pobliżu. Nie był Naznaczonym, nie mógł się rozpuścić w powietrzu. Po prostu się ukrywał.

Zmusiła nogi do większego wysiłku, lecz jej mięśnie już drżały. Chociaż wzmocniła się podczas tygodni spędzonych z Prorokiem, jej dawna siła pozostawała odległym wspomnieniem. Postrach Orline uśmiełaby się, gdyby ją teraz zobaczyła.

Wybiegła spod długich arkad i zacisnęła zęby, ignorując pieczenie otartych bosych stóp. Przemknęła jedną ulicą, następnie skręciła w inną i dotarła na plac znacznie większy od poprzedniego. Dwa metalowe włazy

osadzone w kamieniu były otwarte. Gdy Eliana przebiegała koło bliższego z nich, spod ziemi wyskoczyła blada kobieta ze strakami sfilcowanych włosów. Eliana upadła ciężko, złapana za kostkę, i zdarła sobie skórę z dłoni. Odwróciła się, żeby wbić Arabeth w gardło kobiety, która przewróciła się ze zdławionym krzykiem i zacisnęła dłonie na czerwonym strumieniu płynącym z jej szyi. Eliana wytoczyła się spod niej, wyszarpnęła Arabeth i poderwała się na nogi. Dłonie ją piekły; otarła sobie pot z oczu.

Za sobą usłyszała hałas. Odwróciła się i zrobiła unik przed zadaniem na oślep ciosem innego więźnia – mężczyzny z poznaczoną bliznami jasną skórą, trzymającego biały nóż. Ostrze trafiło ją w ramię i wycięło cienki pasek aż do łokcia.

Eliana krzyknęła, zrobiła jeszcze jeden unik i wyprowadziła pchnięcie w jego szyję. Mężczyzna był jednak szybki. Odparował lecącą Arabeth własnym nożem, po czym skoczył na Elianę i przewrócił ją na ziemię. Pociemniało jej w oczach. Mężczyzna szarpał jej suknię, przesunął językiem po jej twarzy. Miał oddech cuchnący jak mięso pozostawione, by zgniło.

Pozwoliła, żeby obślinał jej gardło, aż udało jej się zebrać siły, a potem wbiła mu kolano w krocze. Zawył z bólu, zaś Eliana chwyciła Nox i wraziła szerokie ostrze w zapadnięty brzuch mężczyzny.

Zwalił się na nią, a gorąca krew przesiąkła jej suknię. Eliana zepchnęła go, nie wypuszczając Nox, podniosła uśmiechającą się krzywo Arabeth z białych kamieni brukowych i pobięła dalej.

Nie dało się jednak uciec przed Vaera Bashta. Gdziekolwiek by się obejrzała, obszarpani więźniowie rzucali się i szarpali, a ich obłąkane wrzaski przeszywały powietrze. Dwaj mężczyźni, skłębieni w walce, spadli ze schodów i skoczyli do porzuconego pistoletu.

Eliana nie zobaczyła, kto dopadł broni jako pierwszy, ale przebiegając obok, usłyszała wystrzał. Chłopiec przemknął koło niej i wspiął się po rynn timer. Jego sylwetka sprawiała, że Eliana się wzdrygnęła i chociaż miał ciemniejszą skórę, przez moment wydawało jej się, że to Remy. Lodowata dłoń zacisnęła się mocno na jej sercu. Miała nadzieję, że nie znajdzie Remy'ego. Miała nadzieję, że on ukrywa się w jakimś kanale ściekowym lub w ciemności i ciszy pod schodami. Co by zrobiła, gdyby skręciła za róg i zobaczyła, że się zmienił? Nie jest już bratem, jakiego znała, lecz mordercą zafascynowanym krwią zamiast opowieściami?

Ta myśl tłukła się jej po głowie – koszmarny, wirujący strach, który narastał w niej jak wezbrana rzeka. Poczowała pieczenie dłoni, a gdy spojrzała w dół, jej formy lekko zaświeciły.

Zacisnęła na nich palce i pobiegła w górę szerokimi białymi schodami, a później węższymi, osadzonymi w ścianie okazałej rezydencji z gargulcami w kształcie krucjuszy otwierającymi paszcze na każdym rogu. Wspięła się aż na wysoki taras, którego ściany wyglądały jak oszronione przez białe płaskorzeźby. Tutaj było ciszej, wrzaski Elysium zlewały się w odległą kakofonię. Eliana z mocno bijącym sercem przykucnęła w altanie porośniętej bluszczem. W prawej dłoni ścisnęła Arabeth. Oddychała powoli, aż poczuła, że jest bezpieczna, a pulsowanie krwi w jej uszach osłabło. Potem wysłała pojedynczą, wyraźną myśl.

Pomóż mi, proszę.

Odpowiedź przyszła natychmiast.

Jestem tutaj.

Eliana usiadła na ziemi.

Czy możemy bezpiecznie rozmawiać?

Jego uwagę w większości przykuwają wydarzenia tego wieczoru, odparł Prorok oschle. W obecnym stanie umysłu bardzo łatwo rozprasza się

z powodu własnych perwersji. Ale miałas rację, uciekając tak daleko, zanim się do mnie odezwałaś.

Czy mogę przyjść do ciebie? Eliana czuła się jak przerażone dziecko błagające matkę po przebudzeniu z koszmarne snu. W głowie pulsował jej pierwotny strach, nie była w stanie myśleć prawie o niczym innym. Nie wiem, dokąd mam iść.

Przypłynęło do niej wrażenie takiej czułości, że zapiekły ją oczy.

Musimy poczekać jeszcze troszeczkę, powiedział łagodnie Prorok. Gdy do mnie przyjdiesz, on szybko mnie znajdzie. Wtedy wszystko musi być przygotowane, wszystkie kawałki układanki na swoim miejscu. Twoi przyjaciele są w drodze, ale musisz walczyć aż do ich przybycia.

Eliana objęła się ramionami w pasie. Wyrwał jej się pojedynczy stłumiony szloch. Przytłaczał ją coraz większy ciężar, jakby koszmary tej nocy zdarły z niej całą zbroję, którą wykuła podczas swojego uwięzienia. Nie potrafiła nawet się zdobyć na zadanie pytania, o jakich przyjaciółach mówił Prorok. Zamiast tego jej niespokojny umysł przywoływał obrazy Coriena stojącego w jej sypialni i przyciskającego jej twarz do naszywanej paciorkami sukni, jakby chciał ją udusić. Simona przy drzwiach, z twarzą ukrytą w cieniu, gdy na niego patrzyła.

Musisz się skoncentrować, Eliano. Głos Proroka stał się bardziej stanowczy. Im chaotyczniejsze są twoje myśli, tym łatwiej będzie mu cię znaleźć, a przez to znaleźć mnie.

Zmęczenie Eliany było jak przepaść; niebawem runie w dół.

Jeśli ktoś jeszcze spróbuje mnie zabić, mogę na to pozwolić.

On do tego nie dopuści. Podobnie jak ja.

Mam prawo wybrać własną śmierć.

Nie, nie masz, zaprzeczył Prorok. Zbyt wiele od ciebie zależy. Wiem, że nie prosiłaś o ten ciężar, ale mimo to musisz go nieść. Posłuchaj uważnie.

Nie będziemy mieć lepszej okazji niż ta, żeby wejść do Otchłani. Ostia jest coraz większa. Tkanka empirium w tym miejscu stała się cienka i słaba. Wydaje mi się, że wystarczy ci jeszcze jedna próba. Uważam, że możesz dokończyć swoją Bramę.

Nie mogę wrócić do pałacu, odpowiedziała Eliana, spoglądając na odległe wieże po drugiej stronie miasta.

Nie. Miasto jest pogrążone w chaosie. Byłoby zbyt ryzykownie iść tak daleko.

Eliana otarła twarz i odetchnęła z trudem.

Zamiast tego muszę znaleźć inne miejsce, w którym empirium jest cieńsze. Inną drogę do Otchłani.

Tak, i to szybko, zgodził się Prorok. Gdy on się znudzi tym przerzedzaniem, przerwie je.

Eliana powtarzała sobie fakty, a każda myśl odrobinę bardziej uspokajała jej umysł. W pałacu empirium poprowadziło mnie do tego miejsca w ogrodzie. Miejsca, gdzie mogłam otworzyć szczelinę do Otchłani. Pociągnęło mnie tam, a ja go posłuchałam.

Być może tak było, stwierdził z namysłem Prorok. A może to ty kierowałaś empirium. Ty powiedziałaś mu, czego potrzebujesz i gdzie ma cię zaprowadzić.

Eliana zadrżała w mokrej sukni – przesiąknięta krwią tkanina stała się już sztywna. Rozprostowała zaciśnięte palce. Formy na jej dłoniach zachowały resztki ciepła.

Nie mogę się ich bać. Muszę ich użyć, aby mi pomogły.

Formy są częścią ciebie, przypomniał Prorok. Przedłużeniem twojego ciała, umysłu i mocy, a nie odrębnym bytem. To siebie nie powinnaś się bać.

Gdyby to było takie proste. Eliana częściowo sformułowała niepotrzebną, obraźliwą myśl, ale ją odrzuciła. Pod listowiem altany,

z wrzaskami Elysium dźwięczącymi jej w uszach, oddychała głęboko. Chłodny podmuch wiatru sprawił, że włoski na jej rękach się zjeżyły. Dach był zrobiony z białego kamienia, a ona czuła jego wiek i wiedziała, jak długo leżał w ziemi, zanim został z niej wykrojony. Na liściach drżących w górze lśniła wilgoć, a słońce było gdzieś za horyzontem, w miejscu, gdzie panował poranek zamiast nocy.

Jej dłonie stały się gorętsze. Nawet z zamkniętymi oczami widziała podwójne gwiazdy rozżarzone na jej widok. Powitała ich moc, zamknęła na nich dłonie, a w ich nieskończonym blasku znalazła rzekę, którą stworzyła z Prorokiem wiele tygodni temu.

„Nie wychodź ani na chwilę ze swojej rzeki”. Słowa Proroka spłynęły po wyżłobionych korytach wspomnień w jej umyśle. „Niech twoje stopy pozostają chłodne i stoją pewnie, nawet jeśli twoje dłonie zapłoną. On nie może cię tutaj znaleźć, malutka, nie w tej wodzie”.

Stopy w chłodnej wodzie. Umysł gładki i twardy jak kamień. Ogień w jej dłoniach i gwiazdy pod powiekami. Jej naczynia krwionośne były siecią światła.

budzę się

Głos empirium zabrzmiał w niej, zwielokrotniony i pojedynczy. Fala grożąca załamaniem się, rwąca się do brzegu.

budzę się

BUDZĘ SIĘ

– Nie – szepnęła Eliana. – To ja się budzę.

Potem wstała, otworzyła oczy i ponownie spojrzała w upiorną, srebrzystą noc. Patrzyła, jak światło Ostii kołysze się powoli na niebie, i słuchała szumu swojej mocy, która poruszała się w jej ciele, wyrывała z niego i wracała. W jej krwi pulsowało potężne, starożytne tętno świata. Rozciągała się przed nią mapa empirium, olśniewające przestrzenie

rozwijały się na jej rozkaz. Sznury światła falowały w bezkresnym morzu. Nakładające się płaszczyzny ruchomego złota, a wśród nich nieskończona liczba ścieżek, którymi mogła pójść.

Uderzenie serca, wstrzymany oddech. Coś ją przyciągało – napięcie na niebie, jakby zaraz miała je rozedrzeć błyskawica. Z Arabeth w dłoni Eliana znalazła odpowiednią ścieżkę i poszła nią z powrotem do miasta imperatora. Witały ją wrzaski towarzyszące polowaniu, zaś złote oczy form otwierały się szeroko na jej dłoniach.

Rielle

Postanowiłem nie mówić nikomu o tym, co widziałem w Meridianie. Wiedza o tym, że Rielle zabiła Wielkiego Mistrza Belounnona, nie będzie dla nikogo stanowić pociechy. Nie potrafię jednak przestać myśleć o wyrazie jej wymizerowanej twarzy, gdy go spopielili – o cieniach pod jej oczami, roztopionym złocie w jej oczach. W jednej chwili stał przed nami, w następnej był tylko ogień, a on zniknął. Zanim Annick i ja uciekliśmy, obejrzałem się na Rielle i zobaczyłem, że drży na deszczu. Szlochała, jej skóra lśniła lekko złotem, a ona wpatrywała się w morze, w ciemność nad wschodnim horyzontem.

– z pamiętnika Garvera Randella, 17 listopada 1000 roku Drugiej Ery

Po tamtym pierwszym wskrzeszeniu Rielle wiedziała już, że nie może dalej pracować pod ziemią. Czuła nad sobą ciężar, czarny i zimny masyw górski. Musiała widzieć niebo.

Corien nie prosił o dalsze wyjaśnienia. Skierował tuzin swoich żołnierzy i grupę stu adatroksów do budowy ołtarza w górach obok fortecy. Kamienne przejście, połączone z jednym z okien na najwyższym piętrze, w pobliżu komnat Coriena, wiodło nad śniegiem do wysokiej czarnej konstrukcji odcinającej się na tle bezkresnej górskiej bieli.

Kształt ołtarza przypominał Rielle Bramę, co sprawiało jej ogromną przyjemność. Trzy stopnie prowadziły do płaskiej płyty z czarnego kamienia. Znajdował się na niej kamienny stół, na którym kładziono ciała, zaś kolumny otaczały miejsce, w którym miała stać Rielle. Kamienną płytę

pokryto płaskorzeźbami przedstawiającymi skrzydła o tak misternych piórach, że otulona w futra Rielle przyklękła, przy przesunąć palcami po delikatnych żłobieniach.

– Zbudowali to tak szybko – zauważyła, patrząc na Coriena. – W cztery dni. Jakim sposobem?

Zaczął padać śnieg. Drobne płatki wirowały i tańczyły nad ołtarzem. Zimny wiatr targał połę czarnego płaszcza Coriena. Ciemne futro przy kołnierzu było przyprószone bielą.

Odpowiedział jej wzruszeniem ramion i wyciągnął rękę.

– Nie mieli wyboru.

Rielle przyjęła jego dłoń, żeby wstać. Światło dnia przygasało. Nad horyzontem, pod sypiącymi śniegiem chmurami, skrawki nieba barwy indygo lśniły ostatnimi złotymi promieniami słońca.

– Przyprowadź mi następnego – mruknęła i pocałowała Coriena z roztargnieniem. Palce ją mrowiły, głodne i chętne do pracy. – Chcę to znowu zrobić.

Corien przyszedł do niej o świcie. Stał obok w szarym półmroku, a śnieg opadał bezgłośnie z nieba.

W milczeniu patrzył, jak Rielle plecie skrzydła dla odrodzonej anielicy na stole. Ciało leżało na brzuchu, nagie i pobielające z zimna.

Corien pokazał jej raz, jak skrzydła łączą się z plecami – to nie były stawy z ciała i kości, jak u ptaków i nietoperzy, ale po prostu wyrastające promienie światła. Pokazał jej swoim umysłem obrazy skrzydeł w locie. Nie były jakich skrzydeł, lecz jego własnych, utraconych dawno temu. Po raz pierwszy pokazał jej się takim, jakim był kiedyś – Kalmaroth, podżegacz i rebeliant. Jego imię w języku qaharis oznaczało „niegasnące światło”, a on uważał, że to znaczy, iż został stworzony do rzeczy wielkich. Miał jasną skórę i ciemne włosy, był wysoki i smukły, z płomiennymi

błękitnymi oczami, zaś skrzydła wyrastające z jego pleców były świetliste u nasady, a zrobione z cienia na końcach. Poza skrzydłami i wzrostem Kalmaroth niewiele się różnił od obecnego Coriena.

Rielle myślała o tym podczas pracy. Na jej wargach błakał się uśmiech. Lubiała myśleć o tym, jak wiele lat temu uciekł z Otchłani i znalazł człowieka odzwierciedlającego jego utraconą urodę.

Rielle wyciągała z powietrza pasma empirium jak cierpliwa tkaczka przy krosnach. Widziała złoto, w którym kryło się wiele rzeczy. Długi, nierówny sznur kręgosłupa w martwym ciele. Pulsujące ciemne miejsca wśród mięśni i ścięgien, w których powinny się zaczynać skrzydła. Jej ciało nabrzmiewało bólem, gorące kłębki napięcia tkwiły w jej ramionach, nadgarstkach, krzyżu. Pomimo przenikliwego górskiego chłodu pot spływał strumieniami po czole.

Ale jej umysł był czysty. Myśli unosiły się jak drapieżne ptaki o skrzydłach jak noże, szybkie i bursztynowookie. Kierowała empirium za pomocą igły zrobionej ze swoich mocy i z każdym srebrzystym szwem jej krew wzbierała coraz wyżej, pragnęła coraz więcej.

Gdy jej dzieło zostało zakończone, anielica podniosła się ze stołu i wstała chwiejnie. Jeden z pałacowych służących, szczękający zębami pomimo grubego futra, podbiegł i podał jej płaszcz, żeby się okryła.

Anielica zignorowała go i z radosnym krzykiem wzbiła się w powietrze. Jej skrzydła migotały jak bliźniacze gwiazdy z białego światła przymocowane do jej pleców. Nie poruszały się jak skrzydła ptaków, nie machały nieelegantcko. Zmieniały tylko odrobinę kształt, aby skorygować tor lotu. Stawały się węższe przy nurkowaniu i rozszerzały się przy wznoszeniu.

Niebawem anielica zniknęła w oddali. Pozostało tylko światło jej skrzydeł, przemykające szybko pomiędzy góorskimi szczytami.

Rielle oblizała popękane wargi.

– Dajcie mi następnego.

– Najpierw coś zjemy. – Corien podniósł z ziemi jej futrzany płaszcz. – Od wczoraj nie jadłaś.

– Nie potrzebuję jedzenia.

– Potrzebujesz. Musisz też to założyć. – Zrzucił jej płaszcz na ramiona, na cienką czerwoną suknię, której nie zdjęła od kilku dni. Materiał, dawniej wytworny, cuchnął teraz potem. – Inaczej zachorujesz.

Odepchnęła jego rękę.

– Wolałabym dalej pracować. Dajcie mi następnego.

Jego jasne oczy były bardzo spokojne.

– Pracujesz od siedmiu dni, Rielle, niemal bez odpoczynku.

– Jestem tego świadoma. Dajcie mi następnego.

– Jesteś nadal człowiekiem. Potrzebujesz snu, jedzenia i ciepła.

Roześmiała się.

– Jesteś bezczelny. Przez całe miesiące szeptałeś w moich snach i nie dawałeś mi spokoju, dopóki do ciebie nie przyszłam. Teraz mówisz, że potrzebuję odpoczynku.

Odwróciła się do niego plecami i spojrzała na jego poruczniczkę, anielicę o lodowatych oczach, miodowej skórze i czarnych warkoczach. Nie pamiętała jej imienia i nie obchodziło jej to.

– Ty tam – powiedziała. – Sprowadź mi natychmiast następnego.

Poruczniczka od wielu godzin przyglądała się Rielle roziskrzonym wzrokiem. Nie popatrzyła nawet na Coriena – pobiegła z powrotem do fortecy, a dwójka niższych rangą aniołów deptała jej po piętach.

Rielle zwróciła wzrok ku niebu. Jej ołtarz był otoczony ruchomym pierścieniem cienia, jakby znajdowała się głęboko pod wodą i spoglądała w światło przez rozkołysane fale. Setki pozbawionych ciał aniołów tłoczyły

się w pobliżu, aby patrzeć, jak pracuje. Ich zachwyty sprawiał jej ogromną przyjemność. Ich pełne nadziei myśli muskały jej umysł jak ćmy tłukące się o szybę i ścigające niezdarnie zamknięte za szkłem światło.

– Nie, Rielle – rzekł z naciskiem Corien, podchodząc do niej. – Wrócimy teraz do środka.

– Nie wrócimy. A jeśli nie wybierzesz dla mnie kolejnego anioła, sama to zrobię.

Przestała koncentrować swój wzrok i wysłała powódź mocy, by oświecić górskie zbocze. W widzianym przez nią złotym świetle jej moce omywały umysły aniołów, jak wartki prąd omywa skały. Wzory tworzące się na falach były hipnotyzujące. Z każdą zmarszczką przypływały do niej kolejne wrażenia. Smaki, dźwięki, tekstury.

Aha. Znalazła coś, co jej się spodobało.

Skierowała swoje moce w lewo. Jeden z aniołów oderwał się od reszty i przyleciał w jej otwarte ramiona.

Królowo ze światła i krwi. Głos anioła drżał, gdy ściągnęła go na dół, na ciemny stół będący jej ołtarzem. *Dziękuję, że mnie wybrałaś. Oddaję ci swoje serce, królowo; oddaję ci swoją miłość i lojalność.*

Rielle pewnie przytrzymała anioła na kamieniu, tkanina jego umysłu naciągała się w jej dłoniach jak rozwinięte płótno. Skóra mrowiła ją z niecierpliwości. Spojrzała gniewnie na przejście do fortecy. Śnieg padał gęściej, zasłaniając czarne mury.

– Twoi porucznicy są powolni – stwierdziła. – Potrzebuję ciała.

Ramiona Coriena zesztywniały z gniewu.

– Wypuść go i natychmiast wracaj ze mną do środka.

– Chcę to jeszcze raz zrobić.

– Zrobisz, moja miłości, ale dopiero jutro.

Rielle zacisnęła szczęki, walcząc z drżeniem warg. Wiedziała, że on ma rację; czuła, że jej dłonie się trzęsą, trudno jej utrzymać równowagę. Jej żołądek i gardło wydawały się być na granicy wytrzymałości, wyschnięte i ściśnięte, rozpaczliwie pragnące jedzenia.

Gdyby tylko jej nie przeszkodził. Kiedy pracowała, nie zauważała takich rzeczy.

– Wskrzesiłam jedynie trzy setki aniołów – wymamrotała.

Corien roześmiał się cicho.

– W siedem dni. To niezwykle osiągnięcie.

– Potrzebujemy więcej, żeby dokonać wszystkiego, o czym marzymy.

Wysłała mu krótką myśl: *Ja potrzebuję więcej.*

– Celdaria nigdzie nie zniknie – powiedział Corien na głos, ignorując jej bezgłosną prośbę. – Świat także nigdzie nie zniknie i nic nas nie powstrzyma.

– Mój umysł pragnie więcej. – Miała ochotę płakać z frustracji; pragnęła rozbić stół pięścią na dwie części. – A moje ciało jest na to zbyt słabe.

– Jesteś tylko człowiekiem – rzekł łagodnie Corien.

– Jestem więcej niż człowiekiem! – wrzasnęła na niego. W głębi jej głosu brzmiał inny; pełne wściekłości zakłócenia. Dudnienie istoty poruszającej się na dnie oceanu.

Corien stał całkowicie nieruchomo. Krążąca nad ich głowami chmara aniołów struchlała.

Potem Corien zbliżył się do Rielle i przysunął usta do jej policzka.

– Wiesz, że nie chcę cię zmuszać, żebyś wróciła ze mną do środka, ale zrobię to, jeśli nie pozostawisz mi wyboru.

– Spróbuj, a ja cię zabiję – warknęła Rielle.

Odpowiedział jej cichy śmiech.

– Nie zrobisz tego.

Nie wkraczał do jej umysłu, odkąd otworzyła Bramę i powróciła na Terytorium Północne, ale teraz poczuła, jak porusza się ostrożnie na najdalszych obrzeżach jej myśli. Nie mylił się. Nie zabiłaby go. Zniszczyłaby w ten sposób także siebie. Na świecie nie zostałby nikt, kto patrzyłby na nią bez lęku.

Anioł w jej dłoniach wibrował z ekscytacji.

Czy możesz sprawić, że moje skrzydła będą tęczowe? Dawniej lśniły lazurem i fioletem w blasku gwiazd, a bursztynem i lawendą w świetle słońca.

Poruczniczka Coriena o lodowatych oczach wynurzyła się z fortecy w towarzystwie swoich podwładnych. W ramionach niosła nagie ciało mężczyzny o ciemnej skórze. Rielle podobała się bezczelność tej kobiety. Zazwyczaj Corien upierał się, że to on odbierze człowiekowi życie.

– Rielle, przysięgam, że to zrobię – powiedział Corien. – Będę trzymał cię ogłupiałą przez całe dni i karmił łyżką.

– Zostaw mnie – syknęła, patrząc niecierpliwie na ciało zbliżające się do ołtarza. W jej piersi coś się poruszało, topiło i pieniało. – Muszę pracować.

Gdy poruczniczka wkroczyła na płytę, Corien chwycił Rielle za ramię i przyciągnął ją do siebie.

Wybuch oślepiająco białej furii przesłonił jej cały świat. Odepchnęła Coriena z ostrym krzykiem. Płyta pękła na dwie części, a Corien się zachwiał i omal nie upadł.

Rielle nie zastanawiała się nad tym, co robi. Kierował nią pełen furii instynkt, któremu chętnie się poddawała. Rozpalona, kłębiąca się w jej wnętrzu moc wylała się i spłynęła gorącymi strumieniami po jej rękach i nogach. Skręciła anioła w dłoniach, jakby był plecioną liną. Więzy jego

umysłu napięły się, wystrzępiły i pękły. Stał się gliną w jej rękach, której kawałki odrywała i zgniatała.

Rielle zignorowała jego ryk bólu, klasnęła w dłonie i wymazała jego istnienie.

Świat usunął jej się spod stóp. Pejzaż wokół niej zniknął. Jego miejsce zajęło bezkresne czarne morze i niebo pełne gwiazd.

Przerażona ogromem tego miejsca, które wciągało ją jak wir wodny, walczyła z jego przyciąganiem. Sięgnęła umysłem i rękami do Coriena, ale nie znalazła go.

Otworzyła oczy.

Stała w morzu czerni, które pochłonęło ją, gdy zabiła strażników Obex w Patrii. Niskie fale obrzeżone złotem omywały łagodnie jej łydki. Dno morza było miękkie i bezustannie się zmieniało jak ruchomy dywan z drobnego żwiru. Nad jej głową lśniły miriady gwiazd – intensywnie lazuruowe, ametystowe i różane, złociste, barwy kości słoniowej i w kolorach, których nie potrafiła nazwać. Na czarnym niebie było ich tak dużo, że wydawały się jednolitą masą, płachtą utkaną z klejnotów, w której brakowało zaledwie kilku kamieni.

– W końcu tu jesteś – odezwał się głos za jej plecami.

Odwróciła się. Niedaleko niej stało dziecko w prostej białej sukience. Dziewczynka, drobna i puciołowata, z jasną skórą i nieposłusznymi ciemnymi włosami sięgającymi do pasa. Jej wargi wygięły się w przebiegłym, znajomym uśmiechu.

Rielle cofnęła się o krok, ponieważ przeszedł ją zimny dreszcz.

– Kim jesteś?

Dziewczynka się roześmiała.

– Wiesz, kim jestem.

Wiedziała. Te słowa rozbrzmiewały jej własnym głosem. To dziecko było nią samą, pięcioletnią, tyle że jej oczy były wtedy zielone, a oczy dziewczynki miały barwę olśniewającego złota. Otaczała ją aureola światła, jakby zasłaniała sobą słońce.

– Nie rozumiem. – Rielle obejrzała się przez ramię, tak jakby mogła tam znaleźć Coriena. Zobaczyła jednak tylko morze, nieskończone i lśniące. – Czy ja umarłam?

– Jeszcze nie – odparła pogodnie dziewczynka. – Skorupa twojego ciała jest tam, ale twoje serce, twoja prawdziwa jaźń, znajduje się tutaj, ze mną. To nie śmierć, nawet jeśli tak wygląda. To coś obok.

– Chciałabym się zobaczyć – powiedziała Rielle, czując mdłości ze strachu.

Dziewczynka zmarszczyła nos.

– Skoro nalegasz.

Przed oczami Rielle pojawiła się wizja jej samej, w górach, nieruchomej i z zaszkłonymi oczami. Jej skóra i wargi były śmiertelnie blade. Corien siedział na stopniach ołtarza, trzymał ją w ramionach i błagał, żeby się obudziła. Ryknął na swoich poruczników, by sprowadzili z laboratoriów uzdrowicieli.

Rielle zadrżała, patrząc na nieruchomą wersję siebie samej. Rzeczywiście wyglądała, jakby była martwa.

– Nie martw się. – Głos dziewczynki był wysoki i czysty. – Nie słyszałaś mnie? Jeszcze nie umarłaś. A teraz chodź. Tak długo czekałam, aż się tutaj pojawisz. Przejdź się ze mną. Powinnam ci pokazać, co tu jest.

Rielle zawahała się, ale wzięła dziewczynkę za rękę i poszły przez płytkie, czarno-złote morze. Brzeg białej sukienki dziewczynki unosił się na powierzchni wody.

– Nie bój się – podjęła radośnie dziewczynka, prowadząc ją za sobą. – Tutaj jestem tylko ja, a ja nie chcę cię skrzywdzić. Myślę, że ci się tu spodoba. Myślę, że będziesz wołała to miejsce.

Rielle zadrżała. Pragnęła wyrwać dziewczynce swoją rękę, lecz także utulić ją w ramionach.

– Gdzie jesteśmy?

– Jesteśmy wszędzie. Proszę, nie puszczaj mojej ręki. W ten sposób będzie ci łatwiej. Twój umysł jest nadal bardzo prymitywny w swoim człowieczeństwie.

Potem dziewczynka pociągnęła Rielle naprzód, a niebo zaczęło się zmieniać. Gwiazdy przesunęły się nad nimi, tworząc olśniewające smugi koloru, chociaż woda wciąż była spokojna, jakby z każdym krokiem pokonywały wiele kilometrów w górę, ale tylko centymetry w dół.

Rielle krzyknęła i się zachwiała, ponieważ jej umysł nie potrafił ogarnąć takiej niespójności, dziewczynka jednak trzymała ją mocno. Jej śmiech zagłuszył hałas na niebie.

– Dokąd mnie prowadzisz? – zapytała z trudem Rielle.

– Chcę, żebyś mnie zobaczyła – odpowiedziała dziewczynka. – Czy nie jestem piękna?

– Nie mogę spojrzeć. – Po twarzy Rielle spływały łzy. Jej pierś się zacisnęła. Czuła siłę przemykających obok gwiazd, które przepływały jak wezbrane rzeki. Hałas niedługo ją zmiażdży.

– Rozumiem. Twoje oczy są proste, ale nie zawsze tak będzie. To już się zaczęło.

Mijały godziny. W końcu Rielle uchyliła powieki na tyle, żeby zobaczyć swoje stopy poruszające się niepewnie w czarnej wodzie. Powierzchnia morza nie odbijała światła gwiazd. Fale skrywały własne światło, jakby gdzieś głęboko pod nimi palił się ogień.

Odezwała się głosem ochrypłym z powodu zbyt długiego nieużywania:

– Jesteś empirium, prawda?

– Powinnaś otworzyć szerzej oczy i się rozejrzeć. – Szept dziewczynki sprawił, że Rielle podskoczyła.

Zatrzymały się teraz i usiadły w płytkim morzu. Coś łaskotało Rielle w kark, nakłaniając ją, by spojrzała w niebo. Walczyła z tą pokusą, chociaż pragnęła popatrzeć w górę. Jeśli zobaczy to, co wisi nad nią, nigdy już nie będzie chciała odwrócić wzroku. Zamiast tego patrzyła na ciepłą wodę omywającą jej pękaty brzuch.

Dziewczynka swobodnym gestem przesunęła dłońmi po wodzie, a potem uśmiechnęła się do Rielle.

– To twoje miejsce. Spójrz w górę i powiedz mi, że się zgadzasz. Chciałabym, żebyś się zgodziła.

Rielle się zawahała. Żwir na dnie morza wydawał się jedwabście gładki w jej palcach i pulsował wraz z gwałtownym rytmem jej serca.

– Spójrz w górę, dobrze? – poprosiła jeszcze raz dziewczynka. – Nie pożałujesz.

Rielle nie mogła się dłużej opierać. Podniosła wzrok ku niebu.

Pomiędzy gwiazdami obracały się powoli kule ze światła i skały – niektóre ogromne i bliskie, inne małe i odległe. Część wypełniały kolorowe pasma, inne były jednobarwne lub przesłonięte chmurami. Rielle pragnęła wyciągnąć ręce i ich dotknąć. Usiadła na swoich dłoniach.

– Co to jest? – wyszeptała.

– To są światy. Chciałabyś jeden dostać?

Rielle zignorowała to pytanie.

– Nie rozumiem. Mój świat tak nie wygląda.

– Wyglądałby, gdybyś mieszkała pomiędzy gwiazdami i patrzyła na niego z góry. Avitas jest naprawdę prześliczny. Zielone, błękitne i białe. Jak

klejnot zasnuty chmurami.

Serce Rielle wybijało z niej cały rozsądek. Z trudem potrafiła zebrać myśli.

– Powiedz mi: czy jesteś empirium?

Dziewczynka wydawała się rozczarowana.

– Wszystko jest empirium.

– Ale musi istnieć pojedyncze miejsce lub istota potężniejsza od innych. Miejsce, w którym wszystko się zaczęło. Początek, który wszystko rozpoczął.

– Czy naprawdę musi? – Dziewczynka przechyliła głowę na bok. – Być może ty jesteś istotą, która wszystko rozpoczęła, ponieważ jesteś empirium, a empirium jest wszystkim. Być może nic się nie zaczęło i wszystko istniało od zawsze. – Jej intensywnie złote oczy nie mrugały. – Być może ja jestem empirium, jednym z wielu, jakie istniały, i przyszedł czas, abym się odrodziła w nowej formie.

Rielle zabrakło tchu.

– Mówisz od rzeczy. Jesteś empirium czy nie? Jesteś tym, co nas stworzyło?

– Czy jeśli potwierdzę, spróbujesz mnie zabić? Zająć moje miejsce? – Głos dziewczynki stał się zimny. – Twój anielski kochanek może pragnąć, byś to zrobiła. Jego pytania są płytkie. Jego wzrok jest krótkosiężny. Bez twojej pomocy on jest bez znaczenia. – Wstała i znowu wzięła Rielle za rękę. – Mamy więcej do zobaczenia. Jesteś pierwszą od wieków na tyle silną, żeby mnie zobaczyć. Chciałabym podzielić się z tobą całą sobą.

Rielle patrzyła w górę, kiedy szły, a fale pluskały wokół jej nóg. Niebo zmieniło się w chaos przemykających barw i ruchomych płaszczyzn, jakby rzeka gwiazd rozpękła się na odłamki, z których każdy płynął teraz w innym kierunku.

– Jeśli jesteś empirium – zaczęła Rielle – a ja tak samo, to w takim razie nie widzę tylko ciebie. Widzę siebie samą. W tym wszystkim; w tych gwiazdach i światach. Odbijam się w nich.

W głosie dziewczynki rozkwitła radość.

– Wreszcie zaczynasz rozumieć. Chodź! Pospiesz się!

Rielle szła za nią z nowo nabytą zwinnością i gracją. Jakże piękne było to niebo, jak cudowne w swojej dziwności. Zanurzyła w nim dłoń i przyciągnęła bliżej jeden z wirujących światów. Mały fioletowy klejnot, którego połowę powierzchni zasłaniały skłębione żółte chmury.

– Zrób z nim, co zechcesz – szepnęła dziewczynka. Siedziały na brzegu morza i machały nogami. Pod nimi wodospad spadał bezgłośnie w czerni. – Kochasz go?

Rielle obejrzała świat, obracając go powoli w dłoniach.

– Nic do niego nie czuję.

– A gdyby zamieszkiwały go żywe istoty?

– Czy tak jest? Ile?

– Miliony.

Przerażona Rielle wypuściła świat z powrotem w niebo. Podniosła się i patrzyła, jak znika pomiędzy gwiazdami.

– Chciałabym już stąd odejść.

Dziewczynka zmarszczyła brwi.

– Mamy jeszcze tyle do zobaczenia.

– Jestem zmęczona.

– Nie zawsze tak będzie.

Oczy Rielle wypełniły się łzami. Nie mogła oderwać wzroku od nieba. Nie chciała przestawać na nie patrzeć, pragnęła ściągnąć każdy świat spośród gwiazd i przesuwając po nim palcami, aż pozna jego teksturę. Jednocześnie jednak jej ciało pragnęło bezruchu, ciepłego komfortu łóżka

Coriena. Ten konflikt wywoływał w jej ustach kwaśny smak, jakby przygryzła coś metalowego.

Dziewczynka wstała. Jej uścisk na dłoni Rielle był jak żelazo, jej uśmiech lśnił. Rielle знаła ten uśmiech – sama go używała.

Uświadomiła sobie w przebłysku jasności, od którego zawirowało jej w głowie, że tak, rozmawia z empirium, lecz także z częścią samej siebie, która pragnie widzieć więcej, tworzyć i niszczyć i nigdy nie przestawać.

– Chodź ze mną – błagała dziewczynka. – Zobaczysz. Budzimy się, ty i ja. Mamy jeszcze tak wiele do zrobienia.

Zanurzyły się znowu w morzu i szły pod rozpędzonymi gwiazdami. Dziewczynka przyspieszyła teraz kroku. Gwiazdy i ich światy rozmyły się w nierozpoznawalne płaszczyzny barw.

Jakiś ruch zwrócił uwagę Rielle. Spojrzała w lewo i zobaczyła odbicia samej siebie i świetlistookiej dziewczynki trzymającej ją za rękę, czarnego morza pod ich stopami i chaosu w górze. Niezliczone odbicia, niekończące się aż po horyzont. Po prawej stronie było to samo; przed nią i za nią. Bezkresny pryzmat z niej samej. Obróciła się szybko i rozejrzała, a gdy zawołała Coriena, jej przerażony głos zabrzmiał zwielokrotnionym echem.

Corienie? Pojedyncze, błagalne słowo rozszerzało się, fale dźwięku zderzały się ze sobą, aż rozbolały ją uszy.

– Mam ci jeszcze tyle do pokazania – powiedziała dziewczynka, marszcząc brwi. Pociągnęła Rielle mocniej. – Chodź. Tędy.

Drobna sylwetka dziewczynki była złudzeniem. Siła, z jaką ciągnęła Rielle przez morze, była siłą tysiąca rozszalałych sztormów. Rielle próbowała się zatrzymać, zaprzeć piętami o miękkie dno, jednak widok jej odbić, które robiły to samo, dezorientował ją. Straciła równowagę i upadłaby, gdyby dziewczynka jej nie złapała.

– Popatrz! – Dziewczynka machnęła ramieniem po niebie. Gwiazdy zatrzymały się w swoich rozpędzonych korytach, zestaliły się i zmniejszyły. Opustoszałe niebo było wysadzone jasnymi perełkami światła otoczonymi słabą poświatą.

Rielle było zimno ze strachu, ale mimo to zachwyciała się nimi. Krew szumiała jej uszach tak samo jak rzeki gwiazd płynące wcześniej po niebie. Moc wyrывała się z jej piersi – tuziny chciwych palców pragnących pochwycić więcej. Więcej urzekającego światła, więcej światów, których można dotknąć, więcej szybkości. Pragnęła pokonać ocean jeszcze większy niż ten, który miała pod stopami. Przeskakiwać z perły na perłę, po tych opalizujących oczach patrzących na nią z nieba, i zobaczyć, dokąd ją to zaprowadzi.

– Czym one są? – zapytała bez tchu.

Policzek dziewczynki przycisnął się do jej ramienia.

– Pewnego dnia się dowiesz – mruknęła marzycielsko.

Proszę, Rielle! Wróć do mnie!

Jej serce drgnęło na dźwięk odległego głosu Coriena. Ból w jej ciele powrócił, jakby przyniesiony jego słowami – ściskanie głodu w żołądku, wyschnięte usta. Cofnęła się o krok i oderwała spojrzenie od nieba.

Dziewczynka otworzyła usta i zawyla gniewnie, a świat zapadł się w ciemność.

Rielle uciekała od niej przez wodę, chociaż łamało jej się serce na myśl o tym, że zostawia tę część samej siebie, tak czystą i niezachwianą w swoich pragnieniach. Miała tak wiele pytań, tak wiele światów do dotknięcia. Z każdym krokiem zastanawiała się, czy natrafi na nowe urwisko i spadnie z krawędzi wszechrzeczy.

– Nie możesz mnie zostawić! – szlochała dziewczynka. – Nie pozwolę na to!

Coś gorącego i ostrego szarpało Rielle za ręce, pierś, drżące kolana. Obejrzała się, ale nic nie zobaczyła. Czarna otchłań, jej stopy zapadające się w dno morza i koszmarna cisza, która próbowała ją zadusić.

Wysłała myśl do Coriena. Im bardziej oddalała się od dziewczynki, tym jaśniej mogła myśleć.

Przytrzymaj mnie. Nie wypuszczaj.

Trzymam cię. Jego głos był stanowczy i pewny. Wysyłał jej obraz za obrazem, każdy coraz mniej rozmazany w jej umyśle. Ciemna, kanciasta bryła fortecy, góry pokryte śniegiem, Corien tulący w ramionach jej ciało. Zobaczyła, że to nieruchome ciało migocze jak płomień świecy chwiejący się na wietrze. Fale złota przepływały po jego skórze, a Rielle wiedziała, że są rozpalone, ponieważ czuła ten żar w swojej krwi pulsującej jak zagotowana woda, ale Corien się nie odsuwał. Trzymał ją i trzymał, szeptał jej imię we włosy, a swoim umysłem wzywał ją zza morza. Przenikliwe zawrośnięcie dziewczynki stawało się coraz głośniejsze, tak ogłuszające, że Rielle się obawiała, iż jej czaszka się rozpęknie, zanim zdoła uciec.

Nagle uderzyła ją ściana zimna i wtłoczyła jej na nowo powietrze w płuca.

Rielle wpadła w samą siebie, poczuła delikatne, mokre płatki śniegu na policzkach i ciepło Coriena obok niej. Zaczęła się śmiać; łzy spływały jej po twarzy, pierś bolała ją od gwałtownego szlochu.

– Gdzie byłeś? – zapytał cicho Corien, gdy jej śmiech się uspokoił.

Przycisnęła twarz do jego płaszcza.

– Poszłam do tego, co będzie potem – szepnęła. – Poszłam w głąb siebie i zobaczyłam, czym jestem i czym się stanę. Patrzyłam w gwiazdy, ściągałam je w dół i trzymałam w dłoniach.

Corien milczał. Czuła, że jego umysł analizuje każde jej słowo.

– Czy chciałabyś tam wrócić? – zapytał w końcu.

Rielle rozejrzała się wokół, ciekawa, co stało się pod jej nieobecność. Jej moc prześlizgnęła się po empirium i powróciła do niej z obrazami: lawina, którą wywołała, gdy empirium ją pochłonęło, spadła z góry i zmiotła tuziny adatroksów. Lodowe głazy roztrzaskały jedną z zagród, w której trzymano nieszczęsne lodowe smoki. Kilka z nich się wydostało i uciekło w góry. Obok nich kuśtykali towarzyszący im Kammeratowie, dziwaczni borsvalscy pustelnicy, którzy przedkładali towarzystwo smoków nad ludzi.

Rielle zauważyła z cieniem zainteresowania, że nie byli sami.

Towarzyszyli im Obritsa i jej strażnik Artem. A także Ilmaire Lysleva i jeszcze jeden młody człowiek. Kolejny Kammerat.

Rielle natychmiast poczuła wzbierający gniew Coriena. Teraz, gdy była bezpieczna, zamierzał ich pozabijać.

– Nie rób im krzywdy – rozkazała. – Kim jest ten człowiek? Nie przypominam go sobie.

– Nazywa się Leevi – powiedział Corien głosem zdławionym ze złości. – Jeden z Kammeratów, był tutaj dawniej więźniem. Uciekł wiele miesięcy temu, a teraz powrócił z królem Borsvallu i innymi Kammeratami, żeby ratować swoich braci. – W jego słowach brzmiała odraza. – Cóż za bohaterstwo.

– Pozwól im odejść – poleciła Rielle, tracąc już zainteresowanie uciekającą gorączkowo grupką.

Wszystkie myśli Coriena zaciskały się jak pięści.

– Będą myśleć, że udało im się mnie pokonać.

– I co z tego? – Rielle dotknęła jego policzka i skłoniła, żeby na nią spojrzał. – W gruncie rzeczy to bez znaczenia. Zabijemy ich. Będą żyć i patrzeć, jak rośniemy w siłę. Sami odbiorą sobie życie, niezdolni unieść ciężaru swojej porażki. Cokolwiek się stanie, ich radość nie potrwa długo.

Czuła, że Corien się uspokaja, i patrzyła, jak napięcie znika z jego ramion. Przycisnął kciuk do jej spierzchniętej dolnej wargi.

Uśmiechnęła się do niego.

– Widzisz? Oni nic dla nas nie znaczą. Pozwól, żeby uciekli w swoje góry jak przerażone króliki. Chcę zobaczyć, jak zaczynają rozumieć, że ta ucieczka nic nie dała. Chcę widzieć świadomość tego pojawiającą się na ich twarzach. Ty nie?

Corien przycisnął czoło do jej czoła i zamknął oczy. Jego umysł dotknął delikatnie jej umysłu, a gdy znowu na nią spojrział, był spokojny.

W tym momencie Rielle o czymś sobie przypomniała.

– Czy ja go zabiłam? – zapytała, myśląc o aniele, którego zgmiotła w dłoniach.

Chwila ciszy. Palce Coriena gładziły jej ramię.

– Tak.

– Ledwie to pamiętam – powiedziała, chociaż dziewczynka wewnątrz niej, z oczami lśniącymi w bezkresnym morzu, potrafiłaby sobie przypomnieć każdą cząsteczkę anioła i uczucie towarzyszące rozcinaniu go mocą. Był w jej dłoniach zwykłym pyłem łatwym do strzepnięcia. – Przykro mi – dodała, ponieważ miała poczucie, że coś takiego należy powiedzieć.

– On nie miał dla mnie znaczenia. Był dzieckiem z pospólstwa, nieobdarzonym siłą ani sprytem. – Corien umilkł na chwilę. – Poza tym nie mówisz szczerze.

Miał rację. Śmierć anioła wysłała ją do tego miejsca pod rozpędzonymi gwiazdami, a ona już pragnęła tam powrócić.

Zanim jednak będzie mogła to zrobić, musi wzmocnić swoje ciało i umysł, aby rozumieć to, co widzi, i stać się tego godna.

Co więcej, musiała raz jeszcze spojrzeć w oczy tych wszystkich, którzy się jej bali. Pomyślała o nich, wyławiając z łatwością imiona z odległych wspomnień: Audric, Ludivine, Archon, Miren Ballastier, królowa Genoveve. Tal, który zginął z jej rąk.

Oczami duszy widziała twarz każdego z nich i czuła zimny, biały przypływ gniewu. Nawet teraz będą ją przeklinać. Nadal będą o niej myśleć jak o człowieku, jakby była jedną z nich. Być może wciąż sądzą, że zdołają ją ułagodzić.

Wargi Coriena musnęły jej czoło. Wyczuwała, jak bardzo jest nią zdumiony, jak ostrożnie porusza się w jej umyśle, jakby stąpał bosymi stopami pomiędzy potłuczonym szkłem.

– Czego pragniesz, Rielle?

– Pragnę, aby wszyscy na świecie zobaczyli nasze wielkie dzieło i padli na kolana – powiedziała. – Pragnę iść przez czarne morze i wspinać się na światła, aby zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

Podniosła głowę, a jej wzrok odmalował Coriena w odcieniach złota. Z trudem zaczerpnął powietrza, a ona z triumfem wyobrażała sobie, jak wygląda w jego oczach teraz, gdy trzymała świat w dłoniach. Kiedy powrócą do fortecy, podejdzie do lustra, zanim zje choćby kęs czegokolwiek.

– Pragnę raz jeszcze spojrzeć w oczy tym, którzy się mnie boją, i pokazać im, czym się stałam – powiedziała głosem drżącym na samą myśl o tym. – Udowodnię im, że mieli rację, obawiając się mnie, i że już nigdy nie będę się odwracać od całego ogromu moich mocy.

Potem spojrzała na puste szare niebo za plecami Coriena i pocieszała się, wyobrażając sobie, że stwarza je na nowo – ogromne, ryczące i lśniące od gwiazd.

Ludivine

Kiedy świat był młody, rozświetlony ogniem i poczerniały od burz, empirium dotknęło białego piasku na północnym wybrzeżu Patrii i stworzyło z prochu istotę tak piękną, że wszystkie zwierzęta na świecie wstrzymały oddech. W tę istotę empirium tchnęło dar długowieczności, posłało ją w chmury na nowo narodzonych skrzydłach ze światła i cienia, które sięgały do jej kostek, i nazwało ją aniołem.

*– Dziewczynka na księżycu i inne baśnie, zbiór anielskich legend
i mitów*

Ludivine stała na łodzi, w płaszczu wilgotnym od morskiej bryzy, i patrzyła na mazabackie okręty wojenne płynące po falach. Jej przywłaszczone ludzkie oczy łzawiły od wiatru.

Było ich piętnaście – okrętów o pękatych kadłubach i pustych pokładach wypolerowanych na błysk. Na każdym maszcie powiewały dumnie turkusowe i szmaragdowe flagi, a statki przemierzały morze pod pełnymi żaglami, ale nie było na nich ludzi. Poruszały się dzięki wysiłkom rządców wody i pieśniarzy wiatru ulokowanych na łodziach wokół Ludivine.

Gdzieś w górze cicha i niewidoczna w gęstej ciemności Atheria wypatrywała zagrożenia, gotowa w razie potrzeby zanurkować i zabrać Audrica.

– Doskonale ci idzie, Lu – rozległ się cichy głos Audrica. Dotknął jej ramienia, za co była mu wdzięczna. Nawet przez płaszcz i suknię czuła

ciepło jego przesiąkniętej słońcem skóry jak znajome ukojenie, sprawiające, że jej pierś ścisnęła tęsknota.

Tak wiele czasu minęło, odkąd jej dotykał. Musiała patrzeć na tę myśl kątem oka. Gdyby się z nią zmierzyła, myśl by ją zdruzgotała.

Audric wrócił na swoje miejsce na dziobie łodzi. Nie był żeglarzem, ale stał swobodnie, a płaszc trzepotał za nim.

Ludivine przyjrzała się żołnierzom siedzącym przy wiosłach w ich łodzi, a także magom żywiołów sterującym pustymi statkami przez morze. Gdy dopadało ich zmęczenie, spoglądali na Audrica, króla innego kraju. Królowa Fozeyah pozostała w Mazabacie, by pokierować obroną miasta na wypadek szybkiej akcji odwetowej celdaryjskiej floty lub kolejnego sztormu. Królowa Bazati wraz z tysiącem mazabackich żołnierzy zmierzała do Celdarii lądem. Za dwa dni powinna dotrzeć do stolicy.

Księżniczka Kamayin siedziała za Ludivine i pracowała tak samo ciężko jak podlegli jej rządcy wody, którzy byli jej za to wdzięczni. Ich myśli kierowane do Kamayin lśniły jasno miłością.

Ale kochali także Audrica. Spoglądali na niego w ciemności, na jego rozwiane wiatrem włosy, brązową skórę malowaną od zewnątrz blaskiem księżyca, a od wewnątrz światłem słońca. W swoich sercach na zawsze zapisali moment, gdy rzucił się w oko huraganu i zniszczył go od wewnątrz, z mieczem lśniącym w zakrwawionych dłoniach, gdy niebo rozkwitło światłem.

Od tamtego dnia jego skóra nabrała nowego blasku. Złociste nici światła rozjaśniały jego kędziory. Ludivine zawsze uważała, że jest prześliczny – z tymi ciepłymi brązowymi oczami, pełnymi wargami, pewną, kanciastą szczęką.

Teraz wyglądał jak postać z legend o świętych. Świetlisty, potomek świętej Katell, odrodzony w trzewiach burzy.

Dłonie Ludivine drżały. Mentalna tarcza, którą utworzyła, by ukryć ich łodzie, trzymała się mocno, ale ciemne myśli, które od miesięcy krążyły w głowie Ludivine, poruszały się i nabrzmiewały, grożąc eksplozją.

Aby nad nimi zapanować, zaczęła znowu myśleć o ich planie.

Morze Silarra było ogromnym zbiornikiem wodnym oddzielającym południową Celdarię od północnego Mazabatu. Podróżowali przez nie od tygodnia, a Ludivine widziała teraz na horyzoncie ciemną linię celdaryjskiego wybrzeża.

Wysłali wcześniej wiadomość: *Uzurpator upadnie. Słońce wszędzie na nowo*. Teraz zaś piętnaście okrętów wojennych płynęło szybko w stronę Celdarii. Setki żołnierzy Meroveca Sauvilliera wyjechały na południe ze stolicy, aby przygotować obronę. Ludivine wyczuwała ich nawet teraz – tłumy umysłów na wybrzeżu i na okrętach płynących im na spotkanie.

Ponieważ stolica została огоłocona z żołnierzy, Merovec miał być kompletnie nieprzygotowany na pojawienie się królowej Bazati i pierwszej fali jej armii. Ludivine skierowała swój umysł na wschód, na trakt, którym maszerowała armia królowej, i z przyjemnością stwierdziła, że utrzymują tempo. Opuścili Mazabat na długo przed armadą Audrica i dotrą do stolicy za niecałe dwa dni, znacznie wcześniej, niż żołnierze Meroveca wysłani na wybrzeże zdążą powrócić, by bronić miasta.

Wszystko było tak, jak powinno. To jednak nie stanowiło pociechy dla Ludivine, której myśli pozostawały splątaniem węzłem złych przeczuć i wstydu.

Oblizła górną wargę, poczuła smak słonego potu i zdumiała się tym. Spędziła w tym ciele całe lata, ale nadal nie przywykła do jego specyfiki – lodowatych dreszczy niepokoju, gorących przyprawów pożądania, ostrych ukłuć głodu. Jako anielica wieki temu czuła oczywiście to wszystko, lecz

w przypadku człowieka te wrażenia zmysłowe były znacznie bardziej naglące, głód gwałtowniejszy, pragnienie bardziej nienasycone.

Zamknęła oczy, walcząc z napływem wspomnień. Ona sama ułożona na łóżku Audrica w Baingarde i Rielle ulokowana pomiędzy nimi. Audric czytający coś przy blasku świecy, Ludivine bawiąca się machinalnie włosami Rielle. Rielle pochrapująca z policzkiem przyciśniętym do ramienia Ludivine.

Łzy sprawiły, że gardło Ludivine zaczęło piec i się zacisnęło. Wiedziała, że taka chwila już nigdy nie wróci.

O co chodzi? Audric przyglądał się wybrzeżu Celdarii. *Coś cię niepokoi.*

To nic takiego, odpowiedziała Ludivine i poczuła ulgę, gdy upewniła się, że nie zauważył jej kłamstwa.

Rielle dostrzegłaby je od razu.

Twoja tarcza się trzyma. Jego myśli były spokojne jak pewna dłoń prowadząca ją przez ciemny labirynt. *Mam nadzieję, że jesteś z siebie dumna. To wspaniała robota.*

Ludivineomal się nie roześmiała. *Byłoby wspaniale, gdybym była silniejsza. Gdybym mogła przełamać wpływ, jaki Corien ma na Rielle, i zabrać ją od niego. Gdybym mogła ją przekonać, żeby go zostawiła i wróciła do nas, zanim otworzyła Bramę.*

Kiedy przemierzali morze, Ludivine wspominała tamten dzień w Quelbani, gdy niebo pociemniało, a świat znieruchomiał. Sięgnęła do Rielle i zobaczyła odległe echa tego, co uczyniła – otwarta siłą Brama, setki tysięcy uwolnionych aniołów. Ludivine czuła echo tego wspomnienia także w umyśle Audrica, kładące się cieniem na jego myśli. Chciałaby móc wziąć go za rękę.

Ale gdyby go dotknęła, wszystko stałoby się jeszcze trudniejsze.

Ludivine przycisnęła dłonie do siebie i jeszcze raz przesunęła myślami po powłoce swojej tarczy. Im pilniej pracowała, tym mniej czasu miała na poczucie winy. Poczucie winy blednie i znika. Pewnego dnia w ogóle nie będzie go odczuwać.

Rozległ się świszczący, trzeszczący dźwięk. Gorące ostrza mocy żywiołów śmignęły w powietrzu, a jeden z mazabackich okrętów wojennych stanął w płomieniach.

Na horyzoncie zalśniły jasno tuziny światel. Małeńkie ognie, buzujące i gotowe.

Audric wskazał wybrzeże i przesunął palcem w bok.

– Są tutaj – mruknął. – Mają ze sobą dzierzycieli ognia.

Ludivine czuła, jak bardzo wytrącał Audrica z równowagi widok statków zbudowanych na rozkaz jego ojca, płynących teraz do niego w ciemności i obsadzonych przez wroga. Ich żagle wyglądały jak duchy, nowe flagi w barwach rodu Sauvillierów wydawały się szaro-czarne w blasku księżyca.

– Wioślarze, ostro na sterburcie! – rozległ się okrzyk Audrica.

Wioślarze posłuchali. Sześć łodzi skrzyło w prawo w ciasnej formacji pod tarczą Ludivine. Kamayin zawołała do swoich magów żywiołów w dialekcie północnomazabackim.

– Nie można mnie złamać ani ugiąć! – krzyknęła. – Nigdy nie milknę! Jestem wszędzie!

Pieśniarze wiatru dołączyli do niej, recytując modlitwę do wiatru podczas pracy. Potem odezwali się rządcy wody, powtarzając drugą modlitwę Kamayin.

– O, morza i rzeki! O, deszcze i śniegi! – Ich głosy łączyły się w pewny chór nad falami. – Pochłońcie wołania naszych wrogów!

Pusta mazabacka armada bez zwalniania płynęła na północ, chociaż kolejne okręty zajmowały się ogniem. Zbliżyły się do floty celdaryjskiej bez jednej wypuszczonej strzały, bez jednego pocisku z katapulty.

– Zawróćcie, głupcy – szepnął Audric, ponieważ okręty celdaryjskie zbyt późno spróbowały wyminąć zbliżającą się do nich flotę.

Ludivine była odwrócona tyłem do płomieni, ale i tak wyczuwała zdumienie kapitanów. Piętnaście cennych mazabackich okrętów wojennych płynęło pod pełnymi żaglami na pewne zniszczenie?

Pozwoliła sobie na leciutki uśmiech, gdy ich sześć niewielkich łodzi ominęło ten chaos szerokim łukiem i skierowało się do brzegu. Oczami Audrica widziała, jak płonące mazabackie statki otaczają kręgiem zaskoczoną celdaryjską flotę. Kiedy znalazły się na swoich miejscach, Audric wykrzyknął pojedynczy rozkaz.

Magowie żywiołów natychmiast opuścili ramiona. Ich głowy opadły, niektórzy przechylili się przez burty, żeby zwymiotować.

Ale nadal musieli jeszcze dotrzeć do brzegu, więc po chwili odpoczynku Kamayin zawołała słowa zachęty i ich zmęczona, ukryta flotylla obrała znów kurs na Celdarię.

Ludivine wpatrywała się w ciemne wybrzeże. Jej serce tłukło się jak oszalałe, jego rytm przypominał tętent kopyt spłoszonego konia.

Audric przykląkł koło niej.

– Jeszcze tylko trochę, Lu – powiedział. Jego myśli były znużone; wyczuwała, że myślomowa jest dla niego wyczerpująca. – Wtedy będziemy mogli trochę odpocząć. Doskonale sobie poradziłaś.

Zacisnęła zęby, usłyszawszy ciepło w jego głosie. Jakże pragnęła tego przez długie tygodnie. Teraz zaś walczyła, żeby wypchnąć je ze swojego umysłu.

Tak, niedługo dotrą do brzegu. Będą mogli odpocząć.

Potem ona ucieknie.

Rządcy wody po cichu zatopili łodzie w osłoniętej zatoczce na wybrzeżu Celdarii, ponad dwieście kilometrów od Luxitaine. W okolicy były tylko niewielkie wiejskie domy i pola pełne sennych kóz. Rozbili prosty obóz w rzadkich zaroślach niedaleko gaju oliwnego. Powietrze było ciepłe, ale w położonym wysoko w górach Âme de la Terre stanie się rześkie od wiosennych roztopów.

Ludivine zaczekała, aż większość jej towarzyszy usnie. Czuwały tylko dwie osoby: jasna, mocno zbudowana kobieta i chudy mężczyzna o brązowej skórze. Żadne z nich nie było magiem żywiołów – tylko żołnierzami, klnącymi cicho z powodu obolałych ramion i pęcherzy na dłoniach po wiosłowaniu. Ludivine wyczuwała jednak ich dumę i radość, że Audric znalazł się bezpiecznie na lądzie.

Poczuła bolesne ściskanie w gardle, gdy ich usypiała. Obudzą się za jakieś pół godziny, zawstydzeni tym, że się zdrzemnęli. Przyrzekną sobie nawzajem, że nikomu się do tego nie przyznają.

W obozie panowała cisza, księżyc wyglądał jak wąski uśmiech. Na ciemnym pastwisku zabeczała koza.

Kolana Ludivine drżały, gdy oddalała się od żołnierzy. Nie musiała się skradać; moc, która osłaniała ich podczas morskiej podróży, nadal ją ukrywała. Nikt nie usłyszy jej kroków ani nawet nie poczuje poruszenia powietrza.

Mimo to stąpała ostrożnie jak po zamarzniętym jeziorze. Ogarnęło ją dziwne szaleństwo; w myślach wrzeszczała, nie potrafiła opanować ich obłąkańczego wirowania.

Zatrzymała się pod poskręcanym dębem. Kark swędział ją od potu. Przez moment wpatrywała się w ciemny pejzaż i wiejski dom na wzgórzu po prawej stronie.

Powinna już iść i mieć to za sobą.

Nie potrafiła się jednak oprzeć ostatniemu spojrzeniu na niego.

Audric spał pod dębem, a Słoneczna Gwardia otaczała go ciasnym kręgiem. Niedaleko ulokowała się Sloane, która leżała ze skrzyżowanymi ramionami i grymasem niezadowolenia.

Ludivine przyklękła przy Audricu i ujęła jego twarz w dłonie. Ledwie była w stanie oddychać, gdy na niego patrzyła i widziała, jak miękkie i drogie są jego rysy we śnie. Elegancka prosta linia jego nosa, zmarszczone surowo brwi. Nawet podczas odpoczynku wyglądał królewsko.

Pocałowała go – jego skronie i policzki. Przycisnęła czoło do jego czoła, wdychała powietrze, które wydychał, przesuwając kciukami po krzywiźnie jego szczęki.

– Kocham cię, przyjacielu – szepnęła. – Nie przestałam cię kochać nawet na moment. – Przypomniła sobie słowa, którymi obdarzał Rielle, i czułość na jego twarzy, gdy je wypowiadał. – Światło mojego życia – dodała i przycisnęła usta do jego policzka.

Łzy spływały jej po twarzy, a pierś zacisnęła się tak mocno, jakby miała się zaraz zapaść. Ludivine wstała i nie spojrzała więcej na niego. Kiedy oddalała się chwiejnym krokiem, czuła się, jakby umierała. Gdy spał, nie wiedział nic o jej tchórzostwie. Gdy się obudzi, będzie zdruzgotany.

Położyła dłonie na piersi, próbując zmusić serce, żeby przestało boleć. Wiedziała jednak, że ten ból nigdy nie przeminie. Wiedziała, a mimo to go opuszczała, wierząc, że Audric zdoła się dostać do Âme de la Terre i Baingarde nawet bez jej ochrony. Powtarzała sobie, że on ma swoją Słoneczną Gwardię. Towarzyszyło mu czterdziestu magów żywiołów, dwadzieścioro czworo wyborowych żołnierzy oraz księżniczka Mazabatu.

Nie potrzebują anioła, powtarzała sobie, a ponieważ oni spali, natomiast ona była kompletnie ukryta, mogła bez obaw płakać, gdy się

oddalała. Szloch ścisnął jej pierś jak stalowa rękawica. Wspięła się na niewielkie skaliste wzniesienie i otarła twarz rękami pokrytymi brudem.

Na szczycie usiadła na płaskim głazie pękniętym na dwie części. Chwiał się, kiedy ona płakała. Objęła się ramionami i wysłała do Audrica wszystkie wspomnienia wspólnych lat. Każdego leniwego popołudnia, gdy wyciągali się na dywan przy otwartych oknach w jego komnacie, każdej ciepłej nocy spędzonej w jego łóżku. Obejmował ją ramionami, a ona przytulała Rielle. Jego ciemna głowa opierała się o jej jasne włosy, a twarz Rielle przyciskała się do jej lub jego szyi, gdy sama Rielle odpływała w szczęśliwy sen.

Kiedy się obudzi, zobaczy te wspomnienia i znienawidzi je. Znenawidzi ją za to, że mu je wysłała, przypomniła o tym, co oboje stracili, a jeszcze bardziej za to, że go porzuciła. Nie zrozumie tego, a ona nie pozostawiła mu żadnego wyjaśnienia, ponieważ prawda była zbyt nikczemna.

Przez lata marzyła o przyszłości u ich boku. Postarzeją się i będą mieli dzieci. Moce Rielle rozwiną się i będzie mogła wykorzystać empirium, żeby umocnić więź Ludivine z ciałem, które przyzwyczała się uważać za własne. Rielle pomoże jej się nareszcie naprawdę scalić; Ludivine będzie w stanie odpocząć od ciągłej walki o pozostanie w tym ciele i po prostu w nim egzystować. Będzie kochać Rielle i Audrica; czuwać nad nimi i ich rodziną do końca życia.

Zamiast tego zawiodła ich oboje bezgranicznie. Wiedziała o tym od miesięcy. Albo jedno z nich, albo oboje zginą w nadchodzącej walce, być może nawzajem ze swojej ręki, a Ludivine nie będzie mogła na to patrzeć.

Podniosła się, drżąc, i strzepnęła gałązki ze spódnicy. Później się odwróciła i zobaczyła ogromny ciemny kształt między drzewami. Monstrualnie wysoki, straszliwie nieruchomy. Nawet w ciemności nie dało

się nie dostrzec czarnych oczu Atherii. Wpatrywały się w Ludivine, jakby była zdobyczą.

Ludivine zamarła. Pod wzrokiem boskiej bestii tarcza jej umysłu wydawała się żałosna i dziecinna. Nigdy jeszcze tak bardzo nie czuła się tchórzem, którym była.

– Moja miłość nie wystarczy, żeby ich uratować – szepnęła, obejmując ramionami brzuch. – Jeśli zostanę i będę patrzeć, jak umierają, nie przeżyję tego.

Chavail wpatrywał się w nią. Machnął gwałtownie ogonem.

Ludivine się odwróciła, przebiegła przez sad i rozciągające się za nim pole, wspięła się na prymitywne drewniane ogrodzenie, a potem, na brzegu małego strumyka, obejrzała się.

Atheria nie próbowała jej ścigać. Audric obudzi się i zobaczy chavaila u swojego boku. Może dostrzeże w wielkich ciemnych oczach boskiej bestii prawdę o tym, co usłyszała.

Ludivine wyprostowała ramiona i zwróciła się twarzą na północ. Tam rozciągały się wzgórza, a dalej góry. Fragmenty lasów, rzeki pędzące do morza. Nie wiedziała, dokąd powinna iść, co powinna zrobić. Słyszała tylko bicie własnego serca, rytm jej kroków wybijający słowo „tchórz”, i czuła gorący, wszechogarniający strach, który kazał jej uciekać.

Jeśli ucieknie, może zdoła się ukryć.

Jeśli się ukryje, a świat się skończy, będzie mogła żyć spokojnie w kokonie swoich wspomnień i udawać, że niczego nie słyszy.

Audric

Od tygodni wraz z mistrzami sugerujemy Merovecowi wzmocnienie obrony i podjęcie środków ostrożności, które wskazałeś w ostatnim liście, ale on odmawia. Upiera się, że prawdziwy wróg kryje się w murach Âme de la Terre. Nadal przesłuchuje magów żywiołów i nie przyjmuje do wiadomości realnego zagrożenia poza naszymi granicami. Przypuszczam, że przeraża go to, co może nadejść. Nie potrafi stawić temu czoła. Wielu magów żywiołów zniknęło bez wieści. Plotki o ciałach piętrzących się w Baingarde rozchodzą się po ulicach z szybkością pożaru. Z bólem serca przekazuję Ci te wieści, ale chcę, abyś wiedział też, że Czerwona Korona jest gotowa. Wszystko czeka na Twój powrót. Niebawem otrzymasz szczegółowe instrukcje przekazane przez oddzielnego posłańca. Bądź cierpliwy i nie trać ducha, Wasza Wysokość. Niebawem będziesz w domu. Dla kraju i korony będziemy bronić prawdziwego światła.

– z zakodowanego listu Miren Ballastier do wygnanego króla
Audrica Courverie, 21 lutego 999 roku Drugiej Ery

Na każdym zakręcie wąskich, ciemnych tuneli pod Cibelline jakaś cząstka Audrica miała nadzieję, że z ciemności wyłoni się za chwilę Ludivine.

Będzie zdyszana i podekscytowana. Otrzymała wieści z północy. Skontaktowała się z Rielle i musiała się ukryć, aby porozmawiać z nią bez narażania misji Audrica. Teraz zaś Rielle wracała do domu, pędziła na południe na grzbiecie innej wspaniałej boskiej bestii, która zstąpiła z chmur, by ją uratować. Ludivine stwierdzi, że Atheria będzie zazdrosna. Będą się

śmiać i przytulać, a potem ona osłoni ich wszystkich – Audrica, Sloane, Evyline i Słoneczną Gwardię, Kamayin i jej żołnierzy – gdy zakradną się do Baingarde pod osłoną nocy.

Jednak tunele pozostawały ciemne i było w nich słyszeć tylko jego oddech, kroki jego przyjaciół i sprzymierzeńców. Inna, mniej przepełniona nadzieją częśćka Audrica знаła prawdę.

Ludivine nie wróci.

Wspinali się po wąskich kamiennych schodach głęboko pod ziemią. Evyline uparła się, że będzie szła pierwsza; wraz ze Sloane i pozostałymi gwardzistkami pokonała tę trasę kilka miesięcy wcześniej i dobrze ją pamiętała. Audric zdumiewał się upływem czasu. Chociaż od jego nieszczęsnego ślubu minęło zaledwie trochę ponad cztery miesiące, długie tygodnie ciągnęły się jak cały wiek, zaś to, że poślubił Rielle tej samej nocy, której nastąpił przewrót Meroveca – której Audric musiał uciekać z domu – wydawało się dziwaczne, wręcz niemożliwe.

Wspinał się po schodach, a jego usta wypełniał kwaśny smak wstydu. Sloane i Evyline, mazabackie królowe i księżniczka Kamayin powtarzały mu wiele razy, że to nie był akt tchórzostwa, ale on mimo wszystko nie potrafił im do końca uwierzyć.

W takiej chwili Ludivine odezwałaby się do niego. *To nie było tchórzostwo, powiedziała by mu tym swoim cichym, spokojnym głosem. To była mądrość. Nie wiedziałeś, na jakich sprzymierzeńców możesz liczyć. Wizja zesłana przez Coriena wywołała kompletny chaos. Jesteś następcą tronu. Gdybyś tamtej nocy został i zginął, ród świętej Katell na zawsze straciłby władzę.*

Jednakże umysł Audrica należał tylko do niego, wypełniony własnymi wirującymi myślami. Z każdym krokiem w podziemnym tunelu miał wrażenie, że znowu zapada się w to ciemne, ciężkie miejsce, z którego

udało mu się wydostać dopiero kilka tygodni temu. Pragnął zasnąć, ułożyć się w zimnym zakamarku tunelu zbudowanego przez jego przodków i zamknąć oczy na zawsze.

Tymczasem jednak Evyline, która szła na czele ich grupy, otworzyła ukryte drzwi osadzone w zboczu góry i wyszli w zarośniętych ogrodach rozciągających się za Baingarde.

Audric stanął z boku i przepuścił pozostałych, przyglądając się znajomej zieleni wokół. W tej odległości od zamku ogrody rozrastały się swobodnie. Ukryte drzwi były otoczone gęstwiną paproci i poplątanych pnączy księżycowych kwiatów. Na ziemi leżał miękki dywan sosnowych igieł, a korony wysokich drzew tworzyły zwarte sklepienie.

Zapach był tak znajomy, że Audricowi zakręciło się w głowie – korzenny, zielony aromat kołyszących się drzew, słodka woń starych liści gnijących w ziemi. Za otaczającym drzwi gąszczem, widoczny w jadeitowym półmroku, rósł żałobnik, którego cienkie gałęzie ugiwały się pod ciężarem intensywnie zielonych pąków i drobnych różowych kwiatów. Pierwsza oznaka wiosny.

Audric nie mógł oderwać od niego wzroku. Pod takimi drzewami po raz pierwszy pocałował Rielle. Wiedział, że nie powinien o tym myśleć, ale nie był w stanie się powstrzymać. Ciepło Rielle w jego ramionach, miękkość jej ust. Niecierpliwe westchnienie przy jego uchu, jej drżące dłonie splecione w jego włosy. Słodki smak szczęścia, gdy w końcu pozwolili sobie na pocałunek.

Sloane dotknęła jego ramienia. Zaczekał, aż jego oczy obeschną, a potem odwrócił się plecami do żałobnika. Kamayin półgłosem wydawała polecenia swoim magom, których formy lśniły lekko. Evyline i słoneczne gwardzistki stały w kręgu i recytowały siedem modlitw do żywiołów.

Audric nie potrafił na nich patrzeć – na ludzi, którzy postanowili walczyć u jego boku. Wydawali się tak delikatni w półmroku ogrodów, tak łatwi do zniszczenia. Czy byliby tutaj, gdyby nigdy nie pokochał Rielle? Czy na jego tronie zasiadałby uzurpator? Czy jego ojciec byłby martwy, a matka stała się cieniem samej siebie?

Wiedział, że byłoby łatwiej, gdyby nigdy jej nie pokochał.

A jednak gdyby miał wybór, zrobiłby to ponownie, ze świadomością tego, co się stanie. Straciłby ją jeszcze tysiąc razy, gdyby dzięki temu mógł najpierw ją kochać.

Przeszli przez ogrody do katakumb, skąd kolejna sieć tuneli prowadziła bezpośrednio do Baingarde. Łączyły się z tunelami górskimi za pomocą kilku podziemnych przejść – nie trzeba było wychodzić na powierzchnię. Jednakże Audric pragnął zobaczyć ogrody, chociaż wiedział, że ten widok go zrani.

W pobliżu katakumb wieszce sadzawki lśniły płaszczyznami czerni jak wypolerowane kamienie osadzone w ziemi. Wspomnienia jego samego, Rielle i Ludivine, młodych i beztroskich, przemykały po powierzchni wody niczym cienie.

Sloane trzymała się tuż koło niego, gdy szli szybko pomiędzy drzewami. Jej krótkie czarne włosy lśniły niebieskawo w słabym świetle księżyca. Wypolerowana obsydianowa kula na jej łasce wibrowała czekającą w gotowości mocą, a cienie tuliły się do niej z miłością, jak dzieci czepiające się nóg rodziców.

– To dziwne, prawda? – mruknęła. – Pamiętasz, kiedy ostatnio tutaj byliśmy? To była szalona noc, tak dawno temu, przepełniona przerażeniem. Ledwie już pamiętam, jak wygląda Baingarde.

– Ja pamiętam – odparł natychmiast Audric. – Widzę je w moich snach. Czuję smak cynamonowych ciastek, które wykradałem z kuchni dla Rielle.

Czuję zapach starej skórzanej oprawy moich ksiąg. Czuję chłodne kopyta kamiennej klaczy świętej Katell w Sali Świętych. Dawniej siadywałem tam i modliłem się jako dziecko, kiedy nie mogłem zasnąć. Mogę ci powiedzieć dokładnie, które stopnie schodów skrzypią w kwaterach służby. Na piętrze, niedaleko dawnego gabinetu mojego ojca, wisi gobelin. Przedstawia świętą Neridę stojącą pośród wzburzonego morza, które rozstępuje się wokół niej. Na jej trójzębie jest wypruta jedna nitka. Na trzonku, pod środkowym zębem.

Zbliżyli się do katakumb. Sloane patrzyła spokojnie na Audrica i nie odzywała się ani słowem. Pozostali czekali w cieniu, z bronią w gotowości, wypatrując wśród drzew nieprzyjaciół.

– Wszystko pamiętam – szepnął Audric.

Ciszę nocy przerwał sygnał alarmowy – trzy przeciągłe nuty rogu ze starej strażnicy na obrzeżach miasta. Audric słyszał takie dźwięki tylko wtedy, gdy Miren i jej akolici z Kuźni odnawiali rogi i magię wplecioną w ich metal.

Ten sygnał oznaczał, że pojawił się wróg.

Odpowiedział mu inny dźwięk rogu, wyższy i bardziej metaliczny. Kamayin podniosła głowę z dumnym uśmiechem; jej żołnierze się wyprostowali. To był Róg Królewski armii Mazabatu, oznajmiający jej przybycie. Była tam królowa Bazati, a także generałka Rakallo. Tysiąc mazabackich żołnierzy. Kolejni dołączą do nich, gdy miasto zostanie odbite. Prawdziwa bitwa czekała na nich w przyszłości.

Audric odwrócił się do własnej małej armii. Leciutki błysk światła wymknął się z pochwy Illumenora, rozjaśniając twarze zgromadzonych wokół upiornym blaskiem.

– Niech światło Królowej nas prowadzi – rzekł bez cienia wstydu, ponieważ Rielle mogła ich porzucić, ale modlitwy wspominające jej imię

nie straciły swojej mocy.

Jeśli zaś proroctwo było prawdziwe, trzeba znaleźć jeszcze jedną królową. *Ona spodziewa się dziewczynki*, powiedziała Ludivine kilka tygodni temu, a ilekroć Audric o tym myślał, jego serce wzbierało miłością. Czy prowadziło ich teraz światło jego dziecka? Czy może to światło pochodzące z wiary dodawało im sił do działania?

Audric spojrzał na Kamayin. Skinęła szybko głową, a światło form otaczało jej wąskie brązowe nadgarstki. Potem odwrócił się do Evyline górującej nad nimi wszystkimi. Zmarszczki wokół jej ust wydawały się głębsze niż kiedykolwiek wcześniej, siwy odcień jej włosów znacznie bliższy był bieli.

Jakże się postarzeli przez te kilka miesięcy. Jakże byli wyczerpani żałobą.

– Niech światło Królowej nas prowadzi – odpowiedziała Evyline, a słoneczne gwardzistki jej zawtórowały.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Audric zagłębił się w chłodną ciemność katakumb, gdzie powietrze było ciężkie od przeżytych i utraconych żyć, i skierował swoją dzielną małą armię w tunele, które miały go w końcu zaprowadzić do domu.

W Baingarde królował chaos.

Służący przygotowywali broń i zapasy, uciekali do swoich pokoi, zajmowali miejsca przy oknach, by przyglądać się toczącej się na zewnątrz bitwie. Żołnierze rodu Sauvillierów biegali od magazynu do magazynu, a potem na zamkowe dziedzińce.

Audric, Kamayin, Evyline i Sloane – każde z nich prowadziło grupkę żołnierzy przez zamek, od jego ogromnych piwnic. Audric narysował mapy Baingarde i omawiał je raz za razem, aż wszystkie osoby na łodziach przepływających się przez Morze Silarra znały liczbę komnat oraz

wiedziały, których schodów należy unikać, ponieważ są na nich zwykle rozstawione straże. Mieli obezwładniać napotkanych przeciwników – nie zabijać, jeśli to możliwe – i, aby uniknąć wykrycia, używać magii żywiołów tylko w razie konieczności. Zwykli żołnierze, którzy składali przysięgę wierności Merovecowi Sauvillierowi, nie powinni być zdaniem Audrica obwiniani o przestępstwa, jakich dopuścił się ich pan.

Audric z sześćoosobową grupą zbliżał się do wysokiego holu wejściowego Baingarde. Przykucnęli w cieniach na półpiętrze. Każde półpiętro było otoczone wypolerowanymi drewnianymi arkadami, a ciężkie szmaragdowe zasłony oddzielały prywatne bawialnie. Trzy rzędy ogromnych schodów łączyły półpiętro z holem na parterze z lśniąca marmurową posadzką.

Audric patrzył, jak otwierają się olbrzymie drzwi z drewna wzmocnianego kamieniem. Strumień żołnierzy Sauvillierów wybiegł w ciemność nocy; dowódcy wykrzykiwali rozkazy. Nawet wtedy, gdy zamknęli za sobą drzwi, Audric słyszał odgłosy walk na terenie miasta. Wyjrzał przez jedno z okien ciągnących się wzdłuż ściany frontowej i zobaczył ulice opadające do ogromnego, stworzonego przez świętych jeziora, a dalej szerokie, trawiaste Błonia.

Błonia rozświecała teraz magia – gwałtowne wybuchy ognia, przemykające wysoko smugi słonecznego blasku. Armia mazabacka była jak wielka czarna rzeka wlewająca się przez szeroki przesmyk pomiędzy górami Taléa i Sorenne. Siły obrońców rozproszyły się po Błoniach, żeby powstrzymać przeciwnika.

Audric przyglądał się temu ponuro. Ponieważ tak duża część żołnierzy Meroveca nie wróciła jeszcze z wybrzeża, ci pozostali w stolicy zostaną zmiażdżeni brutalną skutecznością tysięcznej armii królowej Bazati. Z szacunkowych raportów Miren wynikało, że na posterunkach w stolicy

pozostało niespełna kilkuset żołnierzy, apatycznych, niezadowolonych i niezdyscyplinowanych, jak obecnie wszyscy ludzie Meroveca.

Nie będą w stanie stawiać poważniejszego oporu siłom Mazabatu. To był wspaniały sposób na odwrócenie uwagi od zamku, pokazujący przy tym jednoznacznie mieszkańcom Âme de la Terre, jak kompletnie nieprzygotowany na inwazję anielską jest Merovec.

Mimo wszystko jednak Audric musiał działać szybko.

Ukryty pod kapturem, obserwował cienie, a towarzyszący mu wojownicy czekali w napięciu. Po drugiej stronie holu wejściowego wielkie lśniące drzwi Sali Świętych pozostawały zamknięte. Pilnował ich tuzin strażników. Kolejne dwa tuziny rozstawiono w holu.

Spodziewano się ich pojawienia w tym konkretnym miejscu – tak wynikało z zaszyfrowanych instrukcji Miren. „On będzie w Sali Świętych”, napisała. „Zaprowadzę go tam i zatrzymam”.

Audric nie wiedział, co to znaczy, że czeka na nich tak wielu strażników. Czy wiadomość Miren została przechwycona? Czy szpiegzy ich zdradzili?

Nerwy wibrowały mu pod skórą, rwał się do działania. Po drugiej stronie półpiętra rozbłysło słabe światło – szybko, trzy razy – sygnalizując przybycie grupy Sloane. Kolejne błyski, i jeszcze jedno – to były Evyline i Kamayin. Strażnicy w dole podnieśli głowy i dobyli mieczy.

Audric półgłosem wydał rozkazy i wraz ze swoimi ludźmi zbiegł po schodach, a pozostałe trzy grupy zrobiły to samo z drugiej strony. Audric nie dobył Illumenora. Strażnicy Meroveca mogli podejrzewać, że on bierze udział w tej walce, lecz chciał ich utrzymywać w niepewności, jak długo to będzie możliwe.

Gdy szarżowali na żołnierzy Sauvillierów, przygotował się na uderzenie magii – ale nic takiego nie nastąpiło.

Patrzył ze zdumieniem, jak jego ludzie z łatwością rozbrajają trzy tuziny żołnierzy. Uświadomił sobie, że nie ma wśród nich magów żywiołów. Z listów Miren wynikało, że Merovec zaczął się obawiać magii i podejrzewał wszystkich magów o bycie potajemnymi sympatykami Rielle. Jednak otaczanie się strażnikami, którzy nie mieli szans przeciwko napastnikom posługującym się z oczywistych powodów magią, wydawało się głupotą zbyt bezbrzeżną, by była możliwa.

Kamayin i jej magowie uderzyli w żołnierzy wiatrem i wodą – wilgocią z powietrza, wiatrem czekającym na ich dłoniach. Laska Sloane lśniła czernią i błękitem, przyzywając cieniste wilki, przed którymi żołnierze musieli uciekać. Evyline i jej Słoneczna Gwardia wycinały drogę do drzwi Sali Świętych. Były jak niepowstrzymana burza, przelewały całą swoją wściekłość i ból w lśniące ciosy mieczy. Evyline z dzikim, gardłowym wrzaskiem powaliła ostatniego ze strażników Meroveca.

Odwróciła się i spojrzała na Audrica po drugiej stronie holu. Na posadzce leżały ciała. Część żołnierzy jęczała i ścisnęła swoje rany, ale większość była nieruchoma.

Evyline, oddychając ciężko, pochyliła głowę.

– Staralam się ich oszczędzać, Wasza Wysokość, ale kiedy ktoś biegnie na ciebie z mieczem, nie masz większego wyboru. – Urwała na moment. – Gdy zobaczyli, co robi Merovec, mogli uciec. Mogli mu się sprzeciwić.

Audric przestąpił przez ciało pod stopami.

– Nie wszyscy mieli taką możliwość – powiedział cicho. – On mógł potraktować ich rodziny jak zakładników. Mógł grozić im torturami. Nie obwiniam ich i żałuję śmierci każdego z nich.

Potem, ze swoim oddziałem trzymającym w gotowości uniesione miecze i formy, Audric otworzył drzwi i wkroczył do Sali Świętych.

Wnętrze ogromnej komnaty było pogrążone w cieniu. Jedyne źródło światła stanowiły pochodnie modlitewne umocowane u podstawy masywnych posągów świętych. Puste trony królowej Genoveve i króla Bastiena stały na podwyższeniu na drugim końcu. Nad nimi górowało półkolem audytorium z rzędami wypolerowanych drewnianych ławek, które czekały na Wielkich Mistrzów, królewskich doradców i radę, a także zaproszonych arystokratów. Wyżej misterne kolorowe witraże przedstawiały świętych w czasach pokoju, gdy wojny anielskie stały się odległą przeszłością. Pomiedzy audytorium a tronami wznosił się posąg świętej Katell na białej klaczy, z głową otoczoną aureolą z polerowanego złota.

Tutaj ojciec Audrica przesłuchiwał Rielle po Wyścigu Obfitości. Tutaj Archon ukoronował Słoneczną Królową, a Ludivine powróciła z martwych. Ciężar przeszłości tej komnaty przygniatał Audrica do ziemi.

Szedł pomiędzy patrzącymi z góry świętymi i rozglądał się szybko. W audytorium rozstawiono tuzin łuczników Sauvillierów z wycelowanymi w niego strzałami. Pod ścianami, z uniesionymi mieczami i napiętymi łukami, czekali kolejni żołnierze, niespuszczający oczu z ludzi Audrica, którzy weszli za nim do środka.

Na podwyższeniu stał zaś Merovec Sauvillier we własnej osobie, imponujący w kolczudze i zbroi z herbem swojego rodu. Na pasie barwy rdzy lśniły srebrne chwosty, krótki, wytworny płaszcz z wełny miał barwę granatową. Jasne włosy spływały mu na ramiona falami, a oczy miał tak samo błękitne jak jego siostra. Poza zarysem szczęki, mocnym i kwadratowym, w odróżnieniu od zaokrąglonego podbródka Ludivine, podobieństwo było uderzające.

Trzymał w ramionach królową Genoveve. Jej plecy były przyciśnięte do jego piersi, na gardle miała cienkie srebrne ostrze.

– Podejdz bliżej, a poderżnę jej gardło! – zawołał Merovec głosem, który odbił się echem w pustej sali.

Audric stanął i gestem polecił pozostałym, by zrobili to samo. Powinien czuć przerażenie na widok tak okrutnie potraktowanej matki. Zamiast tego ogarnął go spokój, a jego myśli stały się przenikliwe i jasne.

– Jesteś już zdrajcą i zbrodniarzem, Merovecu – powiedział Audric. – Czy chcesz dodać do tej listy także zabójstwo swojej ciotki?

– Mojej zdradzieckiej ciotki. – Merovec przyciągnął bliżej do siebie głowę Genoveve, trzymając ją za włosy. – Upierała się, żebym został tutaj, zamiast wyruszyć z moimi żołnierzami na spotkanie mazabackiej armii. Wydawała się zrozpaczona, powtarzała, że nie może stracić również mnie, gdy straciła już Ludivine, ciebie i Bastiena. – Syknął jej do ucha: – Sądysz, że nie wiedziałem o tym, gdzie się wymykałaś ostatnio, kochana cioteczko?

Genoveve nawet nie drgnęła w jego uścisku. Jej posiwiałe kasztanowe włosy lśniły w blasku pochodni jak miedź. Oczy miała niczym dwie stalowe monety.

– Sądzę, że nie wiesz o wielu rzeczach – odpowiedziała spokojnie.

– Nazywają się Czerwoną Koroną. Lojaliści rodu Courverie. – Merovec splunął na posadzkę. – Moi poddani spiskują przeciwko mnie, gdy ja staram się zapewnić im bezpieczeństwo i wykorzenić zło, które ich własny książę wpuścił do tego kraju.

Audric spojrzał prosto na matkę i zrobił krok naprzód. W cieniach audytorium łucznicy poruszyli się, ale nie wypuścili strzał.

– Co takiego uczyniłeś, aby zapewnić im bezpieczeństwo? – zapytał. – Nie widziałem żadnych barykad na obrzeżach miasta, żadnych dodatkowych strażnic w górach. Nie słyszałem o obwieszczeniach informujących ludzi, czym są aniołowie i jak powinni wzmacniać swoje

umysły. Nie było też mowy o tym, żeby Merovec Sauvillier starał się zawrzeć sojusz z Borsvallem lub Kirvayą.

– Borsvall i Kirvaya. – Na przystojnej twarzy Meroveca pojawił się grymas. – W jednym nie ma króla, a w drugim królowej. Oboje uciekli nocą, pozostawiając swoje kraje w chaosie. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

Audric zrobił jeszcze krok.

– Słyszałem, jak potraktowałaś Ilmaire’a Lyslevę. Był gościem w twoim domu, ty zaś pobiłaś go i uwięziłaś. – Kolejny krok, odmierzony i ostrożny. – Chciałbym powiedzieć, że powinieneś się wstydzić, ale wiem, że nie jesteś do tego zdolny.

Merovec roześmiał się ostro.

– Ilmaire? On był słaby. Nieudolny król, który pragnął, żebyśmy powitali Rielle z otwartymi ramionami i pozwalali jej robić, co tylko zapragnie. „Zmuszanie Rielle do wyboru pomiędzy dobrem a złem, światłem a krwią, to szaleństwo”, twierdził. „To stanie się przyczyną naszej klęski”. Domyślałam się, czemu tak go polubiłaś. Jest takim samym głupcem jak ty. Zresztą wcale nie chciał tej korony. Oddałem mu przysługę.

– Teraz zaś chowasz się w moim zamku i terroryzujesz moich poddanych. – Audric przesunął się do przodu, po kroku z każdym zdaniem. Łucznicy nie mogli mu zrobić krzywdy bez rozkazu Meroveca. – Przesłuchujesz ich i przeszukujesz ich domy. Podajesz w wątpliwość ich wiarę i rozdzielasz rodziny.

– Nie mam pewności, ilu z nich ty i twoja krwiożercza oblubienica zdołaliście skorumpować, zanim cię porzuciła. – Merovec przechylił głowę. Na jego twarzy pojawił się szeroki, krzywy uśmiech. – Powiedz mi, czy zaspokajasz się teraz, wyobrażając sobie, jak ona jęczy w ramionach nowego kochanka?

Audric był jednak odporny na jego słowa, z umysłem jak wypolerowana tarcza.

– Pozwoliłeś, by pochłonął cię strach, Merovecu, i zmieniłeś Âme de la Terre w gniazdo swoich lęków. Miejsce pełne podejrzeń i nieufności. Nie zrobiłeś niczego, aby przygotować naszych poddanych na to, co nadejdzie.

Merovec rozejrzał się po sali. Jego ostrze wbiło się w szyję Genoveve. Cienka strużka krwi spłynęła po jej białej szyi, ale królowa nie krzyknęła, jej twarz nawet nie drgnęła z bólu, a serce Audrica wezbrało miłością do niej.

– Gdzie moja siostra? – warknął Merovec.

Audric dotarł do wyrytego na błyszczącej posadzce słońca. Był tylko kilka kroków od podwyższenia, na którym stała Rielle, gdy została zdemaskowana. Zatrzymał się pośrodku słońca, z wibrującym Illumenorem u boku.

– Nie ma jej tutaj – odpowiedział.

– Oczywiście że jest. – Uśmiech Meroveca był przesycony goryczą. – Wiem, czym ona teraz jest. Anielską łajdaczką w ciele mojej siostry. Ludivine! – ryknął to imię i mocniej przycisnął nóż do szyi Genoveve. – Ludivine, pokaż się!

– Nie ma jej tutaj, Merovecu. Zniknęła dwa dni temu w środku nocy. Nie mam pojęcia, co się z nią dzieje.

– Kłamiesz. Jak inaczej mógłbyś się zakraść niepostrzeżenie do Baingarde?

– To jest mój dom. – Audric zrobił jeszcze krok. – Tutaj się urodziłem i dorastałem, tutaj mój ojciec uczył mnie, jak rządzić krajem, tak jak uczyła go jego matka, a ją jej ojciec. Znam sekrety Baingarde, o których ty się nigdy nie dowiesz, i znam także moich poddanych.

– Trzymasz ją gdzieś jako zakładniczkę. Wydaje ci się, że zdołasz wymienić jej życie na życie swojej matki.

Genoveve patrzyła na Audrica, a jej twarz niczego nie wyrażała. Nie było na niej bólu ani strachu. Tylko zimny blask w oczach, który przypominał Audricowi kobietę, jaką była dawniej, zanim zdruzgotała ją śmierć Bastiena.

– Nie da się wziąć Ludivine jako zakładniczki. Aby uniknąć schwytania, opanowałyby mój umysł i przekonała mnie, żebym tego nie robił. – Audric spojrzał na okna witrażowe za posągiem świętej Katell. Musiał jeszcze chwilę grać na czas. – Z pewnością się zastanawiasz, kiedy to się stało. Czy pamiętasz, jak Ludivine miała czternaście lat i dostała wysokiej gorączki? Była ciężko chora przez wiele tygodni.

Na twarzy Meroveca pojawił się przeblask zrozumienia.

– Nadużywasz mojej cierpliwości.

– Znam to uczucie. Tamtej nocy Lu umarła. Anielica przywłaszczyła sobie jej ciało i imię. Przemiana była niezauważalna. Chciała być blisko Rielle, obserwować ją i chronić. – Dodał jeszcze spokojnie: – Pomyślałem, że powinienes to wiedzieć, zanim zginiesz z mojej ręki. Możesz także wypuścić moją matkę i oddać tron, który mi odebrałeś, co zakończy ten rozlew krwi. Możemy dłużej o tym rozmawiać. Ty i twoi żołnierze możecie dołączyć do mnie i pomóc przygotować ten kraj na wojnę.

Wybuch na zewnątrz wstrząsnął całym zamkiem – charakterystyczny odgłos zderzających się ze sobą mocy żywiołów. Zaraz potem zapadła grobowa cisza. Po prawej stronie Audrica jeden z żołnierzy Sauvillierów przestąpił z nogi na nogę.

– Czy wszystko, czego dotknąłeś, zamieniło się w popiół? – zapytał Merovec z lśniącymi oczami. Dopiero teraz jego głos zadrżał, zdradzając tłumiony strach. – Ty i Rielle zostawiacie za sobą szlak zniszczenia. Nie

możemy nic zrobić, aby powstrzymać to, co się zbliża, a ty wiesz o tym. Nie zdołamy przeżyć, jeśli ona przetrwa. Powieszę twoje ciało na wrotach Baingarde, obok ciał wszystkich członków Czerwonej Korony. Moi żołnierze już ich aresztowali. Ich twarze będą gnić na słońcu, napuchłe i poczerwiałe. Każdy przechodzień mijający ten pomnik klęski będzie pamiętał, co się stało z królem Audrikiem o miękkim sercu i wszystkimi, którzy go kochali.

Audric jeszcze raz spojrzął na witraże. Przemknął za nimi ledwie widoczny cień. Audric przesunął powoli dłoń na rękojeść Illumenora.

– Czystka była czarną kartą naszej historii, Merovecu – powiedział. – Jeśli chcesz ją powtórzyć, tym razem po to, by prześladować nie Naznaczonych, lecz tych wszystkich, których podejrzewasz o działanie przeciwko tobie, to dostateczny dowód, że nie jesteś wart przywłaszczonej korony.

– Ani kroku dalej! – ryknął Merovec. Trzy szybkie ruchy noża pozostawiły czerwone skaleczenia na ramionach i policzku Genoveve. Teraz wyrwał jej się stłumiony jęk bólu, który sprawił, że Audricowi poczerwiało na moment przed oczami. – Rozpłatom jej gardło i pozwolę, żeby wykrwawiła się przed tym tronem, na który twoim zdaniem nie zasługuje! – Na twarzy Meroveca malowało się szaleństwo. – Ty zaś zniszczysz jeszcze jedno życie!

Donośna eksplozja zagłuszyła jego słowa. Witraże roztrzaskały się, kolorowe odłamki poleciały na całą salę, a zaraz za nimi wpadła Atheria z otwartym szeroko dziobem odsłaniającym drapieżne zęby. Wydała okrzyk furii, który zmroził Audrica aż do szpiku kości.

Merovec wypuścił Genoveve i sięgnął niezgrabnie po miecz. Genoveve uderzyła go łokciem w żebra, a potem okręciła się i próbowała trafić go

pięścią. Chwycił ją za nadgarstek i cisnął na podłogę kolorową od szkła. Raz za razem kopał ją w bok.

Żołnierze w audytorium wypuścili strzały, ale Audric zrobił unik i pobiegł na podwyższenie. Po lewej stronie Sloane wezwała z kątów sali cienie i stworzyła z nich jastrzębie o ostrych dziobach. Nurkowały błyskawicznie i zbijały kolejne strzały w powietrzu. Evyline i słoneczne gwardzistki ruszyły naprzód z uniesionymi mieczami. Część żołnierzy Meroveca próbowała uciekać z wrzaskami przerażenia, gdy zaatakowała ich Atheria. Kamayin okręciła się na pięcie, a jej nadgarstki załśniły. Sięgnęła do siedmiu mis modlitewnych w sali i uderzyła uciekających żołnierzy pienistymi pięściami zrobionymi z wody.

Łuczniczka, która kuciała w ławkach audytorium, poderwała się i strzeliła w Atherię; trafiła ją w prawą łopatkę, tuż obok nasady skrzydła. Boska bestia ze skrzekiem zanurkowała, ale kobieta strzeliła jeszcze raz, tym razem w grube mięśnie w górnej części lewej nogi. Nie zdążyła jednak nałożyć na cięciwę trzeciej strzały, gdy Atheria dopadła ją, chwyciła za szyję i cisnęła z całej siły na posadzkę w dole.

Audric wbiegł po stopniach na podwyższenie, wyciągając Illumenora. Moc przepływała przez jego ciało, wdzierając się w miecz i wracała do niego, wypełniając żyły palącym żarem. Niekończące się krążenie mocy, od ostrza do krwi i znowu do ostrza. Złoto tańczyło mu przed oczami, ale zamiast utrudniać, wyostrzało jego widzenie.

Zamachnął się Illumenorem. Blask miecza wybuchł, zdmuchując wszystkie cienie w sali. Walczący zachwiali się i osłonili oczy.

Merovec pozostawił Genoveve krwawiącą na zasypanej szkłem posadzce i odwrócił się, by odparować cięcie Audrica. Ich ostrza się zderzyły. Audric naparł na niego, Illumenor iskrzył się uwiecznionym

blaskiem słońca. Merovec z krzykiem odwrócił wzrok od niewyobrażalnej jasności, ale nie opuścił miecza.

– Nie wygrasz, Merovecu – odezwał się Audric. – Poddaj się, a ocalisz życie. Jeśli będziesz stawiać opór, zniszczę cię. Nie chcę tego ani ze względu na ciebie, ani na mnie. Jesteśmy rodziną. Jesteśmy synami Celdarii.

Merovec naparł całym ciężarem ciała na jego miecz i uwolnił swoje ostrze. Zamachnął się szerokim cięciem na szyję Audrica, niezdolny wycelować cios precyzyjnie w świetle Illumenora.

Audric zaklął gniewnie. W najbliższej przyszłości wielu ludzi straci życie, ale Merovec nie pozostawiał mu wyboru.

Skoncentrował umysł i posłał impulsy mocy wzdłuż swoich rąk. Illumenor rozpalił się do białości, a moc Audrica sięgnęła poza metal, aż stała się materialna i gruba jak włócznia.

Rodzę się o świtaniu, modlił się Audric, unosząc Illumenora. Płonę za dnia.

Rozpłatał Illumenorem ciało Meroveca, rozcinając z łatwością zbroję, kości i mięśnie. Dwie połówki ciała upadły na posadzkę, parujące i czyste, bez kropli krwi. Audric patrzył na zwłoki w bezlitosnym blasku Illumenora. Wiedział, że nigdy nie zdoła wymazać z pamięci tych zaszklonych błękitnych oczu zastygłych w wyrazie szoku.

W sali zapadła cisza. Pozostali jeszcze żołnierze rodu Sauvillierów wypuścili broń.

Audric przykląkł przy boku matki, tak aby nikt nie widział jego twarzy. Nie był pewien, czy nie zobaczyliby jego zgrozy, odrazy, jaką odczuwał wobec niszczycielskiej siły własnych mocy i tego, że był zmuszony ich użyć.

Przyjrzał się ranom Genoveve. Skaleczenia na szyi były płytkie, ale oddychała z trudem, a jej twarz pobieliała. Podejrzewał, że ma złamane żebra, i miał nadzieję, że to nic gorszego. Podtrzymał jej głowę, a ona wtuliła twarz w jego dłoń i zaszlochała krótko, przyciśnięta do jego palców.

– Myślałam, że więcej cię nie zobaczę – szepnęła. – Przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam. Powinnam była go powstrzymać. Nie powinnam była mu pozwolić...

Zachłysnęła się, ból odebrał jej głos. Audric przycisnął czoło do jej czoła. Na posadzce koło nich Illumenor wibrował na posłaniu ze szkła.

– Nie musisz mnie przepraszać – powiedział Audric. – Chcę tylko, żebyś żyła i pomagała nam w tych mrocznych dniach. Moja odważna matka. Kocham cię. Tęskniłem za tobą.

– Nienawidzę się za to, czym stałam się po śmierci twojego ojca – wykrztusiła Genoveve.

Audric potrząsnął głową i pocałował ją w policzek.

– Nie masz racji.

Potem wstał. Wszyscy obecni patrzyli na niego – jego ludzie, pokonani i klęczący żołnierze. Wszystkie oczy, nawet przyjazne, spoczywały na nim jak okropny ciężar. Co mieli teraz zrobić? Czekali, żeby im to powiedział. Zawsze ktoś będzie oczekiwał, że Audric ogłosi rozpoczęcie wojny lub zawarcie pokoju, wyda osąd lub okaże łaskę.

Nigdy nie wyobrażał sobie, że będzie robił to wszystko sam.

– Evyline – zaczął – poślij dwie gwardzistki po Garvera Randella i powiedz mu, że król Audric wzywa go do zamku. Kamayin, ty i twoi magowie będziecie pilnować pojmanych żołnierzy w tej sali. Sloane, pomóż mi opatrzyć rany Atherii, a później musimy znaleźć worek lub nosze, żeby to stąd zabrać.

Przykląkł przy ciele Meroveca i zmusił się, by spojrzeć na ten makabryczny widok.

– Muszę jechać na Błonia – odezwał się cicho – i pokazać odważnym żołnierzom rodu Sauvillierów, że mężczyzna, za którego walczyli, nie żyje.

Zamknął oczy Meroveca i podniósł Illumenora. Żar wypalił wszystkie pozostałości krwi. Ostrze lśniło czystym srebrem, jakby nigdy jeszcze nie zasmakowało śmierci.

Eliana

Kalmaroth i ja dorastaliśmy razem. Był czas, kiedy go kochałem. Przynosiliśmy do domów ranne ptaki i pielęnowaliśmy je, aż odzyskały zdrowie i można je było wypuścić. Bawiliśmy się w ogrodach naszych matek, czytaliśmy książki i ćwiczyliśmy matematykę w gabinecie jego ojca. Nasze domy były pełne szczęśliwych, grubych kotów; Kal przynosił do domu i rozpieszczał każdego przybłędę. Jednakże po tamtym chłopcu nie zostało nawet śladu. Jego miejsce zajął mężczyzna przepełniony żalem do świata, szukający odpowiedzi na niemożliwe pytania, pogardzający każdym, kogo umysł nie dorównywał jego umysłowi. Trawi go zazdrość wobec ludzi i ich mocy. Nie poznaję go. Widzę w jego oczach zimny blask, który przejmuję mnie chłodem aż do kości. On musi zostać powstrzymany.

– z zapisków anioła Aryavy przechowywanych w Pierwszej
Wielkiej Bibliotece Quelbani

W ciasnym zaułku w pobliżu dzielnicy przemysłowej Elysium, w której potężne budynki dymiły dniem i nocą, Eliana znalazła przejście do Otchłani.

W budynkach fabrycznych mechaniczne urządzenia zaprojektowane przez aniołów i obsługiwane przez zniewolonych ludzi brzęczały i warczały, produkując broń i zbroje. Ulice były śliskie od sadzy i oleju, ale i tak wszystkie pokryte plamami gzymsy prezentowały się prześlicznie.

Eliana klęczała obok jednego z wysypisk śmieci, gdzie ludzi, których urodą aniołowie już się znudzili, sortowali złom i przerzucali odpady.

Gorące, gryzące powietrze piekło ją w oczy. Czuła na języku smak metalu. Za jej plecami białe miasto wypełniały wrzaski przerażenia. Więźniowie z Vaera Bashta sprawiali, że ulice spływały krwią, zaś wszystko to oświeślała Ostia – wielkie oko na niebie, siniec z błękitnobiałą obwódką.

W tym miejscu pełnym zgnilizny i zniszczenia Eliana uniosła drżące, zmęczone ramiona w powietrze i rozgarnęła je. Jej umysł czepiał się wizji szczeliny, którą już otworzyła na niebie nad Elysium. *Tam*. Posłała myśli przez żyły swoich mocy, żeby nimi pokierować. Potrzebowała nie tylko drzwi do Otchłani, lecz także drzwi, które zaprowadzą ją tam – do czekającej i poszerzającej się szczeliny, w której powietrze było już tylko cienką warstwą. Jej formy płonęły na dłoniach, empirium w jej piersi zmieniało się w rozżarzone ostrza. Zaprowadziło ją do tego pełnego dymu zaułka, a ona trzymała się swoich mocy, które były jak lina w zadymce śnieżnej, napięta i solidna.

Przypomniała sobie słowa Proroka: *A może to ty kierowałaś empirium. Ty powiedziałaś mu, czego potrzebujesz i gdzie ma cię zaprowadzić.*

Eliana zadrżała; jej skóra była mokra od potu. Zniszczona suknia kleiła się do jej ciała, klejnoty lśniły złowieszczo.

Gdzieś tam Corien zaczynał tracić dobry humor, co oznaczało, że ta rozrywka dobiega końca.

Głos Proroka był ledwie słyszalny z wysiłku.

Pospiesz się, Eliano. Świat wiruje coraz szybciej.

Gdy tylko szczelina stała się dostatecznie szeroka, Eliana wstrzymała oddech i weszła do środka – prosto w świat wojny.

Zawahała się na widok tego, co miała przed sobą, a potem zacisnęła szczęki i ruszyła przed siebie. Ten świat, który pokazywała jej Otchłań, to echo miejsca istniejącego gdzieś daleko, różnił się od widzianego poprzednio. Pełne przepychu posągi z brązu i złota zdobiły dachy domów

i witryny sklepów. Kwadratowe wieże obrośnięte bluszczem wznosiły się po bokach szerokiej, szarej drogi, którą maszerowały lśniąco szeregi uzbrojonych żołnierzy.

Nieśli długie włócznie z ostrymi czubkami oraz miecze wypolerowane na wysoki połysk. Ludzie, do których się zbliżali, uciekali w popłochu z krzykiem, ciągnąc za sobą dzieci i zwierzęta. Niektórzy klękali, unosili strzelby i oddawali strzały, ale gdy trafiali w cel, żołnierz upadał i po chwili wstawał chwiejnie, jego rana się zasklepiała, a on podejmował nieubłagany marsz naprzód.

Elianie zrobiło się na ich widok zimno. Nie mieli czarnych oczu, ale mimo to...

Co tu się dzieje? Próbowала ignorować echa krzyków rozbrzmiewające nad drogą. Co to za miejsce?

Niewiele teraz mogę zobaczyć poprzez twój umysł, ale jeśli się nie mylę, jest to świat o nazwie Sath, odezwał się Prorok głosem tak odległym, że Eliana się przeraziła. Rozpoznaję go. Ten widok pokazał mi się już kiedyś. Śmierć twojej matki wstrząsnęła całą Otchłanią. Otworzyły się przejścia do wielu światów. Niektórzy aniołowie stracili wiarę w Kalmarotha już dawno temu i nie pragnęli wracać do Avitas. Poszukali dla siebie miejsca gdzie indziej.

Eliana poczuła w gardle żółć. Była rozdarta pomiędzy ogromnym smutkiem i gniewem czystym jak lód.

Czy nie ma kresu zniszczeń, których dopuściła się moja matka?

Musisz się spieszyć, Eliano. Nie pozwól, aby Otchłań odwróciła twoją uwagę. Pamiętaj, co musisz zrobić.

Eliana posłuchała. Jej wzrok przykuło słabe, błękitno-białe lśnienie na horyzoncie. Zatrzymała na nim spojrzenie i pobiegła, uderzając mocno stopami o drogę, której tam nie było. Wizja odległego Sathu przemykała

wokół niej, a Eliana kątem oka dostrzegła poszarpaną, trzepoczącą ciemność – prawdziwą Otchłań, zimną i bezkresną, pełną potworów i czystej mocy. Na niebie roilo się od krucjuszy, tak bliskich, że język Eliany mrowił od gorącego odoru ich potężnych ciał. Skrzydła muskały jej skórę, coś ostrego i cienkiego skaleczyło ją w ramię. Biegła i czuła za sobą napierające powietrze. Jeśli się obejrzy, zobaczy horror depczący jej po piętach.

Potwory czekały na nią. Były gotowe.

Tak samo jak Eliana.

Nie odrywała wzroku od coraz jaśniejszego horyzontu i ignorowała zaczernione niebo, aż w końcu dotarła do utworzonej przez siebie szczeliny, poszarpanego, lśniącego rozcięcia w Otchłani prowadzącego do Avitas.

Eliana podeszła do iskrzącej krawędzi i ostrożnie przyklękła. Pierwotna niewielka szczelina miała teraz powierzchnię jakichś pięćdziesięciu metrów kwadratowych. Wewnątrz niej lśniła osłabiona tkanka Otchłani, po której przemykały rozbłyśki światła i koloru. Dalej, w dole, falowały niewyraźne zarysy Elysium.

Eliana czuła szybkie uderzenia pulsu w gardle. Przestała koncentrować wzrok i pozwoliła, aby zalało ją empirium. Fale złota wzbierały pod jej palcami. Widziała, jak rozciągnięta stała się tkanka Otchłani wewnątrz nierównego pierścienia Ostii. Pozostała tylko cienka błona mocy. Panel kruchego szkła, który można roztrzaskać.

Przycisnęła palce stóp do twardej drogi i wierzyła, że te kamienie są prawdziwe. Pomodliła się w duchu, żeby to wystarczyło. Zebrała w swoim umyśle moce i wyobraziła sobie, że są włóczyniami, ostrymi i gotowymi do działania.

Potem zanurzyła dłonie w jasnej krawędzi Ostii i pozwoliła, by jej moce eksplodowały. Białe światło iskrzyło na jej palcach i wspinało się po

ramionach, jakby była zanurzona po łokcie w spienionej wodzie. Jej formy rozpały się do tego stopnia, że instynktownie pragnęła je zerwać, ale zacisnęła zęby i rozkładała dłonie coraz szerzej. Ból rozchodzący się po jej rękach był tak nietypowy i zniuansowany, że stawał się niemal rozkoszą. Przestała widzieć inne kolory poza złotym.

Wtedy, nareszcie, tkanka Otchłani rozciągnięta w otworze Ostii ustąpiła.

Eliana poczuła pod swoimi dłońmi gwałtowny dreszcz, jakby ogromna bestia wydawała ostatnie tchnienie. Impuls energii przebiegł aż do jej ramion, a ona usiadła ciężko na drodze, oddychając z trudem. Szybko oparła się dłońmi o iluzoryczne kamienie. Musiała podtrzymać to kłamstwo, ponieważ przed jej oczami działy się rzeczy tak niewyobrażalne, że w głowie jej wirowało z niedowierzania.

Ostia się otworzyła. Wypełniły ją pełne furii rozbłyśki światła. W końcu stała się tym, na co liczyła Eliana od chwili, gdy obudziła się w białym pokoju i pomyślała o wycięciu drzwi w niebie.

Jej matka otworzyła Bramę.

Ona zaś otworzyła Ostię. Pięćdziesiąt metrów kwadratowych obramowanych światłem. Otwór prowadzący do Otchłani. Drzwi wyjściowe z pustki. Widziane przez nie Elysium było idealnie ostre jak odbicie w wypolerowanym lustrze.

Udało ci się. Głos Proroka był przytłumiony, ale pełen triumfu.

Wtedy krucjusze rzuciły się w dół.

Nurkowały z Otchłani, spadając z nieba na Elysium jak potworna rzeka wściekłości. Ich wrzaski były tak donośne, jakby wszystkie zwierzęta w Avitas uniosły głowy i zawyły jednocześnie. Skrzeczały i zawodziły, szarpały się nawzajem pazurami, ponieważ każdy chciał jako pierwszy dostać się na dół i rozpocząć ucztę. Znajdowały się wśród nich ogromne,

niezgrabne i zwaliste bestie ze spłaszczonymi pyskami i łapami jak maczugi. Inne były smukłe i węzowate, a jeszcze inne kojarzyły się z ptakami pokrytymi nierównomierną mieszaniną łusek i piór.

Elianie zrobiło się zimno, gdy patrzyła na lecące drapieżce. Pamiętała ich atak na obrzeżach Karlaine. Jeden chwycił Patrika i cisnął nim o ziemię, łamiąc mu nogę. Eliana zabiła innego sztyletem. Światło Ostii parzyło je, gdy przelatywały przez szczelinę, i osmalało im pióra, ale parły przed siebie, niezrażone, z szeroko otwartymi zębatymi dziobami.

Krucjusze pochodziły z innego świata, nazywanego, wedle słów Proroka, Hosterah. Były dostatecznie silne, by przetrwać w Otchłani.

Ale Elysium nie przetrwa ich szturm.

Eliana kucała na skraju Ostii, której poszarpane obrzeże iskrzyło wokół. Siła promieniująca z otworu groziła jej ciśnięciem z powrotem w głąb Otchłani. Eliana czepiała się jasnej krawędzi Ostii i patrzyła na skłębioną rzekę krucjuszy. Nie wszystkie były w stanie uciec przyciąganiu Otchłani. Niektóre były odrzucane od Ostii, inne wymachiwały bezsilnie szponami, unieruchomione przez moc, której nie potrafiły przezwyciężyć.

Najsilniejszym udawało się jednak umknąć. Eliana zobaczyła niedaleko drapieżcę, który jej się spodobał. Prorok powiedział coś ostrzegawczo, lecz Eliana zignorowała to i skoczyła na grzbiet mijającej ją bestii. Upadła ciężko, objęła ramionami potężną, łuskowatą szyję i przygotowała się na impet zderzenia.

Poczuła pierścień pięknego żaru, który zerwał z grzbietu drapieżcy pióra i łuski. Ale zaraz znaleźli się po drugiej stronie, a bestia zaskrzeczała i wyrównała lot. Potem spróbowała zrzucić Elianę w powietrzu. Zaczepiła ogonem o posąg anioła i strąciła go na ziemię, gdzie się roztrzaskał.

Eliana, której oczy łzawiły od wiatru, dostrzegła w pobliżu dach. Spróbowała się przetoczyć po wylądowaniu, ale wyszła już z wprawy, więc

potłukła się mocno. Otarła sobie ręce i rozciąła ramię o nierówną krawędź dachówki. Ześlizgnęła się z dachu, przytrzymała gzymsu i zawisała, machając nogami, aż uświadomiła sobie, że nie znajduje się wysoko nad ziemią i może się puścić. Pobiegła chwiejnie ulicą, zaciskając zęby z powodu fal bólu w nogach. Jako Postrach Online mogłaby zeskoczyć na ten dach i niczego nie poczuć. Ta myśl przyplotnęła i zniknęła szybko jak echo jej dawnego życia.

Biegła przez Elysium, nie mając pojęcia, dokąd zmierza. Rozpaczliwie chciała zawołać Proroka. Światło Ostii pociemniało, zalewając miasto ponurym fioletem i czerwienią, jakby wszystkie wieże zostały skąpane we krwi. Prorok mówił, że przyjaciele Eliany niebawem się pojawią i wtedy będą mogli działać, w końcu się spotkać. Ale kiedy? I kto to był?

Nie zadawała jednak żadnych pytań Prorokowi i trzymała umysł starannie zamknięty. Corien będzie jej szukać. Gdyby użyła umysłu, żeby sięgnąć do Proroka, stałaby się widoczna jak wystrzelona flara.

Zamiast tego wyobrażała sobie rzekę, chłodny i jedwabisty nurt niosący ją szybko do zatłoczonego serca miasta. Wspięła się na niski mur, przebiegła po łagodnie wznoszących się spiralnych schodach i znalazła się na jednym z wyższych poziomów Elysium. Krucjusze mijały ją, wymachując ogonami, a ich dzikie wrzaski łączyły się w wygłodniały chór. Niektóre – kotowate, szybkie i skowyczące – przebiegały z łatwością po dachach i wspinały się po ścianach. W górze przemknęło skrzeczące stado drapieżców. Nurkowały i atakowały, karmiąc się wszystkim, co się ruszało – więźniami z Vaera Bashta, odrywanych od własnej masakry, a także mieszkańcami Elysium w podartych odświętnych strojach.

Żaden z krucjuszy nie tknął Eliany, ale nie spodziewała się, by ich wdzięczność miała trwać w nieskończoność. Musiała znaleźć bezpieczną kryjówkę, zanim zmienią zdanie.

Przypomniła sobie ogród na tarasie, w którym była wcześniej, więc skręciła ostro w lewo, potem w prawo i dwa piętra w górę po szerokich, poplamionych krwią kamiennych stopniach. Omal nie rozplakała się z ulgi na widok znajomych wąskich schodów i budynku z gargulcami w kształcie krucjuszy.

Przez ramię widziała kątem oka krucjusze spadające z nieba. Rozprzestrzeniały się po Elysium jak rzeka ciemności. Niebawem znajdą mosty i miasto namiotowe rozciągające się na kamienistym pustkowiu.

Odwróciła się od tego widoku, a jej żołądek zacisnął się z przerażenia. Ile bestii już wypuściła z Otchłani i ile jeszcze zdoła się stamtąd wydostać? Pozabija je, gdy spełnią swoje zadanie. Kiedy imperator zginie, a Imperium upadnie, Eliana zniszczy wszystkie pozostałe przy życiu bestie i zamknie zarówno Ostię, jak i Bramę.

Wystarczy, że do tego czasu przeżyje.

Na dachu, na otoczonym balustradą z białego kamienia tarasie, znalazła obrośniętą bluszczem altanę, w której chowała się kilka godzin temu. Nagle zamarła. W altanie dwóch małych chłopców kuliło się w ramionach starszego mężczyzny i ciężarnej kobiety.

Starszy z chłopców zaciskał dłoń na ustach młodszego. Cała czwórka wpatrywała się w Elianę, która uniosła dłonie i z uśmiechem potrząsnęła głową. To ich uspokoiło; odwzajemnili uśmiechy. Kobieta przesunęła się nawet, żeby zrobić dla niej miejsce.

Wtedy znalazł ją Corien.

Pojawił się nagle, przemierzał taras długimi krokami. Jego płaszcz był nieskazitelnie czysty – długi i czarny, wyprasowany i zdobiony haftami, umocowany na ramieniu zapinką w kształcie złotych skrzydeł.

Jeden z chłopców krzyknął. Corien warknął coś półgłosem i machnął ręką. W następnej chwili wszyscy ukryci w altanie osunęli się na ziemię

z pustymi oczami.

Eliana wiedziała, że ucieczka jest bezcelowa, ale mimo wszystko spróbowała tego. Corien kopniakiem podciął jej nogi, aż poleciała na dach. Jej formy, matowe i ciemne, brzęknęły o kamienie.

Chwycił ją za włosy i postawił siłą na nogi. Krzyknęła, ponieważ zabolą ją skóra głowy, a łzy napłynęły do oczu. Spróbowała się odwrócić i go uderzyć. Jej zmęczony umysł poniewczasie przypomniał sobie o nożach, które miała przypięte do pasa.

Corien zdążył ją uprzedzić i zerwał z niej pas. Arabeth zjechała ślizgiem po kamieniach w ciemność. Corien cisnął inne noże przez krawędź dachu. Nic nie mówił, a to przerażało Elianę. Uwielbiał dźwięk własnego głosu, sprawianie, że ludzie skręcali się ze strachu, słysząc jego słowa. Teraz jednak nie używał nawet myśłomowy. Jego twarz była prześliczną białą maską wściekłości.

Powlókł Elianę do schodów, przytrzymując ją za włosy i za ubranie. Prosta, pierwotna część jej umysłu, zdająca sobie sprawę z tego, że stała się ofiarą, tłukła się o jej czaszkę i błagała, by Eliana wezwała pomoc. Ale wrzaski zwróciłyby zbytnią uwagę na arenie szaleństwa, jaką stało się Elysium, a gdyby krzyczała umysłem, Corien znalazłby Proroka.

Z trudem zaczerpnęła powietrza, gdy Corien ciągnął ją w dół po schodach, a jego żelazny uścisk przebiegał po jej kręgosłupie rozpalonymi igiełkami bólu. Nie pozwoli, by jej moce się obudziły, aby jej bronić. Czuła ich gniew; dopiero co ich używała. Powtarzały jej, że mogłaby je z łatwością uwolnić.

BUDZIMY SIĘ

Empirium ryczało na nią, jego płonące pięści pulsowały w jej żyłach.

– Nie – szepnęła, błagając je, by się uspokoiło. – Nie, nie, nie.

Corien nie zwracał na nią uwagi i nie zwalniał kroku. Nigdy jeszcze tak żarliwie się nie modliła. Pojedyncze, proste słowo: „nie”. Żadnej mocy, żadnego ognia, żadnego światła. Wtłaczała całe swoje ciało w to słowo. Jej formy pozostawały zimne na dłoniach.

Ogarnęła ją chmura czerni, która zniknęła dopiero wtedy, gdy Corien rzucił ją na posadzkę.

Eliana zamrugała, impet upadku pozbawił ją tchu. Patrzyły na nią puste metalowe oczy jej matki. Znajdowali się z powrotem w pałacu, w galerii Rielle. Eliana leżała nieruchomo, kiedy Corien ciął mieczem podobiznę Rielle ukształtowaną ze szkła, a potem przeciął ostrzem obraz olejny. Chwycił brązowy posąg z piedestału nad Elianą i cisnął go w cienie. Hałas był ogłuszający, podkreślany dodatkowo jego milczeniem.

Eliana oddychała ciężko, a pot piekł ją w oczy. Nie mogła się poruszać, ale widziała, że pozostawił wokół miejsca, w którym leżała, wolną przestrzeń, otoczoną pierścieniem zniszczenia.

W końcu przemówił.

– Dość tego, Eliano. – W jego głosie wibrowało coś, czego nie potrafiła określić. Zachłanność, furia, a może znużenie. – To już koniec naszej gry.

Wykręciła głowę, żeby na niego spojrzeć. Czy jeśli zobaczy jego twarz, zrozumie, co on czuje? Nie potrafiła niczego odczytać z jego umysłu. Nie odsłaniał się przed nią.

W końcu zobaczyła jego szeroki uśmiech. Nie był sam.

Jego dłoń zaciskała się na nadgarstku Simona, który stał sztywno u jego boku. Wargi Simona były nadal spuchnięte i zakrwawione po uderzeniu wymierzonym mu przez Coriena kilka godzin temu. Przez moment patrzył prosto na Elianę. Jego oczy były błękitne jak lód, błękitne jak ogień. Wstrząsnęły nią, pozbawiając resztek niepewnego opanowania.

– Simon? – szepnęła.

– Tak, jest tutaj także Simon – potwierdził Corien. – Zakładam, że pamiętasz, co potrafi? Zrobi to dla mnie, tutaj i teraz. Zamierzam raz na zawsze wyrwać z twoich żył te przeklęte moce. Zamierzam rozszarpać twój umysł i grzebać w nim tak długo, aż będę mógł zacisnąć w palcach wszystko to, czym jesteś.

Eliana wpatrywała się w imperatora. Miała sucho w ustach, a jej serce biło tak szybko, że całe jej ciało wibrowało. Dostrzegała tiki nerwowe Coriena, których wcześniej nie było – jego skóra pulsowała na skroni, drgał kącik jego ust.

Odważyła się spojrzeć głęboko w jego czarne oczy; zastanawiała się, ile umysłów się za nimi kryło – i jak blisko były, żeby mu się wymknąć spod kontroli.

– Umrę – powiedziała do niego. – Wtedy zostaniesz z niczym.

Przykucnął, by pogłodzić ją po policzku.

– Dlaczego miałoby mnie to obchodzić, skoro Simon mnie do niej wyśle? Będę mieć twoją matkę. W końcu się ciebie pozbędę.

Rozpaczliwie spróbowała się podnieść.

– Nie chcesz jej zobaczyć. Już raz ją zawiodłeś, straciłeś ją. Znowu się tak stanie.

Corien wstał i popatrzył na nią zimno z góry. W jego oczach zalśniło szaleństwo.

– Nie, Eliano. Teraz widzę, jakie błędy popełniłem. Już ich nie powtórzę.

Potem zanurzył się w nią. Piekło wcisnęło się w każdy zakamarek jej umysłu, wypalając do czysta wszystko to, co tak desperacko starała się ukrywać. To, co Corien robił z nią przez te miesiące w pałacu, było niczym w porównaniu z tym. Ból odebrał jej mowę, sprawiając, że wiła się bezgłośnie. Drapała śliską podłogę, jej oddech był zdławiony i ochrypły.

Próbowała powiedzieć jedno słowo, skoncentrować się na jednym obrazie. Błękitne oczy wpatrzone w jej oczy. Jej modlitwa się teraz zmieniała.

Simon. Jej umysł wrzeszczał to imię, a każdy zapamiętany obraz wracał teraz do niej. Sięgała do tych wizji, próbowała pochwycić jedną z nich i przyciągnąć do siebie. *Simon!*

– No dalej, Simonie – ryknął z rozbawieniem Corien. – Jak długo zdołasz patrzeć na nią w takim stanie? Całe godziny? Dni? Tygodnie? Jestem nieśmiertelny. Jestem nieskończony. Mogę palić ją, aż świat wokół nas się rozpadnie.

– Będę patrzeć tak długo, aż osiągniesz swój cel, panie – rozległ się obojętny głos Simona.

– Cóż za lojalny z ciebie pies, cóż za prześlicznie niewzruszony człowiek. Ale nawet ty, lodowato zimny, zmęczysz się jej krzykami. Umysł ludzki ma granice bólu, którego może być świadkiem. – Popchnął Simona. – Podnieś ręce! Znajdź dla mnie nici, Simonie! Zrób to!

Simon posłusznie podniósł sztywne ramiona.

Palce Coriena, zaciśnięte głęboko na myślach Eliany, szarpnęły gwałtownie. Teraz wyrwał się jej krzyk. Ukrywała się w gąszczu zarośniętego ogrodu na dziedzińcu pałacu. W błękitnej kajucie na statku admirała. Na migotliwym balu maskowym w Festivalu, w oświetlonym ciepłym blaskiem świecy pokoju w Wierzbowym Dworze. Była w Online, czarna i zwinna, przeskakiwała z dachu na dach z Harkanem u boku. Była w swojej sypialni, słuchała, jak Remy czyta jej historie o świętych.

Była w ramionach Iosepha Ferracory, patrzyła na wschodzące słońce i przyglądała się onieśmielona kruszącemu się posągowi Świetlistego, szlachetnego i niezmordowanego na skrzydlatym koniu.

Wrzask Eliany uformował imię.

– Simonie! – Jej palce zeszywniały, kości za chwilę miały przebić jej skórę. – Simonie, proszę!

– „Simonie, proszę! Simonie, proszę!” – Corien wybuchnął dzikim śmiechem. – Czy wyczuwasz nici, Simonie? Czy widzisz, że się zbliżają? Ona już niedługo wytrzyma. Czuję, że wszystkie jej tarcze pękają. Biedna malutka Eliana. – Pochylił się, żeby krzyknąć jej do ucha: – Biedna malutka Eliana! Taka odważna, taka szlachetna, taka bezsensownie, kurewsko głupia! Mogłaś być szczęśliwa, ty mała kretynko. Mogłaś mieć wszystko, czego zapragniesz, a zamiast tego wijesz się na ziemi jak przydeptany robak, we własnych szczytach!

Eliana połykała powietrze jak świeżo narodzone dziecko, ale to nie wystarczyło. Płuca ją paliły, w umyśle szalała wrzeszcząca biała burza. Jej formy zaczęły się rozgrzewać; moce dostatecznie długo znosiły te upokorzenia. Nabrzmiwały w niej jak wezbrane morze napierające na brzeg.

Nie mogła zacisnąć palców, więc przycisnęła dłonie do podłogi, zmuszając formy, żeby zgasty. Napłynęła wizja: mogłaby tłuc o kamienną posadzkę głową tak długo, aż pęknie. Radość Coriena skręcała się w jej wnętrzu. Pozwoli jej to zrobić, gdy dostanie od niej to, na czym mu zależy. Wtedy będzie mogła sobie rozwalać głowę, ile zechce.

Niedługo jej umysł całkiem się rozsypie. Jej moce eksplodują i obudzą w Simonie krew Naznaczonego, a to będzie koniec. Wszystko pójdzie na marne.

Oddech, który zaczerpnęła, zacharczał w jej piersi jak niewypowiedziane błaganie.

Simonie!

Nagle Corien poleciał do tyłu, a jego umysł wypuścił umysł Eliany. Coś wcisnęło się pomiędzy nich; lodowate kamienne drzwi zatrzasnęły się, nie

dopuszczając jego palców. Potknął się o przewrócony posąg i poleciał bez gracji na posadzkę.

– To ona – syknął. – Ona tu jest. – Potem zaczął się śmiać, coraz głośniej, aż jego głos zamienił się w rechot, ochrypły i zwierzęcy. Eliana nie wiedziała, gdzie jest Simon. Wyciągnęła z trudem ręce, zalewana falami rozgrzanego, czerwono-czarnego bólu.

Dzika radość Coriena sprawiała, że bolały ją krwawiące uszy.

– Pokaż mi się, ty zmijo! Gdzie jesteś? Coś ty zrobiła?

Wtedy rozległ się inny głos, cichy i słaby, przeznaczony tylko dla Eliany.

Zostań z nami, malutka. Jeszcze trochę. Pomoc jest w drodze. Pomoc jest blisko.

Prorok. Ostatnie słowa w umyśle Eliany uformowały się, zanim delikatna dłoń ze znajomą czułością pokierowała ją w upragnioną nieświadomość.

Ludivine

Gdy leżycie samotnie nocą w swoim łóżku, otoczeni ciemnością, a koszmary towarzyszą wam wewnątrz i na zewnątrz, możecie się zastanawiać: czy nie ma nic więcej? Tylko wojna i śmierć? Tylko strach i rozpacz? Nie należy jednak zadawać takich pytań. Zamiast tego zapytajcie siebie: co zrobię, gdy on po mnie przyjdzie? Co zobaczę w chwili śmierci, spoglądając na swoje dotychczasowe życie? Czy będę czuć dumę z powodu swoich dokonań? Czy może wstyd z powodu swojej bierności? Zastanówcie się dobrze. Znam wstyd, którego nie potraficie sobie wyobrazić. Znam poczucie winy, które pełza we krwi jak choroba.

– słowa Proroka

W swojej komnacie w sercu rozległego podziemnego labiryntu Ludivine siedziała w ulubionym fotelu z drewna wiśniowego, które lśniło czerwono w świetle, z miękkimi aksamitnymi poduszkami barwy lawendy. Na wypolerowanych kamiennych postumentach migotały trzy przysadziste świece – jedna po prawej stronie, druga po lewej, trzecia przed nią, na tle zakrzywionej kamiennej ściany.

Jedna za Rielle. Druga za Audrica.

Trzecia za Elianę.

Nigdy nie gasły w jej pokoju.

Na jej kolanach leżał i wibrował bogato zdobiony miecz. Złotą rękojeść ozdabiała mozaika rzeźbionych słońc. Na ozdobionej chwostami pochwie z ciemnej skóry widać było misterne tłoczenia w kształcie trójzębów

i sztyletów, włóczni i strzał, młotów i tarcz. Promieni słońca i boskich bestii w locie: były tutaj chavail, smok lodowy i feniks.

Ludivine poprawiała się, żeby usiąść wygodniej. W kamiennych ścianach panowała cisza, tak jak od dnia, gdy je zajęła, ale niedługo już tak będzie. Dawniej znajdowało się tu skrzydło Vaera Bashta, które zawaliło się i zostało porzucone. Teraz, po dekadach mrówczej pracy, odnowiono je i wyczyszczono ze wszystkiego. Była tu tylko siódemka jej akolitów, ich broń i jej księgi.

Korytarz przed jej komnatą szeleścił, jakby przemykał po nim wiatr – to akolici szykowali się na przybycie gości. Zawsze miała ich dokładnie siódemkę. Lubiła tę liczbę, a maskowanie większej liczby umysłów wymagałoby poświęcenia zbyt wielkiej uwagi potrzebnej do zarządzania działaniami na całym świecie.

Ich ekscytacja była powściągliwa, ale wyraźnie wyczuwalna. Bez końca przygotowywali się na ten dzień, a chociaż Ludivine pilnowała, aby ich umysły odznaczały się odpowiednią dyscypliną, pozostawiali ludźmi, kruchymi i wybuchowymi, przepełnionymi sprzecznościami. Ich ulotne lęki i nadzieje przemykały przez jej umysł jak drobne złote rybki w ciemnym morzu.

Widziała samą siebie ich oczami, gdy mijali drzwi jej komnaty. Błada i spokojna, wyprostowana w fotelu. Długie złote włosy miała splecione w warkocz upięty na karku, a wełniana suknia barwy liliowej i różowej została zapięta pod samą szyję. Ramiona sukni były poszerzone, gorset ukrywał sprytnie napierśnik. Nawet ona musiała uważać na swój tułów. Jego rany wymagały więcej czasu, żeby się zagoić.

Akolici spoglądali na nią i zastanawiali się, co widzi. Patrzyli w jej czarne oczy, półprzymknięte, gdy była zajęta pracą, i wzdrygali się lekko. Kochali ją, ale jej widok czasem ich niepokoił. Ostatecznie jej oczy były

czarne tak samo jak jego oczy. Jej umysł był nieśmiertelny i niepoznawalny jak jego umysł. Nawet gdyby im powiedziała, co takiego widzi, siedząc nieruchomo w fotelu, nie potrafiliby tego zrozumieć – jak może dostrzegać tak wiele rzeczy równocześnie, jak jej umysł może być tak ogromny i jednocześnie ukrywać się tuż pod jego nosem.

Co takiego widziała?

Miasto, niegdyś wspaniałe i białe, ohydne w swej oszałamiającej piękności, teraz pełne potworów.

Zasinione oko wiszące nad miastem. Pulsujące szkarłatem i fioletem jak świeża rana, obrzeżone błękitnymi wyładowaniami. Wylewała się z niego czarna rzeka skrzydeł i łusek, pazurów i futra. Przebiegłe żylaste łby zgrzytające zębami. Ostre dzioby kłapiące, by pochwycić zdobycz.

Dawniej Ludivine czułaby gniew na widok zniszczeń spowodowanych przez Coriena. Histerycznego przerażenia mieszkańców uwieczonych bez nadziei na przeżycie. Ludzie z Elysium sprzedali swoje rodziny i wolność, aby uciec przed okrucieństwem wojny.

A teraz spotkał ich taki los.

Jednak Ludivine od wielu stuleci nie doświadczała już gniewu. Nie czuła smutku ani samotności. Nie znała wstydu, żalu, tęsknoty za miłością. Wszystkie uczucia scaliły się w jej wnętrzu, zostały zamknięte w stalowej skorupie.

Pozostało tylko zakończenie. Płonęło w jej piersi od wieków jak niewzruszony błękitny płomień, który dorastał wraz z nią i stawał się coraz jaśniejszy, gdy kawałki jej planu układały się w miejscach, które dla nich stworzyła.

Sięgnęła umysłem odrobinę dalej.

Zobaczyła Navi i dowódczynię Czerwonej Korony, Ysabet. Hoba i Patrika. Brata Navi, Malika, i jeszcze dziewięćdziesiąt dwie osoby. Zahra

prowadziła ich do miasta przez skaliste równiny, osłaniając przed wzrokiem postronnych. Ludivine obserwowała ją uważnie. Upiorzyca zużyła większość swojej siły, aby zamaskować Światło Królowej podczas rejsu przez Morze Silarra i ominąć tuziny imperialnych okrętów wojennych.

Była bliska śmierci. Ludivine widziała to jasno. Tylko cienkie nitki siły trzymały umysł upiorzycy w całości.

Pospiesz się, Zahro, poleciła. Ich umysły były cały czas połączone, dzięki czemu prowadziła upiorzycę przez pandemonium panujące w mieście. Wieki temu nie byłaby zdolna do czegoś takiego – znalezienia Zahry, jednej upiorzycy w morzu umysłów, i prowadzenia jej przez pół świata.

To zdumiewające, czego może dokonać tysiąc lat złamanego serca. Całe stulecia samotnej pracy w ciemności uczyniły jej umysł tym, czym był obecnie.

Uśmiechnęła się lekko. Co takiego lubił powtarzać Corien? „Jestem nieskończony”.

Teraz nie był już jedynym aniołem mogącym wygłaszać tak górnolotne twierdzenia. Teraz była dość silna, żeby mu sprostać.

Może dość silna, aby go pokonać, ponieważ była od niego sprytniejsza. Bardziej ostrożna, bardziej wybiórcza w tym, kogo i co postanawiała kontrolować.

Sięgnęła umysłem jeszcze dalej.

Zobaczyła Remy’ego, silnego i milczącego, który kierował się wyznaczoną przez nią drogą przez miasto. Miał otwarty umysł, inteligentny i elastyczny, więc przyjmował jej wskazówki jako własną instynktowną wiedzę. Widziała blizny pozostawione w jego myślach przez Elysium – koszmar Vaera Bashta, tortury z rąk Coriena, śmierć rodziców, brutalną

naukę pod okiem Jessamyn – i była z tego zadowolona. Dzięki temu będzie bardziej przydatny dla Eliany.

Ostatecznie jeśli im się uda, jego blizny nie będą miały znaczenia.

Remy wspiał się po rynnie i wślizgnął przez rozbite okno do pałacu. Ktoś rzucił w szybę odciętą głową. Więźniowie z Vaera Bashta zgromadzili się pod drzwiami. Ryczeli, żeby ich wysłuchać, tłukli w ściany, błagając o wpuszczenie. Żołnierze Coriena rozproszyli się po mieście, walcząc z krucjuszami i rozpaczliwie starając się unikać obryzganiami intensywnie niebieską krwią. Regiment aniołów obsługiwał waekordie, takie same potężne zmechanizowane działa jak te, które Corien wysłał pod Bramę. Strzelali w Ostię i w wynurzające się z niej krucjusze.

Ludivine ulokowana dyskretnie na najdalszych obrzeżach umysłu Remy'ego poprowadziła go do niewielkiej komnaty na drugim piętrze pałacu. Mieścił się tam oddział szpitalny, w którym lekarze Coriena ratowali okaleczone ludzkie ciała, żeby zaczęły się nadawać do użytku dla aniołów. Remy zabrał z Lyceum broń, zanim wtargnęli tam więźniowie – miał dwa małe sztylety i miecz przypięty na plecach. Jessamyn przez ten krótki czas dobrze go wyszkoliła, a czwórka stojących pod drzwiami adatroksów nie radziła sobie w walce, gdy aniołowie nie kierowali już ich ruchami. Jęczeli bez słów, wymachiwali pięściami, próbowali docisnąć Remy'ego do ściany.

Przemknął pomiędzy nimi, poderżnął im gardła i wbiegł do środka.

Jessamyn zaciskała zęby i naciągała na bandażę buty oraz kurtkę. Ludivine poczuła moment, gdy na siebie spojrzeli. Jessamyn z pełną zaskoczenia ulgą, Remy ze znużonym zadowoleniem. Nie spodziewał się, że będzie mieć dość szczęścia, by ją znaleźć.

– Krucjusze zaatakowały miasto – powiedział do Jessamyn.

– Zauważyłam – odpowiedziała cierpko.

Zbliżył się do niej ostrożnie. Ludivine wyczuwała, że był całkowicie przygotowany do zabicia Jessamyn, gdyby próbowała go powstrzymać. Była ranna; mogłoby mu się udać.

– Potrzebuję twojej pomocy – oznajmił. – Nie znam pałacu. Ty tak. Umiesz też walczyć lepiej ode mnie. Musimy wydostać stąd Elianę.

Jessamyn skinęła głową.

– Myślałam o tym. Kto inny może powstrzymać te bestie? Na pewno nie imperator. – Przyjrzała się jego paskowi. – Potrzebny mi nóż.

Rzucił jej jeden, a potem pobiegli dalej. Ludivine patrzyła, jak przemierzali pałac, kierując się do ulubionej sali teatralnej Coriena. Zaczęła grać muzyka, jak akompaniament dla ich zwinnych, lekkich kroków. Lśniące rogi z brązu zawieszone wysoko pod sklepieniem trzeszczały od dźwięku. Światła błyskały na każdym złączeniu kabli – energia galwaniczna iskrzyła podczas działania. Lampy migotały w oprawach.

Muzyka była podniosła, pełna rozmachu, triumfalna. Ludivine rozpoznawała w niej symfonię zamówioną przez Coriena u nowo przybyłej z Mazabatu młodej i genialnej kompozytorki, która zgodziła się pracować w pałacu, aby ocalić swoją żonę.

Ludivine odważyła się ledwie wyczuwalnym dotknięciem musnąć wnętrze teatru. Zobaczyła Coriena rozpartego w ulubionej łoży i zaczerwienionego od alkoholu. Zamknął drzwi i zatopił się w ponurych rozmyślaniach. Miasto waliło się wokół niego, a on to ignorował. Omal nie zabił Eliany i przeraził się, gdy to sobie uświadomił. Dlatego siedział, pełen furii i lęku, niezdolny przyznać się do poniesionej porażki.

Przynajmniej tak podejrzewała Ludivine; nie odważyła się dotknąć jego umysłu. Jednak po tysiącach lat znała go dostatecznie dobrze, żeby się domyślić.

W dole widowia – zakrwawiona i z oszalałym wzrokiem, porwana z miasta przez generałów Coriena, aby ożywić dzisiejszy koncert – biła obłąkańczo brawa. Ludivine czuła gorączkową gonitwę myśli tych ludzi. Może jeśli będą wiwatować dostatecznie głośno, imperator pozwoli im tu zostać w bezpiecznym zamknięciu.

Na fotelu obok Coriena siedziała Eliana, nieprzytomna i okropnie blada, mokra od potu wywołanego koszmarami, które Corien zaszczerpił w potrzaskanym szkłe jej umysłu.

Dopiero na jej widok Ludivine poczuła ból. Twarz Eliany była idealnym połączeniem rysów Rielle i Audrica. Jego pełne wargi, jej łukowate brwi. Jej szpiczasty podbródek, jego prześliczne brązowe oczy.

Gdyby Ludivine pozwoliła sobie na to, mogłaby sobie przypomnieć ich ciepło, ich ramiona, które ją obejmowały, delikatną miękkość ich skóry. Jej furie, jego rozpacz. Jej pasję, jego siłę. Uspokajanie Rielle, żeby zasnęła po kolejnej nocy sennych koszmarów. Audrica zawodzącego w ramionach Ludivine na podłodze komnaty w Mazabacie.

To, jak rozpaczliwie i nieodwołalnie ich kochała.

Ludivine nie pozwalała sobie na nic takiego. Jej umysł był srebrny i czysty, ostry jak śmierć.

Zostań z nami, malutka. Nie odważyła się dotknąć Eliany. Corien by to wyczuł. Mówiła to do siebie. *Jeszcze trochę.*

Zaczęła się powoli wycofywać z pałacu. Żaden jej ruch nie był zbyt pospieszny, niezaplanowany. Wszyscy biegli tam, gdzie powinni się znaleźć. Remy i Jessamyn skradali się przez pałac do sali teatralnej. Navi, Ysabet, Zahra, Patrik, Hob i ich żołnierze walczyli, żeby przedrzeć się przez miasto.

Była jeszcze jedna osoba, którą Ludivine musiała znaleźć, być może najważniejszy element tej układanki. Jak zawsze, gdy do niego sięgała,

wysłała instrukcje wraz z milczącymi przeprosinami – za wszystko, co mu zrobiła, i wszystko, co stracił.

Ale zrobiłaby to jeszcze raz, gdyby musiała, a on o tym wiedział. Gdyby to było konieczne, jeszcze tysiąc razy zniszczyłaby i odtworzyła na nowo jego umysł.

Już czas, powiedziała do niego.

Rozumiem, odparł z ledwie wyczuwalnym drgnięciem radości, ponieważ nawet wszystko to, co musiał znosić za jej sprawą, nie zniszczyło jego miłości do tego, co potrafi jego krew, i do wszystkich straszliwych sekretów, które się w niej kryły.

Ludivine poczuła, że wyciągnął rewolwer, i słyszała, jak ruszył przed siebie korytarzami pałacu. Zawodzący adatroksi zastępowali mu drogę, ogłupieni i przerażeni. Mężczyzna w zniszczonym niebieskim ubraniu, ośmielony i pijany traumą, wgramolił się przez rozbite okno i skoczył mu na plecy. Jednakże jego strzały były celne, ostrza precyzyjne i śmiertelne. Wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. To ona sprawiła, że stał się bardziej bronią niż człowiekiem, na długo zanim Corien miał szansę, żeby zrobić z nim to samo.

To jedyny sposób, powiedziała mu Ludivine, tak jak wiele razy wcześniej. Nie odpowiedział jej; nie oczekiwała tego. Zostawiła go z jego zadaniem.

Siedziała w swoim fotelu i patrzyła na trzy płonące świece, ale jej umysł był wszędzie. Trzymała miecz i czekała.

Audric

Najdroższa Siostrze, nie uwierzysz w to, co mam Ci do opowiedzenia, więc zaczekam, aż będziemy mogli się spotkać osobiście, a Ty na własne oczy zobaczysz, jak niezwykle stało się moje nowe życie. Powiem tylko, że są w nim smoki oraz pewien chłopak, a ja kocham ich wszystkich. Zmierzamy do Ciebie – chociaż nie najkrótszą drogą – wraz z Naznaczoną i jej strażnikiem, a także innymi osobami, które uwolniliśmy z tajnego anielskiego więzienia na dalekiej północy. Na pewno myślisz, że oszalałem, ale ja po raz pierwszy w życiu czuję się sobą. Niebawem się zobaczymy, a ja wiem, że wiele będę musiał zrobić, aby odzyskać Twoje zaufanie. Chcę jednak, byś wiedziała, że jestem już gotów na tę wojnę. Jestem gotów walczyć za naszą ojczyznę. Nigdy więcej cię nie zostawię.

– z zaszyfrowanego listu Ilmaire’a Lyslevy do jego siostry Ingrid,
30 marca 1000 roku Drugiej Ery

Audric siedział w ogrodach na tyłach Baingarde, gdzie znalazła go matka.

– Pomyślałam, że możesz być pod tym drzewem – powiedziała bez żadnych aluzji czy potępienia. Usiadła obok niego na miękkiej wiosennej trawie. Ziemia była czarna i wilgotna, drzewa ciężkie po porannym deszczu. Zmierzch malował wszystko odcieniami miękkiego fioletu, a różowe kwiaty żałobników wreszcie zaczęły się otwierać w górze.

Audric zmusił się do lekkiego uśmiechu.

– Gdyby ktoś inny przyłapał mnie na siedzeniu z ponurą miną pod drzewem, pod którym po raz pierwszy pocałowałem Królobójczynię, mógłby spróbować znowu odebrać mi koronę.

Ludivine, pomyślał raz jeszcze. *Jesteś tam?*

Próbował całe popołudnie, zmarnował pod tym drzewem cztery godziny, podczas gdy światło z miodowego stało się lawendowe.

Gdziekolwiek była, odmawiała odpowiedzi.

– Wszyscy żołnierze z Mazabatu zostali już zakwaterowani – zaczęła Genoveve. Szare fałdy jej lnianej sukni układały się na mokrej trawie jak opadłe płatki.

– Zniszczysz sobie ubranie – zauważył Audric.

– Mam wiele sukien – odparła spokojnie Genoveve. – Dowódcy i tylu żołnierzy piechoty, ilu się zmieściło, zostali ulokowani w barakach. Pozostałym znaleźliśmy nocleg w mieście. Wielu ludzi zaprosiło ich do domów. Odo przygotował naprawdę luksusowe prowizoryczne baraki w swoich ogrodach na dachu.

– Przypuszczam, że dowódcy w naszych barakach zazdroszczą szczęściarzom, którym przypadły takie łóżka.

– Bez wątpienia.

Audric prychnął cicho z rozbawieniem. Rozmowa o procedurach powinna pomóc mu uspokoić umysł, ale jego myśli nadal wydawały się poplątane. Przesunął je jak równe stopy notatek na swoim biurku.

– Wysłałem listy do Ingrid Lyslevy i kirvajskiego regenta – rzekł. – Królowa Fozeyah przybędzie tu z kolejnymi oddziałami, gdy tylko zostaną sformowane. Do pierwszego maja będziemy mieć tu dziesięć tysięcy żołnierzy.

Genoveve skinęła głową. Jej białe dłonie pozostawały splecione na kolanach. Miała zapadnięte policzki i nadmiernie wystające kości, ale

zaplecione w warkocz włosy były nienagannie upięte, a w szarych oczach lśnił stalowy blask.

– Do czasu wyboru nowego Archona na czele Kościoła będzie stać Wielka Mistrzyni Guillory – oznajmiła. – Pozostali mistrzowie wyrazili zgodę. Byli jednogłośni.

Audric pomyślał o pustym fotelu Tala w komnacie Rady Mistrzów, na który Miren – wyprostowana, ze ściągniętymi łopatkami – starała się nie patrzeć.

– Prządka słońca na czele Kościoła – stwierdził z bladym uśmiechem.

– Oraz przedzarz słońca na tronie Katell.

Genoveve patrzyła teraz na niego. Audric nie odrywał wzroku od wieszczych sadzawek migoczących w morzu traw niecałe dziesięć metrów dalej.

– Co ze strażnikami? – zapytał.

– Zaczęła się budowa ośmiu wokół miasta.

– A budowniczym, których przydzieliłem do pozostałych szesnastu?

– Wraz z materiałami budowlanymi są już w drodze na północ. Do końca miesiąca będziemy mieć szereg strażnic stąd do północnowschodniej granicy, zabezpieczonych magią rzeźbiarzy ziemi i mistrzów metalu.

Audric skinął głową.

– Rano wyślę gońców do głów wszystkich największych rodów. Do Gourmenych i Montcastelów, a także do siedziby Valdoraistów na Dalekich Polach.

Po chwili Genoveve odchrząknęła.

– Co zrobisz z żołnierzami rodu Sauvillierów? Nasze więzienia są przepełnione.

– Porozmawiam z nimi osobiście i w miarę możliwości przywrócę ich do służby. Przyda nam się każdy miecz.

– A jeśli niektórzy z nich nie będą chcieli walczyć za ciebie?

– Ja sam nie chcę walczyć za siebie.

Genoveve dotknęła jego dłoni.

– Audricu...

– Mogą odejść, jeśli zechcą. Nie potrzebuję zbuntowanej armii walczącej za moimi plecami. Ale będą bezpieczniejsi tutaj niż gdziekolwiek indziej, a ja im o tym przypomnę. Wszyscy magowie żywiołów stąd do Borsvallu zgromadzą się w Âme de la Terre. Jeśli stąd odejdą, będą musieli sami stawić czoło aniołom. Myślę, że większość z nich zostanie, będzie walczyć i zachowa swoją niechęć dla siebie.

– Oni nie czują niechęci do ciebie, Audricu – powiedziała ostrożnie Genoveve. – Tylko do niej.

– Owszem, czują do mnie niechęć, a niektórzy mnie nawet nienawidzą i być może woleliby, żeby to Merovec rozplątał mnie na dwie części, ponieważ byłem na tyle głupi, by ją pokochać. Wolałbym też nie rozmawiać o Rielle, matko.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

– Sloane powiedziała mi, co się z tobą działo po przybyciu do Mazabatu. O ciężarze, który niesiesz, i zmianie, jaka w tobie zaszła.

W piersi Audrica rozpałała się gorąca iskra gniewu. Był za nią wdzięczny – kiedy czuł gniew, nie musiał myśleć o całej reszcie.

– Jestem tą samą osobą co dawniej – odparł sztywno. – Nadal mogę dowodzić armią. Nadal mogę ukarać zdrazieckich żołnierzy. – Wspomnienie Illumenora przesuwającego się szybko przez ciało Meroveca uczepiło się Audrica i powracało tuziny razy dziennie. – Nadal mogę zabijać.

– Widzę w twoich oczach smutek, Audricu.

W końcu spojrzał na nią gniewnie.

– A ja widzę smutek w twoich. Co nam przyjdzie z tej rozmowy?

Genoveve patrzyła na niego spokojnie.

– Przez całe lata namawiałeś ojca, żeby studiował prorocstwo. Błagałeś go, by przeczytał książki, które mu przynosiłeś, zapoznał się z zapiskami najwybitniejszych badaczy magii żywiołów. On nigdy tego nie zrobił. Czy wiesz dlaczego?

Takiego obrotu rozmowy Audric się nie spodziewał. Zamrugął.

– Nie wiem.

– Ponieważ się bał. – Genoveve patrzyła na wieszczce sadzawki i katakumby majaczące za nimi jak odległe szare duchy. – W rodzie Katell od wielu pokoleń nie rodzili się przedzarze słońca. Później ty przyszedłeś na świat i już w kołysce zacząłeś się bawić blaskiem słońca, na długo zanim wykułeś formy. Twój ojciec wiedział, co to oznacza, podobnie jak ja. Ilekroć spojrzał na ciebie, widział omen wojny, której nadejścia za swojego życia się nie spodziewał. Na świecie panował pokój. Brama była niewzruszona. Potem zaś urodziłeś się ty, Świetlisty. Potężniejszy, niż on był kiedykolwiek, a także odważniejszy. Twoje własne moce, koncepcja wojny, to wszystko nigdy cię nie przerażało, podobnie jak słowa Aryavy wieszczące katastrofę.

Audric potrząsnął głową. Nie miała racji pod tym względem.

– Ja się stale boję.

– A jednak ludzie, którzy walczą za ciebie, nie wiedzą o tym. W ich oczach jesteś nowym wcieleniem Katell. Teraz zaś przeciągnąłeś na swoją stronę władców Mazabatu i Borsvallu. Naszych sprzymierzeńców będących tak samo jak ty potomkami świętych. Borsvallomal nie stał się naszym wrogiem, ale ty zawarłeś z nimi na nowo przyjaźń. – Umilkła na chwilę. – Czy to anioł dwa lata temu zamordował nieszczęsną księżniczkę Rune?

– Tak podejrzewam – odrzekł ponuro Audric. – Miał nadzieję, że wywoła w ten sposób wojnę między Celdarią a Borsvallem.

– Ty jednak do tego nie dopuściłeś. Odważyłeś się wyciągnąć przyjazną dłoń, a teraz Borsvall może przybyć, aby walczyć u naszego boku. Budujesz strażnice i poleciłeś mistrzom metalu wykuć tysiące nowych mieczy. Chodzisz po mieście w otoczeniu Słonecznej Gwardii i rozmawiasz z ludźmi nie jak król z poddanymi, ale jak jeden Celdaryjczyk z drugim. Oni się boją, ale ty nie. Tak cię postrzegają. Poza tym, Audricu – dodała cicho Genoveve, przyciskając palce do jego dłoni – obawiam się, że jeśli nie będziesz o niej rozmawiać, przynajmniej ze mną, Sloane, Miren lub twoją przyjaciółką Kamayin, twoje uczucia będą się kumulować, aż się rozpadniesz. Nasi poddani nie mogą tego zobaczyć. Jeśli mają stanąć oko w oko ze śmiercią z rąk aniołów, nie mogą patrzeć na ciebie i widzieć, jak głęboko zostałeś zraniony. Muszą spoglądać na ciebie i widzieć ikonę. Nie człowieka, lecz symbol. Nie Audrica, lecz Świetlistego. To nie jest sprawiedliwe, ale korona także nie jest sprawiedliwa, a ty musisz ją włożyć, jeśli mamy mieć jakąkolwiek nadzieję na przetrwanie tego, co nas czeka. Jestem o tym przekonana.

Genoveve westchnęła, a potem zapadła cisza. Patrzyli, jak Atheria bawi się wśród sosen w oddali i poskrzekuje radośnie, przepędzając z gniazd barwne sójki.

– Może gdybym była dla niej jak matka – odezwała się znowu Genoveve – gdybym powitała ją w naszej rodzinie ciepło i z otwartymi ramionami, to wszystko by się nie wydarzyło.

Audric potrzebował chwili, żeby zaczerpnąć powietrza. Nie kłamał – nie chciał rozmawiać o Rielle. Ale matka siedziała teraz koło niego, a nie zawsze tak będzie.

– To nie takie proste – stwierdził głucho. – Może gdyby Archon nie zmusił jej, żeby znosiła te próby. Może gdyby lord Dervin nie przyłapał nas całujących się w ogrodach. Może gdybym nie odtrącił jej w noc naszego ślubu. – Zamrugał, by powstrzymać łzy. – A może nic z tego nie ma znaczenia i niezależnie, co byśmy zrobili, znaleźlibyśmy się w obecnej sytuacji. Może proroctwo Aryavy należy rozumieć wprost: istnieją królowa światła i królowa ciemności. Może Rielle zawsze była tą drugą i nic, co mogliśmy jej powiedzieć, nie miało szans tego zmienić.

Genoveve mruknęła z namysłem i rozważała jego słowa.

– Czy zastanawiałeś się, gdzie jest druga królowa? Skoro Rielle to Krwawa Królowa...

– Ona spodziewa się dziecka. – Audric po raz pierwszy wymówił to na głos. Słowa wyrwały coś z niego, pozostawiając puste miejsce. – Mojego dziecka – dodał cicho. – Naszego dziecka. Ludivine powiedziała mi o tym, zanim zniknęła.

Genoveve dotknęła palcami ust. Zdławiony, cichy dźwięk wstrząsnął jej ramionami. Synogarlica wydała pełen smutku okrzyk wysoko w gałęziach żałobnika.

– Ludivine powiedziała mi, że to dziewczynka – ciągnął Audric. – Może ona jest naszą Słoneczną Królową, nienarodzoną wybawicielką.

Genoveve przycisnęła jego knykcie do swoich warg i zamknęła oczy. Minęła dłuższa chwila, zanim wypuściła rękę Audrica i otarła twarz.

– Chciałabym, żeby Ludivine była tutaj i mogła ci pomagać.

– Przepraszam, że nie powiedziałem ci prawdy o niej – odparł Audric, chociaż nie było mu z tego powodu przykro. Czuł się tylko zmęczony. Wyobraził sobie swoje łóżko, ogromne i puste, w którym czuł się tak bardzo mały.

– Rozumiem, dlaczego tego nie zrobiłeś. Potrzebowałeś jej, oboje jej potrzebowaliście, a gdybym poznała prawdę, wygnałabym ją albo przynajmniej próbowałabym to zrobić. Starałabym się jej pozbyć na wiele sposobów i poniosłabym porażkę, a wtedy spoglądano by na mnie z jeszcze większym politowaniem i odrazą niż obecnie.

Matka Audrica mówiła to wszystko bez cienia goryczy, nienawiści do samej siebie. Teraz to on przyglądał się jej uważnie – cienkiej i prostej linii nosa, boleśnie kanciastej szczęce, nieruchomości, z jaką siedziała wyprostowana. Czy to dlatego, że obawiała się rozsypać? Czy może rozsypywała się tyle razy, że taka wizja już jej nie przerażała?

– Matko – zaczął. – To nie tak.

Genoveve uśmiechnęła się do niego.

– Nie musisz mnie pocieszać. Chcę tylko, żebyś ze mną posiedział. Chcę, żebyś przychodził do mnie, gdy ciężar, który niesiesz na barkach, staje się nie do zniesienia. Nie mogę ci w tym ulżyć, ale Bóg mi świadkiem, że chciałabym to zrobić.

Ujęła jego twarz w dłonie, dotknęła jego policzków, odgarnęła mu kędziory z oczu.

– Mój dzielny chłopiec – szepnęła i przyciągnęła go bliżej, aby pocałować go w czoło.

Siedzieli w milczeniu, ramię w ramię, i czekali na zapadnięcie nocy. Audric patrzył, jak Atheria wiruje powoli w cieniach pośród drzew.

Nie lękam się ciemności, modlił się. Nie lękam się nocy.

Zwracam się do cieni, by udzieliły mi pomocy.

Eliana

Czasem dziwnie jest mi myśleć o tym, że byli razem, zakochani w sobie, chociaż czytałem tyle historii o Świetlistym i Krwawej Królowej. Jedno z nich było miłosierne, drugie okrutne. Jedno dobre, drugie złe. Zastanawiam się, jaka byłaby ich córka, gdyby przyszła na świat. Zastanawiam się, w które z rodziców by się wrodziła.

– z dziennika Remy’ego Ferracory, 24 maja 1014 roku Trzeciej

Ery

Koszmary były bezkształtne i przepastne, ale Eliana pozwalała, by porwały ją swoim niebezpiecznym nurtem. Utrzymywała się ostrożnie w coraz słabszej sieci. Jeśli będzie zbyt mocno napierać na to, co ją krępowało, jeśli spróbuje walczyć z koszmarami i popłynąć przez nie do brzegu, sieć pęknie, a ona spadnie.

Eliano.

Odwróciła się od tego głosu. To znowu był on. Powrócił, aby rozbić jej głowę, a tym razem ona mu na to pozwoli.

Eliano, obudź się, proszę!

Wzywający ją głos nie należał do Coriena. Był znajomy, cichy, nalegający. W tle rozbrzmiewała muzyka grana na instrumentach smyczkowych z towarzyszeniem metalicznych dźwięków trąbek.

Eliana powoli otworzyła oczy – i zobaczyła kucającego za jej fotelem w prywatnej łoży teatralnej Coriena smukłego chłopaka z ciemnymi,

potarganymi włosami i twarzą lśniąca od potu. Jedno oko miał podbite, drugie intensywnie błękitne.

Remy.

Patrzyła na niego i oddychała powoli. To była iluzja. To było kłamstwo. Zamarła w bezruchu i czekała, aż się obudzi.

Ale orkiestra grała dalej, Remy dawał jej znaki, a jej umysł był czysty. Corien się nie odzywał – żadnych drwin, okrutnego śmiechu. Eliana patrzyła na Remy'ego, a jej krew się gotowała. Przypomniała sobie głos, który wołał ją zaledwie chwilę temu, i rozpoznała go.

To Prorok starał się ją obudzić.

Tylko długie tygodnie pracy z Prorokiem mogły przygotować Elianę na ten moment. Chociaż jej umysł był osłabiony, a wszystkie mięśnie pulsowały bólem, poszukała spokoju i znalazła go. Pomyślała o swojej chłodnej rzece i weszła do niej bezgłośnie.

Potem spojrzała szybko w oczy Remy'ego, dając mu znak, że ma się nie ruszać, ma znieruchomieć całkowicie, i odwróciła się ostrożnie, żeby spojrzeć na Coriena. Nadal póлеżała w fotelu z przymkniętymi oczami. Świat postrzegany przez nią przechylił się nawet z powodu tak niewielkiego poruszenia. Ból zacisnął się na jej skroniach.

Corien stał przy lśniącej, wypolerowanej balustradzie z kieliszkiem w dłoni. Muzyka w dole była ogłuszająca, a on mimo wszystko żądał jeszcze więcej.

– Nie słyszę was! – krzyknął, a potem dopił resztę wina i cisnął pusty kieliszek na scenę.

Usadzeni w rzędach foteli w dole mieszkańcy Elysium wtórowali jego oburzeniu, drwili z pocących się na scenie muzyków i rzucali w nich butami oraz wszelkimi śmieciami, jakie zdołali znaleźć.

Muzycy nie odważali się przerwać gry, dyrygent niezmordowanie wymachiwał ramionami, a słodka melodia brzmiała dalej – triumfalna i radosna, perwersyjnie kontrastująca z nastrojem widowni.

Eliana patrzyła, jak Corien zgarbiony przechyla się przez balustradę i zaciska na niej dłonie, aż jego knykcie zbieleły. Potrzasał głową z wściekłością, był o włos od wybuchu. Lada moment sięgnie po nowy kieliszek, którym mógłby rzucić.

Sięgnie po nią.

Eliana nie mogła się poruszyć, zamarła niezdecydowana. Co powinna zrobić? Udać, że śpi? Raz jeszcze sprowokować Coriena, żeby Remy mógł uciec?

W tej chwili chór na wielkiej, półkolistej galerii nad sceną wstał jednocześnie. Czwórka solistów ubranych w długie błyszczące płaszcze zaczęła śpiewać w anielskim języku, którego nauczyła się z pewnością pod groźbą śmierci.

Po lewej stronie Eliany, za plecami Coriena, dwaj adatroksi przywlekli po schodach mężczyznę, którego nie rozpoznawała. Jego głowa opadała bezwładnie, czarne oczy były apatyczne i zamglone. To był anioł, ale kto taki?

Corien uniósł radośnie ręce.

– Ravikant! Jakże się cieszę, że mogłeś dzisiaj do nas dołączyć. W samą porę na wielki finał. Cóż za szczęście!

Ravikant. Eliana przyglądała się uważnie admirałowi. Nie widziała go od czasu, gdy zajmował ciało Iosepha Ferracory. Znalazł najwyraźniej nowe – niskiego, szczupłego mężczyzny o gładkiej, brązowej skórze, z ogoloną głową. Adatroksi wypuścili Ravikanta, który upadł na kolana. Był ubrany stosownie do okazji w nieskazitelnie elegancki, jasnokremowy garnitur.

Corien przykląkł koło niego i położył dłoń na jego spoconym policzku. Admirał zaczął szlochać.

Orkiestra przycichła. Melodia stała się radosnym marszem, energicznym i żartobliwym, któremu towarzyszyły rytmiczne dźwięki dzwonków.

– Myślałeś, że ujdzie ci to płazem? – zapytał cicho Corien, przechylając głowę. – Myślałeś, że się nie dowiem, iż zamierzasz mnie zniszczyć? A ja mógłbym przysiąc, że jesteśmy przyjaciółmi.

Ravikant dusił się i skręcał na podłodze, a ciało Eliany drgnęło, przypominając sobie ból. Oddychała przez nos i pilnowała, żeby nie zacisnąć dłoni na poręczach fotela.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na podłogę pełnej przepychu łoży.

Była zasłana trupami.

Corien wstał, a ciało Ravikanta znieruchomiało. Zamiast tego inne, w pobliżu drzwi, poruszyło się konwulsyjnie. Młoda dziewczyna o jasnej skórze, w jedwabnej sukni, być może wybrana z widowni na dole.

Eliana patrzyła, jak jej ciało drży, a z gardła wyrrywają się wrzaski Ravikanta i błagania w języku lissar.

– Z taką łatwością mogę cię przerzucać od ciała do ciała – oznajmił z namysłem Corien, stając nad dziewczyną. – Czy ty byś to potrafił? Nie wydaje mi się. Myślę, że w porównaniu ze mną wszyscy jesteście szczurami. Myślę, że powinieneś czuć się zawstydzony własną głupotą.

– Miasto... panie... – Ravikant spróbował odezwać się w języku wspólnym – jest pełne...

Corien warknął z wściekłością. Dziewczyna znieruchomiała, a siedzące w fotelu ciało ciemnoskórego mężczyzny o białych włosach zaczęło się skręcać agonalnie. Miał głęboki głos, ale przemawiał przez niego Ravikant.

Orkiestra w dole grała, rozgorączkowane smyczki ciągnęły melodię coraz wyżej i wyżej.

Eliana stężała w fotelu, walcząc o zachowanie spokoju. Corien nie patrzył na nią. Był jak pijany, jego uwagę odwracały wino i przemoc. Mogła uciec. Remy nadal czekał za nią; wyczuwała jego napięcie i pragnienie, by do niej sięgnąć. Jeśli udało mu się tutaj dostać, musiała istnieć droga ucieczki. O ile oczywiście był prawdziwy – o ile mogła wierzyć w to, co widziała.

Corien był do niej odwrócony plecami tylko częściowo. Jego umysł koncentrował się na czym innym, ale przywłaszczony oczy dostrzegłyby jej poruszenie.

Orkiestra znowu przycichła – przebijały się tylko nieśmiałe dźwięki rogów, punktowane wysokimi piszczałkami.

Eliana wstrzymała oddech.

Powróciła cała orkiestra, do której dołączył chór w triumfalnym, donośnym pasażu, wstrząsającym teatrem od podłogi po sufit.

Uciekaj, Eliano. Głos Proroka był słaby jak odległy sen.

Corien pochylił się nad Ravikantem i przechylił głowę, żeby przysunąć ucho do ust szlochającego anioła – a w ten sposób odwrócił się całkowicie. Zawodził tak samo jak Ravikant, przedrzeźniając go. Jego głos był nabrzmiął od śmiechu.

Eliana nie traciła ani chwili. Wysunęła się z fotela i przeszła za Remym w cień w głębi łoży. Muzyka pulsowała w jej piersi; w uszach dźwięczały jej pełne furii wyzwiska, jakie Corien rzucał do admirała w językach, których Eliana nie znała.

Remy chwycił ją za rękę, pomógł zejść po niskich schodach w ciemności i wydostać się przez niezamknięte drzwi. Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, ruszyli biegiem. Wąski korytarz foyer otaczający salę

teatralną był upiornie pusty. Niepokój skręcał się w piersi Eliany. Cokolwiek zrobił Remy, nie dokonał tego sam.

– Jak się dostałeś do teatru? – zapytała cicho, kiedy przemykali się w cieniu. – On zamknął wszystkie drzwi.

Remy rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Nie wszystkie. Jedne były otwarte.

Zimny dreszcz przebiegł po jej szyi.

– A ty im zaufałeś?

– Nie miałem czasu się nad tym zastanawiać. Wiedziałem tylko, że ty jesteś w środku.

Jego głos był taki dziwny – znajomy, a jednocześnie obcy. Brzmiała w nim nowa stanowczość. Jego twarz niczego nie zdradzała. Był jej bratem, a jednocześnie nieznanym. Eliana żałowała, że nie ma czasu, by chwycić go za ramiona i zmusić, aby patrzył jej w oczy, aż znowu zacznie go rozpoznawać.

Zbiegli po schodach. Na dole, ukryta pod przeciwległą ścianą, czekała Jessamyn. Miała obandażowaną nogę i była blada, ale jej poplamiona krwią twarz pozostawała ściągnięta i pełna woli walki. U jej stóp leżało trzech martwych adatroksów.

– To trwało o wiele za długo – syknęła, a potem posłała Elianie jedno taksujące spojrzenie. Jeśli czuła wstyd z powodu tego, czego była świadkiem w białym pokoju tortur, niczego nie okazywała. – Nikt nie widział, jak wyszliście?

– Gdyby nas zauważono, nie byłoby nas tutaj – odparł złowieszczo Remy i podszedł do najbliższego okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

Eliana przenosiła wzrok z Jessamyn na Remy'ego i z powrotem. Przycięte włosy jej brata, jego tunika i spodnie z pewnością nie były uniformem więziennym.

– Wy się znacie?

– Jestem jej virashtą – powiedział Remy, jakby to wszystko tłumaczyło.

Za szybą karmazynowy blask Ostii zalewał świat, ale Eliana nie potrafiła oderwać oczu od Remy’ego. Całkowicie swobodnie trzymał w ręce sztylet. Jego twarz była ponura, na knykciach miał blizny.

– Czy możesz zamknąć to coś na niebie? – zapytała Jessamyn, wskazując okno.

– Tak – odrzekła Eliana, nie dopowiadając reszty. Zrobi to dopiero wtedy, gdy wygra, a Corien zostanie zniszczony.

– Musimy cię jakoś bezpiecznie tam doprowadzić – mruknęła Jessamyn, spoglądając na zewnątrz. – Całe miasto oszalało.

Remy rzucił Elianie spojrzenie. Widziała na jego twarzy, że wie, czego nie wyraziła na głos, a na jego wargach pojawił się leciutki uśmiech.

Poprowadzę cię do mnie, rozległ się cichy głos Proroka. Powiedz im, że wiesz, dokąd się udać. Oni pójdą za tobą.

– Wiem, jak tam się dostać – oznajmiła stanowczo Eliana. – Znam najbezpieczniejszą drogę.

Jessamyn zmrużyła oczy.

– Skąd?

Eliana zmusiła się do kwaśnego uśmiechu.

– Jestem Słoneczną Królową. Wiem wszystko.

Jego uwaga jest odwrócona, ale nie na długo, ostrzegł Prorok. Opuśćcie pałac południowym wyjściem. Po drodze napotkacie kilku adatroksów, a także więźniów. Bestie zbliżają się do pałacu. Niektóre wspinają się już na mury i próbują dostać do środka. Idź na plac, na który zaprowadził cię Corien, zanim otworzył Vaera Bashta.

Eliana odetchnęła głęboko i poruszyła dłońmi, żeby poczuć przesuwające się po nich łańcuszki form.

Czy mogę używać mocy?

Staraj się tego nie robić. On tylko do pewnego momentu nie będzie zauważał twojej nieobecności. Im dalej od niego się znajdziesz, tym łatwiej będzie mi cię ukryć.

Eliana przełknęła zimny supeł strachu. Czowała obecność Proroka, kojącą warstwę wody otulającą jej umysł, ale zbyt cienką, aby dawała bezpieczeństwo.

– Potrzebuję noża – powiedziała, a Jessamyn wyciągnęła z buta długi sztylet, w którym Eliana rozpoznała standardową broń adatroksów. Sprawdziła jego wyważenie i rękojeść. Krótco skinęła głową w geście podziękowania. – Za mną – rzuciła i pobiegła, a Remy i Jessamyn deptali jej po piętach.

Pałac przypominał przepastny grobowiec, którego kamienne ściany tłumiły odgłosy chaosu na zewnątrz. Niskie grzmoty wystrzałów z waekordii, skrzeczenie rojących się krucjuszy. Eliana przemknęła szerokim korytarzem wzdłuż rzędu okien. Cienie na posadzce były poprzecinane strumieniami czerwonego światła. Na drugim końcu tłoczyli się adatroksi jak zwierzęta zbite w stado dla ochrony przed chłodem. Odwrócili się na dźwięk kroków Eliany, zawodząc bez słów. Podbiegła do nich, rozplatała jednego, a zanim dopadła pozostałych, oni już nie żyli. Jessamyn otarła sztylet rękawem, Remy wyciągnął nóż z brzucha ofiary.

Eliana odwróciła głowę z twardą gulą poczucia winy w gardle. Miał istnieć tylko jeden Postrach Online, a tymczasem teraz, w Elysium, narodził się drugi.

Zbiegli dwie kondygnacje po schodach i znaleźli się w wielkim holu w południowym skrzydle pałacu. Ciemne kształty uderzały w okna i prześlizgiwały się w górę, żeby ucześcić się ścian.

Adatroksi przelecieli przez hol prosto na nich. Eliana rzuciła nożem w gardło jednego z nich, a Jessamyn przytrzymała innego, żeby Remy wbił mu nóż w pierś. Jeszcze jeden wyłonił się chwiejnie z cieni. Jessamyn syknęła coś do Remy'ego, który wyrwał nóż z ciała adatroksa, okręcił się i ciął następnego przez szyję.

Przy wyjściu zlikwidowali jeszcze pięciu, a potem sześciu kolejnych, gdy biegli przez otaczające pałac pierścieniem dziedzińce. Więzień w łachmanach, z szalonymi ze strachu oczami, runął na Elianę, a Jessamyn z bojowym wrzaskiem zastąpiła mu drogę i rozcięła jego brzuch. Inny przedarł się przez żywopłot i zamachnął ogromną maczugą z drewna nabijanego metalowymi kolcami. Remy skoczył mu na plecy i poderżnął gardło. Na dziedzińcach roіło się od więźniów wrzaskiem domagających się krwi oraz adatroksów, którzy potykali się i machali niezgrabnie mieczami.

Eliana pozwalała, by Jessamyn i Remy walczyli za nią, ale w głowie jej się kręciło, a świat wyglądał jak zasnuty pasmami czerwono-żłocistej mgły. Jej moc rozpaczliwie starała się uwolnić. Eliana używała jednak noża i zabrała jeszcze kilka należących do zabitych przez nią żołnierzy. Nadal miała na sobie brudną, wyszywaną klejnotami suknię i żałowała z goryczą, że nie wyposażono jej w pasek, ukryte kieszenie albo pochwy lub coś równie przydatnego.

Pod murem odgradzającym dziedzińce od właściwego miasta ukryli się na chwilę, żeby złapać oddech. Jessamyn, pobladła z bólu, ścisnęła prawą nogę. W zaciśniętych pięściach Eliany wibrowały chciwie formy. Niebo pociemniało od drapieżców, ulice były pełne bestii. Niedaleko dwa żmije rozszarpały leżący między nimi stos ciał.

Eliana obejrzała się przez jedną z bram na dziedzińcu i zobaczyła rzekę krucjuszy biegnących przez labirynt z żywopłotu w stronę pałacu.

Strumienie ciemności wspinały się szybko po ścianach i wieżach, wślizgiwały przez okna i tłukły w drzwi.

– To powinno go na trochę zatrzymać – stwierdził ponuro Remy. – Jeśli dotknie krwi krucjusza...

– Nie robi tego – odparła natychmiast Eliana. – Jest zbyt sprytny, by dać się tak łatwo pokonać.

Ale pałac pełen potworów powinien odwrócić jego uwagę na kilka dodatkowych minut. Taką miała nadzieję.

Szybko, Eliano, usłyszała głos Proroka. Silniejszy, lecz pełen wysiłku.

W górze, na skraju dziedzińca, z umieszczonej na lśniącym, oplecionym kablami słupie tuby zabrzmiał narastający sygnał brązowych rogów. Eliana odetchnęła gwałtownie i rzuciła się do biegu. Słyszała za sobą miarowy oddech Jessamyn, ciężki, ale uparty, i szybkie kroki Remy'ego. Większe ulice były zatarasowane przez trupy i żerujące na nich krucjusze. Cuchnęło gorącą zgnilizną, Eliana czuła na języku kwaśny smak krwi.

Skręciła w wąski zaułek. W cieniach skuleni ludzie osłaniali się rękami i zawodzili nad zabitymi. Krzyczeli, kiedy ich mijała. Mieli zakrwawione głowy. Zaułek zwężał się na końcu, aż Eliana musiała obrócić się bokiem, żeby z niego wyjść. Po drugiej stronie spojrzała w dół, na zbocze schodzące do morza krwi i gniewnego czerwonego światła. Wypielegnowane ogrody i baseny, w których szumiały fontanny, były poprzedzielane niskimi murami i siecią płaskich białych stopni. Eliana podbiegła do muru i przeskoczyła przez niego na alejkę poniżej. Wylądowała ciężko, podniosła się, pobiegła dalej. Remy i Jessamyn dołączyli do niej po kilku sekundach.

Nad ich głowami zatrzepotały wstęgi ciemnego koloru. Eliana podniosła głowę. Drapieżca o szkarłatnych skrzydłach wypatrzył ich i zanurkował z nieba z szeroko otwartym dziobem.

Eliana wpatrywała się w niego, formy iskrzyły na jej dłoniach, a krew domagała się satysfakcji – i w końcu pozwoliła przebudzić się mocy. Sięgnęła do empirium, pochwyciła bestię palcami ze złota i cisnęła nią z całej siły o ziemię. Kolejne drapieżce pikowały na nich, a ona strącała je jednego po drugim, machając pięściami. Niebawem niebo było puste, a Eliana stała zdyszana wśród stosów dymiących, zniszczonych ciał.

– Kurwa – mruknęła cicho Jessamyn tuż za nią.

Na plac, teraz, pospiesz się. Głos Proroka był pełen desperackiego napięcia. *Już cię ścigają. Właśnie pokazałaś im, gdzie jesteś.*

Eliana rozejrzała się gwałtownie.

Kto mnie ściga?

Aniołowie.

Ale nie on?

On jest w tym momencie bardzo zajęty. Krucjusze wdarły się do pałacu, a on nie może ich kontrolować. Ich umysły są zbyt dziwne, za silne. Lecz żołnierze w mieście chcą zasłużyć na jego łaskę.

– Tędy – rzuciła Eliana przez ramię i ruszyła ulicą. Jessamyn i Remy trzymali się tuż za nią, kiedy zbiegła po schodach i przemknęła kamiennym mostem nad ulicą pełną krucjuszy. Potwory wdzierały się przez drzwi i okna, wyrzucając z domów krzyczących ludzi.

Eliana spojrzała przed siebie i zobaczyła pięć anielskich posągów otaczających miejsce, do którego zmierzali. Pamiętała pięciokątny plac i okalającą go białą kolumnadę. Podwójną czarną bramę i to, co wydostało się zza niej na rozkaz Coriena.

Nóż Jessamyn świsnął jej koło ucha. Chudy drapieżca ze smukłymi czarnymi skrzydłami spadł z góry. Eliana zrobiła przed nim unik, a następnie popędziła spiralnymi schodami z białego kamienia i dotarła na

plac, gdzie stanęła, łapiąc gwałtownie powietrze. Remy zatrzymał się w ostatniej chwili za nią, podobnie jak Jessamyn.

– To szaleństwo – syknęła Jessamyn. Znalazła porzucony miecz i wyciągnęła go spod ciała zmasakrowanego tak, że nie dałoby się go rozpoznać. Ruchem głowy wskazała czerwone niebo. – Zamierzasz zamknąć to przekłete coś czy nie?

Eliana rozejrzała się po placu, ale nie zauważyła żadnych śladów Proroka, drogi ucieczki, posiłków. Tylko aniołów – dziesięciu, dwudziestu, pięćdziesięciu – którzy wyłonili się z wyższych dzielnic miasta i biegli na plac, wspaniali w poplamionych krwią złotych zbrojach. Tuż za nimi gnały kłapiące krucjusze. Jeden z aniołów cisnął włócznią. Zawirowała srebrzyście w powietrzu i przeszła łuskowatą pierś drapieżcy, aż trysnęła niebieska krew. Najbliższy anioł upadł, potem jeszcze jeden. To nie wystarczyło; niedługo mieli dotrzeć na plac.

Eliana nie odważała się jednak użyć swojej mocy na ich oczach. Corien wyczułby to, wślizgnąłby się w jeden z ich umysłów i pochwycił ją.

Jestem tutaj, pomyślała, ocierając pot z oczu. *Co dalej?*

Coś poruszyło się w jej umyśle. Znajoma obecność, sprawiająca, że przeszło ją lodowate zimno.

Ból eksplodował w jej czaszce, palący i oślepiający. Świat pobiełał, Eliana osunęła się na kolana. Odległe odgłosy walki wirowały wokół niej, ale ona widziała tylko jedno – anioła w zbroi pochylającego się nad nią z wyciągniętą ręką, którą obracał powoli, jakby przekręcał gałkę w drzwiach.

Nie знаła tego anioła, lecz przez szczeliny jego hełmu w głębi jego czarnych oczu dostrzegła uśmiech Coriena.

Jesteś tutaj, pomyślał, wślizgując się w pokaleczone zakamarki jej umysłu. *Moja mała uciekinierka. Myślałem, że cię zgubiłem.*

Eliana spróbowała zaczerpnąć powietrza, a jej plecy wygięły się w łuk. Dłonie szukały punktu zaczepienia na śliskim od krwi bruku. Wszystkie mięśnie ciała napinały się pod jej skórą.

Unieruchomiona i bezradna patrzyła przez łzy na to, co miało ją w końcu zabić. Anioła, którego nigdy wcześniej nie widziała, kontrolowanego przez innego, oszalałego z niecierpliwości.

W tym momencie z gardła anioła wyłoniło się dziwne ostrze – z opalizującej tęczowo miedzi, przez którą przemykały cienie. *Ostrze zagłady*, pomyślała Eliana, roztrzęsiona i zaszokowana. Z szyi anioła trysnęła fontanna krwi. Ostrze zostało wyszarpięte, a ciało zadrgało i zwało się ciężko. Było teraz pustym, zwyczajnym trupem.

Nad nim zaś stał Simon w imperialnej czerni, a na jego poznaczonej bliznami, pomazanej krwią i brudem twarzy malowała się wściekłość. Ciemny, obrzeżony czerwienią płaszcz spływał mu do kolan, a czerwona szarfa, którą miał założoną na skos, przypominała krwawy uśmiech.

Jego intensywnie niebieskie oczy spojrzały prosto na Elianę i w jednej płomiennej chwili napotkały jej wzrok. Coś metalowego spadło za nią na ziemię. Obróciła się, nadal rozdygotana i z zawrotami głowy, ale Simon był szybszy. Przebiegł przed nią, z ostrzem zagłady w jednej ręce i rewolwerem w drugiej, żeby zastrzelić trzech aniołów, którzy się na nią rzucili. Wszystkie trzy kule trafiły ich pod podbródkiem, w odsłonięte miejsce pod krawędzią hełmu.

Po przeciwnej stronie są drzwi, powiedział Prorok. Wąskie i pozbawione ozdób. Z białego kamienia. Biegnij do nich teraz. Remy pobiegnie za tobą. Muszę go chronić. Oni są zaskoczeni, ale to się niebawem skończy.

Zupełnie jakby ktoś wywrócił świat na nice. Eliana zamrugała i rozejrzała się po placu, a Simon nad jej głową strzelał raz za razem. Gdy

skończyły mu się kule, odrzucił rewolwer i wyciągnął drugi zza pasa. *Muszę go chronić*, powiedział Prorok. Ponieważ teraz to na Simona skierował się ich gniew. Na Simona, ulubieńca imperatora.

Gdy Eliana zobaczyła obiecane przez Proroka drzwi, ogarnął ją mdlący żar. Chwilę wcześniej te drzwi nie istniały – była tego pewna. Ich powierzchnię pokrywały rozbryzgi krwi, czerwonej i niebieskiej.

Teraz, Eliano!

Eliana poderwała się i rozejrzała za Remym. Kolejne krucjusze prześlizgiwały się nad murami. Rzucali się na aniołów, chlastały ich ogonami.

W tym zamieszaniu Jessamyn walczyła z jednym anielskim żołnierzem. Zamachnęła się mieczem; ich ostrza zderzyły się i szczepiły. Anioł zaklął, echa jego wściekłości odbijały się po placu rykoszetem. Eliana знаła to spojrzenie. Próbował się wedrzeć do umysłu Jessamyn, ale nie mógł tego zrobić.

Skóra Eliany zamrowiła. Ukryte drzwi. Unieszkodliwiony anioł.

Prorok był wszędzie.

Walczący z Jessamyn anioł zaklął w języku lissar. Eliana dobrze знаła to słowo. Corien wrzeszczał je na swoich służących, często ciskał nim jak nożem w jej umysł. Prorok przetłumaczył je dla niej. Oznaczało kurwę.

Jessamyn obnażyła zęby. Przepocone pasma czerwonych włosów wymknęły się z jej warkocza i przykleiły do szyi.

– Mam na imię Jessamyn! – krzyknęła łamiącym się głosem.

Anioł popchnął ją na ziemię i uniósł miecz. Eliana odwróciła wzrok, zanim ostrze spadło.

Simon biegł do drzwi Proroka, niosąc przewieszzonego przez ramię nieprzytomnego Remy'ego. Spojrzał prosto na Elianę.

– Teraz!

Eliana podbiegła do drzwi, ale od razu zobaczyła, że nie ma żadnej klamki. Jej moc wybuchła jak żar eksplozji. Uderzyła drzwi pięściami, z płonącymi formami zaciśniętymi w palcach.

Drzwi się roztrzaskały. Odłamki kamienia poleciały na wszystkie strony. Za nimi wąskie stopnie prowadziły w dół, w ciemność.

Eliana skierowała się na nie, dławiąc się chmurą białego pyłu. Gdy tylko Simon z Remym minęli próg, odwróciła się szybko i machnęła dłońmi na drzwi. Kamienie i pył w kilka sekund wróciły na swoje miejsca, tworząc jednolitą ścianę i oddzielając ich całkowicie od miasta na zewnątrz.

W ciemności Eliana słyszała tylko własny urywany oddech i czuła pulsowanie w głowie. Tunel tłumił wszystkie odgłosy walki.

Wraz z Simonem stali przez chwilę w gęstej, piekącej ciszy. Formy Eliany rzucały słaby złocisty blask na pobrużdżoną twarz Simona i opalizujące, ociekające krwią ostrze zagłady, które nadal ścisnął w dłoni.

Eliana spojrzała na nie.

– Czy on tam jest? – zapytała z trudem.

– Nie. – Simon nie patrzył na nią. – Próbowiałem dawno temu. Jest zbyt silny na ostrza zagłady. Nie mogą go utrzymać. – Poruszył lekko ostrzem, jakby był z niego niezadowolony. – Jest tutaj inny anioł, ten, którego ciało na moment przejął, żeby cię znaleźć. Ostrze go jednak osłabiło. To da nam trochę czasu.

Eliana wpatrywała się w Simona, choć ledwie go widziała. Było zbyt dziwaczne stać koło niego w niemal całkowitej ciemności. Jakby ostatnie miesiące się nie wydarzyły i znajdowali się znowu na samym początku.

Chodź do mnie, malutka. Prorok przesłał jej uczucie zbyt zawikłane, żeby je zrozumieć. Simon zna drogę. Wyjaśnię wszystko, kiedy do mnie dotrzecie.

Simon poprawił Remy'ego na ramieniu i odwrócił się od złocistego blasku płonącego w dłoniach Eliany.

– Chodź za mną – powiedział całkowicie nieprzeniknionym dla niej tonem.

Chciała go pochwycić, palić jego twarz formami, aż będzie się wił tak jak ona wcześniej, aż będzie wrzeszczał jej imię, tak jak ona wrzeszczała jego imię.

Powstrzymał ją tylko łagodny głos Proroka.

Przepraszam, że tak musiało być. Nie sprawiało mi to radości.

Eliana nie odezwała się więcej do żadnego z nich. W blasku swoich form szła za Simonem w dół po schodach. Nie potrafiła oderwać wzroku od jego ciemnoblonde włosów, potarganych i zakrwawionych po walce. Wyobrażała sobie, że chwyta za nie i uderza jego twarzą o schody. Głowa ją bolała po ostatnim ataku Coriena, jakby miała zaraz pęknąć, a Eliana prawie chciała, żeby tak się stało, ponieważ wtedy nie musiałyby stawiać czoła temu, co na nią czekało. Czuła się odrętwiała, jakby weszła do innego świata, w którym niczego nie rozumiała. Jej nogi poruszały się same, niosąc ją coraz głębiej w niekończącą się ciemność. Gardło bolało ją z każdym chłodnym oddechem. Powietrze stawało się coraz zimniejsze.

Nareszcie schody się skończyły i znaleźli się w sieci tuneli i pomieszczeń. Trzy osoby z rzeczową sprawnością żołnierzy przebiegły obok, niosąc broń, paczki zapasów i poskładaną pościel. Ich oczy, gdy spojrzały na Elianę, były czyste.

Zatrzymali się, żeby się jej przyjrzeć, a później z cieni wyłoniły się jeszcze cztery osoby z błyszczącym wzrokiem. Kiedy ich mijała, przyklękli i pochyłili głowy. Ucałowali palce i dotknęli nimi zamkniętych oczu, mamrocząc za nią modlitwę.

Przed wejściem do komnaty oświetlonej migotliwym blaskiem świec Simon przystanął. Nadal nie patrzył na Elianę. Położył Remy'ego na ławce przed komnatą, tak czule i ostrożnie, pomimo jednoznacznego munduru ze skrzydlatym emblematem, że Eliana omal nie poderżnęła mu gardła nożem, który dostała od Jessamyn. Jej wyobraźnia stała się krystalicznie czysta z gniewu i podsuwała obraz ostrza zatapiającego się w jego piersi i zgrzytającego o kość. Pomyślała o Jessamyn, która w momencie swojej śmierci nadal myślała, że Eliana zamierza zamknąć Ostię i ocalić miasto. Poczuła w oczach piekące łzy.

– Ośmielasz się udawać życzliwość – wyszeptała.

Chwila ciszy. Potem Simon odwrócił się do niej ze spuszczonym wzrokiem. Czuła swój puls w gardle. Od tamtej nocy na wybrzeżu Festivalu jego twarz od czoła do szczęki była jak ze stali. Teraz wszystkie twarde linie zmiękły w wyrazie zmęczenia.

Rozpaczliwie pragnęła odwrócić wzrok, ale nie mogła. Wydawało się, że on kuli się przed nią, jakby była zbyt olśniewająca, żeby na nią patrzeć.

– To był jedyny sposób, Eliano – rzekł. Po raz pierwszy od miesiący użył jej imienia. Jego głos załamał się na tym słowie, a palce rozprostowały po bokach, jakby pragnął wyciągnąć do niej ręce. – Tak mi powiedziała. To był jedyny sposób. – Odetchnął z trudem i w końcu podniósł głowę, by spojrzeć jej w oczy.

Cofnęła się o krok. Ten przeszywający błękit, ukryta w nich siła, były jak cios prosto w pierś. Dawniej krył się w nich żar pożądania, stał gniewu.

Aż do teraz nigdy nie widziała w nich czystego żalu.

Z komnaty dobiegł ich głos, łagodny i znajomy, chociaż inny od tego, który słyszała w głowie. Był teraz czysty, jakby zniknęła spowijająca go zasłona.

Eliana z wdzięcznością odwróciła się od Simona. Z miękkimi kolanami i kwaśnością w gardle weszła do komnaty po prawej stronie.

Na środku, pomiędzy trzema migoczącymi świecami, w lśniącym fotelu siedziała kobieta. Błada i złotowłosa, ubrana w suknię w kolorze różowym i liliowym, zapiętą pod szyję i naśladującą krojem napierśnik. Na kolanach trzymała ukryty w pochwie miecz, a jej oczy były jak bliźniacze krople atramentu. Pozbawione barw i starożytne.

Eliana się jej nie bała.

– Ty jesteś Prorokiem? – szepnęła.

Kobieta uśmiechnęła się lekko.

– Możesz mnie nazywać Ludivine. Znałam twoich rodziców.

Uniosła trzymany na kolanach miecz. Eliana czuła na skórze pulsowanie mocy tej broni. Jej własne moce wezbrały w odpowiedzi, aż zaboląły ją zęby, a formy zapłonęły żarem. Chociaż nie widziała go nigdy wcześniej, wiedziała, co to za miecz. Jej krew знаła jego smak, знаła każdą linię wyrytą na pochwie.

Ludivine uniosła ukryte w pochwie ostrze na rozłożonych płasko dłoniach. Jej czarne oczy zalśniły. To był dziwny widok – Eliana nigdy wcześniej nie oglądała anioła spoglądającego na coś z miłością.

– Ostatnia pozostała forma siedmiorga świętych – powiedziała Ludivine. – Należał do twojej rodziny, od kiedy święta Katell użyła jej, aby strącić aniołów z nieba. Przetrwał śmierć twojej matki. A teraz, malutka, należy do ciebie.

Rielle

Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Strażnice wznoszą się wysoko w górach. Rzeźbiarze ziemi i rządcy wody pogłębili jeziora. Kuźnie płoną dniem i nocą, wypływając tuzinami broń. Setki cywilów uciekły z miasta i skierowały się do Luxitaine. Wszyscy zdolni do walki zostali, aby wzmocnić armie Celdarii i Mazabatu. Aniołowie się zbliżają. Dobrze, niech przyjdą. Nie będziemy już lepiej przygotowani. W imię korony i kraju będziemy bronić prawdziwego światła. I niech Bóg, empirium lub cokolwiek, co kieruje tymi mrocznymi czasami – niech cokolwiek, ktokolwiek nam pomoże.

– z dziennika Oda Laroche’a, kupca i członka Czerwonej Korony,
24 kwietnia 1000 roku Drugiej Ery

Rielle wiedziała, że żyje. Wiedziała, że stoi. Poza tym była prawie nieświadoma swojego ciała.

Jej myśli wirowały wśród gwiazd. Każda przynosiła jej nowy skrawek informacji o górach na zachodnim kontynencie, bezkresnej czarnej przestrzeni za chmurami i kryjących się tam innych światach. Jej skóra płonęła, krew wrzała. Empirium się upierało, by wcisnąć w jej umysł miliony odłamków świata. To było za dużo i za szybko, ale Rielle nie potrafiła się powstrzymać przed przyswajaniem tego. Uszy ją bolały, skronie pulsowały jak uderzany bęben, a ona nadal pochłaniała wiedzę.

Corien pojawił się u jej boku. Jego obecność ściągnęła jej myśli z powrotem do ludzkiego ciała, co ją rozdrażniło. Wpatrywała się

w horyzont, aż jej irytacja osłabła. Widziała teraz rzeczy – znajdujące się blisko – które wcześniej jej nie interesowały.

Góry otaczające Âme de la Terre. Dwanaście szczytów porośniętych sosnami, zaś najwyższy z nich, przerażająco wielki i nakryty śnieżną czapą, wznosił się nad położonym u jego stóp miastem.

Armia, którą ona i Corien stworzyli w ciągu ostatnich tygodni i miesięcy. Dziesięć tysięcy szarookich adatroksów kierowanych jak marionetki przez aniołów. Niezliczeni aniołowie, którzy nadal nie mieli ciał, a jedyną ich bronią były przebiegłe umysły. Zaś pięć tysięcy z nich maszerowało po ziemi celdaryjskiej, ukształtowanych misternie dłońmi Rielle i powiązanych stabilnie z ludzkimi ciałami, które zamieszkiwali. Niektórzy lecieli, inni szli piechotą. Lśniący i pijani z radości, spragnieni odwlekanej tak długo zemsty. Ich anielska wspaniałość była wyraźnie widoczna dla ludzi obserwujących ich marsz – żołnierzy drżących nerwowo w strażnicach, dzieci spoglądających z szeroko otwartymi oczami przez ramię rodzicom, którzy uciekali z nimi z miasta na wybrzeże.

Stłumione światło zmierzchu, na zachodzie w kolorach bursztynu i mandarynki, na wschodzie fioletowe. Pola wytyczone równymi liniami na terenach otaczających stolicę. Wiosenne siewki kiełkujące bezgłośnie w ziemi.

Okrągłość jej brzucha i rosnące w środku malutkie życie. Rielle przyjrzała mu się z ukosa, maleńkiemu kłębkowi podświetlonych włókien, który kopał mocno w jej dłonie. Może jednak nie powinna była pozwalać mu żyć. *Narodzą się dwie Królowe, przepowiedział Aryava. Jedna z krwi, druga ze światła.*

Podrapała się po brzuchu, aż jej paznokcie zaczepiły się o delikatne nici sukni. To była efektowna kreacja uszyta od kołnierza do rąbka sukni z pozbawionego ozdób, półprzejrzystego jedwabiu w kolorze krwi. Długie

rozcięcia aż do bioder pozwalały się swobodnie poruszać. Suknia miała wysoki stan i otulała luźno jej brzuch. Rielle nie nosiła butów; nie potrzebowała ich. Nocne wiosenne powietrze było zimne, ale w jej krwi panował środek lata. Podkuliła palce stóp na ziemi. Ich podeszwy były czarne po podróży.

Sama zaprojektowała tę suknię w dniu przed wyruszeniem z Terytorium Północnego. Pierwsze pięć szkiców zniszczyła. Za każdym razem, gdy odtwarzała linie swojego wydatnego brzucha, ogarniało ją szaleństwo. Przypominała sobie tamtą dziewczynę w górach. Ciemne oczy Audrica w jej przestraszonej twarzy. Skórę jaśniejszą od cery Audrica, ale ciemniejszą od Rielle. „Nazywam się Eliana”.

Rielle zamazywała za każdym razem brzuch, aż dziewczyna zniknęła z jej umysłu, a atrament poplamiał palce. Końcówka pióra wyryła głębokie bruzdy na gładkim biurku Coriena. Kiedy Rielle udało się skończyć projekt, patrzyła, jak krawcy pracują gorączkowo przez noc, żeby zdążyć uszyć suknię, i z przyjemnością obserwowała pot na ich czołach.

Czy jej własna córka będzie królową, która powstanie przeciwko niej? Dłonie położone na brzuchu zamrowiły ją.

Corien położył na nich własną zimną dłoń, rozpraszając myśli Rielle.

– Popatrz na nich – szepnął i machnął ręką, wskazując imponujące morze ich żołnierzy. Mieli przed sobą karne, lśniąco szeregowe anielskich wojowników. Generałów w czarnych aksamitnych płaszczach obrzeżonych złotem. Bestie, które Corien wraz ze swoimi lekarzami stworzył w podziemiach północnych gór – pełzacze, imitacje krucjuszy, zdeformowane i niekształtne. Trzepotały skórzastymi skrzydłami i wypuszczały z pysków smużki gorącego dymu. Na grzbietach potworów siedzieli kontrolowani przez anielskie umysły dziecięcy magowie żywiołów z formami w kształcie kajdan na szyjach i nadgarstkach.

Rielle przyjrzała się strukturze wewnętrznej bestii, płonącej złotem i skomplikowanej. Miały w sobie muskularną siłę borsvalskich smoków lodowych; widać było także blizny pozostawione przez skalpele szalonych chirurgów Coriena. Moce dzieci tworzyły coś w rodzaju oplatającej pełzacze i wykute dla nich zbroje siatki, którą można było w każdej chwili szarpnąć i zacisnąć.

– Dokonałeś wspaniałego dzieła – odezwała się spokojnie Rielle. – Ale widzę, co jeszcze można by ulepszyć.

Corien uniósł jej dłoń do ust.

– Przyjdzie na to czas, moja miłości. Pamiętasz o światach? Mamy wiele światów, które uczynimy naszymi, gdy skończymy z tym.

– Będziemy je niszczyć i odbudowywać według własnego kaprysu – szepnęła Rielle. Nienasycony apetyt poruszał się w szpiku jej kości.

– Rielle Królobójczyni. – Corien odwrócił jej twarz do siebie. – Rielle Niszczycielka.

– Trzymałam świat w dłoniach – wyszeptała i przymknęła oczy, gdy jego usta musnęły jej podbródek. Jej myśli śpiewały, powracając do bezkresnego, migoczącego morza i dziewczynki w białej sukience, która ciągnęła ją pomiędzy gwiazdy. – Chcę znowu to zrobić. Powiedz mi, że to zrobimy. Powiedz mi, że to już długo nie potrwa.

– Niebawem dostaniesz wszystko, czego zapragniesz – obiecał gorącym oddechem na jej wargach. – Podobnie jak ja. Będziesz ściągać spomiędzy gwiazd światy, aby wirowały dla twojej przyjemności. Odnajdziesz Boga i zażadasz czegoś lepszego niż to, co nam dano.

Pochylił się, żeby ją pocałować. Rielle poczuła miękkie ciepło jego ust, język rozchylający jej wargi. Jej krew zawrzała gwałtownie pod jego dotykiem. Zarzuciła mu ramiona na szyję, czując żar spływający po udach. Armia rozstępowała się wokół nich i maszerowała dalej. Generałowie

wykrzykiwali rozkazy w azradil; piechota odpowiadała tak samo; chór okrzyków wojennych rozbrzmiewał w najbardziej melodyjnym, najboleśniej pięknym spośród języków anielskich.

Rielle wysłała Corienowi płomienną wizję. Na pobliskim wzgórzu rósł gaj dębowy. Może położyć się na trawie pod nią i przytrzymać jej biodra, gdy będzie się poruszać. Odda mu się tam, w cieniach, a gdy powstanie, aby stawić czoło Âme de la Terre, zrobi to ze wspomnieniem jego namiętych krzyków dźwięczących jej w uszach.

Wykrztusił zdławionym głosem jej imię i poszedł za nią chwiejnie między maszerującym wojskiem, aż znaleźli się pośród drzew. Kiedy skończyli, leżał drżący na ziemi i patrzył roziskrzonym wzrokiem, jak ona wstaje.

Prawie nie zwracała na niego uwagi i szturchnęła go lekko nogą, kiedy do niej sięgnął. Ledwie już pamiętała, jakie to było uczucie, gdy jego dłonie dotykały jej skóry. Stała pod drzewami osłaniającymi ich miłosne gniazdko, a jej ciało lśniło od potu. Przed oczami pulsowało jej rytmicznie złoto. Ostatnio rzadko widziała inne kolory. Złoto powlekało jej koszmary, pieniało się na języku. Przez bursztynowy blask patrzyła na ich armię maszerującą szybko w kierunku miasta, które uważała kiedyś za swój dom.

Niewielkie płomienie rozbłyskiwały w ciemności – tworzyły ścieżkę wijącą się przez góry. Słyszać było cienkie zawodzenie rogów, szybko zagłuszone przez skandujących żołnierzy.

Rielle uśmiechnęła się, zamknęła oczy i uniosła twarz ku niebu. Jakby te ostrzeżenia miały im coś dać. Jakby strażnice i rogi nie były żenującym przejawem bezsilności.

Corien stanął obok niej, milczący i ciemny. Czuła jego zapach na swojej skórze.

– Jesteś gotowa? – mruknął.

Otworzyła oczy, a on odetchnął zaskakująco głęboko. Rozumiała to. Empirium było dla niej ogromnym złotym lustrem, w którym mogła zobaczyć swoje odbicie. Ciemne włosy spadające swobodnie do pasa; jedwabna suknia otulająca jej ciało; bose i czarne stopy. Każdą żyłkę miała podkreślona złotym piórem, a jej oczy były dwiema płonącymi monetami ze światła.

– Jestem nieskończona – odparła, powtarzając jego ulubioną frazę. Starła się nad nią nie zastanawiać. To, że on może uważać się za nieskończonego pod jakimkolwiek względem, wydawało się jej niemądre.

Oddaliła się od niego, aby dołączyć do swojej armii maszerującej bez wytchnienia przed siebie. Mogła spojrzeć poprzez tych żołnierzy, poprzez góry, poprzez armie Celdarii i Mazabatu czekające w gotowości. Mogła spojrzeć poprzez to wszystko aż do ciemnego, zamarłego w napięciu zamku, którego korytarze wypełnione były gorączkowymi szeptami, aż na dziedziniec w pobliżu zbrojowni, gdzie król dosiadał skrzydlatej boskiej bestii i szykował się, by wyruszyć do bitwy.

Eliana

Nie sądzicie, że pragnę jej nadejścia tak samo rozpaczliwie jak wy? Przyjaciele, każdego dnia, w każdej sekundzie wyobrażam sobie, że Słoneczna Królowa pojawia się w końcu przed nami, pokiereszowana i zakrwawiona, pełna światła, gotowa poświęcić się naszemu wrogowi, żebyśmy mogli znowu żyć. Jest ze mną w snach i na jawie. Wypełnia moją krew pasją, której nic się nie może równać. Tak samo musi żyć w was, żebyście byli gotowi walczyć u jej boku w dniu objawienia czekającym na nas wszystkich.

– słowa Proroka

Siedmioro akolitów, którzy służyli Ludivine, poruszało się cicho jak koty. Przynieśli gorącą potrawkę z wołowiny z warzywami, kubki świeżej wody, drugi fotel i niewielki stół.

Eliana dostała miękką tunikę i spodnie zamiast swojej zniszczonej sukni. Siedziała prawie bez ruchu, gdy akolici wchodzili do kolistej kamiennej komnaty i z niej wychodzili. Patrzyła, jak Ludivine ustawia trzy nowe świece na miejsce tych, które prawie się wypaliły. W półmroku skóra Ludivine była gładka i jasna jak mleko, a złote włosy związane w schludny kok. Jej suknia szeleściła lekko, muskając nogi; poza tym anielica poruszała się niemal bezgłośnie. Była potężna w swoim spokoju, jak cicha rzeka gotowa wezbrać powodzią.

Eliana, która pociła się ze zdenerwowania, przypomiwała sobie głos Proroka i próbowała dopasować go do tej kobiety przemieszczającej się

miętko po komnacie. „Nie wychodź ani na chwilę ze swojej rzeki. Niech twoje stopy pozostają chłodne i stoją pewnie, nawet jeśli twoje dłonie zapłoną”.

Ludivine usiadła w swoim fotelu, wypila łyk zupy i odstawiła miskę na stół pomiędzy nimi.

– Nie było innego sposobu, żeby przeprowadzić cię bezpiecznie przez Ocean Wielki do mnie – powiedziała, jakby rozmawiały od kilku godzin. – Ani też innego sposobu, żebyś stała się tym, czym teraz jesteś. Musiałaś zostać złamana, a potem się odbudować, silniejsza niż wcześniej. Stać się osobą zdolną stawiać czoła twojej matce u szczytu jej potęgi. To, czym byłaś wcześniej, nie wystarczało. Mam nadzieję, że teraz już wystarczy. – Ludivine poruszyła się lekko, jakby się na coś przygotowywała. – Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro z powodu tego, co musiałaś znosić. Ale nie żałuję tego, co zrobiłam. Żal to trucizna. Zabiłaby mnie. – Jej czarne oczy przesunęły się szybko na nietkniętą miskę z potrawką Eliany. – Nie chcę cię zmuszać do jedzenia, lecz zrobię to w razie konieczności. Potrzebujesz siły, by zmierzyć się z tym, co cię czeka.

Eliana poczuła gorący impuls gniewu.

– Czy mój brat został nakarmiony?

– Oczywiście. Moi akolici opatrzyli także jego rany. Wszyscy oni są biegłymi lekarzami. Nie, nie pozwolę mu skrzywdzić żadnego z nich ani Simona. Nie pozwolę mu też uciec. Czuje się dobrze. Jego umysł odpoczywa.

– Chcesz powiedzieć, że twój umysł zmusza go do odpoczynku. Pilnuje, żeby był potulny.

Ludivine przechyliła głowę.

– Jedz.

Eliana wyobraziła sobie, że łapie miskę i rzuca nią w twarz Ludivine. Może potrawka była dostatecznie gorąca, by ją poparzyć. Przemyślała ten obraz ze wszystkimi szczegółami, żeby Ludivine mogła go zobaczyć, jednak anielica nic nie powiedziała, patrzyła na nią tylko spokojnie. Drżące palce Eliany zacisnęły się na łyżce.

– Masz pytania. – Ludivine złożyła dłonie na kolanach. – Zadać je.

Pierwsze kęsy obudziły w Elianie wilczy głód. Początkowo nic nie mówiła, wpychała tylko jedzenie do ust. Po kilku minutach otarła wargi rękawem i upuściła łyżkę do pustej miski. Potem spojrzała prosto na Ludivine.

– Powiedziałaś, że to jedyny sposób, by sprowadzić mnie tutaj bezpiecznie – przypomniała. Niewypowiedziane słowa unosiły się pomiędzy nimi, wibrujące i pełne napięcia. Do głowy Eliany tłoczyły się obrazy: Simon stojący na pomoście i strzelający do ich przyjaciół; Remy odciągany od niej na pokładzie statku admirała; ich ojciec lecący w dół na spotkanie śmierci. Ustawiła stopy płasko na podłodze, starając się zachować spokój. – Dlaczego nie mogłaś przyjść do mnie? Jesteś wyraźnie dostatecznie potężna, by ukrywać się przed Corienem. Dlaczego chowałaś się tutaj i czekałaś? Coś mogło się wydarzyć. Sztorm mógł zatopić statek admirała. Mogłam zdołać się zabić.

– Sztorm był mało prawdopodobny. Szlak, którym płynęliście, nie bez powodu jest często wykorzystywany. Zaś ja dowiodłam już, że nie pozwoliłabym ci się zabić – odrzekła Ludivine. – Tak jak mówiłam, musiałaś zostać złamana i odrodzić się jako prawdziwa ty. Gdybym do ciebie przyszła, nic z tego by się nie wydarzyło. Nadal byłabyś mała i ludzka, przerażona mocą w twojej krwi. – Ludivine przechyliła głowę. – Znasz legendę o kirvajskim feniksie? Aby się odrodzić, musi spłonąć.

Eliana popatrzyła na nią gniewnie.

– Wciąż jestem człowiekiem.

– Nie do końca. Ludzie nie mogą dokonać tego, co ty możesz robić. Ludzie nie mogą dokonać tego, co robiła twoja matka. Jesteś czymś więcej, podobnie jak ona. Wiesz o tym.

– Mogłaś do mnie przyjść – upierała się Eliana. – Mogłaś zrobić ze mną wszystko to, co zrobił Corien, ukształtować mnie, jak tylko byś zechciała. Nie było powodów, żeby mnie tutaj sprowadzać. Remy nie musiałby doświadczać tego, przez co przeszedł. Może mój ojciec nadal by żył.

– Wiele wieków temu w tym miejscu wznosiło się miasto Âme de la Terre. Teraz jest tutaj Elysium. Corien zbudował swój pałac niedaleko miejsca, w którym dawniej znajdował się zamek Baingarde. – Ludivine umilkła na chwilę. – Podróże w czasie są trudne nawet dla najbardziej utalentowanych Naznaczonych. Żeby nasz plan się powiódł, dopilnowałam, aby nie trzeba było podróżować także w przestrzeni.

– Podróżować w czasie. – Eliana przełknęła, ponieważ zaschło jej w gardle. – Chcesz wysłać mnie w przeszłość, bym znalazła matkę. Czy też żebym ją zabiła?

Na spokojnej twarzy Ludivine pojawił się przebłysk emocji.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Spotkasz się ze swoją matką w spokojnym okresie, gdy jej umysł był czysty i otwarty, a ona sama pozostawała wierna Celdarii. Postarasz się ją przekonać, namówić, by zwróciła się przeciwko Corienowi i go zabiła. Jeśli zaatakuje, będziesz z nią walczyć, dopóki się nie podda lub sytuacja nie stanie się patowa. Albo też wrócisz tutaj i spróbujemy raz jeszcze. Innego dnia, w innym momencie. Będziemy próbować, dopóki to będzie możliwe. Będziemy próbować, dopóki nie skończy się nam czas.

– Czyli dopóki Corien nas nie znajdzie.

Ludivine pochyliła głowę.

– A co potem? Kiedy skończy się nam czas?

Ludivine milczała chwilę.

– Wtedy wrócisz do przeszłości po raz ostatni, żeby zabić ją i Coriena. Zamkniesz Bramę najszybciej, jak zdołasz, zanim kolejni aniołowie uciekną z Otchłani. – Cisza była ogłuszająca. – Tak jak mówiłam, mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Eliana poczuła narastającą żółć w gardle.

– Ale jeśli ją zabiję, zanim wyda mnie na świat, to jak ma się to udać? Jak mogłabym wrócić i ją zabić, jeśli w ogóle nie będę istnieć?

– Ktoś o wiele bardziej doświadczony w sztuce podróżowania w czasie niż ja zapewnił mnie, że jeśli nici zostaną splecione w odpowiedniej kolejności, jeśli magia zostanie precyzyjnie odmierzona, można uniknąć tego paradoksu.

Coś pękło wewnątrz Eliany. Nie potrafiła już powstrzymać tego pytania. Wbiła paznokcie w blat stołu, pozostawiając malutkie złociste półksiężyce.

– Simon – warknęła. – Powiedz mi.

Ludivine uniosła do ust szklankę wody.

– Musisz mówić bardziej precyzyjnie.

– Nie, nie muszę. Możesz wyczuć moje pytania i nie jesteś głupia. Wiesz, o co mi chodzi. – Łzy cisnęły się jej do oczu, ale Eliana była zbyt rozgniewana, żeby je otrzeć.

Ludivine przyglądała się jej z namysłem.

– Czy pamiętasz, jak Simon wysłał cię do dawnej Celdarii? Próboweś porozmawiać z Rielle. Walczyła z tobą, a ty byeś zbyt słaba, by jej sprostać.

– Oczywiście, że pamiętam. Jakżeby inaczej?

– Tamtego dnia Corien był tam, w umyśle Rielle. Gdy się pojawiłaś, zajrzał w twoje myśli.

Eliana stężała. Nigdy nie zapomni tych słów. „Ach, Eliano. Najwyraźniej spotykamy się nie po raz pierwszy. Jakże to osobliwe”.

Ludivine skinęła głową.

– Imperator już wcześniej dotykał twojego umysłu, ale z oddali i bez większego powodzenia. Wiedział o twoim istnieniu, lecz ku swojej frustracji tylko chwilami mógł odnajdować twoje myśli.

– Z twojego powodu?

– Z mojego powodu. Ale tamtego dnia byłaś daleko ode mnie, w innym czasie, i tamten Corien zdołał cię znaleźć, chociaż tylko na moment. Powiedział coś jeszcze, prawda?

Zimny dreszcz przeszedł powoli po ramionach Eliany, gdy przypomniała sobie słowa Coriena. „Jakie życie prowadziłaś. W jak ciekawym towarzystwie się obracasz”.

– Pamiętam – odparła ledwie słyszalnym szeptem.

– W tamtym momencie nie zobaczył wszystkiego, nad czym pracowaliśmy, ale dostatecznie wiele – ciągnęła Ludivine. – Zobaczył Simona i dowiedział się, że on jest Naznaczonym. Dowiedział się, że go kochałaś, chociaż nie był pewien, czy on kochał ciebie. Wiedział, że zamierzasz zniszczyć jego Imperium, zanim ono powstanie na dobre. Wiedział dostatecznie dużo, więc gdy wróciłaś do swojej teraźniejszości, świat się zmienił. – Oparła się w fotelu z nagłym znużeniem. – Oczywiście ja także widziałam to wszystko. Zobaczyłam to w umyśle Rielle, kiedy wróciła do domu tamtej nocy. Ale zachowałam całą swoją wiedzę w tajemnicy przed nią i przed Audrikiem. Byłam wtedy tchórzliwa. Zbyt się obawiałam tego, co to może oznaczać, i nie podjęłam działania, aż zrobiło się za późno. Nie potrafiłam zmierzyć się z ogromem swojej porażki. Dlatego zaczęłam się ukrywać. Widziałam, jak Rielle zabija Audrica. Widziałam, jak aniołowie zdobywają Âme de la Terre. Sparaliżowana

strachem widziałam, jak kończy się świat. Po zakończeniu inwazji ukrywałam małego Simona, żeby Corien go nie znalazł. Potem patrzyłam, jak Simon przyzywa nici i próbuje uciec z tobą do Borsvallu. Powiedziałam mu, żeby się spieszył. Powiedziałam mu, że jest na to dostatecznie silny, i tak było. Ale to nie miało znaczenia. – Ludivine zamknęła oczy. Jej głos stał się szeptem. – Siła śmierci Rielle odepchnęła nici przestrzeni i wezwała nici czasu, zmienne i nieprzewidywalne. Widziałam, jak porwały ciebie i Simona w ciemność, a później patrzyłam, jak Baingarde wali się w gruzy, góry wokół Âme de la Terre się zapadają, a wszyscy obecni w mieście giną. Widziałam, jak aniołowie wypęłzają z popiołów. Ci, którym udało się utrzymać w wykradzionych ludzkich ciałach, nie mogli już smakować, widzieć i czuć tak jak zaledwie kilka chwil wcześniej. Ich oczy stały się czarne, podobnie jak moje. Słyszałam, jak wyją z rozpacz, a Corien najgłośniejsz z nich wszystkich, ponieważ ją stracił.

Minęła długa chwila. Eliana czuła pulsowanie tętna w skroniach.

– Ale Simon mówił, że jako jedyni zauważymy zmiany. Wszystko poza naszym pobytem w przeszłości zostanie zmienione. Myślałam... – Słowa uwięzły jej w gardle. – Myślałam, że to znaczy...

– Że on będzie bezpieczny od wszelkich zmian, jakie zaszły w przeszłości? Tak było, Eliano. Ale czy nie rozumiesz? To był jedyny sposób. Dopilnowałam, żeby mały Simon był w zamku w noc, kiedy się urodziłaś. Rielle prosiła go, by zabrał cię w bezpieczne miejsce, a ja go do tego zachęcałam, bo pomyślałam, że później do was dołączę. Że będę chronić ciebie, chociaż nie zdołałam ochronić twojej matki. Podczas gdy świat będzie leczyć rany po śmierci Rielle, ja wychowam ciebie i Simona jak własne dzieci. Potem, kiedy będziecie dostatecznie dorośli i silni, pošlę was oboje w przeszłość, żebyście ocalili Rielle, zanim zatraci się z powodu Coriena i empirium. Jednakże Rielle umarła, zanim Simon zdołał otworzyć

przejście, a fala uderzeniowa zniekształciła jego nici. Zostaliście rzućeni w przyszłość, ja zaś pozostałam sama w roztrzaskanym świecie.

Eliana myślała szybko.

– Corien także nie umarł. Przetrwał.

– Był przy twojej matce w chwili jej śmierci, więc odniósł... ciężkie obrażenia. Potrzebował wieków, by w pełni dojść do siebie, a jego umysł, choć nadal potężny, nie był już taki jak wcześniej. Wtedy zrozumiałam, że to, co Rielle widziała w górach... ciebie i nici snute przez dorosłego Simona... że ta przyszłość nadejdzie. Wiedziałam, że muszę działać.

Mdlący żar ogarnął Elianę wraz ze zrozumieniem.

– W przeszłości Corien dostrzegł przelotnie Simona. A chociaż śmierć Rielle uszkodziła jego umysł...

– Wiedziałam, że to może nie wystarczyć, aby ochronić Simona, gdy nadejdzie odpowiedni czas – przyznała Ludivine. – Wiedziałam, że sama muszę go wypatrywać, ukrywając swoje działania i samo moje istnienie przed Corieniem. Kiedy Simon się w końcu pojawił, co dla mnie trwało setki lat, ale dla niego kilka sekund, wiedziałam, że istnieje tylko jeden sposób, żeby ochronić go przed Corieniem, a tym samym ocalić naszą jedyną szansę na cofnięcie się w czasie. Musiałam wysłać go prosto do Coriena. Corien musiał uwierzyć, że Simon jest lojalny tylko wobec niego. Aby uniknąć śmierci z rąk wroga, musiał służyć temu wrogowi. – Wzrok Ludivine był spokojny i jasny. – Nauczyłam go dyscypliny. Nauczyłam go wytrzymywania bólu. Najlepiej, jak umiałam, dopilnowałam, by blizny, które na nim pozostawiłam, pasowały do tych, które widziałam. Minęło wiele miesięcy. W końcu porzuciłam go na pustkowiach Vindiki i dopilnowałam, żeby Corien go znalazł.

– Na pustkowiach – powtórzyła Eliana w odrętwieniu.

– Simon zrobił dokładnie to, co mu poleciłam. – Ludivine uśmiechnęła się blado. – Ćwiczyliśmy, aż zaczął wierzyć w historię, którą miał opowiedzieć. Kiedy Corien go znalazł, Simon był zdesperowany i samotny. Żył w pojedynkę przez całe miesiące, nosił blizny po niezamierzonej podróży przez czas i w końcu spotkał kogoś ze świata, który utracił. Rielle zniszczyła jego miasto. Zabiła jego króla. To z powodu jej zdrady aniołowie wdarli się do miasta; jej śmierć cisnęła go w przyszłość, której nie rozumiał, gdzie był samotny i przerażony. Przypuszczał, że córka Rielle także znalazła się w tych czasach. Chciał pomóc Corienowi ją znaleźć. Był gotów służyć mu bez żadnych pytań, jeśli dzięki temu miał nie być dłużej samotny i jeśli Corien miał pomóc mu odzyskać dawną magię. Tak brzmiała historia opowiedziana przez Simona. – Uśmiech Ludivine przygasł. – Corien próbował przez całe lata, ale nie znalazł żadnych dowodów na podstęp. Był podejrzliwy. Przywoływał fragmenty tamtego dawnego wspomnienia, gdy zobaczył cię w górach, a w twoim umyśle Simona, lecz wiedział, że ta podróż w czasie zmieniała świat wokół ciebie, być może na korzyść Coriena. Nie mógł się oprzeć podarunkowi, jakim był Simon. Śmierć Rielle zniszczyła empirium. Jeśli jej córka przeżyła, jej dar nie ujawniłby się w sposób oczywisty, mógł wręcz pozostawać głęboko uśpiony. Corien potrzebował pomocy, żeby ją znaleźć, szczególnie gdy ogromne dzieło rozszerzania Imperium pochłaniało siły jego i tak osłabionego umysłu. Czy mógł znaleźć lepszego pomocnika niż ten chłopiec, który widział wszystko, co się wydarzyło w noc, kiedy Corien stracił swoją wielką miłość? Chłopiec, którego mógł ukształtować. Chłopiec, który trzymał cię w ramionach. Naznaczony z krwią anielską w żyłach.

Eliana zamknęła oczy i zacisnęła dłonie na poręczach fotela.

– Ze swojego miejsca u boku Coriena – ciągnęła Ludivine – Simon mógł służyć dwóm panom. Miał cię znaleźć, sprawić, że twoje moce się przebudzą, a potem pomóc cię złamać, przez cały czas udając lojalność wobec twojego największego wroga. Od początku jednak należał do mnie. Od chwili, gdy znalazłam go samotnego w śniegu, ściskającego skrawek twojego kocyka. – Jej głos stał się miękki i pełen współczucia. – Przykro mi, malutka. To był jedyny sposób. Jeśli cię to pocieszy, jego miłość nie była częścią mojej strategii. Oczywiście miałam nadzieję, że on cię pokocha. Dzięki miłości łatwiej mógł cię zranić, co przyspieszyłoby twoją drogę do zniszczenia, a później odrodzenia.

Eliańa otworzyła oczy, na moment zaskoczona do tego stopnia, że zapomniała o swoim gniewie. Ludivine uśmiechnęła się wielkodusznie.

– Popatrz tylko na siebie. Stałaś się wspaniałą istotą.

Moment przeminął.

Eliańa poruszała się jak płomień. Przewróciła stół, strącając miski, po czym uderzyła Ludivine mocno w twarz.

Ludivine nie wydała żadnego dźwięku, nie okazała bólu. Różowy ślad na jej policzku szybko zniknął.

– Skrzywdziłaś go – powiedziała Eliańa pełnym napięcia, cichym głosem. – Okaleczyłaś jego umysł w takim stopniu, że mógł służyć tobie i Corienowi, nie zdradzając się z prawdziwą lojalnością. Przemieszałaś go, rozszarpałaś na kawałki i pozszywałaś na nowo.

Ludivine otarła krew z wargi.

– To prawda.

– Jak się domyślam, Corien także go krzywdził, wiele razy, aby upewnić się, że nie jest oszukiwany.

– Każdą noc spędzoną spokojnie w pałacu Coriena Simon musiał przypłacić dziesięcioma nocami cierpienia – odparła wprost Ludivine. – Ale

Corien nie znalazł nigdy niczego podejrzanego. Dopilnowałam tego. Aż do dzisiaj wierzył, że Simon należy tylko do niego.

Oczy Eliany piekły od łez. Ledwie je zauważała. W piersi czuła gorącą furię.

– Jesteś potworem. Torturowałeś chłopca, który stracił ojca i dom, a potem wysłałeś go do innego potwora, na dalsze tortury.

Ludivine była nieprzejednana.

– Nie muszę ci mówić, że czasem należy dokonywać trudnych wyborów i dopuszczać się aktów przemocy dla wyższego dobra. Popatrz, co robiłaś dla swojej rodziny, gdy mieszkałaś w Online. Popatrz, co robiłaś dla Czerwonej Korony, dla Remy’ego, dla ludzi z tego świata. Poświęcenie nie jest ci obce, Eliano, podobnie jak okrucieństwo.

Akolitka pojawiła się niespodziewanie w drzwiach, wyrywając Elianę z ogarniającej ją rozpacz. Ci akolici byli zbyt spokojni jak na jej gust, ich spojrzenia zbyt bezpośrednie. Eliana zastanawiała się, jakich cierpień doświadczyli z ręki Ludivine. Czy byli wobec niej lojalni z miłości, czy może ze strachu?

– Przybyli, pani – oznajmiła akolitka, pochylając głowę.

– Dopilnujcie, żeby zostali nakarmieni i opatrzeni – rozkazała Ludivine. – Niebawem do was dołączymy.

Akolitka skinęła szybko głową i zniknęła.

– Później jeszcze o tym pomówimy. – Ludivine podniosła się z fotela. – Na razie zostawiam cię z tą myślą. Jedyńm sposobem na zakończenie tego, tej wojny trawiącej od tysiąca lat nasz świat i inne światy, jest to, żebyś powróciła do dawnej Celdarii. Przekonała Rielle do zabicia Coriena i zamknęła Bramę. Jeśli to konieczne, stanęła do walki z Rielle. Jeśli to nieuniknione, zniszczyła ją.

Eliana patrzyła na nią, przepełniona zbyt wieloma tłoczącymi się w niej smutkami.

– Kochałaś ją.

– Tak było.

– Mimo to mówisz o niej tak zimno.

– Miałam całe stulecia, żeby ją opłakiwać – powiedziała Ludivine. Strzepnęła z rękawa kawałek warzywa. Niezjedzona przez nią potrawka rozlewała się po podłodze. – Nie obawiam się już jej śmierci tak jak dawniej.

Chłodna maska jej twarzy wytrącała Elianę z równowagi.

– Nie rozumiem, jak ma się to nam w ogóle udać. Simon w pałacu wiele razy próbował podróżować. Nie był w stanie sięgnąć do swoich mocy.

– Ponieważ mu na to nie pozwalałaś. – Cisza dzwoniła w uszach. Ludivine uśmiechnęła się łagodnie. – Rozumiesz już, co musisz zrobić. Obudziłaś ponownie jego moce, gdy twoja miłość do niego była najsilniejsza. Za pierwszym razem, kiedy uzdrowiłaś Remy’ego. Potem znowu, podczas pobytu w Wierzbowym Dworze. Magia tego świata umarła, Eliano, empirium zostało z niego wyszarpięte i stało się odległe. Ożywa na nowo tylko poprzez ciebie. Gdy Simon zawiódł twoje zaufanie, żelazna pięść twojej gniewnej woli sprawiła, że jego moc na nowo stała się uśpiona i niepewna, tak jak widziałaś. Musisz raz jeszcze otworzyć przed nim serce, pozwolić mu ponownie odnaleźć swoje moce, jeśli mamy mieć jakąkolwiek nadzieję na dokonanie tego, co konieczne.

Eliana potrząsnęła głową. Wróciła na fotel i usiadła na nim ciężko, ponieważ nogi zaczęły pod nią drżeć.

– Jakim cudem? Po tym wszystkim, co on zrobił, co widział i słyszał... – Zamknęła oczy, z trudem dobierając słowa. – Mogę powtarzać

„wybaczam ci”, aż gardło mi zacznie krwawić, ale to nie będzie prawda, pomimo świadomości tego, co mu zrobiłaś.

– Nie mówię, że masz mu przebaczyć. Tylko zaakceptować.

Eliana usłyszała, że Ludivine przyklęka obok, więc otworzyła oczy i patrzyła na nią przez migoczącą mgłę nienawiści.

– Możesz tego nie zrobić – oświadczyła życzliwie Ludivine, nie spuszczać z niej wzroku. – Możesz nadal odmawiać mu jego mocy. Możemy siedzieć w tych komnatach, czekając, aż Corien dojdzie do siebie po kontakcie z ostrzem zagłady i nas znajdzie. Zabije nas wszystkich, włącznie z Simonem, ze mną i może nawet z tobą, bo pozostało mu bardzo niewiele zdrowych zmysłów, a wtedy wszystko pójdzie na marne. Wszystko to, co przeszłaś. Każda chwila, kiedy Simon szłochał u moich stóp, podczas gdy ja krajałam jego umysł. Wiem, że nie chcesz, aby tak się stało.

Eliana odwróciła głowę. Koszmarny nowy ciężar przygniatał jej ramiona. Kłócenie się z Ludivine było bezcelowe. Anielica znała jej myśli tak samo dobrze jak sama Eliana.

– Jeśli to zrobimy – zapytała cicho – to co stanie się z wszystkimi żyjącymi teraz? Remym i Navi, wszystkimi, których znałam i kochałam?

– Przestaną istnieć. Nigdy nie zaistnieją. Jeśli uda ci się przekonać Rielle do zabicia Coriena, wraz z jego śmiercią świat zacznie się na nowo. Zapanuje pokój. Ona naprawi Bramę, a aniołowie pozostaną uwięzieni w Otchłani.

Ludivine podniosła się i odsunęła od fotela Eliany, a wyraz jej twarzy się zmienił. W głębi korytarza rozległa się krótka szamotanina. Ktoś zbliżał się biegiem i w drzwiach zatrzymała się gwałtownie kobieta o brązowej skórze, z czarnymi włosami do ramion. Jej ubranie było brudne i poplamione krwią.

Zaskoczenie Eliany wybuchło z taką siłą, że nie potrafiła myśleć o niczym innym. Jej głos stał się ledwie słyszalnym westchnieniem.

– Navi?

Navi wydała zdławiony okrzyk, podbiegła do Eliany i zamknęła ją w duszącym uścisku. Eliana uczepliła się jej ramion i przyłgnęła do niej. Navi przyciskała twarz do szyi Eliany, mówiąc coś, co Eliana ledwie słyszała, ponieważ dzwoniło jej w uszach, jakby jej radość była rozkołysanym dzwonem.

Spojrzała na stojącą za plecami Navi Ludivine, bladą i nieruchomą w cieniu.

– Czy to jakaś sztuczka? – zapytała szeptem Eliana.

Nie, malutka, odpowiedziała Ludivine. Jej czarne oczy lśniły w blasku świateł.

Navi odsunęła się ze łzami na policzkach. Odgarnęła włosy Eliany za uszy i wydawało się, że chce powiedzieć tysiące rzeczy. Jakże prześliczna była Navi, nawet z tym siniakiem na policzku i zaschniętą krwią na rękach, przesiąknięta odorem śmierci. Kołnierz tuniki miała poplamiony intensywnie niebieskimi kroplami. Eliana trzymała jej twarz w dłoniach i nadal nie potrafiła znaleźć słów. Potrząsnęła głową, roześmiała się lekko, spróbowała znowu przytulić przyjaciółkę.

Navi cofnęła się jednak i zacisnęła ciepłe dłonie na rękach Eliany.

– Zahra jest tutaj. Myślę, że chciałaby cię zobaczyć, zanim...

Navi urwała. Obejrzała się w głąb korytarza, gdzie stała kobieta o białych włosach sięgających podbródka i ogorzałej, piegowatej skórze. Eliana zamrużyła, a jej umysł gorączkowo starał się nadążyć za tym, co widzi. Był tutaj Patrik, a także Hob, brat Navi, Malik i tuziny innych, których nie znała.

Zaś w stronę drzwi dryfowała ledwie widoczna, poszarzała sylwetka. Włosy falowały jak zmarszczki tworzone przez wiatr na tafli wody, ciemne oczy lśniły. Echo anielicy, którą niegdyś była, odmalowane w półcieniach.

– Zahro – wyszeptała Eliana, wyciągając do niej rękę. To wystarczyło, żeby Zahra krzyknęła cicho, pobladła, a potem pojawiła się znowu i spłynęła powoli na podłogę.

Eliana przyklękła koło niej. Jej dłonie unosiły się nad tym, co pozostało ze skurczonego ciała Zahry. Upiorzyca zmalowała do rozmiarów dziecka. Poruszające się zarysy jej ciała przypominały pasma rozwiewającego się dymu.

– Co się stało, Zahro?

– Moja królowo – wymamrotała Zahra. Cienka dłoń zrobiona z cienia przysunęła się do policzka Eliany. – Moja królowo, moja królowo. Jesteś.

Navi także przyklękła, a w jej orzechowych oczach lśniły łzy.

– Była wspaniała, Eliano. Ukrywała nasz statek przez całą podróż przez ocean. Przeprowadziła nas przez Morze Silarra, pomogła ominąć tuziny okrętów imperialnych. Osłaniała nas po drodze do Elysium, w mieście i tu na dole, gdy szliśmy do ciebie. Prorok... – Navi spojrzała na Ludivine i zmarszczyła brwi. – Prorok prowadził ją do ciebie. Ani razu nikt nas nie zauważył, Eliano. Wszyscy przeżyliśmy tę podróż. Jest nas prawie setka, wszyscy cali i zdrowi dzięki niej.

– Zahro, jesteś cudowna. Jak ci się to udało? – Eliana nakreśliła w umyśle obraz: one obie, przytulone do siebie. Zahra w anielskiej postaci, którą dawno temu Eliana zobaczyła w swojej wizji. Hebanowa skóra, białe włosy cienkie jak pajęczyna i sięgające do bioder. Platynowa zbroja lśniąca w blasku słońca, półprzejryste skrzydła unoszące się na jej plecach jak rzeki z cienia podświetlone gwiazdami.

Zanim jednak zdążyła przesłać ten obraz Zahrze, Ludivine powstrzymała ją łagodnym dotknięciem umysłu.

Ona tego nie wytrzyma, Eliano. Jej umysł rozsypuje się z nadmiernego wysiłku. Bądź ostrożna.

Eliana wpatrywała się w podłogę, gdzie ze znikającej Zahry pozostały tylko ledwie widoczne czarne smugi. Słaby ciemny zarys jej oczu był jedynie domniemaniem cienia na tle kamieni. Eliana potrząsnęła głową, czując, że boli ją gardło. Jej łzy spłukały ze świata wszystkie kolory.

– Zahro, dlaczego to zrobiłaś? – szepnęła.

Odparł jej nierówny głos jak najcichszy oddech:

– Dla ciebie, moja królowo.

Potem po skórze Eliany przemknął leciuteńki dreszcz. Bezdźwięczne wrażenie, jakby powietrze wypełniał wcześniej ogromny ciężar, gigantyczny intelekt, a teraz stało się puste.

Audric

Powstańcie wraz ze świtem, moi bracia, moje siostry, moi przyjaciele! Powstańcie wraz ze światłem! Ze słońcem za plecami stawimy czoła naszym wrogom bez strachu, rozpacz i zwątpienia! Będziemy czuć tylko gniew płonący jasno w naszych sercach! Miłość do tych, których utraciliśmy! Miłość do ojczyzny, która została nam odebrana! Oraz miłość do dnia, który – jak wiemy – nadejdzie jutro, a potem kolejnych dni, aż wstające słońce spojrzy na świat, na którym panuje nareszcie pokój!

– z mowy ogłoszonej przez świętą Katell z Celdarii do armii magów żywiołów przed Bitwą Czarnych Gwiazd

Audric na grzbiecie Atherii dotarł pod sam szczyt Cibelline i stał w ciszy, w rzadkim powietrzu, obserwując horyzont. Z tej wysokości malutkie ognie na strażnicach wydawały się śmiechu warte. Za nimi kłębiło się nieubłagane czarne morze – armia anielska, wśród której widać było pojedyncze rozbłyski światła. Niektóre unosiły się nad maszerującymi, inne wzbijały się w górę.

Audric wiedział, co oznaczają te światła. Przeczytał wszystkie kroniki z wojen anielskich, jakie znalazł. Od dziecka oglądał ilustracje w książkach i rysował własne szkice. To byli aniołowie w locie, na skrzydłach ze światła i cienia, które niosły ich nad górami i w chmury. Mogli przelecieć nad armią, pozostawiając tuziny żołnierzy o szklistych oczach i opróżnionych umysłach.

Rielle dała im ciała, co nie stanowiło zaskoczenia. Ale najwidoczniej dała także części z nich skrzydła.

Audric patrzył na lecących w oddali aniołów, aż nie był w stanie dłużej wytrzymać samotności. Odwrócił się do Atherii i oparł o nią ciężko, na miękkich nogach. Wpatrywała się w horyzont ze stulonymi uszami i obnażonymi zębami. Trzepała ogonem, jakby chciała nim kogoś chlasnąć.

Oddychał głęboko i szybko, wtulony w jej sierść. Kiedy powróci do Baingarde, będzie nie tylko królem, lecz także dowódcą. Nie okaże strachu. Nie będzie się wahać ani nie da się onieśmielić.

Ale na Cibelline, ukryty wśród wiekowych, szepczących sosen, przylgnął do Atherii, poszukując bezpiecznej przystani podczas sztormu. Boska bestia nakryła go skrzydłem, a on z wdzięcznością schował się pod nim. Minęła długa chwila. Na szczycie góry panowała cisza przerywana pojedynczymi okrzykami ptaków i świstem wiatru. Nie było słychać maszerujących butów, trzasków magii żywiołów, szczęku anielskich zbroi.

Evyline i słoneczne gwardzistki czekały na niego przy jednej ze zbrojowni. Niedługo się ubierze i będzie potrzebował pomocy w przypięciu elementów zbroi, założeniu płaszcza w kolorach szmaragdowym, fioletowym i bursztynowym.

Potem zaś będzie musiał stawić temu czoła. Stawić jej czoła. Będzie musiał stanąć przed swoją armią, oddziałami mazabackimi oraz magami przysłanymi przez świątynie i jakoś poprowadzić ich do walki skazanej z góry na przegraną. Ile jeszcze tysięcy mogą powołać pod broń? I ile może powołać Corien?

Oderwał się z trudem od kojącego ciepła brzucha Atherii i wsiadł niezgrabnie na jej grzbiet. Była wysoka, nawet gdy klęczała, a on czuł się zbyt roztrzęsiony, by ruszać się z gracją. Skulił się między jej skrzydłami,

po czym zeskoczył i spróbował znowu, i jeszcze raz, aż zdołał opanować nerwy i potrafił swobodnie podciągnąć się na jej szeroki grzbiet.

Całe tygodnie temu polecili razem w oko sztormu.

Sztorm i armia – jedno niewiele różniło się od drugiego.

Czepiał się tego kłamstwa, gdy Atheria poderwała się ze zbocza i przemknęła szybko i bezgłośnie nad drzewami. To były ostatnie chwile spokoju. Coś mu podpowiadało, że teraz już z każdym oddechem będzie musiał unosić jednocześnie miecz lub patrzeć, jak żołnierz, który przysięgał mu wierność, pada pod ciosem anielskiego ostrza.

Gdy Atheria ślizgała się na wietrze, Audric raz jeszcze spróbował sięgnąć do Ludivine. Na pewno nie zostawi go z tym samego. Pojawi się w ostatniej chwili, z jakąś bezcenną informacją lub genialną strategią albo z Rielle u boku. Ludivine będzie triumfująca, Rielle z roziskrzonym wzrokiem i pijana z ulgi, że jest nareszcie w domu.

To była żenująca wizja, pasująca do dziecka opowiadającego sobie bajki.

Audric zacisnął szczęki.

Ludivine? Jesteś tam?

Nie odpowiedziała. W wielotysięcznym mieście, w wielomilionowym kraju Audric był całkowicie, nieodwracalnie sam.

Nastał już wieczór, gdy przemówił do żołnierzy. Dziesięć tysięcy konnych i piechurów. W zbrojach i płaszczach, z mieczami u boku i formami lśniącymi oczekującą mocą. Metalowe obręcze i sztylety, trójkęby i włócznie, tarcze i młoty rozjaśniały swoim blaskiem miasto.

W całym Âme de la Terre mieszkańcy, którzy nie opuścili stolicy, ale byli zbyt młodzi lub starzy, żeby walczyć z bronią w ręku, gromadzili się na dachach i tłoczyli przy oknach, by zobaczyć Audrica i Atherię przejeżdżających przez miasto w drodze na Błonia.

Ziemia drżała pod stopami maszerującego wroga, niebo pociemniało przed burzą nieprzypominającą żadnej z wcześniejszych. Niebawem anielska armia przekroczy góry. Rzeźbiarze ziemi od tygodni pracowali nad przekształceniem całego pasma w umocnienia – blokowali przesmyki lawinami, cięli litą skałę, by stworzyć niemożliwe do przejścia przepaście. Uskrzydleni aniołowie mogli przelecieć nad takimi przeszkodami, ale reszta armii miała zatarasowaną drogę. Nawet szeroka przełęcz o łagodnych zboczach tworząca ogromną lukę w paśmie szczytów pomiędzy górami Taléa a Sorenne została ufortyfikowana. Audric spojrzał na nią z grzbietu Atherii. Niemal dwa lata temu omal nie zginął w tym miejscu podczas Wyścigu Obfitości. Dziwnie było wspominać czasy, gdy Borsvall był krajem wrogim, a nie rozpaczliwym sojusznikiem. Jeszcze dziwniej było myśleć o chaosie panującym tamtego dnia: ziemi rozsypującej się wokół niego, szybkich językach ognia sięgających przez Błonia w stronę miasta.

Rielle, oszalała ze strachu i wspaniała w swojej furii, rozszarpała świat, aby uratować Audrica.

Odetchnął głębiej i skierował Atherię na Błonia, gdzie jego armia czekała w karnych szeregach. Łucznicy, piechota z pikami i włóczyniami, magowie żywiołów trzymający na dłoniach ogień i wiatr. Wzniesli gigantyczny mur wokół samego miasta, gruby na sześć metrów i wysoki na sześćdziesiąt. Na jego szczycie rozmieszczono łuczników i magów żywiołów z naszykowanymi strzałami i kłębkami mocy przytrzymywanymi kurczowo w dłoniach. Gdy tylko armia wymaszerowała na Błonia, rzeźbiarze ziemi zniszczyli mosty wiodące do miasta nad jeziorem, które otaczało stolicę z większości stron. Teraz woda lśniła bez żadnych przeszkód, tworząc głęboki i szeroki półksiężyc od stóp Cibelline po jednej stronie aż na drugą. Jeśli aniołowie zdołają przebyć jezioro i sforsować mur,

napotkają kolejną armię – jeszcze tysiąc żołnierzy i magów gotowych do obrony na ulicach miasta.

Zdradziecki umysł Audrica uczepił się myśli, że to nie jest kwestia tego, czy aniołowie sforsują mur, ale kiedy to zrobią. Nie mieli nadziei na pokonanie maszerującej na nich armii. Zwiadowcy, którym udało się ujść z życiem, powiedzieli mu o potworach w szeregach anielskich – wynaturzonych istotach, okaleczonych i niekształtnych, takich jak w relacji szpiega Kamayin. Na tych stworach jechały dzieci obdarzone magią żywiołów, szarookie i śmiercionośne, z formami połączonymi ze zbrojami bestii. „Wynaturzone potwory”, powiedział o nich jeden ze zwiadowców, zanim wybuchnął histerycznym płaczem, klęcząc przed biurkiem Audrica. Bestie w płomiennych zbrojach. Dzieci zdolne bez mrugnięcia okiem otwierać szczeliny w ziemi.

Audric wylądował z Atherią na wysokiej kamiennej platformie wzniesionej przez Wielką Mistrzynię Florimond na brzegu jeziora. Zeskoczył z grzbietu boskiej bestii i spojrzał na Błonia. Dwadzieścia tysięcy żołnierzy patrzyło na niego – jego własne wojsko oraz siły Mazabatu. Dotknął wykutego wzmacniacza przy pasie, prezentu od Miren. Tego samego, którego używał jego ojciec podczas Wyścigu Obfitości. „Aby uczcić kolejny rok pokoju w naszym królestwie”.

Trzymał uniesionego Illumenora, dopóki żołnierze nie ucichli. Mieszkańcy miasta także go słuchali, spoglądając z lękiem na Błonia. Wielu z nich wiedziało, że ta walka jest beznadziejna. Bardzo nieliczni zdawali sobie sprawę z tego, że prawdziwa walka nie będzie się toczyć między ludźmi a aniołami.

Będzie się toczyć między Audrikiem i Rielle, gdy w końcu uda mu się ją odnaleźć. Jeśli zdoła przekonać ją, by użyła swoich mocy przeciwko

stworzonej przez siebie armii, być może uda się przechylić szalę zwycięstwa.

Jeśli nie, to miasto, ten kraj – ten świat – upadnie. Tego Audric był pewien. „Świat upadnie”, powiedział wieki temu Aryava. „Narodzą się dwie królowe”.

Dopiero w ostatnich miesiącach Audric pozwalał sobie spoglądać na te słowa z nadzieją. Gdy leżał samotnie w łóżku w Mazabacie, a wieści przekazane przez Ludivine ciążyły mu jak kamienie, powtarzał te znajome słowa. „Narodzą się dwie królowe”. Rielle, gdy odzyska jej zaufanie. A potem, po wojnie, ich córka. Księżniczka pokoju, w przyszłości królowa.

Na szczycie kamiennej wieży Audric opuścił miecz. Wokół niego panowała pełna napięcia cisza.

Niech światło Królowej mnie prowadzi, pomyślał i zapisał w swojej pamięci rozmyty obraz. Kształt twarzy jego córki, ciężar jej słodkiej główki w jego ramionach. Jak będzie wyglądała?

– Obawiacie się – odezwał się głosem grzmiącym przez wzmacniacz. Nawet z jego pomocą Audric musiał krzyczeć, żeby go słyszano. Noc była gęsta, zaciskała się na nich, jakby świat wiedział, co się zaraz stanie. – Widzicie zbliżającą się do nas ciemność. Słyszycie jej ryk. Ja także to widzę. Słyszę to w moich kościach. I ja także się lękam, przede wszystkim jednak czuję miłość. Czuję miłość do was, do miasta, w którym żyjemy, do tego kraju i jego mieszkańców, do każdego pola i lasu, każdej rzeki i góry. – Zaczął spacerować po platformie. Płaszcz uderzał go w nogi. Powietrze drżało, niespokojne w obecności tylu zgromadzonych magów żywiołów. – Możemy czuć strach. Wolno nam go odczuwać, to nasze prawo i leży w ludzkiej naturze. Nasza krew będzie płynąć szybciej, nasze kolana będą drżeć. Ale nasze serca... – Potrząsnął głową i popatrzył z żarem na żołnierzy. Całe tysiące, słuchające z szeroko otwartymi oczami, w hełmach

i płaszczach. Lśniące nadgarstki, miecze błyszczące przy pasach. Lęk pulsujący w ich gardłach. – Nasze serca nas dzisiaj nie zawiodą – obiecał. – To nie jest dzień strachu, lecz dzień miłości. Setki lat temu nasi święci walczyli z tymi samymi wrogami i zwyciężyli. Rozświetlili niebo ogniem, zepchnęli góry do morza i wygnali aniołów do Otchłani. Teraz aniołowie powrócili, a święci od wieków nie żyją. Ale my nie jesteśmy martwi, przyjaciele. My żyjemy! Dzisiaj to nasze miecze rzucą przeciwników na kolana! To nasza moc obróci ich w popiół tam, gdzie stoją! – Umilkł i pozwolił, żeby okrzyki i wiwaty żołnierzy przepływały wokół niego. Sprawily, że zemdlilo go z miłości. Pragnął przygarnąć każdego z nich do piersi i trzymać bezpiecznie, aż nadejdzie świt. Mrugał, aż zaczął widzieć wyraźnie. – Od bardzo dawna modlimy się tymi słowami: niech światło Królowej nas prowadzi. – Pozwolił, by te słowa zawisły w powietrzu. Wiedział, co pomyślą, o kim pomyślą, i pozwalał im na to. – Ja jednak powiem, że to my jesteśmy światłem! My jesteśmy ocaleniem, o które się modliliśmy! My stoimy na ziemi, która jest naszym domem, i to my przepędzimy z niej każdą istotę, która spróbuje ją nam odebrać! – Odwrócił się twarzą ku północy. Na górskiej przełęczy wezbrał czarny półksiężyc. Przez moment się zastanawiał, czy wysłać tam swoje myśli, tak jak nauczyła go Ludivine. Może ona by odpowiedziała. Może znalazła Rielle i poprowadzi go do niej. Zamiast tego uniósł Illumenora. Słońce zniknęło z nieba, ale resztki jego światła pozostały, więc Audric ściągnął je wszystkie do srebrnej płaszczyzny swojego miecza i oświecił ziemię oślepiającymi promieniami. – My jesteśmy światłem! – krzyknął.

Podjęli ten okrzyk – armia na Błoniach, ludzie w mieście. Powtarzali go raz za razem.

Sloane na czele oddziału zaklinaczy cieni, w zbroi czarnej jak obsydian, uniosła swoją łaskę. Kula na czubku lśniła błękitem jak rozpalone do

białości jądro płomienia. To światło wywabiło z ziemi cienie – wilki i jastrzębie, skradające się pумы z najeżonym futrem.

Topór Miren załśnił w blasku Illumenora, a dwie setki akolitów, mistrzów metalu, którymi dowodziła, podniosły w górę swoje formy.

Księżniczka Kamayin zaciskała pięści, jakby szykowała się do uderzenia przeciwnika, a na jej nadgarstkach migotały formy.

Królowa Bazati dobyła długiej, zakrzywionej szabli i zakręciła nią, wzbudzając porywisty wiatr.

Słoneczna Gwardia stojąca pod murem zwróciła konie w stronę gór. Okrzyki Evyline przypominały uderzenia młota w kowadło.

Mistrz Duval i jego pieśniarze wiatru; straż miejska; żołnierze Sauvillierów, którzy przysięgli wierność koronie; prywatna armia Oda złożona z najemników biegłych w posługiwaniu się nożem i łukiem, odziana teraz dumnie w barwy rodu Courverie.

Głosy wszystkich obecnych żołnierzy łączyły się w pełen furii chór.

– My jesteśmy światłem!

Audric wskoczył zgrabnie na grzbiet Atherii, która następnie wzbiła się w powietrze, a łucznicy na murach przyklękli, gdy się oddalał. Dotknęli warg i powiek w modlitwie Domu Światła.

– My jesteśmy światłem!

Ze Słoneczną Gwardią galopującą w dole jak lśniąca litera V Audric przeleciał nisko i szybko nad ogłuszającymi krzykami swojej armii. Unosił wysoko Illumenora, rzucając jasne promienie jego światła w ciemności nocy. Przez miarowe uderzenia jego serca zaczęło przebijać dudnienie gromu, gdy jego armia ruszyła do szarży, prowadzona światłem Illumenora. Słyszał niecierpliwe rżenie koni bojowych i ich ciężki oddech. Szczęk zbroi, syk i wibracje magii żywiołów szykującej się do uderzenia.

Moc pulsowała w żyłach Audrica, rozgrzewała płyty jego zbroi. Białe światło lało się z jego palców jak iskry strzelające z ognia.

– My jesteśmy światłem!

Jego słowa utonęły we wrzaskach wściekłości. Pod nim i za nim morze jego armii wezbrało, okrzyki bojowe wznosiły się wysoko w powietrzu. Dotarli do najszerzej części Błoni, rozległych łąk, długich i szerokich na całe kilometry, jeszcze wilgotnych po niedawnych deszczach. Konie wyrywały kopytami grudy błota. Rządcy wody wyciągali z ziemi deszczówkę i tworzyli z niej w powietrzu pienne spirale.

Audric obserwował horyzont. Aniołowie nacierali na nich. Na czele ich armii całe szeregi bestii wdarły się na Błonia, podpierając się groteskowo wielkimi ramionami, grubymi łapami, rozszczepionymi kopytami. Jedna – przypominająca niedźwiedzia, ogromna, z plamistym futrem, które wydawało się twarde jak skała – machnęła opancerzonym ogonem i wystrzeliła wstęgi ognia. Zalśniły upiorne światła, jasne i zmienne, jak księżycowe rzeki pozbawione kolorów. Skrzydła zbliżających się szybko aniołów.

Jednakże Audric się nie zawahał. Illumenor w jego dłoni wibrował piekielnym blaskiem. Oślepił ich. Audric słyszał skrzeczenie potworów w dole i widział, jak aniołowie skręcają szybko, jakby zostali trafieni pociskami.

Patrzył na nich z góry. Poza górami królowała noc, ale dzięki Illumenorowi na polu bitwy panował olśniewający, bezlitosny świt. Audric słyszał koszmarny odgłos dwóch ścierających się armii. Szczęk mieczy, wrzaski rannych żołnierzy.

– My jesteśmy światłem!

Mimo to nadal krzyczeli jego słowa.

Audric dopasował oddech do szybkich uderzeń skrzydeł Atherii, która pomknęła w stronę gór. Illumenor wycinał szeroką linię białego ognia przez środek anielskiej armii. Audric słyszał świst strzał, syczące przekleństwa aniołów, ale nikt i nic nie mogło się zbliżyć do oślepiającego blasku jego form.

Nie będzie w stanie długo panować nad tak potężną mocą.

Zwrócił swoje myśli ku szalejącej w dole bitwie i poszukiwał w chaosie Rielle.

Eliana

„Powiedz mi”, rzekła Morgaine do swego ukochanego, „czy będziesz o mnie myśleć, gdy mnie już nie będzie? Muszę się udać w tak dalekie strony, czeka mnie tak długa podróż”. I Morgaine zaszlochała, zawstydzona, że on widzi jej łzy, ale gdy Gilduin ucałował jej dłonie i spojrzał w pełne rozpacz oczy, Morgaine poczuła spokój, gdyż w jego oczach nie było nic prócz miłości. „Na cokolwiek na tym świecie zwrócę mój wzrok, będę myśleć o tobie”, zapewnił. „Ty jesteś wszystkim, co znam, wszystkim, czym jestem, wszystkim, czym będę”.

*– Ballada o Gilduinie i Morgaine, starożytny epos celdaryjski,
autor nieznany*

W pokoju, który przygotowała dla niej Ludivine, Eliana leżała obok Navi, obejmując ją mocno i przyciskając policzek do jej ramienia. Słuchała oddechu przyjaciółki i czekała na jej odpowiedź. Z przyływem niepokoju pomyślała o tym, że już niedługo będzie mogła czekać.

Corien nie na długo został osłabiony ostrzem zagłady Simona. Ludivine zamknęła się w swojej komnacie, żeby mieć na niego oko. Każda chwila przybliżała moment, w którym on odzyska siły i wyruszy na polowanie. Ludivine przypuszczała, że mieli tylko godziny – a i to nie tak wiele.

Eliana przytuliła się z boku do Navi, chciwie chłonąc jej ciepło. Przypominała sobie, jak Navi pocałowała tę kobietę o ostrym spojrzeniu i jeszcze ostrzejszym języku, Ysabet, zanim wycofała się do pokoju Eliany. Ich splecione palce, przelotny dotyk, zanim się rozdzieliły. Myśl o tym, że jej przyjaciółka znalazła miłość, powinna napełniać ją szczerą radością, ale

Eliana uzmysławiała sobie, jak niewiele czasu mogła spędzić z Navi, Zahrą i innymi, których tak gorąco kochała, i o tym, że wszystkie te chwile przypadają na czas wojny.

W końcu Navi odetchnęła głębiej. Pogładziła lewą ręką włosy Eliany.

– Cóż – powiedziała i nie dodała nic więcej.

Eliana popatrzyła na nią, przyglądając się jej twarzy. Delikatny zarys podbródka, grube i czarne rzęsy. Bawiła się brzegiem rękawa Navi, wdzięczna przyjaciółce za to, że nic więcej nie mówi. Nie musiała; Eliana widziała uczucia malujące się na jej twarzy.

– Wstydzisz się za mnie? – zapytała cicho.

– Ponieważ czujesz wobec niego litość? – Głos Navi był łagodny. – Oczywiście, że nie. Przyznaję, że sama ją odczuwam. Bardziej jednak lituję się nad tobą i cieszę się, że ani ja, ani nikt z moich ludzi nie widzieliśmy go dzisiaj. Postąpił rozważnie, pozostając w ukryciu. Nie jestem pewna, czy zdołałabym powstrzymać Ysabet, a ona nawet nigdy go nie spotkała.

Eliana uśmiechnęła się lekko. Zapadło milczenie rozciągające się w długą, niespieszną chwilę spokoju.

– Jestem zła, że muszę to zrobić – szepnęła w ciszy.

Palce Navi dotykały czule jej włosów.

– Ja także, kochanie.

– Jestem zła, że chcę to zrobić – ciągnęła Eliana, zanim Navi zdążyła odpowiedzieć. – Nie powinnam chcieć go znowu wpuścić do mojego serca. Przez całe miesiące broniłam się przed jego wspomnieniami. Chciałam wyrzucić mu krzywdę. Próbowalam wiele razy. Ale teraz, gdy myślę o tym, co zostało mu zrobione, moja nienawiść słabnie. Gdy myślę o tym, że mam go znowu zobaczyć, wiedząc to, co wiem teraz, czuję taką okropną ulgę. On cierpiał, podobnie jak ja. Wszystkie te tygodnie bólu w pałacu Coriena... On żył tak przez całe lata. On rozumie. – Odetchnęła z trudem. –

A potem nienawidzę siebie za to, że myślę o tym, gdy jest tyle innych spraw wymagających przemyślenia, tyle do...

Przełknęła bolesną, twardą gulę w gardle. Słowa czekały na jej wargach: „Jeśli to zrobię, Navi, jeśli mi się to uda, nigdy się nie spotkamy. Możliwe, że w ogóle się nie urodzisz”.

Ale może Navi urodzi się w swojej cudownej rodzinie w Astavarze. Będzie dorastać w Vintervoku bez mrocznej przyszłości na horyzoncie. Żadnej wojny, żadnej misji szpiegowskiej, żadnego cierpienia w haremie w Online.

– Na tym świecie jest i tak zbyt wiele nienawiści – odpowiedziała po chwili Navi. – Po co jeszcze kierować ją przeciwko sobie?

Później przesunęła się tak, że obie leżały teraz na boku, twarzami do siebie. Przycisnęła czoło do czoła Eliany.

– Mamy niewiele czasu – szepnęła Eliana. To mogło dotyczyć wszystkiego, każdego szczegółu, ale wiedziała, że Navi zrozumie, o co jej chodzi. – Ona powiedziała, że nie muszę mu wybaczać. Wystarczy, że na nowo otworzę przed nim serce. – Roześmiała się cicho, a na jej rzęsach zawisły łzy. – To, co jeszcze z niego pozostało.

– W takim razie idź do niego – odparła cicho Navi. – I bądź dobra dla mojej przyjaciółki. Jej serce jest silniejsze, niż jej się wydaje, niezależnie od tego, jakie zło próbowało je złamać.

Eliana pocałowała Navi w policzek, zamknęła oczy i zamarła na chwilę przy miękkiej skórze przyjaciółki. Potem podniosła się z łóżka i nie oglądała się za siebie.

Znalazła go w małym pokoju oddalonym od pozostałych. Jej krokami kierowała nerwowa energia, a gdy zapukała i usłyszała jego odpowiedź, wszystkie mięśnie jej ciała stężały. Panika pękała w niej jak poszerzająca się szczelina w cienkim lodzie.

Weszła do pokoju i ujrzała Simona siedzącego na brzegu wąskiego łóżka, które wydawało się za małe dla kogoś jego wzrostu. Czy tutaj spędzał miesiące nauki pod okiem Ludivine? Czy odwiedzała go, kiedy spał, zsyłała mu koszmary w tych ścianach?

Podniósł głowę i dopiero teraz zobaczył, kto przed nim stoi. Nie potrafił ukryć emocji malujących się na jego twarzy, przekrwionych oczu ani zaczerwienionych policzków, potarganych włosów. Spojrzał prosto na Elianę i natychmiast odwrócił wzrok.

– Nie – powiedziała i natychmiast do niego podeszła. – Jeśli ja nie mogę odczuwać ulgi, nie musząc na ciebie patrzeć, ty także musisz mnie widzieć. – Podniosła jego podbródek, żeby ich oczy się spotkały.

Jego rzęsy były mokre. Próbował znowu odwrócić spojrzenie, jednak nie pozwoliła na to, przytrzymując jego twarz nieruchomo. W pałacu Coriena był zawsze gładko ogolony, ale przez kilka ostatnich chaotycznych dni nie miał na to czasu. Na policzkach znowu miał zarost, a Eliana chciała pocierać o niego palcami, aż nie będzie mogła myśleć o żadnym innym odczuciu. Pragnęła zranić go w jak najokrutniejszy sposób. Pragnęła uciec przed nim i wszystkim tym, co na nich czekało.

– Wiem, co zostało ci zrobione – rzekła stanowczo. Trudno jej było mówić. Stawiała metalową pieczęć na każdym słowie. – Wiem, co przeszedłeś. Współczuję ci. Nie ufam ci.

Skinął głową, zaciskając mocno wargi. Spodziewał się, że ona to powie. Pod swoimi dłońmi czuła poruszające się mięśnie jego szczęki.

Zbyt wiele słów tłoczyło się w jej gardle, a niejedno z nich było okrutne. Miała ochotę wrzasnąć z frustracji. To się działo zbyt szybko jak dla nich obojga. Dzieliło ich zbyt wiele cierpienia, zbyt wiele kłamstw i dni spędzonych osobno.

– Ale cię kocham – rzuciła z wściekłością, jakby to było przekleństwo.

Simon patrzył na nią, prawie nie oddychając. Nie mrugał.

– Chciałabym nie poświęcać ci niczego – oznajmiła Eliana przez zęby. Jej policzki paliły gniewem, a serce bolało w zbyt wielu miejscach. – Ani mojej miłości, ani gniewu, ani wspomnień. Chciałabym, żebyś nie widział, co on ze mną zrobił. Chciałabym...

Nie była w stanie dłużej mówić. Simon nakrył jej dłonie własnymi. Ledwie jej dotykał; była jak skorupka jajka w jego rękach.

– Chciałabym cię zranić tak, jak ty zraniłeś mnie – szepnęła. – Chciałabym nie pragnąć cię już więcej, nie przejmować się tobą. Chciałabym, żeby zależało mi tylko na odzyskaniu przez ciebie mocy. – Potrząsnęła głową. W jej głosie pobrzmiwały ostrzejsze nuty. – Ale pragnę czegoś więcej. Nawet teraz, po tym wszystkim.

Kiedy Simon zamknął oczy, spod jego powiek wymknęły się łzy. Wtulił twarz w jej dłoń i wyszeptał jej imię w palce.

Patrzyła na jego wargi, walcząc gwałtownie z własną falą rozpacz. Świat przed jej oczami rozszczępiał się jak światło w diamentach.

– On mnie krzywdził – powiedziała cicho. – Wołałam cię. Wrzeszczałam, żebyś mi pomógł.

Simonowi wyrwał się pojedynczy szloch. Sięgnął do niej na oślep. Przytulił twarz do jej żeber, zacisnął dłonie na bluzce. Czuły ciężar jego dłoni sprawił, że po jej ramionach przebiegły gorące dreszcze radości. Jej instynkty walczyły ze sobą. Zostawić go samego z tym bólem, wtulić się w jego ciepło. Dwie drogi i żadnych odpowiedzi.

– Boże, wiem – odrzekł stłumionym głosem. – Słyszałem cię. Słyszałem każde słowo, Eliano. Słyszałem za każdym razem, gdy cię krzywdził, i nie mogłem nic zrobić. Czasem kazał mi patrzeć, a ty byłaś tak oszołomiona bólem, że nawet mnie nie zauważałaś.

Jego słowa sypały się jak odłamki szkła wbijające się w jej brzuch. Każde z nich ją kaleczyło, ale mimo to ścisnęła ramiona Simona, trzymała go mocno i pragnęła wchłonąć go w siebie, aż przestanie istnieć gdziekolwiek indziej.

Trzymała go za ramiona i patrzyła w ścianę, gdy szlochał. Jego łzy były bezgłośnie tak samo jak jej łzy, jego ciało zeszywniało. Jak przypuszczała, oboje do tego przywykli. Do ukrywania wszystkich oznak bólu.

W pewnym momencie nie mogła już dłużej stać. Nie obchodziło jej, że chciała go zranić, że przez miesiące patrzyła, jak krąży po pałacu, i wyobrażała sobie, jak morduje go własnymi rękami.

Pochyliła się, żeby pocałować go w czubek głowy.

– Tęskniłam za tobą – przyznała, chociaż nie chciała tego mówić, a potem wyrwał jej się szloch, nieoczekiwany i gwałtowny. Ledwie była w stanie oddychać, łzy napierały na nią jak pięści.

Nie wszystko zostało jeszcze powiedziane, nie wszystko mogło zostać kiedykolwiek powiedziane, ale Ludivine siedziała zamknięta w swojej upiornej, oświetlonej świecami komnacie i walczyła nieustannie. Nie było czasu, żeby powiedzieć cokolwiek więcej, żeby zaleczyć rany. Ludivine mówiła, że nie musi być przebaczenia. Tylko akceptacja. Eliana przyszła do Simona, zamierzając z nim jedynie porozmawiać, popracować nad otwarciem jej mocy na niego i pomóc mu jeszcze raz odnaleźć jego własną moc.

Gdy jednak uniósł do niej twarz, a jego dłonie drżały na jej rękawach, Eliana zapomniała o całej wściekłości, na którą pragnęła, by zasługiwał, i wiedziała, że nie zasługuje. Bez wahania pochyliła się do jego warg.

Zaczekał, aż usiądzie mu na kolanach, po czym objął ją ramionami. To uczucie sprawiło, że jej pierś omal nie pękła na pół. Ten spokojny kokon ciepła. Jęknęła na jego ustach, rozchyliła swoje, żeby przyjąć jego

pocałunki, które wlewały się w nią jak noże nagrzane w ogniu. Gorąca, lśniąca czerwienią stal, ostrza, które wślizgiwały się i cięły. Pachniał solą i dymem, mamrotał jej imię, aż te sylaby uczepiły się jej skóry.

Eliana wiedziała, że to nie przyniesie im ukojenia, ale mimo to lgnęła do niego. Jego palce sięgnęły do niej, a ona zacisnęła uda na jego ręce. Zrobią to, a potem będą cierpieć na ciele i duszy ze świadomością, że wszystko to, co starali się zamknąć pod kluczem, zdołało się znowu uwolnić. Jego moce powrócą, jeśli będą mieć szczęście, a może pecha, a wtedy on wyśle ją w przeszłość, by dokonała niemożliwej rzeczy, którą musiała zrobić. Ona już nigdy nie zobaczy tej jego wersji, nikogo z nich. Jeśli jej się uda, będzie dorastać w dawnej Celdarii, nieświadoma wszystkiego, czym dawniej była lub też nigdy się nie stała.

Wplotła palce we włosy Simona i pociągnęła mocno, żeby na nią spojrzeć. Jego oczy spoczęły na jej twarzy, tak samo rozpalone, jak je zapamiętała, a jego dłoń poruszała się tak jak za pierwszym razem, aż narastający w niej ogień wybuchł z rykiem pożaru. Zaraz za nim postępowała rozpacz, a Eliana wiedziała, że nie może przerwać, jeszcze nie, już nigdy.

Gorączkowo przesunęła się, żeby położyć się na plecach i przyciągnąć go do siebie. Ustawiła go we właściwym miejscu, objęła jego nogi swoimi. Na pewno wyczuwał jej desperację, rozpaczliwy żal gromadzący się w jej piersi jak burza szalejąca od gromów. Poruszał się mocno i szybko, jakby mógł zaszczepić w niej wspomnienie wszystkich nocy, których nigdy nie będą mieli. Przeprosić za wszystkie razy, gdy ją zranił. Błagać o przebaczenie, które nigdy nie nadejdzie.

Wygięła się pod nim i mocniej zacisnęła uda. Szarpnęła go za włosy, wbiła paznokcie w poznaczoną bliznami skórę na jego plecach. Gdy przylgnął do jej gardła, żeby ssać czule jej skórę, szeptem domagała się

więcej, błagała go, rozkazywała mu. Jej umysł stał się pienistą kaskadą światła. Nie myślała o niczym poza nim – o mapie blizn pod jej dłońmi, szorstkiej płaszczyźnie policzka drapiącej jej twarz, jego ustach na każdej drżącej krzywiznie jej ciała. Jego ochrypłym głose, gorącym w jej uchu, i o tym, jak prześlicznie się załamywał pod ciężarem jej imienia.

Później, stygnąc w wilgotnej pościeli, miękka i lepka w gnieździe jego ramion, Eliana przycisnęła twarz do jego piersi. Z bolącymi z napięcia szczękami, ociężałymi i zmęczonymi kończynami, nasłuchiwała miarowego bicia jego serca.

– Nie kocham cię – wyszeptała z żarem przy jego skórze.

Chwila ciszy. Potem poczuła dłoń Simona na swojej głowie, przytulającą ją do niego. Jego wargi dotknęły jej czoła.

– Wiem – powiedział głosem zdławionym od smutku. – Ja także cię nie kocham.

Simon

*W gwiazdach twoje włosy rysuję
Księżyc jest w twoich oczach
W mojej krwi twoje imię pulsuje
Lecz twoje kłamstwa czuję w kościach.*

– tradycyjna kirvajska piosenka ludowa

Gdy Simon się obudził, początkowo był w stanie tylko na nią patrzeć.

Nie zamykał oczu tak długo, jak mógł, rozkoszując się dźwiękiem jej oddechu. Ale zmęczenie w końcu wciągnęło go w płytki sen, w którym jak zawsze walczył na pustkowiach mrocznych koszmarów.

Później obudził się z Elianą skuloną obok niego. Jej twarz nawet we śnie była zaciśnięta ze złości. Ledwie ośmielał się oddychać, kiedy na nią patrzył. Poplątane ciemne włosy spadające na policzek, spierzchnięte wargi, pokryta siniakami, obolała skóra – nie on za to odpowiadał, ale równie dobrze mógłby sam to zrobić.

Nigdy nie zapomni jej twarzy tamtej nocy. Gdy tańczyli w lśniącej sali balowej w Festivalu, ona tuliła się do niego. Bała się, lecz nie zamierzała tego okazywać. Tylko mocno zaciśnięta na jego rękę spocona dłoń, gdy sunęli w walcu, zdradzała jej prawdziwe przerażenie. I potem, na statku admirała, kiedy wyszedł na pokład w imperialnym mundurze i patrzył beznamiętnie, jak całe światło gaśnie w jej oczach.

Beznamiętnie. Dokładnie tak jak nauczyła go Ludivine, a on od samego początku był pojętnym uczniem.

Mimo to bywały chwile, gdy omal nie zaprzepaścił tego wszystkiego.

Ostrożnie odsunął się od Eliany i usiadł na krawędzi łóżka. Przeczesał dłońmi włosy, a następnie oparł na nich głowę i zaczął się wpatrywać w podłogę.

Nie potrafił wygnać z umysłu obrazu Eliany skręcającej się na ziemi, podczas gdy Corien kuczał nad nią i przedrzeźniał jej krzyki. Otaczającej ich galerii potrząskanego szkła i Eliany wyciągającej do niego ręce.

Krzyczała do niego, szlochała jego imię, a on tylko stał jak nieskazitelnie doskonała kamienna kolumna, oczekując na swoje rozkazy. Ludivine nie przesyłała żadnych myśli do jego głowy, ale mimo to ją słyszał.

Jeśli się załamiesz, wszyscy zginiemy.

Serce Simona zaczęło bić mocniej, jego oddech przyspieszył. Uniósł drżące ramiona i omal nie roześmiał się na głos, ponieważ pomimo tych wspomnień tłukących się w jego znużonym umyśle jego moce natychmiast ożyły. Nici wysnuwały się z łatwością z powietrza i czepiały się jego palców jak rzepy płótna. Energia mrowiła go, w powietrzu wibrowała odległa pieśń.

Wyobraził sobie korytarz z gładkich kamieni tuż przed swoim pokojem. Niski sufit, żelazne uchwyty na pochodnie. Najpierw spróbuje tego, małego skoku z pokoju na korytarz.

Empirium przenika każdą żywą istotę i każda żywa istota powstała z empirium, recytował w myślach, czując w gardle narastający żar.

Jego moc łączy nie tylko ciało z kośćmi, korzenie z ziemią, a gwiazdy z niebem, ale także drogę z drogą i miasto z miastem.

Chwilę z chwilą.

Gdy jednak próbował skoncentrować umysł, myśli szarpały się i wymykały. Nici pod jego palcami zamigotały.

Zacisnął szczęki, całe jego ciało stężało, a dłonie rozświetlone mocą stały się nieprzyjemnie gorące. Nie był przyzwyczajony do posługiwania się magią i nie potrafił do końca skupić myśli na korytarzu przed pokojem. Jego pokojem. Wiele nocy leżał bezsennie jako dziecko, czując zimno z przerażenia i zastanawiając się, czy Ludivine przyjdzie do niego na kolejną poranną lekcję bezgłośnie, w jego umyśle, czy też pojawi się cicho w korytarzu przed jego pokojem. Niosąc tacę ze śniadaniem i kryjąc w spokojnych czarnych oczach nowe koszmary mające go zniszczyć.

Zamrugnął, żeby pozbyć się potu z oczu. Najgorsze było to, że nie obwiniął Ludivine. Nie obwiniął nikogo z nich – oprócz górującego nad nimi wszystkimi, liżącego swoje rany anioła oraz potwornej królowej, którą kiedyś tak bardzo kochał.

Simon omal się nie roześmiał na myśl o niej. Nazwali ją Królobójczynią. Jakże ją kiedyś uwielbiał. Nawet pod sam koniec, gdy okropne plotki krążyły po ulicach Âme de la Terre, a w teatrach rewiiowych dźwięczały wulgarne, obraźliwe dla niej piosenki, nawet wtedy Simon wierzył, że Słoneczna Królowa do nich powróci.

Teraz jednak jego umysł nie potrafił się skoncentrować na wspomnieniu Królobójczyni. Ledwie pamiętał jej prawdziwe imię. Spróbował je przywołać siłą, a jego ciało drgnęło z bólu.

Ludivine aż za dobrze nauczyła go nie myśleć o niej. Zaś Corien... Corien nie lubił, by myślał o niej ktokolwiek poza nim samym.

Simon zmarszczył brwi, patrząc na sztywne dłonie. Drżały w powietrzu, jakby napierał na niewidzialne drzwi. Nici pojaśniały na moment, a potem zgasły.

Wplótł palce we włosy i pochylił się nad kolanami, czując uwięzły w gardle krzyk frustracji. Zaciskał oczy, walcząc z chaosem w swojej

głowie. Zbyt wiele obrazów, zbyt wiele głosów. Zbyt wiele ran, zbyt wiele blizn.

Nagle coś poruszyło się za nim – cichy dźwięk, pytający – a on znieruchomiał, stężały z pragnienia i gorący ze strachu. Kiedy Eliana go dotknęła, jej miękkie i czułe dłonie spoczęły na jego ramionach, wyrwał mu się gwałtowny szloch. Sięgnął po jej rękę i przycisnął ją do ust. Nie potrafił jednak na nią spojrzeć. Nawet gdyby mieli całe życie do podziału na dwoje, nie był pewien, czy kiedykolwiek zdołałby przekonać samego siebie, że zasługuje, by na nią patrzeć.

– Próbuję sobie coś przypomnieć – powiedziała po chwili cicho Eliana. – Ale mam z tym trudność. Zastanawiam się, czy mógłbyś mi pomóc.

Simon zamknął oczy. Mógłby jej słuchać przez resztę tego życia, które mu jeszcze pozostało. W jej głosie kryły się cienie, lecz nadal należał do niej. Jakże za tym tęsknił. Jakże cierpiał w swojej cichej komnacie w pałacu, starając się ignorować odległe echa jej krzyków.

– Oczywiście, że ci pomogę – zapewnił ochryple.

– Cóż, to trochę zabawna sprawa. Po raz pierwszy spotkaliśmy się, ty i ja, w moim domu w Orlin. Walczyliśmy. Miałaś na twarzy maskę.

Simon sięgnął do tego wspomnienia. Było poszarpane, tak jak pozostałe. Chaotyczne przebłyski koloru uwięzione za skłębioną ciemnością. Ludivine zamknięta w swojej komnacie, Corien zamknięty w swoim pałacu, walczący przeciwko sobie – fale wywołane tą wojną tłukły w niego nawet teraz, chociaż był dobrze ukryty w sercu domu Ludivine.

– Pamiętam – odpowiedział w końcu. – Walczyliśmy. Byłaś bardzo dobra.

– Byłam – zgodziła się Eliana. – Ale właśnie jednej rzeczy nie mogę sobie przypomnieć. – Umilkła na chwilę. – Ile razy dałam ci w zęby? Trzy? Pięć?

Wyrwał mu się gwałtowny śmiech. Nie był przyzwyczajony się śmiać. Ten odgłos dziwnie wibrował w jego gardle, wywoływał zawroty głowy.

– Wyciągnąłem rewolwer – przypomniał sobie. – Nazwałeś mnie oszustem.

– Tak było – odparła lekko. – Inaczej bym cię pokonała.

– To mało prawdopodobne.

Znowu chwila ciszy. Potem Eliana przysunęła się bliżej, jej noga dotknęła jego nogi.

– Próbowałam także przypomnieć sobie inne rzeczy.

Wiedział, co ona robi. Czuł stabilny żar jej mocy sięgającej do niego, jakby rzeczywiście była słońcem, które zstąpiło z nieba, by go ogrzać. Już teraz czuł, że jego moc budzi się w odpowiedzi. Powietrze wokół zaczęło się stawać czystsze, podobnie jak jego myśli.

Zrobił głęboki wydech i jeszcze raz uniósł ręce.

– Jakie inne rzeczy? – zapytał. Światło rozkwitło miękko na końcach jego palców. Dobry płomień.

– Jak miał na imię twój ojciec? Kiedyś mi powiedziałaś.

– Garver – odrzekł. Imię spłynęło niezgrabnie z jego języka. Twarz ojca była odległą, rozmazaną plamą w jego wspomnieniach. – Garver Randell.

– Był uzdrowicielem.

– Tak.

– Oraz Naznaczonym, tak jak ty.

Simon skinął głową.

– Odpowiedz mi, Simonie – poprosiła łagodnie Eliana.

– Tak – odpowiedział. – Był Naznaczonym, tak jak ja. – Oblizął wyschnięte wargi. – Co jeszcze chcesz sobie przypomnieć?

– Imiona naszych przyjaciół, których zastrześliłeś w Festiwalu – powiedziała, nie oceniając.

Mimo to trudno było mu mówić.

– Darby. Oraia. Ester. Dani i jej syn Evon.

– Oraz wielu innych.

– Tak.

– Wszystko to, aby mi służyć.

– Zawsze, Eliano. – Jego głos uwiązł na cierniach. „Zawsze”. Okrutne, kłamliwe słowo.

Wstrzymał oddech i milczał, dopóki znowu się nie odezwała. Przed jego dłońmi wirował oślepiający krąg światła. Nici czekające, by ktoś przez nie przeszedł.

– Próbuję sobie też przypomnieć, jakie to było uczucie, pierwszej nocy, gdy byliśmy razem – wyszeptała w końcu.

– To było wszystkim – odparł Simon. Słyszał swój łamiący się głos, jakby nie znajdował się już we własnym ciele i nasłuchiwał z jakiegoś oddalonego miejsca, złocistego i ciepłego w świetle ich budzącej się mocy. – Tamtej nocy byłeś wszystkim. Byłeś całym światem, a ja byłem bezpieczny wewnątrz ciebie. Raz jeden czułem się bezpieczny.

Eliana powoli objęła ramionami jego pierś, przycisnęła policzek do skóry pomiędzy jego łopatkami i przytuliła go.

– Ja także – wyszeptała.

Simon pozwolił chwilę żyć temu wspomnieniu, a potem wstał i włożył spodnie. Zabrał ze sobą uczucie jej milczącego dotyku, gdy wszedł pomiędzy nici i wyłonił się w przeciwległym rogu pokoju z jej imieniem na

ustach. Nici ze światła zamknęły się za nim, pozostawiając smugę lekko gorzkawego zapachu dymu.

Odwrócił się i zobaczył, że Eliana na niego patrzy. Jej widokomal go nie pokonał. Naga w skłębionej pościeli, ze śladami przemocy odcisniętymi na jej skórze, unosiła dumnie głowę i spoglądała na niego spokojnie. Powietrze wokół niej migotało od mocy. Królowa w jego łóżku, której światło budziło świat.

Potrzebował całej swojej siły, żeby się od niej odwrócić i znowu spróbować, tym razem dalej i z większą łatwością, aż był w stanie przenieść się na drugi koniec siedziby Ludivine i z powrotem do swojego pokoju na jednym oddechu.

Usiadł ciężko na zimnej podłodze, drżąc z powodu emocji, których nie potrafiłby nazwać. Usłyszał, że Eliana podnosi się z łóżka, wkłada jego porzuconą tunikę i podchodzi do niego. Przyklękła i dotknęła jego twarzy. Jej palce tak ostrożnie muskały jego skórę, jakby się obawiała, że od niej odfrunie. Że ona się obudzi i to wszystko okaże się jeszcze jednym snem zesłanym przez jej wroga.

Simon wpatrywał się uporczywie w podłogę. To, co na nich czekało, budziło jego przerażenie. Tylko dwa razy w życiu spróbował otworzyć przejście w czasie i za każdym razem zakończyło się to katastrofą.

– Kiedy byłem młodszy – powiedział z trudem – nie potrzebowałem takiej pomocy, by używać magii.

– Nie ma nic złego w tym, że się potrzebuje pomocy.

– Nie, nie ma. Po prostu zapomniałem, jak to jest ją otrzymywać.

W tym momencie wyczuł zmianę, punkt zwrotny w bitwie toczącej się na obrzeżach jego umysłu. Wiedział, co to oznacza, ale zignorował to, zbuntował się przeciwko temu. Mocnym ruchem przyciągnął do siebie

Elianę, a ona przytuliła go równie mocno i przylgnęła do niego. Jej oddech w jego włosach był gorący, jej ciało zbyt szczupłe pod jego dłońmi.

– Jesteśmy czymś więcej niż nasz gniew – rzekła zniżonym głosem. Te same słowa wypowiedziała w Wierzbowym Dworze, w ogrodzie miękkim od deszczu, z ciepłą dłonią na jego poznaczonej bliznami piersi. Wspomnienie napłynęło ze słodyczą, jak ostatni liść opadający przed zimą.

– Nie jesteśmy tylko sumą tego, co nam zrobiono – odpowiedział i poczuł jej uśmiech na swojej szyi.

Drzwi się otworzyły. Stał w nich jeden z bezimiennych akolitów Ludivine, niezawstydzony, sztywny i rzeczowy. Eliana obróciła się, by rzucić mu gniewne spojrzenie przez ramię.

– Tak? – warknęła, a ostry dźwięk jej gniewu sprawił, że Simona przepełniła bolesna miłość.

– Ona mówi, że już czas – oznajmił akolita, patrząc im w oczy. – On nas znalazł.

Eliana

To nie sam koncept snucia nici czasu tak bardzo przerażał tych, którzy potępiali tę praktykę. Ich lęk wynikał raczej z możliwych reperkusji i nieprzewidywalności. Czas nie jest zegarem, który można dostroić, nawet jeśli podróżnik odznacza się wybitnym talentem. Czas jest bezkresny, brutalny i tak samo nieokiełznany – oraz zmienny – jak ocean.

– *Medytacje o czasie* Basara Oboro, wybitnego mazabackiego akademika

Eliana pobiegła do ulubionej komnaty Ludivine, a Simon trzymał się tuż za nią. Oboje mieli czyste ubrania przyniesione przez akolitów. Płaszcz Eliany, zapięty na ramieniu i sięgający do kolan, był na tyle wygodny, żeby umożliwiać swobodne poruszanie, ale na tyle gruby, by stanowić pewną ochronę. Miała szeroki pas z licznymi sztyletami, chociaż poczuła ukłucie żalu na myśl o swoich utraconych nożach.

Spojrzała na Simona tylko raz. Chwilę wcześniej przytulał ją, a jego twarz była szczera i pełna czułości. Teraz był przygotowany do bitwy. Miał długi płaszcz, tak jak Eliana, a pod nim kolczugę. Rewolwer u boku, noże w butach i pochwach przypiętych do przedramion.

Wewnątrz swojej komnaty Ludivine siedziała z Remym tak jak wcześniej z Elianą – na dwóch ustawionych naprzeciwko siebie fotelach, wewnątrz dużego trójkąta z migoczących świec.

Ludivine podniosła głowę, a jej skóra była blada jak zrobiona z kości. Elianę zaskoczyło, jak bardzo anielica zmieniła się w zaledwie kilka godzin. Cienie podkreślały zagłębienia na jej twarzy, nad górną wargą perlił się pot.

Jednak jej głos był chłodny jak woda.

– Czy wszystko udało się tak, jak powinno?

Eliana z przyjemnością uderzyłaby ją ponownie za te słowa. To zimno w głosie, jakby nie wiedziała doskonale, co się stało, jakby nie mogła wyczuć stanu ich serc.

– Tak jak powinno – potwierdził Simon ze wzrokiem jasnym jak oświetlona stal.

Ludivine nie drgnęła, ale Eliana usłyszała w umyśle jej głos, cichy i pełen smutku.

Tak mi przykro, malutka. Nie zawsze byłam taka jak teraz. Chciałabym, żebyś mogła mnie poznać, gdy moje serce nadal było całe.

Eliana niczego nie przesłała jej w odpowiedzi. Żadnej litości, żadnej życzliwości. Nie miała na to czasu. Jej ciało było napięte i drżące; napierała na samą siebie, jakby walczyła ze wzbierającą powodzią. Usłyszała ciche kroki przy drzwiach komnaty, a gdy się obejrzała, zobaczyła Navi i Ysabet, Patrika i Hoba, Malika i kilka innych osób tuż za nimi.

Navi podeszła do niej. Eliana z wdzięcznością wzięła ją za rękę i znowu odwróciła się do Ludivine. Nie patrzyła bezpośrednio na zwróconą tyłem ciemną głowę Remy’ego, zbyt przerażona, by się zastanawiać, o czym rozmawiał z Ludivine.

– Twój akolita powiedział, że Corien nas znalazł. – Wypluwała każde słowo z zaciśniętymi zębami i stwardniałym językiem. – Co chcesz, żebyśmy teraz zrobili? Gdzie on jest?

Ludivine wstała. Wzięła spokojny oddech, a potem lekko przechyliła głowę, jakby nasłuchiwała odległego dźwięku.

Eliana stężała. Minęła pełna napięcia chwila, zanim usłyszała to sama: dudniące wibracje, odległe wysokie skrzeczenie. Ciche, ale nie do pomylenia z niczym. Powietrze zgęstniało i znieruchomiło. To był moment przed natarciem burzy.

Inni, stojący za Elianą, poruszyli się niespokojnie.

Ysabet podeszła bliżej, oparła dłonie na biodrach i zmrużyła oczy.

– Ona coś zrobiła. Czujesz to? Kamienie wibrują pod naszymi stopami. – Ruszyła ostro głową. – Co takiego zrobiłaś, anielico?

Stojący obok Eliany Simon przestąpił z nogi na nogę. Spojrzała na niego. Nie odwzajemnił jej wzroku, lecz wyczuwała, że teraz robił to z innego powodu.

Ludivine skinęła na dwójkę akolitów przy drzwiach. Natychmiast zaczęli opróżniać komnatę – wynieśli fotele, dywan i postumenty, na których paliły się świece. Pozostały tylko same świece i ukryty w pochwie miecz Katell.

Remy bez słowa podszedł do Eliany i wziął ją za drugą rękę. Ból, który uwiązał jej w gardle, rozszerzył się teraz gwałtownie. Jeśli to zrobią, nic nie będzie miało znaczenia. Ani Vaera Bashta, ani Invictus, ani twardy, nowy blask w oczach Remy’ego. Urodzi się jako syn Iosepha i Rozen Ferracorów i będzie żyć szczęśliwie w Online, pisząc opowieści i piekąc ciasta. Nie zamierzała brać pod uwagę żadnej innej możliwości.

– Ta komnata znajduje się pośrodku labiryntu – powiedziała Ludivine, całkowicie nieruchoma, podczas gdy akolici krzatali się wokół niej. – Są tutaj tuziny pokoi, setki korytarzy. Niektóre prowadzą do komnat, inne donikąd. To da nam trochę czasu. Krucjusze są inteligentne, ale żądza krwi przytępia ich zmysły.

Navi odetchnęła głęboko.

Simon stał w milczeniu tuż za Elianą, zaciskając po bokach dłonie w pięści.

Eliana ostrożnie sięgnęła do umysłu Ludivine, która natychmiast pokazała jej prawdę. W czarnych, niemrugających oczach anielicy nie było cienia wstydu.

– Sprowadziłaś krucjusze w podziemia – wyszeptała Eliana. Wysokie, ochryple wrzaski, nadal odległe, zawtórowały jej słowom, jakby bestie usłyszały, że o nich mowa.

Ktoś za jej plecami – chyba Hob – wymamrotał ostre przekleństwo.

– Dlaczego? – szepnęła ochryple Navi. – Jak?

Komnata drżała od coraz silniejszych wibracji. Coś zbliżało się do nich, jakiś bezwzględny, maszerujący ciężar. Bestie? Czy coś gorszego?

Żołądek Eliany się zacisnął. Jej umysł stał się jasny, całe gorąco zastąpił chłód.

– Ponieważ aniołowie idą po nas – powiedziała. – A krucjusze będą nas chronić.

– Chronić? – prychnął Patrik, patrząc gniewnie na Ludivine. – One nie żywią do nas cienia sympatii, a dzięki tobie za chwilę będziemy musieli się zmierzyć z dwoma wrogami.

Eliana od tak dawna nie widziała Patrika, że obraz jego rozwścieczonej twarzy kołysał się niezgrabnie na powierzchni jej umysłu jak olej wylany na wodę. Był znajomy i jednocześnie obcy, z krwi i kości, ale także będący zaledwie wspomnieniem. Spoglądał ze złością na Ludivine, ukrywając okaleczone oko pod postrzępioną czarną opaską. Koło niego stał Hob, wysoki, ze zmarszczonym czołem i świeżymi bliznami na ciemnej skórze. Była tu też Navi z oczami lśniącymi od łez i ustami zaciśniętymi z gniewu. Obok niej Ysabet, która wyglądała, jakby była gotowa rozszarpać gardło

Ludivine zębami. Przy drzwiach czekał Malik, tak bardzo podobny do Navi – z pięknym, prostym nosem i ciepłymi ciemnymi oczami. W korytarzu tłoczyli się wszyscy, których Navi przywiozła ze sobą z oceanu. Tuziny uchodźców, żeglarzy i doświadczonych wojowników. Wszyscy oni byli teraz uwięzieni pod ziemią.

Eliana patrzyła na nich i czuła, że skóra zaczyna ją powoli mrowić ze zgrozy. Rozumiała już, dlaczego Ludivine tak długo zwlekała, zanim ją tutaj sprowadziła. Czekala, aż przybędzie mała armia Navi – możliwa do poświęcenia piechota. „Pomoc nadchodzi”, słyszała od Proroka. „Pomoc jest blisko”.

Ludivine uśmiechnęła się blado do wszystkich zgromadzonych.

– Już czas. Pospieszcie się. Ona was potrzebuje.

Ich twarze, jedna po drugiej, zmieniały wyraz. Przemykały po nich emocje jak drżące fale żaru. Strach twardniał i przekształcał się w gniew. Łzy wysychały, wargi się zaciskały. Patrik jako pierwszy odwrócił się i dobył miecza, przepchnął się pomiędzy pozostałymi, żeby ruszyć w głąb korytarza. Hob pobiegł tuż za nim, a później dołączyli do nich Malik i Ysabet z pełnym furii warknięciem.

Navi ze zdławionym szlochem mocno przytuliła Elianę. Zaraz potem także zniknęła, jako ostatnia opuściła komnatę. Eliana stała nieruchomo, ledwie słyszała ich bojowe okrzyki poprzez ryk krwi w swoich uszach. Odetchnęła jeszcze raz i odrętwienie zniknęło. Dźwięk zwałił się na nią falą. Zawołała po imieniu Navi, spróbowała pobiec za nimi. Czyjeś dłonie przyciągnęły ją do szerokiej piersi. Zbyt rozwścieczona, by krzyczeć, odepchnęła Simona eksplozją mocy ze swoich form. Nie uświadamiała sobie, że przewróciła Ludivine na podłogę i zaczęła tłuc pięściami jej pozbawioną litości, bladą twarz, dopóki Remy i Simon jej nie odciągnęli.

– Każdego dnia, gdy mi pomagałaś, pracowałaś ze mną nad wzmocnieniem moich mocy – warknęła Eliana – wiedziałaś, co zamierzasz zrobić. Widziałaś, jak Navi i inni się zbliżają, i przyprowadziłaś ich tutaj. Wiedziałaś, że wyślesz ich do walki z krucjuszami, poświęcisz ich bez namysłu, jeśli to pozwoli nam zyskać na czasie. Wiedziałaś i nie powiedziałaś mi ani słowa.

Ludivine usiadła i otarła twarz. Eliana patrzyła, jak jej warga przestaje krwawić.

– Oczywiście, że nie powiedziałam.

– Ponieważ się obawiałaś, że będę z tobą walczyć.

– Niczego się nie obawiałam. Wiedziałam, że zareagujesz tak jak teraz.

Elianie wyrwał się szloch. Twarz Navi była rozmazaną plamą przed jej oczami.

– Kocham ich.

– Zaś oni kochają ciebie. Nawet ci, którzy nigdy cię nie poznali. Kochają cię za to, co im o tobie opowiadano. Wierzą, że możesz ich ocalić. A jeśli muszą zginąć, aby ci to umożliwić, niech i tak będzie. – Na ustach Ludivine pojawił się lekki uśmiech. – Navi kreśliła urzekający obraz twojej osoby każdemu, kto chciał posłuchać. To jasne, że cię kochają. Jeden wieczór u boku Navi, wysłuchanie jej historii o tobie i każdy by uwierzył w jej słowa. Że jesteś królową ponad wiekami.

Eliana wyrwała się Simonowi i Remy’emu. Jej stopy na podłodze były jak skamieniałe.

– Dopiero co sięgnęłaś do ich umysłów i posłałaś ich do walki. Mogłaś tak zrobić z każdym, wykorzystać tuziny ludzi z Elysium. Dwie setki, pięć setek. Dlaczego oni?

Ludivine roześmiała się lekko. Jej twarz się nie poruszyła. Jej wargi były blade, oczy groteskowo czarne na tle wybielonego płótna skóry.

– Nie jestem pewna, czy zdajesz sobie sprawę z jego gniewu – powiedziała głosem gładkim jak wypolerowane ostrze. – Muszę używać większości mojej siły, by nie wpuścić go do tej komnaty. Niewiele mi jej pozostaje, zaledwie tyle, by zachęcić ludzi, którzy i tak byliby skłonni umrzeć za ciebie, aby rzeczywiście to zrobili. Nie zdołałabym tutaj sprowadzić ludzi z miasta. Nie mogłabym się dostać do ich umysłów i zamienić ich w marionetkowych żołnierzy. Za bardzo bym się wtedy odsłoniła. Za bardzo odsłoniłabym Simona albo ciebie. Teraz zaś każda moja część, która jeszcze żyje, walczy z nim.

Eliana przycisnęła pięści do swoich ud. Setka ludzi wydawała się niczym w zestawieniu z całą ludzkością. Wiedziała o tym.

Mimo to uczepliła się swojego gniewu.

– Nie dałaś im wyboru – szepnęła.

– Z własnej woli postanowili przypłynąć do ciebie – odrzekła Ludivine. – Postanowili iść za Zahrą przez miasto rozdzierane na kawałki, gdzie w każdej chwili ona mogła zginąć, a oni zostać zauważeni. Jeden słaby punkt w mentalnej zbroi Zahry wystarczyłby, żeby znalazł ich okręt wojenny i zatopił na środku morza. Ja uczyniłam tylko sugestię w tym momencie. Byłam leciutkim wiatrem wiejącym w plecy wojowników gotowych już do biegu.

Eliana była zbyt odrętwiała ze smutku, by zaprotestować, gdy Ludivine wzięła ją za rękę. Żałowała, że zamiast tej czarnookiej anielicy z dziurą w miejscu, w którym powinno się znajdować przywłaszczone serce, nie stoi przed nią Zahra. Sformułowała tę myśl z całym okrucieństwem i cisnęła nią w twarz Ludivine.

Która pozostała niewzruszona i gładka jak porcelana.

– Pięcioro moich akolitów zginęło dwadzieścia minut temu, wabiąc krucjusze do mojego domu – oświadczyła cicho Ludivine. – Spędziłam

z nimi długie lata. Opłakuję ich śmierć. Ale posłałam ich tam bez wahania, a oni bez wahania poszli. Gdy Navi i Ysabet wraz ze swoją załogą wypłynęły z Vesperów, wiedziały, że zmierzają na pewną śmierć. Zrobiły to z własnej woli. Zrobiły to dla ciebie. To był ich wybór, żeby stanąć do walki wtedy i dzisiaj. Powinnyśmy uszanować ten wybór i zrobić to, co musi zostać zrobione.

Eliana popatrzyła w czarne oczy Ludivine, a potem odwróciła się do pustych drzwi. Zaledwie chwilę wcześniej stała tam Navi, a także Patrik i Hob. Za jej plecami Simon i Ludivine coś mówili. Ignorowała ich i nasłuchiwała odległych odgłosów walki. Potwornych skrzeków, mokrych, gardłowych ryków.

Szczęku mieczy.

– Słyszę miecze – powiedziała, a te słowa smakowały ohydnie na jej języku.

– Moi akolici przed śmiercią zdołali zwabić pod ziemię setkę krucjuszy – odparła Ludivine. – Zaś Corien wysłał przodem pięciuset aniołów. Posuwają się powoli, unikając krwi krucjuszy rozlanej przez naszych przyjaciół. To nam da trochę czasu, ale samą przewagą liczebną z czasem pokonają bestie. Będą jak morze, które oczyści dla niego przejście. Za niecałą godzinę on stanie w tej komnacie. Wtedy jednak ciebie tu już dawno nie będzie.

Eliana się odwróciła. Simon stał na środku komnaty, plecami do niej. Wyciągał z powietrza nici i splatał światło.

Ludivine położyła dłoń na ramieniu Remy'ego.

– Remy i ja ćwiczyliśmy staroceldaryjski. Na wypadek gdyby coś się stało z Simonem, Remy będzie wiedział, jak rozmawiać z każdym, kogo możecie spotkać. Język wspólny był wtedy inny, a Celdaryjczycy prędzej zaufają ci, jeśli będziesz mówić w ich języku. Na szczęście Remy już

wcześniej dysponował bogatym słownictwem. Nauczył się bardzo wiele pod okiem Jessamyn. – Uśmiechnęła się z czułością i wsunęła Remy’emu pasmo ciemnych włosów za ucho. – Gdybyśmy tylko mogli spędzić razem więcej czasu, Remy Ferracoro. Twój umysł jest fascynujący. Kryje się w nim tak wiele marzeń nawet po miesiącach życia w ciemności.

Obserwując ich Elianę zemdlilo. Szarpnięciem odciągnęła Remy’ego od Ludivine i przeprowadziła go na drugi koniec komnaty.

Ukryta w cieniu, postarała się opanować. Przycisnęła czoło do jego czoła, położyła mu dłonie na policzkach. Jego oczy były całym jej światem. Przekrwione i błękitne, otoczone ciemnymi rzęsami.

– Powiedziałabym, że nie możesz iść ze mną – stwierdziła – ale wydaje mi się, że nie przyjąłbyś tego do wiadomości.

Leciutki uśmiech uniósł kąciki jego ust.

– Jeśli zostanę tutaj, na pewno zginę. Jeśli pójdę z tobą, mogę przeżyć.

Przygryzła język. To nie była chwila, żeby rozmawiać o czasie, o tym, co może i nie może się zdarzyć, co się zmieni lub nie.

– Coś w tym jest – przyznała słabo.

Remy położył dłonie na jej rękach i lekko przycisnął jej palce.

– Uda ci się, El.

Dziwnie było słyszeć to zdrobnienie wypowiedane jego nowym, przechodzącym mutację głosem. Widzieć tego chłopaka przed sobą, szczupłego zabójcę o czujnym wzroku. Wycisnęła gorący pocałunek na jego czole. Jeśli nie będzie patrzeć wprost na niego, może udawać, że ostatnie kilka miesięcy nie istniało, i wyobrazić sobie swój pokój w Orline. Koronkowe firanki, narzutę jej matki, głos Remy’ego kołyszący ją do snu, gdy czytał jej o świętych i aniołach, boskich bestiach i królach.

Z korytarza dobiegały okropne dźwięki, łoskoty i chrzęst szarpiących zębów, szczęk mieczy jak uderzenia otwierających ziemię piorunów. Przez

chaos przebił się ostry krzyk. Eliana pomyślała, że to brzmi jak głos Navi. Jej szyja zrobiła się zimna od potu.

Ludivine wyminęła ich, żeby podejść do drzwi. Światło rozrastających się nici Simona rozjaśniało ściany dziwnym blaskiem, bladym białym złotem, które miało ostry, gryzący zapach jak srebrzyste wyładowania wypluwane z chmur burzowych.

– Kiedy przejdziecie przez nici, znajdziecie się w ogrodach królewskich na tyłach Baingarde – powiedziała Ludivine. Jej włosy w coraz jaśniejszym świetle były jak roztopione złoto. – To był spokojny wieczór. Audric, Rielle i ja odpoczywaliśmy pod drzewem żałobnika po ciężkim dniu. Ciężkim, lecz owocnym. Próby się zakończyły. Nie wyruszyliśmy jeszcze na objazd królestwa, żeby zaprezentować Rielle poddanym. Jej ojciec zginął niedługo wcześniej, podobnie jak ojciec Audrica, a my przeżywaliśmy jeszcze żałobę i czuliśmy lęk, ale gdy byliśmy tylko we troje, był w nas także spokój. – Obejrzała się przez ramię. Światło nici nadawało jej oczom złocisty poblask. – Simonie?

– Prawie gotowe – rzucił zduszonym głosem.

Eliana podeszła do niego i stanęła obok. Poczuła, że Remy do niej dołączył, i kątem oka zobaczyła zachwyt malujący się na jego twarzy, kiedy patrzył na Simona przy pracy. To sprawiło, że zaczął jej się wydawać bardziej znajomy.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytała Eliana.

Simon krótko potrząsnął głową.

– Nie.

– Doskonale sobie radzisz.

Jego usta drgnęły. Na jego skroniach lśnił pot.

– Skąd wiesz?

W gruncie rzeczy nie wiedziała. Ale to było prześliczne, podobnie jak wcześniej. Patrzyła, jak jego długie, zwinne palce wysnuwają światło z powietrza. Marszczył z powagą brwi, zaciskał mocno szczęki.

Położyła dłoń na jego ramieniu. Jego ciało się odprężyło, a wirujące nici światła zebrane w palcach stały się grubsze i pojaśniały.

Pomimo lodowatego strachu w piersi Eliana się uśmiechnęła.

– Dziękuję – szepnął Simon głosem niemal niesłyszalnym w coraz wyraźniejszym brzęczeniu nici, a chociaż nie mógł opuścić uniesionych dłoni, Eliana poczuła, że przysuwa się do niej. Ich nogi się dotknęły. Remy wziął ją pod rękę i przycisnął policzek do jej ramienia. Raz za razem powtarzał jedno zdanie w staroceldaryjskim. Kątem oka Eliana dostrzegła, że jedna ze świec zamigotała.

Nagle z korytarza dobiegł huk wybuchu, ogłuszający szczęk metalu o kamień. Przez otwarte drzwi Eliana ujrzała przelatujące ciało zabitego krucjusza, ciśnięte przez coś niewidocznego. Gładkie, czarno-zielone pióra drapieżcy pozostawiły na podłodze intensywnie niebieskie smugi.

– On się zbliża szybciej, niż przypuszczałam – oznajmiła Ludivine. Jej głos niczego nie zdradzał, ale Eliana wyczuła ledwie zauważalne drgnienie w jej umyśle.

– Wyślesz nas tam i od razu przejdiesz za nami – powiedziała stanowczo Eliana do Simona. – Zamkniesz za sobą nici. Nie będziesz się oglądać.

Simon skinął głową. Leciutki dreszcz przebiegł jego ciało. Jego nici – całe tuziny, może setki – tworzyły pełen pierścień wirującego światła. Eliana patrzyła, jak do jasnych nici dołączają ciemniejsze i je pożerają. Strzelały jak bicze, pryskały w powietrze ciemnością. Pierścień światła zamigotał, przygasł i znowu pojaśniał. Ciemne nici splotły się z nićmi ze światła. Po drugiej stronie pierścienia pojawiły się kształty – wysokie,

zielone cienie jak ogromni żołnierze maszerujący w równych szeregach. Drzewa?

Skóra Eliany zamrowiała. „Ogrody królewskie na tyłach Baingarde”.

Podniosła ukryty w pochwie miecz Katell i przypięła go do swojego pasa, a potem wyciągnęła, żeby mu się przyjrzeć. Był bardziej elegancki, niż sądziła – na złotej rękojeści wyryto wyobrażenie promieni słońca, ostrze zostało wypolerowane do połysku. Chociaż wydawał się wielki, w jej dłoniach był lekki i poręczny. Stała i zachwycała się tym, z jaką łatwością ostrze przecina powietrze. Jej formy wibrowały na pochwie, ich oślepiające światło tuliło się do metalu.

Przerażające wrzaski odbiły się echem w korytarzu. Ktoś, kogo głosu nie знаła, błagał o litość.

Poczuła w swoim umyśle nacisk ciemności, której towarzyszył cichy szept:

Eliana.

Z mocno bijącym sercem schowała miecz Katell do pochwy. Ogarnęły ją bolesne skurcze, rozpaczliwa tęsknota za jej pokojem w domu, za dzielną, kochaną Zahrą, za ciepłym uściskiem ramion Navi. Patrzyła na nici i przytrzymywała ten supeł nieruchomo w gardle, żeby nie zdołał się wydostać. Poruszyła ramionami, przestąpiła z nogi na nogę, strzepnęła dłonie i palce. Jej formy rzucały światło na sufit.

Obok niej ręce Simona drżały w powietrzu, jakby podtrzymywał niewyobrażalny ciężar. Sięgnęła do niego, ale uznała, że lepiej tego nie robić. Gdyby tylko mogła zamknąć go w ramionach, jeszcze raz wtulić twarz w gorącą przestrzeń między jego łopatkami.

Zamiast tego odwróciła się do wirującego pierścienia światła sypiącego iskrami na cały pokój i przygotowała się do biegu. Jej mięśnie stężały, miecz Katell ciążył jej lekko swoją obcością. Remy obok niej trzymał

w prawej ręce sztylet. Na jego biodrze lśnił następny. Jego twarz, wymizerowana po utrzymujących się efektach tortur Coriena, wydawała się wyrzeźbiona z kamienia. Można by go ustawić na szczycie jednej ze świątyń Orline na pamiątkę dawnych walecznych świątych.

Moment pojawienia się Coriena Eliana wyczuła na swojej skórze jak zapadnięcie nocy. Powietrze zapulsowało, nagle tak gęste i duszne, że Eliana z trudem łapała oddech. Ryk furii uderzył w ściany. Metal szczęknął o metal. Czy Corien także miał miecz? Jak wyglądała dwójka aniołów zwartych w walce na ostrza i umysły?

Nie odrywała wzroku od nici. Poczowała, że Remy podrywa się do biegu, więc chwyciła go i obróciła do siebie.

– Nie patrz na niego – mruknęła. – Patrz na Simona. Patrz na światło.

Czuła palce Coriena szarpiące obrzeża jej umysłu, poszukujące jej. Jej spokój rozpękał się jak drewno.

Eliana. Jego szept spadał niczym kamienie. Lawina rozwścieczonego dźwięku. *Eliana.*

– Ruszaj.

Ochrypli głos Simona zabrzmiał jak wystrzał. Eliana patrzyła na wirujące nici, jakby otaczały przepaść, zimną i bezdenną. Fala strachu przemknęła po jej skórze, kłująca jak igły.

Oparła się pokusie dotknięcia Simona i zamiast tego przysunęła się do niego tak blisko, jak się ośmieliła.

– Teraz? – szepnęła.

W jego oczach lśniły łzy. Jego wargi się wykrzywiły.

– Teraz. Ruszaj, Eliano.

Za ich plecami rozległ się ostry krzyk. Jakiś płonący instynkt nakazał Elianie się odwrócić. Biała, częściowo podarta koszula Coriena lśniła wilgocią czerwonej i niebieskiej krwi. Czarne żyły tworzyły mroczną mapę

na jego zimowej skórze. Rzęził, oddychając, a każdy jego krok był niepewny, ale jakkolwiek działała na niego krew krucjuszy, jakkolwiek ból pozostałby po ostrzu zagłady, on potrafił to przezwyciężyć. Mniej potężny anioł tak skąpany we krwi mógłby umrzeć na miejscu.

Corien obnażył tylko zęby i uniósł wysoko miecz. Ludivine się zachwiała. Uniosła dłoń do skroni. Corien z wrzaskiem wściekłości zamachnął się na nią, a jego ostrze gładko przecięło szyję Ludivine. Krew wytrysnęła jak czerwony deszcz. Jej głowa spadła na ziemię i się potoczyła. Jej ciało zwiotczało, a miecz upadł ze szczękiem.

W głowie Eliany rozległo się paniczne wycie. Obróciła się do nici i rzuciła się do nich. Chwyciła Remy'ego za rękę, przeciągnęła go za sobą przez okrąg światła.

Rozległ się huk wystrzału.

Za jej plecami Simon krzyknął.

Eliana odwróciła się, by go pochwycić, ale coś wyszarpnęło go poza jej zasięg. Zobaczyła przelotnie jego twarz, zaciśniętą bólem, a potem on zniknął. Nici poruszyły się gwałtownie, skręciły, a później wyprostowały, jakby przemknęła nad nimi chmura, zanim powróciło słońce. Ciemne nici, te syczące pasma czasu, rozszczepiły się i uformowały na nowo. Pochwyciły Elianę i Remy'ego, cisnęły nimi do przodu. Jej umysł wrzeszczał ze strachu. Coś zaciskało się na jej gardle, dławiło jej głos.

Nagle stanęła na twardej ziemi. Nici zatrzasnęły się tuż za nią, przypiekając jej stopy.

Odetchnęła głęboko, rozpaczliwie pragnąc chłodnej, spokojnej zieleni. *Ogrody królewskie za Baingarde. To był spokojny wieczór.*

W tym momencie nad jej głową przemknął zygzak ognia. Bez tchu zrobiła unik i pociągnęła Remy'ego za sobą. Upadli na ziemię. Błoto oblepiało ich stopy i dłonie. Zmieszane czarne zapachy krwi i dymu

sprawiły, że Elianie kręciło się w głowie. Coś przebiegło koło nich – ogromna bestia z plamistym futrem na łbie i długim węzowym ogonem. Z każdym jej grzmiącym krokiem ziemia dygotała. Eliana dostrzegła w przelocie, że coś błyszczy na kostkach bestii. Płaskie obręcze z metalu wrzynały się w napuchniętą skórę, lśniąc znajomym blaskiem.

Ogarnęła ją zgroza. Ta istota nie była do końca krucjuszem, w każdym razie nie przypominała żadnego widzianego przez Elianę, ale była do nich wystarczająco podobna i miała na sobie formy. Na jej grzbiecie siedziało szarookie dziecko z iskrami ognia sypiącymi się z nadgarstków. Eliana poczuła, że jej krew robi się lodowata w żyłach. To było dziecko obdarzone magią żywiołów i kontrolowane tak samo jak adatroksi.

Podniosła się, a Remy poderwał się na nogi koło niej. Świat był kłębowiskiem słonecznego blasku i ognia, ciemności, która poruszała się i skowyczała. Coś niedaleko płonęło. Pobiegli, krztusząc się dymem, aż znaleźli szczelinę między skałami, w której mogli się ukryć. Wcisnęli się pomiędzy kamienie śliskie od błota i krwi. Obok nich leżał mężczyzna w zbroi, z szeroko otwartymi szklistymi oczami i jedną oderwaną nogą.

Eliana ukryła blask swoich form, przyciskając je do piersi, i spojrzała ponad skałą na otaczający ich chaos.

Byli na polu bitwy, tak ogromnym, że mogło obejmować cały świat. Żołnierze w zbrojach wymachiwali mieczami i ciskali włóczniami. Koń bez jeźdźcy, z wiszącymi swobodnie strzemionami, przegalopował obok. Eliana drgnęła, gdy zrobiony z cienia jastrząb przeleciał nad nimi ze skrzekiem. Z wystawionymi szponami zapikował na żołnierza w zbroi, a potem zmienił kształt. Kokon ciemności owinał szybko mężczyznę, zadusił go i cisnął nim o ziemię.

Zapadła noc, ale wybuchy i kolumny światła rozjaśniały walczących nierównymi błyskami. Eliana zobaczyła jasnoskórą kobietę z krótkimi

czarnymi włosami, wymachującą czarną laską zakończoną lśniącą niebieską kulą. Kula wyciągała cienie z ziemi i po chwili wataha czarnych wilków rozbiegła się i rzuciła do walki z otwartymi szeroko paszczami. Mężczyzna uderzył o ziemię lśniącą tarczą, otwierając szczelinę. Kilko żołnierzy wpadło w nią niezgrabnie, a Eliana zdążyła dostrzec oczy jednego z nich – szare i zamglone, pozbawione wyrazu.

Zrobiło jej się zimno. Adatroksi.

– Popatrz. – Remy kucał koło niej i wskazywał w lewo, gdzie w oddali majaczył zarys niebotycznej góry. U jej stóp lśniły tysiące maleńkich światełek. Ognie wyznaczały zarys ogromnego kamiennego muru. To było miasto wzniesione na wzgórzach u podnóża najwyższej góry, a na jego szczycie stał ledwie widoczny szary zamek, którego wieże sięgały ku niebu.

– Baingarde – wyszeptał Remy. W jego głosie Eliana słyszała ten sam nabożny podziw, który popychał go do czytania historii o Dawnym Świecie dzień po dniu, rok po roku.

Coś wybuchło niedaleko. Ogień eksplodował i zaczął się rozszerzać. Żołnierz uciekł lotem – lotem – z tego piekła, unosząc się zwinnie na włóczykach z białego światła zanurzonego w cieniu.

Przez moment Eliana mogła tylko na to patrzeć. Spędziła mroczne wieki w pałacu anioła, ale nigdy wcześniej nie widziała skrzydlatego.

Remy pociągnął ją w dół za rękę. Ukryli się skuleni za skałami. Formy Eliany drżały w jej dłoniach. Bez tchu, z twarzą przyciśniętą do ziemi, smakowała na języku magię. Wypełniała wiatr, iskrzyła się zimno i metalicznie w jej ustach, jakby Eliana pocałowała błyskawicę. Świat przed jej oczami był krystalicznie wyraźny. Jej krew ryczała triumfalnie. Słowa uciekały z jej umysłu na strugach złota.

Rielle żyła. Empirium nie zostało jeszcze zniszczone. Eliana zanurzyła palce w błocie, opierając się przesyconemu magią powietrzu, które ciągnęło

ją w górę. Czy można było latać bez skrzydeł?

– To nie jest wieczór, o którym mówiła Ludivine – stwierdziła.

– Nie – zgodził się Remy. W zmiennym, rozbłyskającym świetle jego oczy lśniły jak klejnoty. – To jest wiosna ostatniego roku Drugiej Ery. To bitwa pod Âme de la Terre. Bitwa, po której skończył się świat.

Audric

Przemieszczamy się tak szybko, jak to możliwe, ale pamiętaj, Audricu, że Styrdalleen i Âme de la Terre dzieli wiele kilometrów, zaś moi ludzie są zmęczeni po ciężkiej zimie pełnej śnieżyc, częstych trzęsień ziemi i lawin oraz nieustannych ataków na nasze wsie. Zginęły tysiące osób. Stolica jest przepełniona ludźmi, którzy stracili swoje domy, swoje dzieci, swoich rodziców. Kończy nam się żywność. Mój brat napisał, że przybędzie z pomocą, ale jeszcze go nie ma i obawiam się, że nigdy się nie zjawi. Ty jesteś naszą największą nadzieją na przetrwanie, Audricu. Stawiaj mężnie czoła wrogowi i spoglądaj na północny wschód.

– z zaszyfrowanego listu Ingrid Lyslevy, generałki naczelnej armii borsvalskiej, do króla celdaryjskiego Audrica Courverie,
19 kwietnia 1000 roku Drugiej Ery

Nie mógł jej znaleźć.

Audric wyobrażał sobie, że to się stanie natychmiast, że w ciągu kilku minut nastąpi jakaś niewyobrażalna eksplozja mocy. Reszta toczonych walki zblednie w porównaniu z nią. Będzie stać pośrodku pola bitwy z rozłożonymi szeroko rękami i mocą sypiącą się z jej palców jak błyskawice.

Audric zanurkuje ku niej i ciśnie tak oślepiającym blaskiem słońca, że nawet ona się zachwieje. Zeskoczy z grzbietu Atherii, zanim boska bestia wyląduje na ziemi, uniesie Illumenora do ciosu. Może zawoła imię Rielle. Może ona nie pozwoli mu nawet na to.

Nie mógł jednak jej znaleźć.

A jego strona przegrywała.

Patrzył na bitwę w dole jak ogarnięty snem, okropnym, zesłanym przez gorączkę koszmarem, który roztaczał się przed jego niedowierzającymi oczami. Aniołowie padali tuzinami – przeszywani pociskami ognia, przecinani na pół wirującymi tarczami ciskanymi przez magów żywiołów – ale kilka sekund później byli znowu cali. Zniszczone kawałki ich ciał przypełzały do siebie i łączyły się na nowo. Podnosili upuszczoną broń i rzucali się ponownie do walki.

Niektórzy pozostawiali swoje ciała stratowane i zapomniane, a zamiast tego walczyli niewidoczni. Celdaryjscy żołnierze padali w milczeniu. Żadnych ran, żadnej krwi, tylko wykrzywione pobladłe twarze, usta zamarłe w niewydanym krzyku. Pieśniarka wiatru śmignęła w powietrzu swoim biczem i wezwała ostre podmuchy wiatru, które strącały na ziemię jednego anioła po drugim. W następnej chwili światło jej form zgasło. Jej ciało się szarpnęło, twarz zmieniła wyraz. Spadła z konia i zniknęła, stratowana przez kopyta i pazury.

Dłoń Audrica drżała na rękojeści Illumenora. Blask słoneczny promieniujący z ostrza przygasał, zaś aniołowie kłębili się tuż poza zasięgiem jego światła. Syczeli w języku lissar, krzyczeli na niego, żeby upuścił miecz, tłukli własnymi ostrzami w jasne promienie Illumenora, aż Audricowi dzwoniło w uszach od odgłosów pięści uderzających szkło.

Nie mógł wypuścić swojego światła. W kilka sekund przytłoczyliby go przewagą liczebną.

Musiał jednak zrobić coś dla tuzinów, setek żołnierzy, którzy ginęli wokół niego. Rozglądał się rozpaczliwie za choćby najmniejszym symbolem zwycięstwa. Strzelającym, biało-niebieskim światłem form Sloane; iskrami sypiącymi się z wirujących młotów mistrzów metalu uderzających w cele.

To nie wystarczało.

Do murów miasta zbliżała się nieubłagana ciemna fala bestii – wynaturzonych potworów z formami wrośniętymi w skórę, ryczących jak spadające skalne lawiny. Na ich grzbietach jechały szarookie dzieci z płomiennymi obręczami na nadgarstkach, z których wylatywały cienie przypominające strzały. Stado skrzydlatych bestii przemknęło nad jeziorem na skórzastych skrzydłach i zapikowało ponad murem. Porywały łuczników z ich stanowisk i ciskały między sobą ich ciała, rozrywając mięso i kości, aż pozostawały same strzępy.

Audric przycisnął się płasko do grzbietu Atherii i zamknął oczy. Boska bestia natychmiast zapikowała na pole walki. Aniołowie na migoczących skrzydłach towarzyszyli im po obu stronach. Ich okrzyki bojowe brzmiały jak wycie wilków.

Tuż nad ziemią Atheria szarpnęła się w górę, zakreśliła i przeleciała nad polem bitwy jak smukły okręt bojowy przecinający czarne fale. Illumenor pozostawiał świecącą bruzdę w szeregach aniołów, roztrącając ich na boki. Audric z trudem łapał powietrze. Chłoszczący go wiatr był ostry jak nóż i czarny od dymu. Gdy obejrzał się przez ramię, zobaczył płomienne zniszczenia, jakie pozostawił za sobą, i poczuł leciutki przypływ nadziei.

W tym momencie potężna masa uderzyła w Atherię i strąciła ją brutalnie z nieba. Audric spadł, upuścił Illumenora i pokoziołkował w dół. Jakieś dłonie go pochwyciły. Włócznia wbiła się w ziemię tuż przy jego ramieniu. Wykręcił się, zrobił unik przed kolejną, a potem rzucił się w błocie do swojego miecza. Coś zaskrzeczało koszmarnym, warkliwym głosem. Jego dłoń natrafiła na metal. Znajome sznury mocy zacisnęły się na jego dłoni.

Chwycił Illumenora i obrócił się szybko do przeciwnika – potężnego anioła w lśniącej złotej zbroi, który ponownie zadał pchnięcie włócznią.

Audric wykonał unik, a Illumenor rozjaśnił się olśniewającym światłem. Anioł upuścił broń, cofnął się i zasłonił oczy. Ich miecze się zderzyły. Inni aniołowie zbliżali się do nich z uniesioną bronią. Audric wyczuwał ich umysły sięgające do niego, palce zaciskające się na krawędziach jego myśli, ale coś go osłaniało – znajoma, elastyczna bariera odpierała ich ataki.

Ludivine.

Okręcił się szybko, żeby odeprzeć ciosy anielskich mieczy. Illumenor z każdym metalicznym szczękiem lśnił jaśniej. Audric robił uniki, dźgnął jednego z aniołów w pachwinę, wyciął smugę białego światła na osłoniętej zbroją piersi innego. Rozglądał się w tym chaosie za Ludivine, lecz ona się nie pokazywała. Czy oglądała toczącą się bitwę z ukrytej górskiej jaskini? Czy naprawdę zostawiła ich wszystkich na pewną śmierć?

Wrzask wściekłości przyciągnął jego uwagę. Atheria zwarła się w walce z jedną z bestii, o wysoko uniesionych barkach i grzebieniu z futra i kości na grzbiecie. Atheria stanęła dęba ze spłaszczonymi uszami i machnęła skrzydłami. Na brzuchu miała czerwone ślady. Uderzała przednimi nogami i tłukła bestię kopytami.

Coś twardego i zimnego spadło na potylicę Audrica. Upadł, pociemniało mu w oczach. Spróbował wstać, ale został popchnięty płasko w błoto. Opancerzony but przyciskał jego pierś do ziemi. Audric, mrugając gwałtownie, spojrzał w górę i zobaczył zarys uzbrojonego anioła z migoczącymi białymi skrzydłami.

Ostrze dotknęło gardła Audrica. Skóra została rozcięta; poczuł ostre jak igła ukłucie bólu.

W tym momencie powietrze rozbrzmiało dźwiękiem, głębokim i ciepłym jak głosy złączone w pieśni.

Nacisk na pierś Audrica osłabł. Poderwał się i lśniącym Illumenorem rozplątał pierś anioła. Ciało upadło w dwóch dymiących połówkach i nie podniosło się więcej. Anioł, który je zamieszkiwał, z pewnością uciekł, a Audric zrozumiał natychmiast dlaczego.

Po drugiej stronie Błoni z nieba spływały ogromne skrzydlate kształty. Wirujące magiczne światła rzucały na nie blask, gdy włączyły się w bitwę. Przelatywały szybko nad równiną, strącając na ziemię tuziny aniołów.

Audric wpatrywał się z podziwem w potężne, pokryte futrem ciała i ogromne, zakończone szponami skrzydła, które młóciły powietrze z dźwiękiem gromu.

To były smoki. Smoki, których nikt nie widział od wieków. Całe tuziny, niektóre chude i smukłe, rozmiarów koni, inne muskularne i wielkie jak okręty. Siedzący na nich ludzie trzymali miecze i laski, a ciemne płaszcze rozdymały się za nimi jak skrzydła.

Audric nieoczekiwanie przypomniał sobie fragment jednej ze swoich ulubionych historii: *U zarania Drugiej Ery, po wygnaniu aniołów do Otchłani, święci zaczęli wznosić nowe miasta na spustoszonych przez wojnę ziemiach, a w tych pierwszych latach pokoju boskie bestie opuściły ludzkie osady. Nikt nie wie, dokąd się udały, ale niektórzy wierzą, że smoki lodowe, zwierzęcy towarzysze świętego Grimvalda, odleciały na daleką północ. Pozwoliły tylko, żeby na mroźnych pustkowiach towarzyszyli im ludzcy bracia, Kammeratowie, czyli mówcy smoków. Każdego innego człowieka, który próbowałby ich znaleźć, czekała śmierć, a jego ciało pojawiało się nocą w domu, owinięte prostym ciemnym płaszczem, takim jakie nosili Kammeratowie.*

Audric patrzył z zachwytem, jak Kammeratowie unoszą do ust wypolerowane rogi zrobione z kości. Dosiadali smoków z taką łatwością,

jakby urodzili się na ich grzbietach. To oni wypełniali powietrze melodią, sygnały ich rogów rozbrzmiewały kaskadą w nocy.

Bestie prześladowujące łuczników na murach pozostawiły swoje ofiary i przeleciały z powrotem nad jeziorem na spotkanie nowych przybyszy. Ich przeraźliwe skrzeczenie rozdzierało powietrze. Dwa uskrzydłone oddziały pędziły ku sobie wśród dymu i iskier. Na krótki moment obie armie znieruchomiały, aniołowie i ludzie jednakowo kulili się ze strachu.

W tym momencie od strony przełęczy pomiędzy górami Taléa i Sorennie rozległa się potężna wrzawa. Audric zmrużył oczy, żeby dojrzeć coś w dymie, i przeszedł go dreszcz. Mocno bijące serce podeszło mu do gardła.

Przez przełęcz przelewało się morze lśniących ostrzy. Ogromne, siwe konie bojowe z rozwianymi białymi ogonami galopowały pod falującymi chorągwiami w barwach świętego Grimvalda i rodu Lysleva – ciemnopomarańczowej, ciemnoniebieskiej i lawendowej jak zachód słońca na tle grafitowej szarości.

Trzytysięczna armia borsvalska szarżowała z gór. Rogi wygrywały wysoki, ostry zew bojowy.

Na Błoniach rozbrzmiały wiwaty. Celdaryjscy i mazabaccy żołnierze unosili miecze w górę.

Ulga zalała Audrica, aż zawirowało mu w głowie. Nie pozwolił sobie żywić nadziei na ich przybycie, ale teraz ich widok, pędzących do bitwy, zapalił w jego sercu nowy płomień.

Usłyszał za sobą szcęk broni, okręcił się i przeciął na pół trzech aniołów trzema szybkimi ciosami ręki płonącej mocą. Upadli, a ich zniszczone ciała syczały jak podpalone drewno.

Zagwizdał na Atherię, która natychmiast przyleciała do niego, z szeroko rozдутymi nozdrzami i sierścią poplamioną krwią. Zawahał się na widok jej

ran, ale kłapnęła na niego niecierpliwie. Jej skrzydła drżały, pragnęła wzbić się w powietrze. Audric wskoczył na jej grzbiet i natychmiast wzlecieli w niebo, kierując się ku armii borsvalskiej u podnóża gór. Illumenor oświeślał im drogę, a Audric wiedział, że patrzą na niego wszyscy ludzie na Błoniach i w mieście. Widzą blask Illumenora zmierzający w stronę gór, widzą wojowników z Borsvallu jadących im z odsieczą, a dzięki temu sami zaczynają się prostować i odważają się myśleć o jutrze.

Atheria sfrunęła niżej, a Audric znalazł się naprzeciwko dowódczyni borsvalskich oddziałów, jadącej na białym koniu bojowym, szybkiej i nieustraszonej. Towarzyszyło jej dwóch chorążych niosących chorągwie w barwach jej rodu. To była Ingrid Lysleva, generałka armii borsvalskiej pełniąca pod nieobecność brata funkcję regentki. Audric słyszał, że nie objęła tronu wbrew naleganiom mistrzów i doradców.

Ingrid podniosła głowę, gdy Atheria zrównała się z jej koniem, dotrzymując mu tempa. Jako generałka miała na głowie srebrny hełm zwieńczony rogami, a gdy spojrzała w oczy Audrica, na jej twarzy malował się drapieżny, triumfalny uśmiech.

Za jej plecami jeden ze smoków sfrunął z nieba, by do nich dołączyć. Była to niewielka smoczyca, smukła, lecz niebezpieczna, z długimi zębami, inteligentnymi złotymi oczami i grzywą z plamistego białego futra. Przyciśnięty do jej szyi pólleżał jeździec – jasnoskóry mężczyzna o ciemnych włosach, którego Audric nie rozpoznawał. Nieznajomy miał na sobie długi, luźny płaszcz z ciemnego płótna. Musiał być jednym z Kammeratów. Za nim, obejmując go mocno w pasie, siedział drugi mężczyzna, podobnie ubrany, jasnowłosy i brodaty, szczuplejszy, niż go pamiętał Audric.

Ich oczy się spotkały wśród otaczającego ich szaleństwa. Ilmaire uniósł dłoń w geście pozdrowienia, a serce Audrica wezbrało na widok

przyjaciela. Nie wierzył w plotki o śmierci Ilmaire'a, ale jego widok, całego i zdrowego, jadącego na smoku u boku swojej siostry, gdy cała ich trójka zmierzała na pole bitwy, wlał nowe siły w zmęczone kończyny Audrica. Illumenor zaiskrzył oślepiającym światłem.

Setki aniołów obróciły się, aby stawić czoło szarzy armii borsvalskiej, i czekały z nastawionymi pikami. Z nieba sypały się czarne strzały. Audric słyszał za plecami bolesne rzenie koni i odgłosy ciał upadających żołnierzy. Mimo to nie zatrzymywali się, ostre okrzyki bojowe Ingrid dźwięczały w powietrzu, a tuż zanim starli się z szeregami aniołów, Audric sięgnął swoją mocą do każdej isierki światła przyzwanego przez obecnych na polu bitwy przedarzy słońca i cisnął je wszystkie jedną falą w szeregi wroga.

Światło wybuchło na całych Błoniach i powaliło połowę aniołów na kolana. Reszta chwiała się na nogach i strzelała na oślep. Armia borsvalska wdarła się w szeregi wroga jak pożar ogarniający las. Odgłosy bitwy przytłaczały Audrica ze wszystkich stron. Dostrzegł kątem oka błysk miecza, biel złamanej kości. Plamistą szarość sierści bestii, smukły i ofutrzony łeb smoka. Anielskie napierśniki pyszniące się skrzydlatym herbem.

Audric włączył się do walki na grzbiecie Atherii. Ciskał światłem na lewo i prawo, strącając aniołów z wierzchowców i odpychając tłoczące się bestie od ich ofiar. Armia borsvalska parła za nim, trzymając się wytyczonej przez niego płomiennej ścieżki.

Nagle powietrze zgęstniało, a Audric poczuł mrowienie skóry. Przypłynął do niego głos jak przyniesiony wiatrem, chociaż Audric od początku wiedział, że nikt więcej tego nie słyszy.

Audricu, szeptał.

Spocony, zdyszany od posługiwania się mocą Audric zadrżał na grzbiecie Atherii. To jej głos go wołał i pobrzmiwał czymś, czego nie

potrafił nazwać.

Kątem oka zobaczył złoty wybuch. Obrócił się szybko, poderwał Atherię znad pola bitwy i spojrzał poza Błonia, poza jezioro i wysoki mur, poza miasto, aż na Baingarde.

Na dachu jaśniało światło tak oślepiające, tak ostre w swojej czystości, że nawet Illumenor wydawał się przygasać. Światło wystrzeliło w nocne niebo jak wulkan i przybrało kształt dwóch ogromnych rozwiniętych skrzydeł, wyraźny i znajomy. Ten sam symbol widniał na piersi każdego z aniołów, którzy unosili się teraz w powietrzu nad Baingarde, wysocy jak chmury burzowe. To była deklaracja: „Tutaj jestem”.

Umysł Audrica podpowiadał, że nie powinien dać się tam zwabić. Jednak czysty, gwałtowny gniew wypełnił go i potrząsnął jego kośćmi jak uderzenie błyskawicy. Z łatwością zignorował wewnętrzny głos rozsądku.

– Leć! – ryknął i skierował Atherię w stronę miasta, a ona posłuchała.

Aniołowie pędzili za nimi na lśniących skrzydłach. Ledwie ich zauważał, strącał ich z łatwością w dół płomiennym mieczem. Ludivine, gdziekolwiek była, nadal mu pomagała, albo też to Corien postanowił go przepuścić, żeby bawić się nim dla rozrywki. Audrica nie obchodziły powody. Mentalne ataki aniołów odbijały się od niego bezsilnie jak kamyki rzucone o skalną ścianę. Moc wypełniała jego ciało gorącem i rozświećlała świat przed jego oczami. Illumenor poruszał się bez jego wiedzy. Audric myślał tylko o Baingarde i migoczących nad zamkiem skrzydłach. O stojącej pod nimi kobiecie.

Atheria przeleciała nad jeziorem, robiąc uniki przed skrzydlatymi bestiami. Niedługo potem znaleźli się nad murem – jego blanki płonęły, magowie żywiołów prowadzili rozpaczliwą walkę. Bestie wpełzały z jeziora i wspinały się po kamieniach. Dziecięcy magowie z armii anielskiej wzniesli mosty, aby ułatwić przeprawę przez wodę. Po tych

mostach biegli teraz szaroocy żołnierze, niosąc wielkie czarne drabiny, a syczące bestie osłaniały ich po drodze; setki innych dotarły pod mur i zaczęły tłuc w wielką bramę ogromnymi taranami ze stali i drewna. Każde uderzenie odbijało się jak łoskot gromu.

Audric obejrzał się przez ramię. Kusiło go, by zawrócić i użyć Illumenora do oślepienia wszystkich anielskich żołnierzy na nowych mostach, co dałoby jego ludziom czas, żeby się z nimi rozprawić. Jednakże światło nad Baingarde przyciągało go, więc spojrzał znowu przed siebie z wściekłością w sercu.

Gdy Atheria była prawie nad murem, Audrica otoczyła chmara czarnych ptaków z małymi, przypominającymi igły szponami i zębatymi dziobami. Ich głosy były ochryple, dziwaczne, bardziej przypominające psy niż ptaki. Atheria zachwiała się, próbując strzepnąć je ze swojego łba i skrzydeł, ale czepiały się jej jak krople oleju.

Audric popatrzył na ziemię za murem. Znał te ptaki – nie próbowały go atakować, tylko zawrócić znad miasta. Gdy dostrzegł błękitny blask laski Sloane, syknął z wściekłością jej imię. Atheria zanurkowała, zrobione z cienia ptaki zaczęły z niej odpadać. Kiedy wylądowali, była już czysta. Żołnierze pośpiesznie wznosili barykadę po wewnętrznej stronie bramy. Magowie żywiołów kierowali swoje formy na każdą wspinającą się po murze bestię. Gigantyczne skrzydła nad Baingarde oświeślały wszystko setkami odcieni złota.

Sloane podbiegła do Audrica. Jej blada twarz była obryzgana krwią, oczy lśniły takim samym błękitem jak jej forma.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknęła.

Audric zeskoczył na ziemię. Atheria potrząsnęła łbem, depcząc rozwiewające się pozostałości ptaków Sloane.

– Robię dokładnie to, z czym się wszyscy zgodziliśmy – odpowiedział głosem tak samo gniewnym jak jej głos. – Mam znaleźć Rielle. Zdobyć jej pomoc, jeśli zdołam. Powstrzymać ją, jeśli będę musiał. – Machnął ręką w stronę zamku i lśniących nad nim skrzydeł. – Ona tam jest, więc idę do niej.

– Nie pokonasz jej w pojedynkę, Audricu. Gdybyś spotkał się z nią na polu bitwy, mógłbyś przynajmniej liczyć na pomoc, miałbyś szansę porozmawiać z nią, podczas gdy pozostali by cię osłaniali. – Sloane chwyciła go za ramię; na jej twarzy malowała się desperacja. Czarne włosy, mokre od krwi i potu, przecinały ostrymi liniami jej czoło. – Pozwól, żebyśmy poszli z tobą.

Audric spojrzał ponad jej ramieniem. Zobaczył Miren zbiegającą z muru, z przemoczonymi rudymi włosami związanymi w splątany kok. Towarzyszyły jej Evyline i dwie słoneczne gwardzistki w ociekających wodą płaszczach. Tuż za nimi pojawiła się Kamayin, która pokonała mur na fali wody. Przyniosła je tutaj przez jezioro z pola bitwy. Poły długiego skórzanego płaszcza trzepotały wokół niej jak języki. Wylądowała na ziemi z pluskiem i skrzyżowała przed sobą nadgarstki, jakby tworzyła tarczę. Woda opadła, zebrała się w dwie wirujące kule piany w jej dłoniach.

Evyline dotarła do Audrica jako pierwsza. Zdyszana, upadła przed nim na kolana.

– Widziałyśmy skrzydła, Wasza Wysokość. Wiedziałyśmy, że do nich polecisz. Nie mogliśmy pozwolić, żebyś sam stawiał jej czoła.

– Będziesz mieć większe szanse, gdy pójdziemy z tobą – dodała ponuro Miren, która zatrzymała się kawałek od nich. Zaciśnęła mocniej dłonie na toporze o dwóch ostrzach. Wokół niej wirowała gęsta chmura metalowych odłamków, roztrzaskanych ostrzy sztyletów i maleńkich metalowych gwiazdek z morderczo ostrymi czubkami.

– Albo w ogóle jakieś szanse – skwitowała kwaśno Kamayin. Przepchnęła się przed pozostałe i objęła barki Audrica ramieniem. Wtuliła twarz w jego kołnierzyk, żeby dodać cicho: – Nie bądź idiotą, ty idioto.

Audric ostrożnie odsunął ją od siebie.

– Rielle lub też Corien mogą chcieć zachować mnie przy życiu na tyle długo, żeby ze mną porozmawiać.

– Drwić z ciebie – poprawiła Miren. – Chwalić się i chełpić.

– Być może. Ale wy... Dlaczego któraś z was miałaby ich obchodzić? Może spalić was na popiół w momencie, gdy was zobaczy.

– Może to da ci dość czasu, by ją dźgnąć – odparła optymistycznie Kamayin. Jej spojrzenie było jednak twarde, a szczęki zaciśnięte.

Audric odwrócił się od nich i przeczesał dłonią przepecone włosy. Nie wiedział, co ma im powiedzieć. Żałował, że go zatrzymały. Mógł lecieć na tej fali wściekłości do samego zamku i stanąć przed Rielle, nie dając sobie chwili na zastanowienie. Żadnej szansy, żeby ją sobie przypomnieć, za mało czasu, by poczuć strach. Teraz to szaleństwo zniknęło. Jego ciało bolało od sińców i przypominało o swojej śmiertelności.

Kilka kroków po lewej stronie zaczęło wirować światło. Utworzył się pierścień z białych iskier, z którego wyszły cztery osoby. Dwóch Audric nie znał – szczupła kobieta o jasnej skórze i włosach, oraz jeszcze jedna, wysoka i pulchna, ze skórą barwy miedzi i siwiejącymi czarnymi włosami splecionymi w upięte w koronę warkocze. Ten widok przypomniał mu Ludivine, która spopularyzowała tę fryzurę na północy. Gardło Audrica zacisnęło się boleśnie.

Jeszcze dwie osoby wyłoniły się z pierścienia nici. Mężczyzna, jasnoskóry, z ciemnoblond włosami i piwnymi oczami, oraz dziewczyna o białych włosach, jasnobrązowej skórze i oczach lśniących mocą.

Audric cofnął się, zszokowany.

– Obritsa.

Ten mężczyzna, Artem, był jej milczącym i stoicko spokojnym strażnikiem.

Królowa Kirvayi skinęła krótko głową. Jej ściągnięta ponurą determinacją twarz była jak maska.

– Co mamy zrobić?

Audric popatrzył na nich wszystkich. Palce jasnoskórej kobiety lśniły, jakby ona także była gotowa wezwać nici. Czyli były tu dwie Naznaczone. Widać było, że wiąże się z tym wszystkim dłuższa opowieść, ale teraz nie było na nią czasu.

Chóralne okrzyki bitewne sprawiły, że podnieśli głowy. Kolejny oddział skrzydlatych aniołów dotarł do miasta i dołączył do tych, którzy zdołali się już przedrzeć przez magiczny chaos na Błoniach. Przelecieli nad murem i zanurkowali w kręte ulice. Ścigali ich magowie żywiołów – pieśniarze wiatru na podmuchach wezwanych ich mocą, rzeźbiarze ziemi przekopujący się dołem. Grupa smoków dosiadanych przez Kammeratów w czarnych płaszczach przemknęła nad murem, ścigając wrogów.

Audric odwrócił się, żeby nie patrzeć, jak mieszkańcy miasta uciekają, przerażeni. Te ulice były ich domem, a teraz płonęły ogniem wojny.

– Pomóście im się wydostać. Zabierzcie ich na południe, pomóście się ukryć. Tylu, ilu zdołacie.

Obritsa się nie wahała. Wymieniły szybkie spojrzenia z jasnoskórą kobietą, drugą Naznaczoną. Natychmiast wezwały nici, zaczęły, aż Artem i kobieta z północnym warkoczem przez nie przejdą, i poszły za nimi. Pierścienie światła zniknęły.

Audric podszedł do Atherii. Wziął jej długi pysk w dłonie i przycisnął czoło do aksamitnych chrap.

– Możesz się przydać bardziej tam niż tutaj, ze mną – powiedział do niej cicho.

Przez chwilę stała nieruchomo. Jej starożytne czarne oczy spoglądały na niego poważnie. Potem prychnęła i cofnęła się od niego. Jej skrzydła musnęły jego policzek miękko jak jedwab. Poderwała się w powietrze i pofrunęła na pole walki. Zanim zniknęła za murem, wydała ostry, niemal jastrzębi, okropny okrzyk.

Audric się odwrócił, mrugając szybko, i spojrzał w stronę zamku. Nie padły dalsze słowa. Nie było już o czym mówić. Miren i Sloane po jego prawej stronie, Kamayin, Evyline i dwie słoneczne gwardzistki po lewej. Z radością zobaczył, że są to Fara i Maylis, ulubienice Rielle.

Razem pobiegli przez miasto. Audric stłumił swoje moce i pilnował, by Illumenor pozostawał ciemny. Na razie pozwoli, by inni walczyli za niego. Patrzył prosto przed siebie i słyszał uderzenia magii jego przyjaciółek, świst ich mieczy.

Być może biegł na pewną śmierć.

Ale nie stanie wobec niej sam.

Eliana

*Poczuj pod stopami ziemię
I wiatr poruszający drzewami
Zobacz lecące nad polami cienie
I przypływ kołyszący morzami
Słuchaj szczęku metalu wykutego w modlitwie
Trzasku płomieni szalonych
Patrz, jak słońce się wznosi i płonie
Jak ogień nieujarzmiony!*

– Chwała Siedmiorgu, tradycyjna celdaryjska pieśń wojenna

Droga do Âme de la Terre była usiana ciałami. Uzbrojone zwłoki porzucone przez aniołów. Adatroksi, łatwa do poświęcenia piechota, w prostych napierśnikach i z twarzami zamartwionymi w grymasie przerażenia. Dymiące ciała magów, których moc umierała wolniej niż oni sami. Konie i łucznicy, a także bestie walczące po stronie aniołów, wyglądające jak wynaturzone imitacje znanych Elianie krucjuszy.

Pozostało jednak bardzo wielu żywych. Walczyli pieszo na polu bitwy mokrym od błota i krwi; ścierali się w powietrzu. Setki, być może ponad tysiąc, wdzierały się do miasta jak skłębione fale futra i stali. Mur obronny runął, brama została w końcu sforsowana.

Eliana kierowała się w tamtą stronę, a Remy towarzyszył jej jak cień. Wykorzystywali ciała poległych, aby się ukrywać, przebiegając od trupa do trupa. Przy każdym klękali, wypatrywali luk w walce i znowu biegli,

ślizgając się na mokrej ziemi. Smok przemknął obok nich, ścigając grupę bestii pędzących do muru. Ogromne skrzydła smoka grzmiały z każdym uderzeniem i przewróciły Elianę i Remy'ego na ziemię.

Remy z twarzą ochlapaną błotem obejrzał się za smokiem. Eliana pozwoliła mu na to, a sama ściągnęła hełmy z dwóch pobliskich anielskich trupów. Założyła jeden, starając się nie wymiotować z powodu koszmarneńgo odoru hełmu, gruntu, jej samej.

Pociągnęła Remy'ego za ramię, postawiła go siłą i wepchnęła mu drugi hełm. Pobiegli dalej. Przy murze nie zawahali się, bo zwróciliby tym na siebie uwagę aniołów. Unieśli miecze – Remy broń zabraną zabitemu adatroksowi, a Eliana miecz Katell, pomazany tak, że wyglądał jak każde inne ostrze. Zaciskała zęby, gdy dołączyli do anielskich oddziałów wlewających się przez rozbitą bramę. Remy obok niej naśladował ich okrzyki bojowe. Ona nie ośmieliła się tego zrobić. Wszystkie mięśnie jej ciała były napięte. Powietrze przepełniała magia, empirium było całkowicie przebudzone i czujne. Kości bolały ją od wysiłku potrzebnego do opanowania jej form, aby miecz Katell pozostawał ciemny.

Zrobiła unik przed mieczem młodego żołnierza o szeroko otwartych oczach – nie anioła, lecz człowieka broniącego bezskutecznie swojego miasta. Był niezdarny, wyminęła go z łatwością i podcięła mu nogi swoją bronią.

Znaleźli się za bramą i wypadli na plac, który być może w czasach pokoju był ogromnym targowiskiem. Teraz panował na nim chaos. Bestie wspinały się na ściany budynków, szaroocy adatroksi maszerowali po otaczających plac szerokich schodach i znikali w węższych ulicach wokół. Aniołowie na jasnych skrzydłach wybijali wysokie okna i wdzierali się do środka.

Eliana spojrzała na wznoszącą się nad miastem górę. U jej stóp stał zamek Baingarde, teraz widoczny dodatkowo dzięki parze ogromnych złotych skrzydeł mających połowę wysokości całej budowli. Gdy tylko Eliana na nie spoglądała, jej krew wzbierała niebezpiecznie, a ona musiała mocno zaciskać pięści, aby jej formy nie wybuchły mocą.

Nie było wątpliwości, kto stworzył te skrzydła ani jak desperacko moc Eliany pragnęła do nich sięgnąć.

Remy dyszał ciężko, gdy ruszyli dalej, a jego hełm był zbryzgany świeżą krwią. Kiedy dotarli na zatłoczone skrzyżowanie na drugim poziomie miasta, wbiegł za wielką, kwadratową kolumnę, ściągnął hełm i cisnął go w łukowate kamienne przejście, przez zniszczoną bramę, której kratownica syczała, na pół stopiona. Hełm wtoczył się pod nogi dwóm dziewczynkom uciekającym ramię w ramię. Nawet cienie były pełne ludzi rozpaczliwie szukających drogi ucieczki. Jedna z dziewczynek przeskoczyła nad hełmem i wrzasnęła. Druga pociągnęła ją za rękę i zaszlochała gwałtownie. Pobiegly dalej.

– Musiałem zabić dziecko, żeby przedostać się przez mur – powiedział głucho Remy, patrząc za nimi. Otworzył i znowu zacisnął pięści. – Jakiegoś durnego chłopaka bez zbroi, z nożem wielkim jak jego głowa. Nie chciał mi zejść z drogi.

Eliana nie zdołała znaleźć dla niego słów pociechy. Gardło zaciskało jej się z obrzydzenia, powietrze było gorące i przesiąknięte śmiercią. Oparła się plecami o kolumnę i wyjrzała na zatłoczone ulice.

Mieszkańcy miasta, niosąc w ramionach płaczące dzieci, uciekali z krzykiem ulicami. Kierowali się do zamku, ponieważ to było jedyne miejsce, jakie im pozostało. Anielscy żołnierze maszerowali nieubłaganie od niżej położonych dzielnic. Strzelali z łuków, szarżowali z wysoko uniesionymi mieczami. Tuziny cywilów osuwały się na ziemię, chociaż nie

dotknęła ich żadna broń. Padali jak zestrzelone z nieba ptaki, staczali się po schodach, podcinali innym nogi.

Oddział magów żywiołów w szatach w kolorze grafitu i pomarańcza, szkarłatu i złota, wybiegł z bocznej ulicy i ustawił się między aniołami a uciekającymi ludźmi. Ogień wystrzelił z lśniących tarcz. Upuszczona broń poderwała się z ziemi i śmignęła w powietrzu, żeby podcinać gardła anielskim zastępom.

Eliana patrzyła na to i szukała najlepszej drogi do zamku, ale wydawało jej się, że z każdą sekundą na ulicach i w zaułkach, na schodach i gzymsach jest coraz więcej wrogów. Potworny ciemny kształt przeskoczył z dachu na dach, a potem ześlizgnął się po ścianie i wpadł w grupę ludzi starających się schronić w pobliskim budynku.

Dłonie Eliany zaczęły piec. Zaciśnęła mocno palce, odwróciła się i oparła o kolumnę, próbując złapać oddech. Krzyczący tłum przebiegał obok. Ktoś szturchnął ją ramieniem. Minął ją mężczyzna z wrzeszczącym dzieckiem przewieszonym przez ramię. Gdzieś w tym chaosie rozległ się wybuch, któremu towarzyszyły odgłosy pękającego szkła i drewna. Krzyki nasiliły się i zostały uciszone.

– Musisz z nimi walczyć – powiedział cicho Remy u boku Eliany. – Inaczej nigdy nam się nie uda. Ich jest zbyt wielu.

Eliana zaciśnęła powieki.

– Nie mogę. Ona mnie zauważy. On mnie zauważy.

– Wtedy przyjdą do ciebie, a ty będziesz mogła walczyć z nimi tutaj, a nie tam.

– Albo też zabiją mnie na miejscu, nie opuszczając w ogóle zamku.

Coś naciskało na jej pierś, czuła znajome nagłące przyciąganie. Jej formy zaiskrzyły i zatrzeszczały jak rozpalający się ogień.

W jej umyśle rozległ się głos tysięcy, milionów, ani życzliwy, ani okrutny. To była pojedyncza zimna instrukcja, przekazana nie słowami, lecz uczuciem. Jakaś cząstka mocy skręciła się w lewo w jej żyłach.

tam

Eliana spojrzała szybko na dymiącą żelazną bramę. Oderwała się od kolumny i zaczęła się przepychać przez biegnący tłum. Remy syknął jej imię i chwycił ją za rękaw, ale wyrwała mu się, żeby przejść przez zrujnowaną bramę na mały dziedziniec. Zobaczyła, że jest to jeden z wielu różniących się rozmiarem i wystrojem. Łączyły je nienagannie czyste kamienne arkady oraz wąskie przejścia pod porośniętymi zielenią pergolami. Wzdłuż ścian ustawiono jasne posągi, ukryte w zacisznych wnękach pełnych kwiatów. Inne stały dumnie na ozdobnych gzymsach, ubrane w togi i poważne. Miały oczy zwrócone ku niebu i tarcze w dłoniach.

– To na pewno świątynie – szepnął Remy, który dołączył do niej z uniesionym mieczem. – Tam jest święta Marzana. Tam też. Możesz ją poznać po trzymanej tarczy.

Eliana ledwie go słyszała. Wpatrywała się w przeciwległy róg dziedzińca, gdzie mężczyzna i chłopiec klęczeli przy skręcającej się z bólu kobiecie. Mężczyzna miał jasną skórę i siwiejące włosy. Na jego twarzy widać było zmarszczki, ale poruszał się szybko, sprawnie wycinając strzałę z ramienia pacjentki. Wrzeszczała przez knebel wepchnięty w usta i wciskała twarz w ramiona chłopca. Zgniatała w uścisku jego rękę – jej brązowe knykcie pobielały z bólu, jednak chłopiec nawet nie drgnął. Popiół i brud zostawiły smugi na jego spoconej twarzy, lecz jego oczy były czujne, intensywnie błękitne.

Eliana patrzyła na niego i słyszała niemal wyłącznie swoje mocno bijące serce. Wrzaski i odgłosy bitwy ucichły. Remy wymamrotał pytanie,

ale zaraz zauważył chłopca i odetchnął głęboko.

Ten dźwięk wyrwał Elianę z odrętwienia. Jej oczy napełniły się łzami, gdy obserwowała, jak chłopiec podaje mężczyźnie obok słoik, a następnie bandażę do opatrzenia rany. Jego twarz była doskonale znajoma – uparty zarys szczęki, grube i poważne brwi. Włosy, popielate w półmroku, potargane i gęste, wymagające przystrzyżenia.

Jego imię uwięzło jej w gardle. Ścisnęła swój płaszcz na piersi, a potem dłoń Remy’ego, bo gdyby się go nie trzymała, przebiegłaby przez dziedziniec, wbrew zdrowemu rozsądkowi, żeby mieć szansę chociaż raz spojrzeć w oczy Simona, niewinne i nieprzepełnione jeszcze bólem.

Chwilę później mężczyzna poklepał kobietę po ramieniu. Eliana, której gwałtownie wirowało w głowie, zakładała, że to ojciec Simona, Garver Randell. Patrzyła, jak Simon pomaga kobiecie się podnieść. Jego ojciec zrobił zawijkę z chusty, który przymocował na piersi kobiety i ostrożnie włożył do niego wiercące się niemowlę. Kobieta skinęła słabo głową, po czym ucałowała Simona w czoło i oddaliła się, utykając, przez jedno z wąskich przejść prowadzących na inne dziedzińce.

Ojciec Simona natychmiast pobiegł w stronę innego, a Simon deptał mu po piętach, niosąc na plecach torbę lekarską.

Zanim zniknął w cieniach, Simon zatrzymał się na moment i obejrzał przez ramię. Miał mocno zmarszczone brwi i gniewne spojrzenie – odległe echo mężczyzny, którego Eliana kochała i porzuciła na śmierć z rąk jego oprawcy. Gdy o tym pomyślała, zaczęło jej brakować powietrza w płucach. Mocno ścisnęła dłoń Remy’ego i starała się wypchnąć ze swojego umysłu obraz Simona samotnego na łasce Coriena.

Zaraz potem mały Simon zniknął, pobiegł za swoim ojcem, a dziedziniec opustoszał – tylko jeden stwór, długi, smukły i zwinny, jak te, które Eliana widziała chwilę wcześniej, ześlizgnął się po ścianie budynku.

Zniknął w przejściu, którym oddalili się Simon i jego ojciec.

Eliana poderwała się do gorączkowego biegu po bruku i zniknęła w cieniach, przez które dostała się na większy dziedziniec. Zobaczyła bestię szykującą się do skoku – niekształtną i pokrytą łuskami, ale mającą w sobie kocią grację. Potwór przypominał kształtem okrutnie okaleczonego smoka. W jego ciało były wrośnięte poczerńnięte formy, lecz bestia nie zwracała na nie uwagi. Wpatrywała się w grupę ludzi, wśród których byli Simon i jego ojciec, zebranych wokół mężczyzny leżącego na ziemi. Nie zauważyli stwora ani trzech innych skradających się z otaczającego dziedziniec ogrodu. Ogony śmigły w powietrzu, długie pyski lśniły od krwi.

Eliana nie pomyślała nawet o swoim mieczu ani o nożach przy pasie i pod płaszczem. Machnęła nadgarstkami, by przebudzić formy, i rzuciła się na bestię, którą ścigała. Przewróciła ją, przetoczyła się, a następnie uderzyła dłońmi w ciało potwora i cisnęła go przez dziedziniec. Walnął w mur ze skowytami zaskoczenia, po czym upadł i już nie wstał.

Grupka ludzi rozpierzchła się z krzykiem.

Eliana odwróciła się od nich; obecność Simona była jak haczyk, który utkwiał w jej sercu. Pozostałe trzy bestie zbliżały się do niej z szeroko otwartymi pyskami, mocno uderzając w ziemię zniekształconymi łapami. Na grzbiecie jednej z nich, płasko przyciśnięte, jechało dziecko. Szarookie i milczące, cisnęło w Elianę wirującymi dyskami ze światła jak strzałami.

Eliana zrobiła unik, a potem uderzyła dziecko falami czystej mocy, rozwścieczonej i płonącej. W kilka sekund napastnicy obrócili się w popiół. Odłamki roztrzaskanych form poleciały na ziemię jak iskry, po czym zgasły.

Eliana stała i oddychała ciężko. Widziała, że Remy obserwuje ją z cienia, gotów przyjść jej z pomocą. Potrząsnął głową, zaciskając usta.

Eliana rozprostowała palce, opanowała chaos myśli i rozkazała formom zgasnąć.

Czy było już za późno? Ludzie na dziedzińcu ją zobaczyli. A Corien? A Rielle?

Stała nieruchomo, starając się wyczuć jakąś zmianę w powietrzu, ale nic się nie wydarzyło. Minęła chwila, potem następna.

Odważyła się obejrzeć. Simon zniknął, podobnie jak jego ojciec, a Eliana musiała stłumić wrzask rozpacz. Poczula ból tak gwałtowny, jakby ktoś zdzielił ją w pierś.

Jeden mężczyzna, wysoki i ciemnoskóry, zrobił krok naprzód. Skinął na pozostałych, a ci uciekli wąskim przejściem pomiędzy budynkami z jasnego kamienia. Na każdym rogu stali święci, patrząc na wszystko pustymi białymi oczami.

Niebawem wraz z mężczyzną zostały tylko dwie osoby – żołnierze z dłońmi na rękojeściach mieczy i napiętymi ramionami. Mężczyzna podszedł powoli do Eliany.

– Odo! – syknął jeden z żołnierzy.

Mężczyzna machnął na niego, a gdy wyłonił się z cienia, Eliana mogła zobaczyć jego twarz. Miał brązową skórę, gładką i nieskazitelną, czarne włosy ułożone na olej w eleganckie fale oraz przystryżoną czarną brodę. Zatrzymał się kilka kroków od Eliany, zmrużył ciemne oczy i zapytał:

– Kim jesteś?

Eliana nie odpowiedziała, ponieważ nie wiedziała, czy może mu zaufać. Czy empirium poprowadziło ją do Simona, czy do tego mężczyzny? Żołnierz nazwał go „Odo”. To chyba było imię, a może nieznane jej staroceldaryjskie słowo?

Uniosła podbródek. Musiał zobaczyć, że się go nie boi.

– Muszę się dostać do Baingarde – oznajmiła stanowczo. – Czy możesz mi pomóc?

Remy podbiegł do nich i przetłumaczył, a brwi mężczyzny drgnęły lekko. Eliana nie zrozumiała jego odpowiedzi.

– „Cóż to za dziwna odpowiedź na moje pytanie” – przetłumaczył Remy.

Mężczyzna spoglądał na dłonie Eliany i miecz Katell wiszący u jej pasa.

Zanim Eliana zdążyła wymyślić odpowiedź, Remy zrobił krok do przodu. Odpowiedział w staroceldaryjskim, twardym i donośnym głosem. Eliana nie знаła wszystkich słów, ale rozumiała ogólny sens.

– To jest Eliana – oświadczył Remy. – Córką Królobójczyni i Świetlistego, następczyni tronu świętej Katell. Trzyma w dłoniach miecz Katell, a krew Katell płynie w jej żyłach. Przybywa z przyszłości, gdzie światem rządzą aniołowie z Nieśmiertelnego Imperium. Poszukuje swojej matki i zamierza zakończyć tę wojnę.

Gdy mówił to wszystko, Eliana wpatrywała się stanowczo w mężczyznę. Wyjęła miecz Katell z pochwy i pozwoliła mu rozbłysnąć. Przeszedł ją powolny dreszcz, a moc wezbrała jej pod skórą, szepcząc na ostrzu miecza: *Poznajcie mnie*.

Później Remy wypowiedział ciąg znajomych słów – to samo zdanie, które powtarzał półgłosem w komnacie Ludivine, tuż zanim przeszli przez nici Simona.

Stojący przed nimi mężczyzna zamrugał. Jego dwaj towarzysze wyprostowali się i popatrzyli na siebie ze zdumieniem i zaskoczeniem.

– Co takiego powiedziałeś? – zapytała szeptem Eliana.

– W imię korony i kraju będziemy bronić prawdziwego światła – odparł półgłosem Remy. – To motto tutejszej Czerwonej Korony. Tu się wszystko

zaczęło. – Dodał głośniejszym głosem: – Jak możemy się dostać do zamku? Czy wiecie? Czy możecie nam pomóc?

Chwila ciszy. Potem mężczyzna zbliżył się jeszcze o krok i przemówił. Remy szybko zaczął tłumaczyć.

– Nazywam się Odo Laroche i jestem przyjacielem króla. – Przeniósł ostre i przenikliwe spojrzenie na Elianę. – Wyglądasz jak oni. Twoje oczy. Twoje usta. – Popatrzył na jej formy. – Twoja matka jednak nie potrzebuje form. Ty musisz je mieć?

– Być może pewnego dnia nie będę ich potrzebować – odpowiedziała Eliana. – Ale zawsze będę chciała je mieć.

Odo wydawał się zadowolony z tej odpowiedzi. Jego głos odrobinę zmiażdżył.

– „Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś aniołem?” – przetłumaczył Remy.

Eliana odpięła sztylet od pasa i nacięła lekko przedramię. Uniosła je, aby Odo zobaczył. Mijały sekundy. Rana się nie zamknęła, rubinowa linia znaczyła jej skórę. Eliana pomyślała przelotnie o swojej niezniszczalnej wersji z przeszłości. Jakże nierozważna była, zeskakując bez namysłu z dachów i przyjmując ciosy, jakby były podarunkami.

– Nie mówisz jednak po celdaryjsku – zauważył Odo. – Ani nawet w znanej mi mowie wspólnej. Używasz jakiegoś jej wariantu. Rozpoznaję tylko poszczególne słowa. To bardzo dziwne.

– To nic dziwnego – odrzekła Eliana. – Nauczyłam się w nim mówić tysiąc lat od tej chwili. Wiele się zmieniło.

Odo uniósł brew.

– Jak widać. – Spojrzał na Remy’ego. – Czy ty, który przemawiasz w imieniu księżniczki, także jesteś dziećciem świętej Katell?

Eliana zaczęła, aż Remy jej to przetłumaczy, i wzięła go za rękę, zanim zdążył odpowiedzieć.

– Nie. Nie jest. Ale ma na imię Remy i jest moim bratem.

Remy ścisnął jej dłoń.

Odo skinął głową, przyglądając się im obojgu przenikliwie. Potem obrócił się i dał znak, żeby szli za nim.

– Masz szczęście, Wasza Wysokość – powiedział, gdy szli szybkim krokiem przez dziedziniec. Jego towarzysze podążali za nimi. – Jest wiele ukrytych wejść do Baingarde, przez które można się tam dostać niepostrzeżenie, a ja znam je wszystkie. Ale proszę, nie mów o tym swojemu ojcu.

Jej ojcu. Serce podeszło Elianie do gardła. Miała nadzieję, że Świetlisty, gdziekolwiek jest, walczy daleko od tego zamku i upiornych skrzydeł ze światła.

Przemieszczali się sprawnie przez ciąg ogrodów i dziedzińców zasypanych szczątkami. Magia żywiołów kreśliła na nocnym niebie barwne smugi. Nad dachami rozbrzmiewały potworne ryki, a ziemia drżała od odgłosów maszerujących stóp. Setki ludzi przepychały się przy drzwiach każdej ze świątyń. Szlochali, klęcząc, modlili się nad chwiejnymi świecami, znosili krzesła i stoły, żeby zabarykadować wejścia.

Odo potrafił przedzierać się przez tłum i znał tajne przejścia pod ziemią. Jednym z nich przedostali się do pustej posiadłości, cichej jak grób. Jedwabne zasłony trzepotały w otwartych oknach, a światło ze skrzydeł Rielle zalewało złotem wykładaną kafelkami posadzkę. Eliana zadrżała. Byli tak blisko Baingarde, że jej język zaczął mrowić od mocy.

Towarzysze Oda stanęli na warcie przy wejściu, zaś sam Odo poprowadził Elianę i Remy’ego najpierw do piwnicy, a później do innego, położonego jeszcze niżej pomieszczenia, ciemnego i wilgotnego. Podeszedł do stołu w rogu, gdzie znalazł kawałek papieru i pióro.

– Nie mogę iść z wami – mruknął, szkicując mapę. – Zbyt wielu ludzi jest nadal uwięzionych w mieście, a w tym, co zamierzacie zrobić, moja pomoc i tak nie byłaby na nic przydatna.

Podał mapę Elianie, po czym spojrzał na miecz Katell. Tak blisko zamku jego ostrze pulsowało światłem, którego Eliana nie mogła stłumić.

– Powiedziałaś, że chcesz znaleźć swoją matkę – przypomniał Odo. – Co zrobisz, gdy już ją znajdziesz?

Eliana patrzyła na niego pewnym wzrokiem, udając spokój, którego nie czuła.

– Myślę, że znasz odpowiedź na to pytanie, Odo Laroche.

Gdy Remy przetłumaczył jej słowa, błąd i smutny uśmiech pojawił się przelotnie na twarzy Oda. Eliana zastanawiała się, czy znał Rielle, co o niej myślał, czy byli przyjaciółmi, zanim wszystko potoczyło się tak straszliwie źle.

– Tak – odparł cicho. – Znam odpowiedź.

Potem otworzył kluczem jedne zwyczajne drewniane drzwi i drugie, kryjące się za nimi. Przyklęknął obok klapy osadzonej w kamiennej podłodze. Gdzieś w górze rozległa się eksplozja. Dom zadrżał w posadach, z sufitu osypał się brud.

Odo wstał. Miecz Katell oświetlał jego poważną, smutną twarz.

– Pospiesz się, Wasza Wysokość. Miasto upadło. Niebawem zginą jego mieszkańcy.

Remy zszedł po metalowej drabinie pod klapą, a Eliana poszła w jego ślady. Musieli zeskoczyć, żeby wylądować na ubitej ziemi. Formy Eliany oświetlały wąski i ciemny korytarz. Usłyszała nad głową szczęk zamka i spojrzała szybko na Remy'ego. Skinął głową, z twarzą ponurą i ukrytą w cieniu, a później pobiegli.

Audric

Czasem budzę się rano i wydaje mi się, że mogę wyciągnąć rękę i poczuć ją obok. Przekonuję sam siebie, że nie będę musiał z nią walczyć. Że zobaczy mnie i zapragnie wrócić do domu. Potem spoglądam na puste łóżko i uświadamiam sobie, co muszę zrobić. Powiedziałem jej kiedyś, że nie wiem, jak mógłbym ją jednocześnie kochać i być osobą, która wysyła ją na wojnę. Gdybym tylko wiedział wtedy, jak potoczą się nasze losy. Gdybyśmy tylko mieli więcej czasu.

– z dziennika Audrica Courverie, króla Celdarii, 30 kwietnia
1000 roku Drugiej Ery

Wewnątrz zamku nic się nie poruszało. Żołnierze i służący leżeli na posadzce w holu wejściowym, zesztywnieli tam, gdzie upadli, z twarzami pozbawionymi koloru i ustami zamartwymi w krzyku.

Audric minął ich w milczeniu, starając się nie myśleć o tym, gdzie może być jego matka. Gdy ją opuszczał, nadzorowała ewakuację miasta i kierowała ludzi na południe przez niegdyś tajne tunele pod górami.

To było jednak kilka godzin temu. Mogła być jednym z tych martwych ciał pod jego stopami. A może leżała gdzieś w mieście, wpatrując się w gwiazdy niewidzącymi oczami.

Audric nie przyglądał się żadnemu z mijanych ludzkich kształtów, zbyt się obawiając, że zobaczy kasztanową burzę włosów.

– Co to jest? – wyszeptała Kamayin. Stała obok jednej z kamiennych kolumn podpierających hol, po której spływały strużki pulsującego

światłem złota. Były wszędzie: na ścianach i na suficie. Ściekały ze schodów na półpiętro i unosiły się jak delikatne gałązki zawieszone w wodzie.

Kamayin z szeroko otwartymi oczami wyciągnęła rękę do najbliższej. Gdy się do niej zbliżyła, jej formy zaiskrzyły jaśniej.

Miren podbiegła i chwyciła ją za nadgarstek.

– To Rielle. To jej robota. Nie dotykaj żadnej z nich.

Obejrzała się przez ramię, a Audric zobaczył na jej twarzy tę samą tęsknotę, którą odczuwał. Moc w jego wnętrzu szamotała się – ledwie był w stanie przez nią oddychać – a Illumenor wibrował w jego dłoni, jakby tak naprawdę nie należał do niego, lecz do światła przenikającego pałac złotymi strumieniami.

Audric.

Nie odpowiedział głosowi Rielle i nie powiedział nic pozostałym. Ostrożnie wszedł po wielkich schodach, omijając cienkie linie złota, które poruszały się i syczały jak ślepe węże poszukujące ciepła. Sloane poszła za nim, a dalej Kamayin, Miren, Evelyne, Fara i Maylis. Siedem przestraszonych cieni skradających się powoli przez obrysowany światłem zamek.

W miarę jak wchodzili coraz wyżej, unoszące się w powietrzu żyły złota stawały się jaśniejsze. Serce Audrica tłukło się, lęk wypełniał go gęstą masą. Każdy krok naprzód sprawiał, że całe jego ciało ogarniały fale zwątpienia.

Co takiego znajdą na górze? Oczami duszy widział Rielle taką jak w noc ich ślubu. Przed wizją zesłaną przez Coriena, przed tą okropną sceną w ogrodzie. Promieniała w jego ramionach, gdy wirowali na parkiecie, jej suknia przypominała migotliwą chmurę, a jej szczęście było nieskrywane jak nigdy wcześniej.

Zapisał ten obraz w pamięci, kiedy stanął przed podwójnymi witrażowymi drzwiami na trzecim piętrze w zachodnim skrzydle. Lśniły na nich podwójne słońca ze szkła barwy bursztynu i pomarańczy, stworzone na cześć świętej Katell i unoszące się nad zielonymi polami. Drzwi były otoczone morzem złotych żył wpychających się do środka. Audric czuł w uszach i w zębach vibracje powietrza jak naładowany elektrycznością rytm serca. Za nimi znajdował się ogromny taras zajmujący całą szerokość trzeciego piętra. To było ulubione miejsce jego ojca na prywatne spotkania.

Audric zatrzymał się z dłonią na klamce. Nie oglądał się na swoje przyjaciółki, ale czuł, że są blisko. Ich formy strzelały niecierpliwą mocą, miecze unosiły się w gotowości.

Odetchnął głęboko i otworzył drzwi.

Powitał go podmuch żaru gorętszego niż wszystko, co czuł od czasów dzieciństwa, gdy wykuwał Illumenora. Zignorował drżące od upału powietrze i wyszedł na taras. Łzy wypełniły mu oczy. Światło było wszędzie, gorąco stało się nie do wytrzymania. Za jego plecami Sloane zakłęła, a Kamayin westchnęła gwałtownie.

Pasma światła przecinały taras i spływały z balustrady jak wodospad. Na drugim końcu tarasu, spoglądając ponad miastem na pole bitwy, stała świetlista sylwetka. Ciemne włosy miała przetykane złotem, szkarłatna suknia była obrzeżona nićmi ze światła. Stała do nich plecami. Zaciskała dłonie na balustradzie, a z jej palców wyrastały skrzydła, które Audric widział na Błoniach. Wypełniały nocne niebo, zbyt wysokie i bliskie, by objąć je wzrokiem w całości.

Koło niej stał mężczyzna w długim czarnym płaszczu, z zagadkowym uśmiechem na bladej twarzy.

Gniew eksplodował w Audricu – gniew, jakiego nie czuł nigdy wcześniej. Palił jego palce, gotował się w jego piersi jak olej strzelający

nad płomieniem.

Corien uśmiechnął się szerzej.

– Powiedziała mi, żebym cię nie zabijał – oznajmił. – Mogłem to zrobić z łatwością. Wszystkie te bohaterskie czyny, wspaniały popis szermierki, krzyki i skandowanie. Naprawdę inspirujące. Ale ona chciała, żebyś ją zobaczył. Chciała po raz ostatni na ciebie spojrzeć.

Z tymi słowami Corien odsunął się na bok i skłonił z wdziękiem, a Audric patrzył, wstrzymując oddech, jak Rielle odwraca się do nich.

Gdy ujrzał jej oczy, jego serce się zacisnęło.

Jej oczy płonęły złotem. Moc, która od niej promieniowała, gorąca jak fale ognia, unosiła włosy w ciemnych pierścieniach nad jej ramionami, a brzeg czerwonej sukni falował wokół kostek. Audric przeniósł wzrok na jej brzuch, napęczniały od ich dziecka, i ponownie pomyślał o ich córce. „Narodzą się dwie królowe”. Księżniczka pokoju. Być może ciemnooka jak on, ale z ostrym językiem i zalotnymi ustami Rielle.

Ponownie spojrzał Rielle w oczy. Jej uroda była szokująca, a on jeszcze nigdy się tak nie bał – nie jej, lecz o nią. Ostre cienie na jej twarzy, zapadnięte policzki, linie wokół ust – co je wyryło? Żałoba czy ból? Jej skóra falowała, prześwitywało przez nią złoto. Nie poczułby się zaskoczony, gdyby jej ciało nagle opadło, odsłaniając wielką i straszliwą moc pod spodem. Złoto znowu zadrżało, fale poruszyły się jak pochwyczone sztormem, a wszystkie mięśnie twarzy Rielle stężały. Zachwiała się lekko i sięgnęła do tyłu, żeby oprzeć się o balustradę.

– Co się z tobą dzieje, Rielle? – wyszeptał Audric. Zrobił krok w jej stronę.

Światło wijące się po tarasie śmignęło do jego kostek. Zrobił unik, podobnie jak stojące tuż za nim Miren i Sloane, ale Fara i Maylis nie były

dość szybkie. Światło pochwyciło je za nogi i przerzuciło przez balustradę w ciemność. Nie zdążyły nawet krzyknąć.

Kamayin wrzasnęła ze zgrozy. Evyline zawyła imię Rielle.

Rielle zamrugała. Jej dłonie drgały po bokach, a gdy się odezwała, głos był zwielokrotniony, jakby każdy strumień światła przenikający pałac powtarzał jej słowa.

– Dzieje się to – powiedziała; każda sylaba była odrobinę niewyraźna – że uciekłam od ciebie. Stałam się tym, czym nigdy nie pozwoliłbyś mi się stać.

– Czyli czym takim? – Odważył się zrobić jeszcze krok w jej stronę. – Powiedz mi, co widziałaś. Co pokazało ci empirium?

Przechyliła głowę i obserwowała go. Jej oczy zalśniły.

– Wszystko.

– Czy możesz powiedzieć dokładniej? Wszystko to bardzo dużo, żeby sobie wyobrazić.

Uśmiechnęła się drwiąco.

– Dla ciebie.

Nadal się do niej zbliżał. Machnął na swoje towarzyszek, żeby trzymały się z daleka.

– Powiedz mu – zaproponował Corien, opierający się bez troski o balustradę kilka kroków od Rielle. – Chciałbym zobaczyć, jak jego umysł bezskutecznie usiłuje to pojąć.

– Widziałam światy. – Uśmiech Rielle wydawał się kruchy. – Trzymałam je w dłoniach i sprawiałam, że wirowały. Wspięłam się pomiędzy gwiazdy. Zwieszałam nogi z krawędzi wszechrzeczy. Zniszczyłam anioła i stworzyłam pięć tysięcy nowych. A to dopiero początek.

Audric nie odrywał od niej spojrzenia, ignorując Coriena.

– Jak wyglądają światy?

Zamrugła. To pytanie ją zaskoczyło. Chwila zastanowienia, a potem przebłysk uczucia na jej twarzy, czegoś poza tym dzikim, złocistym głodem.

– Nasz jest błękitny i zielony – powiedziała cicho. – Otoczony białymi chmurami jak wstążkami. Są też inne. Jeden intensywnie fioletowy, inny żółty od burz, a także maleńkie światy niewiele większe od kamieni.

– Zdumiewające. – Zwolnił. Krok, dwa uderzenia serca, jeszcze jeden krok. – A krawędź wszechrzeczy? Możesz mi powiedzieć, jak wygląda?

– Jak wodospad w milionach kolorów – odparła z uśmiechem. Patrzyła na coś poza nim. – Spada w nieskończoność i zaczyna się od nowa.

– Dość – warknął Corien. – Czas to zakończyć.

Rielle spojrzała poza Audrica, a złoto w jej oczach częściowo zniknęło.

– Gdzie jest Ludivine?

– Odeszła – odpowiedział Audric. – Zostawiła mnie kilka tygodni temu.

Rielle zmarszczyła brwi.

– Dlaczego?

– Tchórzostwo. – Corien odliczał słowa na palcach. – Egoizm. Wstyd. Możesz wybierać.

Rielle patrzyła na Audrica. Jej oczy lśniły nie od światła, lecz od łez. Odetchnęła z drżeniem.

– Lu – wyszeptała.

Zachęcony Audric zrobił jeszcze krok w jej stronę.

– Pomyśl o tym, co mogłabyś nam wszystkim pokazać – rzekł. – Czego mogłabyś nas nauczyć. Rzeczy, jakich żadne z nas nie potrafiłoby pojąć samodzielnie. Przerastasz nas, to prawda, a niektórzy ludzie boją się ciebie i zawsze będą się bać. Niektórzy będą cię nienawidzić. To jest prawda. Ale większość będzie cię kochać, nawet ci, którzy czasem się ciebie obawiają.

Umilkł na chwilę, a potem przykląkł. Za jego plecami Sloane mruknęła coś ostrzegawczo. Zignorował ją.

– Nie miałem racji, gdy cię odtrąciłem – powiedział, spoglądając w olśniewający blask twarzy Rielle. – Bałem się. Czy możesz zrozumieć dlaczego?

Patrzyła na niego. Jej wargi drżały. Corien chciał do niej podejść, ale powietrze zafalowało ostro i go odepchnęło. Poirytowany, spojrzał na nią gniewnie zza poskręcanego światła.

– Rielle, on próbuje odwrócić twoją uwagę – warknął. – Wiem, że sama możesz to dostrzec. Jeśli mnie zmusisz...

– Dotknij mojego umysłu, to cię zabiję – oznajmiła spokojnie.

Audric nadal mówił tak samo pewnie.

– Rielle, zadałem ci pytanie. Proszę, czy możesz mi odpowiedzieć?

Spojrzała na niego z góry, a w jej oczach były złote morza. Rzuciły własne światło.

– Bałeś się mnie. – Mówiła powoli, jakby rozwiązywała zagadkę. – Rozumiem dlaczego.

– Ale nigdy nie przestałem cię kochać. Nigdy – zapewnił ją szybko. Ten moment był ulotny; Audric musiał powiedzieć jej wszystko, zanim powietrze między nimi pęknie. – Przez te ostatnie miesiące ani na chwilę nie przestałem cię kochać. Nic, co zrobisz, nie zdoła tego zmienić, a ja wiem, jak wiele możesz zrobić, najdroższa. Zaczynam rozumieć, przynajmniej częściowo, a resztę pragnę zrozumieć. Chcę usłyszeć wszystko o światach, które widziałaś; chcę usiąść z tobą przy ogniu i słuchać, jak mówisz o gwiazdach spadających w twoje dłonie i czy przy tym wodospadzie na skraju wszechrzeczy jest zimno, a także który świat jest twoim ulubionym. Nasz, tak piękny i zielono-błękitny, czy może ten z gwałtownymi burzami i gniewnym żółtym niebem. – Audric dostrzegł, że

jej spojrzenie załśniło, i poczuł, że jemu też stają w oczach łzy. – Jednakże nie możemy nic takiego zrobić, jeśli najpierw nie przerwiemy tej wojny. Nasze strony walczą, by przetrwać, chociaż mogłyby przetrwać z łatwością, gdybyś na to pozwoliła. Nasi przodkowie nie mogli żyć razem, ale nam by się to udało. Święci oszukali aniołów, jednak my tego nie zrobimy. Pomóż mi tego dokonać. Możemy stworzyć nowy świat, ty i ja. Tutaj, gdzie się urodziłeś. Nasz dom. Możemy zrobić z niego miejsce, w którym wszyscy, nawet nasi wrogowie, nauczą się żyć w pokoju.

Pilnował, żeby nie spojrzeć na Coriena, lecz wyczuwał jego gwałtownie narastający gniew.

Przez chwilę wydawało się, że Rielle to rozważa. Jej twarz złagodniała. Audric ostrożnie się do niej uśmiechnął.

– Wróć do mnie, Rielle. Proszę. Tęsknimy za tobą.

To był błąd.

Nie dostał żadnego ostrzeżenia. Rzuciła się na niego, w ruchu wyrywając światło z powietrza. Poderwał się na nogi, a gdy się spotkali, to na odległość ostrzy. Rielle uczyniła swój miecz z niczego – lśniąca broń z czystego światła i mocy. Trzymała ją gołymi rękami, spoglądając na niego gniewnie ponad szerokim, iskrzącym ostrzem. Audric ścisnął Illumenora dłońmi śliskimi od potu. Jego mięśnie płonęły, a kolana drżały.

– Tęsknicie za mną? – Głos Rielle znowu się zwielokrotnił, setki jego fragmentów grzmiały i syczały z wściekłości. – Wszyscy, którzy się mnie bali? Wszyscy, którzy mówili mi, że mam się modlić, modlić i modlić, ignorować swój głód, owszem, używać mocy, ale tylko na rozkaz Kościoła i kraju? Nazywali mnie Królobójczynią, a ty ich nigdy nie skarciłeś. Ty sam mnie kochałeś. Dałeś mi swoje dziecko. Poślubiłeś mnie. A jednak pozwalałeś, żeby wrzeszczeli obelgi pod naszymi bramami, przeklinali mnie i żądali mojej śmierci. Gdy zaś prawda wyszła na jaw, stałeś się taki

jak oni, chociaż przysięgałeś, że to się nigdy nie zdarzy. – Pochyliła się nad nim. Jej usta były pełne gwiazd. – Królobójczyni. Potwór. Sam tak powiedziałeś. A teraz widzisz, że przynajmniej pod tym względem miałeś rację i myliłeś się pod każdym innym. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że mogę stać się czymś takim; nie pozwoliłeś sobie tego wyobrazić. To cię przeraża. „Nie moja Rielle”, powtarzałeś sobie. „Ona nigdy by tego nie zrobiła. Jest dobra, wierna i ma czyste serce”. A gdy przebłyski mojej prawdziwej natury stały się dla ciebie widoczne, odsunąłeś się ode mnie. Dotykałeś mnie z gniewem. Patrzyłeś na mnie, jakbyś mnie nie znał. I tak było. Znałeś tylko kłamstwo.

Audric zebrał swoje moce, kiedy mówiła, i wykorzystał je, by odepchnąć ją z całej siły. Illumenor zapłonął bielą. Rielle zachwiała się, lecz odzyskała równowagę. Jej miecz zgasł jak zdmuchnięta świeca, jednak gdy się odwróciła, miała już nowy. Ten strzelał czerwonym ogniem, a gdy uderzył o Illumenora, iskry oparzyły czoło i policzki Audrica. Krzyknął z bólu, ale nie wypuścił miecza. Cienie przesuwwały się po twarzy Rielle. Ze zdumieniem zobaczył zarys jej czaszki, lśniącej jak rozpalone naczynie z brązu.

Jego towarzyszek podbiegły, by mu pomóc, a Audric przez mgłę zmęczenia widział, jak Rielle odrzuca je od siebie – Miren, Sloane, Kamayin, Evyline zostały przyciśnięte do posadzki tarasu syczącymi pasmami mocy.

– Rielle, popatrz, co robisz! – Kolana się pod nim ugięły. Osunął się na kamienie. – To są twoje przyjaciółki!

– Naprawdę? Czy kogokolwiek można tak nazwać? – Rielle spojrzała na nie szybko. Zwilżyła językiem wargi. Popatrzyła na Sloane. – Zabiłam jej brata. – Potem na Miren. – I jej kochanka. – Przeniosła wzrok na Evyline. – Jej przyjaciółki, dopiero co. Leżą roztrzaskane na ziemi. –

W końcu na Kamayin. – Zaś połowa jej ludzi leży martwa na polu bitwy. Wszyscy w pałacu nie żyją, podobnie jak twój ojciec, i mój.

Wściekły jęk żalu Kamayin rozdarł powietrze. Audric słyszał, że Miren szamocze się w więzach. Odłamki metalu na tarasie wibrowały gniewem.

– To są moje przyjaciółki? – wyszeptała Rielle. – To są osoby, które powitają mnie, gdy wrócę do domu? – Jej płonące oczy skierowały się prosto na Audrica. Na jej twarzy pojawił się przelotnie głęboki smutek, ale zniknął tak szybko, że Audricowi zapewne się tylko wydawało. To była jakaś deliryczna nadzieja, gdy leżał przed nią przygnieciony mocą, że ona po wszystkim będzie tego żałować.

Odetchnęła z drżeniem i żarem.

– Nie wiesz, jak to jest żyć w taki sposób – powiedziała, a on nie umiał odczytać niczego z jej głosu. Nie wiedział, czy mówi to z dumą, czy błagalnie.

Starał się złapać powietrze. Jej moc zaraz go zmiażdży.

– W takim razie powiedz mi! Powstrzymaj to i powiedz mi, powiedz wszystkim. Poproś nas o pomoc. Pozwól, żebyśmy ci pomogli!

– Jest już za późno, Audricu. Było za późno wiele lat temu, w momencie gdy urodziłam się z czymś takim we krwi. Było za późno, gdy Aryava wypowiedział swoje ostatnie słowa. – Jej oczy lśniły wilgocią, ale głos był zimny jak kamienie na dnie morza. – Byliśmy głupcami, nie dostrzegając tego.

Choć przedtem jej twarz złagodniała, teraz drzewi się zatrzasnęły, a Audric, spoglądając na nią w górę, wiedział, że nigdy już się nie otworzą.

Naparła mocno i cisnęła go na posadzkę. Illumenor poleciał z brzękiem na kamienie tarasu. Gdzieś w morzu bezkresnego światła Corien się śmiał.

Rielle nie trzymała już miecza. To jej ręka płonęła jak oślepiające ostrze ze światła, a gdy się zamierzyła, by przeszyć jego serce, Audric spojrzał

prosto w jej ukochaną twarz i wyszeptał:

– Kocham cię, Rielle.

Eliana

Słyszę w snach głos Aryavy – nie taki, jaki znałam i kochałam, ale jego głos na łożu śmierci, gdy nie przypominał już siebie, wypowiadający ochryple zniekształcone słowa. „Świat upadnie”, oznajmił. „Narodzą się dwie królowe”. W jego gasnącym wzroku spoglądało na mnie coś lodowatego i starożytnego, co nie było jego częścią. W tamtej chwili zostałam osądzona za to, co uczyniłam, co wszyscy uczyniliśmy. Za to, co musieliśmy zrobić i zrobilibyśmy ponownie.

– z dziennika świętej Katell spisanego w pierwszych latach po wojnach anielskich i wykradzionego z Pierwszej Wielkiej Biblioteki Quelbani

Baingarde było pełne światła – pulsowało grubymi żyłami, poskręcany jak korzenie ogromnego drzewa. Pływały za Elianą, gdy wbiegała po wielkich schodach pałacowych. Sięgało do jej nóg, jej form, ostrza miecza Katell.

Wymijanie ich stanowiło torturę. Przyciągały ją jak syrenia pieśń, obiecywały chwałę i nieskończoną dobroć, jeśli tylko się zatrzyma i ich dotknie. Kiedy wchodzili coraz wyżej, tylko obecność Remy’ego, zwinnego i milczącego obok niej, dawała jej siły, by biec naprzód. Bolesna tęsknota rozkwitała w jej piersi, chociaż żołądek skręcał się ze strachu.

W końcu dotarli do wysokich witrażowych drzwi, przez które przelewały się oślepiające rzeki wibrującego światła. Jedno z ich skrzydeł było otwarte.

Eliana zatrzymała się kilka kroków od nich i patrzyła na nie. Uderzenia serca dudniły jej w uszach. Dłonie miała śliskie od potu. Słyszała podniesione, kłójące się głosy, trzask magii, czyjś śmiech. Znajomy śmiech, który sprawił, że ogarnęło ją lodowate zimno.

Remy stał koło niej i przyglądał się drzwiom, za którymi lśniło niewyobrażalne światło. W tym blasku wydawał się mniejszy niż kiedykolwiek wcześniej, jego kradziony miecz wyglądał jak zabawka.

– Czy to on się śmieje? – Remy spojrzał na Elianę, a jego twarz pod warstwą popiołu pobiadła. – Czy to Corien?

Była zbyt przerażona, by skinąć głową. Usłyszała uderzenia o kamień – cztery, jedno po drugim. Kobieta krzyknęła z rozpaczliwym żalem, a potem jakiś mężczyzna krzychał słowa, których Eliana nie rozumiała. Coś w jego głosie było jednak znajome, chociaż nigdy wcześniej go nie słyszała, i nagle empirium wybuchło w niej, ponaglając bez słowa i pchając ją do drzwi.

Mogła stawić opór. Mogła uciec, wrócić do piwnicy Oda i ukrywać się w ciemności, aż znajdą ją aniołowie.

Zamiast tego podeszła powoli do drzwi i wyjrzała na taras z kamienia i ognia. Sznury światła przyciskały cztery osoby do ściany zamku i posadzki tarasu, z rozkrzyżowanymi kończynami jak skrzydła przypiętych szpilkami owadów. Z szeroko otwartymi oczami, zachryple od krzyku, wpatrywały się w bladą kobietę z burzą ciemnych włosów, skórą wyzłoconą światłem i mieczem z buzujących czerwonych płomieni w dłoniach. Walczył z nią mężczyzna o brązowej skórze i ciemnych, mokrych kędziorach klejących mu się do czoła. Jego miecz lśnił blaskiem słońca, ale był niczym w porównaniu z samą kobietą. Była wspaniała, rozświetlona, a ramiona mężczyzny drżały, gdy przycisnęła go do podłogi.

Eliana patrzyła w koszmarnie jasny świat za drzwiami i obserwowała ich walkę jak przez senną mgłę. Przypłynęły do niej imiona, bo to oczywiście byli oni: Rielle Królobójczyni i Audric Świetlisty. Słyszała smutek w głosie Rielle, a także wściekłość i strach. Desperację Audrica, gdy iskry broni Rielle osmały jego twarz i ręce. Jego ciało ociekało potem, krwią i sadzą, zaś pod luźną szkarłatną suknią Rielle malował się brzuch wypełniony dzieckiem.

Eliana dotknęła własnego brzucha, jakby w ten sposób mogła jakoś złagodzić dziwaczne uczucie patrzenia na ludzi, którzy ją stworzyli.

Wtedy jednak miecz Rielle się zmienił, scalał się z ciałem, aż jej prawa ręka stała się wstęgą czerwonego ognia. Uniosła ją, aby zadać cios, celując w serce Audrica, a Eliana zobaczyła, że ten zamyka oczy, a jego wargi poruszają się, wypowiadając słowa, których nie słyszała.

Panika wybuchła w niej gwałtownie. Eliana wybiegła na taras, a morze złotych gałęzi na posadzce rozstało się, żeby ją przepuścić. Ramię Rielle załśniło, ale zanim zdążyło opaść, Eliana rzuciła się przed Audrica, wezwwała całą swoją siłę i uniosła miecz Katell.

Ręka Rielle uderzyła w ostrze Eliany i dwie smugi światła starły się ze sobą. Jedna czerwona i płonąca, druga pulsująca złotem pogodnego poranka. Oba ostrza błyszczały, sypiąc snopami iskier.

Rielle spojrzała na Elianę ponad swoją ręką zamienioną w broń, a jej oczy otworzyły się szerzej ze zdumienia. Nacisk na ostrze Eliany lekko osłabł, a Elianie z ulgi zakręciło się w głowie. Natychmiast zaczęła mówić.

– Matko – powiedziała w języku wspólnym, wiedząc, że Remy jest obok. – Tak wiele wycierpiałam, by cię odnaleźć. Posłuchaj, proszę.

Czekała, ledwie ośmielając się oddychać, aż w końcu przez szczęk broni i gorące brzęczenie światła przelewającego się przez balustradę tarasu przedarł się głos Remy'ego, tłumaczącego jej słowa.

Rielle z pociemniałą twarzą popatrzyła na Remy'ego, a potem znowu na Elianę i syknęła z wściekłością coś, czego Remy nie zdążył przetłumaczyć. Naparła mocno na miecz Eliany. Moc przepływała przez ciało Rielle falami światła, pozłacając jej czerwoną suknię, a Eliana przez moment obawiała się, że nogi odmówią jej posłuszeństwa.

Pomyślała jednak o stojącym za nią Remym, który u jej boku rzucał wyzwanie końcu świata, i o Simonie w przyszłości, a także o Navi, Patriku, Hobie, Ysabet, Maliku i pozostałych, którzy leżeli teraz martwi, ponieważ postanowili za nią walczyć.

Zaparła się mocno stopami o kamienie i zaczerpnęła z nich mocy, wzięła ją też z rozpalonego powietrza, którego dotyk czuła na swojej skórze, i z nocnego nieba płonącego magią. Miecz Katell stał się ostrzem z czystego światła, a moc zaśniła w jej dłoniach. Biała i złota, jak blask gwiazd. Jej formy zapłonęły, karmiąc magią stworzony przez nią miecz. Mięśnie ją paliły, a oczy łzawiły od żaru ognia, ale stała niewzruszona, stawiając opór potędze mocy swojej matki.

Na twarzy Rielle znowu pojawiło się zaskoczenie. Spoglądała ze zdumieniem na miecz, a Eliana poczuła malutki przypływ triumfu.

Jeśli Rielle miała jakieś wątpliwości co do prawdziwego pochodzenia Eliany, być może zostały właśnie rozwiane.

Na obrzeżach jej umysłu pojawiła się jakaś obecność, buzująca jak głodne płomienie.

Eliana wyczuła go od razu – to był Corien, lecz nie ten, którego знаła. Jasnooki i zdeorientowany, ale nie było w nim szaleństwa. Nawet jego umysł, badający jej umysł, wydawał się stabilniejszy.

Zrobił krok naprzód i otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

Rielle wykonała szybki ruch głową. Corien poleciał na balustradę i osunął się na posadzkę. Nie został unieruchomiony, jak inni, ale po prostu

rzucany. To było ostrzeżenie.

Eliańska wykorzystała okazję, być może jedyną, jaka jej pozostała.

– Cierpisz – rzekła. – Widzę to i rozumiem.

Za jej plecami Remy zaczął tłumaczyć. Eliańska obejrzała się na niego. Klęczał przy Audricu i pomagał mu usiąść. Świetlisty był wyraźnie wstrząśnięty, na twarzy miał oparzenia po ogniu Rielle. Spojrzał w oczy Eliana; w jego wzroku zobaczyła swój własny, zaś na jego twarzy – cechy swojej. Zaciśkał mocno dłoń na ręce Remy’ego i nawet w tę koszmarną, pełną okrucieństwa noc twarz brata Eliany rozjaśniała radość, ponieważ pomagał właśnie samemu Świetlistemu, który się na nim wspierał. Trzymał za rękę jednego z największych władców w dziejach.

– Empirium przemawia do ciebie. – Eliańska oderwała wzrok od Remy’ego i znowu odwróciła się do Rielle. – Do mnie także. Mówi mi, żebym się obudziła. Mówi mi, że należy do mnie, a ja należę do niego. Ale ja należę tylko do siebie. I tak samo jest z tobą.

Rielle patrzyła na nią, a światło krążyło po jej ciele w górę i w dół. Prawie nie przypominała już człowieka, jej uroda była hipnotyzująca i straszliwa: ostry zarys nosa i podbródka; wyzywająca krzywizna spierzchniętych ust; cienie pod oczami jak przepaście; przebłyskująca, półprzejrzysta skóra, pod którą wzbierały strumienie mocy.

Plecy Eliany swędziały od potu. Wskazała ruchem głowy Audrica.

– Nie chcesz tego. Kochasz go. Kochasz go tak bardzo, że kiedy go zabijesz, kiedy wydasz mnie na świat, zrozumiesz jasno, co zrobiłaś, i odbierzesz sobie życie. Zniszczysz to miasto. Roztrzaskasz empirium. Magowie żywiołów nie będą już mogli posługiwać się magią, aniołowie w ludzkich ciałach stracą zdolność czucia smaku i zapachu, a ich poczerwiałe oczy nie będą już tyle widzieć. Minie tysiąc lat. Powstanie Nieśmiertelne Imperium. – Eliańska spojrzała tylko raz na Corienę. – On

będzie się nazywać imperatorem. Wraz ze swoimi żołnierzami podbije świat. Będzie zabijać i plądrować. Zrówna z ziemią świątynie i zamorduje królów. Potwory zaczną wypełzać z Otchłani i polować na nas. – W tym momencie Eliana pomyślała o Zahrze i na chwilę odebrało jej mowę. Gdy odzyskała głos, dławiły go łzy. – Niektórzy aniołowie będą mu się sprzeciwiać – powiedziała. – Ale niedostatecznie wielu.

Wtedy właśnie Rielle zaczęła opuszczać broń. Czerwony ogień przygasł, odsłaniając blade, nienaruszone ramię. Eliana wstrzymała oddech, policzyła do trzech i zgasiła własny miecz. Pomiedzy nimi skręcały się smugi dymu. Miecz Katell składał się znowu z prostej rękojeści i ostrza lśniącego miękkim światłem.

Eliana przyklękła, a Rielle poszła w jej ślady, patrząc na nią jak urzeczone dziecko słuchające bajki na dobranoc.

– Ruch oporu o nazwie Czerwona Korona walczy z Imperium, ale przegrywa – ciągnęła Eliana. Remy przekładał jej słowa na śliczny, melodyjny rytm staroceldaryjskiego. – On zdołał mnie schwytać. Torturował mnie przez całe miesiące. Próbował mnie zmusić do użycia mocy. Stawiałam mu opór.

Najłżejszy z uśmiechów uniósł kąciaki ust Rielle. Jej oczy zalśniły, a zaskoczona Eliana pomyślała, że ta iskra w nich może być dumą.

– Jak mu uciekłaś? – zapytała Rielle.

Jej głos był zdumiewająco cichy i pojedynczy, niemal niesłyszalny w szumie mocy zgromadzonej na tarasie. Była taka młodziutka, tak jak oni wszyscy. Remy z oczami pociemniałymi od koszmarów. Mały Simon biegnący przez miasto za swoim ojcem, aby naprawiać wojenne okrucieństwa.

– Miałam pomoc przyjaciół – oznajmiła w końcu Eliana. Nie wspomniała o Ludivine. Samo wypowiedzenie tego imienia wydawało się

niebezpieczne. – Posłuchaj mnie, matko, proszę. Popatrz, co zrobiłaś. Zobacz wszystko, co robisz.

Spojrzenie Rielle pobiegło do Audrica. Eliana cieszyła się, że nie widzi jego twarzy. Mogła się na niej malować nadzieja albo rozpacz. Dotknęła ręki Rielle, spodziewając się, że moc pomiędzy nimi zaiskrzy. Ale poczuła tylko dłoń Rielle, gładką i drobną, z obgryzionymi paznokciami i malutkim odciskiem na prawym kciuku.

– To ogromny ciężar – powiedziała Eliana. – I ogromny dar, życie z mocami, jakie dostałyśmy. Inni nie są w stanie tego zrozumieć. Trudno jest znosić ich strach i uwielbienie.

Rielle roześmiała się z okropnym smutkiem. Dotknęła policzka Eliany.

– Malutka – rzekła. – Ja pragnę ich uwielbienia. Ja pragnę ich strachu.

Eliana zadrżała. Usłyszała czułe określenie Proroka wypowiedziane głosem jej matki.

– Czy tego właśnie pragniesz ponad wszystko?

Cisza przeciągała się, gęsta i pełna napięcia. Potem wyraz twarzy Rielle się zmienił, w jasnej zbroi pojawiło się pęknięcie.

– Nie – szepnęła.

– Czego w takim razie pragniesz? Ponad wszystko inne?

Oczy Rielle zalśniły wilgocią.

– Odpocząć.

– I jeszcze czegoś – domyśliła się Eliana.

Rielle skinęła głową. Zagadkowy, rozmarzony uśmiech pojawił się na moment na jej twarzy. W tej jednej chwili wyglądała nieludzko, jakby ciało miało z niej niedługo opaść, pozostawiając istotę odczuwającą tylko apetyt.

– Tego – powiedziała Rielle. Spojrzała na stworzone przez siebie światło, olśniewające skrzydła na nocnym niebie. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Pod ich stopami zamek poruszył się wraz z nią,

kamienie skurczyły się i rozszerzyły, dopasowując się do jej rytmu. Po policzkach Rielle spłynęły łzy. Jej głos był zachrypnięty z emocji. – Pragnę także więcej tego. – Potrząsnęła głową i dotknęła skroni. Wyrwał jej się śmiech zmęczenia. – Nie wiem, jak być tym, kim jestem, podzielona w ten sposób na dwie części. Królowa światła i królowa ciemności. Jestem przepowiednią Aryavy, ale tylko jedną królową. Jedną królową z pragnieniami obu. Nie potrafię tego wytrzymać.

Elia dotknęła twarzy matki instynktownym gestem, którego nie planowała wcześniej. Skóra Rielle pod jej palcami była niezwykle gładka, ciepła i cienka.

– Potrafisz – stwierdziła stanowczo. – I zrobisz to. Wszyscy nosimy w sobie światło i ciemność. Na tym polega bycie człowiekiem.

Za plecami Eliany Audric westchnął głośno. Rielle popatrzyła szybko na niego, a potem znowu na Elianę.

– A jeśli jestem więcej niż człowiekiem? – zapytała.

– W takim razie musisz nieść w sobie więcej światła, a także więcej ciemności, podobnie jak ja. – Elia spróbowała się uśmiechnąć. – To nasz los.

Wargi Rielle zadrżały.

– Nie prosiłam o taki los. Nie chcę go. Nienawidzę go. – Spojrzała błagalnie na Elianę. – Nieważne, gdzie pójdę ani co zrobię, nigdy się od niego nie uwolnię.

Elia wiedziała, że Rielle ma rację. Okropny, gorący żar zacisnął jej gardło. Moc w ich krwi zawsze będzie pragnąć więcej. Ten głód, ta chęć pochłaniania, to pragnienie mocy i potęgi, stania się czymś więcej niż zwykła istota z krwi i kości – to wszystko będzie przysparzać im wrogów. Ludzie będą ich nienawidzić i bać się ich, będą źle rozumieć ich intencje, będą je przeklinać i jednocześnie czuć do nich szacunek. Inni, dostatecznie

sprytni, by dostrzec prawdziwą skalę ich bólu, ich obaw, pragnień i nadziei, będą wykorzystywać je bez cienia poczucia winy.

Eliana nie patrzyła na Coriena, ale użyła jego obrazu w swoim umyśle, by wyostrzyć swój gniew.

– W tym momencie jesteś wolna – powiedziała gwałtownie. – Masz przed sobą wybór i tylko ty możesz go dokonać.

Nie rozwijała tej myśli. Nie musiała. Gdy Remy tłumaczył jej słowa, Rielle słuchała uważnie, a jej twarz złagodniała. Wokół jej ust i oczu widać było linie zmęczenia.

– Zbyt długo – ciągnęła Eliana – byliśmy narzędziami tych, którzy nas kochali, i tych, którzy nas nienawidzili. Tych, którym się wydawało, że znają nasze umysły, nasze serca, naszą siłę. Moc, którą się karmimy.

Ścisnęła dłoń Rielle i pochyliła się do niej, żeby dotknąć czołem jej czoła. Ich dłonie były śliskie od krwi i potu.

– Przebudź się teraz ze mną – wyszeptała Eliana. – I pomóż mi pokazać im, jak silne naprawdę jesteśmy.

Oczy Rielle załśniły złotem jak bliźniacze boskie płomienie.

– Niech światło Królowej nas prowadzi – powiedziała ochryple, z bladym, ironicznym uśmiechem.

Eliana go odwzajemniła.

– My jesteśmy światłem. Nasz ogień przebudzi świat.

– A co potem? – Spojrzenie Rielle stało się odległe. Wykonała nieokreślony gest w stronę pola bitwy, kobiet nadal unieruchomionych na posadzce. Przełknęła z trudem ślinę. – Co będzie po tym wszystkim?

– Życie tutaj – odrzekła stanowczo Eliana. – Życie w samotności, jeśli tego sobie zażyczysz, poświęcone poznawaniu empirium. Życie bez cudzych pragnień szeptanych w twoim umyśle, pozbawiających cię

zdolności jasnego widzenia. Szansa na pogodzenie się ze sobą, ze swoimi mocami, ze światem.

– Zrobiłam wiele rzeczy – odezwała się Rielle cichym, pełnym wysiłku głosem – których nie da się zapomnieć. Wszędzie, gdzie przeszłam, pozostawiałam gniew. Jeśli zaś miałabym wybór, żeby ponownie zrobić coś takiego lub tego nie zrobić... – Jej oczy spoglądały na coś dalekiego. – Nie wiem, co bym wybrała.

Eliana nie sprzeciwiała się temu.

– Masz rację. Zawsze będziesz pamiętana z powodu tych rzeczy. Ale jeśli zechcesz, możesz być pamiętana także z innych powodów.

Ścisnęła dłonie Rielle i odważyła się pocałować ją w policzek. Jej skóra była gorąca jak ogień i gładka jak wypolerowana stal.

Znużone spojrzenie Rielle stwardniało, gdy uniosła podbródek, jakby rzucała wyzwanie swojemu zmęczeniu.

Pomimo szalejącego wokół piekła wojny Eliana spojrzała na pobrudzoną popiołem twarz swojej matki i zadrżała, ponieważ rozumiała, że klęczy w obecności każdej gwiazdy, jaka kiedykolwiek płonęła – i że ta sama niewyobrażalna moc tworzy jej własne kości.

Popatrzyła Rielle w oczy. Ich spojrzenia się spotkały. Wtedy, jak jedna, z prastarym pulsem świata wibrującym w ich krwi, Eliana i Rielle powstały z płonącymi dłońmi i obróciły się, by stawić czoła przeznaczeniu, które wybrały.

Rielle

Załóżmy, że coś potoczyłoby się inaczej tamtej nocy, gdy Świetlisty walczył z Krwawą Królową nad polem bitwy, na którym magowie żywiołów ścierali się z aniołami. Odrobinę inne słowa lub gesty, krok w prawo zamiast w lewo. Los całego świata zależny od pojedynczego, niestałego momentu.

*– Noc, kiedy upadł świat. Co wiemy o bitwie pod Âme de la Terre
Axela ze Srebrnego Wybrzeża, radykalnego astawarskiego
akademika, wydrukowano w 941 roku Trzeciej Ery*

Wzrok Rielle pobiegł natychmiast do Coriena, który pozostawał czarnym kształtem w jej wibrującym lesie światła. Zanim zdążyła się zastanowić, co z nim zrobić, co mu powiedzieć, on już zaatakował.

Ból eksplodował za jej oczami. Jego palce jak czarne strzały wbijały się w jej najgłębsze myśli. Znalazły zaczepienie, zaczęły się od nich rozchodzić okropne fale bólu. Nie zamierzał jej zabijać, ale chciał jej przypomnieć, że może to uczynić.

Oparta na dłoniach i łokciach, chwytiała gwałtownie powietrze. Przed oczami miała pełno gwiazd. Była bryłą miękkiej gliny, a Corien przecinał ją na pół, na cztery, na osiem części jak nieubłagany nóż. Mógł ciąć bez końca i nigdy się nie stępić.

Rielle upadła na posadzkę i przycisnęła dłonie do czaszki. Zaraz się rozpadnie. On ją rozbije na kawałki.

Światło zalewające taras ruchomym złotem zamigotało, a potem przygasło. Tylko na moment, jak pojedyncze zaburzenie bicia serca, ale to wystarczyło, żeby Kamayin, Miren, Sloane i Evyline zdołały się uwolnić ze swoich więzów. Chłopiec, towarzysz Eliany, podbiegł do nich.

Wszystkie stworzone przez Rielle światła, łącznie ze skrzydłami nad jej głową, wybuchły ogniem.

– Wynoś się z mojej głowy! – wrzasnęła. Nowe płomienie wzbijały się wysoko.

Corien przyglądał się jej zimno. Na jego twarzy malował się gniew, jakiego nigdy jeszcze nie widziała.

– Nie. Próbowiałem tego. Pozwalałem na to. Nigdy więcej.

Oszalała z bólu Rielle podniosła się i sięgnęła na oślep do swojej mocy. Wyciągnęła dłonie w powietrze. Iskrzące pasma złota przemknęły nad tarasem i zniknęły w ciemnościach nocy. Nie była w stanie wycelować ani zebrać myśli. Nie widziała, oślepiona łzami i pulsującymi białymi falami wściekłości Coriena. Czuła tylko zimny ogień jego gniewu.

On zaś nadal patrzył na nią, nie mrugając.

Spróbowała znowu, cisnęła w niego desperacko swoją mocą. Energia zapulsowała na tarasie, gorąca i pofalowana, jakby coś ogromnego spadło z nieba. Corien syknął. Jego głowa szarpnęła się w prawo. Gdy spojrzał na Rielle, na jego twarzy odznaczały się maleńkie czerwone kropelki krwi. W następnej chwili zniknęły.

– Rielle, tutaj jestem! – Audric czołgał się do niej. Jego rany nie zniknęły, a twarz miał przepełnioną przerażeniem, ale mimo to walczył, by jej dosięgnąć. – Jestem tutaj. Powiedz coś do mnie. Popatrz na mnie, proszę!

Świat stawał się płynny. Rielle znajdowała się pod wodą i płynęła rozpaczliwie ku powierzchni. Nie mogła oddychać, nie mogła znaleźć

gruntu.

Ze łzami spływającymi po twarzy rozejrzała się za Elianą.

Dziewczyna nie ruszyła się z miejsca. Stała sztywno, z twarzą stężałą z gniewu. Światło lśniło w jej dłoniach, gotowe, by nim cisnąć. Powietrze drżało wokół niej, przepełnione żarem. Ale czy jeśli trafi Coriena, zrobi tym krzywdę Rielle? Czy on zwróci się wtedy do niej i uwięzi je obie?

Szklane drzwi otworzyły się gwałtownie. Kolorowe słońca się roztrzaskały. Na taras wpadł tuzin anielskich żołnierzy, a w ślad za nimi bestie: trzy, pięć, osiem. Jeszcze jedna sfrunęła z dachu i podbiegła bliżej na lśniących czarnych pazurach wyrastających ze skrzydeł. Inna, przypominająca gada o inteligentnych oczach, z dziecięcym magiem na grzbiecie, wypluwała z czerwonego pyska bicze wichru.

– Chronicie króla! – krzyknęła Evyline, dobywając miecza. Na ramionach i szyi miała pasy przypalanej skóry.

Pozostałe dołączyły do niej: Miren z armią noży zygzakujących w powietrzu jak błyskawice, Sloane wzywająca cienie ze wszystkich szczelin i zakamarków. Z lśniących nadgarstków Kamayin śmignęły spirale skłębionej wody, a gdy Evyline zaszarżowała z płomiennym wzrokiem, każdy cios jej miecza odbijał się echem gromu.

W tym momencie Eliana obróciła się i włączyła do walki. W porównaniu z nią pozostałe były niczym, niezdarne i niewarte zapamiętania. Nawet oszołomiona z bólu Rielle nie potrafiła oderwać spojrzenia od swojej córki. Wyglądała prześlicznie w walce, jej ramiona i stopy poruszały się szybko jak u tancerki. Płaszcz śmigał wokół jej nóg. Była oblepiona krwią i pyłem, ale moc kreśliła jej olśniewający obraz, jakby narodziła się z pociągnięć błyszczącego pędzla malarza. Jej dłonie jaśniały najbardziej, zamknięte w formach – dwóch wisiorach utrzymywanych pewnie na cienkich łańcuszkach.

Kolejne bestie zeskakiwały z dachu, skrzecząc obłąkańczo, przepełnione żądzą krwi. Z pełnym wściekłości krzykiem Eliana okręciła się, żeby odeprzeć najbliższą i cisnąć ją daleko. Potwór przebił kamienną balustradę i pokoziołkował w ciemność.

Rielle mogłaby patrzeć na Elianę godzinami. Łuki światła unosiły się w powietrzu, uderzały w zbroje aniołów i popychały je

z brzękiem na posadzkę. Oczywiście jednak aniołowie wstawali za każdym razem – mogli to robić bez końca, aż odniosą zwycięstwo.

W pewnym momencie Rielle poczuła w powietrzu napływ złej woli, chwilę ciszy przed burzą. Jej żołądek zacisnął się gwałtownie.

Aniołowie postanowili w końcu użyć swojej najgroźniejszej broni – umysłów. Czysta siła ich myśli rozchodziła się w powietrzu, poszukując celów. Pochwyć te walczące kobiety, jedną po drugiej, i rzuć je na pewną śmierć lub zmuszą, by same skoczyły z krawędzi tarasu. Zostawiaj Elianę na koniec i rozszarpiaj ją na kawałki. Rielle odetchnęła z trudem; w głowie kręciło się jej ze strachu.

Nagle jednak coś spadło z nieba – niemal cienie, niemal ciała, niebędące żadną z tych dwóch skrajności i będące oboma jednocześnie. Tak jak wtedy, gdy Rielle otworzyła Bramę, dostrzegła przebłyśki piękna, nieskazitelnej skóry lśniącej, jakby świeżo wyszli z morza. Przelotne obrazy zbroi i płaszczy, sukni i szat we wszystkich kolorach. Rozwiane jasne włosy, długie ciemne pukle przeplatane wstążkami. Aniołowie, których umysły niosły echa tego, czym dawniej byli, a ponieważ nie ograniczały ich ciała, ich wspomnienia rozlewały się swobodnie.

Rielle patrzyła, jak się zniżają, i spróbowała wstać, krzyknąć ostrzegawczo. Jednak ci aniołowie, bezcieleśni i gniewni, przybyli, aby walczyć u boku Eliany, osłonić Sloane i Kamayin. Przemykali pomiędzy wrogimi aniołami, dzierżąc echa mieczy, których nie trzymali od wieków.

Jedna z nich miała oczy czarne jak kamienie rzeczne, włosy białe jak piana morska i lśniąca platynową zbroję. Zasłoniła Elianę, odpierając ataki umysłów i pazurów. Jej okrzyk bojowy wstrząsnął Rielle do głębi.

Aniołowie w zbrojach, w materialnych ciałach stworzonych dla nich przez Rielle przeklinali nowo przybyłych. Rielle wyczuwała konkretny powód ich wściekłości. Ci zdrajcy nie walczyli po prostu po stronie ludzkiej – walczyli dla tej dziewczyny, która przybyła z przyszłości, aby zniszczyć najpotężniejszego z nich – odrodzonego Kalmarotha, ich zbawiciela i przywódcę.

Fragment Coriena tkwił w umyśle każdego z aniołów, przygotowany na wypadek, gdyby musiał wydać im rozkazy. Im bardziej zagłębiał się w myślach Rielle, tym wyraźniej wyczuwała ich płomienną furję. Dławiła się nią, gardło jej się zaciskało. Z ich ust padały wulgarne słowa w języku lissar, w qaharis. „Zdrajcy!” „Plugawcy!”

Minęły zaledwie sekundy od chwili, gdy Rielle wstała z Elianą u boku. Podniosła głowę, walcząc z ogromnym ciężarem – naciskiem Coriena, upartego i pełnego wściekłości. Każda jego myśl ścisnęła ją jak imadło.

Stał nad nią z rękami splecionymi z tyłu. Mówił cicho, ale od jego głosu krwawiły jej uszy.

– Po tym wszystkim, co nas łączyło – powiedział. – Po tym wszystkim, co osiągnęliśmy, ty zwracasz się przeciwko mnie? – Spojrzał na kogoś za jej plecami. Jego twarz stężała w zimnym gniewie. – Pozwalasz, żeby ta kłamliwa dziewczyna stanęła pomiędzy nami?

Rielle próbowała wstać, lecz umysł Coriena wcisnął się głębiej, unieruchamiając ją. Usłyszała krzyk i obróciła się na kamieniach, z załzawionymi oczami, żeby zobaczyć, jak Eliana osuwa się na kolana. Jej formy strzelały na oślep mocą pozostawiającą wypalone bruzdy na tarasie. Ścisnęła głowę i krzyknęła, a gdy próbowała się podnieść, uderzyło w nią

coś niewidzialnego. Jej głowa odchyliła się gwałtownie, a ona upadła ciężko na posadzkę.

Wściekłość wezbrała w Rielle jak fala białego światła. Głowa bolała ją tak, jakby zaraz miała jej pęknąć czaszka, ale przewyciężyła to i wstała, odwróciła się do Coriena, machnęła ręką w powietrzu i cisnęła go na drugą stronę tarasu.

Obróciła się z sercem w gardle – Eliana podniosła się już i znowu walczyła, a ich oczy spotkały się ponad morzem ognia. Rielle nigdy w życiu nie czuła takiej miłości.

Corien szybko doszedł do siebie. Rielle słyszała, jak wstaje, i patrzyła na niego twardo, gdy zbliżał się do niej, utykając. Krew ściekała mu ze skroni, włosy miał nią przesiąknięte. Rielle poczuła ukłucie wstydu, ale zrobiłaby to jeszcze raz, gdyby musiała.

– Nie dotkniesz jej – powiedziała do niego spokojnie.

– Ona kłamie – warknął. – Pozwalasz, żeby stanęła między nami? Ta dziewczucha, która pojawiła się znikąd, by snuć opowieści mające mi zaszkodzić?

Rielle została zalana falą czerni, której towarzyszyły pazury bólu, a kiedy odzyskała jasność widzenia, zobaczyła niebo w kręgu płomieni. Leżała na kamieniach tarasu, wrzeszcząc, a za każdym razem, gdy wykręcała się, żeby wstać, posadzka pod nią pękała. Spirale światła wystrzeliwały z palców Rielle, ogromne kłęby ognia spadały z nieba jak deszcz.

– Rielle, słuchaj mojego głosu! Nie bój się! Jestem tutaj!

Nie mogła jednak pozwolić, by Audric się do niej zbliżył. Zabiłaby go albo zrobiłby to Corien. Wysłała silną falę mocy w kierunku jego głosu z nadzieją, że odsunęła go dostatecznie daleko.

Corien kuczał przy niej i patrzył, jak próbuje zaczerpnąć tchu. Słyszała odległy głos Audrica, nadal ją wołający. „Zostań ze mną, Rielle! Walcz z nim!”

Podniosła głowę i z trudem popatrzyła na Coriena. Wyglądał okropnie. Jego twarz stała się potworna, blada jak szkielet, z oślepiająco białymi oczami, których spojrzenie wbijało się w nią jak igły. Jakimś cudem wyrosły mu skrzydła. Gigantyczne i czarne, składające się z tysięcy ptaków wydających hałaśliwe, ochryple wrzaski.

Z równym trudem rozejrzała się za Elianą. Tam była – otoczona przez tuziny ryczących bestii, które rozdarły ją na strzępy dziobami i szponami. Płomienie ogarnęły ciało Miren. W kilka sekund obróciła się w popiół. Chłopiec, towarzysz Eliany, wybuchnął, a z miejsca, w którym znajdowała się jego głowa, zaczął się wylewać lśniący strumień czarnych żuków.

Rielle zacisnęła oczy, ale nadal widziała, jak oni umierają i jak żuki łączą się, aby stać się odbiciem jej samej. Ona była także ogniem i każdą z bestii rozszarpujących ciało jej córki, i każdym ptakiem tłoczącym się na plecach Coriena.

– Tym właśnie jesteś – powiedział Corien cicho, bez mrugnięcia okiem. – To jest ciemność, która żyje w tobie. Zobacz ją, Rielle. Zapamiętaj ją. Pokochaj ją tak samo jak ja.

Rielle w końcu odzyskała zdolność mówienia. Nie mogła na niego spojrzeć. Nie pozwalał na to. Przyciskał jej czaszkę do posadzki.

– Pamiętam wszystko – wychrypiała, a jej gorące łzy spływały na szorstki kamień. – Pamiętam, jak zatrueś moje myśli, trzymałeś mnie otumanioną przez całe tygodnie. Pamiętam, jak przez wiele miesięcy nawiedzałeś mnie w snach. Mówiłam ci, że chcę spać, a ty nie pozwalałeś mi na to, szepcząc do mnie o wskrzeszaniu.

– Byłaś zachwycona naszym wielkim dziełem – oznajmił. – Sprawiało ci ono przyjemność, jakiej nigdy wcześniej nie czułaś, radość, której inaczej byś nie zasmakowała. Wiesz o tym, Rielle.

Zamrugła gwałtownie, ponieważ w jej czaszce pulsowały eksplozje bólu. Spróbowała sięgnąć do swoich mocy, ale jej myśli były zbyt chaotyczne. Miała wrażenie, że stara się pochwycić wodę.

– Pozwól mi wstać – wykrztusiła.

– Nie. Nie, dopóki nie będę miał pewności, że się opamiętałaś.

Z jej gardła wyrwał się szloch wściekłości.

– Wypuść mnie!

– Obawiasz się, że jesteś potworem – powiedział szeptem, który grzmiał w jej uszach. – Zadręczasz się tym. Zabiłaś swojego ojca. Zabiłaś Tala. Zabijałaś, zabijałaś i znowu będziesz zabijać. Niszczycielka. – Jego głos przesunął się po niej jak usta w ciemności. – Co z tego, że to prawda? Wszyscy jesteśmy potworami skłonnyymi do wynaturzeń i przemocy. Przynajmniej ty i ja akceptujemy to, mamy dość siły i inteligencji, żeby to wykorzystywać.

Rielle potrząsnęła głową, walcząc z jednostajnym, silnym naciskiem jego umysłu. Jeden obraz wypłynął na powierzchnię i stał się stałym punktem w chaosie, w jaki Corien wprowadzał jej myśli. Eliana upadająca z bólu na kolana. Eliana promienna w walce. Eliana całująca jej policzek.

– Może jestem potworem – odparła Rielle głosem stłumionym z bólu – ale nie należę już do ciebie.

Szok Coriena był tak nagły i wyraźnie wyczuwalny, jakby go uderzyła.

– Kochałem cię – stwierdził ochryple – tak jak nikogo wcześniej. Wiesz o tym. Czujesz to za każdym razem, gdy na ciebie patrzę.

Kamienie tarasu roztopiały się pod palcami Rielle. Modliła się, żeby ją pochłoneły i pozwoliły zsunąć się w przepaść. Ziemia i żwir, przywiane

przez wiatr, chłostały jej policzki. Nasilała się burza. Dziesięć burz. Zbocze góry drżało pod zamkiem, a zamek drżał pod ich stopami.

– Spójrz na mnie.

Nie zrobiła tego. Patrzyła, jak świat faluje złotem pod jej opuszkami.

Corien chwycił ją za podbródek i zmusił, żeby uniosła głowę.

– Patrz na mnie! – ryknął, podniósł ją siłą z posadzki i zmiażdżył jej usta brutalnym pocałunkiem.

Jego myśli wślizgnęły się w jej myśli i znalazły punkt zaczepienia. Corien wtargnął w najgłębsze otchłanie jej umysłu i tam się ulokował. Jego zęby pochwyciły jej wargę i ugryzły mocno. Przesyłał jej wizje, wspomnienia. Jego łoże na Terytorium Północnym, z rozrzuconymi futrami, i ich ciała, nagie i lśniące. Tamta jaskinia w Kirvayi, gdzie pocałowała go po raz pierwszy. Ciepłe bezpieczeństwo jego ramion, gdy uciekła z Âme de la Terre, zraniona i rozwścieczona. To, jak szeptał jej imię, przyciskając wargi do jej włosów.

Rielle jęknęła, zaciskając dłonie na jego rękawach. To go ośmieliło. Pogłębił pocałunek, przytrzymując rękoma jej głowę, a Rielle czuła, jak bawi się jej pragnieniami, jak je podsyca. Jeśli nie odpowie mu sama, on ją do tego zmusi. Jeśli nie uzna prawdy jego słów, on przemieni jej oczy tak, żeby widziała tylko to, na co będzie jej pozwalać.

Rielle pomyślała, że byłoby łatwo pozwolić Corienowi na to. W zamian za to nie musiałaby dotykać niczego, co mogłoby ją zranić, ani stawiać czoła rzeczom, które zrobiła, ani zastanawiać się, jak ma żyć w świecie, do którego nie do końca pasowała. Mogłaby bez przeszkód poznawać swoje moce i nie przejmować się tym, co pozostawia za sobą.

Chciała się odsunąć, żeby zaczerpnąć powietrza, oszołomiona jego pocałunkami, ale przytrzymał ją mocniej i przycisnął jeszcze bardziej do siebie. Jego gniew był warstewką smoły na jej podniebieniu. Nie mogła

oddychać, w głowie pulsowały jej białe fale bólu. Jego uścisk stał się okrutny, jego paznokcie wbijały się w jej ciało.

– Moja – zaszlochał przy jej ustach. – Jesteś moja, Rielle, a ja jestem twój. Rozumiemy się nawzajem. Nie udałoby mi się to wszystko bez ciebie. Zaś beze mnie ty byłabyś całkiem sama. Oni cię nigdy nie zaakceptują. On cię nigdy nie zaakceptuje. Będą codziennie wymyślać nowe kłamstwa. Będą uśmiechać się do ciebie, a potem, za zamkniętymi drzwiami, będą szeptać ze strachu przed tobą i knuć przeciwko tobie, zaś dzieci będą się wzdrygać na dźwięk twojego imienia. Wiesz o tym. Nawet on. – Potrząsnął głową. – Wiesz o tym.

– Przestań – zachłysnęła się, ponieważ głos uwiązł jej w gardle. Jego umysł plątał jej myśli. – Puść mnie, proszę!

– Nigdy więcej, Rielle. Popatrz tylko, do czego mnie zmusiłaś. Nie chciałem tego. – Jego usta przesunęły się na jej szyję, zęby zadrapały skórę. Jego obecność była jak szybko rozprzestrzeniająca się mgła w jej umyśle. Niedługo zasnuje wszystko. Była wobec niego bezbronna. Gdy sięgnęła do empirium, jej palce natrafiły na błoto. – Moja – wymamrotał Corien. Zacisnął dłoń na jej gardle.

Gdy znowu przesunął się do jej ust, a ptaki zaskrzeczały mu na plecach, dostrzegła jego leciutki uśmiech triumfu, błysk zębów.

Znalazła ledwie wyczuwalne pasmo mocy i uderzyła go dłońmi w pierś.

Jego płaszcz błyskawicznie stanął w ogniu. Corien odskoczył z krzykiem i zerwał go z siebie. Biała koszula pod spodem była lepka od czerwieni. Cienkie smużki dymu unosiły się ze spalonego ciała.

Spojrzał błyskawicznie na Rielle, pobladły z wściekłości. Obejrzała się za siebie, szukając gorączkowo Eliany. Wizje Coriena zniknęły. Żadnych żuków, żadnych rozszarpujących Elianę bestii. Nadal walczyła – jej dłonie lśniły, spod obcasów sypały się iskry. Jej córka była cała ze światła i nie

wahała się ani przez moment. Cóż za nieustraszoną kobietę stworzyła Rielle.

Rielle się roześmiała, dławiąc się łzami zmęczenia.

– Jesteś odrażającą kreaturą – warknął Corien za nią. Chwycił jej włosy w garść i zmusił, żeby wstała. Cuchnął palonym mięsem, ale nadal był piękny, z policzkami podkreślonymi sadzą i wargami zaczerwienionymi od żaru i pragnienia. – Wiem o tym – oznajmił – i znam każdy zakamarek twojego dzikiego serca. Znam twoje zdolności do okrucieństwa, znam twoje kaprysy, a mimo to nadal cię kocham. Wziąłbym cię choćby i tutaj, gdybyś mi pozwoliła. Bać się ciebie? Ja cię wielbię. Pamiętasz, co ci mówiłem? – Roześmiał się i mocniej zacisnął dłoń na jej włosach. – Mogłabyś mnie spalić tysiąc razy, a ja nadal pragnąłbym cię mieć dla siebie.

Rielle starała się usłyszeć odgłosy walki Eliany. Były prześliczne, piękniejsze od wszystkich znanych jej melodii.

– Kochałam cię, Corienie – powiedziała, tracąc oddech z bólu. – Ufałam ci. Częstka mnie będzie zawsze należeć do ciebie. Ale nie ja cała. – Zająknęła się, bo język jej ciążył. – Widziałeś, że się bałam, i pilnowałeś, aby tak pozostało. Widziałeś, że byłam samotna, i przypominałeś mi to za każdym razem, gdy myślałam o tym, żeby cię zostawić.

Roześmiał się i pogładził jej policzek.

– Posłuchaj samej siebie, królowo mojego serca. Czy zaczynasz majaczyć z bólu? Odtrąć ich, tak jak powinnaś, a ja zabiorę wszystko, co może cię zranić. Rielle. – W jego głosie brzmiały łzy. – Proszę, zrób to dla mnie.

Świat przed oczami Rielle pulsował czernią. Dłonie Coriena na jej gardle wydawały się czułe, a jednak gdy sięgała do swojej mocy, nie potrafiła jej znaleźć. Tamta siła, tamten ogień na jego ubraniu – nic więcej

nie była w stanie z siebie wykrzesać. Jej umysł był pełen jego, a jeśli zostało coś z niej samej, nie mogła tego dostrzec. Gdzieś tam Audric krzyczał do niej, ale to nic nie dawało. Corien był wewnątrz niej i nigdy jej nie opuści, nie teraz.

Świat zawirował i cisnął nią. Oparła się ciężko o krwawiącą pierś Coriena, zamykając powieki. Cóż to za ulga pozwolić, żeby ją podtrzymał. Obiecał, że zabierze cały ból, że nigdy nie będzie sama. Być może powinna w niego uwierzyć. To dziwne, że wydawało jej się inaczej.

Corien ucałował jej włosy, jej policzki.

– Moja miłości – wyszeptał z uśmiechem w głosie. – Proszę bardzo. Wróciłaś do mnie. Bardzo dobrze, Rielle.

Nagle pojawiła się ulga.

Coś zimnego i ostrego spadło pomiędzy nimi, przecinając łączące ich więzy. Rielle upadła na posadzkę, a Corien cofnął się od niej chwiejnie.

Spojrzał z furią na drzwi tarasu.

Rielle, skulona na posadzce, z głową pulsującą tak, jakby była bita przez całe godziny, drżała na rozgrzanych kamieniach i patrzyła na jasną sylwetkę maszerującą przez taras.

Odetchnęła gwałtownie.

To była Ludivine, ponura i o szybkich ruchach, ze złotymi włosami związanymi w ciasny węzeł, w brokatowej sukni lśniącej w blasku mocy Rielle odcieniami bzu i śliwki. Zbliżała się do Coriena, trzymając w dłoniach miecz świętej Katell.

Gardło Rielle zacisnęło się w nagłym strachu. Rozpaczliwie rozejrzała się za Elianą, ale Eliana była żywa i w dobrym stanie, obracała się właśnie, żeby cisnąć światłem w miecz Katell. Światło uderzyło w ostrze i przyłgnęło do niego, wibrując, a chociaż Ludivine nie władała magią

żywiołów, forma Katell lśniła teraz, jakby znajdowała się w rękach magini. Ludivine uniosła wysoko miecz rzucający ostre promienie białego światła.

Corien, z nienawiścią malującą się żywo na jego twarzy, podniósł upuszczonego przez Audrica Illumenora. To było podwójne okrucieństwo – walczył mieczem mężczyzny, którego śmierci pragnął, i używał formy, która nie należała do niego.

Audric krzyknął z bólu. Rielle rozejrzała się wśród płomieni, ale zobaczyła go tylko przelotnie pomiędzy wybuchami światła, a potem nie mogła już poświęcać mu uwagi, ponieważ Corien podbiegł z rykiem do Ludivine i zwarł się z nią w pełnym wściekłości pojedynku. Poszarpane zygzaki światła i ciemności strzelały pomiędzy formą świętej Katell a mieczem Świetlistego, jakby ostrza nie potrafiły wyjść ze zdumienia, że znajdują się w rękach aniołów.

Na ściągniętej, bladej twarzy Ludivine widoczny był wysiłek. Nie była wojowniczką, nigdy nie kształciła się w tym kierunku, a mimo to atakowała Coriena brutalnymi ciosami.

Nie walczyli jednak tylko na miecze. Rielle uświadamiała to sobie powoli, patrząc, jak obracają się i ścierają. Świat przed jej oczami nadal pulsował, a myśli zbierały się powoli, ale jednego była pewna: po raz pierwszy, odkąd przyszedł do niej tak dawno temu, Corien całkowicie zniknął z jej umysłu.

Ta dziwna pustka wywołała w niej panikę. Podparła się łokciami i zaczęła go szukać, a później chciała odnaleźć Ludivine. Wysłała im ostrożne pytanie:

Jesteś tu?

Nie dostała żadnej odpowiedzi. Jej myśli należały tylko do niej. Ta swoboda ją przerażała. Zapomniała, jakie to uczucie, a wrażenie osamotnienia narosło tak gwałtownie, że ledwie była w stanie oddychać.

Dłoń dotknęła delikatnie jej dłoni, dając jej punkt zaczepienia. Rozpoznała ją od razu, chociaż minęły miesiące, odkąd czuła dotyk jego skóry.

Nie mogła jednak patrzeć na Audrica. Załamałaby się na widok oparzeń na jego twarzy. Bez słowa sięgnęła do niego, dotknęła jego palców śliskich od krwi. Pomógł jej usiąść, a ona oparła się ciężko o jego pierś. Nawet teraz był nieruchomym, stabilnym ciepłem, chociaż jego puls tłukł się gwałtownie pod jej palcami, a jego oddech był ciężki. Za nimi ich przyjaciółki krwawiły, żeby ich ochronić. Ich córka – zaskakująca, nieprawdopodobna córka – walczyła z potworami dłońmi zrobionymi z ognia.

Przed nimi zaś dwójka aniołów pozostawała zwarta w pełnej furii walce. Kradzione miecze zderzały się, powietrze wokół nich migotało srebrzystą mocą. Na plecach walczących uformowały się blade kształty. Z każdym ciosem, z każdym gniewnym okrzykiem te kształty się rozrastały, rozkwitały w przesyconym magią powietrzu, aż zaczęły dwukrotnie przewyższać wysokością oryginały. Jedna sylwetka należała do Kalmarotha, anioła, którym niegdyś był Corien. Wysoki i rozwścieczony, miał na plecach płonące skrzydła. Nawet jego wspomnienie było imponujące. Jego miecz iskrzył jak błyskawica.

Po drugiej stronie była Ludivine, a gardło Rielle ścisnęło się na jej widok. Nigdy nie poznała anielskiego imienia Ludivine – za każdym razem, gdy pytała, przyjaciółka subtelnie zmieniała temat. Teraz Rielle żałowała, że nie upierała się bardziej, ponieważ to wspomnienie, to echo jej prawdziwego ja zachwyciło urodą. Ludivine mogła być rówieśniczką Rielle albo odrobinę starsza, w wieku Audrica, zaś jej twarz promieniowała świetlistym, bolesnym pięknem, którego widok wycisnął łzy z oczu Rielle. Wiedziała, że spogląda na starożytną istotę, której nawet teraz, po tym

wszystkim, co sama widziała i robiła, nie potrafiła do końca pojąć. Ta Ludivine, z jasną skórą i lśniącymi włosami barwy lnu ułożonymi w kunsztowne, spływające po jej plecach loki, nie dorównywała wzrostem Corienowi, ale w jej oczach lśniła wola walki, a jej skrzydła jaśniały jak słońce. Rielle przesunęła spojrzenie piekących oczu na Ludivine, jej Ludivine. Pasma złotych włosów wymknęły się z jej fryzury. Strach pozbawił jej twarz wszystkich kolorów. Popatrzyła szybko na Rielle, a w jej oczach zalśniło ostre światło.

Gdy ich wzrok się spotkał, świat usunął się Rielle spod stóp, czyniąc ją całkowicie nieważką. Fala lodowatego, złego przeczucia przygniotła jej ramiona. Audric z pewnością wyczuł jakąś zmianę w niej, bo rzucił półgłosem naglące pytanie. Czy to był Corien? Czy znowu ją krzywdził?

Jednakże Rielle nie potrafiła mu odpowiedzieć, ponieważ zrozumiała, co robiła Ludivine. Tym jednym spojrzeniem Ludivine przekazała jej wszystko. Przez całe lata wymieniały porozumiewawcze spojrzenia nad stołem przy obiedzie, senne spojrzenia, gdy budziły się w ramionach swoich, Audrica lub we trójkę. Teraz zaś to spojrzenie.

Krew Rielle wrzała, jej serce protestowało donośnie, a setki słów żalu i tęsknoty utkwiły w jej gardle jak ogniste supły. Nie zamierzała jednak nic powiedzieć – nie mogła nic powiedzieć.

Ludivine zaatakowała Coriena nie tylko mieczem, ale też całą potęgą kryjącą się w jej umyśle. Ile razy przyznawała, że jej siła jest niczym w porównaniu z siłą Coriena? Teraz jednak rzuciła się na niego bez nadziei na przeżycie i wciągnęła go w walkę tak zażartą, że musiał opuścić umysł Rielle, by ją podjąć.

Dzięki temu była wolna, na tak długo, jak Ludivine zdoła go zająć, i mogła zrobić to, co konieczne. Zupełnie jakby Ludivine przytrzymała zamknięte drzwi, do których z drugiej strony dobijał się Corien, i dawała

w ten sposób Rielle czas na ucieczkę. Droga była jasno wytyczona, ale zniknie, jeśli Rielle nie zacznie działać szybko. Corien uświadomi sobie, co się dzieje, uwolni się od Ludivine i wszystko będzie stracone.

Rielle wstała chwiejnie.

– Nie zbliżaj się – poleciła i odsunęła się od Audrica. Poczucie winy krążyło w jej żyłach jak trucizna. Czuła w ustach jego gorzki smak. Z każdym drżącym uderzeniem serca myślała o czarnym ołtarzu na zamarzniętej górze i aniele, którego rozgniotła w dłoniach jak glinę. W jednej chwili istniał, w następnej został unicestwiony.

Nie mogę, pomyślała gwałtownie. Przez łzy patrzyła, jak walczą. Corien i Ludivine, Ludivine i Corien. Nie miało znaczenia, jak bardzo ją zranili, jak bardzo ona ich zraniła. Ich kłamstwa, ich okrucieństwo, to, jak przeciągali ją między sobą. Utrata któregośkolwiek z nich ją załamie. Utrata ich obojga była czymś niewyobrażalnym. Ale Ludivine powstrzymywała Corieną, dając Rielle upragniony spokój. Nikt nie szeptał w jej umyśle.

„Masz przed sobą wybór i tylko ty możesz go dokonać”. Głos córki w jej wspomnieniu był jak pocałunek.

Musisz go dokonać. Ludivine zdobyła się na kilka niepewnych słów. Towarzyszyła im żarliwa, wszechogarniająca miłość. *Wszystko będzie dobrze. Nie obawiaj się*. Ludivine spojrzała na nią jeszcze raz. W jej wzroku była determinacja. Ostateczna decyzja.

Zaraz potem głos Ludivine stał się gorączkowy, jak szybkie uderzenie w gardło. Zaczął się w końcu załamywać. Zrobiła wszystko, co w jej mocy. Jej siła przygasała, znikła. Wściekłość Coriena wzbierała jak czarne fale.

Teraz, Rielle, proszę!

Rielle wiedziała, że będzie słyszeć te słowa do końca życia – drżący, przesycony strachem głos Ludivine błagającej, by Rielle ją zabiła.

Będzie pamiętać wszystko, co wydarzyło się w tych sekundach przed końcem. Sięgnęła do Coriena i Ludivine, wzięła ich w dłonie, jakby była bóstwem, które ich stworzyło. Corien zbyt późno się zorientował, co zamierza zrobić, i wrzasnął łamiącym się głosem, żeby się zatrzymała. Pamiętała, że zebrała empirium – każdą jego iskierkę, każde migoczące pasmo w jej zasięgu. Jej moc odpowiedziała żarliwie i spadła na nich z niszczycielską szybkością.

Świat zapłonął oślepiającym gorącem – ciemna góra, płonący zamek na niej. Umysł Rielle, jej dłonie, powietrze zawodzące, jakby miało za chwilę eksplodować. Wszystko pobielało, a potem nie było już nic. Milcząca, ogłuszająca cisza. Ogień zgasł. Światło rozjaśniające zamek zniknęło, jakby nigdy nie istniało.

Rielle osunęła się ciężko na kolana.

Odetchnęła raz, dwa razy. Trzeci raz i czwarty.

Z drżeniem podniosła głowę.

Przed oczami rozkwitły jej plamy kolorów. Zamrugła, a świat na nowo się wyostrzył. Góry, miasto, odległe gwiazdy. Pole bitwy gdzieś w dole. Gobelin ze światła i ognia, oszołomione ciemne kształty przemykające w górze.

Rielle patrzyła i patrzyła, a gdy jej wzrok padł na wypalone miejsce, gdzie stała Ludivine i gdzie walczył z nią Corien, poczuła, że coś w niej narasta. Coś dzikiego i samotnego, jak las nocą, jak morze targane sztormem. Nie pozostały nawet popioły, jakieś szczątki, których mogłaby dotknąć. Słaby poblask migotał w powietrzu tam, gdzie się wcześniej znajdowali. Zmarszczki na empirium, echa życia nieoczekiwanie i całkowicie wymazanego.

Rielle wiedziała, co to oznacza. Spoglądała w oszołomieniu na nową rzeczywistość, jakby odczytywała przygotowany scenariusz. Corien wiele

razy się przechwalał: „Jestem nieskończony”. Przez cały czas jego umysł był połączony z tysiącami innych – adatroksów, dziecięcych magów na grzbietach potworów. Anielskich dowódców, pełnych zapachu żołnierzy. Aniołów w Avitas, aniołów w Otchłani. Potem zaś Ludivine podczas walki spłotła swój umysł z jego umysłem – ich moce zwarły się jak ostrza wojowników, a teraz zniknęli. Zniknęli, Rielle zabiła ich oboje jednocześnie, skutecznie jak strzała przeszywająca dwa serca, więc każdy umysł, który był połączony z nimi w chwili śmierci, także został zniszczony. Nie po prostu zabity – obrócony w nicość, w popiół tak drobny, że nie dałoby się go zobaczyć, dotknąć ani poczuć. Całe ich tysiące przestały istnieć wraz z Corienem, pozostawiając anielską armię w rozsypce.

To, co narastało we wnętrzu Rielle, wybuchło. Z jej gardła wyrwał się zwierzęcy skowyt. Nie była w stanie szlochać. Nie istniały słowa na opisanie tego uczucia. Dygotała z rozpacz, a jej dłonie szarpały kamień jak szpony, zdzierając paznokcie. Powietrze było cierpkie od rzeczy, które robiła.

Czyjeś ramiona ją podniosły. Audric pomógł jej usiąść obok niego, łagodnym ruchem przytrzymał jej ręce i przycisnął je do swojej szyi. Czowała pod palcami uderzenia jego serca, miękką i bezbronną krzywiznę gardła.

– Jestem tutaj – powiedział i dotknął mokrym policzkiem jej policzka. – Jestem tutaj, trzymam cię, jestem tutaj. – Jego głos drżał od łez, ponieważ on także kochał Ludivine. Był z nimi w ogrodach, przy stole, w ciepłym łóżku o świcie. Kochał swoją kuzynkę, ale jeszcze goręcej kochał anielicę, która zajęła jej ciało.

Rielle przyłgnęła do niego i zawodziła, wtulona w jego koszulę. Nagle przyszło jej do głowy coś strasznego. Spojrzała szybko nad ramieniem Audrica na taras za jego plecami. Pozbawieni ciała aniołowie, którzy

walczyli za Elianę, unosili się w górze i prowadzili upiorną dyskusję szeptem. Byli żywi, lecz niepewni. Co się stanie teraz? Co dalej?

Rielle nie dbała jednak o nich ani o Miren podnoszącą się chwiejnie, ani o Sloane odwracającą się z dłonią przyciśniętą do ust, ani o kuśtykającą do nich Evyline.

– Królowo? – Evyline z najwyższym trudem zdołała przyklęknąć. Nadzieja odmłodziła jej twarz o całe lata. – Czy jesteś z nami? Czy to ty?

Rielle nie odpowiedziała jej. Patrzyła dalej, na Kamayin, która usiadła powoli na posadzce. Z szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w dwa rozmyte kształty zbliżające się do siebie – chłopca i dziewczyny, falujące jak cienie rzucane przez świece.

Jedno słowo utkwilo w gardle Rielle. *Eliano?*

Wyciągnęła do niej ręce, zastanawiając się, dokąd odejdzie i czy w ogóle odejdzie. Czy ta kobieta imieniem Eliana przestanie istnieć, gdy już dokonała tego, po co udała się w tak daleką podróż.

Rielle wstrzymała z drżeniem oddech.

Wypuściła powietrze z płuc.

Zniknęli.

Audric

W dniu dzisiejszym Audric Courverie, król Celdarii, w imieniu swojego kraju i Kościoła ogłasza zawarcie sojuszu z narodem upiorów, który zostaje oczyszczony z wszelkiej odpowiedzialności za działania swoich współbraci i z którym naród Celdarii pragnie żyć w pokoju i przyjaźni.

– z królewskiego dekretu Audrica Courverie, króla Celdarii,
21 maja 1000 roku Drugiej Ery

O świcie Audric otworzył oczy i zanim jeszcze się w pełni obudził, obrócił się, żeby spojrzeć na Rielle.

Spała w cienkiej koszuli nocnej z białego lnu, skulona na boku, by nie przygniatać brzucha. Była odwrócona do niego plecami, więc nie widział jej twarzy. Audric poczuł strach, jak zawsze w tych okropnych momentach po przebudzeniu, że coś przyszło do niej w nocy, jakiś mściwy anioł, który przedarł się przez stojące na straży upiory.

Wstrzymywał oddech, dopóki nie zobaczył, że jej pierś unosi się i opada. Spłynęła na niego ulga, a on zamrugał, aż zaczął widzieć jaśniej. Przez chwilę przyglądał się spletanym pasmom jej ciemnych włosów rozsypanym na poduszce. Później powoli zbliżył się do niej i objął ją ramionami. Gdyby odwróciła się do niego, zobaczyłby linie zmęczenia otaczające jej usta i wyryte na czole.

Dotknął jej dłoni, zaciśniętych w pięści na jej piersi. Była rozpalona jak w gorączce, ale Garver Randell oznajmił, że jest całkowicie zdrowa. Audric

łagodnie nakrył rękami jej palce, jakby nabierał wody, której rozpaczliwie starał się nie rozlać.

Zadrżała, nie budząc się, a potem poczuł, że się rozluźnia; napięcie towarzyszące jej nawet we śnie zaczęło znikać. Niedługo stanie się miękka w jego ramionach, rozgrzana i drżąca. Przycisnęła jego palce do ust, objęła się ciasniej jego ramionami. Na jego dłonie spadły łzy, a on ukrył twarz w jej włosach i z bolącym gardłem czekał, aż nie przestała płakać. Nawet po zmianie pościeli i dywanów ich sypialnia pachniała dymem pożaru Rielle, podobnie jak reszta Baingarde i spustoszone miasto.

– Masz ochotę na śniadanie? – szepnął w końcu. Nie miał odwagi się poruszyć.

Poranki były tak trudnym czasem. Kolejny dzień oznaczał więcej pogrzebów, więcej patroli wysyłanych na Błonia w poszukiwaniu pozostałych tam jeszcze ciał, więcej szeptanych modlitw i mamrotanych przekleństw. Nikt nie ośmielał się skrzywdzić Rielle ani nawet podejść na tyle blisko, by jej dotknąć. Kiedy szli zrujnowanymi ulicami, aby odwiedzać pracownie uzdrowicieli i oddawać cześć w świątyniach, tłumy podążały za nimi i patrzyły. Niektórzy byli ostrożni, inni pełni podziwu. Niektórzy nawet się uśmiechali i klękali w podzięcie, gdy ich mijał, z milczącą i bladą Rielle u boku. Wyciągali do niej nabożnie ręce. Spoglądali gniewnie z cieni i marzyli o jej śmierci.

– Tak – odezwała się cichutkim głosem. – Śniadanie. Garver powiedział mi, że powinnam jeść. Przynajmniej ze względu na dziecko.

Audric wiedział, co oznacza lekka cierpkość w jej głosie. Pocałował ją w ramię, które wysunęło się z koszuli. Następnie uniósł jej włosy i pocałował ją w szyję. Jego dłoń musnęła krzywiznę jej biodra, a Rielle westchnęła cichutko z ulgą i przycisnęła gorące wargi do jego dłoni. To było coś, co znała. Gdy była tym zajęta, wszystko inne milkło.

Poruszał się ostrożnie, obejmując ją mocno i dotykając miękkimi wargami jej ucha, a ona przylgnęła do niego, wbijając palce w jego przedramiona. Gdy zaczęła docierać do szczytu, jej ciało wygięło się pod nim, a z ust wyrwał się cichy okrzyk. Pociągnęła go w górę za sobą. Nawet w swojej żałobie była pełna nieustępliwego głodu, a w te powolne, lśniące chwile tuż po, otaczające ich powietrze wypełniało się spokojem.

Pocałowała go sennie w ramię, po czym splotła palce z jego palcami i położyła je na swoim brzuchu. Poczuł na dłoni kopnięcie ich dziecka. Pomyślał o dziewczynie, która walczyła za nich na tarasie. O jej lśniących ciemnych oczach, gwałtownych gestach rozświetlonych dłoni. Zatrzymał jej imię w ustach. Te sylaby stały się dla niego bezcenne. *Eliana*.

Poranek malował okna bielą. Rielle drzemała i budziła się, zaś Audric czuwał nad nią. Czuł w piersi ból, którego nie starał się już nawet ukoić. Jeśli wypuści ją z ramion, może od niego odpłynąć. Jeśli zaśnie, może się obudzić i zobaczyć, że ona zniknęła.

Ciche pukanie do drzwi dało mu znak, że nadszedł już czas. Znużenie osiadło ciężko na jego ramionach.

– Wasza Wysokość – rozległ się stłumiony głos Evyline. – Rada się zebrała.

Gdyby Audric zamknął oczy i zapanował nad myślami, mógłby prawie udawać, że nic z wydarzeń ostatnich ciężkich miesięcy nie miało miejsca. Że czas cofnął się o dwa lata, a Rielle śpi spokojnie koło niego. Corien jest daleko, Ludivine budzi się w swoich komnatach na dole.

Ale jeśli każe radzie czekać zbyt długo, przez resztę dnia będą się na niego krzywić i dodatkowo utrudniać sprawy, które i tak są trudne.

Wyrwanie się z miękkiego zacisza łóżka było jak tortura. Audric ubrał się po cichu, a gdy zaplął guziki kamizelki, podszedł do łóżka od jej strony.

Ustawienie lustra było dobrą wymówką. Poprawił swoje kędziory, przyjrzał się prawie wygojonym oparzeniom na policzkach i podbródku.

Rielle patrzyła na niego z wargami zaróżowionymi od pocałunków.

– Kocham cię – powiedziała cicho. Wiedział o tym, dostrzegał to w jej oczach i czuł w jej dotyku. Pochylił się, by ją pocałować, a ona wyciągnęła się chciwie ku niemu, chwytając go zachłannie za włosy.

– Miłości mojego życia – wyszeptał z ustami przy jej rozpalonym czole. – Kocham cię, zawsze cię kochałem i nigdy nie przestanę.

To stało się refrenem powtarzanym pomiędzy nimi przez ostatnie kilka dni, aż słowa zaczęły przypominać koleiny. Jej oczy przymknęły się pod jego dotykiem, a gdy w końcu się od niej odsunął, dostrzegł słaby przeblask złotego światła na jej twarzy. Lśnienie podświetliło ukradkiem jej policzki, krzywiznę jej warg, a potem zniknęło.

Audric poczuł pod żebrami zimny kamień. Przesunął kciukiem po twarzy Rielle, jakby mógł zetrzeć to, co było pod spodem, ten blask, który czasem budził się pod jej skórą. Popatrzyła na niego z rozmarzeniem, a w jej sennych zielonych oczach nieoczekiwanie zawirowały strumienie lśniącej ochry. Pod oczami rozciągały się głębokie, ciemne cienie.

– Czy to się znowu stało? – zapytała szeptem Rielle.

Skinął głową, niezdolny odpowiedzieć. To się powtarzało od tygodni.

Rielle wzięła go za rękę i pocałowała jego knykcie. Pomógł jej przejść do łazienki, a później wrócić do łóżka i wysłał na dół pazia po jedzenie. Siedziała na łóżku, machając bosymi stopami, i patrzyła, jak Audric zbiera papiery, zakłada oficjalny płaszcz i znajduje ulubione pióro. Kiedy pocałował ją na pożegnanie, czule ujęła w dłonie jego gojącą się twarz, a słodycz tego dotyku towarzyszyła mu, gdy szedł na dół. Mimo to nie potrafił się pozbyć zimnych sznurów złych przeczuć oplatających powoli jego serce.

Tak, Rielle go kochała. Wiedział o tym, ale obawiał się, że pewnego dnia może jej to nie wystarczyć.

Dni mijały zbyt szybko, każdy wypełniony pracą, po której witał zapadnięcie zmroku obolały ze zmęczenia.

Spotykał się z królewskimi doradcami, nadzorował naprawy strażnic i murów, pomagał ocalałym strażnikom miejskim, którzy powoli oczyszczali zniszczone ulice. Ohydny smród wskazywał miejsca, gdzie w stosach gruzu kryły się ciała, ludzkie i nie tylko. Wypatroszona bestia z brzuchem pełnym much. Dziecko, którego serce przeszły belka z sufitu jego własnej sypialni.

Kłekał i modlił się nad każdym ciałem. Czasem będąc najbliżej osoby dołączały do niego. Czasem stały i spoglądały na niego z nienawiścią. Tak wielu zginęło, a jednak on przeżył.

Zmuszał się, by patrzeć na ich ból bez drgnienia. Czasem budził się ze snu zlany potem, z kośćmi bolącymi od jakiegoś pierwotnego lęku, i wiedział z dojmującą pewnością, że tamtej nocy powinien zginąć. A jednak był tutaj, drżał na brzegu łóżka z głową w dłoniach, cały i zdrowy, z zaledwie kilkoma bliznami i jedną paskudną, zabandażowaną raną na nodze.

Wtedy Rielle wyciągała do niego ręce, wypowiadała cicho jego imię, a on znajdował pociechę w jej ramionach, dopóki nie zawładnął nim następny koszmarny sen.

Rielle często dołączała do niego, gdy spotykał się z doradcami. Zawsze podczas dużych narad, w obecności tuzinów ludzi zgromadzonych w Sali Świętych – Rielle siedziała wtedy cicho na swoim tronie u boku Audrica i udzielała koniecznych informacji. Jaki jest stan Bramy? Co będzie potrzebne do jej zamknięcia i kiedy Rielle odzyska siły na tyle, by tego

spróbować? Czy Brama może zostać zapieczętowana całkowicie, silniejsza niż wcześniej?

Ilu aniołów pozostało jeszcze w Otchłani?

Jakie inne istoty mogły stamtąd uciec?

Ale spotkań w węższym gronie, w małych salach narad otaczających Salę Świętych, Rielle unikała, aż nadszedł dzień, gdy potrzebna była jej opinia.

Siedzieli wokół dużego kwadratowego stołu z polerowanego dębu. Po prawej stronie Audrica Rielle, a po lewej Genoveve, blada i milcząca, z kasztanowymi włosami upiętymi w eleganckie warkocze. Obok niej zajmowała miejsce Sloane z podkrążonymi, zmęczonymi oczami. Po drugiej stronie Rielle zasiadła Ardeline Guillory z Domu Światła, a dalej Rafael Duval z Firmamentu. Miejsce Archona pozostawało puste, lakierowane krzesło błyszczało, a dalej siedziała Brydia Florimond w szacie rzeźbiarzy ziemi w barwach umbry i jasnej zieleni.

Następnie Miren, sztywna i blada. Krzesło Tala, pomiędzy nią a Sloane, było niezajęte.

– Otrzymaliśmy raport od królowej Obritsy. – Audric sięgnął po dokumenty. – Zwraca się do nas z prośbą o pomoc. Zapasy, uzdrowicieli, żołnierzy. Forteca Coriena...

– Tak – mruknęła Rielle, patrząc w przestrzeń. – Terytorium Północne.

Cisza pełna napięcia zaczęła się przeciągać. Rafael z wargami zaciśniętymi w wąską kreskę wpatrywał się w swoje dłonie.

Audric wyobraził sobie własny umysł jako czystą, płaską równinę, pozbawioną traw i ziemi. Tylko w ten sposób potrafił nie myśleć o tym, co Rielle powiedziała mu o czasie, jaki spędziła na lodowatej dalekiej północy, i skoncentrować się na leżących przed nim papierach.

– Tak – powiedział spokojnie. – Terytorium Północne. Wraz ze śmiercią Coriena zginęło wielu przebywających tam aniołów, ale nie wszyscy. Aniołowie, którzy w tym konkretnym momencie nie byli z nim połączeni, przetrwali. Pod górami, w rozległych lochach, są nadal przetrzymywane setki więźniów. Armia Obrity z trudem dzieli siły między działania ratunkowe a tłumienie rewolucji w Genzharze.

Wstrzymał oddech, a potem spojrzał na Rielle. Była prześliczna w swojej nieruchomości. Wyprostowana na krześle, z lekko uniesionym podbródkiem. Delikatne kości jej twarzy tworzyły ostre linie od czoła do podbródka. Nie odrywała wzroku od nieskazitelnie lśniącego stołu, ale Audric wiedział, że to nie jego blat widziała.

– Zanim cokolwiek zatwierdzimy – oznajmił – będziemy potrzebowali map tego miejsca, ogólnego schematu Terytorium Północnego. Z pewnością są podziemne zakamarki, których nie znaleźli kirvajscy zwiadowcy, a my potrzebujemy wszystkiego, co może nam dać przewagę. Czy twoje wspomnienia są na tyle pełne, że możesz przygotować taką mapę, Rielle?

Rielle roześmiała się cicho.

– Oczywiście – szepnęła głosem pełnym tajemnic. – Pamiętam wszystko.

Sloane poruszyła się na krześle. Brydia wpatrywała się w swoje pióro. Genoveve zamknęła oczy i zacisnęła wargi.

Miren jednak nie zamierzała udawać. Wpatrywała się gniewnie w Rielle, a na jej policzkach wykwitły plamy koloru.

Audric przełknął ślinę, żeby uspokoić buntujący się żołądek. Po raz pierwszy był wdzięczny losowi, że Ludivine nie żyje. Nie zniósłby widoku litości malującej się na jej twarzy, ponieważ wiedziałaby dokładnie, co takiego pamięta Rielle.

– Doskonale. – Jego głos nawet w jego własnych uszach zabrzmiał głucho. Audric przełożył papiery, wyjął oficjalną wiadomość od Ilmaire’a oraz złożony list. – Napisał do nas także Ilmaire. Brama pozostaje bez zmian, ale w wielu miejscach wybrzeża Morze Północne wyrzuca na ląd setki martwych ryb i innych zwierząt morskich. Ilmaire obawia się, że Brama może emitować coś toksycznego, być może nieznaną substancję z Otchłani wpływającą na wodę i powietrze w sposób, którego jeszcze nie poznaliśmy. – Umilkł na chwilę, żeby się przygotować. Gdy spojrzał na Rielle, poczuł odrętwienie. – Co takiego mówi ci empirium? Czy ma na to jakieś wyjaśnienie?

Z trudem udawało mu się uzyskiwać tę obojętną ciekawość w głosie, a jednocześnie pragnął upaść na kolana u jej stóp i wrzeszczeć na nią, aż z jej twarzy zniknie ten dziwny, skryty wyraz. Potrząsać nią, aż się od tego uwolni.

Rielle machinalnie postukała palcami w blat stołu. Zmarszczyła brwi, a gdy się odezwała, w jej głosie dźwięczało lekko poirytowane lekceważenie, jakby koncentrowała się na czymś bardzo odległym, a pytanie Audrica tylko jej przeszkadzało.

– Tak – odparła cicho.

Czekał, aż rozwinie myśl. Nie zrobiła tego. W ciszy jego policzki płonęły. Mistrzyni Guillory odchrząknęła. Co takiego musieli myśleć o nim, o Rielle, o tym wszystkim?

– Co w takim razie powiedziało? – zapytał Audric. – Czy możesz... Przepraszam, to może być niemądre pytanie. Czy możesz w jakiś sposób oczyścić morze? Zapobiec dalszym zniszczeniom?

Rielle westchnęła. Wydawało się, że zmaląła wraz z tym dźwiękiem. Była taka drobna i tak nieprawdopodobnie odległa. Spojrzała na niego

i zmusiła się do uśmiechu, którego nie znosił. Starła się zrobić mu przyjemność, uspokoić go, i całkowicie jej się to nie udawało.

– Oczywiście, że mogę – mruknęła.

W tym momencie Miren nie była w stanie wytrzymać dłużej.

Pochyliła się z gniewnym grymasem. Wybuch jej gniewu sprawił, że brązowe guziki kurtki Audrica zapłonęły żarem.

– Czy tylko tyle zamierzasz powiedzieć? – zapytała Miren głosem ochrypłym ze smutku, z lśniącymi jasno oczami. – „Tak” i „oczywiście”? Mogłabyś powiedzieć coś więcej. Mogłabyś patrzeć na nas, jakbyśmy naprawdę byli tutaj przed tobą. Albo mogłabyś przeprosić. Mogłabyś spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, że jest ci przykro. – Jej głos się załamał, usta się zacisnęły, gdy walczyła ze łzami. – Czy w ogóle żałujesz tego, co zrobiłaś nam wszystkim?

Rielle popatrzyła na nią, mrugając. Wydawała się tak dziwna na swoim krześle, tak niedopasowana, że gardło Audrica zacisnęło się ze strachu. Rielle spoglądała na Miren, jakby próbowała rozpoznać nieznany rodzaj przydrożnej rośliny – chwast, którego nie zamierzała wyrywać, który w ogóle jej nie interesował, zanim jego kolce nie ukłuły jej w kostkę.

Żałował, że nie może zostawić ich wszystkich, odprowadzić Rielle do ich sypialni i zatrzymać jej tam. Karmić ją, kochać i masować jej obolałe plecy, aż na jej twarz wrócą kolory i znowu zaczną wyglądać jak człowiek.

– Miren, licz się ze słowami – odezwała się oschle Genoveve. – Przypominam ci, że Rielle nas ocaliła. Zniszczyła Coriena, a wraz z nim wielu jego żołnierzy.

– Dopiero gdy zginęły już tysiące naszych. Dopiero gdy nasze miasto legło w gruzach. Zniszczone domy i rozbite rodziny. – Miren położyła dłonie płasko na stole, a jej usta się wykrzywiły. Nie wypowiedziała ani

razu imienia Tala, ale Audric słyszał jego echo w każdym jej słowie. – Powiedz to, Rielle – wykrztusiła Miren. – Powiedz mi, że jest ci przykro.

Rielle przyjrzała się swoim dłoniom, a później podniosła spokojnie wzrok na Miren.

– Czy jeśli to powiem, uwierzysz mi?

Wszyscy wstrzymali oddech, napięcie wisiało w powietrzu.

W końcu Miren opadła ciężko na krzesło, a jej twarz straciła wyraz.

– Nie – odparła. – Nie uwierzę.

Rielle uśmiechnęła się leciutko najsmutniejszym uśmiechem, jaki Audric widział kiedykolwiek.

– Nie winię cię za to. Ale jest mi przykro, naprawdę. Chciałabym, żeby można było to cofnąć. Chciałabym, żeby Tal...

Miren poderwała się z miejsca, a jej topór rozjarzył się na biodrze. Każdy kawałek metalu w sali zawibrował, gotów wzlecieć na jej rozkaz.

– Nie wymawiaj przy mnie jego imienia – rzuciła ostro. – Nigdy. Kochał cię bardziej niż kogokolwiek, bardziej niż mnie, ale to ci nie wystarczyło. Nic, co możemy ci dać, nie wystarczy.

Miren odepchnęła się od stołu i wybiegła z sali. Zaraz potem Genoveve ścisnęła lekko dłoń Audrica i wstała, żeby pójść za nią.

– Proponuję, żebyśmy zrobili przerwę – rzekł Audric w ciężkiej ciszy – i spotkali się ponownie po południu. O trzeciej, w tym samym miejscu.

Gdy pozostali wychodzili szybkim krokiem, zbierał papiery. Rielle siedziała nieruchomo obok niego. Nie potrafił się zmusić, żeby na nią spojrzeć. Jeśli to zrobi, zobaczy na jej twarzy prawdę, coś, czego obawiał się najbardziej – bardziej niż aniołów krążących nadal po świecie, bardziej niż wszystkiego, co czało się za Bramą i pewnego dnia mogło się z niej wyłonić.

Gdyby na nią spojrzeć, zobaczyłby prawdę: Miren miała rację.

Podał Rielle dłoń, nie patrząc jej w oczy. Wzięła go bez słowa za rękę, a jej palce były tak lekkie, że ich dotyk go przeraził. Kiedy wracali na górę do swoich komnat, Audric chłonał odgłos jej kroków, zachwycał się każdym ciężkim oddechem. Jej brzuchem, wielkim i cudownym. Przeklinała go, cicho i ostrożnie, jakby próbowała zażartować, a Audric roześmiał się wątłym śmiechem.

Czekał na nich posiłek – świeże pieczywo i ser, figi w miodzie, sałatka z pomidorów i ogórków. Jedli w ciszy, a Rielle ani na moment nie wypuściła jego ręki. Jej kciuk gładził jego kciuk, raz za razem, pozostawiając rozmazane smugi złota.

Pewnej nocy Audric zostawił Rielle śpiącą niespokojnie w ich łóżu i wyszedł na dach. Letnie powietrze było ciepłe, a z gęstych lasów porastających Cibelline dobiegało nawoływanie nocnych ptaków.

Audric szedł długimi arkadami na czwartym piętrze, zabezpieczonymi balustradą z białego kamienia. Oparł się o jedną z nich, żeby spojrzeć na rusztowania otaczające zamek od strony zachodniej. Podczas bitwy zawaliły się dwie wieże. Ogromne dziury pozostawione w murach Baingarde przez szalejącą magię żywiołów sprawiły, że zamek wydawał się zapuszczony i osłabiony.

Audric potarł grzbiet nosa, próbując się pozbyć zmęczenia piekącego go w powieki. Wraz ze snem przychodziły senne marzenia. Nie życzył ich sobie.

Kątem oka dostrzegł ruch, gładki i płynny. Patrzył na latającą Atherię, z uśmiechem obserwował, jak chwyta nietoperze w powietrzu. Ten widok był przyjemny i coraz rzadszy. Gdy Rielle nie spała, boska bestia trzymała się z dala od Baingarde.

Jeszcze jedna przyczyna smutku dla Rielle.

Powietrze obok Audrica poruszyło się, jakby coś przesuwalo się w zimnej wodzie.

Dreszcz przeszedł po jego skórze. Nie przywykł jeszcze do wrażenia towarzyszącego obecności upiorów ani nie zaufał im do końca, chociaż nie dawały mu żadnych powodów do podejrzeń, poza tym, czym były. Aniołami bez ciał – aniołami, które odmówiły wskrzeszenia.

Całe ich tuziny pilnowały miasta, setki patrolowały góry, a ta, która podpłynęła teraz do niego, była jego ulubienicą. Jego ramiona rozluźniły się lekko, gdy ją rozpoznał – wysoką, szarą smugę jej ciała, czarne i spokojne oczy, długie i smukłe kończyny. Ciemne włosy opadały jej do pasa, chyba że w pobliżu znajdowała się moc na tyle potężna, by ujawnić coś z jej prawdziwej postaci. W obecności Rielle jej włosy lśniły bielą, oczy stawały się czyste i miała na sobie lśniącą platynową zbroję, tak jak w momencie gdy wkroczyła do Otchłani.

– Zahro – odezwał się ciepło Audric. – Czy masz do mnie jakąś sprawę?

Upiorzyca skłoniła głowę na powitanie. Jej głos był dźwięczny i niespieszny, jak uderzenia wielkich dzwonów.

– Szukam tylko towarzystwa, mój królu. Noc jest spokojna.

– Cieszę się, że to słyszę. – Popatrzył na przepastne czarne niebo. Czasem nadal dostrzegał na nim słaby cień płonących skrzydeł. Czasem czuł ich żar na szyi, a to wspomnienie wywoływało w nim mdłości. Zamknął oczy i postarał się uspokoić.

Zahra westchnęła. Nagle zaczął wyczuwać od niej zakłopotanie. Przydało mu się, że kochał anielicę. Z łatwością odczytywał nastroje upiorów, których teraz miał całą armię.

– Skłamałam – oznajmiła Zahra ze smutkiem. – Tak naprawdę mam sprawę. Chcę dać ci odpowiedź, której poszukujesz.

Odwrócił się do niej. Jej profil, niestały i dziwny, miał mimo to w sobie spokojną godność, która niezwykle dodawała mu otuchy. Zamierzał jej o tym kiedyś powiedzieć.

– Odpowiedź na jakie pytanie? – zapytał.

– Zastanawiasz się, dlaczego walczyłam ze swoimi braćmi, dlaczego przysięgłam wierność tobie i twojej rodzinie. Zastanawiasz się nad tym od tamtej nocy, gdy uklęknęłam u twoich stóp, a odpowiedzi, których udzieliliśmy twojej radzie, nie wydają ci się wystarczające.

Audric, oszołomiony i bez słów, przez chwilę mógł tylko na nią patrzeć. Przypływ gniewu pomógł mu odzyskać zdolność mówienia.

– Czytasz moje myśli. Nie tak brzmiała nasza umowa.

Zahra odwróciła się, otwierając szeroko oczy.

– Nie, mój królu. Nie złamałam w niczym naszej umowy. Nasze przymierze zostało skrupulatnie spisane, a my wszyscy, którzy się pod nim podpisaliśmy, zrobiliśmy to, ponieważ wierzymy w potencjał tej nowej przyjaźni.

– Więc skąd...?

– Mój królu. – W głosie Zahry zabrzmiała czułość, a Audric raz jeszcze przypomniał sobie, jak bardzo była wiekowa i jak maleńki był on sam w porównaniu z nią. Żyła na wiele wieków przed jego urodzeniem i będzie dryfować po świecie przez kolejne wieki po jego śmierci. – Jesteś mężczyzną obdarzonym wyjątkową siłą, zarówno umysłu, jak i serca. Ale twoja ciekawość jest niezmierzona i często wbrew twoim wysiłkom nie pozwala się zachować w tajemnicy. Pytania wyrywają się z ciebie jak ptaki. Nic nie poradzę na to, że widzę je na twojej twarzy, także te, których postanowiłeś nie zadawać.

Uniósł brwi. To były śmiałe słowa, ale poczuł dziwną ulgę na myśl o tym, że przejrzała go do tego stopnia.

– Powiedz mi zatem, co masz do powiedzenia.

Zahra się zawahała.

– To długa opowieść. Może nie powinnam była zwracać się do ciebie teraz. Po prostu... O, mój królu, to taka niewiarygodna historia. Od tygodni czekam, aby ci ją przekazać. – Zalśniła, promienna i pełna energii, bawiąc się koniuszkami włosów. – Może wrócimy do twojego gabinetu, gdzie będziesz mógł wygodnie usiąść?

– Tu jest mi całkiem wygodnie. Świeże powietrze smakuje cudownie. Mów, Zahro. Powiedziałaś, że masz dla mnie odpowiedź.

– Tak, mój królu. Zastanawiałeś się, dlaczego walczyliśmy za ciebie tamtej nocy, dlaczego zdradziliśmy nasz lud, aby sprzymierzyć się z wrogiem. Po części odpowiedź jest prosta i udzieliliśmy jej już radzie: nie podzielamy żądy zemsty Kalmarotha. Nie każdy anioł zamknięty w Otchłani stał się istotą pełną przemocy i gniewu. Wybacz mi, mój królu, ale niesprawiedliwie jest patrzeć na całe nasze miliony i sprowadzać nas do jednego uczucia, jednej filozofii, jednego pragnienia.

Zawstydzony Audric skinął głową. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Zahra uniosła rękę.

– Proszę, jeśli pozwolisz, muszę powiedzieć to wszystko jednocześnie. Jest tego wiele, a ty masz od rana narady. W jakimś momencie będziesz potrzebować snu, mój królu.

Uśmiechnął się do niej cierpko.

– Mam przecucie, że przejdzie mi ochota na sen, gdy dokończysz swoją opowieść.

– Możliwe. Tak jak mówiłam, jest niewiarygodna. To słowo jej nie oddaje, ale nie potrafię wymyślić innego. – Zastanowiła się i odetchnęła głęboko. Powiedziała kiedyś Audricowi, że to był smutny, dziwny nawyk upiorów. Nie miały płuc, ale nadal czuły instynktowną potrzebę

oddychania. – Pamiętasz tę dziewczynę, Elianę – zaczęła. – Twoją córkę, mój królu.

To ukochane imię zaskoczyło go. Nie spodziewał się tego.

– Pamiętam wiele rzeczy z tamtej nocy, ale ją przede wszystkim.

– Zanim przyszedliśmy do ciebie, walczyliśmy w mieście. Osłanialiśmy twoich ludzi przed aniołami. Ukrywaliśmy ich przed polującymi na nich bestiami.

Wiedział o tym i chciał jej podziękować, tak jak wiele razy wcześniej, ale nie dała mu dojść do słowa.

– W trakcie walki wyczułam ją – oznajmiła Zahra. – Elianę. Była inna od wszystkich żyjących na tym świecie, wszystkich oprócz towarzyszącego jej chłopca. Oboje pochodzili z innego czasu. Wiedziałam to od razu, tak jak my wszyscy, i to właśnie sprawiło, że udaliśmy się do ciebie, a także że aniołowie wdarli się do zamku, by z tobą walczyć. Wszyscy pragnęliśmy dotknąć jej umysłu, pojąć jej dziwność, ale ja poleciłam moim towarzyszom, żeby osłaniali ją i twoje przyjaciółki. Kiedy byli tym zajęci, tylko ja odczytałam jej myśli. Mój królu... – Przyklęła, przytłoczona. Cienie otaczały ją, jakby klęczała w płytkiej ciemnej wodzie. – Zobaczyłam wszystko to, co ona widziała – wyszeptała. – Zobaczyłam świat, w którym żyła. Zobaczyłam Nieśmiertelne Imperium i wszystko, co zrobiło. Zobaczyłam ludzi, którzy ją kochali, i tych, którzy ją skrzywdzili. Zobaczyłam siebie jej oczami. W tych czasach, które jeszcze nie nadeszły, gdy twoja córka żyła i walczyła, byłam jej przyjaciółką. Kochałam ją, a ona kochała mnie.

Audric powoli usiadł koło niej. Lekki nocny wiatr muskał jego dłonie. W górze Atheria polowała na kolację, poskrzekując radośnie.

– Poczułam wszystko w tym momencie, gdy mój umysł dotknął jej umysłu – powiedziała z trudem Zahra. – Zobaczyłam wszystko to, co ona

musiała znieść i co się stanie ze światem, jeśli ona poniesie klęskę. Zginęłam za nią w tym przyszłym świecie. Umarłam w jej ramionach, a ona szlochała nad miejscem, w którym byłam. Mój królu, to właśnie zobaczyłam. Dlatego walczyłam za nią, a także za ciebie, jej ojca, i dlatego zawsze będę to robić. Zginęłam za nią i zrobiłabym to ponownie.

Zahra sięgnęła do jego dłoni. Jej ciemne palce przeniknęły go jak smugi dymu. Chłodny, miękki dotyk towarzyszący jej bliskości sprawił, że Audrica przeszedł dreszcz. Musnęła z czułością jego policzek. To była nadmierna poufałość, ale Audric wyczuwał, że nic między nimi nie będzie nigdy typowe, aż do końca jego życia.

– Czy mogę opowiedzieć ci resztę? – zapytała. – Czy mogę opowiedzieć ci historię twojej córki?

Ze łzami w oczach, kompletnie bezbronny, Audric skinął głową, a potem przez całą noc słuchał, jak Zahra mówi o przyszłości, która się nie wydarzy.

Zupełnie jakby córka go usłyszała.

Następnego dnia Sloane wpadła do jego gabinetu z błyszczącymi oczami. Jej entuzjazm wywabił cienie z kątów. Uniosły się z drżeniem i wyciągnęły ku jasnym oknom.

Audric wiedział, zanim jeszcze Sloane zaczerpnęła tchu, żeby się odezwać. Zapaliło się w nim światło ogrzewające wszystkie zmęczone kości jego ciała. Jedno imię przyćmiło wszystkie inne myśli:

Eliana. Eliana. Eliana.

Oczywiście tak się będzie nazywać.

– Posłałam po Garvera – oznajmiła Sloane. Stała rozpromieniona przy drzwiach, a jej szeroki uśmiech stanowił cudowny widok. Dni były ciężkie, ale tej radości rozpaczliwie potrzebowali. – Jest przy niej twoja matka, a także pielęgniarki. Jeszcze nie czuje bólów, lecz twierdzi, że to się zacznie

bardzo niedługo. Chce cię zobaczyć. Denerwuje się, ale chyba nigdy jeszcze nie widziałam jej tak szczęśliwej.

Czekała, aż Audric wstanie, ale nie mógł. Gdyby spróbował, kolana by się pod nim ugięły.

Sloane okazała mu litość.

– Chodź na górę – powiedziała łagodnie i pomogła mu się podnieść z fotela. – Już czas.

Rielle

*W niebiosach się narodziłeś, w niebiosach powracasz
Na wysokości, w zimny blask odległego księżyca
Czemu wielka pieśń wezwała cię tak szybko, o dziecię gwiazd?
Czemu, ach, czemu jej posłuchałeś?*

– tradycyjny lament anielski

Świtał kolejny świetlisty jesienny dzień, a Rielle nie mogła już dłużej milczeć. To dzisiaj. Powie mu, gdy tylko on się obudzi.

Eliana spała na jej piersi, najedzona i szczęśliwa. Pojawiła się na świecie pięć miesięcy temu, zaskakująco spokojna, patrząca na wszystko wielkimi brązowymi oczami, a Rielle nadal nie przywykła do jej uderzającej urody. Niewyobrażalnie małej główki i pokrywających ją ciemnych pukli. Ciepłego ciężaru, wpasowanego idealnie w ramiona Rielle. Cichych, nieartykułowanych dźwięków, które wydawała, gdy machała małutkimi pomarszczonymi stópkami i zaciskała piąstki jak do ciosu.

Rielle pocałowała Elianę w główkę i odłożyła ją ostrożnie do kołyski. Promienie porannego słońca przesuwają się przez komnatę, a Rielle patrzyła, jak jej córka śpi. Czasem jej buzia się poruszała, jakby ssła powietrze. Czasem jej powieki trzepotały – coś jej się śniło – a Rielle się śmiała, przepełniona podziwem do tej małutkiej osoby śpiącej obok niej. Osoby, którą nosiła w sobie przez wiele straszliwych i cudownych miesięcy.

Nie wiedziała, czego się spodziewać, gdy Garver włożył jej dziecko w ramiona. Prawie dwadzieścia godzin wyczerpującego porodu, bólu tak

niewyobrażalnego, że wciągnął ją w sam środek siebie, gdzie wszystko było złote i gorące, a ona spływała po roztopionym wodospadzie. Wreszcie, na koniec tego, pojawiło się dziecko. Audric trzymał ją za rękę i śmiał się przez łzy, a ta istota, ta maleńka dziewczynka, patrzyła na nią. Różowa i pomarszczona, z czystymi oczami.

Byłoby łatwiej, gdyby Rielle w tamtej chwili niczego nie poczuła. Mogłaby z łatwością udawać miłość. Pod nieobecność Ludivine, zdolnej ją zdemaskować, potrafiłaby oszukać wszystkich. Upiory omijały ją szerokim łukiem z wyjątkiem Zahry, pełnej irytującego szacunku, dla której nie miało znaczenia, że Rielle potrafi zabijać anioły. Matkę Eliany należało chronić i kochać bezwarunkowo.

Ale jedno spojrzenie na buzię Eliany i Rielle przepadła. Przekazanie jej Audricowi, żeby trochę się przespać, wydawało jej się niewyobrażalną tragedią. Potrafiła spędzić całe popołudnie, całując paluszki Eliany, i w ogóle zapomnieć o jedzeniu. Mogła obserwować ją godzinami i nigdy się tym nie zmęczyć.

Miłość pozostawiała ją oszołomioną, otumanioną, przeszcześliwą. Budziła się w środku nocy, by pocieszyć Elianę, oprzeć nogi na kanapie i położyć ją sobie na udach. Przemawiała do niej czule i kołysała ją łagodnie. Audric budził się później i witał Rielle pocałunkiem w czoło. Przestał mówić o jej gorączce, za co była mu wdzięczna. Podnosił Elianę na ramię i spacerował z nią powoli po komnacie. Jeśli noc była dostatecznie ciepła, otwierał okno i wpuszczał wiatr chłodzący przegrzaną skórę Rielle. Patrzyła na niego z łóżka, płonąc w milczeniu, z ciężkimi powiekami, a gdy w blasku księżyca śpiewał ich córce nonsensowne kołysanki, Rielle zasypiała, słuchając jego głosu.

Tyle miłości gorącej jak łzy w jej gardle, a mimo to, kiedy tego jesiennego poranka Rielle wróciła do łóżka, odczuwała ten sam

gorączkowy, zmęczony niepokój, który towarzyszył jej w godzinach przed narodzeniem Eliany, a wcześniej przez całe dni, przez długie tygodnie od nocy, w którą zniszczyła Coriena i Ludivine.

Gdy oparła się na poduszkach, to powróciło, tak samo jak zaledwie godzinę wcześniej. Za każdym razem ogarniało ją szybciej niż poprzednio. Audric spał spokojnie, jak zawsze rozłożony na wznak, z półotwartymi ustami i potarganymi włosami. Rielle odwróciła się od niego i przycisnęła usta do swojego ramienia.

Pulsujący żar rozkwitał we wszystkich jej stawach, jakby coś ukrytego głęboko w jej szpiku kostnym zaczęło się rozdymać. Moc podświetlała wszystkie naczynia krwionośne; kiedy Rielle zamykała oczy, widziała oślepiająco jasne krystaliczne drzewo będące jej ciałem i ścieżkami wytyczonymi przez krew. Ból był ogłuszający. Gdy nadchodził, nie słyszała niczego innego. Zamykała oczy, zaciskała zęby i wstrzymywała oddech, aż to uczucie przeminęło. Wstrzymywała oddech na tak długo, że zaczynała mieć mroczki przed oczami, ale nie mogła go wypuścić, dopóki nie było to bezpieczne. Nigdy wcześniej w swoim życiu nie potrafiła do tego stopnia znieruchomieć.

Kiedy otworzyła oczy, chwytając bezgłośnie powietrze, Audric na nią patrzył. Wyciągnął do niej rękę, a ona znalazła siłę, żeby się od niego odsunąć. Nadal czuła nacisk na swoich opuszkach i skroniach, słaby, lecz wyraźny i gorący. Jeśli Audric jej dotknie, ona wybuchnie.

– Co mam zrobić? – Usiadł na łóżku, w pełni obudzony. – Mam posłać po jedzenie? Wodę? Chcesz się przejść po ogrodzie? Wieczór jest chłodny, to może ci przynieść ulgę.

Rielle patrzyła na niego i mrugała, żeby przestać widzieć ciemne plamy. Ile czasu siedziała tutaj, starając się zacząć oddychać? Może całe godziny. Ciało bolało ją jak świeżo poobijane, ale gdy spoglądała na swoje nagie

ramiona, widziała tylko złoto. Tłukło się o jej kości, wciskało pod paznokcie.

Pragnęło się wydostać.

– Nic. Nie możesz nic zrobić, Audricu. Nic nie przyniesie mi ulgi i myślę, że wiesz o tym. – Zaryzykowała i ujęła jego dłonie, ponieważ nie mogła czekać już ani sekundy dłużej. Musiała mu powiedzieć, co się stanie. Pocałowała jego nadgarstki, musnęła powolnym wydechem jego knykcie. – Muszę odejść, kochany. Nie mogę tutaj zostać.

Roześmiał się lekko i zmarszczył czoło, jakby opowiedziała dziwaczny dowcip.

– Jak to odejść? Dokąd?

Zamknęła oczy.

– Nie jesteś głupi. Proszę, nie udawaj. Każde słowo wiele mnie kosztuje. Muszę odejść. Nie mogę...

Urwała i przełknęła z trudem ślinę, jakby starała się nie zwymiotować. Ale to nie mdłości nią targały. To był głód, to było pragnienie, to były wszystkie niewidoczne blizny na jej kościach odzywające się niecierpliwie, to były cienkie pasma złota w jej krwi naciągające się jak sprężyny, które zaraz pękną.

budzę się

Głos empirium, pozbawiony słów i dziwny, brzmiał łagodnie. Nie było w nim życzliwości, nie było żalu, raczej coś jak przyznanie racji. Mówił jej, że to będzie trudne. Ale to nie był powód, żeby ją oszczędzić.

budzimy się

– Wiem – szepnęła ochryplym głosem. – Daj mi trochę więcej czasu. Tylko troszeczkę.

– Co ono mówi? – Audric ujął jej twarz w dłonie. Jego oczy były wilgotne. – Powiedz mi. Pozwól mi z nim porozmawiać.

– Ono słyszy każde twoje słowo, Audricu, i nie przejmuję się nimi. To nie jest osoba ani istota. To jest wszystko, co żyje. To ty, ja i my wszyscy.

– Sprawię, że zacznie się przejmować.

– Nie mów od rzeczy.

– Dam mu wszystko. Dam mu siebie. Wszystko. – Jego głos zadrżał od tłumionych łez. – Musi coś istnieć. Wymiana, której można dokonać.

Rielle dotknęła jego policzka.

– Posłuchaj, co mówisz. Zupełnie jakby empirium było czymś, z czym można się układać. Nie masz do czynienia z wrogiem, Audricu. To nie są negocjacje. Ono stara się mi pomóc. Cierpię, a ono proponuje mi ulgę. Wystarczy, że puszczę tę linę i spadnę.

– Proszę – powtarzał szeptem. Zamknął oczy, przyciskał usta do jej dłoni. – Proszę, nie, tylko nie to.

Im dłużej na niego patrzyła, tym mniej siły miała, żeby stawiać opór, żeby siedzieć pewnie na łóżku.

– Powiem ci, co zrobiły ze mną ostatnie miesiące – wyszeptała. Miała suche oczy, ale ledwie była w stanie mówić. W piersi czuła zaciśnięty supeł. – Coś przebudziło się we mnie, a ja nie mogę już tego uśpić. Sięgnęłam mocami poza granice swoich możliwości, a teraz one rozwijają się i ciągną mnie za sobą. Musisz mnie puścić.

– Nie, nie chcę. Nie mogę. To nie jest jedyna droga, Rielle.

– Jest. Popatrz na mnie. To nie jest już moje miejsce. Może nigdy nie było. Rozmawialiśmy o tym wiele razy. To nie powinno być dla ciebie zaskoczeniem.

– Tak, rozmawialiśmy o tym wiele razy i za każdym razem powtarzałem ci, że to jest twoje miejsce. Tu jest twój dom, twoja rodzina. Nadal tak myślę, nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło. Nie jesteś tylko swoją mocą. Ona stanowi część ciebie.

Rielle uśmiechnęła się do niego z czułością.

– Nawet gdybym nie miała żadnych mocy, kochałbyś mnie tak samo jak teraz.

– Oczywiście. Oczywiście. – Odwrócił wzrok, wpatrując się uporczywie w łóżko. – Znajdziemy uzdrowicieli, będziemy ich szukać na całym świecie. Akademików specjalizujących się w empirium, najznakomitszych chirurgów z Mazabatu.

– Audricu...

– Są jeszcze upiory, ich anielskie umysły mają niewyobrażalne możliwości. Pomogą nam stworzyć coś, co ci pomoże, ukoj ból i uspokoi twoje moce...

– Audricu, popatrz na mnie.

Potrząsał lekko głową, jakby z niedowierzaniem. Nie zamierzał tego akceptować i nie zamierzał na nią patrzeć. Przeczesał palcami włosy, wyrwał mu się zdławiony dźwięk.

– Proszę, nie rób tego – powiedział ochryple. Przycisnął czoło do jej czoła. – Nie zostawiaj nas.

– Z trudem utrzymuję się w całości – odparła Rielle, gładząc jego włosy. – Codziennie walczę z tą zachodzącą we mnie przemianą. Pewnego dnia stracę nad sobą panowanie i co wtedy będzie z wami? Nie dostrzegasz tego niebezpieczeństwa? – Jakże drogie były dla niej miękkie pukle jego włosów prześlizgujące się między jej palcami. Każde jej muśnięcie pozostawiało na ciemnych kędziorach złoto.

– Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje.

– Ale co to za życie walczyć bezustannie ze sobą?

– Pomogę ci – wyszeptał i zacisnął powieki.

– Już mi pomogłeś. Włączyłeś mnie z powrotem w swoje życie. Bronisz mojego dobrego imienia i honoru za każdym razem, gdy wchodzisz do

świątyni, a ktoś zaczyna mnie wyklinać. Dałeś mi Elianę.

– A ty mimo to ją zostawisz? Pozwolisz, by dorastała, nie poznawszy ciebie?

To był cios w samo serce. Rielle odsunęła się od niego.

– Czy sądzisz, że nie zastanawiałam się nad tym wszystkim setki razy?

Opuścił wzrok i otarł twarz. Rielle poczuła w końcu pieczenie za oczami. Powtarzała sobie, że nie będzie płakać, ale on wydawał się taki zawstydzony, gdy siedział przygarbiony na łóżku. Półnagi, ze łzami spadającymi na jego dłonie.

– Wiem, że o tym myślałaś – szepnął. – Obserwuję wszystkie te przemiany w twoich oczach. Powtarzam sobie, że to tylko moja wyobraźnia. Co rano budzę się i mam poczucie, że dzisiaj powiesz mi to, co właśnie powiedziałaś.

– Zaś dla mnie każdy dzień to życie z bólem, który z trudem wytrzymuję. Kolejny dzień, w którym ty, Eliana i wszyscy, o których ocalenie walczyliśmy tak zaciekle, jesteście w niebezpieczeństwie. Popatrz na mnie. – Uniosła jego podbródek, spojrzała w lśniące oczy. Wycisnęła na jego ustach mocny pocałunek. – Muszę odejść – oznajmiła, chociaż każde słowo przychodziło jej z trudem. – Wiesz o tym. Widzisz, jak cierpię.

Jego twarz była obrazem rozpacz.

– Widzę.

– Dostrzegasz zmiany we mnie. Światło pod moją skórą, to, że jestem rozpalona jak w najgorszej gorączce.

– Czasem płaczesz przez sen – powiedział, dotykając jej policzka grzbietem palców. – W niektóre dni stajesz się tak odległa ode mnie, od nas wszystkich. Zastanawiam się, gdzie wtedy jesteś.

– A mimo to chcesz, żebym została?

Potrząsnął bezradnie głową.

– Sam siebie za to nienawidzę.

Słyszała w jego głosie tę nienawiść i poczucie winy. Ich sypialnia, pełna miękkiego porannego światła, lśniła widziana przez łzy. Rielle ucałowała jego prześliczne dłonie, poznaczone świeżymi bliznami. Żałowała, że nie mogła zobaczyć, jak Atheria niesie go w serce sztormu. Oglądająca go z wybrzeża Sloane opowiadała, że wyglądał olśniewająco. Kula światła zmierzająca bez lęku w ciemność.

– Nie zasługujesz na nienawiść – wyszeptała. – Eliana nauczy się od ciebie, jak kochać samą siebie. Bądź dobry dla swojego serca, choćby dla niej.

– Rielle – powiedział, a to imię roztrzaskało się na jej skórze. – Nie wiem, jak miałbym żyć w świecie bez ciebie.

– Nauczysz się.

– Jest jeszcze Brama – rzucił rozpaczliwie. – Kto ją zamknie, jeśli odejdiesz?

– Nie zostawiłabym cię samego z tym zadaniem, Audricu. Ja...

Zamknęła oczy i obróciła się nieznacznie. Ból powrócił, ostry i skłębiony. Złoto wżerało się od środka w jej powieki, ogromna siła napierała na jej dłonie, podeszwy, czubek czaszki, lędźwie. Pięści wciskały się w jej mięśnie i obracały, pocierając kością o kość. Niedługo rozpadnie się na kawałki i przyniesie jej to ogromną ulgę. Pomyślała o bezkresnym czarnym morzu, niebie jasnym od pędzących gwiazd, dziewczynce trzymającej ją za rękę.

„Chodź ze mną. Budzimy się, ty i ja. Mamy jeszcze tak wiele do zrobienia”.

– Zostań ze mną. – Audric czule wziął ją za rękę. Jego dłonie były lepkie, głos drżał z niepokoju. – Jestem przy tobie, Rielle. Słuchaj mojego głosu. Proszę, zostań ze mną. Proszę, kochana.

Pot spływał jej po plecach i gromadził się pod piersiami. Gdyby zanurzyła się w lodowatej wodzie, roztopiłaby każdy lodowiec. Gdyby wstała z łóżka, gdyby jej stopy dotknęły posadzki, spadałaby bez końca.

– Jestem tutaj – szepnęła słabo, gdy już mogła mówić, a on przytulał ją, ledwie ośmielając się oddychać, aż ta najnowsza fala agonii osłabła, pozostawiając przemoczoną potem pościel na łóżku, skórę Rielle lśniąca jak wypolerowana miedź i łyzy spływające strumieniami po jej policzkach. Wtuliła się w ciało Audrica, ukryła twarz w zagłębieniu jego szyi. Powoli, ostrożnie gładził jej wilgotne włosy, jakby była ptakiem z dmuchanego szkła lub bestią, której nie odważał się sprowokować.

– Kocham cię, Rielle – wyszeptał, drżąc. – Zawsze cię kochałem i nigdy nie przestanę.

Chciałabym, żebyś przestał, pragnęła mu powiedzieć. *Byłoby ci łatwiej, gdybyś przestał mnie kochać.* Ale nie było potrzeby ranić umierającego człowieka, a jego głos zaczął ją już uspokajać. Jak zamroczona, zaczęła się wyciszać. Słuchała swojego imienia padającego z jego ust, jego rozdygotanego głosu. Zapadła w płytki czerwony sen.

Rielle odczekała dostatecznie długo, żeby Audric zaczął przypuszczać, że zmieniła zdanie. Co rano budził się i znajdował ją obok siebie, a na jego twarzy rozkwitała niepowstrzymana nadzieja napełniająca jego oczy ciepłem i miękkością. Zaczął sypiać spokojnie, nie budził się już na każde jej poruszenie.

W końcu przyszła zimna noc. Ostry wiatr tłukł palcami w szyby. Chmury odcinały się czernią na tle gwiazd, młody księżyc dawał niewiele światła.

Rielle obudziła się ze snu, który ledwie zasługiwał na takie określenie. Fale palącego światła pulsowały za jej oczami. Każde tępe uderzenie odłupywało kolejny kawałek jej czaszki.

Wstrzymywała oddech i nasłuchiwała. Eliana spała w kołysce, z piąstką w buzi, oddychając cichutko i miarowo. Gdy Rielle podniosła się z łóżka, Audric się nie obudził. Miał cienie na miękkiej skórze pod oczami. Zaprzeczyłby temu, ale Rielle była dla niego teraz tylko źródłem żalu i niekończącego się niepokoju.

Na bosaka przeszła szybko przez komnatę. Przy drzwiach musiała się zatrzymać na moment i zacisnąć dłoń na ustach, aż szloch dławiący ją w gardle zaczął się uspokajać. Rozpaczliwie pragnęła pocałować go raz jeszcze, pochylić głowę nad małym, ciepłym ciałkiem Eliany i przycisnąć twarz do pyzatyh policzków córeczki.

Nie mogła jednak ryzykować, że ich obudzi. Wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi. Żaden odgłos do tej pory nie wydał jej się tak przerażający i nie towarzyszył mu tak bezgraniczna ulga. Z drżącymi kolanami Rielle oparła się ciężko o drzwi i uniosła dłoń, aby uciszyć Evyline, zanim strażniczka zdążyła się odezwać.

– Odeślij pozostałe – wymamrotała Rielle, wpatrując się w posadzkę. Trudno jej było patrzeć na Evyline, która wiele razy prosiła ją o pozwolenie na znalezienie zastępstwa dla Maylis i Fary. Rielle nie zgadzała się na to. Chciała patrzeć na dwa puste miejsca w jej dawnej straży. Chciała czuć towarzyszący temu żal, pozwalając, żeby tkwił jak cień w jej boku.

Evyline posłuchała natychmiast. Po chwili zostały same.

– Co się stało, królowo? – Evyline położyła dużą dłoń na plecach Rielle. – Czy pojawił się anioł?

To niewyobrażalne, że Evyline potrafiła jej wybaczyć, a gdy Rielle w końcu znalazła dość odwagi, by na nią spojrzeć, zobaczyła w jej zmęczonych oczach tylko miłość.

– Odchodzę – powiedziała szeptem Rielle. – Potrzebuję twojej pomocy, żeby dostać się w góry. Nie mogę być w mieście, kiedy to nastąpi.

Evylina otworzyła szerzej oczy. Rielle widziała, że strażniczka przełyka protesty, a jej twarz przygasa, gdy przyjęła ten rozkaz.

– Niech tak będzie, królowo. – Evylina podała jej ramię, a Rielle z wdzięcznością oparła się na niej. – Dokąd mamy się udać?

– Na Talée. U stóp góry, niedaleko przełęczy. – Rielle zacisnęła powieki. Moc falowała pod jej opuszkami, napierając mocno na krzywizny paznokci. Koniuszki jej włosów iskrzyły się bielą.

Na twarzy Evylina malował się głęboki niepokój, gdy szły szybko korytarzem.

– Czy dotrzemy tam na czas? Wybacz mi, królowo, ale twoja twarz... Jest pełna światła. Masz gwiazdy pod policzkami.

– Wiem.

Zatrzymały się przy schodach. Rielle oparła się o ścianę. Pomyślała najpierw o Ludivine, okropnym błędzie, który pozostawił zapierający dech w piersiach żal. Odsunęła jej wspomnienia, a także wspomnienie Coriena pojawiające się zaraz potem, i uformowała w swoim umyśle obraz innego anioła.

Zahro? Pospiesz się, proszę.

Chwilę później upiórzyca wyłoniła się z najbliższej ściany. Włosy płynęły za nią jak biały strumień. Evylina drgnęła z zaskoczenia i zaklęła.

Zahra natychmiast uklękła.

– Co mogę zrobić, moja królowo?

– Dwie rzeczy – powiedziała z trudem Rielle. – Chcę, żebyś nas strzegła, gdy będziemy szły przez miasto. Nikt nie może nas zobaczyć. Trzymaj wszystkich z dala ode mnie.

– Tak, moja królowo.

– Chcę także, żeby Audric się nie obudził, dopóki nie znajdę się na tyle daleko od Baingarde, że nawet gdyby biegł z całych sił, nawet gdyby ścigał

mnie na grzbiecie Atherii, nie zdoła mnie zatrzymać. – Zaciśnęła zęby i zamrużyła, by pozbyć się jasnych kropek sprzed oczu. – Wiesz, dlaczego to robię.

Zahra popatrzyła na nią z pełnym powagi smutkiem.

– Oczywiście, moja królowo.

– Czy możesz zrobić obie te rzeczy jednocześnie? Nikomu innemu nie ufam, Zahro. Chcę, żebyś zajęła się tym sama.

– Mogę i zrobię to. – Zmarszczka mocy przemknęła po twarzy Zahry, jakby prądy w jej umyśle zmieniły kierunek. Zniżyła głos. – Król się nie obudzi, dopóki nie znajdziesz się na Błoniach, królowo.

– Doskonale. – Rielle, oddychając płytko, spojrzała w ciemny tunel schodów. Każdy stopień wydawał się jak góra. Igiełki światła wciskały się w jej mięśnie. Gdy się poruszała, ból szarpał ją od środka, jakby na każdej kości wyrosły ostre czarne kolce. – Po drodze mam wam wiele do powiedzenia – oznajmiła i zrobiła dwa chwiejne kroki ku schodom, zanim Evyline zdążyła ją złapać. – Słuchajcie uważnie, gdyż to, co zrobię tej nocy, dotknie wszystkich żyjących.

Musiała umilknąć na jakiś czas, aż zeszyły z niekończących się schodów i opuściły pałac. Evyline wyprowadziła ją przez drzwi niedaleko kuchni i znalazły się w ogrodzie. Rielle tylko raz popatrzyła w stronę ciemnych wieszczych sadzawek, a gdy wpatrywała się w nie w mroku, empirium pokazało jej odległe wspomnienie uwiecznione w złocie – ona sama biegnąca po śliskich kamieniach, Ludivine dotrzymująca jej ostrożnie kroku oraz Audric siedzący na trawie i obserwujący je niespokojnie.

Zaszlochała, chociaż jej krew ryczała na nią, nakazując iść szybciej. Była już prawie po drugiej stronie, zbliżała się do końca. Niedługo przestanie czuć ból i nie będzie mieć powodów, by czepiać się tego, co pozostało z jej zniszczonego ciała. Szczęki bolały ją tak mocno, że miała

trudności z mówieniem. W niektóre noce myślała, że po przebudzeniu stwierdzi, iż przez sen starła sobie zęby na proch.

Dopiero gdy znalazły się w mieście, odzyskała głos.

– Tej nocy umrę – oświadczyła – a kiedy to nastąpi, sprawię, że empirium zapadnie w stan przypominający sen. Pozostanie uśpione na wiele lat. Ludzie będą przerażeni, gdy rano odkryją, że ich moce umilkły. Przykro mi z tego powodu, ale jest to konieczne.

– Dlaczego? – Pełen zgrozy głos Evyline był słabym szeptem.

– Aby zamknąć Bramę – odparła cicho Zahra. – I powstrzymać kolejne wojny, zanim wybuchną.

Evyline spojrzała na nią.

– Kolejne wojny? Przecież dopiero co stoczyliśmy wojnę i zwyciężyliśmy.

– Ale w Kirvayi trwa rewolucja dzieląca tych, którzy mają magię żywiołów, i tych, którzy są jej pozbawieni, a jeśli pozostawi się ją samej sobie, rozleje się na inne kraje – padły ciche, łagodne słowa Zahry. – Naznaczeni usłyszą o Elianie przybyłej do nas z przyszłości i zaczną eksperymentować z aspektami magii, których nie powinni dotykać. Księżniczka znajdzie się w niebezpieczeństwie. Wielu aniołów nadal żyje i opłakuje z wściekłością Kalmarotha. Zaatakują was ponownie. Znajdą sposób, aby wezwać innych z Otchłani, o ile Brama nie zostanie zapieczętowana.

Evyline pobladła.

– Rozumiem.

Rielle zmusiła się, żeby otworzyć oczy, chociaż oślepiający świat sprawiał, że wolałaby je trzymać zamknięte. Każdy mijany budynek płonął tysiącem białych ognii. Każdy jej krok wywoływał fale mocy rozchodzące się po ziemi.

– Nowi aniołowie nie będą zdolni opanować ludzkich ciał – powiedziała, z najwyższym trudem formując słowa, dotykając językiem zębów i podniebienia. – Ci, którzy są bezcieleśni, tacy pozostaną, zaś ci, których wskrzesiłam i uniknęli śmierci, stwierdzą, że moce ich umysłów osłabły. Formy magów żywiołów zgasną. Naznaczeni... – Zawahała się, gdy pomyślała o małym Simonie. Stał w gotowości, poważny i cichy, kiedy jego ojciec przeprowadzał Elianę na ten świat. – Naznaczeni nie będą już mogli snuć nici. Pozostawię nietknięte tylko trzy rzeczy: boskie bestie, upiory lojalne wobec korony oraz Elianę.

Wypowiedzenie imienia Eliany zabolalo, jakby było ono trucizną wybuchającą pomiędzy zębami. Serce Rielle szarpnęło się do Baingarde, do cichej komnaty, w której pozostały dwa ocalałe kawałki jej serca.

– Księżniczka zachowa całą swoją moc? – zapytała Evyline.

– Pewnego dnia empirium powróci. Wydarzy się coś, co je przebudzi. Nowy konflikt, być może nowy wróg. Widzę przebliski tego, co się stanie, ale empirium nie pokazuje mi niczego więcej. Brama to wrota do Otchłani, a Otchłań zawiera wrota do każdego istniejącego świata. Coś nadejdzie. Gdy to się stanie, a empirium powróci, świat skieruje się do Eliany, aby go poprowadziła. – Jej łzy wezbrały gwałtownie. – Chciałabym nie musieć tego od niej wymagać. Chciałabym nie porzucać Audrica w świecie oplakującym utratę swojej magii. Nie znam jednak innego sposobu, aby ich ochronić w nadchodzących trudnych latach, a niedługo nie będzie mnie już tutaj, więc nie będę mogła nic zrobić.

– Co się stanie ze świątyniami, królowo? – zapytała zdławionym głosem Evyline. – Co będziemy czcić, gdy magia zniknie?

– Nic was nie powstrzymuje od modlenia się do słońca i cieni. Jeśli zaś dawne modlitwy przestaną pasować, napiszecie nowe.

Nowa fala agonii sprawiła, że Rielle upadła na ulicę. Pęknięcia rozeszły się po bruku, rozłupując setki starannie ociosanych kamieni. Zadrżała, łapiąc oddech, a gdy podniosła głowę, nie zobaczyła ulicy ani miasta, lecz ogromne płytkie morze. Na horyzoncie czekała dziewczynka w bieli.

Evyline spróbowała pomóc jej wstać, ale zdołała tylko podnieść ją na kolana. Ziemia przyciągała szyję Rielle upartymi, głodnymi palcami. Walka z tym przypominała walkę z niewzruszonym ciężarem oceanu. Jeśli Rielle ma w porę dotrzeć w góry, potrzebuje pomocy. Jeszcze jednej osoby, która pomoże jej wstać i iść – kogoś, komu może zaufać.

Usłyszała głos Zahry, odległy i słaby.

– Moja królowo, jesteśmy niedaleko domu Garvera Randella.

– Przyprowadź go do mnie – wychrypiała Rielle, a każde słowo smakowało jak błyskawice. – Powiedz, żeby się pospieszył.

Przyszedł natychmiast, przez krótką chwilę stał w milczeniu, a potem przykląkł koło niej. Rielle przyglądała mu się przez białą ścianę bólu. Widziała poznaczoną zmarszczkami twarz i jasne, przenikliwe oczy.

– Naprawdę masz skłonności do teatralnych gestów – oznajmił cierpko i z pomocą Evyline, z najwyższym wysiłkiem, zdołał postawić Rielle z powrotem na nogi. Poczuła lekki nacisk spracowanej dłoni na swoim czole. – Dokądkolwiek się udajesz, dziecko – powiedział miękko – mam nadzieję, że znajdziesz tam spokój.

Spokój. Roześmiała się, zdumiona tą koncepcją. Czy będzie jej wolno zaznać czegoś takiego, choćby po śmierci?

to nie śmierć

Empirium skarciło ją z wyraźnym zdziwieniem. Dlaczego miałyby sądzić, że cokolwiek jest tak proste jak śmierć pojedynczego człowieka?

Węc co?, zapytała, łapiąc z trudem powietrze.

Odpowiedziało uczuciem, cienkim szkieletem pojedynczego słowa:
więcej

Dotarli do otaczającego miasto wielkiego muru, nadkruszonego i osmalonego. Zahra ukryła ich przed strażnikami, gdy mijali niedawno zbudowaną bramę. Kiedyś Âme de la Terre nie potrzebowało takiego muru. Kiedyś żadne z nich nie wierzyło, że coś takiego może się wydarzyć, niezależnie od modlitw, które powtarzali przed snem.

Przeszli przez most nad jeziorem i znaleźli się na Błoniach. Potykali się na nierównej ziemi. Były tu bruzdy pozostawione przez pazury bestii, kratery wciąż parujące magią żywiołów. Świątynni akolici nie zdążyli jeszcze dokonać koniecznych napraw na polu bitwy, ponieważ koncentrowali się na zbieraniu ciał, oczyszczaniu miasta i pocieszaniu ludzi pogrążonych w żałobie. Teraz, gdy tylko mieszkańcy Âme de la Terre wyjrzą przez okna, będą widzieć pozostałości wojny. Będą myśleć o Krwawej Królowej i o tym, jak zabrała ich magię. Niektórzy będą szaleć z rozpaczy, ale zostaną pozbawieni magii dającej ujście wściekłości, a dzięki armii upiorów pilnujących zamku Audric i Eliana będą bezpieczni, przynajmniej na kilka lat.

Nad Błoniami zaburczały grzmoty zwabione nierównym rytmem kroków Rielle. Gdy zbliżali się do przełęczy, powietrze zaczęło iskrzyć złotem. Evyline spojrzała w górę, a na jej twarzy podziw mieszał się ze strachem.

– Zahro, możesz teraz pozwolić Audricowi się obudzić – wykrztusiła Rielle. Jej bose stopy z młaśnięciem rozgniatały zimne błoto. – Idź do niego. Przekaż mu wszystko to, co powiedziałam, gdy tylko będzie gotów, by to usłyszeć.

Zahra nie odpowiedziała, ale zimny strumień powietrza ucałował kark Rielle. Upiorzyca zniknęła.

– Powiedz mi, co widzisz, Evyline – westchnęła Rielle.

– Widzę złote światło płynące po niebie – odparła Evyline. – Nie ma postaci poszarpanych zygzaków, jak błyskawice, lecz płatków, ogromnych i pulsujących. Spotykają się, rozdzielają i znowu spotykają.

– Ja zaś widzę Audrica – powiedziała Rielle, chociaż jej głos łamał się na każdym słowie. Empirium było ogromnym, nieskończonym płótnem, na którym od ziemi do nieba wirowały kształty. Rielle czytała wszystko, co było na nim napisane. – Przebudził się. Biega po naszych komnatach, szuka mnie. Powtarza moje imię raz za razem. Eliana... – Jej łzy popłynęły. W swoim życiu znała miłość gorącą, ale nigdy tak doskonałą jak ta. – Eliana obudziła się i płacze. Audric... Wzywa strażę. Tuli Elianę do piersi, znowu krzyczy moje imię. Ona wrzeszczy mu do ucha, a on wybiega na taras. Widzi moje światło. Wie, co zrobiłam.

– Nie rób tego, dziecko – rzekł Garver. – Nie patrz. Ten widok sprawi ci tylko ból.

Rielle osunęła się na kolana na niewielkim pagórku rozmięklej ziemi. Nad nią drzewa złociły się ostatnimi barwami jesieni, a zbocza Taléi wznosiły się wysoko, ciemne od sosen.

– Oddalcie się! – zawołała i popchnęła Garvera w pierś. Chwyciła dłoń Evyline, ścisnęła ją raz i także ją odepchnęła. Zaczekała, aż znaleźli się między drzewami porastającymi skalistą grań. Drżała w błocie, oparta na dłoniach i kolanach. Chwytała bezskutecznie powietrze, przełykała, walcząc z narastającym w niej sztormem. Nadszedł czas, ale ona nie wiedziała, od czego ma zacząć.

oddychaj

puść

Rielle patrzyła na swoje dłonie w błocie. Drobne i blade, otoczone cieniami.

budzimy się

Przykucnęła przed nią dziewczynka – jej dziecięca wersja, promiennooka i uśmiechnięta. Bosa, w białej sukience łopoczącej jej wokół kostek, z chudymi nadgarstkami i nieposłusznymi ciemnymi włosami.

– Chodź teraz ze mną – powiedziała dziewczynka głosem pełnym czułości i życzliwości. – Mamy jeszcze tak wiele do zrobienia.

Świat zamigotał diamentami. Oślepiający ból tłukł się o skronie Rielle, ale gdy wzięła dziewczynkę za rękę, część supłów przerażenia w jej ramionach rozluźniła się, a na obrzeżach pola widzenia pojawiło się drżące złociste światło rozkwitające z milionów źródeł. Światło wybuchło z niejednym tysiącem olśniewających strumieni, a w ostatnich chwilach, zanim ją pochłonęło, zobaczyła zbyt wiele rzeczy, by je wszystkie nazwać. Niektóre z nich jednak знаła i ten widok był jej drogi.

Zobaczyła ciężko doświadczone miasto będące jej domem, siedem świątyń rozjaśnionych świecami żałobnymi i jezioro lśniące jak uśmiech wokół muru.

Na Sunderlandach światło Bramy zawirowało z jękiem, zwinęło się samo w siebie jak cyklon z fioletu i złota, aż nic nie pozostało z przejścia, które kiedyś się tam znajdowało. Tylko dwa ogromne szare głazy i powietrze pomiędzy nimi, całkowicie zwyczajne, poruszane morską bryzą.

W wysokich, zimnych górach Borsvallu król Ilmaire spał u boku swojego męża, Leeviego – Kammerata, mówcy smoków. Stolica kraju, Styrdalleen, ponownie stała się uskrzydłonym miastem, tak jak w Pierwszej Erze, ponieważ na każdej wieży siedziały teraz smoki, wielkie i małe, ze zwiniętymi potężnymi skrzydłami, niezmordowanie wypatrujące w ciemności wrogów. Na białym kamiennym murze, z którego rozciągał się widok na wybrzeże, stała Ingrid Lysleva, dowódczyni armii i ukochana siostra króla. Spoglądała zmrużonymi oczami na Morze Północne, w stronę

odległych wysp, na których wznosiła się Brama, ponieważ zbierały się tam powoli dziwnie podświetlone chmury nieprzypominające żadnej burzy, jaką do tej pory widziała.

W lśniącym Genzharze, w szkarłatno-złotym pałacu, młodziutka królowa Obritsa patrzyła zimno na zdradzieckich mistrzów, którzy sprzedawali dzieci z jej miasta Corienowi w zamian za zaszczyty czekające na nich w nowym anielskim świecie. Kat podniósł miecz, ale Obritsa powstrzymała go w ostatniej chwili, darując mistrzom życie. Klęczała koło nich, gdy zalewali łzami jej dłonie, a potem z twardym uśmiechem powiedziała im coś, czego Rielle nie pochwyciła.

W Quelbani, mieście będącym perłą swojego kraju, którego zrujnowane ulice wysrebrzał blask księżyca, księżniczka Kamayin Asdalla czytała coś przy blasku świec w komnacie swoich matek. Spały za jej plecami, w szerokim białym łożu, z twarzami wygładzonymi snem i splecionymi dłońmi. Kamayin, siedząca z gołymi nogami na parapecie, podniosła głowę znad powieści i machinalnie postukała się po nosie. Przytrzymała książkę na kolanach, sięgnęła do stołu obok i dodała kilka notatek na kartce. Na samej górze widniało pytanie zakreślone podwójną linią: *Co teraz zrobimy?*

Zaś na małym tarasie przylegającym do najwspanialszych komnat mieszkalnych w Baingarde król Celdarii tulił do piersi swoją córeczkę i patrzył, jak horyzont rozjaśnia się na pożegnanie.

Początek i koniec

Moja najdroższa córeczko, moja malutka. Być może bardzo długo nie zrozumiesz, co zrobiłam. Być może będziesz się na mnie złościć, może znienawidzisz mnie, może dorośniesz i będziesz o mnie myśleć obojętnie. Ale niezależnie od tego, co będziesz czuła, chcę, byś wiedziała, że kochałam Cię bezgranicznie i właśnie dlatego musiałam Cię opuścić. Masz przed sobą całe życie, a chociaż świat się zmienił, na pewien czas będziesz bezpieczna. Mogą nadejść chwile, w których będziesz się bać. Masz prawo odczuwać strach. Jesteś jednak silniejsza od wszelkich płomieni. Opiekuj się swoim ojcem. Kochaj go całym sercem. Doceniaj swoich przyjaciół. Kochaj samą siebie i moc, którą Ci podarowałam. Patrz w niebo i czuj promienie słońca na swojej skórze. Pływaj w rzekach i baw się w cieniu drzew. W każdej chwili, w każdym źdźble trawy, na każdej nieznannej ścieżce będę ja, na zawsze przy Tobie. Moja Eliano. Moja dzielna dziewczynko. Oto Twój początek.

– z listu Rielle Courverie, zmarłej królowej Celdarii, do jej córki
Eliany Courverie, księżniczki Celdarii i następczyni tronu Katell,
11 listopada 1000 roku Drugiej Ery

Pięć lat później

Eliana siedziała na swoim ulubionym stołku w ulubionym kącie najulubieńszego miejsca na świecie – poza jej sypialnią, i sypialnią jej ojca, i salonikiem jej babci z wymalowanymi na suficie boskimi bestiami, i cichymi, chłodnymi katakumbami, gdzie prześliczny posąg jej matki stał nad pustym grobem.

Poza tymi miejscami jej ulubionym był sklep Garvera. Podobał jej się zapach roślin i mikstur, ostry, ale czysty, który pobudzał jej nos. Lubiła

zioła w schludnych szklanych słoiczkach oraz toniki i maści opisane starannym pismem Garvera. Lubiła gładkie stoły robocze wypiaszkowane przez Garvera do połysku, a także parę unoszącą się w powietrzu, gdy warzyli nowe mikstury, które miały zostać rozlane do butelek i odstawione na później.

Za oknem rozrastał się przyjemny ogród pełen kwiatów i ziół, który teraz, wczesnym latem, mienił się kolorami. Czasem na szybie przemknął cień Atherii, krążącej w pobliżu w poszukiwaniu czegoś do przekąszenia. Nad drzwiami wisiał lśniący srebrny dzwonek, w kącie Garver trzymał miotłę, a nad ogniem grzał się czajnik pełen herbaty.

Ale chociaż wszystko w tym sklepie było wspaniałe, najbardziej Eliana lubiła Simona.

Spoglądała na niego ukradkiem, gdy pracował. Wszyscy powtarzali, że ma bardzo poważną twarz jak na tak młodego chłopca. „Strasznie ponury”, usłyszała kiedyś Eliana. Jej jednak podobała się ta twarz i malująca się na niej powaga. Marszczył jasne brwi, odczytując listę składników, a ciemnozłote włosy spadały mu nieposłusznymi kosmykami na czoło. Jego zwinne palce siekały korzenie i zioła tak szybko i starannie, że obserwująca go Eliana poczuła przypływ ciepła. To uczucie mówiło jej, że jest bezpieczna. Gdy była z nim i jego małymi ostrymi nożykami, nic nie mogło jej skrzywdzić.

– Czy mogę spróbować? – zapytała, przesuwając się bliżej na stołku.

Spojrzał na nią.

– Nie.

– Dlaczego?

– Ponieważ noże są ostre. Chcesz sobie obciąć palec?

– Nie.

– Sama widzisz.

– Ale kiedyś będę mogła używać dobrych noży?

Uśmiechnął się leciutko, skończył siekać liście krwawnika, a potem zgarnął je dłonią i wsypał do moździerza.

– Możliwe – odpowiedział Simon. – Na razie możesz używać niedobrych noży.

Uniósł brwi i zerknął na noże obok niej. Były przeznaczone dla niej, specjalnie stępione i dlatego źle się nimi kroilo. Kiedy Eliana ich używała, robiła to powoli i wyglądała głupio, a okropnie nie lubiła wyglądać głupio w obecności Simona.

– To nie są niedobre noże – wtrącił Garver od swojego stołu. – To są noże do nauki.

Eliana skrzywiła się, patrząc na ostrza, a wtedy Simon roześmiał się cicho i szturchnął ją łokciem. To zdecydowanie poprawiło jej humor, do tego stopnia, że pokroiła własną kupkę liści szybciej niż kiedykolwiek wcześniej, po czym rzuciła Simonowi spojrzenie pełne wyniosłego triumfu.

To zaś sprawiło, że roześmiał się głośno i donośnie, co robił bardzo, bardzo rzadko. Eliana rozpromieniona patrzyła na jego rozbawienie. Rzadko kiedy widywała go tak szczęśliwego. Często, gdy czekali, aż korzenie się rozgotują, albo rozwieszali zioła do suszenia, Eliana przyłapywała Simona na tym, jak spogląda w okno z okropnym smutkiem na twarzy.

Zdarzało się to najczęściej podczas silnego wiatru niosącego z gór zapach sosen. Simon był wtedy milczący, dziwny i poważny, ale nie tą powagą, którą lubiła. W takie dni prawie się nie odzywał. Na jego twarzy malowały się cienie, a oczy miały ostry i gniewny wyraz albo stawały się obojętne i wypełnione żalem. Gdy tak się działo, prawie na nią nie patrzył.

Raz nawet rozzłościł się na nią.

– Czy mogłabyś wreszcie przestać terkotać, choćby na kilka minut? – wrzasnął, a zaraz potem na jego twarzy pojawiło się przerażenie, ponieważ Eliana natychmiast wybuchnęła płaczem. Garver odesłał go na górę do jego pokoju, nie pozwalając mu nawet spróbować przeprosić, a następnie siedział w milczeniu z Elianą, dopóki nie pojawiła się Zahra, żeby zabrać ją do domu.

Później, zapłakana i pociągająca nosem na kolanach ojca, Eliana zapytała go, dlaczego Simon tak zrobił. Dlaczego w niektóre dni jest taki smutny, taki okrutny i niecierpliwy.

Zaś jej ojciec – najdroższy, czuły ojciec, który zawsze znał odpowiedzi na jej pytania – bardzo długo trzymał ją po prostu na kolanach, otuloną ich ulubionym kocem. Myślała, że może zasnąć.

Potem powiedział bardzo cichutko, ustami wtulonymi w jej ciemne włosy:

– Kochanie, możesz tego wszystkiego jeszcze nie zrozumieć, ale mimo wszystko powiem ci o tym, bo tak właśnie robimy, prawda? Rozmawiamy ze sobą. Mówimy prawdę.

– Tak, tato – odparła i spojrzała na niego. Wiele razy słyszała w głosie ojca smutek i powagę, szczególnie gdy odwiedzali grób jej matki, ale teraz było inaczej. W jego głosie dźwięczały tajemnice.

– Przypuszczam, że Simon opłakuje utratę swoich mocy. Pamiętasz, jak ci mówiłem, co twoja mama zrobiła, kiedy umarła?

Głos Eliany zniżył się do szeptu, jak zawsze gdy mówiła o matce. Widziała ją na obrazach i wiele razy słyszała, jak ojciec o niej opowiada. Kiedy wyobrażała sobie matkę – jej zielone oczy, moc malującą jej włosy i ręce złotem – czasem musiała wstrzymać oddech, ponieważ wydawało jej się, że jeśli tylko się obróci, zobaczy za sobą matkę. Tak jakby umysł

Eliany mógłby sprowadzić ją z powrotem z empirium, dokądkolwiek by ją zabrało.

– Pomogła empirium zasnąć – odpowiedziała, starannie zastanawiając się nad każdym słowem, bo ojciec nauczył ją, jakie to jest ważne. Mówił, że magia zniknęła z ich świata, ale trochę jej pozostało w wypowiedzanych słowach i tę moc należało szanować. Wzięła w dłoń wisior podarowany jej przez ojca; zawieszony na cienkim łańcuszku złoty dysk, na którym wyryto jej matkę na grzbiecie Atherii. Kiedy go trzymała, zawsze czuła się trochę silniejsza. – Pewnego dnia empirium znowu się obudzi – powiedziała Eliana do ojca. – Ale teraz śpi i tylko ja...

Urwała, a jej policzki poczerwieniały, gdy wpatrywała się w podłogę. Kiedy nie modliła się w świątyniach z Miren i Sloane lub nie czytała z ojcem książek o empirium, Eliana często zapominała o mocach ukrytych w jej ciele. Moc pozwalała jej widzieć Zahrę i pozostałe upiory, chociaż dla innych ludzi było to niemożliwe. Z powodu mocy ojciec wysyłał ją na lekcje do pracowni Garvera, a także wraz z Miren, Sloane i Zahrą uczył ją tylu rzeczy, że czasem Eliana miała wrażenie, iż jej głowa stała się trzy razy większa, niż powinna. Chcieli, by dowiedziała się wszystkiego, co możliwe, o tej magii żyjącej w jej krwi i nie obawiała się jej, a także żeby poznała wiele innych rzeczy, takich jak uzdrawianie, muzyka i matematyka, ponieważ dzięki temu moc nie była jedynym, co kochała.

Czasem, gdy Eliana przypominała sobie, że jest inna od wszystkich na świecie, czuła się samotna jak ptak siedzący na najwyższej gałęzi drzewa, zbyt wysoko, żeby inne ptaki mogły go dosięgnąć.

Ojciec pocałował ją w głowę.

– Tylko ty możesz nadal dotknąć empirium. To prawda, Eliano. Nie ma w tym nic złego. Nie powinnaś się tego wstydzić. Twoja matka miała powody, by pozostawić twoje moce nienaruszone. Być może uważała, że

pewnego dnia wydarzy się coś przerażającego. Być może kochała cię tak bardzo, że chciała, byś zachowała w sobie tę jej część.

Eliana zadrżała. Co takiego przerażającego może się wydarzyć i co ona mogłaby zrobić, żeby to powstrzymać?

– Myślę, że właśnie dlatego Simon czasem czuje się smutny – powiedział jej ojciec. – Dlatego niekiedy nawet wydaje się, że gniewa się na ciebie. Ty nadal masz moc, a on nie. Jego dar został mu odebrany, podobnie jak mój, jak wszystkie inne. Nie bez powodu, jestem przekonany, że nie bez powodu, ale mimo to one zniknęły. Myślę, że twój widok czasem przypomina Simonowi o tym, co stracił.

To sprawiło, że oczy Eliany wypełniły się łzami.

– Czy powinnam przestać się z nim przyjaźnić? Ja nie chcę, żeby on był przeze mnie smutny, tato.

– Nie, kochanie, nie o to mi chodziło. Myślę, że byłby najsmutniejszy, gdybyś przestała się z nim przyjaźnić. Są po prostu dni, kiedy on nie jest w pełni sobą, a ty musisz być wobec niego cierpliwa. Może nawet będziesz czuła, że w takich chwilach w ogóle nie powinnaś z nim rozmawiać, i nie ma w tym nic złego. Możecie pracować razem w ciszy albo możesz wziąć do czytania jakąś książkę Garvera i zostawić Simona samego przy stole. Myślisz, że potrafisz to zrobić?

Dzisiaj jednak nie był jeden z tych dni. To był dzień światła i radości w sklepie Garvera, a Eliana patrzyła i patrzyła na roześmianego Simona – śmiejącego się z powodu czegoś, co ona zrobiła! Kiedy na niego spoglądała, czuła lekki ból w piersi. To było pełne słodczy, stonowane uczucie, które jej nie przeszkadzało. Podobnie się czuła, gdy siedziała w domu, w ciepłej i bezpiecznej sypialni, i przyglądała się ojcu opowiadającemu historie o jej matce.

Zabrział srebrny dzwonek nad drzwiami, a Eliana odwróciła się szybko i zobaczyła, że Zahra pojawiła się, by ją zabrać do domu – ale nie sama. Był z nią ojciec Eliany, który przyszedł tutaj aż z zamku! Chociaż zapowiedział wcześniej, że prawdopodobnie będzie musiał całe popołudnie siedzieć na nudnych naradach, stał teraz w drzwiach z szerokim uśmiechem i oczami ciemnymi jak jej oczy, rozkładając ramiona, gotów ją pochwycić.

Eliana omal nie spadła ze stołka z pośpiechu, żeby do niego podbiec. Pisnęła na powitanie jego imię i skoczyła na niego, a on złapał ją, zakręcił nią wysoko i ucałował jej włosy. Usłyszała jego głos, taki kochany i ciepły, pytający, czy chciałaby z nim zjeść obiad u Oda i może posiedzieć u niego na tarasie, wśród paproci i kwiatów. Wtedy dołączyłby do nich sam Odo, a to oznaczało opowieści! Dziwne, fantastyczne opowieści zasłyszane od ludzi, którzy dla niego pracowali, od upiorów, które dla niego szpiegowały, i od kupców, którzy prowadzili z nim interesy.

Elianie zakręciło się w głowie. Całe popołudnie będzie siedzieć u nóg swojego ojca, podczas gdy Odo będzie dla nich snuł opowieści!

Pocałowała go w policzek, szorstki po dawnych oparzeniach i dlatego, że naprawdę powinien się ogolić. Zmarszczyła nos i powiedziała mu o tym, a on się roześmiał, i wtedy wysoka, cudowna Zahra pochyliła się, by dotknąć jej czoła. Eliana poczuła chłodne muśnięcie powietrza, jak zapowiedź zimy, gdy wiatr pachnie śniegiem.

Eliana odwróciła się w ramionach ojca.

– Czy już skończyliśmy, Garverze? Mogę iść?

Wargi Garvera zadrgały.

– Nie, dziecko, zabraniam ci wyjść ze swoim ojcem, królem. Masz zostać tutaj do końca dnia i zamiatać kurz z mojej podłogi.

Eliana otworzyła usta, a jej policzki pobrały, ale wtedy Garver ze śmiechem odwrócił się do swojej pracy.

– Dzień dobry, Wasza Wysokość, i dziękuję bardzo – oznajmił z lekkim ukłonem i machnięciem ręki. – Córka Waszej Wysokości jak zawsze była niezwykle pomocna.

Eliana odetchnęła gwałtownie. Popatrzyła z oburzeniem na ojca.

– To znaczy, że on żartował? – Obejrzała się na Garvera z jeszcze większym oburzeniem. – Żartowałeś?!

Gdy wychodzili ze sklepu, w uszach dźwięczał im śmiech Garvera. Simon podbiegł za nimi, w milczeniu zrównał się z ojcem Eliany i otworzył przed nim ogrodową furtkę.

– Ona przyjdzie tu w przyszłym tygodniu, prawda? – zapytał z nadzieją w głosie, gdy ruszyli ulicą. – Kiedy tu jest, siekanie liści i robienie różnych rzeczy jest mniej nudne. – Umilkł na chwilę, starannie udając obojętność. – No bo wtedy muszę cały czas mieć na nią oko. Pilnować, żeby nie obcięła sobie palca. Pokazywać, jak ma używać noży do nauki.

Eliana pokazała mu język, ale wiedziała, że tak naprawdę się na nią nie złościł, ponieważ uśmiechał się przy tym, a jej ojciec śmiał się tym głośnym, ciepłym śmiechem, który uwielbiała. Na czystym wiosennym niebie Atheria zataczała powoli ogromne kręgi. Zahra unosiła się obok nich i opowiadała Elianie o żbikach, które rano widziała w górach. Ponad nimi, na końcu drogi, wśród wzgórz i sosen wznosił się zamek Baingarde czekający na ich powrót. Ich dom.

Kiedy szli pod górę, Eliana przytuliła się do ramienia ojca i patrzyła, jak sylwetka Simona staje się coraz mniejsza. Zawsze czekał przy furtce ogrodu, aż doszli do końca ulicy. Twierdził, że tego wymaga grzeczność i szacunek wobec króla. A także księżniczki, o czym przypominała mu Eliana, on zaś odpowiadał pogodnym wzruszeniem ramion.

Gdy zbliżali się do końca ulicy, Eliana wstrzymała oddech i nasłuchiwała uderzeń swojego serca. A jeśli nie zaczekał? Jeśli wrócił do

sklepu wcześniej, niż powinien? Jej oczy zaczęły łzawić, kiedy wpatrywała się w dal. Wstrzymywała oddech, aż zaczęło jej się odrobinę kręcić w głowie.








Zahra posłała jej myśl pełną czułości i leciutkiej irytacji.

Malutka, jeśli nie zaczniesz zaraz oddychać, zmuszę cię do tego.

Wtedy... wtedy Simon podniósł w końcu rękę, tak jak zawsze, tak jak obiecał. Serce Eliany wypełniło się światłem na ten widok, więc zachichotała ojcu do ucha, tak szczęśliwa, że nie potrafiła odpowiedzieć, kiedy zapytał, co ją tak rozbawiło. Uśmiechała się tylko i machała do Simona, aż skręcili za róg ulicy, a mały sklep, który tak bardzo kochała, wraz z ogrodem i chłopcem stojącym cierpliwie przy furtce, zniknął spokojnie z jej pola widzenia.

Żywioły w trylogii Empirium

W ojczyźnie Rielle, Celdarii, oficjalną administracją religijną zajmuje się Kościół. Celdowie modlą się w świątyniach siedmiu żywiołów, które znajdują się w każdej miejscowości. Mogą one mieć postać prostych ołtarzy w pojedynczym niewielkim pomieszczeniu lub ogromnych, pełnych przepychu gmachów, jak w stolicy, Âme de la Terre. Podobne instytucje religijne istnieją w innych krajach w Avitas. W czasach Eliany większość świątyń żywiołów została zburzona przez Nieśmiertelne Imperium i bardzo niewiele osób wierzy nadal w opowieści ze Starego Świata o magii, świętych i Bramie.

<i>ŻYWIOŁ</i>	<i>MAG ŻYWIOŁU</i>	<i>SYMBOL</i>	<i>ŚWIĄTYNIA</i>	<i>BARWY</i>
<i>słońce</i>	<i>przędzarcz słońca</i>		<i>Dom Światła</i>	<i>złoto i biel</i>
<i>powietrze</i>	<i>pieśniarz wiatru</i>		<i>Firmament</i>	<i> błękit i ciemnoszary</i>
<i>ogień</i>	<i>dzierżyciel ognia</i>		<i>Stos</i>	<i>szkarłat i złoto</i>
<i>cień</i>	<i>zaklinacz cieni</i>		<i>Dom Nocy</i>	<i>szafir i czern</i>
<i>woda</i>	<i>rzqdcą wody</i>		<i>Łażnia</i>	<i>granat i morski</i>
<i>metal</i>	<i>mistrz metalu</i>		<i>Kuźnia</i>	<i>grafit i ciemnopomarańczowy</i>
<i>ziemia</i>	<i>rzeźbiarz ziemi</i>		<i>Opoka</i>	<i>umbra i jasna zieleń</i>

<i>ŻYWIOŁ</i>	<i>ŚWIĘTY</i>	<i>PATRON KRAJU</i>	<i>FORMA</i>	<i>ZWIERZĘ</i>
<i>słońce</i>	<i>Św. Katell Wielka</i>	<i>Celdaria</i>	<i>miecz</i>	<i>biała klacz</i>
<i>powietrze</i>	<i>Św. Ghovan Nieustraszony</i>	<i>Ventera</i>	<i>strzała</i>	<i>orzeł cesarski</i>
<i>ogień</i>	<i>Św. Marzana Jaśniejąca</i>	<i>Kirvaya</i>	<i>tarcza</i>	<i>feniks</i>
<i>cień</i>	<i>Św. Tameryn Przebiegła</i>	<i>Astavar</i>	<i>sztylet</i>	<i>czarna pantera</i>
<i>woda</i>	<i>Św. Nerida Promienna</i>	<i>Meridian</i>	<i>trójzqb</i>	<i>kraken</i>
<i>metal</i>	<i>Św. Grimvald Mocarny</i>	<i>Borsvall</i>	<i>młot</i>	<i>smok lodowy</i>
<i>ziemia</i>	<i>Św. Tokazi Nieugięty</i>	<i>Mazabat</i>	<i>laska</i>	<i>jeleń olbrzymi</i>

Podziękowania

Szesnaście lat temu wymyśliłam postać imieniem Rielle i zdecydowałam, że chcę opowiedzieć jej historię. („Zdecydowałam” – jakby dała mi w tej sprawie jakiś wybór).

Teraz ostatnia część Trylogii Empirium – opowieści o Rielle i Elianie – została zakończona. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem szczęśliwa, że mogę zaprezentować te książki światu. Zawarłam w nich duszę mojej twórczości. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek pokocham jakąś opowieść tak bardzo jak tę – to okropnie dziwne, słodko-gorzkie uczucie.

Na przestrzeni lat wiele osób przyczyniło się do zaistnienia tej trylogii; znacznie więcej, niż mogłabym zmieścić na tych stronach. Wszystkim czytelniczkom i czytelnikom, bibliotekarzom, nauczycielom i księgarzom, którzy zainteresowali się tymi książkami i pomogli im odnieść sukces, dziękuję z całego serca za wsparcie, entuzjazm i życzliwość. Moi najbliżsi – przyjaciele i rodzina – wiedzą, jak bardzo ich uwielbiam i jak bardzo jestem wdzięczna, że nie przestali we mnie wierzyć. Tak się cieszę, że jesteście w moim życiu.

W tym ostatnim tomie chciałabym przekazać podziękowania w szczególności zespołowi wydawniczemu. Bez nich, bez ich zrozumienia, zaangażowania i ciężkiej pracy ta historia pozostałaby w mojej głowie. Ich oddanie, talent i umiejętności są wyjątkowym darem, który pozwolił tym książkom zaistnieć i który na zawsze zachowam w sercu.

Dziękuję, milion razy, mojej nieustraszonej, nieugiętej agentce, Victorii Marini, której niestrudzone wsparcie i życzliwość pomogły nie tylko moim

książkom, ale również mnie samej. Jestem też wdzięczna zespołowi z Irene Goodman Literary Agency, w szczególności Lee O'Brienowi i Maggie Kane, a także zawsze gotowej do pomocy Penelope Burns z agencji Gelfman Schneider/ICM Partners oraz Renee Harleston za jej uwagi i komentarze.

Chciałabym wyrazić ogromną wdzięczność Annie Berger, wyjątkowej redaktorce będącej nieocenioną partnerką kreatywną. Jej niezachwiana wiara w moje umiejętności sprawia, że czasem sama nie mogę się nadziwić, ile miałam szczęścia.

Dziękuję z głębi serca niezmordowanemu zespołowi wydawnictwa Sourcebooks, w szczególności bezgranicznie cierpliwej Beth Oleniczak, a także Sarah Kasman, Stefani Slomie, Lizzie Lewandoski, Katie Stutz, Mallory Hyde, Valerie Pierce, Margaret Coffee, Sierze Stovall, Ashlyn Keil, Caitlin Lawler, Heather Moore, Michaelowi Lealiemu, Jackie Douglass, Danielle McNaughton, Toddowi Stocke'owi, Steve'owi Geckowi i Dominique Raccah.

Szczególne podziękowania kieruję do redaktorki prowadzącej Cassie Gutman za jej przenikliwe spojrzenie i ogromną cierpliwość, a także do Nicole Hower i Davida Curtisa za wspaniałe okładki tej trylogii. Wydawnictwo Sourcebooks stało się cudownym domem dla Rielle i Eliany, a ja jestem wdzięczna wszystkim jego pracownikom, dzięki którym ja i moje dziewczęta czułyśmy się jak w rodzinie.

Jestem niezwykle wdzięczna niesamowitej korektorce (i niesamowitej przyjaciółce) Alison Cherry – dzięki Tobie ta książka jest lepsza, a ja zawsze mogłam liczyć na Twoje wsparcie.

Ogromne podziękowania należą się też zespołom wydawnictw Penguin Random House Audio oraz Listening Library opracowującym audiobooki na podstawie tej trylogii: Aaronowi Blankowi, Heather Job, Brieanie Garcii,

Rebecce Waugh, Emily Parlman i Jessica Kaye. Na najgorętsze wyrazy wdzięczności zasługuje Fiona Hardingham za mistrzowską interpretację lektorską.

Proces powstania książki wymaga udziału wielu osób, nie tylko samej autorki. Kiedy patrzę na wszystkich, którzy pomogli mi opowiedzieć tę historię, czuję się naprawdę szczęśliwa i zawstydzona takim ogromem miłości i wiary we mnie. Dziękuję Wam.

Tytuł oryginalny: Lightbringer

Originally published in the United States by Sourcebooks, LLC.

www.sourcebooks.com

Wszelkie prawa zastrzeżone

© Copyright by Claire Legrand, 2020

© Copyright for the Polish translation by Małgorzata Kaczarowska,
2024

© Copyright for this edition by Społeczny Instytut Wydawniczy Znak
sp. z o.o., 2024

Wydanie pierwsze

Kraków 2024

Okładka oryginalna książki *Lightbringer*

Wszelkie prawa zastrzeżone

Projekt okładki i ilustracja na okładce: David Curtis

Adaptacja okładki, stron tytułowych oraz mapy: Mirosław
Krzyszkowski

Przekład: Małgorzata Kaczarowska

Wydawca serii: Adrian Tomczyk

Redaktorka prowadząca: Agata Ługowska, Marta Brzezińska-
Waleszczyk

Opieka redakcyjna: Paulina Gwóźdź

Redakcja: Magdalena Wołoszyn-Cępa

Korekta: Mirosław Ruszkiewicz, Mirosław Krzyszkowski

ISBN 978-83-8367-185-7

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki
37

Dział sprzedaży: tel. (12) 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Błaszczuk